

JO NESBO

Urodził się w roku 1960 w Oslo. Z wykształcenia ekonomista; pracował jako makler giełdowy i dziennikarz. Finanse porzucił jednak dla pisania. Jest również muzykiem rockowym, członkiem zespołu „De Derre”, dla którego pisze teksty. Nagrał także płytę solową. Jego debiutancka powieść kryminalna *Człowiek-nietoperz*, z postacią inspektora Harry’ego Hole, została opublikowana w Norwegii w roku 1997. Natychmiast trafiła na listy bestsellerów i otrzymała Nagrodę Szklanego Klucza za najlepszy kryminał skandynawski.

Czerwone Gardło (WD 2006, pierwsza część „Trylogii z Oslo”), której bohaterem jest również Harry Hole, otrzymała prestiżową Nagrodę Księgarzy za najlepszą powieść norweską, a w roku 2004 w plebiscycie radiowym uznana została za najlepszy norweski kryminał wszech czasów.

Trzeci klucz jest drugą częścią „Trylogii z Oslo”.

Jo Nesbo

Trzeci klucz

przełożyła Iwona Zimnicka

Część pierwsza

1 PLAN

Umieram. To bezsensowne. Nie taki był plan, w każdym razie nie mój. Możliwe, że wszystko zmierzało do tego punktu. Ale bez mojej wiedzy. Mój plan nie był taki. Mój plan był lepszy. Mój plan miał sens.

Patrzę w lufę i wiem, że właśnie stamtąd nadejdzie posłaniec. Przewoźnik. Czas na ostatni śmiech. Światelko w tunelu może być iskrą zapalnika. Czas na ostatnie Izy. Mogliśmy razem zmienić to życie w coś dobrego. Gdybyśmy postępowali zgodnie z planem. Ostatnia myśl. Wszyscy pytają, jaki jest sens życia, a nikt nie pyta, jaki jest sens śmierci.

2 ASTRONAUTA

Stary człowiek przywodził Harry'emu na myśl astronautę. Komiczne drobne kroczki, sztywne ruchy, czarne martwe spojrzenie i monotonne szuranie butami po podłodze. Jak gdyby bał się, że straci kontakt z ziemią i uleci w przestrzeń kosmiczną.

Harry spojrzął na zegar na białej ścianie nad drzwiami wejściowymi. 15.16. Za oknem, na Bogstadveien, przesuwali się ludzie ogarnięci piątkowym pośpiechem. Niskie październikowe słońce odbiło się w bocznym lusterku samochodu, ledwie toczącego się w korku.

Harry skupił się na starym człowieku. Kapelusz i szary elegancki prochowiec, któremu co prawda przydałoby się czyszczenie. Pod nim tweedowa marynarka, krawat i znoszone szare spodnie w ostry jak brzytwa kant. Wyczyszczone do połysku buty ze zdartymi obcasami. Jeden z emerytów tak gęsto zaludniających dzielnicę Majorstua. Nie było to przypuszczenie - Harry wiedział, że August Schulz ma osiemdziesiąt jeden lat, kiedyś zajmował się sprzedażą konfekcji, a na Majorstua mieszkał przez całe swoje życie, z wyjątkiem okresu wojny, kiedy to zajmował miejsce w baraku w Auschwitz. A sztywność kolan była wynikiem upadku z kładki dla pieszych nad Ringveien, którą przechodził, gdy regularnie udawał się z wizytą do córki. Wrażenie mechanicznej lalki pogłębiały jeszcze zgięte w łokciach pod kątem prostym i lekko wysunięte w przód ręce. Na prawym przedramieniu wisiała brązowa laska, a lewa dłoń zaciskała się na przekazie bankowym, wyciąganym już ku młodemu, krótko ostrzyżonemu mężczyźnie w okienku numer dwa, którego twarzy Harry nie widział, lecz wiedział, że urzędnik wpatruje się w starego człowieka

z litością przemieszana z irytacją.

Nadeszła już godzina 15.17 i August Schulz nareszcie znalazł się przy okienku. Harry westchnął.

W okienku numer jeden siedziała Stine Grette i odliczała siedemset trzydzieści koron dla chłopca w niebieskiej robionej na drutach czapce, który przed chwilą podał jej polecenie wypłaty. Za każdym razem, gdy kładła banknot na ladzie, błyskał brylant na serdecznym placu jej lewej ręki.

Harry nie widział tego, lecz wiedział, że z prawej strony chłopca, przed okienkiem numer trzy, stoi kobieta z wózkiem dziecięcym, którym kołysze, najprawdopodobniej w roztargnieniu, ponieważ dziecko śpi. Czekala, aż obsłuży ją pani Branne, która w tej chwili głośno tłumaczyła jakiemuś mężczyźnie przez telefon, że nie może skorzystać z polecenia zapłaty, jeśli odbiorca nie podpisał w tej kwestii odpowiedniej umowy, i że to ona pracuje w banku, a nie on, więc raczej powinni już zakończyć dyskusję.

W tym momencie drzwi do banku otworzyły się i do środka weszło dwóch mężczyzn, jeden wysoki, drugi niski, ubranych w identyczne ciemne kombinezony. Stine Grette podniosła głowę. Harry zerknął na własny zegarek i zaczął liczyć. Mężczyźni zdecydowanie skierowali się do rogu, w którym siedziała Stine. Wysoki poruszał się tak, jakby przeskakiwał przez kałuże, niższy natomiast szedł kołyszącym krokiem człowieka, któremu mięśnie rozrosły się bardziej, niż miał na nie miejsce. Chłopiec w niebieskiej czapce odwrócił się powoli i ruszył w stronę drzwi, tak zajęty przeliczaniem swoich pieniędzy, że w ogóle nie zwrócił uwagi na tych dwóch.

- Cześć - powiedział do Stine ten wysoki, podszedł jeszcze bliżej i z hałasem położył na kontuarze czarną walizkę. Mały poprawił ciemne lustrzane okulary i umieścił identyczną walizkę obok tej pierwszej.

- Pieniądze! - pisnął wysokim głosem. - Otwierać drzwi!

Nagle stało się tak, jakby ktoś wcisnął guzik pauzy. Wszelki ruch w lokalu bankowym zamarł. O tym, że czas się nie zatrzymał, świadczyły jedynie poruszające się samochody za oknem. I wskazówka sekundnika na zegarku Harry'ego, która pokazywała, że upłynęło dziesięć sekund. Stine wcisnęła guzik pod swoim pulpitem. Zaszumiała elektronika i mały pchnął kolanem niskie drzwiczki przy samej ścianie.

- Kto ma klucz? - spytał. - Pospieszcie się, nie mamy całego dnia do stracenia!

- Helgę! - zawołała Stine przez ramię.

- Słucham? - Głos dobiegł zza otwartych drzwi do jedyne go w lokalu bankowym gabinetu.

- Mamy gości, Helgę!

W drzwiach ukazał się mężczyzna w muszce i okularach.

- Panowie chcą, żebyś otworzył bankomat - wyjaśniła Stine. Helgę Klementsena pustym wzrokiem popatrzył na dwóch mężczyzn w kombinezonach, którzy znajdowali się już za kontuarem. Ten wysoki nerwowo zerkał w stronę drzwi, niższy natomiast utkwiał wzrok w kierowniku oddziału.

- A, tak, oczywiście - wydusił z siebie Helgę Klementsena, jak gdyby właśnie przypomniał sobie, że spotkanie było umówione, i wybuchnął głośnym nerwowym śmiechem.

Harry nawet nie drgnął. Wzrokiem chłonał tylko wszystkie szczegóły gestów i mimiki. Dwadzieścia pięć sekund. Wciąż patrzył na zegar nad drzwiami, ale kątem oka widział, że kierownik oddziału otwiera bankomat od środka, wyciąga z niego dwie podłużne metalowe kasety i oddaje je mężczyznom. Wszystko odbywało się bardzo prędko, w milczeniu. Pięćdziesiąt sekund.

- A to dla ciebie, ojczulku! - Niższy z mężczyzn wyjął z walizki dwie identyczne kasety i podał je Helgemu Klementsenu. Kierownik oddziału przełknął ślinę, kiwnął głową i umieścił kasety we wnętrzu bankomatu.

- Miłego weekendu - rzucił ten niższy, wyprostował się i chwycił walizkę. Półtorej minuty.

- Nie tak prędko - odezwał się Helgę. Mały zeszywniał.

Harry wciągnął policzki i usiłował się skupić.

- Pokwitowanie - oświadczył Helgę.

Przez długą chwilę dwaj mężczyźni w kombinezonach wpatrywali się w niewysokiego siwowłosego szefa oddziału, w końcu niższy zaczął się śmiać. Wysokim cienkim śmiechem, z histerycznym tonem, jakim śmieją się ludzie na hajku.

- Myślał pan, że zamierzamy uciec bez podpisu? Ze damy dwa miliony bez pokwitowania?

- No cóż - odparł Helgę Klementsena. - W zeszłym tygodniu mało brakowało, żeby jeden z was o tym zapomniał.

- Ostatnio w przewozach gotówki jest bardzo wielu nowicjuszy - stwierdził mały, po czym obaj z Klementsena podpisał pokwitowanie, jeden wziął różową, drugi żółtą kopię.

Harry zaczekał, aż drzwi wejściowe zasuną się za nimi, i dopiero wtedy znów zerknął na zegarek. Dwie minuty i dziesięć sekund.

Przez szybę w drzwiach widział, jak odjeżdża biała furgonetka z logo banku Nordea.

W banku odżyły rozmowy. Harry nie musiał liczyć, lecz mimo wszystko to zrobił.

Siedem. Trzy w okienkach i trzy przed nimi, łącznie z dzieckiem, i jeszcze mężczyzna w ogrodniczkach, który właśnie wszedł do środka i stanął przy stoliku pośrodku lokalu, żeby wpisać numer konta na blankiecie wpłaty, przeznaczonym, jak Harry wiedział, dla biura podróży „Saga - słoneczne wyjazdy”.

- Do widzenia - powiedział August Schulz i zaczął szurać w kierunku drzwi.

Była godzina 15.21.10 i właśnie wtedy wszystko tak naprawdę się zaczęło.

Kiedy drzwi się otworzyły, Harry zobaczył, że Stine Grette na moment oderwała głowę od papierów i zaraz ją spuściła. Chwilę później znów ją podniosła, tym razem powoli. Harry przeniósł spojrzenie na drzwi wejściowe. Mężczyzna, który wszedł do środka, już zdążył rozpiąć suwak kombinezonu i wyjąć czarno-oliwkowy karabin AG3. Granatowa wełniana kominiarka zakrywała całą twarz oprócz oczu. Harry znów zaczął liczyć od zera.

Jak u kukielki z *Muppet Show* kominiarka zaczęła się poruszać w miejscu, gdzie powinny znajdować się usta.

- *This is a robbery. Nobody moves.*

Nie mówił głośno, ale w niewielkim dusznym lokalu bankowym zapadła cisza jak po strzale armatnim. Harry patrzył na Stine. Wśród odległego szumu przejeżdżających samochodów usłyszał gładki trzask naoliwionych części, gdy mężczyzna załadował broń. Lewe ramię Stine ledwie dostrzegalnie się zniżyło.

Dzielna dziewczyna, pomyślał Harry. A może po prostu śmiertelnie przerażona. Aune, psycholog, który wykładał w Szkole Policyjnej, mówił, że ludzie osiągający pewien poziom lęku przestają myśleć i zaczynają działać tak, jak zostali wcześniej zaprogramowani. Aune twierdził, że większość pracowników banków przyciska guzik bezgłośniego alarmu informującego o napadzie w stanie bliskim szoku, i powoływał się na to, że podczas późniejszych przesłuchań wielu nie było w stanie sobie przypomnieć, czy w ogóle uruchomili alarm. Kierował nimi autopilot. Dokładnie tak, jak w wypadku bandyty, który z góry zaprogramował się, że będzie strzelał do każdego, kto spróbuje go powstrzymać. Aune twierdził, że im bardziej przestępca się boi, tym mniejsze jest prawdopodobieństwo, że coś go skłoni do zmiany decyzji.

Harry nawet nie drgnął. Usiłował tylko pochwycić wzrokiem oczy bandyty. Niebieskie. Przestępca zdjął z ramienia czarną torbę i postawił ją na podłodze między bankomatem a mężczyzną w ogrodniczkach, który wciąż przyciskał czubek długopisu do ostatniej pętelki w ósemce. Ubrany na czarno bandyta przeszedł sześć kroków do niskich drzwiczek w kontuarze, usiadł na jego brzegu, przerzucił nogi na drugą stronę i stanął za plecami Stine, która siedziała nieruchomo i patrzyła tuż przed siebie. Dobrze, pomyślał Harry.

Dziewczyna zna instrukcje, nie wpatruje się w niego i nie prowokuje jego reakcji.

Mężczyzna przyłożył lufę karabinu do karku Stine, pochylił się nad nią i szepnął jej coś do ucha.

Ona jeszcze nie wpadła w panikę, ale Harry widział, że piersi unoszą jej się i opadają, jak gdyby delikatne ciało, opięte białą bluzką, która nagle zrobiła się jakby za ciasna, nie dostawało dostatecznej ilości powietrza. Piętnaście sekund.

Stine chrząknęła. Raz. Dwa razy. Wreszcie struny głosowe zaczęły jej słuchać.

- Helgę! Klucze do bankomatu - powiedziała ściszym zachrypniętym głosem, całkowicie różnym od tego, którym wypowiadała niemal dokładnie te same słowa zaledwie trzy minuty wcześniej.

Harry nie widział go, lecz wiedział, że Helgę Klementsena usłyszał pierwsze słowa bandyty i już stał w drzwiach gabinetu.

- Prędko, bo inaczej... - Jej głos ledwie było słychać, a w chwili przerwy, która nastąpiła, dobiegało jedynie szuranie butów Augusta Schulza po podłodze, niczym przeciąganie miotełkami po skórze bębna w niezwykle powolnym shuffle. -...on mnie zastrzeli.

Harry popatrzył za okno. Prawdopodobnie gdzieś tam stał samochód z włączonym silnikiem, lecz stąd nie dało się go zauważyć. Widoczne były jedynie toczące się samochody i ludzie, mniej lub bardziej beztrosko sunący za szybą.

- Helgę... - Głos Stine brzmiał teraz błagalnie.

Dalej, Helgę, popędził go w myślach Harry. O starzejącym się kierowniku oddziału też już dowiedział się niemało. Wiedział, że ma dwa królewskie pudle, że w domu czeka na niego żona i świeżo porzucona ciężarna córka. Że już się spakowały i były gotowe do wyjazdu do domku letniskowego w górach, gdy tylko Helgę Klementsena wróci z pracy. I że właśnie w tej chwili Klementsena miał wrażenie, że znalazł się pod wodą, tak jak w jednym z tych snów, w których wszystkie ruchy są spowolnione, bez względu na to, jak bardzo człowiek się spieszy. W końcu pojawił się w polu widzenia Harry'ego. Bandyta obrócił krzesło Stine w taki sposób, że wciąż stał za nią, lecz teraz przodem do Helgego Klementsena. Kierownik jak wystraszone dziecko, które ma nakarmić konia, stał z górną połową ciała odchyloną w tył, a rękę trzymającą klucze wyciągał jak najdalej od siebie. Bandyta szepnął coś do ucha Stine, przesuwając broń na Klementsena, który zachwiał się i zrobił dwa niepewne kroki wstecz.

Stine znów odchrząknęła.

- On mówi, że masz otworzyć bankomat i włożyć te dwie nowe kasety z pieniędzmi

do czarnej torby.

Helgę Klementsena jak zahipnotyzowany wpatrywał się w karabin skierowany prosto w niego.

- Masz dwadzieścia pięć sekund. Potem będzie strzelał. Do mnie. Nie do ciebie.

Usta Klementsena otwierały się i zamykały, jak gdyby chciał coś powiedzieć.

- Szybciej, Helgę! - ponagliła go Stine.

Rozległ się brzęczyk mechanizmu otwierającego drzwi i Helgę Klementsena wyszedł na salę.

Od rozpoczęcia napadu upłynęło trzydzieści sekund. August Schulz dotarł już prawie do samych drzwi. Kierownik oddziału osunął się na kolana przed bankomatem, gapiąc się na pęk kluczy. Było ich cztery.

- Zostało dwadzieścia sekund - powiedziała Stine.

Komenda policji na Majorstua, pomyślał Harry. Już są w samochodach. Osiem przecznic. Piątkowe korki.

Helgę Klementsena drżącymi palcami wybrał klucz i wcisnął go w otwór zamka. Klucz zatrzymał się w połowie. Klementsena przycisnął mocniej.

- Siedemnaście. - Ale... - zaczął.

- Piętnaście.

Kierownik wyjął klucz i spróbował użyć innego. Ten wszedł w zamek, ale nie chciał się obrócić.

- Ale, na Boga...

- Trzytnaście. Znajdź ten oklejony zieloną taśmą, Helgę.

Helgę Klementsena wpatrywał się w pęk kluczy, jak gdyby nigdy wcześniej go nie widział.

- Jedenaście.

Trzeci klucz wszedł do zamka. I przekręcił się. Helgę Klementsena otworzył drzwiczki, a potem obrócił się w stronę Stine i bandyty.

- Muszę otworzyć jeszcze jeden zamek, żeby wyjąć kase...

- Dziewięć! - zawołała Stine.

Kierownik wydał z siebie szloch, przyciskając palce do ząbków kluczy, jak gdyby nagle stracił wzrok, a ząbki były pismem dla niewidomych i miały mu powiedzieć, który klucz jest właściwy. - Siedem.

Harry intensywnie się wsłuchiwał. Wciąż nie słysząc policyjnych syren. August Schulz sięgnął do klamki drzwi wejściowych. Zabrzęczał metal, gdy pęk kluczy upadł na

podłogę.

- Pięć - szepnęła Stine.

Drzwi otworzyły się i do środka wpadły odgłosy ulicy. Harry'emu wydało się, że z oddali dobiega znajomy, pełen skargi ton, który raz opadał, raz się wznosił. Syreny policyjne. Potem drzwi znów się zamknęły.

- Dwie. Helgę!

Harry zamknął oczy i policzył do dwóch.

- Już! - to krzyknął Helgę Kłementsen. Udało mu się otworzyć drugi zamek, wstał z kolan i przykucnięty zaczął szarpać i ciągnąć za kasety, które najwyraźniej się zablokowały.

- Pozwól mi wyjąć pieniądze! Ja...

Przerwało mu przenikliwe zawodzenie. Harry przeniósł wzrok na drugi koniec lokalu, gdzie przerażona klientka wpatrywała się w bandytę, stojącego nieruchomo z bronią przyciśniętą do karku Stine. Kobieta dwa razy mrugnęła, ruchem głowy bez słowa wskazując na wózek, z którego dochodził coraz głośniejszy, świdrujący w uszach płacz.

Gdy pierwsza kasetka uwolniła się z szyn, Helgę Kłementsen o mało nie upadł do tyłu. Przyciągnął do siebie czarną torbę. W ciągu sześciu sekund wszystkie kasety znalazły się w środku. Na rozkaz bandyty Kłementsen zasunął zamek torby i stanął przy kontuarze. Wszystkie polecenia przekazywała Stine, której głos brzmiał teraz zaskakująco pewnie i spokojnie.

Jedna minuta i trzy sekundy. Napad się skończył. Pieniądze leżały w torbie na środku lokalu. Za kilka sekund miał przybyć pierwszy radiowóz. Za cztery minuty inne samochody policyjne powinny zamknąć najbliższe trasy ucieczki wokół miejsca napadu. Wszystkie komórki w ciele bandyty musiały w tej chwili krzyczeć, że najwyższy czas się stąd wynosić. I właśnie wówczas wydarzyło się coś, czego Harry nie mógł zrozumieć. To po prostu nie miało sensu. Zamiast uciekać, bandyta obrócił krzesło Stine tak, że siedziała teraz twarzą do niego. Pochylił się nad nią i coś do niej szepnął. Harry zmrużył oczy. Powinien niedługo iść na kontrolę wzroku. Ale i tak zobaczył to, co miał zobaczyć. Podczas gdy Stine wpatrywała się w niewidoczną twarz przestępcy, jej własna twarz ulegała powolnemu przeobrażeniu w miarę, jak docierało do niej znaczenie przekazywanych szeptem słów. Wąskie wypielegnowane brwi ułożyły się w dwie poziome litery S nad oczami, które zdawały się teraz wychodzić z głowy. Górna warga uniosła się lekko, a kąciaki ust opadły w groteskowym wykrzywieniu. Dziecko przestało płakać równie nagle, jak zaczęło. Harry nabrał powietrza. Bo on wiedział. To był zatrzymany kadr, mistrzowski obraz. Dwoje ludzi uchwyconych w momencie, gdy jedno z nich akurat przekazało drugiemu wyrok śmierci. Zamaskowana twarz o dwie szerokości dłoni

od tej drugiej twarzy, odsłoniętej. Kat i jego ofiara. Lufa karabinu skierowana w zagłębienie szyi i małe złote serduszko zawieszona na cienkim łańcuszku. Harry nie widział tego, lecz i tak czuł jej puls bijący pod cienką skórą.

Stłumiony jękliwy dźwięk. Harry nastawił uszu. Ale to nie były syreny policyjne, tylko telefon dzwoniący w sąsiednim pomieszczeniu.

Bandyta obraca się i patrzy na kamerę umieszczoną na suficie za kontuarem. Podnosi do góry rękę z rozstawionymi pięcioma palcami, obciążonymi czarną rękawiczką. Potem zamyka dłoń i wystawia palec wskazujący. Sześć palców. Sześć sekund poza wyznaczonym czasem. Znowu obraca się do Stine, chwyta broń obiema rękami, trzymając ją na wysokości bioder, a lufą celując w głowę urzędniczki. Staje z lekko rozstawionymi nogami, aby przyjąć odrzut. Telefon nie przestaje dzwonić. Minuta i dwanaście sekund. Pierścienek z brylantem błyska, gdy Stine lekko unosi rękę, jakby chciała komuś pomachać na pożegnanie.

Jest dokładnie godzina 15.22.22, kiedy bandyta naciska spust. Strzał jest krótki, przytłumiony. Krzesło Stine odsuwa się do tyłu, a jej głowa tańczy na szyi jak u popsutej lalki. W końcu krzesło się przewraca. Rozlega się głucho stuknięcie, gdy głowa urzędniczki uderza o krawędź biurka, i Harry przestaje ją widzieć. Nie widzi już także reklamy nowego funduszu emerytalnego Nordei, przyklejonej na zewnątrz szyby nad kontuarem, bo jej tło zabarwia się nagle na czerwono. Słyszy jedynie nieustający telefon, dzwoniący uporczywie, ze złością. Bandyta przeskakuje ponad kontuarem, podbiega do leżącej na środku torby. Harry musi się zdecydować. Bandyta łapie torbę, a Harry podejmuje decyzję. Gwałtownym ruchem zrywa się z krzesła. Sześć długich kroków. I już przy nim jest. Podnosi słuchawkę.- Proszę mówić.

Wśród głuchoj ciszy wychwytuje dobiegający z telewizora w dużym pokoju odgłos syreny policyjnej, pakistański przebój od sąsiada i ciężkie kroki na klatce, jakby to szła pani Madsen. Potem na drugim końcu linii słychać miękki śmiech. To śmiech z odległej przeszłości. Odległej co prawda nie w czasie, lecz mimo wszystko dalekiej. Podobnie jak siedemdziesiąt procent całej przeszłości Harry'ego, w regularnych odstępach powracającej do niego w postaci niejasnych plotek lub wręcz wymyślonych historii. Ale tę historię mógłby potwierdzić.

- Naprawdę wciąż udajesz takiego macho, Harry?

- Anna?

- Doprawdy, potrafisz zaimponować!

Harry poczuł słodczy rozlewającą się w brzuchu prawie jak whisky. Prawie. W lustrze zobaczył zdjęcie, które przypiął do przeciwległej ściany. Dwoje dzieci, on i Sio, podczas

odległych wakacji w Hvitsten. Oboje się uśmiechali, tak jak uśmiechają się dzieci, które wciąż wierzą, że nic złego nie może ich spotkać.

- Co porabiasz w niedzielny wieczór, Harry?

- No cóż. - Harry usłyszał, że jego własny głos odruchowo usiłuje upodobnić się do jej głosu, staje się odrobinę zbyt głęboki i zbyt leniwy. A wcale nie chciał, żeby tak było. Nie teraz. Chrząknął i spróbował odezwać się bardziej neutralnym tonem: - To samo co większość ludzi.

- To znaczy?

- Oglądam film na wideo.

3 HOUSEOFPAIN

- Oglądałeś film na wideo?

Zepsute krzesło obrotowe jęknęło w proteście, gdy sierżant Halvorsen odchylił się w tył i popatrzył na starszego o dziewięć lat kolegę, komisarza Harry'ego Hole, z wyrazem niedowierzania na młodej, niewinnej twarzy.

- No tak. - Harry przeciągnął dwoma palcami po cienkiej obwisłej skórze pod przekrwionymi oczami.

- Przez cały weekend?

- Od przedpołudnia w sobotę do niedzieli wieczór.

- No to przynajmniej w piątek wieczorem trochę się zabawiłeś - stwierdził Halvorsen.

- Owszem. - Harry wyjął z kieszeni płaszcza niebieską teczkę i położył ją na biurku stojącym *vis-a-vis* biurka Halvorsena. - Czytałem protokoły z przesłuchań.

Z drugiej kieszeni Harry wyciągnął szarą torbę z kawą French Colonial. Dzielił z Halvorsenem pokój prawie na samym końcu korytarza w czerwonej strefie na szóstym piętrze Budynku Policji na Gronland. A dwa miesiące temu zdecydowali się na zakup ekspresu do kawy firmy Rancilio Silvia, który zajął honorowe miejsce na szczycie szafki z dokumentami, pod oprawionym w ramki zdjęciem dziewczyny siedzącej z nogami na biurku. Dziewczyna na piegowatej twarzy miała taką minę, jakby próbowała się wykrzywić, ale ogarnął ją niepohamowany śmiech. Tło fotografii stanowiła ta sama ściana, na której wisiało zdjęcie.

- Wiedziałaś o tym, że trzech na czterech policjantów nie potrafi prawidłowo napisać słowa „nieinteresujący”? - spytał Harry, odwieszając płaszczyk na stojący wieszak. - Albo piszą rozłącznie, albo...

- Interesujące.

- A ty co robiłeś w weekend?

- Piątek przesiedziałem w radiowozie pod rezydencją ambasadora amerykańskiego z powodu anonimowej groźby o bombie podłożonej w samochodzie, z którą zadzwonił jakiś żartowniś. Oczywiście fałszywy alarm. Ale oni akurat teraz szaleją na tym punkcie, więc musieliśmy tkwić tam przez całą wieczór. W sobotę znów próbowałem znaleźć kobietę mego życia. W niedzielę uznałem, że ona nie istnieje. Co wyniknęło z przesłuchań na temat tego bandyty? - Halvorsen odmierzył kawę do podwójnego filtra.

- Nic. - Harry ściągnął bluzę. Pod nią miał antracytowy, a kiedyś czarny, T-shirt, na którym litery napisu „Violent Femmes” prawie całkiem się zatarły. Z jękiem osunął się na krzesło. - Nie zgłosił się nikt, kto by zauważył poszukiwanego w pobliżu banku przed napadem. Jakiś facet wychodził ze sklepu 7-Eleven po drugiej stronie Bogstadveien i widział, jak bandyta biegł w górę Industrigata. Zwrócił na niego uwagę z powodu kominiarki. Kamera na zewnątrz banku zarejestrowała ich w chwili, gdy bandyta mija świadka przed metalowym kontenerem stojącym przed 7-Eleven. Jedyna interesująca rzecz, jaką świadek mógł nam powiedzieć, a której nie zarejestrowała kamera, to ta, że sprawca pobiegł dalej w górę Industrigata i tam dwukrotnie przebiegł z jednego chodnika na drugi.

- Widać facet nie mógł się zdecydować, którą stronę ulicy ma wybrać. Dla mnie to nieinteresujące. - Halvorsen umieścił podwójny filtr w pojemniku. - Pisane łącznie i przez „å”.

- Zdaje się, że niewiele wiesz o napadach na bank, Halvorsen.

- A po co mi to? Mamy łapać morderców, złodziejami niech się zajmują ci z Hedmark.

- Z Hedmark?

- Nie zwróciłeś na to uwagi, chodząc po Wydziale Napadów? Tam słychać tylko ten ich dialekt i wszędzie dookoła są swetry w ludowe wzory. Ale o co ci chodzi?

- O „Victora”.

- O sekcję patroliz psami?

- Z reguły zjawiają się na miejscu przestępstwa jako jedni z pierwszych, a doświadczony przestępca napadający na banki świetnie o tym wie. Dobry pies może tropić bandytę poruszającego się po mieście piechotą, ale jeśli ten człowiek przetnie ulicę, a po jego śladach przejadą samochody, pies gubi trop.

- I co z tego? - Halvorsen ubił kawę i zakończył skomplikowaną procedurę wygładzania jej powierzchni przez obracanie dociskacza, co, jak twierdził, odróżnia profesjonalistów od amatorów.

- To umacnia podejrzenie, że mamy do czynienia z doświadczonym przestępcą. I już

sam ten fakt sprawia, że musimy skupić się na dramatycznie niższej liczbie osób, niż gdyby było inaczej. Szef Wydziału Napadów powiedział mi...

- Ivarsson? Nie sądziłem, że lubicie sobie pogadać.

- Bo nie lubimy. On przemawiał do grupy prowadzącej śledztwo w tej sprawie, której ja też jestem członkiem. Powiedział, że w Oslo środowisko bandytów napadających na banki składa się z mniej niż stu osób. Pięćdziesiąt z nich to durnie, ćpuny albo debile, którzy wpadają prawie za każdym razem. Czyli połowa siedzi, o nich więc możemy zapomnieć. Czterdziestu pozostałych to zręczni rzemieślnicy, którzy potrafią umknąć, jeśli ktoś im pomoże w planowaniu. Zostaje dziesięciu profesjonalistów obstawiających transporty pieniędzy i centra gotówki. Do ich złapania potrzebujemy trochę szczęścia. Staramy się wiedzieć, gdzie przebywają o każdej porze. Dziś sprawdzane jest ich alibi. - Harry zerknął na Silvię parszkającą na szczycie szafki z dokumentami. - No i jeszcze rozmawiałem w sobotę z Weberem z Wydziału Techniki Kryminalistycznej.

- Myślałem, że Weber w tym miesiącu przeszedł na emeryturę?

- Ktoś się pomylił w obliczeniach. Dopiero latem. Halvorsen roześmiał się.

- Pewnie jest jeszcze bardziej zły niż zwykle.

- Owszem, ale nie dlatego - odparł Harry. - On i jego ludzie nie znaleźli kompletnie nic.

- Nic?

- Żadnych odcisków palców, ani jednego włosa. Nawet jednego włókienka z ubrania. A ślady pokazują oczywiście, że bandyta był w nowiu-sieńkich butach.

- To znaczy, że nie da się porównać wzoru zdzierania podeszew z innymi jego butami?

- No właśnie - odparł Harry z naciskiem na „właśnie”.

- A broń użyta podczas napadu? - spytał Halvorsen, ostrożnie przenosząc filiżanki na biurko Harry'ego. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że lewa brew kolegi uniosła się niemal pod samą nasadę jasnych obciętych na jeża włosów. - Przepraszam. Broń, którą dokonano zabójstwa.

- Dziękuję. Nie odnaleziono.

Halvorsen usiadł po swojej stronie połączonych biurek i wypił mały łyk z filiżanki.

- Krótko mówiąc, facet w biały dzień wszedł do banku pełnego ludzi, zabrał dwa miliony koron, zabił kobietę, a potem wyszedł stamtąd na może nie pełną ludzi, ale w każdym razie uczęszczaną ulicę w centrum stolicy Norwegii, kilkaset metrów od posterunku policji. A my, opłacani z państwowej kasy profesjonaliści, funkcjonariusze policji królewskiej, nic nie

mamy?

Harry wolno kiwnął głową.

- Prawie nic. Mamy film wideo.

- Który, jak cię znam, potrafisz teraz odtworzyć sekunda po sekundzie. - Chyba nawet z dokładnością co do dziesiątej części.

- A przesłuchania świadków możesz oczywiście cytować z pamięci?

- Tylko Augusta Schulza. Opowiadał mnóstwo ciekawych rzeczy o wojnie. Wyliczał nazwiska konkurentów z branży konfekcyjnej, którzy byli tak zwanymi dobrymi Norwegami i uczestniczyli w konfiskacie majątku jego rodziny po wojnie. Wiedział dokładnie, czym się zajmują dzisiaj. Ale, niestety, nie zauważył żadnego napadu na bank.

Dopili kawę w milczeniu. Deszcz dzwonił o szyby.

- Ty lubisz takie życie - stwierdził nagle Halvorsen. - Lubisz siedzieć sam przez cały weekend i ścigać duchy.

Harry uśmiechnął się, ale nie odpowiedział.

- Sądziłem, że przestałeś być odludkiem, odkąd masz zobowiązania rodzinne.

Harry rzucił młodszemu koledze ostrzegawcze spojrzenie.

- Nie wiem, czy ja tak samo na to patrzę. Nawet nie mieszkamy razem, przecież wiesz.

- No tak, ale Rakel ma małego synka, a wtedy jest trochę inaczej, prawda?

- Olega. - Harry podjechał na krześle do szafki z dokumentami. - W piątek wyjechali do Moskwy.

- Tak?

- Na sprawę. Ojciec Olega domaga się praw rodzicielskich.

- A tak, rzeczywiście. Co to właściwie za facet?

- No cóż. - Harry poprawił odrobinę przekrzywione zdjęcie wiszące nad ekspresem do kawy. - To jakiś profesor, którego Rakel poznała, kiedy tam pracowała. No i wyszła za niego. Pochodzi ze starej, piekielnie bogatej rodziny, która, jak mówi Rakel, ma ogromne wpływy polityczne.

- Pewnie znają też paru sędziów, co?

- Z całą pewnością, ale przypuszczamy, że to się dobrze skończy. Facet jest szaleńcem i wszyscy o tym wiedzą. Taki bystry alkoholik z marną kontrolą nad impulsami. Znasz ten typ.

- Chyba tak.

Harry gwałtownie podniósł wzrok. Akurat w czas, by zobaczyć, że Halvorsen stara się zapanować nad uśmiechem.

W Budynku Policji było powszechnie wiadomo, że Harry ma problemy z alkoholem. Wprawdzie alkoholizm sam w sobie nie stanowi podstawy do zwolnienia funkcjonariusza publicznego, ale już przychodzenie po pijanemu do pracy tak. Kiedy Harry pękł ostatnim razem, ci z górnych pięter postanowili usunąć go z szeregów policji, ale szef Wydziału Zabójstw, naczelnik wydziału policji, Bjarne Molier, jak zwykle rozpostarł nad Harrym parasol ochronny i powołał się na wyjątkowe okoliczności. Tymi okolicznościami był fakt, że dziewczyna z fotografii wiszącej nad ekspresem, Ellen Gjeltén, partnerka i bliska przyjaciółka Harry'ego, została zabita kijem bejsbolowym na ścieżce nad rzeką Aker. Harry po tym przeżyciu zdołał jakoś stanąć na nogi, ale bolesna rana nie dawała mu spokoju, zwłaszcza dlatego, że w jego opinii sprawa wciąż pozostawała niewyjaśniona. Gdy wspólnie z Halvorsenem zdobyli wreszcie dowody przeciwko neonaziście Sverremu Olsenowi, komisarz policji Tom Waaler błyskawicznie zjawił się u Olsena w domu, by go aresztować. Olsen jednak oddał strzał do Waalera, który w samoobronie go zastrzelił. Tak wynikało z raportu Waalera i ani ślady zebrane na miejscu zajścia, ani też wewnętrzne śledztwo prowadzone przez wydział SEFO nie wskazywały, by miało być inaczej. Z drugiej jednak strony nigdy nie udało się wyjaśnić, jakie motywacje kierowały Olsenem, oprócz tego, że był zamieszany w nielegalny handel bronią, która w ostatnich latach zdawała się zalewać Oslo, i że Ellen wpadła na jakiś trop. Ale Olsen był jedynie chłopcem na posyłki, a na ślad tych, którzy stali za tym wszystkim, policji na razie nie udało się wpaść.

Właśnie po to, by pracować nad sprawą Ellen, Harry po krótkich gościnnych występach w POT, Policyjnych Służbach Bezpieczeństwa, mieszczących się na najwyższym piętrze budynku, postarał się o przeniesienie z powrotem do Wydziału Zabójstw. W POT wszyscy się ucieszyli, że się go pozbędą, a Molier był zadowolony, że znów go ma na szóstym piętrze.

- Zajrzę z tym do Ivarssona z Wydziału Napadów - burknął Harry, machając kasetą VHS. - Chciał na to zerknąć, razem z tym nowym cudownym dzieckiem, które się tam u nich pojawiło.

- Co to za jeden?

- Dziewczyna. Latem wyszła ze Szkoły Policyjnej i podobno rozwiązała trzy sprawy napadów, wyłącznie oglądając filmy na wideo.

- O rany! Ładna? Harry westchnął.- Wy, młodzi, jesteście wprost do znudzenia przewidywalni. Mam nadzieję, że jest zdolna, reszta mnie nie interesuje.

- Jesteś pewien, że to dziewczyna?

- Państwo Lonn oczywiście mogli być na tyle dowcipni, żeby nadać synkowi imię

Beatę.

- Czuję po sobie, że jest ładna.

- Mam nadzieję, że nie - odparł Harry i odruchowo spuścił głowę, żeby jego sto dziewięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu zmieściło się pod futryną.

- Dlaczego?

Odpowiedź dobiegła już z korytarza:

- Bo zdolni policjanci są brzydcy.

Na pierwszy rzut oka wygląd Beatę Lonn nie dawał się zakwalifikować ani do jednej, ani do drugiej grupy. Nie była brzydka, ktoś mógł nawet powiedzieć, że jest ładna jak laleczka, ale chyba głównie dlatego, że wszystko w niej było malutkie: twarz, nos, uszy, ciało. Przede wszystkim jednak rzuciła się w oczy jej bladość. Skóra i włosy były do tego stopnia pozbawione koloru, że Harry'emu przypomniały się zwłoki kobiety, którą razem z Ellen wyłowili z Bunnefjorden. Ale Harry miał wrażenie, że odwrotnie niż ze zwłokami, zapomniał, jak wygląda Beatę Lonn, gdy tylko na chwilę odwróci wzrok. Beatę jakby nie miała nic przeciwko temu, wymruczawszy pod nosem swoje nazwisko i podawszy Harry'emu drobnutką wilgotną rączkę, prędko przyciągnęła ją z powrotem do siebie.

- Hole obrósł tu u nas w coś w rodzaju legendy - powiedział naczelnik wydziału Rune Ivarsson, który stał obrócony do nich plecami, mocując się z pękiem kluczy. Wysoko na szarych metalowych drzwiach, przed którymi stali, widniał napis gotykiem: *House of Pain*. A pod spodem: Pokój grupowy 508. - Prawda, Hole?

Harry nie odpowiedział. Nie miał wątpliwości, o jakiej legendzie mówił Ivarsson. Nigdy się nawet zbyt mocno nie wysiłał, by ukryć, że uważa Harry'ego Hole za hańbę dla instytucji, która już dawno powinna się go pozbyć.

Ivarssonowi udało się wreszcie otworzyć i weszli do środka. House of Pain było specjalnym pomieszczeniem, którego Wydział Napadów używał do przeglądania, montowania i kopiowania nagrań wideo. Na środku pozbawionego okien pokoju ustawiono duży stół z trzema stanowiskami do pracy. Pod ścianą stała półka z kasetami wideo, obok wisiał tuzin listów gończych ze zdjęciami poszukiwanych bandytów, na jednej z krótszych ścian - duży ekran, dalej plan Oslo i rozmaite trofea z zakończonych sukcesem śledztw, takie jak na przykład to przy drzwiach, dwa obcięte rękawy swetra z dziurami na oczy i usta. Resztę wyposażenia pokoju stanowiły szare komputery, czarne monitory telewizyjne, odtwarzacze VHS i DVD oraz spora liczba innych urządzeń, o których przeznaczeniu Harry nie miał pojęcia.

- No i co Wydziałowi Zabójstw udało się wyciągnąć z tego filmu? - spytał Ivarsson,

padając na jedno z krzeseł. „Zabójstw” wypowiadał z przesadnie przeciągniętym „a”.

- Coś - odparł Harry, podchodząc do półki z kasetami VHS. - Coś?

- Niezbyt wiele.

- Szkoda, że nie przyszlście na wykład, który wygłaszałem w kantynie we wrześniu.

Wszystkie wydziały przysłały swoich reprezentantów, oprócz was, o ile dobrze pamiętam.

Ivarsson był wysoki, miał długie kończyny i jasną grzywkę układającą się w fale nad niebieskimi oczyma. Twarz o męskich rysach, jak u modeli reklamujących niemieckie produkty markowe, których często wykorzystuje Boss, wciąż była opalona po wielu letnich popołudniach spędzonych na korcie tenisowym, a być może również po kilku seansach w solarium. Krótko mówiąc, Runego Ivarssona większość ludzi nazwałaby przystojnym mężczyzną, co umacniało teorię Harry’ego o związku urody ze zdolnościami do pracy policyjnej. Ale braki talentu w prowadzeniu śledztwa Runę Ivarsson nadrabiał doskonałym nosem do polityki i umiejętnością tworzenia aliansów ponad wszelkimi hierarchiami istniejącymi w Budynku Policji. Poza tym posiadał wrodzoną pewność siebie, która często bywa błędnie interpretowana jako zdolności przywódcze. Ta pewność siebie w wypadku Ivarssona wynikała wyłącznie z faktu, iż został pobłogosławiony całkowitą ślepotą na własne ograniczenia, i miała nieodwołalnie popychać go coraz wyżej i wyżej, a pewnego dnia uczynić - bezpośrednio lub pośrednio - zwierzchnikiem Harry’ego. W zasadzie Harry nie widział powodu, by się skarżyć, że miernota pnie się w górę, jednocześnie oddalając się od śledztw, lecz niebezpieczeństwo w ludziach takich jak Ivarsson polegało na tym, że łatwo mogło im wpaść do głowy, iż powinni się włączyć i pokierować pracą tych, którzy znali się na prowadzeniu śledztwa.

- Coś nas ominęło? - spytał Harry, wodząc palcem wzdłuż niedużych wypisanych ręcznie nalepek na grzbietach kaset.

- Może nic - odparł Ivarsson. - Chyba że kogoś interesują drobnostki, dzięki którym rozwiązuje się sprawy kryminalne.

Harry zdołał oprzeć się pokusie i nie wyjaśnił, że zrezygnował z przyjsčia, gdyż dowiedział się od osób, które wcześniej miały okazję wysłuchać wystąpień Ivarssona, że wykład zawierał wyłącznie przechwałki. Ich jedynym celem było oznajmienie światu, iż od chwili gdy to on, Ivarsson, został naczelnikiem Wydziału Napadów, średnia wykrywalność w sprawach związanych z napadami na banki wzrosła z trzydziestu pięciu procent do około pięćdziesięciu. Nie wspomniał przy tym, że objęcie przez niego stanowiska zbiegło się z podwojeniem liczby pracowników wydziału, rozszerzeniem pełnomocnictw oraz pozbyciem się najgorszego śledczego w wydziale, a mianowicie Runego Warssona.

- Uważam się za dość zainteresowanego drobnostkami - powiedział Harry. - Powiedz mi więc, jak rozwiązaście to. - Wyciągnął jedną z kaset i głośno odczytał napis na etykiecie: - „Dwudziesty listopada dziewięćdziesiąt cztery. Bank Oszczędnościowy NOR, Manglerud”.

Ivarsson roześmiał się.

- Bardzo chętnie. Złapaliśmy ich starym sposobem. Na wysypisku śmieci na Alnabru przesiedli się do innego samochodu, a ten, którym uciekali wcześniej, podpalili. Ale samochód nie spłonął całkowicie. Znaleźliśmy rękawiczki jednego z bandytów ze śladami DNA w środku. Porównaliśmy je z cechami charakterystycznymi ludzi, których nasi śledczy po obejrzeniu taśmy wideo wskazali jako możliwych sprawców, i okazało się, że jeden z nich pasuje. Idiota dostał całe cztery lata za to, że raz strzelił w sufit. Chciałbyś wiedzieć coś jeszcze, Hole?

- Mhm. - Harry obrócił kasetę w palcach. - Co to były za ślady DNA?

- Przecież już ci mówiłem. Pasujące. - Kącik lewego oka Ivarssona lekko drgnął.

- No dobrze, ale jakie? Martwy naskórek? Fragment paznokcia? Krew?

- Czy to ważne? - Głos Ivarssona stał się ostrzejszy i bardziej zniecierpliwiony.

Harry powtarzał sobie, że musi trzymać głowę na kłódkę, zrezygnować z tych prób w stylu Don Kichota. Tacy jak Ivarsson i tak nigdy niczego się nie nauczą.

- Może i nieważne - usłyszał własne słowa - chyba że kogoś interesują te drobnostki, dzięki którym rozwiązuje się sprawy kryminalne.

Ivarsson nie odrywał od niego wzroku. W dźwiękoszczelnym pokoju cisza wydawała się wręcz dosłownie wciskać się w uszy. Ivarsson już otwierał usta, żeby coś powiedzieć.

- Włoski palcowe.

Obaj mężczyźni jednocześnie obrócili się w stronę Beatę Lonn. Harry już prawie zapomniał o jej obecności. Beatę przeniosła wzrok z jednego na drugiego i powtórzyła niemal szeptem:

- Włosy palcowe. Takie, które rosną na palcach... Chyba tak się nazywają...

Ivarsson chrząknął.

- Rzeczywiście, zgadza się, to był włos. Ale chyba raczej włos z grzbietu dłoni. Zresztą nie musimy się w to zagłębiać, prawda, Beatę? - Nie czekając na odpowiedź, uderzył palcem w szkiełko swojego dużego zegarka. - Muszę lecieć. Bawcie się dobrze przy tym filmie.

Gdy drzwi się za nim zatrzasnęły, Beatę wyjęła Harry'emu z ręki kasetę, którą zaraz z szumem pochłoniął odtwarzacz.

- Dwa włosy - powiedziała. - W lewej rękawiczce. Z palca. A samochód znaleźli na

wysypisku w Karihaugen, a nie na Alnabru. Ale to, że dostał cztery lata, to się zgadza.

Harry spojrzał na nią zaskoczony.

- To było chyba dość dawno przed tym, zanim zaczęłaś tu pracować?

Wzruszyła ramionami i wcisnęła *Play* na pilocie.

- Wystarczy poczytać raporty.

- Mhm. - Harry przyjrzał jej się uważnie z boku, potem poprawił się na krześle. - Zobaczymy, czy ten tutaj nie zostawił jakichś włosów palcowych.

Odtwarzacz wideo lekko zazgrzytał i Beatę zgasiła światło. W następnej chwili, w czasie gdy z ekranu wciąż świecił na nich niebieski obraz przerwy, w głowie Harry'ego rozpoczął się inny film. Był krótki, trwał zaledwie kilka sekund. Przedstawiał scenę z Waterfront, dawno już zamkniętego klubu na Aker Brygge, skapaną w niebieskim świetle stroboskopowym. Nie wiedział wtedy, jak na imię tej kobiecie o roześmianych ciemnych oczach, która usiłowała zawołać coś do niego przez muzykę. Grali *cowpunk*. Green On Red. Jason and the Scorchers. Dolał sobie wtedy Jima Beama do coli i przestało go obchodzić, jak jej na imię. Ale poznał je już następnego wieczoru, kiedy w łóżku z bezgłowym koniem na szczycie uwolnili wszystkie cumy i wyruszyli w swój dziewiczy rejs. Harry znów poczuł ciepło w brzuchu, tak jak poprzedniego wieczoru, gdy usłyszał jej głos w słuchawce telefonicznej. Zaraz jednak zajął go inny film.

Stary człowiek rozpoczął swoją wyprawę na biegun w stronę kontuaru, filmowany z innej kamery co pięć sekund.

- Thorkildsen z TV2 - powiedziała Beatę Lonni.

- Nie, August Schulz - poprawił ją Harry.

- Mam na myśli montaż. To mi wygląda na dzieło Thorkildsena z TV2. Tu i ówdzie brakuje dziesiątych części sekundy...

- Brakuje? Po czym to widzisz?

- Po różnych rzeczach. Zwróć uwagę na tło. Ta czerwona mazda, którą widać na ulicy za szybą, znajdowała się na środku obrazu w dwóch kamerach w momencie, gdy nastąpiła zmiana. A jeden przedmiot nie może być jednocześnie w dwóch miejscach.

- Chcesz powiedzieć, że ktoś grzebał w nagraniach?

- Nie, nie. Wszystko z tych sześciu kamer w banku i z tej jednej na zewnątrz jest nagrywane na jedną i tę samą taśmę. Na taśmie oryginalnej obraz zmienia się błyskawicznie między wszystkimi kamerami, tak że widać jedynie migotanie, dlatego film trzeba odpowiednio zmontować, abyśmy mogli uzyskać dłuższe powiązane ze sobą sekwencje. Czasami, kiedy sami nie dajemy sobie z tym rady, korzystamy z pomocy pracowników stacji

telewizyjnych. Zdarza się, że ludzie z telewizji, tacy jak Thorkildsen, trochę oszukują w kodzie czasowym, żeby to wszystko ładniej wyglądało i nie było takie poszarpane. Przypuszczam, że to takie zboczenie zawodowe.

- Zboczenie zawodowe - powtórzył Harry. Przyszło mu do głowy, że to dziwne określenie w ustach młodej dziewczyny. A może Beatę wcale nie była taka - młoda, jak mu się z początku wydawało? Coś się w niej zmieniło, gdy tylko światło zgasło. Gesty miała bardziej rozluźnione, pewniejszy głos.

Bandyta wszedł do lokalu bankowego i zawołał coś po angielsku. Jego głos brzmiał daleko i głucho, jak gdyby był owinięty kołdrą.

- Co o tym myślisz? - spytał Harry.

- Norweg. Mówi po angielsku, żebyśmy nie mogli rozpoznać dialektu, akcentu lub typowych słów i powiązać ich z ewentualnymi wcześniejszymi napadami. Ma na sobie gładkie ubranie, niepozostawiające włókien, które moglibyśmy porównać z włóknami odnalezionymi w samochodzie, w kryjówce czy u niego w domu.

- Mhm. Co jeszcze?

- Wszystkie otwory w ubraniu są zaklejone taśmą, żeby nie zostawić śladów DNA, takich jak włos czy pot. Widać, że nogawki spodni ma oklejone taśmą wokół butów, a rękawy wokół rękawiczek. Stawiam, że całą głowę ma oklejoną taśmą, a na brwiach wosk.

- Czyli że to profesjonalista? Beatę wzruszyła ramionami.

- Osiemdziesiąt procent napadów na banki planuje się z niespełna tygodniowym wyprzedzeniem i są dokonywane przez osoby pod wpływem alkoholu lub narkotyków. Ten napad został dobrze przygotowany, a bandyta sprawia wrażenie trzeźwego.

- Po czym to poznasz?

- Gdybyśmy mieli idealne światło i lepsze kamery, moglibyśmy powiększyć zdjęcie i przyjrzeć się źrenicom. Ale w tym wypadku nie da się tego zrobić, staram się więc zrozumieć mowę jego ciała. Ma spokojne, wyważone ruchy, widzisz? Jeżeli coś zażył, raczej nie była to amfetamina ani nic, co przypomina *speed*. Może rohypnol, to ich ulubiona substancja.

- Dlaczego?

- Napad na bank to ekstremalne przeżycie, niepotrzebne są środki pobudzające. Wręcz przeciwnie. W ubiegłym roku jeden facet wpadł do banku DnB na Solli plass z bronią automatyczną, posiekał sufit i ściany, po czym wybiegł bez pieniędzy. Sędziemu powiedział, że łyknął tyle amfetaminy, że po prostu musiał to z siebie wyrzucić. Jeżeli mogę tak powiedzieć, to wolę bandytów na rohypnolu. Harry kiwnął głową w stronę ekranu:

- Spójrz na ramię Stine Grette w okienku numer jeden. Teraz włącza alarm. I dźwięk

na filmie nagle staje się o wiele lepszy. Dlaczego?

- Alarm jest połączony z magnetowidem i po jego uruchomieniu taśma zaczyna się przesuwać kilka razy szybciej. Dzięki temu uzyskujemy lepsze zdjęcia i lepszy dźwięk. Na tyle dobry, że możemy dokonać analizy głosu bandyty. I nie pomoże mu wtedy nawet mówienie po angielsku.

- To naprawdę taki niezbity dowód, jak twierdzą?

- Dźwięki wydawane przez struny głosowe są jak odciski palców. Gdybyśmy mogli dać naszemu analitykowi z Politechniki w Trondheim dziesięć słów na taśmie, byłby w stanie dopasować dwa głosy z dziewięćdziesięciopięcioprocentową pewnością.

- Mhm. Ale nie przy tej jakości dźwięku, jaką uzyskujemy, zanim alarm się włączy?

- Tak, wtedy takiej pewności nie ma.

- Więc to dlatego on najpierw woła po angielsku, a później, licząc się z tym, że alarm został włączony, wykorzystuje Stine Grette, by przekazywała jego polecenia?

- Owszem, właśnie tak.

W milczeniu przyglądali się, jak ubrany na czarno bandyta przerzuca nogi nad kontuarem, przystawia lufę karabinu do głowy Stine Grette i szepcze jej do ucha.

- Co sądzisz o jej reakcji? - spytał Harry.

- O co ci chodzi?

- O wyraz twarzy. Sprawia wrażenie stosunkowo spokojnej, niej uważasz?

- Ja nic nie uważam. Z reguły z wyrazu twarzy daje się wyciągnąć niewiele informacji. Przypuszczam, że puls ma w granicach stu osiemdziesięciu.

Patrzyli na Helgego Klementsena, klęczącego na podłodze przed bankomatem.

- Mam nadzieję, że zajmie się nim jakiś porządny psycholog - powiedziała Beate cicho, kręcąc głową. - Widziałam już, jak ludzie po podobnych napadach stawali się psychicznymi inwalidami.

Harry nie skomentował, lecz pomyślał, że takie słowa Beate musiała pożyczyć od kogoś ze starszych kolegów.

Bandyta obrócił się i pokazał im sześć palców.

- Interesujące - mruknęła Beate, zapisując coś w leżącym przed nią notatniku, bez patrzenia na kartkę. Harry kątem oka obserwował młodą koleżankę i widział, jak poderwała się na krześle, gdy padł strzał. Kiedy bandyta na ekranie przeskoczył przez kontuar, zabrał torbę i wybiegł z banku, broda Beate uniosła się w górę, a długopis wysunął się z ręki.

- Tego ostatniego kawałka nie zamieściliśmy w Internecie ani nie przekazaliśmy żadnej ze stacji telewizyjnych - powiedział Harry. - Zobacz, teraz filmuje go kamera przed

bankiem.

Patrzyli, jak bandyta szybkim krokiem przechodzi przez przejście dla pieszych na Bogstadveien na zielonym świetle, a potem idzie dalej w górę Industrigata. Wkrótce zniknął z obrazu.

- A policja? - spytała Beatę.

- Najbliższy posterunek leży na Sorkedalsveien, tuż za punktem pobierania opłat za przejazd, w odległości zaledwie ośmiuset metrów od banku. A mimo to upłynęły ponad trzy minuty od momentu uruchomienia alarmu do chwili przyjazdu policji. Bandyta miał więc prawie dwie minuty na ucieczkę.

Beatę uważnie obserwowała ekran, na którym samochody i ludzie przesuwali się, jak gdyby nic się nie stało.

- Ucieczka była równie dobrze zaplanowana jak sam napad. Samochód pewnie stał tuż za rogiem, tak żeby nie mogła go zobaczyć kamera przed bankiem. Miał szczęście.

- Być może - powiedział Harry. - Ale z drugiej strony nie wygląda na osobę, która liczy wyłącznie na szczęście, prawda?

Beatę wzruszyła ramionami.

- Większość udanych napadów na banki sprawia wrażenie przemyślanych.

- Zgoda. Ale w tym wypadku szanse na to, że policja zjawi się dość późno, były stosunkowo duże. A to dlatego, że w piątek o tej porze wszystkie patrole z okolicy zebrały się w innym miejscu, a mianowicie...

-...przy rezydencji ambasadora amerykańskiego! - zawołała Beata, stukając się w czoło. - Ten anonimowy telefon o bombie podłożonej w samochodzie. Miałam w piątek wolne, ale przecież oglądałam to w wiadomościach. I to właśnie teraz, kiedy wszyscy są bliscy hysterii. To jasne, że była tam cała policja.- Żadnej bomby nie znaleziono.

- Oczywiście, że nie. Klasyczna sztuczka, wymyślenie czegoś, co zwabi policję w inne miejsce tuż przed samym napadem.

Ostatnią część filmu obejrzeli w milczeniu. August Schulz stanął przed przejściem dla pieszych. Zielone światło zmieniło się na czerwone, a potem znów na zielone, a on nawet nie drgnął. Na co czeka, pomyślał Harry. Na jakąś nieregularność, wyjątkowo długą sekwencję z zielonym światłem? Na coś w rodzaju najdłuższej w tym stuleciu zielonej fali? No cóż, wkrótce miała nadejść. W oddali rozległy się syreny policyjne.

- Coś tu się nie zgadza - stwierdził nagle.

Beatę odpowiedziała zmęczonym westchnieniem staruszki:

- Zawsze coś się nie zgadza.

Film się skończył i na ekranie rozpętała się śnieżycą.

4 ECHO

- Śnieg?

Harry krzychał do telefonu komórkowego, maszerując ulicą.

- Oczywiście - odparła Rakel. Połączenie z Moskwą było marne i jej słowom towarzyszyło trzeszczące echo: -...iście.

- Halo?

- Lodowato tutaj...taj, i na zewnątrz, i w środku...ku.

- A na sali sądowej?

- Też dobrze poniżej zera. Kiedy tu mieszkaliśmy, nawet jego matka powtarzała, że powinnam zabrać Olega i wynieść się stąd. Teraz siedzi razem z innymi i śle mi nienawistne spojrzenia...enia.

- Jak idzie sprawa?

- Skąd mam wiedzieć?

- No cóż. Po pierwsze jesteś prawniczką, a po drugie mówisz po rosyjsku.

- Harry! Podobnie jak sto pięćdziesiąt milionów Rosjan nie rozumiem kompletnie nic z tutejszego systemu sądowego, okej...kej?

- Okej. A jak Oleg to przyjmuje?

Harry powtórzył pytanie jeszcze raz i nie mogąc doczekać się odpowiedzi, przesunął ekran przed oczy, żeby sprawdzić, czy połączenie nie zostało przerwane, ale sekundy pokazujące czas trwania rozmowy mijały. Znow przyłożył telefon do ucha.

- Halo?

- Halo, Harry, słyszę cię...eee. Bardzo za tobą tęsknię...eee. Dlaczego się śmiejesz...esz?

- Bo sama sobie przecyzysz. To przez to echo.

Harry dotarł już do drzwi, wyjął klucz i wszedł na klatkę.

- Uważasz, że marudzę, Harry?

- Oczywiście, że tak nie uważam.

Harry kiwnął głową Alemu, który usiłował przecisnąć saneczki przez drzwi do piwnicy.

- Kocham cię. Jesteś tam? Kocham cię! Halo?

Oszołomiony Harry oderwał się od martwego telefonu i dopiero wtedy zauważył

promienny uśmiech swego pakistańskiego sąsiada.

- Tak, tak, ciebie też kocham, Ali - mruknął, z mozołem ponownie wstukując numer Rakel.

- Wciśnij *Repeat* - poradził Ali. - Co?

- Nic. Posłuchaj, daj znać, jeśli będziesz miał ochotę wynająć swoją piwnicę. Rzadko z niej korzystasz, prawda?

- To ja mam piwnicę? Ali przewrócił oczami.

- Od jak dawna tu mieszkasz, Harry?

- Mówiłem ci już, że cię kocham.

Ali popatrzył na niego pytająco, ale Harry ostrzegawczo machnął ręką, sygnalizując, że znów ma połączenie. Wbiegł na górę po schodach, trzymając klucz przed sobą jak różdżkę.

- No dobrze, teraz możemy rozmawiać - powiedział, gdy znalazł się za drzwiami swego urządzonego po spartańsku, lecz porządnego dwu-pokojowego mieszkania, kupionego za nieduże pieniądze pod koniec lat osiemdziesiątych, kiedy rynek handlu nieruchomościami przeżywał najgorsze chwile. Czasami sobie myślał, że przy zakupie tego mieszkania wykorzystał już całą swoją życiową porcję szczęścia.- Chciałabym, żebyś mógł być tu z nami, Harry. Oleg też za tobą tęskni.

- Powiedział tak?

- Nie musi mówić. Pod tym względem jesteście identyczni.

- Posłuchaj, właśnie przed chwilą wykrzyczałem, że cię kocham. Trzy razy. Słuchał tego sąsiad. Wiesz, ile coś takiego kosztuje?

Rakel się roześmiała.

Harry kochał ten śmiech. Pokochał go, gdy tylko usłyszał go pierwszy raz. Instykt podpowiedział mu wtedy, że jest gotów na wszystko, byle tylko móc go słyszeć częściej. Najchętniej codziennie.

Zrzucił buty i uśmiechnął się, widząc, że automatyczna sekretarka w przedpokoju mruga, dając znak, że jest dla niego jakaś wiadomość. Nie musiał być jasnowidzem, by wiedzieć, że to Rakel wcześniej dzwoniła. Nikt inny nie telefonował do Harry'ego Hole prywatnie.

- Skąd wiesz, że mnie kochasz? - zagruchała Rakel. Echo zniknęło.

- Czuję, że robi mi się ciepło w... Jak to się mówi?

- W sercu?

- Nie, raczej tak bardziej z tyłu i pod sercem. W nerkach? W wątrobie? W śledzionie?

Tak, chyba tak, robi mi się ciepło w śledzionie.

Harry nie był pewien, czy z drugiego końca linii słyszy płacz czy śmiech. Wcisnął guzik *Play* automatycznej sekretarki.

- Mam nadzieję, że za dwa tygodnie będziemy w domu - powiedziała Rakel w komórce, nim zagłuszył ją głos z sekretarki.

- Cześć, to znowu ja...

Poczuł, że serce podskakuje mu w piersi i zareagował, nim zdążył pomyśleć. Wcisnął *Stop*. Ale echo słów, wypowiedzianych lekko zachrypniętym przymilnym kobiecym głosem, wciąż odbijało się wśród ścian.

- Co to było? - spytała Rakel.

Harry nabrał powietrza. Jakaś myśl próbowała dotrzeć do jego mózgu, nim odpowiedział, ale się spóźniła.

- Tylko radio. - Odchrząknął. - Kiedy będziesz wiedziała, daj mi znać, którym samolotem wracacie. Wyjadę po was.

- Oczywiście, że dam ci znać - odparła Rakel z lekkim zdziwieniem w głosie.

Zapadła niezręczna cisza.

- Muszę już kończyć - powiedziała wreszcie Rakel. - Zdzwonimy się wieczorem o ósmej?

- Tak. To znaczy nie. Będę zajęty.

- Mam nadzieję, że wyjątkowo czymś przyjemnym.

- No cóż. - Harry wypuścił powietrze z płuc. - W każdym razie jestem umówiony z kobietą.

- No proszę. A kto jest tą szczęśliwą wybranką?

- Beatę Lonn. Nowa funkcjonariuszka z Wydziału Napadów.

- A okazja?

- Pogawędka z mężem Stine Grette, tej, która została zastrzelona podczas napadu na bank przy Bogstadveien, opowiadałem ci o tym. I z kierownikiem banku.

- Wobec tego baw się dobrze. Zadzwoń jutro. Oleg chce ci jeszcze tylko powiedzieć dobranoc.

Harry usłyszał tupot biegnących stóp i przejęty oddech w słuchawce.

Kiedy się rozłączyli, Harry nadal stał w korytarzu i wpatrywał się w lustro nad stolikiem z telefonem. Jeżeli jego teoria trzymała się kupy, to patrzył teraz na zdolnego policjanta. Para przekrwionych oczu umiejscowionych po obu stronach dużego, pokrytego delikatną siateczką niebieskich żyłek, nosa w bladej kościstej twarzy z głębokimi porami. Zmarszczki wyglądały jak przypadkowe nacięcia nożem w drewnianej belce. Jak to się mogło

stać? W lustrze odbijała się też ściana, którą miał za plecami, i zdjęcie roześmianego opalonego chłopca z siostrą. Ale Harry nie wypatrywał utraconej urody czy młodości. Tamta myśl bowiem nareszcie przebiła się do jego świadomości. Doszukiwał się w rysach swojej twarzy oszustwa, wymigiwania się, tchórzostwa, które właśnie kazało mu złamać jedną z nielicznych obietnic, składanych samemu sobie: że nigdy - przenigdy - bez względu na wszystko nie okłamie Rakel. Ze ze wszystkich zdradliwych skał na morzu - a było ich całkiem sporo - przynajmniej o kłamstwo nie rozbije się ich związek. Dlaczego więc to zrobił? To prawda, że razem z Beatą miał spotkać się z mężem Stine Grette, ale dlaczego nie przyznał się, że później zamierzał zobaczyć się z Anną? Z dawną kochanką, owszem, ale co z tego? To był krótki burzliwy romans, który pozostawił po sobie kilka sińców, lecz żadnych trwałych obrażeń. Chcieli jedynie pogadać, wypić filiżankę kawy, opowiedzieć sobie nawzajem historie pod tytułem „co było potem?”. A później się rozejść.

Harry wcisnął *Play* automatycznej sekretarki, by odsłuchać dalszy ciąg wiadomości. Pokój wypełnił głos Anny: „...cieszę się, że wieczorem zobaczymy się w M. Ale jeszcze dwie sprawy. Nie mógłbyś zajrzeć do: „Ślusarza” na Vibes gate i odebrać kluczy, które zamówiłam? Mają otwarte do siódmej, uprzedziłam, że będą do odbioru na twoje nazwisko. I czy włożysz te džinsy, które tak bardzo lubiłam?”

Głęboki, lekko zachrypnięty śmiech. Pokój zdawał się wibrować w tym samym rytmie. Ona ani trochę się nie zmieniła. Nie było co do tego najmniejszych wątpliwości.

5 NEMEZIS

W smugach deszczu widocznych na tle wczesnego październikowego zmroku w świetle zewnętrznej lampy Harry dostrzegł ceramiczną tabliczkę, na której przeczytał, że „Tu mieszkają Espen, Stine i Trond Grette”. „Tu” było mieszkaniem w żółtym szeregowcu na Di-sengrenda. Nacisnął dzwonek i rozejrzał się dokoła. Ulicę tworzyły cztery długie szeregowce w sercu dużego płaskiego pola, otoczonego blokami, które Harry’emu skojarzyły się z nowymi osadnikami na prerii, chroniącymi się przed atakiem Indian. I może rzeczywiście tak było. Szeregowce zbudowano w latach sześćdziesiątych dla rozwijającej się klasy średniej. I być może już wtedy zanikający pierwotni mieszkańcy tych okolic, robotnicy z bloków przy Disenveien i Traverveien, zrozumieli, że oto pojawili się kolejni zwycięzcy, którzy przejmą panowanie w nowym kraju.

- Wygląda na to, że nie ma go w domu - stwierdził Harry, jeszcze: raz naciskając guzik dzwonka. - Jesteś pewna, że dotarło do niego, że mamy przyjść dziś po południu?

- Nie.

- Nie?

Harry odwrócił się i spojrzał z góry na Beatę Lonn, trzęsącą się pod parasolem. Miała na sobie spódnicę i buty na wysokich obcasach, a kiedy zabierała go spod Schrodera, uświadomił sobie, że ubrała się tak, jakby czekała ją popołudniowe przyjęcie.

- Grette dwukrotnie potwierdził termin, kiedy dzwoniłam - odpowiedziała - ale sprawiał wrażenie bardzo... nieswojego.

Harry, stojąc na schodach, wychylił się w bok i przycisnął nos do okna od kuchni. W środku było ciemno, zauważył jedynie wiszący na ścianie kalendarz z logo banku Nordea.

- Wracamy - stwierdził.

W tej samej chwili z trzaskiem otworzyło się kuchenne okno w sąsiednim mieszkaniu.

- Szukacie Tronda?

Słowa te zostały wypowiedziane z tak silnym akcentem bergeńskim, że „r” zabrzmiało jak pociąg wypadający z torów. Harry odwrócił się i popatrzył w smagłą pomarszczoną twarz kobiety, która próbowała się uśmiechać, a jednocześnie sprawiać wrażenie bardzo poważnej.

- Owszem - potwierdził Harry.

- Jesteście z rodziny?

- Policja.

- Aha. - Kobieta zrezygnowała z pogrzebowej miny. - Myślałam, że zjawiliście się, by uczestniczyć w żałobie. On jest na korcie, biedaczysko.

- Na korcie? Pokazała palcem.

- Po drugiej stronie tego pola. Tkwi tam już od czwartej.

- Ale przecież jest ciemno - powiedziała Beata. - I pada deszcz. Kobieta wzruszyła ramionami.

- Pewnie tak próbuje radzić sobie z żałobą. - Tym razem „r” przywiodło Harry'emu na myśl kawałki tektury, które mocował do koła roweru, by terkotały o szprychy, kiedy był małym chłopcem i mieszkał na Oppsal.

- Słyszę, że ty też dorastałaś we wschodniej części miasta - powiedział Harry, kiedy razem z Beatą ruszyli w stronę wskazaną przez sąsiadkę Tronda. - Ale może się myłę?

- Nie - odpowiedziała krótko Beata.

Kort leżał na polu, w połowie drogi między blokami a szeregowcami. Już z daleka słychać było głucho uderzenia żyłek rakiety o mokrą piłkę, a za wysoką siatką w prędko zapadającym jesiennym mroku dostrzegli postać, która nieprzerwanie serwowała.

- Halo! - zawołał Harry, kiedy podeszli do siatki, ale mężczyzna na korcie nie

odpowiedział. Dopiero teraz zauważyli, że jest ubrany w garnitur i koszulę z krawatem.

- Trond Grette?

Piłka trafiła w czarną kałużę, odbiła się, uderzyła w siatkę, robiąc im prysznic z kropelek wody deszczowej, przed którym Beatę osłoniła się parasolem.

Spróbowała otworzyć furtkę.

- On się zamknął na klucz - szepnęła.

- Tu Hole i Lonn z policji! - zawołał Harry. - Byliśmy umówieni. Czy możemy... Cholera! - Harry nie zauważył piłki, dopóki nie uderzyła w siatkę i utknęła w jednym z oczek w odległości cała od jego twarzy. Przetarł oczy i spojrzał na siebie. Wyglądał tak, jakby ktoś polakierował go sprayem z rudobrazowcj wody z kałuży. Odruchowo obrócił się plecami, widząc, że mężczyzna na korcie wybija kolejną piłkę.

- Trond Grette! - wołanie Harry'ego odbiło się echem między blokami. Piłka tenisowa wykonała parabolę widoczną w świetle bijącym z okien bloku, zanim pochłonęła ją ciemność gdzieś na polu. Harry znów odwrócił się w stronę kortu, akurat w porę, by usłyszeć dziki ryk i zobaczyć postać nadciągającą ku nim z ciemności. Zgrzytnął metal, gdy siatka zatrzymała atakującego tenisistę. Osunął się na ziemię, ale zaraz się podniósł, zamierzył i znów skoczył na siatkę. Upadł, wstał i ponownie zaatakował.

- Boże, on zwariował! - mruknął Harry. Odruchowo cofnął się o krok, gdy nagle pojawiła się przed nimi jasna plama twarzy z szeroko otwartymi oczami. To Beatę włączyła kieszonkową latarkę i skierowała snop światła na Grettego, uwieszonego na siatce. Czarne mokre włosy lepiły się do białego czoła, a spojrzenie zdawało się szukać czegoś, czego mogłoby się przytrzymać, w miarę jak ześlizgiwał się po siatce niczym błoto z szyby samochodowej, aż w końcu znieruchomiał na ziemi.

- Co teraz robimy? - spytała szeptem Beatę.

Harry poczuł, że coś trzeszczy mu w zębach. Splunął na rękę i w świetle latarki zobaczył, że to mączka ceglana, którą wysypano kort.

- Zadzwon po karetkę, a ja pójde do samochodu po kombinerki.

- Dostał coś na uspokojenie? - spytała Anna. Harry kiwnął głową i wypił łyk coli.

Młodzi, dobrze ustawieni mieszkańcy zachodnich dzielnic siedzieli dookoła nich jak kury na grzędzie, popijając wino, przezroczyste drinki i colę light. M była jak większość kawiarni w Oslo, wielkowiejska w prowincjonalny i naiwny, lecz zarazem sympatyczny sposób, który Harry'emu przywodził na myśl Disa, dobrze wychowanego, zdolnego chłopca z jego klasy w szkole podstawowej, u którego odkryli zeszyt z wyrażeniami slangowymi używanymi przez najpopularniejszych chłopców w klasie.

- Zabrali tego nieszczęśnika do szpitala. Porozmawialiśmy jeszcze chwilę z sąsiadką. Powiedziała nam, że co wieczór od śmierci żony stał tam i serwował.

- O rany! Właściwie dlaczego? Harry wzruszył ramionami.

- Nie ma nic dziwnego w tym, że ludzie, którzy stracili kogoś w taki sposób, wpadają w psychozę. Niektórzy wszystko wypierają i udają, że zmarły wciąż żyje. Sąsiadka powiedziała nam, że Stine i Trond Grette tworzyli doskonałą parę w deblu mieszanym i latem prawie codziennie trenowali na korcie.

- To znaczy, że on jakby czekał, że żona odbierze serw?

- Może i tak.

- Dżizus! Pójdę do toalety, a ty zamówisz mi piwo, dobrze? Anna wstała z krzesła i kręcąc biodrami, zniknęła w głębi lokalu.

Harry starał się za nią nie patrzeć. Nie musiał, widział już to, co powinien. Wokół oczu pojawiło jej się kilka zmarszczek, a w kruczoczarnych włosach tu i ówdzie połyskiwały siwe nitki. Poza tym nic się nie zmieniła. Miała te same ciemne oczy o lekko ściganym wyrazie pod zrosniętymi brwiami, ten sam wąski ostry nos nad wulgarnie pełnymi wargami i zapadnięte policzki, które czasami przydawały jej twarzy wyrazu głodu. Być może trudno by było nazwać ją piękną, gdyż na to rysy miała zbyt ostre i wyraziste, ale szczupłe ciało wciąż zachowało krągłości, wystarczające, by, jak Harry zauważył, co najmniej dwóch mężczyzn przy stolikach w części restauracyjnej gwałtownie przerwało rozmowę, gdy ich mijała. Zapalił kolejnego papierosa. Po zdarzeniu z Grettem odwiedzili Helgego Klementsena, kierownika oddziału banku, lecz również ta wizyta nie dostarczyła im zbyt wielu nowych informacji, nad którymi mogliby dalej pracować. Klementsén wciąż pozostawał w swoistym szoku, siedział na krześle, w bliźniaku na KjelsSsveien, i patrzył to na królewskiego pudła kręcącego mu się pod nogami, to na żonę, która krążyła pomiędzy kuchnią a salonem, nosząc kawę i najtwardsze ciasteczka, jakich Harry miał okazję kiedykolwiek w życiu posmakować. W mieszczkański dom Klementsénów strój Beatę wpasował się o wiele lepiej, aniżeli sprane dżinsy i martensy Harry'ego. Mimo wszystko to jednak głównie Harry konwersował z nerwowo drepczącą panią Klementsén o niezwykłych nawet ja na jesień opadach i o sztuce pieczenia kruchych ciasteczek. Konwersację przerywały dobiegające z piętra wyżej ciężkie kroki i głośny szloch. Pan Klementsén wyjaśniła, że ich córka Nina, biedaczka, jest w szóstym miesiącu ciąży z mężczyzną, który właśnie ją zostawił i poszedł w siną da Wyjechał na Kos, ale nie na wakacje, tylko po prostu wrócił do siebie, bo był Grekiem. Harry, słysząc to, o mało nie zadławił się ciastkiem i nie przychnął nim na stół. Beatę dopiero wtedy zabrała głos, spokojnie zadając pytanie Helgemu Klementsénowi, który musiał zrezygnować ze

śledzeni wzrokiem psa, bo ten akurat wybiegi z salonu.

- Na ile oceniliby pan wzrost bandyty?

Helgę Klementsena popatrzył na Beate, ujął filiżankę, podniósł ją, al zatrzymał w połowie drogi do ust, gdzie musiała niestety zaczekać, gdy nie mógł jednocześnie mówić i pić.

- Był wysoki. Może dwa metry? Stine zawsze była bardzo dokładn w pracy.

- On nie był aż tak wysoki, panie Klementsena.

- No to metr dziewięćdziesiąt. I zawsze taka zadbana.

- A w co był ubrany?

- W coś czarnego, jakby gumowego. Latem po raz pierwszy poje chała na prawdziwe wakacje. Na Kos.

Pani Klementsena pociągnęła nosem.

- Gumowego? - powtórzyła Beate.

- Tak. I w kominiarkę.

- Jakiego koloru, panie Klementsena?

- Czerwoną.

W tym momencie Beate przestała notować i wkrótce potem siedzieli w samochodzie zmierzającym z powrotem w stronę centrum.

- Gdyby sędziowie i ława przysięgłych wiedzieli, jak mało można wierzyć zeznaniom świadków w związku z takimi napadami, nie pozwoliliby nam wykorzystywać zeznań jako dowodów - stwierdziła Beate. - To wręcz fascynujące, jak błędnie ludzki mózg potrafi rekonstruować fakty. Można odnieść wrażenie, że strach wkłada świadkom okulary, przez które wszyscy bandyci wydają się więksi i bardziej czarni, broni jest więcej, sekundy dłuższe. Napad trwał nieco ponad minutę, ale pani Brenne, ta w okienku najbliższej wejścia, jest przekonana, że bandyta był w banku przez co najmniej pięć minut. A wzrostu miał nie dwa metry, tylko metr siedemdziesiąt osiem. Chyba że używał dodatkowych podeszew, co wśród profesjonalistów też nie jest rzeczą niezwykłą.

- W jaki sposób możesz z taką dokładnością określić jego wzrost?

- Dzięki nagraniu wideo. Zaznacza się wzrost na futrynie w momencie, gdy bandyta wchodzi do środka. Byłam w tym banku dziś przed południem, oznaczyłam futrynę kredą, zrobiłam nowe zdjęcia i zmierzyłam.

- W Wydziale Zabójstw tego typu rzeczy zostawiamy technikom.

- Mierzenie wzrostu na podstawie filmu wideo jest nieco bardziej skomplikowane, niż może się wydawać. Na przykład w sprawie napadu na DnB na Kaldbakken w tysiąc

dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym technicy pomylili się o trzy centymetry. Wolę sama dokonywać pomiarów.

Harry zerknął wtedy na nią, zastanawiając się, czy nie powinien jej spytać o to, dlaczego została policjantką. Zamiast tego poprosił, żeby go wysadziła przy „Ślusarzu” na Vibes gate. Zanim wysiadł, spytał jeszcze, czy zauważyła, że Kłementsen nie wylał ani kropli z pełnej po brzegi filiżanki z kawą, którą trzymał podniesioną przez cały czas, gdy ona zadawała mu pytania. Beatę nie zwróciła na to uwagi.

- Podoba ci się to miejsce? - spytała Anna, siadając na swoim krześle.

- No cóż. - Harry rozejrzał się dokoła. - Nie bardzo w moim typie.

- W moim też nie. - Anna sięgnęła po torebkę i wstała. - Idziemy do mnie.

- Właśnie zamówiłem ci piwo. - Harry skinieniem głowy wskazał na szklanekę z pianą. - Nudno się pije samemu - stwierdziła Anna, krzywiąc się. - Wyluzuj, Harry. Chodź.

Na dworze przestało padać i chłodne, świeżo splukane powietrze miało przyjemny smak.

- Pamiętasz tamten dzień jesienią, kiedy pojechaliśmy w głąb Maridalen? - spytała Anna. Wsunęła mu rękę pod ramię i ruszyła.

- Nie pamiętam - odparł Harry.

- Nie możesz nie pamiętać. W tym twoim nędznym fordzie eskortie,; w którym nie dało się rozłożyć siedzeń...

Harry uśmiechnął się krzywo.

- Czerwienisz się! - wykrzyknęła zachwycona. - Na pewno więcej przypominasz sobie też, że zaparkowaliśmy i weszliśmy do lasu. I wszystkie te żółte liście, to było jak... - Ucisnęła go za ramię. - Jak łóżko. Jak olbrzymie złociste łóżko. - Roześmiała się, szturchając go w bok. - Później musiałam pchać tego trupa. Chyba już się go pozbyłeś?

- Stoi w warsztacie. Zobaczymy, co z nim będzie.

- O rany! Powiedziałeś to tak, jakbyś mówił o przyjacielu, który trzfnął do szpitala z guzem. - I dodała cicho: - Nie powinieneś rezygnować tak prędko, Harry.

Nie odezwał się.

- To już tutaj - powiedziała. - Tyle przynajmniej pamiętasz? Zatrzymali się przed niebieską bramą na Sorgenfrigata, na ulicy Beztroskiej.

Harry delikatnie się odsunął.

- Posłuchaj, Anno - zaczął, usiłując zignorować jej ostrzegawcze spojrzenie. - Mam o świecie spotkanie ze śledczymi z Wydziału Napadów.

- Nawet nie spróbujesz? - Anna otworzyła bramę kluczem. Harry'emu coś się

przypomniało. Wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni płaszcza i podał jej żółtą kopertę.

- Od „Ślusarza”.

- Aha, klucz. Gładko poszło?

- Facet za ladą bardzo uważnie przestudiował mój dowód i musiałem się podpisać.

Dziwny gość. - Harry spojrzął na zegarek i ziewnął.

- Mają bardzo surowe zasady dotyczące wydawania takich kluczy generalnych - wyjaśniła Anna prędko. - To klucz do całego domu. Do bramy, do piwnicy, do mieszkania. - Zaśmiała się nerwowo. - Po to, żeby dorobić ten jeden - zapasowy klucz, wymagali pisemnego zamówienia od zarządu wspólnoty.

- Rozumiem. - Harry zakołysał się na piętach i nabrał powietrza, żeby powiedzieć „dobranoc”.

Anna go uprzedziła. Jej głos zabrzmiał niemal błagalnie:

- Wejdz tylko na kawę.

Ten sam żyrandol zwisał z wysokiego sufitu nad tym samym kompletem stołowym w wielkim salonie. Harry’emu wydawało się, że pamięta, że ściany były kiedyś jasne, białe, może żółte, ale nie miał pewności. Teraz były niebieskie, przez co pokój wydawał się mniejszy. Może Anna chciała ścieśnić pustkę. Niełatwo jednemu człowiekowi wypełnić mieszkanie, w którym są trzy pokoje dzienne i dwie duże sypialnie, w dodatku o wysokości trzech i pół metra. Pamiętał, jak Anna mówiła mu, że jej babcia również mieszkała tu sama, ale nie spędzała tu zbyt wiele czasu, gdyż jako słynna sopranistka dopóki mogła, jeździła po świecie.

Anna zniknęła w kuchni, a Harry zajrzał do sąsiedniego pokoju. Był nagi i pusty, tylko na środku stał koń wielkości islandzkiego kucyka, na czterech szeroko rozstawionych drewnianych nogach z dwiema poręczami sterczącymi z grzbietu. Harry podszedł do niego i pogłaskał dłonią gładką brązową skórę.

- Zaczęłaś uprawiać gimnastykę? - zawołał.

- Masz na myśli tego konia z łękami? - odchrzyknęła Anna z kuchni.

- Sądziłem, że to przyrząd dla mężczyzn.

- Bo tak jest. Na pewno nie możesz wypić nawet jednego piwa, Harry?

- Na pewno! Ale poważnie, po co ci ten koń?

Drgnął przestraszony, gdy jej głos rozległ się nagle tuż za plecami:

- Ponieważ lubię robić to, co robią mężczyźni.

Harry odwrócił się. Anna zdjęła sweter i stanęła w drzwiach. Jedną rękę oparła na biodrze, drugą, uniesioną, opierała się o futrynę. Harry w ostatniej chwili powstrzymał się od

obrzucenia jej spojrzeniem od stóp do głów.

- Kupiłam go od Związku Gimnastyki Sportowej w Oslo. Będzie dziełem sztuki. Instalacją. Tak jak „Kontakt”, który z całą pewnością pamiętasz.- Masz na myśli to pudełko na stole z zasłoną, do którego należało włożyć rękę, a w środku było mnóstwo sztucznych rąk, z którymi można się było witać?

- Albo je głaskać. Albo z nimi flirtować. Albo je odpychać. To elementy grzewcze, dzięki którym sztuczne ręce utrzymywały temperaturę ludzkiego ciała, miały największe znaczenie, prawda? Ludzie myśleli, że pod stołem ktoś się chowa. Chodź, pokażę ci coś innego.

Poszedł za nią do ostatniego pokoju. Anna rozsunęła drzwi, potem ujęła go za rękę i pociągnęła za sobą w ciemność. Gdy zapaliło się światło, Harry najpierw tylko stał i patrzył na lampę. Złożona podstawa miała kształt kobiecej postaci, trzymającej w jednej ręce wagę, a w drugiej miecz. Trzy światełka umieszczone były na czubku miecza, na wadze i na głowie kobiety. A gdy Harry się odwrócił, spostrzegł, że każdy z nich podświetla jeden obraz olejny. Dwa wisiały na ścianie, natomiast trzeci, najwyraźniej jeszcze niedokończony, stał na sztalugach, do których w dolnym lewym rogu umocowana była paleta, pokryta żółtym i brązowymi plamami.

- Co to za obrazy? - spytał Harry.

- Portrety, nie widzisz?

- Widzę. Tu są oczy? - pokazał palcem. - A usta tutaj? Anna przekrzywiła głowę.

- Skoro tak uważasz... To trzech mężczyzn.

- Ktoś, kogo znam?

Zanim odpowiedziała, przyglądała mu się długo, z namysłem:

- Nie, Harry, chyba żadnego z nich nie znasz. Ale możesz poznać. Jeśli naprawdę chcesz.

Harry uważnie przyjrzał się obrazom.

- Powiedz mi, co widzisz.

- Widzę mojego sąsiada z saneczkami. Widzę faceta, który wyłani się z zaplecza u „Ślusarza”, w chwili, gdy już wychodzę z zakładu. Widzę też kelnera z M. I Pera Stałego Lonninga, tego z telewizji.

Roześmiała się.

- Wiedziałeś, że siatkówka odwraca przedmioty w taki sposób, że mózg początkowo rejestruje obraz jako lustrzane odbicie? Żeby zobaczyć te postaci tak, jak wyglądają naprawdę, trzeba oglądać je w lustrze. Ujrzałbyś wtedy na tych obrazach zupełnie innych

ludzi.

Oczy jej błyszczały, Harry powstrzymał się więc przed powiedzeniem jej, że siatkówka odwraca obrazy do góry nogami, a nie jak lustro.

- To będzie moje ostateczne arcydzieło, Harry. Dzięki niemu zostanę zapamiętana.

- Te portrety?

- Nie, one są tylko częścią całej pracy. Nie jest jeszcze skończona. Ale zaczekaj, sam się przekonasz.

- Mhm. Ma jakiś tytuł?

- *Nemesis* - powiedziała Anna cicho.

Spojrzał na nią pytająco, ich spojrzenia się spotkały.

- Tak jak bogini, wiesz.

Na jedną stronę jej twarzy padał cień. Harry odwrócił głowę. Dość już widział. Proste plecy, które prosiły o partnera do tańca, stopa lekko wysunięta przed drugą, jak gdyby jeszcze się nie zdecydowała, czy ma się zbliżyć, czy odejść, piersi, które podnosiły się i opadały, i smukła szyja z widoczną grubą żyłą, która, jak mu się wydawało, pulsuje. Zrobiło mu się gorąco i odrobinę zakręciło mu się w głowie. Co ona powiedziała? „Nie powinieneś rezygnować tak prędko?”. Czy tak było w istocie?

- Harry...

- Muszę już iść.

Ściągnął jej sukienkę przez głowę, a ona ze śmiechem upadła na białe prześcieradło. Rozpięła mu pasek, turkusowe światło spoza kołyszących się palm na wygaszaczu przenośnego komputera na biurku migotało, podświetlając diabluki i demony z rozdziawionymi paszczami, szczerzące zęby na fantastycznych rzeźbieniach u wezglowia łóżka. Anna opowiadała mu kiedyś, że to łóżko babki, że stoi tu już od blisko osiemdziesięciu lat. Gryzła go w ucho, szepcząc słowa w nieznanym języku. Potem przestała szeptać i ujeżdżała go, krzycząc, śmiejąc się, błagając i wzywając przeróżne moce. A on pragnął jedynie, by to się nigdy nie skończyło. Tuż przed szczytem gwałtownie znieruchomiała, ujęła jego twarz w dłonie i spytała szeptem:

- Mój na wieki?

- Za diabła nie! - roześmiał się i odwrócił ją tak, że teraz on znalazł się na górze.

Drewniane demony szczerzyły się do niego.

- Mój na wieki?- Tak - jęknął i doszedł.

Kiedy śmiech ucichł i leżeli mokrzy od potu, lecz mimo to spleceni ze sobą, Anna opowiedziała mu, że łóżko podarował jej babce pewien hiszpański szlachcic.

- Po koncercie w Sewilli w tysiąc dziewięćset jedenastym - dodała, unosząc lekko głowę, by Harry mógł jej wsunąć do ust zapalonego papierosa.

Łóżko przyplęnęło do Oslo trzy miesiące później parowcem „Eleonora”. Splot przypadków, ale nie tylko, sprawił, że kapitan, Duńczyk, Jesper Jakiśtam, został jej pierwszym, lecz nie najlepszym kochankiem w tym łóżku. Podobno był mężczyzną bardzo namiętnym i właśnie dlatego według słów babki koniowi wieńczącemu wezgielnie brakowało głowy. Kapitan Jesper odgryzł ją bowiem w ekstazie.

Anna roześmiała się, a Harry się uśmiechnął. Potem papieros się dopalił, a oni kochali się przy wtórze skrzywienia i trzeszczenia hiszpańskiej manili, przez co Harry miał wrażenie, że znaleźli się na pokładzie statku, którym nikt nie steruje, ale w niczym mu to nie przeszkadzało.

To działo się już dawno temu i była to pierwsza i ostatnia noc, kiedy zasypiał trzeźwy w łóżku babci Anny.

Harry obrócił się na swoim wąskim żelaznym łóżku. Na wyświetlaczu stojącego na nocnym stoliku radia z budzikiem jarzyn się cyfry 3.21. Zaklął. Przymknął oczy, a myśli powoli pożeglowały z powrotem do Anny i do tamtego lata wśród białych prześcieradeł w babcinym łóżku. Przez większość czasu był pijany, lecz te noce, które zapamiętał, były różowe i cudowne, jak erotyczne widokówki. Nawet jego ostatnie zdanie wypowiedziane, kiedy lato dobiegło końca, było wytartym, lecz ciepłym i szczerym banałem: „Zasługujesz na kogoś lepszej go niż ja”.

Wtedy pił już tyle, że wszystko zmierzało do jedyne go możliwego, końca. W którymś z nielicznych momentów przytomności zdecydował, że upadając na dno, nie pociągnie jej za sobą. Przeklinała go w swoim obcym języku, przysięgała, że pewnego dnia postąpi wobec niego tak samo: odbierze mu jedyne, co kochał.

To było siedem lat temu i trwało przez sześć tygodni. Później spotkał ją zaledwie dwukrotnie. Raz w pewnym barze, gdzie podeszła do niego ze łzami w oczach i poprosiła, żeby poszedł gdzie indziej, co zresztą zrobił. A drugi raz na wystawie, na którą zabrał swoją młodszą siostrę, Sio Obiecał wtedy, że do niej zadzwoni, ale nie zadzwonił.

Harry znów spojrział na zegarek. 3.32. Pocałował ją. Dziś wieczorem. Kiedy już znalazł się w bezpiecznym miejscu za drzwiami z mrozoną szybą, prowadzącymi do jej mieszkania, nachylił się nad nią, żeby uściskać ją na pożegnanie, ale skończyło się na pocałunku. Proste i przyjemnie. W każdym razie prosto. 3.33. Cholera, odkąd to zrobił się aż tak wrażliwy, żeby mieć wyrzuty sumienia z powodu pocałowania na dobranoc dawnej kochanki? Starał się oddychać głęboko i równo, skoncentrować na możliwych drogach

ucieczki z Bogstadveien przez Industrigata. Na drugą stronę. Z powrotem. I znów na drugą. Wciąż czuł jej zapach. Słodki ciężar jej ciała. Natrętą mowę szorstkiego języka.

6 CHILI

Pierwsze tego dnia promienie słońca ledwie wyjrzały zza szczytu wzgórza Ekeberg, przedostały się pod do połowy podciągniętymi żaluzjami sali konferencyjnej Wydziału Zabójstw i połaskotały fałdy skóry wokół zaciśniętych oczu Harry'ego. Przy końcu długiego stołu stał na szeroko rozstawionych nogach Runę Ivarsson i kołysał się w przód i w tył z rękami założonymi na plecy. Za nim stała tablica typu flipchart, z przerzucanymi kartkami, na której dużymi czerwonymi literami napisano WITAMY. Harry podejrzewał, że Ivarsson nauczył się tego podczas prezentacji na jakimś seminarium, i podjął na pół serdeczną próbę zdławienia ziewnięcia, kiedy naczelnik zaczął mówić:

- Witam wszystkich. Nasza ósemka zgromadzona wokół tego stołu stanowi ekipę wyznaczoną do przeprowadzenia śledztwa, którego celem jest rozwiązanie sprawy piątkowego napadu na Bogstadveien.

- Zabójstwa - mruknął Harry.

- Słucham?

Harry odrobinę podsunął się na krześle. Przekłete słońce oślepiało go, bez względu na to, w którą stronę się obrócił.

- Chyba powinniśmy przyjąć, że to było zabójstwo, i właśnie w tym kierunku prowadzić śledztwo. Warsson uśmiechnął się krzywo. Nie do Harry'ego, lecz do innych; zgromadzonych wokół stołu, po których powiódł spojrzeniem.

- Uznałem, że zacznę od przedstawienia was sobie nawzajem, ale, nasz przyjaciel z Wydziału Zabójstw już zaczął. Komisarz Harry Hole został łaskawie oddelegowany przez swego szefa, Bjarnego Moliera, ponieważ jego specjalnością są morderstwa.

- Zabójstwa - poprawił go Harry.

- Zabójstwa. Na lewo od Holego siedzi Weber z Wydziału Techniki Kryminalistycznej, który kierował zabezpieczaniem śladów na miejscu zdarzenia. Weber, jak zapewne wielu z was wie, to nasz najlepszy specjalista w tej dziedzinie. Słynny zarówno ze swoich zdolności analitycznych, jak i z bezbłędnie działającej intuicji. Komendant główny powiedział kiedyś, że chętnie widziałby Webera w swoim kole łowieckim w Trysil w roli psa tropiącego.

Śmiech wokół stołu. Harry nie musiał patrzeć na Webera, by wiedzieć, że ten nawet

się nie uśmiechnął. Weber nie uśmiechał się prawie nigdy, a już z całą pewnością do kogoś, kogo nie lubił, a nie lubił prawie nikogo. Zwłaszcza wśród młodej kadry naczelników, która w jego opinii składała się z niekompetentnych karierowiczów, niezaangażowanych w codzienną pracę policji, lecz żywiących tym gorętsze uczucia wobec biurokratycznej władzy i wpływów, jakie dawało się osiągnąć podczas krótkich gościnnych występów w Budynku Policji.

Warsson uśmiechnął się i zadowolony opadł na pięty jak szyper kołysanego falami statku, czekając, aż śmiech ucichnie.

- W porównaniu z nim Beatę Lonn jest dość świeża. To nasza specjalistka od analizy filmów wideo.

Beatę zapłonila się jak piwonia.

- Jest córką Jorgena Lonna, który przez ponad dwadzieścia lat służył w wydziale noszącym wówczas nazwę Wydziału Napadów i Zabójstw. Zapowiada się, że Beatę dorówna swemu legendarnemu ojcu, bo już bardzo nam pomogła w wyjaśnieniu wielu spraw. Nie wiem, czy o tym wspominałem, ale w Wydziale Napadów udało nam się w ostatnim roku podnieść wykrywalność do prawie pięćdziesięciu procent, co w porównaniu z międzynarodowymi...

- Tak, już o tym mówiłeś, Ivarsson.

- Dziękuję.

Tym razem Ivarsson skierował swój uśmiech wprost do Harry'ego. Sztywny uśmiech węża, w którym odsłonił głęboko zęby w szczęce z obu stron. Nie schodził mu z twarzy, gdy przedstawiał pozostałych. Dwóch z nich Harry znał. Jednym z nich był Magnus Rian, młody chłopak z Tomrefjorden, który przez pół roku pracował w Wydziale Zabójstw i pozostawił po sobie wrażenie solidności, a drugim - Didrik Gudmundson, najbardziej doświadczony śledczy ze wszystkich zgromadzonych wokół stołu, wiceszef wydziału. Spokojny, metodycznie pracujący policjant, z którym Harry nigdy nie miał żadnych zatargów. Ostatnich dwoje również pracowało w Wydziale Napadów, oboje nosili nazwisko Li, ale Harry od razu stwierdził, że z całą pewnością nie są jednojajowymi bliźniętami. Torii Li była wysoką jasnowłosą kobietą o wąskich ustach i twarzy bez wyrazu, natomiast Ola Li - rudowłosym niewysokim facetem o twarzy jak księżyc w pełni i roześmianych oczach. Harry mijał się z nimi w korytarzu na tyle często, że dla wielu osób naturalną rzeczą byłoby zacząć się pozdrawiać, ale jemu jakoś nigdy nie wpadło to do głowy.

- Mnie, ośmielę się twierdzić, mieliście okazję poznać już wcześniej - zakończył Ivarsson. - Ale dla porządku powiem, że jestem naczelnikiem Wydziału Napadów i zostałem

wyznaczony do kierowania tym śledztwem. A w odpowiedzi na to, o co pytałeś na początku, Hole, wiedz, że nie po raz pierwszy zajmujemy się napadem, który dla jednej z ofiar miał skutek śmiertelny.

Harry próbował się powstrzymać. Naprawdę. Ale krokodylowy uśmiech niestety mu na to nie pozwolił.

- Również z blisko pięćdziesięcioprocentową wykrywalnością? Spośród zgromadzonych roześmiała się tylko jedna osoba, za to głośno. Weber.

- Przepraszam. Najwyraźniej zapomniałem powiedzieć - Ivarsson już się nie uśmiechał - że Hole podobno jest obdarzony talentem komicznym. Prawdziwy Arve Opsahl z *Gangu Olsena*, jak słyszałem.

Na sekundę zapadła kłopotliwa cisza, w końcu Ivarsson roześmiał się krótko, chrapliwie. Zawtórowały mu śmiechy wokół stołu.

- Okej. Zacznijmy od podsumowania. - Ivarsson przerzucił kartkę na tablicy. Pod napisem „TECHNIKA KRYMINALISTYCZNA” kartka była czysta. Naczelnik zdjął zatyczkę z flamastra i przygotował się. - Weber, bardzo proszę. Karl Weber wstał. Był niewysokim mężczyzną z lwią grzywą siwych włosów i brodą. Jego głos brzmiał złowieszczo jak powarkiwanie na niskich frekwencjach, ale dostatecznie wyraźnie.

- Będę mówił krótko.

- Ależ proszę. - Ivarsson przysunął flamaster do tablicy. - Poświęć tyle czasu, ile ci potrzeba, Karl.

- Będę mówił krótko, bo dużo czasu nie potrzebuję - burknął Weber. - Nie mamy nic.

- Aha. - Ivarsson opuścił flamaster. - A co dokładnie rozumiesz, mówiąc „nic”?

- Mam odcisk nowiusieńkiego buta marki Nike, rozmiar czterdzieści pięć. Większość elementów tego napadu sprawia wrażenie działania tak profesjonalnego, że mówi mi to jedynie, iż bandyta z pewnością nie używa tego rozmiaru na co dzień. Pocisk został przeanalizowany przez grupę balistyczną. To standardowa amunicja do karabinu automatycznego AG3, kaliber 7,62 milimetra, najpopularniejsza w Królestwie Norwegii, ponieważ można ją znaleźć w każdym baraku wojskowym, w magazynie broni i w każdym domu, w którym mieszka oficer lub żołnierz z Hcimevern, Organizacji Obrony Kraju. Innymi słowy, niemożliwa do wytropienia. To jedyne dowody. Oprócz nich nic nie wskazuje na to, by bandyta był w banku. Albo przed nim. Tam też sprawdziliśmy teren.

Weber usiadł.

- Dziękuję, Weber, to było... hm... wyjaśniające. - Ivarsson odsłonił następną kartkę, tym razem z napisem „ŚWIADKOWIE”.

- Hole?

Harry zniżył się odrobinę na krześle.

- Wszystkie osoby, które znajdowały się w banku podczas napadu, zostały przesłuchane chwilę później. Ale żadna z nich nie potrafiła nam powiedzieć nic takiego, czego nie mogliśmy zobaczyć na filmie. To znaczy, owszem, pamiętają parę rzeczy, co do których mamy pewność, że są błędne. Jedyne świadek widział, że bandyta poszedł w górę Industrigata, nikt inny się nie zgłosił.

- Co prowadzi nas do kolejnego punktu, a mianowicie do samochodów, którymi mógł posłużyć się podczas ucieczki - powiedział Ivarsson. - Torii? I

Torii Li wyszła do przodu, włączyła rzutnik, na którym leżała już przygotowana folia z listą samochodów osobowych skradzionych w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Twardym dialektem z Sunnmore Torii wyjaśniła, które cztery samochody uważa za najbardziej prawdopodobne, opierając się na fakcie, że były to najzwyczajniejsze marki i modele w neutralnych jasnych kolorach, a przy tym dostatecznie nowe, by bandyta czuł się pewny, że nie zawiodą go pod względem technicznym. Interesujący był zwłaszcza jeden z samochodów, Volkswagen Golf GTI, który stał zaparkowany na Maridalsveien, ponieważ został skradziony wieczorem w dniu poprzedzającym napad.

- Samochody przeznaczone do wykorzystania podczas ucieczki bandyci napadający na bank często starają się kraść tuż przed napadem, aby nie zdążyły jeszcze trafić do rejestru skradzionych pojazdów, przekazywanego patrolom - wyjaśniła Torii Li, zgasiła projektor i, zabrawszy z niego folię, wróciła na swoje miejsce.

Ivarsson kiwnął głową.

- Dziękuję.

- Za nic - szepnął Harry do Webera.

Tytuł na następnej kartce brzmiał: „ANALIZA NAGRANIA WIDEO”.

Ivarsson włożył zatyczkę na flamaster. Beatę przełknęła ślinę, odchrząknęła, wypila łyk wody ze szklanki, która stała przed nią, i jeszcze raz chrząknęła, nim wreszcie zaczęła mówić ze wzrokiem wbitym w stół:

- Zmierzyłam wzrost...

- Proszę, mów trochę głośniej, Beatę.

Znów ten uśmiech węża. Beatę nie przestawała chrząkać.

- Określiłam wzrost bandyty na podstawie nagrania wideo. Mierzy sto siedemdziesiąt dziewięć centymetrów. Konsultowałam się z Weberem, który się ze mną zgadza.

Weber kiwnął głową.

- Świetnie - zawołał Ivarsson z wymuszonym entuzjazmem w głosie. Zerwał zatyczkę z flamastra i zapisał: „WZROST 179 cm”.

Beatę kontynuowała swoją przemowę do blatu biurka:

- Właśnie rozmawiałam z Aslaksenem z Politechniki w Trondheim, który wykonuje dla nas analizy głosu. Przebadał tych pięć słów, które bandyta wypowiada po angielsku. Stwierdził... - Beatę rzuciła wystraszone spojrzenie na Ivarssona, który stał obrócony tyłem, gotów, by notować. -...że jakość nagrania jest zbyt marna. Do niczego się nie nadawała.

Ivarsson opuścił rękę akurat w momencie, gdy niskie słońce zniknęło za chmurą i wielki prostokąt światła na ścianie z tyłu powoli zgasł. W sali konferencyjnej zapadła grobowa cisza. Ivarsson nabrał powietrza i ofensywnie przeniósł ciężar ciała na palce.

- Na szczęście zachowaliśmy kartę atutową na koniec. - Naczelnik Wydziału Napadów przerzucił ostatnią kartkę na tablicy. „WYWIADOWCY”. - Wam, spoza Wydziału Napadów, powinniśmy być może wyjaśnić, że zawsze, gdy mamy film z napadu, od razu włączamy do sprawy wywiadowców. W siedmiu wypadkach na dziesięć dobre nagranie wideo ujawni, kim jest bandyta, jeśli to któryś z naszych starych znajomych.

- Nawet jeśli są zamaskowani? - spytał Weber. Ivarsson kiwnął głową.

- Dobry wywiadowca rozpozna starego znajomego po budowie ciała, gestach, głosie, sposobie, w jakim mówi podczas napadu, po wszystkich tych drobnych rzeczach, których nie da się ukryć pod maską.

- Ale nie wystarczy wiedzieć, kto to jest - wtrącił zastępca Ivarssona, Didrik Gudmundson. - Musimy...

- No właśnie - przerwał mu Ivarsson. - Musimy mieć dowody. Bandyta może przeliterować swoje nazwisko do kamery, lecz dopóki jest zamaskowany i nie pozostawi żadnych śladów technicznych, to prawni nie posuniemy się o krok.

- Ilu więc z tych siedmiu, których rozpoznajecie, dostaje wyrok? spytał Weber.

- Niektórzy - odparł Gudmundson. - Ale mimo to dobrze jest wiedzieć, kto dokonał napadu, nawet jeśli udaje im się ujść wolno. Mamy dzięki temu okazję nauczyć się czegoś o ich sposobach i metodach działania. I następnym razem ich łapiemy.

- A jeśli nie ma następnego razu? - spytał Harry.

Zauważył, jak dwie wyraźne żyły nad uszami Ivarssona grubieją, gdy naczelnik wybuchnął śmiechem.

- Mój drogi ekspercie od morderstw - odparł Ivarsson wciąż z rozbrawieniem w głosie. - Jeśli rozejrzysz się dokoła, zobaczysz, że większość z tu obecnych - śmieje się pod nosem z twojego pytania. To dlatego, że bandyta, któremu powiedzie się napad, zawsze, ale to zawsze,

decyduje się na ponowne działanie. To takie nieuchronne prawo ciężenia w odniesieniu do napadów na bank.

Warsson wyjrzał przez okno, pozwolił sobie na kolejny krótki wybuch śmiechu, a potem obrócił się na pięcie.

- Skończmy już z tym nauczaniem dla dorosłych i sprawdźmy, czy mamy kogoś na oku. Ola?

Ola Li spojrzał na Ivarssona, niepewny, czy ma wstać, czy nie, w końcu zdecydował, że będzie mówił siedząc.

- No tak. Dyżurowałem w weekend. Gotowy zmontowany film mieliśmy już o ósmej wieczorem w piątek, wezwałem więc wywiadowców, którzy byli na służbie, do House of Pain, by go obejrzeni. Ci, którzy akurat nie mieli dyżuru, zostali wezwani w sobotę. W sumie wywiadowców było trzynastu, pierwszy w piątek o ósmej, a ostatni...

- Dobrze, dobrze, Ola - przerwał mu Ivarsson. - Po prostu powiedz, co stwierdziliście.

Ola roześmiał się nerwowo. Zabrzmiało to jak krzyk mewy.

- Słuchamy.

- Espen Vaaland jest na zwolnieniu - powiedział Ola. - To on zna najwięcej ludzi z tego środowiska. Jutro postaram się go ściągnąć.

- Co nam próbujesz powiedzieć? Spojrzenie Oli błyskawicznie omiotło stół.

- Niewiele - odparł cicho.

- Ola wciąż jest stosunkowo świeży - powiedział Ivarsson. Harry widział, jak mięśnie szczęki zaczęły mu pracować. - Dla niego liczy się tylko identyfikacja ze stuprocentową pewnością, co oczywiście jest bardzo cenne. Ale to trochę zbyt duże oczekiwania, kiedy rabuś...

- Zabójca.

-...jest zamaskowany od stóp do głów, średniego wzrostu, głowę trzyma na kłódkę, próbuje się poruszać nietypowo i nosi za duże buty. - Głos Ivarssona nabrał mocy. - Przedstaw więc nam raczej całą listę, Ola. Kto wchodzi w grę?

- Nikt nie wchodzi w grę.

- Ależ musi być ktoś!

- Nie ma - odparł Ola Li i przełknął ślinę. - Próbujesz nam powiedzieć, że nikt nie miał żadnej podpowiedzi? Żaden z naszych donosicieli, żaden ze szczerów poczytujących sobie za honor codzienny kontakt z najgorszymi szumowinami Oslo, żaden z tych gorliwych nosów, które w dziewięciu na dziesięć wypadków słyszą jakieś plotki o tym, kto prowadził samochód, kto niósł worki z pieniędzmi, kto stał na czatach przy drzwiach - żaden z nich

nagle nie chce nawet zgadywać?

- Owszem, zgadywali - odparł Ola. - Padło sześć nazwisk.

- No to wyduście je wreszcie z siebie, człowieku!

- Sprawdziłem wszystkich. Trzech siedzi. Jednego któryś z wywiadowców widział w chwili napadu na Plata. Jeden przebywa w Pattai w Tajlandii, sprawdziłem. No i został jeszcze jeden, którego wymieniali wszyscy wywiadowcy, ponieważ budową ciała przypominał tego bandytę i napad był przygotowany tak profesjonalnie. To Bjorn Johansen i z gangu Tveita.

- I co?

Ola wyglądał tak, jakby miał ochotę schować się pod stół.

- Leży w szpitalu UIlevSI. Miał w piątek operację na *auris alatae*.

- *Auris alatae*?

- Odstające uszy - stęknął Harry, wycierając z brwi krople potu. - Ivarsson wyglądał tak, jakby zaraz miał eksplodować.

- Akurat minąłem dwadzieścia jeden. - Głos Halvorsena odbił się od ścian. W tak wczesne popołudnie mieli siłownię w piwnicy Budynku Policji niemal wyłącznie dla siebie.

- Pojechałeś na skróty czy jak?

Harry zacisnął zęby i zdołał jeszcze odrobinę zwiększyć częstotliwości ruchu pedałami. Wokół jego roweru treningowego zdażyła się już wytworzyć kałuża potu, natomiast Halvorsen miał ledwie wilgotne czoło.

- To znaczy, że stoicie na niczym? - spytał Halvorsen bez najmniejszych oznak zadyszki.

- Jeżeli w tym, co Beatę Lonn powiedziała na koniec, nie ma nici istotnego, to rzeczywiście mamy niewiele.

- A co ona powiedziała?

- Pracuje z programem komputerowym, w którym na podstawie zdjęć z kamer wideo tworzy trójwymiarowy obraz głowy i twarzy bandyty.

- Zamaskowanego?

- Ten program wykorzystuje informacje przekazywane przez zdjęcia. Światło, cień, wklęsnięcia, wypukłości. Im bardziej obcisła jest maska, tym łatwiej stworzyć obraz twarzy człowieka znajdującej się pod nią. Tak czy owak, będzie to jedynie szkic, ale Beatę twierdzi, że potrafi go wykorzystać do porównania ze zdjęciami podejrzanych.

- Przy użyciu tego programu FBI do identyfikacji? - Halvorsen obrócił się do Harry'ego i z pewną fascynacją stwierdził, że plama potu, która zaczęła się przy logo

Jokke&Valentinerne na piersi, rozprzestrzeniła się już dokładnie na cały T-shirt.

- Nie, ona ma znacznie lepszy program - odparł Harry. - Gdzie jesteś?

- Na dwadzieścia dwa. Jaki?

- *Gyrus fusiformus*.

- Microsoft czy Apple?

Harry postukał się palcem w czerwone jako ogień czoło.

- *Shareware*. Zakręt wrzecionowaty. Znajduje się w płacie skroniowym mózgu i jego jedyną funkcją jest rozpoznawanie twarzy. Nic innego nie robi. To obszar mózgu, dzięki któremu jesteśmy w stanie rozróżnić setki tysięcy ludzkich twarzy, a niespełna tuzin nosorożców.

- Nosorożców?

Harry przymknął oczy, próbując lekkim mruganiem pozbyć się szczypiącego potu.

- To był tylko taki przykład, Halvorsen. A Beatę Lonn wydaje się wyjątkowym przypadkiem. Jej *gyrus* ma parę dodatkowych zakrętów, dzięki którym Beatę zapamiętuje dosłownie wszystkie twarze, jakie widziała w całym swoim życiu. Nie mam tu na myśli tylko ludzi, których zna lub z którymi rozmawiała, tylko twarze w ciemnych okularach, które piętnaście lat temu mijały ją w tłumie na ulicy.

- Żartujesz sobie.

- Nie. - Harry pochylił głowę, żeby odzyskać oddech, na tyle, by mógł mówić dalej. - Znanych jest podobno zaledwie około dwustu podobnych przypadków. Didrik Gudmundson powiedział, że w Szkole Policyjnej poddano ją testowi, w którym pokonała wszystkie znane programy identyfikacyjne. To chodząca kartoteka twarzy. Gdy cię spyta, „gdzie ja cię już kiedyś widziałam”, to możesz być pewien, że wcale nie próbuje cię poderwać.

- O rany! Co ona z takim talentem robi w policji? Harry wzruszył ramionami.

- Przypominasz sobie może oficera śledczego, który został zastrzelony podczas napadu na bank na Ryen w latach osiemdziesiątych?

- To nie za moich czasów.

- Przypadkiem znajdował się w pobliżu, kiedy ogłoszono alarm. Przybył na miejsce jako pierwszy i wszedł do środka bez broni, żeby negocjować. Dostał serię z karabinu automatycznego, a bandytów nigdy nie złapano. Później w Szkole Policyjnej podawano to wydarzenie za przykład tego, czego nie powinno się robić, gdy przybywa się do miejsca, w którym trwa napad.

- Należy czekać na posiłki, nie doprowadzać do konfrontacji z bandytami i nie narażać siebie, pracowników banku i samych przestępców na niepotrzebne niebezpieczeństwo.

- No właśnie, tak mówi podręcznik. Najdziwniejsze w tym wszystkim, że to był jeden z najlepszych i najbardziej doświadczonych śledczych. Jorgen Lonn. Ojciec Beate.

- Aha. I uważasz, że dlatego została policjantką? Przez ojca?

- Być może.

- Ładna jest?

- Zdolna. Gdzie jesteś?

- Właśnie minąłem dwadzieścia cztery. Zostało jeszcze sześć. A ty

- Dwadzieścia dwa. Dogonię cię, zobaczysz.

- Nie tym razem. - Halvorsen zaczął pedałować szybciej.

- Właśnie, że tak, bo teraz zaczyna się pod górkę. Ja będę jechał, a się wyładujesz i odpadniesz. Jak zwykle.

- Nic tym razem. - Halvorsen naciskał jeszcze mocniej. Na linii gęstych włosów pojawiły się krople potu. Harry uśmiechnął się i pochylił nad kierownicą.

Bjarne Molier patrzył na przemian to na listę zakupów, którą wręczyła mu żona, to na półkę, gdzie jego zdaniem powinna leżeć kolendra. Po wakacjach na Phuket zimą ubiegłego roku Margrethe zakochała się w tajlandzkiej kuchni, lecz naczelnik Wydziału Zabójstw wciąż jeszcze nie najlepiej sobie radził z odróżnieniem rozmaitych warzyw, które codziennie przysyłano samolotem z Bangkoku do pakistańskiego sklepu z żywnością na Gronlandsleiret.

- To jest zielone chili, szefie - rozległ się jakiś głos tuż przy jego uchu. Bjarne Molier drgnął przestraszony, obrócił się i spojrzał wprost w mokrą, czerwoną jak burak twarz Harry'ego. - Wystarczy ich parę i kilka plasterków imbiru i już możesz zrobić zupę tomyam. Będzie ci się po niej dymić z uszu, ale wypocisz sporo ohydy.

- Wyglądasz tak, jakbyś właśnie miał okazję tego posmakować, Harry.

- To tylko mały pojedynek rowerowy z Halvorsenem.

- Tak? A co masz w ręce?

- *Japone*. Małe czerwone japońskie chili.

- Nie wiedziałem, że gotujesz.

Harry lekko zdziwiony spojrzał na torebkę z chili, jak gdyby i dla niego była nowością.

- Cieszę się, że cię spotkałem, szefie. Mamy pewien problem. Molier poczuł, że zaczyna go swędzieć skóra na głowie.

- Nie wiem, kto zdecydował, że Ivarsson pokieruje śledztwem w sprawie zabójstwa na Bogstadveien, ale to nie działa.

Molier włożył listę z zakupami do koszyka.

- Jak długo pracujecie razem? Całe dwa dni?

- Nie w tym rzecz, szefie.

- Czy nie mógłbyś wyjątkowo zająć się wyłącznie pracą śledczego, Harry? Niech inni decydują o tym, w jaki sposób należy ją zorganizować. Nie jest powiedziane, że wychodząc z opozycji, nabawisz się trwałych obrażeń.

- Chciałbym tylko, żeby ta sprawa prędko się wyjaśniła, szefie, i żebym mógł zająć się tą drugą.

- Wiem. Ale tą drugą zajmujesz się już dłużej niż tych sześć miesięcy, które ci obiecałem, i nie mogę bronić tego, że tracimy czas i środki, kierując się osobistymi motywami i uczuciami, Harry.

- Ona była policjantką, szefie.

- Wiem - warknął Molier. Urwał, rozejrzał się i ciągnął już spokojniejszym tonem: - W czym problem, Harry?

- Oni przywykli do rozpracowywania napadów i Ivarssona ani trochę nie interesuje konstruktywne współdziałanie. Bjarne Molier nie zdołał powstrzymać się od uśmiechu na myśl o konstruktywnym współdziałaniu z Holem. Harry pochylił się nad nim i zaczął mówić prędko i z naciskiem:

- Jakie jest pierwsze pytanie, które sobie zadajemy, gdy zostanie popełnione zabójstwo, szefie? Dlaczego, jaki był powód, prawda? W Wydziale Napadów przyjmują, że motywem były pieniądze, i nawet nie zai dają sobie tego pytania.

- A ty jak myślisz? Jaki był motyw?

- Ja nic nie myślę. Chodzi mi tylko o to, że posługują się złą taktyką.

- Inną taktyką, Harry, inną. Muszę wreszcie kupić te warzywa i wracać do domu, więc powiedz mi, czego chcesz.

- Chcę, żebyś porozmawiał z tym, z kim musisz, żebym mógł zabrać jedną osobę z tego zespołu i pracować solo.

- Chcesz się wyłączyć z zespołu prowadzącego śledztwo?

- Chcę prowadzić śledztwo równoległe.

- Harry...

- Właśnie w taki sposób złapaliśmy Czerwone Gardło, pamiętasz?

- Harry, nie mogę się wtrącać...

- Chcę, żeby mi dali Beatę Lonn i żebyśmy mogli we dwoje zacząć wszystko od nowa. Ivarsson już się klopuje i...

- Harry! - Tak?

- Jaki jest prawdziwy powód?

Harry przeniósł ciężar ciała na drugą nogę.

- Nie potrafię pracować z tym krokodylem.

- Z Ivarssonem?

- Niedługo zrobię coś cholernie głupiego.

Brwi Bjarnego Moliera złączyły się u nasady nosa, tworząc czarną literę V.

- To ma być groźba?

Harry położył rękę na ramieniu Moliera.

- Tylko ta jedna przysługa, szefie. Potem już nigdy nie będę o nic prosił. Nigdy.

Molier zaburczał coś pod nosem. Ile to już razy w ciągu tych lat kładł dla Harry'ego głowę pod topór, zamiast posłuchać dobrych rad życzliwych mu starszych kolegów, by trzymał na dystans tego nieobliczalnego policjanta. Jediną pewną rzeczą co do Harry'ego Hole było to, że któregoś dnia sprawy przybiorą naprawdę zły obrót. Ponieważ jednak do tej pory w dziwny sposób i jemu, i Harry'emu udawało się spadać na cztery łapy, nikt nie mógł przedsięwziąć żadnych drastycznych środków. Do tej pory. Ale najbardziej interesujące pytanie brzmiało: dlaczego on to robi - Molier zerknął na Harry'ego. To alkoholik. Awanturnik. Czasami nieznośnie arogancki uparciuch. I obok Waalera jego najlepszy śledczy.

- Trzymaj się w ryzach, Harry. Bo inaczej wkopię cię za biurko i zamknę. Zrozumiano?

- Jasne, szefie. Molier westchnął.

- Mam jutro spotkanie z inspektorem i z naczelnikiem Biura Kryminalnego. Zobaczymy. Ale niczego ci nie obiecuję, słyszysz?

- Aj, aj, szefie. Pozdrowienia dla żony. Wychodząc, Harry odwrócił się.

- Kolendra leży na samym końcu, z lewej strony na najniższej półce.

Po wyjściu Harry'ego Bjarne Molier dalej gapił się w koszyk. Przypomniał sobie powód swojego postępowania. Po prostu lubił tego upartego awanturnika.

7 BIAŁY KRÓL

Harry skinął głową jednemu ze stałych gości i usiadł przy stoliku pod wąskim oknem z matową szybą, wychodzącym na Waldemar Thranes gate. Na ścianie za jego plecami wisiał duży obraz, przedstawiający słoneczny dzień na Youngstorget, na którym spacerujący mężczyźni w cylindrach wesoło witali kobiety pod parasolami. Trudno o większy kontrast z

wiecznie jesiennomrocznym wnętrzem i wręcz nabożną popołudniową ciszą w restauracji U Schrodera.

- Dobrze, że mogłeś przyjść - przywitał Harry nieco korpulentnego mężczyznę, który już siedział przy stoliku. Bez trudu dawało się zauważyć, że nie jest stałym bywalcem tego miejsca. Nie ze względu na elegancką tweedową marynarkę ani na muchę w czerwone kropki, lecz na fakt, że mieszał herbatę w białym kubku, umieszczonym na perfumowanym piwem obrusie we wzór w dziury wypalone papierosami. Owym przypadkowym gościem był psycholog Stille Aune, jeden z najlepszych w kraju specjalistów w swojej dziedzinie, fachowiec, z którego usług policja w Oslo miała wiele korzyści, a także kilka trosk, Aune był bowiem na wskroś uczciwym człowiekiem, który za wszelką cenę chronił sw niezależność i nigdy nie wypowiadał się w żadnej sprawie, co do której nie miał stuprocentowych podstaw naukowych. A ponieważ w psychologii jakichkolwiek podstaw naukowych jest mało, zdarzało się często, że będąc najlepszym świadkiem oskarżenia, zmieniał się w najlepszego przyjaciela obrony, gdyż zasiane przez niego wątpliwości z reguły świadczyły na korzyść oskarżonego. Harry jako policjant korzystał z ekspertyz Auncgo w sprawach zabójstw od tak dawna, że zaczął go traktować jak kolegę z pracy. Jako alkoholik zaś do tego stopnia się odsłonił przez tym ciepłym, mądrym i twarzowo aroganckim mężczyzną, że - w trudnych chwilach - potrafił nazwać go przyjacielem.

- A więc to jest twoja kryjówka - powiedział Aune.

- Tak. - Harry uniósł brew, dając tym samym znak Mai przy ładzie, która zareagowała natychmiast, znikając w drzwiach do kuchni.

- A co tam masz?

- Japone. Chili.

Kropla potu stoczyła się po grzbiecie nosa Harry'ego, na moment zatrzymała się na czubku i spadła na obrus. Zdumiony Aune popatrzył na mokrą plamę.

- Opóźniony termostat - wyjaśnił Harry. - Ćwiczyłem. Aune zmarszczył nos.

- Jako lekarz powinienem zapewne to pochwalić, lecz jako filozof stawiam znak zapytania przy narażaniu organizmu na tego rodzaju nie przyjemności.

Przed Harrym stanął stalowy dzbanek i kubek.

- Dziękuję, Maju.

- Poczucie winy - powiedział Aune. - Niektórzy potrafią sobie z ni radzić wyłącznie przez karanie siebie samych. Jak wtedy, gdy pękas Harry. W twoim wypadku alkohol nie jest ucieczką, lecz ostatecznym sposobem ukarania samego siebie.

- Dziękuję. Tę diagnozę słyszałem już wcześniej z twoich ust.

- To dlatego tak ciężko trenujesz? Masz wyrzuty sumienia? Harry wzruszył ramionami. Aune zniżył głos:

- Ciągłe myślisz o Ellen?

Harry popatrzył Aunemu w oczy. Potem wolno podniósł do ust kubek z kawą i długo pił, nim wreszcie go odstawił, krzywiąc się.

- Nie, nie chodzi o sprawę Ellen. Do niczego nie doszliśmy, ale nie dlatego, że źle pracowaliśmy. Ja to wiem. Coś się jeszcze pojawi, prędzej czy później. Musimy być po prostu cierpliwi.

- To dobrze - powiedział Aune. - To nie twoja wina, że Ellen zginęła. Trzymaj się tej myśli. I nie zapominaj, że w opinii twoich kolegów złapany został właściwy człowiek.

- Może tak, może nie. On już nie żyje i nie może odpowiedzieć.

- Nie pozwól, żeby to się zmieniło w idee fixe, Harry. - Aune wsunął dwa palce do kieszonki tweedowej kamizelki i dyskretnie zerknął na srebrny zegarek. - Ale chyba nie o poczuciu winy chciałeś porozmawiać.

- Rzeczywiście. - Harry wyjął z kieszeni plik zdjęć. - Chciałbym wiedzieć, co o tym myślisz.

Doktor Aune zaczął przeglądać fotografie.

- Wygląda na napad na bank. Nie sądziłem, że Wydział Zabójstw zajmuje się takimi sprawami.

- Na kolejnym zdjęciu znajdziesz wyjaśnienie.

- Tak? Wyciągnął palec do kamery?

- Przepraszam, na jeszcze następnym.

- Oj, czy ona...?

- Tak. Prawie nie widać płomienia z lufy, ponieważ to AG3, ale właśnie nacisnął spust. Jak widzisz, kula akurat weszła w czoło kobiety. Na następnym zdjęciu widoczne jest, że wyleciała z tyłu głowy i wbiła się w drewno obok szyby w okienku.

Aune odłożył zdjęcia.

- Dlaczego zawsze musicie mi pokazywać te okropne fotografie?

- Żebyś wiedział, o czym mówimy. Spójrz na następne zdjęcie. Psycholog westchnął.

- Bandyta dostał swoje pieniądze. - Harry pokazał palcem. - Pozostaje mu jedynie ucieczka. To profesjonalista. Jest spokojny i zdecydowany, nie ma już powodów, żeby kogoś straszyć czy do czegoś zmuszać. A mimo to decyduje się na opóźnienie ucieczki jeszcze o kilka sekund, żeby zastrzelić pracownicę banku. Tylko dlatego, że kierownik potrzebował sześciu sekund więcej na opróżnienie bankomatu. Aune łyżeczką kreślił w herbacie powolne

ósemki.

- A ty się zastanawiasz, jaki motyw nim kierował?

- No cóż, zawsze istnieje motyw, ale trudno przewidzieć, po której I stronie rozumu trzeba go szukać. Jakież pierwsze skojarzenia?

- Poważne zaburzenia osobowości.

- Ale on we wszystkim innym, co robi, sprawia wrażenie bardzo racjonalnego.

- Zaburzenia osobowości nie oznaczają wcale, że ktoś jest głupi. Ludzie z takimi zaburzeniami są równie sprawni umysłowo, a często nawet sprawniejsi w osiągnięciu tego, czego pragną. Od nas różni ich to, że pragną czego innego.

- A co z narkotykami? Czy jakaś substancja może wzbudzić w normalnej osobie agresję do tego stopnia, że zechce zabić?

Aune pokręcił głową.

- Oszołomienie jedynie wzmacnia lub osłabia już istniejące skłonności. Ktoś, kto bije żonę po pijanemu, z reguły również na trzeźwo miewał ochotę ją uderzyć. Ludzie, którzy popełniają morderstwo z premedytacją, jak w tym wypadku, niemal zawsze mają ku temu szczególne predyspozycje.

- Chcesz powiedzieć, że ten człowiek jest szaleńcem?

- Albo został odpowiednio zaprogramowany.

- Zaprogramowany? Aune kiwnął głową.

- Pamiętasz tego bandytę, którego nigdy nie złapano? Raskola Baxheta?

Harry pokręcił głową.

- To Cygan - powiedział Aune. - Przez wiele lat krążyły plotki o tajemniczej figurze, będącej jakoby mózgiem stojącym za wszystkimi wielkimi napadami na transporty pieniędzy i na centrale depozytowe w Oslo w latach osiemdziesiątych. Upłynęło wiele lat, zanim policja zrozumiała, że on naprawdę istnieje, lecz nawet wówczas nie zdołano zebrać przeciwko niemu żadnych dowodów.

- Coś mi świta - powiedział Harry. - Ale mam wrażenie, że został ujęty-

- Mylisz się. Największym osiągnięciem policji było przesłuchanie dwóch bandytów, którzy obiecali, że będą świadczyć przeciwko Raskowi w zamian za zmniejszenie kary, lecz nieoczekiwanie zniknęli w tajemniczych okolicznościach.

- Nic w tym niezwykłego - stwierdził Harry, wyjmując paczkę cameli.

- Owszem, kiedy znikają z więzienia. Harry cicho gwizdnął.

- Mam jednak mimo wszystko wrażenie, że trafił do pudła.

- Owszem - przyznał Aune. - Ale nie został ujęty. Raskol sam się zgłosił. Pewnego

dnia nagle zjawił się w recepcji w Budynku Policji i powiedział, że chce się przyznać do wielu dawnych napadów. Naturalnie zapanowała wielka wrzawa, nikt niczego nie rozumiał, a Raskol odmówił wyjaśnień. Zanim sprawa trafiła do sądu, wezwano mnie, bym sprawdził, czy z jego głową wszystko w porządku, czy przyznanie się do winy będzie miało wagę na sali sądowej. Raskol zgodził się na rozmowę ze mną pod dwoma warunkami: po pierwsze, że rozegramy partię szachów. Nie pytaj mnie, skąd wiedział, że gram. A po drugie, że wezmę ze sobą francuskie tłumaczenie *The Art of War, Sztuki Wojny*. Bardzo starego chińskiego dzieła traktującego o taktyce wojennej.

Aune otworzył pudełko z cygaretkami Nobel Petit.

- Sprowadziłem książkę z Paryża i wziąłem ze sobą szachy. Wprowadzono mnie do celi, gdzie przywitałem się z człowiekiem, który z wyglądu przypominał mnicha. Pożyczył ode mnie pióro i zaczął przeglądać książkę, a mnie skinieniem głowy dał znak, żebym przygotował szachy i rozpoczął partię. Ustawiłem pionki i ruszyłem otwarciem Retisa - w którym atakuje się przeciwnika dopiero wtedy, gdy centralne pozycje są zajęte, Często bywa skuteczne w grze z przeciwnikiem średniego kalibru. Po jednym ruchu niemożliwe było stwierdzenie, jakie są moje zamiary, ale ten Cygan zerknął ponad książką na planszę, pociągnął się za kosią bródkę, spojrzał na mnie z wszechwiedzącym uśmiechem, zapisał coś w książce...

Plomień srebrnej zapalniczki oświetlił koniec cygaretki.

-...i dalej czytał. Pytam więc: „Nie przesunie pan pionka?” Widzę, że on nie przestaje notować moim piórem, ale odpowiada: „Nie muszę. Zapisuję teraz, jak potoczy się ta gra, ruch po ruchu. Zakończy się tym, że podda pan swojego króla”. Tłumaczę mu, że po jednym ruchu nie jest w stanie przewidzieć przebiegu gry. „Założymy się?” - pyta. Próbuje obrócić to w żart, ale on się upiera. Stawiam więc w końcu sto koron, aby lepiej go nastroić do dalszej rozmowy. On chce zobaczyć tę setkę. Muszę ją położyć przy planszy, tak, by mógł ją widzieć. Podnosi rękę, jak gdyby miał wykonać ruch w grze, i nagle wszystko zaczyna się dziać bardzo szybko.

- Szachy błyskawiczne?

Aune z uśmiechem wydmuchał w zamyśleniu niebieskie kółko dymu, które powędrowało do sufitu.

- W następnej chwili znalazłem się w żelaznym uścisku, z głową odgiętą w tył, tak że patrzyłem prosto w sufit, a jakiś głos szepnął mi prosto do ucha: „Czujesz ostrze noża, *gadźol*” I rzeczywiście, czułem je Cienkie, ostre jak brzytwa stalowe ostrze, które przyciskało się do mojej szyi, chciało przebić skórę i gardło. Miałeś kiedykolwiek okazję co takiego

poczuć, Harry?

Mózg Harry'ego błyskawicznie przeleciał rejestr podobnych doświadczeń, lecz nie znalazł niczego, co by całkiem pasowało. Pokręcił głową.

- To było uczucie - aby zacytować niektórych z moich pacjentów - fatalne. Tak strasznie się bałem, że mało nie popuściłem w spodnie A on szepnął mi do ucha: „Poddaj króla, Aune”. Zwolnił nieco uścisk, na tyle, żebym mógł unieść rękę i przewrócić moje figury. Potem równie nagle mnie puścił. Przeszedł na swoją stronę stołu i czekał, aż dojdę do siebie i zacznę normalnie oddychać. „Co to, u diabła, miało znaczyć?” - wydusiłem z siebie. „To był napad na bank - odparł. - Najpierw zaplanowany, a następnie zrealizowany”. Potem pokazał mi książkę, w której zapisał przebieg gry. Było w niej odnotowane moje jedyne posunięcie, a potem uwaga „Biały król kapituluje”. Na koniec spytał; „Uzyskałeś odpowiedź na swoje pytania, Aune?”.

- I co wtedy powiedziałaś?

- Nic. Wrzasnąłem na strażnika. Ale zanim zdążył otworzyć, zadałem Raskolowi ostatnie pytanie. Wiedziałem, że oszaleję, jeśli nie uzyskam odpowiedzi w tym momencie. Spytałem: „Zrobiłbyś to? Pode rznąłbyś mi gardło, gdybym nie przewrócił króla? Tylko po to, żeby wy grać jakiś idiotyczny zakład?”

- I co odpowiedział?

- Uśmiechnął się i spytał, czy wiem, czym jest zaprogramowanie.

- I co?

- To już wszystko. Drzwi się otworzyły i wyszedłem.

- Ale co miał na myśli, mówiąc o zaprogramowaniu? Aune odsunął od siebie kubek z herbatą.

- Można zaprogramować swój własny mózg, aby postępował według określonego schematu. Mózg obejmie nadrzędną rolę w stosunku do innych impulsów i nakaze zachowanie zgodne z przyjętymi uprzednio zasadami, bez względu na to, co się wydarzy. To bardzo przydatne w sytuacjach, w których naturalną reakcją mózgu jest panika. Na przykład wtedy, gdy spadochron się nie otwiera. Można mieć wówczas nadzieję, że skoczek ma odpowiednio zaprogramowane procedury awaryjne.

- Pewnie dotyczy to też żołnierzy na polu walki.

- No właśnie. Istnieją jednak metody, którymi można zaprogramować człowieka tak dokładnie, że wpadnie w trans, z którego nawet ekstremalne zewnętrzne wpływy go nie wytrąca, stanie się więc żywym robotem. Faktem jest, że to marzenie każdego generała, przerażająco łatwe do osiągnięcia, jeśli tylko zna się niezbędne techniki.

- Mówisz o hipnozie?

- Wolę to nazywać programowaniem. Nie brzmi wtedy tak tajemniczo. Chodzi po prostu o otwieranie i zamykanie dróg dla pewnych impulsów. Ci, którzy to potrafią, mogą bez trudu zaprogramować samych siebie, przeprowadzić tak zwaną autohipnozę. Gdyby Raskol zaprogramował się na zabicie mnie, jeśli nie poddam króla, to odciąłby sobie możliwość zmiany decyzji.

- Ale on cię przecież nie zabił?

- Wszystkie programy mają przycisk *Escape*, hasło, które przerywa trans. W tym wypadku mogło nim być położenie białego króla.

- Mhm, fascynujące.

- I teraz dochodzę do puenty...

- Chyba już ją rozumiem - powiedział Harry. - Bandyta na zdjęciu roógł się zaprogramować, że będzie strzelał, jeśli kierownik oddziału nie wyrobi się w wyznaczonym przedziale czasu.

- Zasady programowania muszą być proste. - Aune wrzucił cygaretkę do kubka z herbatą i zakrył go spodkiem. - Aby wprowadzić się w trans, należy stworzyć niewielki, lecz logicznie połączony system, który nie dopuści innych myśli.

Harry położył banknot pięćdziesięciokoronowy przy filiżance z kawą i wstał. Aune w milczeniu obserwował, jak Harry zbiera zdjęcia. W końcu spytał:

- Nie wierzysz w ani jedno słowo, prawda?

- Nie wierzę.

Aune też się podniósł i zapiał guzik marynarki na brzuchu.

- No to w co wierzysz?

- W to, czego nauczyło mnie doświadczenie - odparł Harry. - W to, że bandyci z reguły są równie głupi jak ja. Wybierają proste rozwiązania, kierują się nieskomplikowanymi motywami. Krótko mówiąc, że rzeczy z reguły są takie, na jakie wyglądają. Przypuszczam, że ten bandyta albo był oszołomiony do nieprzytomności, albo wpadł w panikę. To, co zrobił, było okropnie głupie, dlatego wnoszę, że jest głupi. Weź na przykład tego Cygana, którego najwyraźniej uważasz za takiego bystrego. Ile dostał za to zaatakowanie cię nożem?

- Nic - odparł Aune z sardonicznym uśmiechem.

- Jak to?

- Nie znaleziono przy nim żadnego noża.

- Wydawało mi się, że mówiłeś, że byliście zamknięci w jego celi?

- Czy kiedykolwiek leżałeś na plaży na brzuchu, a koledzy kazali ci się nie ruszać, bo

trzymają nad twoimi plecami rozżarzony węgiel? Po tern nagle ktoś woła „Ojej”, a ty w następnym momencie czujesz, jak iza parzy cię w plecy?

Mózg Harry’ego prędko przesortował wspomnienia z wakacji. Nie trwało to długo. - Nie.

- A potem okazywało się, że to tylko żart, że tak naprawdę trzymali kostki lodu.

- Ico?

Aune westchnął.

- Czasami zastanawiam się, gdzie spędziłeś te trzydzieści pięć lat które, jak twierdzisz, przeżyłeś, Harry.

Harry potarł twarz dłonią. Był zmęczony.

- No dobrze. Ale jaka jest twoja puenta, Aune?

- Że dobry manipulator potrafi ci wmówić, że krawędź stukoronowego banknotu to ostrze noża.

Blondynka, patrząc Harry’emu prosto w oczy, obiecała mu słoneczny dzień, lecz pod wieczór narastające zachmurzenie. Harry wcisnął wyłącznik i obraz skurczył się do malej jasnej kropki pośrodku czternastocalowego ekranu. Ale gdy zamknął oczy, na siatkówce pozostał obraz Stine Grette, a w uszach echo słów reportera: „Wciąż nie ma żadnych podejrzanych w sprawie”.

Znów otworzył oczy i przyjrzał się odbiciu w martwym ekranie. Widział samego siebie, stary zielony fotel z wysokim oparciem ze sklepu z rzeczami używanymi i goły stół-ławę, którego jedyną dekorację stanowiły plamy pozostawione przez szklanki i butelki. Wszystko było takie samo. Przenośny telewizor stał na półce między przewodnikiem po Tajlandii z serii Lonely Planet i atlasem drogowym Norweskiego Związku Automobilistów, który, odkąd tu zamieszkał, nie przejechał nawet kilometra w ciągu tych blisko już siedmiu lat. Czytał kiedyś o „siedmioletnim świerzbieniu”, o tym, że po mniej więcej siedmiu latach ludzie zazwyczaj zaczynają tęsknić za nowym miejscem zamieszkania. Albo za nową pracą. Albo za nowym partnerem. On niczego takiego nie zauważył. A w tym samym miejscu pracował już od prawie dziesięciu lat. Spojrzał na zegarek. Anna mówiła o ósmej.

Jeśli chodzi o partnera, to nigdy nie osiągnął stanu dającego mu możliwość wypróbowania tej teorii. Oprócz dwóch związków, które być może miały szansę zejść tak daleko, jego romanse kończyły się z powodu tego, co Harry nazywał „świerzbieniem sześciotygodniowym”. Nie wiedział, czy jego niechęć w angażowanie się wynika z faktu, iż dwukrotnie, gdy pokochał kobietę, kończyło się to tragedią. A może raczej winę ponosiły za to jego dwie stałe kochanki: policja i wódka? W każdym razie zanim przed rokiem poznał

Rakel, zaczął skłaniać się ku przekonaniu, że nie został stworzony do stałych związków. Pomyślał teraz ojej dużej chłodnej sypialni w Holmenkollen. O ich zakodowanych pomrukiwaniach przy śniadaniu. O wiszącym na drzwiach lodówki rysunku Olega, przedstawiającym troje ludzi trzymających się za ręce, na którym postać z napisem „HARY” sięgała wysoko aż do żółtego słońca na bezchmurnym niebie. Podniósł się z fotela, odszukał przy automatycznej sekretarce kartkę i z jej numerem telefonu i wstukał numer w komórce. Dopiero po czterech dzwonekach podniesiono słuchawkę na drugim końcu linii.

- Cześć, Harry.

- Cześć. Skąd wiedziałaś, że to ja? Cichy głęboki śmiech.

- Gdzieś ty był przez ostatnie lata, Harry?

- Tu i tam. A dlaczego? Czyżbym się wygłupił? Roześmiała się głośnie.

- Aha, widzisz na wyświetlaczu numer, z którego dzwonię. Głupi jestem. - Harry usłyszał, jak idiotycznie to zabrzmiało, ale trudno. Najważniejsze, żeby powiedzieć to, z czym zadzwonił, i się rozłączyć. Skończona bajka.

- Posłuchaj, Anno. Jeśli chodzi o naszą umowę na wieczór...

- Nie bądź dziecinny, Harry.

- Dziecinny?

- Właśnie szykuję najlepsze curry tysiąclecia. A jeśli boisz się, że cię uwiodę, to się rozczarujesz. Uważam po prostu, że winni jesteśmy sobie kilka godzin rozmowy przy obiedzie. Powspominamy dawne czasy. Uporządkujemy parę nieporozumień z tamtych dni. Albo po prostu trochę się pośmiejemy. Pamiętasz chili japone?

- No cóż, tak.

- Świetnie. Wobec tego punktualnie o ósmej, dobrze?

- No...

- Doskonale.

Anna się rozłączyła, ale Harry jeszcze długo wpatrywał się w telefon.

8 DŻALALABAD

- Zaraz cię zabiję - powiedział Harry i mocniej ścisnął zimną stal karabinu. - Chcę tylko, żebyś najpierw to wiedział. Otwórz usta.

Ludzie wokół niego byli woskowymi lalkami, nieruchomi, pozbawieni duszy, odczłowiczeni. Harry pocił się pod maską, czuł pulsowanie krwi w skroniach, każde uderzenie tętna pozostawiało po sobie tępy ból. Nie chciał patrzeć na tłum wokół siebie, nie

chciał widzieć ich oskarżycielskich spojrzeń.

- Schowaj pieniądze do torby - powiedział do pozbawionej twarzy osoby przed nim. -
A potem włóż torbę na głowę.

Osoba bez twarzy zaczęła się śmiać, Harry odwrócił karabin i uderzył ją kolbą, ale nie trafił. Teraz inne osoby obecne na sali też zaczęły się śmiać, Harry przyjrzał im się przez nierówne dziury wycięte w masce. Nagle wydały mu się znajome. Dziewczyna w drugim okienku przypominała Birgitte. Gotów też był się założyć, że kolorowy mężczyzna przy automacie z numerkami to Andrew, a siwowłosa pani z wózkiem dziecięcym...

- Mama? - szepnął.

- Bierzesz pieniądze czy nie? - spytał człowiek bez twarzy. - Zostało dwadzieścia pięć sekund.

- Ja decyduję, ile czasu to potrwa! - wrzasnął Harry, wsuwając mu lufę karabinu w czarne otwarte usta. - To ty! Wiedziałem to przez cały czas. Za sześć sekund umrzesz. Bój się!

Człowiekowi bez twarzy z ust ciekła krew, a wybity ząb zwisał na strzępku skóry, lecz on mówił dalej, nie zwracając na to uwagi.

- Nie jestem już w stanie dłużej bronić tego, że tracimy czas i środki, kierując się względami osobistymi.

Gdzieś daleko natarczywie rozdzwonił się telefon.

- Bój się! Zaczynij się bać, tak samo jak ona się bała!

- Ostrożnie, Harry! Niech to się nie zmieni w *idee fixe*. Harry czuł ruchy ust na kolbie.

- Ona była policjantką, ty draniu! Była moją najlepszą... - Maska kleiła się do ust, utrudniając oddychanie. Ale głos człowieka bez twarzy dalej międlił:

- Poszła w siną dal.

-...przyjaciółką. - Harry nacisnął spust do końca. Nic się nie zmieniło. Otworzył oczy.

Pierwszą rzeczą, jaką sobie uświadomił, było to, że po prostu zasnął. Siedział w tym samym zielonym fotelu i patrzył w martwy ekran telewizora. Ale pojawił się nowy element: płaszcz. Leżał na nim i zakrywał mu pół twarzy, w ustach miał smak mokrego płótna. A pokój oświetlało światło dzienne. Potem poczuł uderzenie młotem, trafiało w nerw za oczami raz po raz z bezlitosną precyzją. Wynikiem był zdumiewający, lecz zarazem znajomy ból. Harry usiłował coś sobie przypomnieć. Czyżby trafił do Schrodera? Zaczął pić u Anny? Ale, jak się tego obawiał, pamięć była czarną dziurą. Pamiętał, że po rozmowie telefonicznej z Anną usiadł w salonie, ale dalej nie było już nic. Teraz zaprotestował żołądek i wyrzucił z siebie całą zawartość. Harry wychylił się za fotel i usłyszał plusk wymiocin na parkiecie.

Jęknął, zamknął oczy, usiłując odgrodzić się od dźwięku telefonu, który nie przestawał dzwonić. Gdy włączyła się automatyczna sekretarka, już spał.

Miał wrażenie, że ktoś pociął jego czas na kawałki i porozrzucał dookoła. Obudził się, lecz na razie jeszcze nie otwierał oczu, chcąc sprawdzić, czy nastąpiła jakaś poprawa. Nic takiego nie zauważył. Jediną różnicą było to, że młoty poszerzyły swój obszar działania, cuchnęło wymiocinami i wiedział, że nie uda mu się już zasnąć. Policzył do trzech, wstał, chwiejąc się na nogach, z trudem przeszedł osiem kroków dzielących go od łazienki i znów opróżnił żołądek. Stał, przytrzymując się mocno sedesu i próbując odzyskać oddech, i ku swemu zdumieniu stwierdził, że żółta materia spływająca po białej porcelanie zawiera mikroskopijne czerwone i zielone kawałeczki. Zdołał uchwycić jeden z tych czerwonych w dwa palce, zaniósł go do umywalki, opłukał i unióś pod światło. Potem ostrożnie umieścił go między zębami i zagryzł. Skrzywił się, czując palący sok chili japone. Umył twarz i wyprostował się. W lustrze zobaczył olbrzymi siniec pod okiem. Światło w pokoju zakłuło go w oczy, gdy włączał automatyczną sekretarkę.

„Mówi Beatę Lonn. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Ale Warssonj kazał mi zadzwonić do wszystkich od razu. Był kolejny napad. Bank DnB na Kirkeveien, między parkiem Frogner a skrzyżowaniem na Majorstua”.

MGŁA

Słońce zniknęło za warstwą stalowoszarych niskich chmur, które napływały z Oslofjorden, a w ramach uwertury do zapowiadanego deszczu nadciągnęły również gniewne podmuchy południowego wiatru pogwizdywało w rynnach i trzepało markizami wzdłuż Kirkeveien przewa były już całkiem nagie, jakby ktoś wysłał z miasta ostatnie kolory i w Oslo została sama czern i biel. Harry, idąc pod wiatr, nachylił się z rękami w kieszeniach przytrzymał połę płaszcza. Wcześniej stwierdził, że pożegnał się z dolnym guzikiem, prawdopodobnie w ciągu wieczoru albo nocy, a, niestety, nie był to jedyny brakujący guzik. Kiedy chciał zadzwonić do Anny, by pomogła mu zrekonstruować poprzedni wieczór, zorientował się, że zgubił też komórkę. A gdy próbował połączyć się z nią z telefonu stacjonarnego, odpowiedział mu głos, w którym rozpoznał automatyczną katarynkę rodem z zamierzchłej przeszłości; oświadczyła, że osoba, z którą próbuje się skontaktować, jest w obecnej chwili niedostępna, ale może zostawić numer telefonu lub wiadomość. Zrezygnował.

Dość prędko doszedł do siebie i z zaskakującą łatwością przemógł pragnienie dalszego ciągu. Nie zdecydował się na zbyt krótką wyprawę do sklepu monopolowego czy do

Schrodera, zamiast tego wziął prysznic, ubrał się i wyruszył z Sofies gate piechotą. Minał stadion Bislett, poszedł Pilestredet obok Stensparken i przez Majorstua. Zastanawiał się, co też takiego pił. Zamiast obligatoryjnych bólów brzucha, będących dziełem Jima Beama, wszystkie zmysły przesłoniła mgła, której nie zdołały rozwiać nawet świeże podmuchy wiatru.

Przed oddziałem banku DnB stały dwa samochody policyjne z włączonymi niebieskimi światłami. Harry pokazał swój identyfikator jednemu z funkcjonariuszy w mundurze, schylił się pod taśmami odgradzającymi teren i skierował do drzwi wejściowych, gdzie Weber rozmawiał z jednym ze swoich ludzi z Wydziału Techniki Kryminalistycznej.

- Dobrze popołudnie, panie komisarzu - powiedział Weber z naciskiem na „popołudnie”. Na widok podbitego oka Harry’ego uniósł brwi. - Żona zaczęła bić?

Harry nie wymyślił żadnej elokwentnej odpowiedzi i zamiast tego wyjął papierosa z paczki.

- Co tu mamy?

- Zamaskowanego faceta z bronią AG3.

- Ptaszek uleciał?

- Wysoko.

- Ktoś rozmawiał już ze świadkami?- Pewnie. Li i Li działają w Budynku Policji.

- Są już jakieś szczegóły co do przebiegu?

- Bandyta dał kierownicze oddziału dwadzieścia pięć sekund na otwarcie minibanku, w tym czasie trzymał broń przyłożoną do głowy jednej z pracownic w okienkach.

- I kazał jej mówić za siebie?

- Jasne. A po wejściu do banku użył tego samego angielskiego zwrotu.

- *This a robbery. Don't move* - rozległ się jakiś głos z tyłu, po czym? nastąpił krótki śmiech w rytmie staccato. - Naprawdę miło, że mogłeś do nas zajrzeć, Hole. Ojej, poślizgnąłeś się w łazience?

Harry zapalił papierosa jedną ręką, jednocześnie podsuwając paczkę; Ivarssonowi, który pokręcił głową.

- Paskudny nałóg, Hole.

- Masz rację. - Harry wsunął camele do wewnętrznej kieszeni płaszcza. - Nie powinno się nikomu proponować swoich papierosów, bo należy założyć, że dżentelmen kupuje własne. Tak powiedział Benjamin Franklin.

- Naprawdę? - Ivarsson udał, że nie widzi wyszczerzonych; w uśmiechu zębów Webera. - Dużo się naczytałeś, Hole. Może dotarło do ciebie również, że nasz bandyta znów

zaatakował. Dokładnie tak jak przewidzieliśmy.

- Skąd wiesz, że to on?

- Chyba zrozumiałeś, że to dokładna kopia napadu na oddział Nordei na Bogstadveien.

- Tak? - Harry zaciągnął się głęboko. - A gdzie zwłoki? Zmierzyli się z Ivarssonem wzrokiem. Błysnęły zęby gada. Webe uznał, że musi się wtrącić:

- Kierowniczką była szybka. Zdążyła opróżnić bankomat w ciągu dwudziestu trzech sekund.

- Nie ma ofiar - powiedział Ivarsson. - Rozczarowany?

- Nie. - Harry wypuścił dym przez nos. Poryw wiatru go rozwiął, a mgła w głowie nie chciała ustąpić.

Kiedy drzwi się otworzyły, Halvorsen podniósł głowę znad Silvii.

- Mogę zamówić wysokooktanowe espresso, *pronto*? - Harry opadł na krzesło.

- Tak, tak, ja też cię witam - odparł Halvorsen. - Jak ty wyglądasz? Harry zakrył twarz dłońmi.

Nie pamiętam kompletnie nic z tego, co się stało wczoraj. Nie mam pojęcia, co piłem, ale nigdy w życiu nie wezmę już do ust ani kropli czegoś podobnego.

Zerknął pomiędzy palcami i spostrzegł, że na czole kolegi pojawiła się zmarszczka troski.

- Spokojnie, Halvorsen, to po prostu nieszczęśliwy wypadek. Jestem teraz trzeźwy jak niemowlę.

- Co się stało?

Harry zaśmiał się głucho.

- Treść żołądkowa wskazuje, że byłem na prozanej kolacji. Próbowałem kilka razy do niej dzwonić, żeby to potwierdzić, ale nie odpowiada.

- Ona?

- Tak, ona.

- To jakaś marna policjantka? - spytał ostrożnie Halvorsen.

- Skup się na kawie - odburknął Harry. - Stara znajoma. Całkiem niewinne spotkanie.

- Skąd wiesz? Przecież nic nie pamiętasz.

Harry potarł nieogolony podbródek. Pomyślał o tym, co powiedział mu Aune: że zamroczenie alkoholem lub narkotykami jedynie wzmacnia skłonności, które człowiek ma już wcześniej. Nie wiedział, czy go to uspokaja. W pamięci powoli zaczynały się pojawiać pewne szczegóły. Czarna sukienka. Anna była ubrana w czarną sukienkę. Leżał na schodach. Pomogła mu jakaś kobieta, która miała tylko pół twarzy. Jak postać z portretów Anny.

- Zawsze mam blackouty - powiedział Harry. - Ten nie był wcale gorszy od innych.

- A oko?

- Pewnie walnąłem się o szafkę w kuchni, jak wróciłem do domu.

- Nie chcę cię bardziej dręczyć, Harry, ale to wygląda na zderzenie z czymś cięższym niż z szafką.

- A czy ja wyglądam na udreżonego? Zawsze kiedy się biłem po pijaku, to z ludźmi, których nie lubiłem nawet wtedy, gdy byłem trzeźwy.

- Masz wiadomość od Moliera. Prosił, żeby ci przekazać, że chyba będzie w porządku, ale nie mówił, co. Harry obrócił kawę w ustach, a kiedy ją przełknął, stwierdził: - Poprawiasz się, Halvorsen. Naprawdę się poprawiasz.

Napad został szczegółowo omówiony podczas odprawy grupy śledczej w Budynku Policji tego samego dnia po południu. Didrik; Gudmundson poinformował, że od momentu uruchomienia alarmu w banku do chwili przyjazdu policji upłynęły trzy minuty, lecz bandyta zdążył już wtedy opuścić miejsce zdarzenia. Oprócz wewnętrzne - jego kręgu radiowozów, które natychmiast zablokowały najbliższe ulice, w ciągu następnych dziesięciu minut utworzono zewnętrzny kordon na najważniejszych głównych drogach. Zamknięto E18 w okolicach Fornebu, Ring 3 przy Ullev 31, Trondheimsveien przy szpitalu Aker, Griniveien przez Bzerum i skrzyżowanie na Carl Berners plass.

- Chciałbym, abyśmy mogli nazwać to żelaznym pierścieniem, aley wiecie, jak jest dzisiaj z obsadą.

Torii Li przesłuchała świadka, który widział, jak mężczyzna w kominiarce wsiada jako pasażer do białego opla ascony stojącego z włączoli nym silnikiem na Majorstuveien. Samochód skręcił w lewo w Iacob Aals gate. Magnus Rian zameldował, że inny świadek zauważył biały samochód, możliwe, że opla, który ktoś wprowadził do garażu na Vinderen, a wkrótce potem wyjechało z niego niebieskie volvo. Ivarsson popatrzyli na plan miasta zawieszony na tablicy.

- To nie jest nieprawdopodobne. Ogłoś, że poszukujemy też niebieskich volvo, Ola. Weber?

- Włókna z ubrania - odparł Weber. - Dwa za kontuarem w miejscu, gdzie przeskoczył, i jedno w drzwiach.

- Yes! - Ivarsson uniósł w górę zaciśniętą pięść. Zaczął krążyć wokół stołu za plecami pozostałych, co Harry uznał za niezwykle denerwu jące. - Teraz trzeba szukać odpowiednich kandydatów. Zamieścimy film z napadu w Internecie, gdy tylko Beatę załatwi montaż.

- Czy to mądre? - spytał Harry, odchylając krzesło do ściany, żeb; odciąć drogę

Ivarssonowi.

Naczelnik wydziału spojrział na niego zdumiony.

- Czy to mądre? Nie mamy nic przeciwko temu, żeby ktoś zadzwonił i powiedział nam, kim jest osoba na filmie.

- Pamiętacie tę matkę - wtrącił Ola - która zadzwoniła z informacją, że to jej syn jest na tym filmie z napadu? A potem okazało się, że on już siedzi za inny napad.

Głośny śmiech. Ivarsson też się uśmiechnął.

- Nigdy nie odrzucamy żadnego nowego świadka, Hole.

- Ani papugi - Harry założył ręce za głowę.

- Naśladowcy? Przestań, Hole.

- Tak? Gdybym miał dzisiaj obrabować bank, to z całą pewnością skopiowałbym aktualnie najbardziej poszukiwanego bandytę w Norwegii, żeby skierować podejrzenia na niego. Wszystkie szczegóły napadu na Bogstadveien były dostępne w Internecie.

Warsson pokręcił głową.

- Obawiam się, że w świecie rzeczywistym, Hole, przeciętny przestępca, który napada na bank, nie jest aż tak wyrafinowany. Czy ktoś ma ochotę wyjaśnić Wydziałowi Zabójstw, jaka jest najbardziej typowa cecha bandyty seryjnie napadającego na banki? Widzę, że nikt. Ale chodzi mi o to, że taki ktoś z drobiazgową dokładnością powtarza wszystko, co robił podczas poprzedniego udanego napadu. Dopiero gdy napad się nie powiedzie, jeśli przestępca nie zdoła zabrać pieniędzy lub zostaje ujęty, zmienia schemat działania.

- To uprawdopodobnia twoje twierdzenie, lecz nie wyklucza mojego - odparł Harry.

Ivarsson omiół stół zrezygnowanym spojrzeniem, jak gdyby prosił o pomoc.

- W porządku, Hole. Będziesz mógł przetestować swoje teorie. Właśnie postanowiłem, że wypróbujemy nową metodę pracy. A mianowicie niewielka jednostka będzie pracować niezależnie, lecz równolegle z całym zespołem śledczym. Pożyczyłem sobie ten pomysł od FBI, a chodzi o to, żeby nie zafiksować się w patrzeniu na sprawę pod jednym kątem, jak często bywa w wypadku większych grup, w których świadomie lub podświadomie pojawia się zgodność co do głównych linii działania. Ta mała grupa może nam zapewnić nowy punkt widzenia na sprawę, ponieważ będzie pracować niezależnie i nie będzie poddawana wpływowi tej drugiej grupy. Metoda okazała się skuteczna w skomplikowanych śledztwach. Przypuszczam, że większość z tu obecnych zgodzi się, że Harry Hole posiada wrodzone kwalifikacje, by być członkiem takiej grupy. Tu i ówdzie rozległ się chichot. Warsson przystanął za krzesłem! Beatę.

- Beatę, ty dołączysz do Holego i razem stworzycie tę jednostkę. Beatę się

zaczerwieniła. Ivarsson ojcowskim gestem położył jej rękę na ramieniu.

- Jeśli okaże się, że to nic działa, daj mi znać.

- Na pewno dam - obiecał Harry.

Harry już miał otworzyć bramę kluczem, kiedy zmienił zdanie i przeszedł dziesięć metrów do sklepiku spożywczego. Ali znosił z chodnika skrzynki z owocami i warzywami.

- Cześć, Harry. Już w lepszej formie? - Ali uśmiechnął się szeroko, a Harry na moment przymknął oczy. A więc było tak, jak się tego obawiał.

- Pomogłeś mi, Ali?

- Tylko wejść po schodach na górę. Kiedy otworzyliśmy drzwi do mieszkania, powiedziałeś, że już sam sobie dasz radę.

- A jak wróciłem? Piechotą czy...

- Taksówką. Winny mi jesteś sto dwadzieścia koron. Harry jęknął i wszedł za Alim do sklepu.

- Przepraszam, Ali. Naprawdę. Możesz mi przedstawić skróconą wersję, nie wdając się w zbyt przykre szczegóły?

- Kłóciłeś się z kierowcą. A okna naszej sypialni wychodzą na ulicę. Cholernie niedobrze mieć okna na tę stronę - dodał z przeproszającym uśmiechem.

- A o której to było?

- W środku nocy.

- Ali, ty wstajesz o piątej. Nie wiem, co ludzie tacy jak ty uważają środek nocy.

- Pół do dwunastej, co najmniej.

Harry obiecał, że to się już nigdy więcej nie powtórzy, a Ali poki głową, jak się robi, kiedy słyszy się historie od dawna znane już na mięk. Harry spytał, jak może się odwdzińczyć, na co Ali odparł, że mógł by mu wynająć pustą piwnicę. Harry obiecał, że pomyśli o tym jeszcze więcej niż do tej pory, oddał Alemu pieniądze i zapłacił za colę, paczkę makaronu i klopsiki.

- No to jesteśmy rozliczeni - powiedział Harry. Ali jednak pokręcił głową.

- Jeszcze wspólne wydatki za trzy miesiące - oświadczył przewodniczący, kasjer i złota rączka wspólnoty.

- O cholera, zapomniałem.

- Jak Eriksen - uśmiechnął się Ali.

- Kto?

- Latem dostałem od niego list. Prosił mnie o podanie numeru konta, żeby mógł uregulować wspólne wydatki za maj i czerwiec tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt dwa.

Twierdził, że przez ten dług nie mógł spać przez ostatnie trzydzieści lat. Odpisałem, że nikt w kamienicy już go nie pamięta, więc właściwie może nie płacić. - Ali pogroził Harry'emu palcem. - Ale tobie nie daruję.

Harry podniósł ręce do góry. - Jutro wypiszę przelew.

Po wejściu do mieszkania natychmiast znów zatelefonował do Anny. Odpowiedziała mu ta sama katarynka co poprzednio. Lecz gdy tylko wrzucił makaron do wrzątku, a klopsiki na patelnię, przez szum gotującej się wody przedarł się dzwonek telefonu. Wybiegł do przedpokoju i podniósł słuchawkę.

- Halo? - zawołał.

- Cześć - odparł znajomy kobiecy głos, lekko zaskoczony.

- A, to ty.

- A myślałeś, że kto? Harry zamknął oczy.

- Koleżanka z pracy. Był nowy napad. - Słowa miały smak żółci i chili. Powrócił tępy ból za oczami.

- Próbowałam dodzwonić się do ciebie na komórkę - powiedziała Rakel.

- Zgubiłem.

- Zgubiłeś?

- Gdzieś ją zostawiłem albo mi ukradli. Nie wiem, Rakel.

- Coś się stało, Harry?

- Stało?

- Sprawiasz wrażenie... zestresowanego.

- Ja...

- Tak?

Harry nabrał powietrza.

- Co ze sprawą?

Słuchał jej wyjaśnień, ale nie potrafił ułożyć słów w zdania, które miałyby sens. Wychwycił „situacja finansowa”, „dobro dziecka” i „pak siedzenie pojednawcze”, zrozumiał z tego tyle, że nie wydarzyło się nic nowego, rozprawa została odłożona do piątku, a Oleg miewa się dobrze,) ale ma dość mieszkania w hotelu.

- Powiedz mi, że już się cieszę na wasz powrót - powiedział. Kiedy się rozłączyli, Harry zadał sobie pytanie, czy nie powinien oddzwonić. Ale po co? Żeby jej powiedzieć, że jadł kolację u dawnej kochanki i nie ma pojęcia, co się stało później? Już kładł rękę na telefonie, lecz w tej samej chwili zawył czujnik dymu w kuchni. A ledwie zdążył zsunąć patelnię z płyty i otworzyć okno, jeszcze raz odezwał się telefon. Później Harry miał myśleć,

że mnóstwo rzeczy ułożyłoby się inaczej, gdyby Bjarne Molier nie zadzwonił do niego akurat tego wie czoru.

- Wiem, że właśnie zszedłeś ze służby - powiedział Molier - ale trochę brakuje nam ludzi. A znaleziono w mieszkaniu martwą kobietę. Wygląda na to, że się zastrzeliła. Mógłbyś tam zajrzeć?

- Jasne, szefie. Przynajmniej tyle jestem ci winien. Ivarsson przedstawił równoległe śledztwo jako swój własny pomysł.

- A co ty byś zrobił, gdybyś był szefem i dostał taki nakaz odgórnie?

- Idea mojej osoby w roli szefa przechodzi ludzką wyobraźnię. Jak się dostanę do tego mieszkania?

- Bądź w domu, ktoś po ciebie przyjedzie.

Dwadzieścia minut później zabrzączał dzwonek do drzwi. Był to dźwięk, który Harry słyszał tak rzadko, że drgnął przestraszony. Głos, który oznajmił, że taksówka podjechała, miał metaliczny pogłos zniekształcony przez domofon, lecz Harry i tak poczuł, że włosy na karku mu się jeżą. A kiedy zszedł na dół i zobaczył niski czerwony sportowy samochód, toyotę MR2, jego podejrzenia się potwierdziły.

- Dobry wieczór, Hole. - Głos dobiegł z otwartego okna samochodu, lecz z poziomu tak nisko nad asfaltem, że Harry nie widział twarzy mówiącego.

Otworzył drzwiczki, w środku powitał go funky bass, organy tak syntetyczne jak niebieskie dropy i znajomy falset: *You sexy mother fucka!*

Harry z pewnym wysiłkiem umościł się w ciasnym wiadrociatym siedzeniu.

- No, tośmy się spotkali - powiedział komisarz Tom Waaler, rozciągając w uśmiechu teutońską szczękę i odsłaniając imponujący rząd nieskazitelnie białych zębów, odcinających się od opalonej twarzy.

Ale oczy o barwie polarnego błękitu pozostały równie zimne. Wiele osób w Budynku Policji nie lubiło Harry'ego, lecz wiedział o jednej tylko osobie, która żywiła do niego bezpośrednią nienawiść. Zdawał sobie sprawę, że Waaler uważa go za niegodnego reprezentanta sił policji, a na dodatek odbiera to jako osobistą urazę. Harry wielokrotnie dawał wyraz temu, że nie podziela półbrunatnych poglądów Waalera i niektórych kolegów na temat pedałów, komunistów, nierobów, żółtków, czarnuchów, cyganów i innych brudasów. Natomiast Waaler ze swojej strony nazywał Harry'ego „zapijaczonym rockowcem”. Harry podejrzewał jednak, że prawdziwym powodem nienawiści Waalera jest fakt, że Harry pije. Tom Waaler nie tolerował bowiem słabości. Harry sądził, że właśnie dlatego tyle godzin spędza w siłowni na wymierzaniu wysokich kopniaków i ciosów w worki z piaskiem i w

coraz to nowych partnerów sparingowych. W kantynie Harry podsłuchiwał jednego z młodych funkcjonariuszy opisującego z podziwem w głosie, jak Waaler złamał obie ręce jednemu z karateków z gangu Wietnamczyków z dworca Oslo S. Zważywszy na poglądy Waalera na kolor skóry, Harry'emu wydawało się pewnym paradoksem to, że kolega tyle czasu spędza w solarium, lecz być może było tak, jak twierdził pewien cięty język: że Waaler tak naprawdę nie jest rasistą, bo z równą ochotą bije zarówno czarnuchów, jak i neonazistów.

Oprócz tego, co wszyscy wiedzieli, było jeszcze to, o czym nie wiedział nikt. Jedynie nieliczni jakby coś przeczuwali, chociaż minął już ponad rok od czasu, gdy Sverre Olsen, jedyny człowiek mogący im powiedzieć, dlaczego zamordowana została Ellen Gjeltten, został znaleziony na łóżku z pistoletem, który właśnie wystrzelił, w rękę i z kulą Waalera między oczami.

- Uważaj, Waaler.

- O co chodzi? Harry wyciągnął rękę i przyciszył miłosne jęki.

- Ślisko dzisiaj.

Silnik terkotał jak maszyna do szycia, ale ten dźwięk był zwodniczy, bo przyspieszenie sprawiło, że Harry poczuł twarde siedzenie wbijające mu się w plecy. Sunąc po ziemi, minęli Stensparken i znaleźli się na Suhms gate.

- Dokąd jedziemy? - spytał Harry.

- Tutaj - odparł Waaler, gwałtownie skręcając w lewo tuż przed nadjeżdżającym z przeciwka samochodem. Okno wciąż było otwarte i Harry słyszał kłaskający odgłos mokrych liści oblepiających opony.

- Witamy z powrotem w Wydziale Zabójstw - rzucił Harry. - Nie chcieli cię trzymać w POT?

- Reorganizacja - wyjaśnił Waaler. - Poza tym naczelnik Biura Kryminalnego i Molier chcieli, żebym wrócił. Może jeszcze pamiętasz, że miałem niezłe wyniki w Wydziale Zabójstw.

- Jak mógłbym o tym zapomnieć?

- No, dużo się słyszy o długofalowych skutkach picia. Harry jeszcze zdążył przytrzymać się ręką deski rozdzielczej, zanim gwałtowne hamowanie rzuciło nim o szybę. Pokrywa schowka otworzyła się i coś ciężkiego uderzyło go w kolano, zanim upadło na podłogę.

- Co to jest, do cholery? - jęknął.

- Jericho 941, izraelski pistolet policyjny - odparł Waaler, gasząc silnik. - Nienaladowany. Zostaw, niech leży. Jesteśmy na miejscu.

- Tutaj? - spytał Harry zdumiony, nachylając się, by móc spojrzeć w górę żółtej kamienicy.

- A dlaczego nie? - Waaler był już w połowie poza samochodem. Harfy poczuł, że serce zaczyna mu walić i w czasie, gdy szukał klamki, w głowie kołatała tylko jedna myśl: powinien był zadzwonić do Rakel.

Mgła powróciła. Napłynęła z ulicy szczelinami w zamkniętych oknach, zza drzew w alei, z niebieskiej bramy, która otworzyła się, kiedy Waaler warknął coś krótko do domofonu, sączyła się przez dziurki od kluczy w mijanych przez nich drzwiach. Otoczyła Harry'ego miękką kołdrą z waty, a gdy wchodzili do mieszkania, miał wrażenie, że stąpa po chmurach, a wszystko wokół niego, ludzie, głosy, trzaski krótkofalówek, światło lamp-błyskowych nabrało sennej miękkości, pokryło się warstwą obojętności, ponieważ to nie było, nie mogło być rzeczywiste. Lecz gdy stanęli przed łóżkiem, na którym leżała zmarła z pistoletem w prawej ręce i czarną dziurą w skroni, nie był w stanie patrzeć na krew pa poduszce ani na puste oskarżycielskie spojrzenie. Zamiast tego wbił wzrok w wezłowie łóżka, w konia z odgryzioną głową, i miał nadzieję, że mgła wkrótce się podniesie, a on się obudzi.

10 BEZTROSKA

Głosy wokół niego pojawiały się i znikaly.

- Komisarz Tom Waaler. Czy ktoś może przedstawić mi przebieg wypadków?

- Przyjechaliśmy przed trzema kwadransami. Znalazł ją elektryk.

- O której?

- O piątej. Od razu zadzwonił na policję. Nazywa się... zaraz, zaraz... Rene Jensen.

Mam też jego numer osobisty i adres.

- Dobrze, zadzwoncie i sprawdźcie jego kartotekę.

- Okej.

- Rene Jensen?

- To ja.

- Może pan tu podejść? Nazywam się Waaler. Jak pan tu wszedł?

- Mówiłem już innym. Miałem ten zapasowy klucz. Przyniosła go do zakładu we wtorek, bo nie mogła być w domu, kiedy miałem zrobić tę robotę.

- Dlatego że miała być w pracy?

- Nie mam pojęcia, ale wydaje mi się, że nie pracowała. Znaczy nie w zwykłej pracy. Mówiła, że ma mieć jakąś wielką wystawę czegoś tam.

- To znaczy artystka? Ktoś tu o niej słyszał? Cisza.

- Co pan robił w sypialni, Jensen?

- Szukałem łazienki. Inny głos:

- Łazienka jest tu, za tymi drzwiami.- Okej. Zauważył pan coś podejrzanego, kiedy pan wszedł do mieszkania, Jensen?

- Podejrzanego...? W jakim sensie?

- Czy drzwi były zamknięte na klucz, jakieś okna otwarte, jakiś szczególny zapach czy dźwięk? Cokolwiek.

- Drzwi były zamknięte na klucz. Otwartych okien nie zauważyłem, ale i nie szukałem. Jedyne zapach to taki rozpuszczalnik...

- Terpentyna? Ten drugi głos:

- W jednym z pokoi stoją przybory malarskie.

- Dziękuję. Zauważył pan coś jeszcze, Jensen?

- A o co pytał pan na końcu?

- O dźwięk.

- Aha, o dźwięk. Nie, nie było żadnych dźwięków. Cicho jak w grobie. To znaczy... Nie chciałem...

- W porządku, Jensen. Znał pan zmarłą już wcześniej?

- Pierwszy raz ją zobaczyłem, kiedy przyszła do zakładu. Sprawiała wrażenie bardzo zadowolonej.

- Czego chciała od pana?

- Żebym naprawił termostat w ogrzewaniu podłogowym w łazience.

- Może pan wyświadczyć nam tę przysługę i sprawdzić, czy naprawdę coś jest nie tak? Czy w ogóle jest jakieś ogrzewanie podłogowe?

- Dlaczego...? A już rozumiem... że niby wszystko zaplanowała tak, żebyśmy ją znaleźli?

- Mniej więcej.

- No tak, ale termostat się spieprzył.

- Spieprzył się?

- Popsuł.

- Skąd pan to wie? Milczenie.

- Przecież powiedziano panu, żeby pan nic nie ruszał, Jensen.

- No, owszem, ale tak cholernie długo nie przyjeżdżaliście. Zdenerwowałem się i musiałem coś sobie znaleźć.

- To znaczy, że teraz ten termostat działa?

- Jak to... No tak.

*

Harry usiłował odsunąć się od łóżka, ale stopy nie chciały nawet drgnąć. Lekarz zamknął Annie oczy, wyglądała teraz, jakby spała. Tom Waaler odesłał elektryka do domu z informacją, by w najbliższych dniach nigdzie nie wyjeżdżał, zwolnił też funkcjonariuszy z dyżuru kryminalistycznego, którzy przyjechali jako pierwsi. Harry nigdy nie przypuszczał, że może poczuć coś podobnego, lecz tak naprawdę cieszył się, że Tom Waaler tu jest. Gdyby nie obecność doświadczonego kolegi, nie zadałby ani jednego rozsądnego pytania, nie mówiąc już od podjęcia jakiegokolwiek sensownej decyzji.

Waaler spytał lekarza, czy mógłby im przedstawić jakieś wstępne wnioski.

- Kula najwyraźniej przeszła przez czaszkę, uszkodziła mózg, zatrzymując wszystkie życiowe funkcje organizmu. Jeżeli temperatura w pomieszczeniu była stała, to temperatura ciała świadczy o tym, że kobieta nie żyje od co najmniej szesnastu godzin. Żadnych oznak przemocy. Żadnych śladów po ukłuciu czy też zewnętrznych oznak zażycia jakichś środków. Ale... - lekarz zawiesił głos - ...blizny na nadgarstkach świadczą o tym, że próbowała tego już wcześniej. To oczywiście spekulacje, choć uzasadnione, ale podejrzewam, że mamy do czynienia z osobowością maniakalno-depresyjną lub po prostu depresyjną, o skłonnościach samobójczych. Przypuszczam, że znajdziemy jej kartę u jakiegoś psychiatry.

Harry usiłował się odezwać, lecz język też nie chciał go słuchać.

- Więcej będę mógł powiedzieć, gdy bliżej się jej przyjrzę.

- Dziękuję panu, doktorze. Weber?

- Broń to beretta M92F, bardzo powszechna. Na rękojęści znaleźliśmy tylko jeden zestaw odcisków palców, które muszą należeć do niej. Kula utkwiała w jednej z desek łóżka, a typ amunicji odpowiada broni. Oczywiście jest więc, że analiza balistyczna wykaże, że kula została wystrzelona z tego pistoletu. Jutro dostaniecie pełny raport.

- Dobrze, Weber. Jeszcze jedno. Kiedy przyszedł elektryk, drzwi były zamknięte. Zauważyłem, że mają zwykły zamek, a nie zatraskowy, więc wykluczone, żeby ktoś tu był i opuścił mieszkanie. Chyba że zabrał klucz zmarłej i za sobą zamknął, oczywiście. Ale jeśli znajdziemy jej klucz, to, innymi słowy, zbliżymy się do szybkiego rozwiązania sprawy. Weber kiwnął głową i podsunął mu klucz zawieszony na żółtym ołówku.

- Leżał na komodzie w korytarzu. To klucz generalny, taki, który otwiera bramę i wszystkie wspólne pomieszczenia. Sprawdziłem. PasiJM je też do drzwi do mieszkania.

- Świetnie. W zasadzie więc brakuje nam jedynie podpisanego listu pożegnального.

Jakieś sprzeciwy, żeby nazwać sprawę oczywistą?

Waaler spojrział na Webera, lekarza i Harry'ego.

- Okej. Wobec tego można przekazać krewnym tę przykrą wiadomość, niech przyjdą i ją zidentyfikują.

Wyszedł na korytarz, natomiast Harry dalej stał przy łóżku. Wkrótce potem Waaler znów wsunął głowę do środka.

- Niefajnie, kiedy pasjans wychodzi od razu, Hole?

Mózg Harry'ego wydał głowie polecenie, by kiwnęła, lecz nie miał pewności, czy go usłuchała.

11 ILUZJA

Oglądam pierwszy film wideo. Kiedy puszczam go w zwolnionym tempie, klatka po klatce, widzę też płomień. Cząsteczki prochu, jeszcze nieprzeobrażone w czystą energię, niczym rozżarzony rój asteroidów, które towarzyszą wielkiej komecie aż do atmosfery i tam się spalają, podczas gdy kometa bez najmniejszych przeszkód sunie dalej. I nikt niek może nic zrobić, bo tor jej lotu został nakreślony przed milionami latM zanim pojawiła się ludzkość, zanim narodziły się uczucia, nienawiść i litość. Kula wbija się w głowę, przecina myśli, mąci marzenia. A w jądrze globu, jakim jest głowa, wybucha ostatnia refleksja, impuls nerwoA wy z ośrodka bólu, ostatnie, same sobie przeczące SOS wysyłane do saA mego siebie, zanim wszystko milknie. Klikam na tytuł drugiego filmu. Podczas gdy komputer, pomrukując, przeszukuje mroczną internetową noc, wyglądam przez okno. Na niebie są gwiazdy. Myślę, że każda z nich jest dowodem na nieuchronność losu. One nie mają żadnego sensu, wznoszą się ponad stworzoną przez ludzi potrzebę logiki i kontekstu. I chyba dlatego są takie piękne.

Drugi film jest już gotowy. Klikam Play. Play a play. To jak wędrowny teatr, który wystawia stale to samo przedstawienie, tylko za każdym razem w innym miejscu. Te same repliki i ruchy, ten sam kostium, ta sama scenografia. Wymieniono jedynie statystów. I zmieniono zakończenie. Dzisiejszego wieczoru nie było tragedii.

Jestem zadowolony z siebie. Odnalazłem sedno postaci, którą gram - zimnego profesjonalisty, który wie dokładnie, czego chce, i zabija, kiedy musi - Nikt nie próbuje przeciągać czasu. Po tym, co zaszło na Bogstadveien, nikomu nie starcza na to odwagi. Dlatego przez te dwie minuty, przez sto dwadzieścia sekund, które sobie wyznaczyłem, jestem Bogiem. Iluzja działa. Grube ubranie pod kombinezonem, podwójne wkładki w butach, kolorowe szkła kontaktowe i wyćwiczone gesty.

Wylogowuję się. W pokoju robi się ciemno. Dociera do mnie jedynie daleki szum miasta. Spotkałem dzisiaj Księcia. Dziwna osoba. Budzi we mnie ambiwalentne uczucia, jak Pluvianus aegyptius, pijawnik, ptaszek, który żyje z czyszczenia zębów krokodyla. Powiedział, że wszystko jest pod kontrolą, że Wydział Napadów nie znalazł żadnych śladów. Dostał swoją działkę, a mnie dał obiecany żydowski pistolet.

Może powinienem się cieszyć, lecz nic już nie zdoła uczynić mnie całym.

Później zadzwoniłem z budki na policję, ale nie chcieli mi nic powiedzieć, dopóki nie oświadczyłem, że jestem krewnym. Stwierdzili, że to samobójstwo, że Anna sama się zastrzeliła. Śledztwo umorzono. Ledwie zdążyłem odłożyć słuchawkę, zanim wybuchnąłem śmiechem. Część druga

12 FREITOT

- Albert Camus twierdził, że samobójstwo to jedyny prawdziwy problem w filozofii - powiedział Aune, pociągając nosem na widok szarego nieba nad Bogstadveien. - Ponieważ rozstrzygnięcie, czy warto żyć, czy nie warto, to odpowiedź na zasadnicze pytanie w filozofii. Wszystko inne, czy świat ma trzy wymiary, a duch dziewięć czy dwanaście kategorii, przychodzi później.

- Mhm - mruknął Harry.

- Wielu moich kolegów usiłowało badać, dlaczego ludzie popełniają samobójstwo. Wiesz, do jakich wniosków doszli w kwestii najpowszechniejszych przyczyn?

- Miałem nadzieję, że właśnie na takie pytania będziesz mógł mi odpowiedzieć. - Harry musiał slalomem wymijać ludzi na wąskim chodniku, by móc iść u boku okrągłego psychologa.

- Ze nie chcą już dłużej żyć - odparł Aune.

- Wygląda na to, że ktoś zasłużył na Nobla.

Harry zadzwonił do doktora Aune już poprzedniego wieczoru i umówił się z nim pod jego gabinetem na Sporveisgata o dziewiątej. Kiedy mijali oddział banku Nordea, Harry zauważył, że po drugiej stronie ulicy, pod sklepem 7-Eleven, wciąż stoi zielony pojemnik na śmieci.

- Zwykle zapominamy, że decyzję o popełnieniu samobójstwa bardzo często podejmują racjonalnie myślący i całkiem zdrowi psychicznie ludzie, którzy po prostu dochodzą do wniosku, że życie nie ma im już nic więcej do zaoferowania - ciągnął Aune. - Na przykład starszkiwie, którzy utracili towarzysza życia lub których zdrowie zawodzi...

- Ta kobieta była młoda i zdrowa. Jakie mogła mieć racjonalne powody?- Trzeba najpierw zdefiniować, co się rozumie przez racjonalne. Gdy jakaś będąca w depresji osoba decyduje się na ucieczkę od bólu poprzez odebranie sobie życia, należy założyć, że wszystko rozważyła. Z drugiej strony trudno traktować samobójstwo jako działanie racjonalne, a zwłaszcza w typowej sytuacji, w której osoba w depresji wychodzi z dołu i dopiero wtedy znajduje dość energii, by podjąć aktywne działanie, jakim jest samobójstwo.

- A czy samobójstwo może być spontaniczne?

- Tak, oczywiście, ale znacznie bardziej powszechne jest zaczynanie od prób samobójczych, zwłaszcza wśród kobiet. W USA obliczono, że średnio na jedno samobójstwo wśród kobiet przypada dziesięć tak zwanych prób samobójczych.

- Tak zwanych?

- Zażycie pięciu tabletek nasennych to wołanie o pomoc, które należy potraktować poważnie. Ale nie uważam tego za próbę samobójczą, jeśli na nocnym stoliku zostaje słoiczek opróżniony „tylko” do pqP łowy.

- Ta się zastrzeliła.

- A więc mamy do czynienia z samobójstwem typu męskiego.

- Męskiego?

- Jedną z przyczyn, dla których mężczyznom samobójstwa częściej się udają, jest to, że wybierają bardziej agresywne i nieodwracalne sposoby niż kobiety. Broń palną czy wysokie budynki, zamiast podciętych żył i przedawkowania tabletek. Kobieta, która do siebie strzela, jest dość niezwykła.

- Podejrzanie niezwykła? Aune zerknął na Harry'ego.

- Masz powody, by przypuszczać, że to nie było samobójstwo? Harry pokręcił głową.

- Chcę mieć tylko całkowitą pewność. Skręcamy tu w prawo. Jej mieszkanie jest na tej ulicy.

- Na Sorgenfrigata? Na ulicy Beztroskiej? - Aune roześmiał si i spojrział w górę na groźne chmury na niebie. - Oczywiście.

- Oczywiście?

- *Sans Souci. Bez troski.* Taką nazwę nosił pałac Henriego Christophe'a, haitańskiego króla, który popełnił samobójstwo w obawie, że zol stanie pojmany przez - Francuzów. To on skierował armaty w niebo, żeby zemścić się na Bogu, no wiesz. - Cóż...

- I wiesz chyba, co pisarz Ola Bauer powiedział o tej ulicy? „Przeniosłem się na ulicę Beztroską, ale to też nie pomogło”. - Aune roześmiał się, aż zatrząsły mu się podbródki.

Przed bramą czekał już na nich Hałvorsen.

- Kiedy wychodziłem z Budynku Policji, spotkałem Bjarnego Moliera - powiedział. - Sprawiał wrażenie, jakby uważał tę sprawę za wyjaśnioną i rozstrzygniętą.

- Chcemy rozwiązać kilka ostatnich wątpliwości. - Harry otworzył drzwi kluczem, który dostał od elektryka.

Taśmy zagradzające wejście do mieszkania już zdjęto, a zwłoki zabrano. Poza tym jednak nic tu nie ruszono od poprzedniego wieczoru. Weszli do sypialni. W półmroku białe prześcieradło na wielkim łóżku zdawało się świecić.

- Czego szukamy? - spytał Halvorsen, kiedy Harry odsuwał zasłony.

- Zapasowego klucza do mieszkania - odparł Harry.

- Dlaczego?

- Założyliśmy, że ona miała jeden zapasowy klucz i dała go elektrykowi. Trochę posprawdzałem. Klucza generalnego nie można dorobić u zwykłego ślusarza. Trzeba go zamówić u producenta za pośrednictwem autoryzowanego warsztatu. Ponieważ klucz pasuje do wszystkich wspólnych pomieszczeń, do bramy, do piwnicy i tak dalej, zarząd kamienicy pragnie mieć kontrolę nad kluczami. Dlatego mieszkańcy muszą dostać pisemną zgodę zarządu na zamówienie nowego klucza, prawda? A zgodnie z umową z zarządem autoryzowany warsztat ślusarski prowadzi listę wydanych kluczy dla każdego mieszkania. Dzwoniłem wczoraj wieczorem do „Ślusarza” na Vibes gate. Anna Bethsen dostała dwa zapasowe klucze, w sumie miała więc ich trzy. Jeden znaleźliśmy w mieszkaniu, drugi miał elektryk. Ale gdzie się podział trzeci? Dopóki nie zostanie odnaleziony, nie możemy wykluczyć, że w chwili jej śmierci był tu jeszcze ktoś, kto potem wyszedł i zamknął drzwi za sobą.

Halvorsen zamyślony pokiwał głową.

- Czyli trzeci klucz.- Tak, trzeci klucz. Mógłbyś zacząć od szukania tutaj, Halvorsen, a ja w tym czasie pokazałbym doktorowi coś innego?

- Dobrze.

- I jeszcze jedno. Nie zdziw się, jak znajdziesz tu gdzieś moją komórkę. Wydaje mi się, że mogłem ją tu zostawić wczoraj po południu.

- Wydawało mi się, że zgubiłeś ją przedwczoraj? - Ale znalazłem i znów zgubiłem. Wiesz, jak jest.

Halvorsen pokręcił głową. Harry wyprowadził doktora Aunego na korytarz i skierował w stronę pokojów.

- Poprosiłem, żebyś tu przyszedł, ponieważ jesteś jedynym malarzem, jakiego znam.

- To pewna przesada. - Aune wciąż był zdyszany po wspinacze po schodach.

- Być może, ale przynajmniej wiesz cokolwiek o sztuce. Mam więc nadzieję, że zdołasz coś z tego wyciągnąć.

Harry otworzył przesuwane drzwi prowadzące do najdalej położonego pokoju, zapalił światło i pokazał palcem. Aune jednak zamiast patrzeć na trzy obrazy, mruknął cicho „ojoj” i podszedł do trójdzielnej lampy. Z wewnętrznej kieszonki tweedowej marynarki wyjął okulary i pochylił się, żeby odczytać napis na ciężkiej podstawie.

- To dopiero! - wykrzyknął z zachwytem. - Prawdziwa lampa Grimmem!

- Grimmera?

- Bertola Grimmera. Słynnego na całym świecie niemieckiego projektanta. Zaprojektował między innymi pomnik Zwycięstwa, który Hitler kazał wznieść w Paryżu w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku. Mógł stać się jednym z największych artystów naszych czasów, ale gdy był u szczytu kariery, pewnego dnia wydało się, że jest w trzech czwartych Cyganem. Został wysłany do obozu koncentracyjnego, a jego nazwisko usunięto ze wszystkich budynków i dzieł sztuki, do których powstania się przyczynił. Grimmer przeżył, ale obie dłonie zniszczył w kamieniołomach, w których pracowali Cyganie. Po wojnie nadal pracował, lecz z powodu obrażeń nigdy już nie powrócił na dawne wyżyny. Chociaż podejrzewam, że ta lampa pochodzi z lat powojennych, - i Aune uchylił lekko abażur.

Harry chrząknął.

- Właściwie chodziło mi bardziej o te portrety.

- Amatorszczyzna - prychnął Aune. - Spójrz raczej na tę przepiękną postać kobiecą. To Nemezis. Ulubiony motyw Bertola Grimmera po wojnie. Bogini zemsty. Zemsta to zresztą dość powszechny motyw, jeśli chodzi o samobójstwo. Człowiek czuje, że to z winy innych jego życie jest nieudane, i pragnie, by poczuli się odpowiedzialni za to, że się na nie targnął. Bertol Grimmer też popełnił samobójstwo. Uprzednio zamordowawszy żonę, ponieważ miała kochanka. Zemsta, zemsta, zemsta... Wiedziałaś, że człowiek jest jedyną żywą istotą, która się mści? W zemście interesujące jest...

- Aune?

- A tak, te obrazy. Chcesz, żebym spróbował coś z nich wyczytać? Hm... są dość podobne do kartonów Rorschacha.

- Do tych plansz z barwnymi plamami atramentowymi, z których korzystacie, żeby wzbudzić u pacjentów skojarzenia?

- No właśnie. Problem polega na tym, że jeśli spróbuję jakoś odczytać te obrazy, prawdopodobnie powie ci to więcej o moim życiu duchowym niż o jej. Oprócz tego, że nikt

już nie wierzy w metodę Rorschacha, to dlaczego nie? Zobaczmy, co tu mamy... Obrazy są dość ciemne, ale więcej w nich gniewu niż rozpaczy. Ten jeden jest najwyraźniej jeszcze niedokończony.

- Może taki ma być? Może jednak jest skończony?

- Co cię skłania do takiego twierdzenia?

- Nie wiem. Prawdopodobnie to, że światło z każdego ramienia lampy pada idealnie na każdy obraz.

- Hm... - Aune położył rękę na piersi, w zamyśleniu dotykając palcem ust. - Masz rację. Tak, oczywiście, masz rację. Ale wiesz, co, Harry?

- No... nie.

- To mi nie mówi, przepraszam cię bardzo, kompletnie nic. Skończyliśmy już?

- Tak. A zresztą jeszcze jeden drobny szczegół, skoro malujesz. Jak widzisz, paleta jest umieszczona z lewej strony sztalug. Czy to nie jest bardzo niepraktyczne?

- Owszem, chyba że jest się leworęcznym.

- Rozumiem. Pójdę pomóc Halvorsenowi w szukaniu. Nie wiem, jak mam ci dziękować, Aune.- A ja wiem. Uwzględnię to w następnej fakturze. Halvorsen skończył przeszukiwanie sypialni.

- Niewiele posiadała - stwierdził. - Można wręcz odnieść wrażenie, że się przeszukuje pokój hotelowy. Tylko ubrania, przybory toaletowe, żelazko, ręczniki, pościel i temu podobne, nie ma żadnego rodzinnego zdjęcia, żadnego listu czy innych osobistych papierów.

Godzinę później Harry zrozumiał, o co chodziło Halvorsenowi. Przeszukali całe mieszkanie i wrócili do sypialni, nie znajdując nawet rachunku telefonicznego czy wyciągu z konta.

- To najdziwniejsza rzecz, z jaką się zetknąłem - stwierdził Halvorsen, siadając obok Harry'ego przy biurku. - Musiała posprzątać. Może postanowiła usunąć wszystko, co było nią. Całą swoją osobę, jeśli mnie rozumiesz.

- Rozumiem. Nie zauważyłeś gdzieś laptopa?

- Laptopa?

- Przenośnego komputera.

- O czym ty mówisz?

- Nie widzisz tego bledszego prostokąta na drewnie? - Harry wska zał na fragment blatu między nimi. - Wygląda na to, że stał tu laptop który został usunięty.

- Naprawdę?

Harry poczuł na sobie badawcze spojrzenie Halvorsena.

Na ulicy stanęli, patrząc w jej okna w bladej żółtej fasadzie. Harry palił papierosa w kształcie harmonijki, którego znalazł w wewnętrznej kieszeni płaszcza.

- Dziwna sprawa z tymi krewnymi - stwierdził Halvorsen.

- Dlaczego?

- Molier ci nie mówił? Nie udało się znaleźć adresu rodziców, rodzeństwa czy kogoś takiego. Tylko stryja, który siedzi. No i Molier sam musiał dzwonić do zakładu pogrzebowego, żeby zabrali tę nieszczęsną dziewczynę. Jak gdyby śmierć nie była dostatecznym odchodzeniem w samotność.

- Mhm. A do którego zakładu?

- Do Sandemanna - odparł Halvorsen. - Ten stryj chciał, żeby została skremowana.

Harry, ssąc papierosa, patrzył na dym, który unosił się do góry i znikał. Oto koniec procesu, który rozpoczął się w chwili, gdy jakiś wieśniak zasiał nasiona tytoniu gdzieś na polu w Meksyku. W ciągu czterech miesięcy z nasionka wyrosła roślina wysokości mężczyzny, a dwa miesiące później została ścięta, poddana procesowi fermentacji, wysuszona, posortowana, zapakowana i wysłana do jednej z fabryk RJ Reynoldsa na Florydzie albo w Teksasie. Tam zmieniła się w papierosa z filtrem marki Camel w zapakowanej próżniowo żółtej paczce cameli w kartonie, który załadowano na statek do Europy. A po ośmiu miesiącach od chwili, gdy tytoń był jeszcze maleńkim listkiem na ledwie kiełkującej pod słońcem Meksyku zielonej roślinie, wysunął się z paczki papierosów w kieszeni płaszcza pijanego mężczyzny, który potknął się na schodach albo wypadł z taksówki, albo okrywał się płaszczem jak kocem, ponieważ nie był w stanie lub nie miał odwagi otworzyć drzwi do sypialni, gdzie pod łóżkiem czają się potwory. A teraz, gdy mężczyzna wreszcie znajduje papierosa, pogniecionego, pokrytego pyłkami z kieszeni, wsadza jeden jego koniec do cuchnących ust, a drugi podpala. Kiedy zaś ususzony, pocięty na kawałeczki liść tytoniu da mu odrobinę przyjemności, zostaje wydmuchany i nareszcie jest wolny. Może się rozwiać, zmienić w nicłość, odejść w zapomnienie.

Halvorsen chrząknął dwa razy.

- Skąd wiedziałeś, że ona zamówiła klucze właśnie u „Ślusarza” na Vibes gate?

Harry wyrzucił niedopałek na ziemię i mocniej owinął się płaszczem.

- Wygląda na to, że Aune miał rację - powiedział. - Będzie deszcz. Jeśli jedziesz bezpośrednio do Budynku Policji, chętnie się z tobą zabiorę.

- W Oslo jest z pewnością setka innych ślusarzy, Harry.

- Mhm. Ale zadzwoniłem do wiceprzewodniczącego wspólnoty, Knuta Arnego Ringnesa. Fajny facet. Od dwudziestu lat korzystają z usług „Ślusarza”. Jedziemy?

- Dobrze, że tu jesteś - powiedziała Beatę Lonn, gdy Harry wszedł do House of Pain. - Wczoraj wieczorem coś odkryłam. Spójrz na to. - Przewinęła taśmę do tyłu i wcisnęła pauzę. Ekran wypełnił drżący zatrzymany obraz twarzy Stine Grette, zwróconej do bandyty w kominiarce.

- Powiększyłam jeden fragment filmu. Chciałam mieć jak największą twarz Stine.

- A po co? - spytał Harry, osuwając się na krzesło.

- Jak popatrzysz na licznik, to widać, że zostało jeszcze osiem sekund do strzału Ekspedytora...

- Ekspedytora?

Beatę uśmiechnęła się zakłopotana.

- Zaczęłam go tak nazywać na własny użytek. Mój dziadek miał gospodarstwo i ja...
No tak.

- A gdzie?

- W Valle w Setesdalen. Tam się mówiło o ekspediowaniu zwierząt na tamten świat.

- I tam widziałaś, jak zarzynają zwierzęta? - Tak.

Ton nie zapraszał do rozwijania wątku. Beatę wcisnęła guzik *Slow* i twarz Stine Grette nabrała życia. Harry widział, jak na zwolnionym filmie mruga i porusza wargami. Już zaczął bać się strzału, gdy Beatę nagle zatrzymała film.

- Widziałeś? - spytała z przejęciem.

Upłynęło kilka sekund, nim Harry'emu rozjaśniło się w głowie.

- Ona mówiła - powiedział. - Ona coś powiedziała tuż przed tym, jak została zastrzelona. Jednak na taśmie dźwiękowej nic nie słyhać.

- Dlatego, że szepcze.

- Ze też wcześniej nie zwróciłem na to uwagi! Ale dlaczego? I co ona mówi?

- Mam nadzieję, że tego wkrótce się dowiemy. Udało mi się złapać specjalistę z Centrum Niesłyszących. Już tu jedzie.

- Świetnie.

Beatę spojrzała na zegarek. Harry przygryzł dolną wargę, nabrał powietrza i powiedział cicho:

- Posłuchaj, Beatę...

Zauważył, że zeszywniała, gdy zwrócił się do niej po imieniu.

- Miałem partnerkę. Nazywała się Ellen Gjeltten.

- Wiem - odparła Beatę prędko. - Została zabita nad rzeką Aker

- No właśnie. Kiedy zdarzało nam się utknąć w jakiejś sprawie, wykorzystywaliśmy

rozmaite techniki, żeby pobudzić informacje zarejestrowane w podświadomości. Takie zabawy asocjacyjne, w których zapisywaliśmy słowa na karteczkach, i podobne. - Harry uśmiechnął się zażenowany. - Może to brzmi trochę mgliście, ale od czasu do czasu dawało wyniki. Pomyślałem, że moglibyśmy spróbować czegoś podobnego.

- Tak?

Harry'ego zaskoczyło, o ile pewniejsza siebie wydawała się Beatę, gdy koncentrowała się na filmie wideo czy na ekranie komputera. Teraz patrzyła na niego z taką miną, jakby zaproponował jej rozbieranego pokera.

- Bardzo chciałbym wiedzieć, co czujesz, jeśli chodzi o tę sprawę - powiedział.

Roześmiała się niepewnie.

- No cóż, co czuję?

- Zapomnij na chwilę o nagich faktach. - Harry pochylił się na krześle. - Nie bądź grzeczną dziewczynką. Nie musisz mieć dowodów na to, co powiesz. Po prostu mów, co ci podpowiada intuicja.

Beatę na moment wbiła spojrzenie w blat. Harry czekał. W końcu podniosła wzrok i popatrzyła mu prosto w oczy:

- Wierzę w W. - W?

- W zwycięstwo na wyjeździe. Wydaje mi się, że to jedna z tych pięćdziesięciu procent spraw, których nigdy nie uda nam się wyjaśnić.

- Aha, a dlaczego?

- Prosta matematyka. Kiedy pomyślisz o wszystkich tych idiotach, których nie udaje nam się złapać, to ktoś taki jak Ekspedytor, który całą rzecz starannie przemyślał i najwyraźniej wie choć trochę, jak pracujemy, ma sporą przewagę po swojej stronie.

- Mhm. - Harry potarł twarz. - To znaczy, że twoja intuicja zajmuje się tylko liczeniem w pamięci?

- Nie tylko. To ma również związek ze sposobem, w jaki on pracuje. Jest taki zdecydowany. Tak, jakby coś go pchało...

- A co go popycha, Beatę? Żądza pieniędzy?

- Nie wiem. Ze statystyk napadów wynika, że chęć zdobycia pieniędzy to motyw numer jeden. Chęć doświadczenia ekstremalnego napięcia to numer dwa...- Zapomnij o statystyce, Beatę. Teraz prowadzisz śledztwo. Musisz analizować nie tylko obrazy wideo, lecz swoje własne podświadome wyjaśnienie tego, co widziałaś. Uwierz mi, to najważniejsza rzecz, jakiej powinien się trzymać śledczy.

Beatę popatrzyła na niego. Harry wiedział, że już niedługo uda mu się ją ośmielić.

- No dalej! - pogonił ją. - Czym się powoduje Ekspedytor?

- Uczuciami.

- Jakimi uczuciami?

- Silnymi.

- Jakimi uczuciami, Beatę? Zamknęła oczy.

- Miłością albo nienawiścią. Nienawiścią. Nie, jednak miłością. Nie wiem.

- Dlaczego do niej strzelał?

- Ponieważ... Nie.

- Dalej, mów! Dlaczego do niej strzelał? Harry cał po calu przysuwał swoje krzesło do niej.

- Ponieważ musi. Ponieważ tak zostało ustalone... z góry.

- Świetnie. Dlaczego zostało ustalone z góry? Ktoś zastukał do drzwi.

Harry wolałby, żeby Fritzowi Bjelke z Centrum niesłyszących nie udało się przejechać rowerem przez centrum tak prędko, by im pomóc. Ale stał teraz w drzwiach, uśmiechnięty, okrągły pan w okrągłych okularach i różowym kasku. Bjelke nie był głuchy i z całą pewnością nie był niemy. Aby mógł jak najlepiej poznać układ ust Stine Grette, puścili mu najpierw tę część filmu, na której słyhać było, co mówi. Podczas gdy taśma się obracała, sam Bjelke wyrzucał z siebie nieprzerwany strumień słów.

- Ja jestem specjalistą, ale właściwie wszyscy czytamy z ruchów warg, chociaż słyszymy, co mówi rozmówca. Właśnie dlatego na przykład odczuwamy pewien dyskomfort, kiedy obraz i dźwięk nie są ze sobą zsynchronizowane, chociaż mowa jest tu o setnych częściach sekundy.

- No cóż - powiedział Harry. - Osobiście nie jestem w stanie wyczytać z jej ruchów warg kompletnie nic.

- Problem w tym, że zaledwie trzydzieści do czterdziestu procent słów da się wyczytać bezpośrednio z warg. Aby zrozumieć resztę i uzupełnić brakujące słowa, trzeba obserwować wyraz twarzy, gesty, posługiwać się własnym poczuciem języka i logiką. Myślenie jest tu równie ważne jak widzenie.

- W tym momencie zaczyna szeptać - powiedziała Beata.

Bjelke natychmiast umilkł i w najgłębszym skupieniu obserwował minimalne ruchy warg na ekranie. Beatę zatrzymała film, zanim padł strzał.

- No dobrze - powiedział Bjelke. - Jeszcze raz. A później:

- Jeszcze raz, proszę. Potem:

- Proszę jeszcze raz powtórzyć.

Po siedmiu razach kiwnął głową na znak, że widział już dość.

- Nie rozumiem, o co jej chodzi - powiedział. Harry i Beatę wymienili spojrzenia.

- Ale wydaje mi się, że wiem, co mówi.

Beatę biegła korytarzem, aby dotrzymać kroku Harry'emu.

- On jest uważany za najlepszego w kraju eksperta w swojej dziedzinie - tłumaczyła.

- To na nic - stwierdził Harry. - Sam przecież oświadczył, że nie jest pewien.

- A jeśli naprawdę powiedziała to, co zrozumiał Bjelke?

- To się nie składa. Musiał przeoczyć „nie”.

- Nie zgadzam się.

Harry zatrzymał się tak gwałtownie, że Beatę na niego wpadła. Z przerażeniem popatrzyła na jego jedno szeroko otwarte oko.

- Świetnie - oświadczył Harry. Beatę wyglądała na zdezorientowaną.

- O co ci chodzi?

- „Nie zgadzam się” oznacza, że jest dobrze: „Nie zgadzam się” oznacza, że być może zobaczyłaś coś albo zrozumiałaś, chociaż jeszcze nie wiesz, co to było. A ja tego nie rozumiałem. - Znow ruszył. - Załóżmy więc, że masz rację. Zastanówmy się, do czego nas to może doprowadzić. - Zatrzymał się przy windzie i wcisnął guzik, by ją przywołać. - Dokąd teraz idziesz? - spytała Beatę.

- Sprawdzić pewien szczegół. Wrócę za niespełną godzinę. Drzwi windy rozsunęły się i wysiadł z niej naczelnik wydziału Ivarsson.

- Ho, ho! - rozpromienił się. - Mistrzowie detektywów wpadli na jakiś trop? Macie coś nowego do przekazania?

- Cały sens równoległego śledztwa polega na tym, że mamy nie mówić sobie zbyt wiele - odparł Harry, obszedł go dookoła i wszedł do windy. - Jeżeli dobrze zrozumiałem FBI i ciebie?

Ivarsson uśmiechnął się szeroko i zdołał nie uciec spojrzeniem.

- Kluczowymi informacjami musimy, oczywiście, się dzielić. Harry wcisnął już guzik parteru, lecz Ivarsson stanął w drzwiach, blokując je.

- Dalej, mówcie!

Harry wzruszył ramionami.

- Stine Grette szepnęła coś do bandyty, zanim ją zastrzelił.

- Tak?

- Przypuszczamy, że powiedziała: „To moja wina”.

- „To moja wina?”

- Tak.

Ivarsson zmarszczył czoło.

- Coś tu się chyba nie zgadza. Raczej pasowałoby „To nie moja wina”. To znaczy, że nie z jej winy kierownik oddziału potrzebował sześciu sekund więcej na włożenie pieniędzy do torby.

- Nie zgadzam się. - Harry demonstracyjnie popatrzył na zegarek. - Zwróciliśmy się o pomoc do najlepszego w kraju eksperta w tej dziedzinie. Beatę może ci przekazać szczegóły.

Ivarsson oparł się o drzwi windy, z irytacją trącając go w plecy.

- A więc ze zdenerwowania zapomniała o „nie”. To już wszystko, co macie? Beatę?

Beatę się zaczerwieniła.

- Właśnie zaczęłam oglądać film z napadu na Kirkeveien.

- Jakież konkluzje?

Jej wzrok nerwowo przefrunął z Ivarssona na Harry'ego.

- Na razie jeszcze nie.

- A więc nic nie macie - stwierdził Ivarsson. - Może więc ucieszy was wiadomość, że okrążyliśmy dziewięciu podejrzanych, których zebraliśmy na przesłuchanie. I mamy pewien plan na wyciągnięcie wreszcie czegoś z Raskola.

- Z Raskola? - zdziwił się Harry.

- Z Raskola Baxheta. Z króla szczurów we własnej osobie - odparł Ivarsson, złapał za szlufki na wysokości pasa, wciągnął brzuch i z uśmiechem zadowolenia podciągnął spodnie. - Ale szczegóły może ci przekazać Beatę.

13 MARMUR

Harry zdawał sobie sprawę, że w pewnych kwestiach jest małosłowny. Na przykład w kwestii Bogstadveien. Nie lubił Bogstadveien. Nie bardzo wiedział, dlaczego. Może po prostu dlatego, że na tej ulicy brukowanej złotem i ropą naftową, pnącej się na sam szczyt szczęścia w krainie szczęśliwości, nikt się nie uśmiechał. Sam Harry też się nie uśmiechał, ale on mieszkał na Bislett, nie płacono mu za uśmiech, a poza tym miał co najmniej dwa dobre powody do tego, żeby się nie uśmiechać. Nie oznaczało to jednak, że podobnie jak większość Norwegów, nie doceniał tego, że ktoś uśmiecha się do niego.

W głębi ducha usiłował jednak jakoś tłumaczyć chłopaka stojącego za ladą w 7-Eleven. Może nienawidzi swojej pracy, może też mieszka na Bislett, no i znów zaczęło lać.

Błada twarz pokryta czerwonymi zaognionymi pryszczami bez cienia zainteresowania spojrzała na policyjny identyfikator Harry'ego:

- Skąd mam wiedzieć, jak długo ten kontener tu stoi?

- Ponieważ jest zielony i zasłania ci pół widoku na Bogstadveien - odparł Harry.

Chłopak jęknął i położył ręce na biodrach, na których spodnie ledwie się trzymały.

- Jakiś tydzień, coś takiego. Niech pan posłucha, robi się kolejka.

- Mhm. Zaglądałem do środka. Jest prawie pusty. W środku leży tylko kilka pustych butelek i gazet. Wiesz, kto go zamówił?

- Nie.- Widzę, że masz kamerę za ladą. Wygląda mi na to, że jest umieszczona pod takim kątem, że filmuje też ten kontener za oknem.

- Skoro pan tak mówi, pewnie tak jest.

- Jeśli wciąż masz film z ubiegłego piątku, to chciałbym go zobaczyć.

- Niech pan zadzwoni jutro. Tobben tu będzie.

- Tobben?

- Kierownik sklepu.

- Wobec tego proponuję, żebyś to ty zadzwonił teraz do Tobbena i postarał się o pozwolenie na wydanie mi tej kasety, to nie będę już wam przeszkadzać.

- Niech pan się rozejrzy - warknął chłopak, a jego pryszczki jeszcze bardziej sczerwieniały. - Nie mam czasu na to, żeby teraz szukać jakiegoś filmu wideo.

- Jasne - Harry nawet nie zerknął przez ramię. - To może po zamknięciu.

- Mamy otwarte przez całą dobę. - Chłopak przewrócił oczami.

- To był żart - wyjaśnił Harry.

- Świetny, cha, cha - odparł chłopak głosem lunatyka. - Będzie pan coś kupywał?

Harry pokręcił głową, a chłopak natychmiast spojrzał poza niego.

- Wolna kasa!

Harry westchnął i odwrócił się w stronę kolejki, która już ruszała ku ladzie.

- Nie ma wolnej kasy. Jestem z policji w Oslo - podniósł do góry identyfikator. - A ten człowiek jest aresztowany za to, że nie odróżnia „kupować” od „kupywać”.

Harry był rzeczywiście małostkowy w kwestii pewnych rzeczy. Ale akurat w tej chwili był zadowolony z odzewu. Lubił, gdy się do niego uśmiechano.

Nie lubił jednak uśmiechów, które wydawały się elementem wyszkolenia kaznodziejów, polityków i pracowników zakładów pogrzebowych. Ci ludzie, mówiąc o rzeczach poważnych, uśmiechają się oczami, co w wypadku pana Sandemanna z Zakładu Pogrzebowego Sandemann podkreślało jeszcze przesadne zaangażowanie, które w połączeniu

z temperaturą w kostnicy kościoła Majorstua, sprawiło, że Harry zadrżał - Rozejrzał się dokoła. Dwie trumny, krzesło, wieniec, właściciel zakładu pogrzebowego, czarny garnitur i pożyczka na głowie.

- Wygląda tak pięknie - powiedział Sandemann. - Tak spokojnie. Jakby odpoczywała. Dostojnie. Pan może z rodziny?

- Nie całkiem. - Harry okazał swój identyfikator w nadziei, że przejęcie jest zarezerwowane dla krewnych. Tak jednak nie było.

- Tragiczne, kiedy młoda osoba odchodzi w taki sposób - uśmiechnął się Sandemann, przyciskając jedną dłoń do drugiej. Palce miał niezwykle chude i kościste.

- Chciałbym obejrzeć ubranie, które zmarła miała na sobie, gdy ją znaleziono - przerwał Harry. - W zakładzie powiedziano mi, że zabrał je pan tutaj.

Sandemann kiwnął głową, a potem przyniósł białą plastikową torbę i wyjaśnił, że zatrzymał ją na wypadek, gdyby pojawili się rodzice lub rodzeństwo. Harry na próżno usiłował wymacać kieszeń w czarnej spódnicy.

- Szuka pan czegoś szczególnego? - zainteresował się Sandemann niewinnym tonem, spoglądając Harry'emu przez ramię.

- Klucza - odparł Harry. - Nie znaleźliście go, kiedy... - Zapatrzył się w kościste palce Sandemanna. - ...kiedy ją rozbieraliście?

Sandemann zamknął oczy i pokręcił głową.

- Poza ubraniami nie miała nic. Oprócz, rzecz jasna, tego zdjęcia w bucie.

- Zdjęcia?

- Tak. To dziwne, prawda? Z pewnością jakiś ich obyczaj. Wciąż tam leży.

Harry wyjął z torby czarny but z wysokim obcasem i na moment ujrzał ją w drzwiach w tamtej chwili, kiedy przyszedł: czarna sukienka, czarne buty, czerwone usta. Bardzo czerwone usta.

Zdjęcie okazało się pogniecioną fotografią kobiety z trójką dzieci na plaży. Wyglądało na zdjęcie wakacyjne zrobione gdzieś w Norwegii. Na brzegu widać było skały, a w tle wysokie sosny na wzgórzach.

- Był tu ktoś z rodziny? - spytał Harry.

- Tylko jej stryj. Oczywiście w towarzystwie jednego z pańskich kolegów.

- Oczywiście?

- Zrozumiałem, że odsiaduje wyrok. Harry nie odpowiedział. Sandemann pochylił się do przodu i zgarbił plecy, a niewielka główka zapadła mu się między barki. Przypominał teraz sępa.

- Ciekawe, za co. - Jego szept również przypominał ochryply ptasi krzyk. - Skoro nie pozwalają mu nawet na udział w pogrzebie.

Harry chrząknął.

- Mogę ją zobaczyć?

Sandemann wyglądał na rozczarowanego, ale wyćwiczonym gestem dżentelmena wskazał jedną z trumien.

Jak zawsze Harry'ego zdumiało, do jakiego stopnia profesjonalne zabiegi potrafią upiększyć zwłoki. Anna w istocie wyglądała bardzo spokojnie. Dotknął jej czoła. Miał wrażenie, że dotyka marmuru.

- Co to za naszyjnik? - spytał Harry.

- Złote monety - odparł Sandemann. - Stryj go przyniósł.

- A to co takiego? - Harry uniósł plik papierów związanych grubą brązową gumką. Były to stukoronowe banknoty.

- To taki ich obyczaj - wyjaśnił Sandemann.

- A kim są ci oni, o których pan mówi?

- Nie wie pan? - Sandemann uśmiechnął się wąskimi mokrymi wargami. - Pochodziła z cygańskiej rodziny.

Wszystkie stoliki w kantine Budynku Policji były zajęte przez kolegów pochłoniętych ożywioną konwersacją. Tylko przy jednym było wolne miejsce. Harry tam właśnie się skierował.

- Z czasem poznasz ludzi - rzucił.

Beatę popatrzyła na niego zdziwiona, a on zrozumiał wtedy, że być może łączy ich więcej, niż sądził. Usiadł i położył przed nią kasetę VHS.

- Ze sklepu 7-Eleven naprzeciwko banku z dnia napadu. I z poprzedzającego go tygodnia. Możesz zerknąć, czy znajdziesz coś interesującego?

- Mam sprawdzić, czy bandyta był w sklepie? - mruknęła Beatek z ustami pełnymi chleba z pasztetem.

Harry popatrzył na przygotowane w domu drugie śniadanie.

- No cóż - powiedział. - Przecież zawsze można mieć nadzieję.

- Oczywiście. - Zakrztusiła się, gdy próbowała przełknąć, i oczy zaczęły jej łzawić. - W dziewięćdziesiątym trzecim był napad na bank Kreditkassen na Frogner, - bandyta przyniósł ze sobą torby plastikowe na pieniądze. Na torbach była reklama Shella. Sprawdziliśmy więc nagranie z kamer ochrony na najbliższej stacji Shella. Okazało się, że tam był, kupił torby na dziesięć minut przed napadem. I to w tym samym ubraniu, tylko bez

maski. Aresztowaliśmy go pół godziny później.

- My? Dziesięć lat temu? - wyrwało się Harry'emu.

Kolor twarzy Beatę zmienił się gwałtownie jak światła uliczne. Sięgnęła po kanapkę i próbowała się za nią ukryć.

- Mój ojciec - mruknęła.

- Przepraszam, nie chciałem powiedzieć nic złego.

- Nie szkodzi - zapewniła szybko.

- Twój ojciec...

- Zginął - powiedziała. - To już dawno temu.

Harry słuchał odgłosów żucia, przyglądając się swoim rękóm.

- Dlaczego przyniosłeś taśmy z tygodnia przed napadem? - spytała Beatę.

- Kontener - odparł Harry.

- O co ci chodzi?

- Zadzwońłem do służb miejskich i dowiedziałem się, jak to było. Kontener został zamówiony we wtorek przez niejakiego Steina Sobstada z Industrigata i dostarczony w umówione miejsce tuż przed sklep 7-Eleven dzień później. W Oslo jest dwóch Steinów Sobstadów, obaj zaprzeczają, by zamawiali jakikolwiek kontener. Moja teoria mówi, że bandyta specjalnie kazał ustawić kontener w tym miejscu. Dzięki temu kamera nie mogła go sfilmować od przodu, gdy przechodził przez ulicę po wyjściu z banku. Jeżeli poszedł na przespiesi do 7-Eleven tego samego dnia, w którym zamówił kontener, to być może uda nam się zobaczyć osobę, która patrzy w kamerę i wygląda przez okno w stronę banku, żeby na przykład sprawdzić kąt, pod jakim filmuje kamera.

- Jeśli będziemy mieć szczęście. Świadek przed 7-Eleven twierdzi, że bandyta wciąż był zamaskowany, gdy przechodził na drugą stronę ulicy. Po co więc miałby zawracać sobie głowę tym kontenerem?

- Może zaplanował zdjęcie maski podczas przechodzenia przez ulice. - Harry westchnął. - Nie wiem. Wiem jedynie, że ten zielony kontener ma jakieś znaczenie. Stał tam przez tydzień i nie używał go nikt °prócz przechodniów, którzy wrzucali do niego śmieci.- Okej. - Beatę wzięła kasety i wstała.

- Jeszcze jedno - powiedział Harry. - Co wiesz o tym Raskolu Baxhecie?

- O Raskolu? - Beatę zmarszczyła czoło. - Dopóki się nie zgłosił, był postacią w pewnym sensie mityczną. Jeżeli w istocie jest tym człowiekiem, za którego podają go plotki, to w taki czy inny sposób maczał palce w dziewięćdziesięciu procentach napadów na banki w Oslo. Przypuszczam, że jest w stanie wskazać każdego, kto dokonał napadu w tym mieście w

ciągu ostatnich dwudziestu lat.

- A więc do tego zamierza go wykorzystać Ivarsson? Gdzie on siedzi? Beatę wskazała kciukiem za ramię.

- Na oddziale A, po drugiej stronie.

- Tu, w areszcie?

- Tak. I odkąd się tam znalazł, odmawia jakiegokolwiek rozmowy z policją.

- Dlaczego więc Ivarsson sądzi, że mu się uda?

- Nareszcie natrafił na coś, czego Raskol pragnie, a co może się stać elementem negocjacji. W areszcie mówią, że to jedyna rzecz, o jaką Raskol prosił, odkąd się zgłosił. Chodzi o niedawno zmarłą krewną.

- Tak? - Harry miał nadzieję, że jego twarz nic nie zdradzi.

- Ma zostać pochowana za dwa dni i Raskol wystosował gorącą prośbę do naczelnika więzienia o zezwolenie na udział w pogrzebie.

Beatę odeszła, ale Harry nie ruszał się od stolika. Przerwa na lunch się skończyła i w kantynie powoli robiło się pusto. Stołówka była, jak się to mówi, jasna i przytulna, prowadzona przez Kantyny Państwowe, Harry wołał więc jadać na mieście. Nagle jednak przypomniał sobie, że właśnie tu tańczył z Rakel podczas imprezy wydziałowej i właśnie w tym miejscu postanowił, że musi ją zdobyć. Albo odwrotnie. Wciąż pamiętał uczucie, jakie go ogarnęło, gdy dotykał jej szczupłych pleców.

Rakel.

Za dwa dni Anna miała zostać pochowana i nikt nie wątpił, że zginęła z własnej ręki. Jedyna osoba, która wcześniej tam była i mogłaby zaprotestować, to on sam, ale niczego nie pamiętał. Dlaczego więc nie mógł zostawić tej sprawy w spokoju? Nie miał nic do zyskania, a do stracenia wszystko. Jeśli nie z innego powodu, to dlaczego nie mógł zapomnieć o tej sprawie ze względu na nich, na siebie i na Rakel?

Oparł łokcie na stole i zakrył twarz dłońmi.

A jeśli mógłby zaprotestować, to czy by to zrobił?

Przy sąsiednim stoliku gwałtownie się obrócono na dźwięk krzesła mocno szurającego po podłodze i na widok krótko ostrzyżonego długonogiego policjanta okrytego złą sławą, spieszny krok wymaszerowującego z kantyny.

14 SZCZĘŚLIWY LOS

Dzwonek nad drzwiami ciasnego mrocznego kiosku rozbrzęczał się gniewnie, gdy

dwaj mężczyźni wpadli do środka. Owoce&Tytoń u Elmera był jednym z ostatnich kiosków w swoim rodzaju. Jedną ścianę pokrywały fachowe czasopisma sportowe, samochodowe, łowieckie, a także łagodne porno, drugą - papierosy i cygara, na ladzie zaś wśród spoconych pałeczek lukrecji i suchych zszarzałych marcepanowych świnek z ubiegłorocznymi świątecznymi kokardkami leżały trzy pliki kuponów zakładów piłkarskich.

- Udało się wam w ostatniej chwili - powiedział Elmer, chudy łysy mężczyzna około sześćdziesiątki z wąsami i akcentem z północy.

- Cholera, ale lunęło! - Halvorsen strzepnął krople deszczu z ramion.

- Typowa jesień w Oslo - odparł właściciel wyuczonym dialektem ze stolicy. - Susza albo oberwanie chmury. Paczka cameli?

Harry kiwnął głową i wyjął portfel.

- A dla młodego sierżanta dwie zdrapki? - Elmer podsunął losy Halvorsenowi, który uśmiechnął się zakłopotany i szybko schował je do kieszeni.

- Mogę zapalić w środku, Elmer? - spytał Harry, zmrużonymi oczami obserwując przez brudną szybę ulewę siekącą nagle opustoszały chodnik.

- Oczywiście. - Elmer wydał im resztę. - Trucizna i hazard dają mi zarobić na chleb powszedni.

Uklonił się nisko i zniknął za krzywą brunatną zasłoną, zza której dobiegało bulgotanie ekspresu do kawy. - To jest to zdjęcie - powiedział Harry. - Chcę, żebyś się dowiedział, kim jest ta kobieta.

- Tylko tyle? - Halvorsen popatrzył na niezbyt wyraźną pogniecioną fotografię, którą podał mu Harry.

- Zaczynaj od odnalezienia miejsca, w którym je zrobiono. - Harry gwałtownie się rozkaszał, bo spróbował zatrzymać dym w płucach. - Wygląda mi to na jakieś wakacje. Jeśli mam rację, to gdzieś w pobliżu jest nieduży sklep spożywczy, ktoś, kto wynajmuje domki czy coś podobnego. A jeśli ta rodzina na zdjęciu to stali goście, ten, kto tam pracuje, z pewnością będzie wiedział, kim są. Gdy już się tego dowiesz, resztę pozostaw mnie.

- Wszystko tylko dlatego, że to zdjęcie leżało w bucie?

- To nie jest zwykłe miejsce, w którym się przechowuje zdjęcia, prawda?

Halvorsen wzruszył ramionami i wyjrzał na ulicę.

- Nie przechodzi - powiedział Harry.

- Wiem, ale muszę się jakoś dostać do domu.

- Do czego?

- Do takich różnych rzeczy, które się nazywają życiem. Nic, co by mogło ciebie

zainteresować.

Harry uniósł kąćki ust, by pokazać, że zrozumiał, iż ta wypowiedź w zamierzeniu miała być zabawna.

- Baw się dobrze.

Dzwonek znów zadzwonił, zaraz potem za Halvorsenem zatrzasnęły się drzwi. Harry zaciągnął się papierosem i zaczął studiować dobór lektur Elmera. Uświadomił sobie wtedy, jak niewiele zainteresowań dzieli z przeciętnym norweskim mężczyzną. Czy to dlatego, że właściwie nie miał już zainteresowań? Owszem, muzyka, ale od dziesięciu lat nikt nie zrobił nic dobrego, nawet dawni idole. Film? Ostatnio uważał się za szczęśliwca, kiedy wychodząc z kina, nie czuł się jak po lobotomii. Poza tym nic. Innymi słowy, jedyną rzeczą, która wciąż go interesowała, było tropienie ludzi i zamykanie ich w więzieniu. Ale nawet to nie sprawiało, by serce biło mu równie szybko jak kiedyś. A najgorsze, pomyślał Harry, kładąc dłoń na chłodnej gładkiej ladzie Elmera, że ten stan ani trochę go nie niepokoił. Ze skapitulował. Ze starzenie się dawało mu po czucie wolności.

Dzwonki znów gniewnie zabrzęczały.

- Zapomniałem ci powiedzieć o tym chłopaku, którego wczoraj zamknęliśmy za nielegalne posiadanie broni - powiedział Halvorsen. Stał w drzwiach, a deszcz tańczył wokół jego mokrych butów. - To Roy Kvinsvik. Jedna z łysych pał w pizzerii U Herberta.

- Mhm.

- Wyraźnie się bał. Powiedziałem więc, że musi mi dać coś, co może mi się przydać, jeśli chce się z tej sprawy tanio wywinąć.

- I?

- Powiedział, że widział Sverrego Olsena na Griinerlokka tamtej nocy, kiedy zabito Ellen.

- I co z tego? Mamy na to kilku świadków.

- Tak, ale widział też, jak Olsen rozmawia z jakimś człowiekiem w samochodzie.

Harry'emu papieros wypadł z ręki na podłogę. Nie schylił się.

- Poznał go? - spytał powoli. Halvorsen pokręcił głową.

- Nie, poznał tylko łysola.

- Masz jakiś rysopis?

- Kvinsvik wspomniał jedynie, że facet wyglądał jak policjant. Ale mówił, że może zdołałby go rozpoznać.

Harry poczuł, że robi mi się gorąco pod płaszczem. Każde słowo wymówił bardzo wyraźnie:

- Umiał opisać, jaki to był samochód?

- Nie. Przechodził tylko tamtędy, spieszył się.

Harry kiwnął głową, nie przestając gładzić dłonią lady. Halvorsen chrząknął.

- Ale wydawało mu się, że to był sportowy samochód. Harry popatrzył na papierosa, który wciąż dymił na podłodze.

- A kolor?

Halvorsen przeprasząco machnął ręką.

- Był czerwony? - spytał Harry ściszym, niewyraźnym głosem.

- Co powiedziałeś? Harry podniósł głowę.

- Nic. Zapamiętaj to nazwisko. I wracaj do domu, do tego swojego życia. Dzwonki znów się rozdzwoniły.

Harry przestał gładzić ladę, ale nie odrywał od niej ręki. Nagle wydała mu się zimna jak marmur.

Astrid Monsen miała czterdzieści pięć lat, żyła z tłumaczenia francuskiej literatury pięknej w gabinecie w mieszkaniu na Sorgenfrigata i nie miała mężczyzny swego życia, tylko taśmę z nagraniem szczekaniem psa, która kręciła się na okrągło, a w nocy stała przy drzwiach wejściowych. Harry usłyszał jej kroki, a potem zgrzyt co najmniej trzech zamków, zanim drzwi lekko się uchylły i przez szparę wyrzała drobna piegowata twarz pod czarnymi kędziorami.

- Och! - jęknęła na widok wysokiej postaci Harry'ego.

Chociaż nie rozpoznał jej twarzy, od razu ogarnęło go uczucie, jakby już ją kiedyś spotkał. Prawdopodobnie dlatego, że Anna szczegółowo opisywała mu swoją lekliwą sąsiadkę.

- Harry Hole z Wydziału Zabójstw - oznajmił, pokazując jej odznakę. - Przepraszam, że przeszkadzam tak późnym popołudniem, ale mam kilka pytań na temat tego wieczoru, kiedy zginęła Anna Bethsen.

Gdy się zorientował, że kobieta ma problemy z zamknięciem ust, próbował uspokoić ją uśmiechem. Kątem oka dostrzegł poruszenie firanki za szybą sąsiednich drzwi.

- Mogę wejść, pani Monsen? Wystarczy mi naprawdę chwila. Astrid Monsen cofnęła się o dwa kroki i Harry skorzystał z okazji, by wsunąć się do środka i zamknąć za sobą drzwi. Mógł teraz podziwiać jej fryzurę afro w całej okazałości. Najwyraźniej ufarbowała włosy na czarno, otaczały jej niedużą białą głowę jak olbrzymi globus.

Stali naprzeciwko siebie w oszczędnie oświetlonym przedpokoju, ozdobionym suszonymi kwiatami i oprawionym w ramki plakatem z Muzeum Chagalla w Nicei.

- Widziała mnie pani już wcześniej? - spytał Harry.

- O co... o co panu chodzi?

- Pytam jedynie, czy już mnie pani kiedyś widziała. Zaraz przejdę do rzeczy.

Astrid Monsen otworzyła i zamknęła usta. Potem zdecydowanie po kręciła głową.

No dobrze - powiedział Harry. - A była pani w domu we wtorek wieczorem?

Z wahaniem kiwnęła głową.

- Czy coś pani widziała albo słyszała?

- Nic - odparła, nieco zbyt prędko jak na gust Harry'ego.

- Proszę się zastanowić. - Próbował uśmiechnąć się do niej życzliwie, ale uśmiech nie był najlepiej wyćwiczonym elementem w jego dość ograniczonym repertuarze min.

- Nic absolutnie - odparła, wiodąc wzrokiem ku drzwiom za plecami Harry'ego. - Nic.

Harry wyszedł na ulicę i zapalił papierosa. Słyszał, jak Astrid Monsen zamyka drzwi na łańcuch, gdy tylko opuścił jej mieszkanie. Biedaczka. Była ostatnia w kolejce i mógł teraz podsumować, że tego wieczoru, gdy umarła Anna, nikt w całej kamienicy nie widział ani nie słyszał na klatce schodowej ani jego, ani nikogo innego.

Zaciągnął się dwukrotnie i wyrzucił papierosa.

W domu długo siedział w fotelu, wpatrując się w czerwone oko automatycznej sekretarki, nim wreszcie wcisnął guzik odtwarzający wiadomości. Dzwoniła Rakel, która chciała mu życzyć dobrej nocy, a jakiś dziennikarz domagał się komentarza na temat tych dwóch napadów. Później Harry przewinał taśmę i odsłuchał wiadomość od Anny: „I czy włożyłaś te dzinsy, które tak bardzo lubiłam?”.

Potańczał twarz, potem wyjął kasetę i wyrzucił ją do śmieci.

Na zewnątrz padał deszcz, a w środku Harry uprawiał *zapping*. Piłka ręczna kobiet, opera mydlana i teleturniej, w którym można było zostać milionerem. Harry zatrzymał się na kanale SVT, gdzie jakiś filozof i antropolog kultury dyskutowali na temat pojęcia zemsty. Jeden twierdził, że kraj taki jak USA, symbolizujący pewne moralne wartości, takie jak wolność i demokracja, ma moralny obowiązek pomścić atak na swoje terytorium, gdyż jest to zarazem atak na te wartości. „Jedynie obietnica odwetu - i egzekwowanie tego - może ochronić system tak wrażliwy jak demokracja”.

„A jeśli te wartości, które reprezentuje demokracja, same padną ofiarą aktu zemsty? - zareplikował drugi. - Jeśli pogwałcone zostaną prawa innego narodu ustanowione przez prawo międzynarodowe? Jakich wartości bronimy, kiedy podczas pościgu za winnymi pozbawiamy praw niewinnych cywilów, i co z moralną wartością, mówiącą, że trzeba nadstawić drugi policzek?”

„Problem w tym - odparł tamten z uśmiechem - że człowiek ma tylko dwa policzki, prawda?”

Harry zgasił telewizor. Zastanawiał się, czy nie powinien zadzwonić do Rakeł, lecz doszedł do wniosku, że jest już za późno. Próbował trochę poczytać powieść Jima Thompsona, ale odkrył, że brakuje w niej stron od dwudziestej czwartej do trzydziestej ósmej. Wstał i zaczął chodzić po pokoju. Potem otworzył lodówkę i bezmyślnie zagapił się na ser i słoik z dżemem truskawkowym. Miał na coś ochotę, ale nie wiedział, na co. Mocno zatrzasnął drzwi lodówki. Kogo on próbuje oszukać? Miał ochotę na drinka.

O drugiej w nocy obudził się w fotelu, ubrany. Wstał, poszedł do łazienki i wypił szklankę wody.

- Cholera! - powiedział do siebie w lustrze. W sypialni włączył komputer. Znalazł w sieci sto cztery artykuły na temat samobójstwa; ale żaden nie traktował o zemście, zawierały jedynie hasła i całe mnóstwo odniesień do motywów zemsty w literaturze i mitologii greckiej. Już miał wyłączyć komputer, gdy uświadomił sobie, że od paru tygodni nie sprawdzał poczty. Dostał dwa maile. Jeden od operatora sieci na temat przerwy w dostawie usług, sprzed dwóch tygodni. Nadawca drugiego maila miał adres: anna.beth@chello.no. Kliknął dwa razy i przeczytał wiadomość. *Cześć, Harry. Pamiętaj o kluczu. Anna.* Czas nadania świadczył o tym, że wysłała tego maila na dwie godziny przed ich spotkaniem. Przeczytał wiadomość jeszcze raz. Taka krótka. Tajj ka... obojętna. Przypuszczał, że właśnie takie maile wysyłają do siebie ludzie. *Cześć, Harry.* Dla osoby stojącej z boku wyglądałoby to na kontakt dobrych znajomych, tymczasem oni znali się kiedyś, wieki temu, przez sześć tygodni, i Harry nie miał pojęcia, skąd w ogóle ona mogła mieć jego adres mailowy.

Kiedy zasnął, śniło mu się znów, że stoi w banku ze strzelbą. Ludzi wokół niego byli z marmuru.

15 GADŹO

- Ależ piękna dziś pogoda! - oświadczył Bjarne Molier, wkraczając następnego dnia rano do pokoju Harry'ego i Halvorsena.

- Ty o tym wiesz, bo masz okno - odparł Harry, nie podnosząc głowy znad filiżanki z kawą. - I nowe krzesło - dodał, gdy Molier zasiadł na popsutym krześle Halvorsena, które natychmiast zaprotestowało z bolesnym jękiem.

- Ho, ho - westchnął Molier. - Masz dzisiaj zły dzień? Harry wzruszył ramionami.

- Dochodzę do czterdziestki i zaczynam doceniać narzekanie. Coś w tym złego?

- Ależ skąd. Miło cię zresztą widzieć w garniturze.

Harry zdziwiony uniósł klapę marynarki, jak gdyby dopiero teraz zauważył swój ciemny garnitur.

- Wczoraj była odprawa naczelników - powiedział Molier. - Życzysz sobie krótkie czy długie streszczenie?

Harry mieszał kawę ołówkiem.

- Nie możemy się dłużej zajmować sprawą Ellen, o to chodzi?

- Ta sprawa została już dawno wyjaśniona, Harry. A naczelnik Wydziału Techniki Kryminalistycznej mówi, że wciąż ich zadręczasz, każąc sprawdzać jakieś prastare ślady.

- Wczoraj nowy świadek...

- Zawsze będzie jakiś nowy świadek, Harry. Oni po prostu nie chcą więcej o tym słyszeć.

- Ale...

- Koniec i kropka, Harry. Przykro mi. W drzwiach Molier jeszcze się obrócił.

- Wyjdź trochę na słońce, to może być ostatni tak ciepły dzień przez dłuższy czas.

- Chodzą plotki, że słońce świeci - powiedział Harry do Beate, wchodząc do House of Pain. - Tak tylko mówię, żebyś wiedziała. - Zgaś światło - poleciła. - Coś ci pokażę.

Przez telefon w jej głosie dało się wychwycić podniecenie, ale nie zdradziła, o co chodzi. Wzięła do ręki pilota.

- Nie znalazłam nic na taśmie z tego dnia, kiedy zamówiono kontener, ale obejrzyj film z dnia napadu.

Na ekranie Harry zobaczył obraz ze sklepu 7-Eleven. Widział zielony kontener za oknem, drożdżówki z budyniem wewnątrz, tył głowy i przedziałek w tyłku chłopaka, z którym rozmawiał dzień wcześniej. Obsługiwał dziewczynę, która kupowała mleko, magazyn „Det Nye” i kondomy.

- To nagranie z godziny 15.05, czyli piętnaście minut przed napadem. Patrz teraz!

Dziewczyna zabrała swoje zakupy, kolejka przesunęła się i mężczyzna w czarnym kombinezonie i zsuniętej nisko na czoło czapce z daszkiem i nausznikami wskazał coś na ladzie. Głowę miał spuszczoną, nie mogli więc zobaczyć jego twarzy. Pod pachą trzymał złożoną czarną torbę.

- Jasny gwint - szepnął Harry.

- To Ekspedytor - oświadczyła Beate.

- Jesteś pewna? Wiele osób chodzi w czarnych kombinezonach, a; nie miał czapki z daszkiem.

- Kiedy się trochę oddali od lady, zobaczysz, że ma te same buty które widać na filmie z napadu. Zwróć też uwagę na wybrzuszenie pod kombinezonem z lewej strony. To AG3.

- Przykleił do ciała, taśmą. Ale co on na miłość boską robi w 7-Eleven?

- Czeka na transport pieniędzy. Musi mieć jakiś punkt obserwacyjny, w którym nie rzuci się w oczy. Już wcześniej obserwował ten rejon i wie, że Securitas przyjeżdża między 15.15 a 15.20. W tym czasie nie może kręcić się po okolicy w kominiarce i wielkim głosem oznajmiać, że zamierza napaść na bank. Dlatego nosi czapkę, która zasłania jak największą część twarzy. W momencie, gdy podchodzi do kasy, ktoś, kto się dobrze przypatrzy, zauważy małą prostokątną plamkę światła poruszającą się na ladzie. To odbicie od szkła. Ten drań jest w ciemnych okularach. - Beatę mówiła cicho, ale szybko i z takim podnieceniem, jakiego Harry nigdy dotąd u niej nie widział. - Najwyraźniej zdaje sobie sprawę z obecności kamery w 7-Eleven, bo nie chce pokazać twarzy. Zobacz, jak pilnuje kątów. Trzeba mu przyznać, że naprawdę świetnie sobie radzi.

Chłopak za ladą podał mężczyźnie w kombinezonie drożdżówkę, jednocześnie biorąc monetę dziesięciokoronową, którą ten położył na ladzie.

- Hej! - krzyknął Harry.

- Owszem - przyznała Beata. - Jest bez rękawiczek. Ale nie wygląda na to, by dotykał czegoś w sklepie. O, teraz widać tę plamkę światła, o której mówiłam.

Harry niczego nie widział.

Mężczyzna wyszedł ze sklepu w czasie, gdy chłopak obsługiwał ostatnią osobę z kolejki.

- Mhm. Znów będziemy musieli szukać świadków - oświadczył Harry, wstając.

- Nie byłabym zbyt optymistyczna. - Beata nie odrywała wzroku od ekranu. - Pamiętaj, że zgłosił się tylko jeden świadek, który widział Ekspedytora, uciekającego w piątkowych godzinach szczytu. Tłum to najlepsza kryjówka przestępców.

- No dobrze, ale masz jakieś inne propozycje?

- Żebyś usiadł, bo inaczej ominie cię punkt kulminacyjny.

Harry popatrzył na nią z lekkim zdumieniem i odwrócił się do ekranu. Chłopak za ladą stał przodem do kamery z palcem głęboko w nosie.

- Rzeczywiście - mruknął Harry.

- Spójrz na kontener za oknem.

Odbicie w szybie trochę zacierało obraz, ale mężczyznę w czarnym kombinezonie dało się zauważyć wyraźnie. Stał na zewnętrznej stronie chodnika pomiędzy kontenerem a zaparkowanym samochodem. Do kamery obrócony był plecami, a jedną ręką oparł się o brzeg

kontenera. Wyglądało na to, że jedząc drożdżówkę, patrzy w stronę banku Torbę położył na asfalcie.

- To właśnie jego punkt obserwacyjny - oświadczyła Beata. - Zamówił kontener i ustawił go dokładnie w tym miejscu. Genialnie proste, może śledzić, kiedy przyjeżdża transport z pieniędzmi, a jednocześnie ukrywa się przed kamerami banku. Zwróć też uwagę na sposób, w jaki stoi. Po pierwsze, połowa z ludzi mijających go chodnikiem nie ma nawet możliwości go zobaczyć z powodu kontenera, a ci, którzy już go zobaczą, widzą mężczyznę w kombinezonie i czapce przy kontenerze. Robotnika budowlanego, pracownika firmy przeprowadzkowej, faceta od remontów. Krótko mówiąc, kogoś, kto nie zapada w pamięć. Nic dziwnego, że nie możemy znaleźć świadków.

- Zostawia niezłe odciski palców na tym kontenerze - powiedział Harry. - Szkoda tylko, że przez ostatni tydzień nieprzerwanie lało.

- Ale ta drożdżówka...

- Odciski palców z niej zjada - westchnął Harry.

- Musi ją czymś popić. Uważaj teraz!

Mężczyzna nachylił się, rozpiął torbę, wyjął z niej białą plastikową torebkę, a z torebki butelkę.

- Coca-cola - szepnęła Beata. - Przybliżyłam na stop klatce, zanim przyszedłeś. To szklana butelka zatkana korkiem do wina.

Mężczyzna w kombinezonie, trzymając butelkę za górną część, wyciągnął korek. Potem odchylił głowę do tyłu, butelkę uniósł wysoko i zaczął pić. Widzieli, jak ostatnie łyki wyciekają przez szyjkę, ale czapka dobrze zasłaniała zarówno usta, jak i całą twarz. W końcu schował butelkę z powrotem do plastikowej torebki, zawinął ją i miał włożyć do torby, ale się powstrzymał.

- Zobacz, zastanawia się - szepnęła Beata i z udawanym namysłem wymruczała: - Ile miejsca zajmą pieniądze? Ile miejsca zajmą pieniądze?

Bohater dramatu zajrzał do torby, potem zerknął na kontener, wreszcie podjął decyzję i szybkim wyrzutem ramienia cisnął torebkę z butelką, która poszybowała łukiem i wpadła do otwartego kontenera.

- Trzy punkty! - ryknął Harry.

- Zwycięstwo na własnym boisku! - zawtórowała mu Beata.

- Cholera! - krzyknął Harry.

- O nie! - jęknęła Beata, w rozpaczy uderzając głową o kierownicę.

- Musieli tu dopiero co być - powiedział Harry. - Zaczekaj! Otworzył drzwi

samochodu tuż przed rowerzystą, który musiał gwałtownie skręcić, przebiegł przez ulicę do sklepu 7-Eleven i dopadł do lady.

- Kiedy zabrali kontener? - spytał chłopaka, który wpychał w bułki dwie duże parówki dla dwóch szerokozadych dziewczyn.

- Cholera, zaczekaj na swoją kolej! - odparł chłopak, nie odwracając się.

Jedna z dziewczyn obruszyła się urażona, kiedy Harry wychylił się, zagrządzając dostęp do butelki z keczupem, i złapał chłopaka za zieloną koszulę na piersiach.

- Cześć, to ja - powiedział. - Uważaj teraz, bo inaczej kiełbaski ci wylecą - przerażenie na twarzy chłopaka kazało Harry'emu się opanować. Puścił go i wskazał na okno, przez które widać było teraz oddział Nordei na drugiej stronie ulicy. Po zielonym kontenerze została jedynie wielka pustka.

- Kiedy zabrali ten kontener? Prędko!

Chłopak, gapiąc się na Harry'ego, przełknął ślinę.

- Teraz. Właśnie teraz.

- Co znaczy „teraz”?

- No... dwie minuty temu. - Oczy mu się zamglily.

- Dokąd pojechali?

- Skąd mam wiedzieć? Ja się nie rozumiem na tych kontenerach.

- Rozumiem. - Co?

Ale Harry już wyszedł.

Przycisnął do ucha czerwony telefon komórkowy Beatę.

- Centrala Oczyszczania Miasta? Dzwonię z policji. Harry Hole. Gdzie opróżniacie kontenery? Tak, te prywatne. Firma Metodica, gdzie to jest? Verkseier Furulunds vei na Alnabru? Dziękuję. Co? Albo na Gronmo? Jak mogę stwierdzić, które...

- Zobacz - powiedziała Beata. - Korek.

Na ulicy w stronę skrzyżowania przed knajpą Lorry na Hegdehaugsveien samochody utworzyły nieprzebytą na pierwszy rzut oka ścianę.

- Powinniśmy byli jechać Uranienborgveien - stwierdził Harry. - Albo Kirkeveien.

- Szkoda, że nie ty prowadzisz - odcięła się Beata, prawym kołem wjechała na chodnik, nacisnęła klakson i dodała gazu. Ludzie uskakiwali na boki.

- Halo? - mówił Harry do telefonu. - Właśnie zabraliście zielony kontener, który stał na Bogstadveien tuż przy skrzyżowaniu z Industri-gata. Dokąd on jedzie? Dobrze, czekam.- Stawiamy na Alnabru - powiedziała Beata, gwałtownie skręcając na skrzyżowaniu tuż przed nosem tramwaju. Koła zabuksowały na szl nach, zanim złapały asfalt, a Harry miał wrażenie,

że przeżywa *deja-vu*.

Zdążyli dojechać do Pilestredet, kiedy człowiek z Centrali Oczyszczania Miasta wrócił z informacją, że nie mogą się dodzwonić na komórkę do kierowcy, lecz że kontener prawdopodobnie zmierza na Al-, nabru.

- No cóż - powiedział Harry. - Czy możecie zadzwonić do Metodiki i poprosić, żeby wstrzymali się z wrzuceniem zawartości kontenera do pieca, dopóki... Wasza centrala telefoniczna jest zamknięta między pół do dwunastej a dwunastą? Uważaj! Nie, mówiłem do kierowcy. Nie, do mojego kierowcy.

W Tunelu Ibsena Harry wezwał centralę na Gronland i poprosił, żeby wysłali wóz patrolowy do Metodiki, ale najbliższy wolny radiowóz znajdował się w odległości co najmniej piętnastu minut jazdy.

- Cholera! - Harry rzucił komórkę przez ramię i uderzył pięścią w deskę rozdzielczą.

Na rondzie między Byporten a Plaža Beatę wcisnęła się między czerwony autobus i chevroleta furgonetkę, przejeżdżając przez ciągłą linię, a kiedy wreszcie, jadąc z prędkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę, wydostali się z plątaniny estakad i z piskiem opon wykonali kontrolowany poślizg, robiąc nawrotkę przed dworcem Oslo S od strony morza, Harry zrozumiał, że nie wszystkie nadzieje się rozwiały.

- Jaki czort uczył cię prowadzić samochód? - spytał, trzymając się mocno, gdy lawirowali między samochodami na trzypasmówce w stronę tunelu Ekeberg.

- Sama się nauczyłam!

Na środku tunelu Valerenga pojawiła się przed nimi wielka paskudna, plująca ropą ciężarówka. Sunęła prawym pasem, a na pace, przy trzymywany z obu stron dwoma żółtymi ramionami podnośnika, stał zielony kontener z napisem „Centrala Oczyszczania Miasta”.

- *Yes!* - krzyknął Harry. Beatę zjechała przed ciężarówkę, zwolniła i włączyła prawy migacz.

Harry otworzył okno i wystawił przez nie rękę z identyfikatorem, a drugą zaczął machać w stronę pobocza.

Szofer nie miał nic przeciwko temu, by Harry zajrzał do kontenera, ale proponował, żeby dojechali do Metodiki i dopiero tam wysypali zawartość na ziemię.

- Nie chcę, żeby butelka się stłukła! - wrzasnął Harry z paki, przekrzykując ryk mijających ich samochodów.

- Martwiłem się głównie o ten pana elegancki garnitur - odparł kierowca, ale Harry już przerzucał nogi przez krawędź kontenera. W następnej chwili z jego wnętrza dobiegł huk jakby grzmotu, a Beatę i kierowca usłyszeli głośne przekleństwo. Potem w środku coś zaczęło

szurać, a w końcu rozległo się ponowne „Yes!” i Harry wyłonił się nad krawędzią kontenera, wymachując triumfalnie nad głową białą plastikową torbą.

- Natychmiast zanieś butelkę Weberowi i powiedz mu, że to pilne - powiedział Harry, gdy Beatę zapalała samochód. - Przekaż mu pozdrowienia ode mnie.

- A to pomoże?

Harry podrapał się w głowę.

- Nie. Powiedz po prostu, że to pilne.

Beatę roześmiała się, krótko i mało serdecznie, ale był to naprawdę śmiech.

- Zawsze masz tyle zapału? - spytała.

- Ila? A ty nie? Byłaś gotowa nas zabić, byle tylko zdobyć ten dowód, prawda?

Uśmiechnęła się, ale nie odpowiedziała. Jedynie długo wpatrywała się w lusterko, nim zjechała na drogę.

Harry gwałtownie zerknął na zegarek.

- Jasny gwint!

- Spóźniłeś się na spotkanie?

- Mogłabyś mnie podrzucić do kościoła na Majorstua?

- Oczywiście. To wyjaśnienie tego ciemnego garnituru?

- Tak, mój... przyjaciel.

- Wobec tego może powinieneś najpierw spróbować zetrzeć z ramienia to brązowe.

Harry obrócił głowę.

- To z kontenera - stwierdził i zaczął się otrzepywać. - Już? Beatę podała mu chusteczkę.

- Spróbuj trochę napluć. To jakiś bliski przyjaciel?

- Nie. A właściwie tak... przez pewien czas. Ale na pogrzeby się chodzi.

- Chodzi się?

- A ty nie chodzisz?

- W całym swoim życiu byłam tylko na jednym pogrzebie. Kawalek przejechali w milczeniu.

- Ojca? Kiwnęła głową.

Minęli skrzyżowanie Sinsen. Na Muselunden, wielkiej trawiastej równinie poniżej schroniska Haraldsheimen, mężczyzna i dwóch chłopców puszczała latawce. Wszyscy trzej stali ze wzrokiem utkwionym w błękitnym niebie. Harry zdążył jeszcze zobaczyć, jak mężczyzna przefekazuje sznurek starszemu z chłopców.

- Wciąż jeszcze nie znaleźliśmy tego, kto to zrobił - powiedziała Beatę.

- Rzeczywiście, nie znaleźliśmy - odparł Harry. - Na razie jeszcze nie.

- Bóg daje, Bóg zabiera - powiedział pastor, zmrużonymi oczyma obserwując puste rzędy ławek i patrząc na wysokiego krótko ostrzyżonego mężczyznę, który właśnie wszedł na palcach do środka i zajmował miejsce na samym końcu. Zaczekał, aż echo głośnego przenikliwego szlochu ucichnie pod sklepieniem.

- Ale czasami można mieć wrażenie, że tylko zabiera.

Pastor powiedział to z naciskiem na „zabiera”, akustyka uniosła słowo do góry, pod chór. Szloch znów się wzmógł. Harry rozejrzał się dokoła. Sądził, że Anna, taka otwarta i tryskająca radością życia, miała wielu przyjaciół, lecz naliczył zaledwie ośmioro ludzi. Sześcioro w pierwszym rzędzie, dwoje nieco bardziej z tyłu. Ośmioro. No cóż. Ile osób przysłoby na jego pogrzeb? Ośmioro ludzi to może wcale nie tak źle.

Szloch dochodził z pierwszego rzędu, w którym Harry widział trzy kobiece głowy w jaskrawych kolorowych chustkach i trzech mężczyzn z gołymi głowami. Oprócz nich był jeszcze mężczyzna zajmujący miejsce z lewej strony, kobieta przy środkowym przejściu. Rozpoznał przypominającą globus fryzurę afro Astrid Monsen.

Zgrzytneły pedały organów i rozległa się muzyka. Psalm. *Łaska Boska*. Harry zamknął oczy i poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Dźwięki organów wznosiły się i opadały, wysokie tony sączyły się spod sklepienia jak woda. Cienkie głosy śpiewały o wybaczeniu i miłosierdziu. Harry miał ochotę zapaść się w coś, co mogłoby go ogrzać i ukryć na jakiś czas. Bóg będzie sądził żywych i umarłych. Zemsta Boga. Bóg jako Nemezis. Dźwięki w dolnych rejestrach sprawiły, że puste ławki zadrżały. Miecz w jednym ręku, waga w drugim. Zemsta i sprawiedliwość. Albo brak zemsty i brak sprawiedliwości. Otworzył oczy.

Trumnę dźwigało czterech ludzi. Harry za dwoma śniadymi mężczyznami w znoszonych garniturach od Armaniego i białych koszulach rozpiętych pod szyją rozpoznał sierżanta Olę Li. Czwarta osoba była tak wysoka, że trumna znacznie się przechyliła. Garnitur wisiał na chudym ciele, lecz ten człowiek jako jedyny z całej czwórki nie sprawiał wrażenia przygniecionego ciężarem. Uwagę Harry'ego przykuła przede wszystkim twarz mężczyzny. Wąska, o delikatnych rysach, z wielkimi piwnymi cierpiącymi oczyma, zapadniętymi głęboko w czaszkę. Czarne włosy, szczesane do tyłu z wysokiego gładkiego czoła, były splecione w długi warkocz. Delikatne usta w kształcie serca otaczała długa, lecz zadbane broda. Mogło się wydawać, że to sam Chrystus zstąpił z ołtarza za plecami pastora. I było coś jeszcze: o bardzo niewielu twarzach można tak powiedzieć, ale ta twarz naprawdę promieniała. W miarę, jak czterej mężczyźni krocący środkowym przejściem zbliżali się do Harry'ego, usiłował zorientować się, co z niej bije. Czyżby żal? Bo nie radość. Dobroć? Zło?

Ich spojrzenia na moment się spotkały, gdy się mijali. Za trumną szła Astrid Monsen ze spuszczonym wzrokiem, mężczyzna w średnim wieku o wyglądzie księgowego i trzy kobiety, dwie starsze, jedna młodsza, wszystkie ubrane w kolorowe spódnice. Głośno płakały i zawodziły, przewracając oczami, w niemym akompaniamencie załamywały ręce.

Harry obserwował ten niewielki kondukt żałobny, wychodzący z kościoła.

- Zabawni ci Cyganie, prawda, Hole? Słowa odbiły się echem w kościele. Harry obrócił się. To był Ivarsson, uśmiechnięty, w ciemnym garniturze, pod krawatem.

- Kiedy byłem mały, mieliśmy ogrodnika Cygana. Wywodził się z niedźwiedników, Ursari. Wiesz, jeździli po świecie z tańczącymi niedźwiedziami. Miał na imię Josef. Nieustająca muzyka i figle. Ale widzisz, śmierć... Ci ludzie mają jeszcze gorszy stosunek do śmierci niż my. Śmiertelnie się boją *mule*, zmarłych. Wierzą, że zmarli powracają. Josef chodził do kobiety, która umiała przeganiać *mule*. Podobno tylko kobiety to potrafią. Chodźmy.

Ivarsson lekko ujął Harry'ego pod ramię, a ten musiał mocno wziąć się w garść, by odruchowo się nie wyrwać. Wyszli na schody kościoła. Hałas dobiegający z Kirkeveien zagłuszał bicie dzwonów. Czarny cadillac z otwartym tyłem stał na Schonings gate i czekał na żałobników.

- Mają zawieźć trumnę do Krematorium Zachodniego - powiedział Ivarsson. - Palenie zwłok to jeden z obyczajów, które przywieźli ze sobą z Indii. W Anglii palą wóz zmarłego, tylko nie wolno już im wsadzać do niego wdowy. - Roześmiał się. - Ale umieszczają tam ważne przedmioty należące do nieboszczyka. Josef opowiadał, jak na Węgrzech cygańska rodzina pewnego brygadzysty pracującego przy wybuchach włożyła do trumny pozostałości dynamitu i całe krematorium wyleciało w powietrze.

Harry wyjął paczkę cameli.

- Wiem, dlaczego tu jesteś, Hole - ciągnął Ivarsson, nie przestając się uśmiechać. - Chciałeś się przekonać, czy nie nadarzy się okazja, żeby chwilę z nim porozmawiać, prawda? - Skinieniem głowy wskazał kondukt i na wysoką szczupłą postać, która powoli stawiała wielkie kroki. Pozostali musieli drobić i podbiegać, by dotrzymać mu tempa.

- To ten, którego nazywają Raskol? - Harry wsunął papierosa między wargi.

Ivarsson kiwnął głową.

- To jej stryj.

- A pozostali?

- Podobno znajomi.

- A co z rodziną?

- Nie przyznają się do zmarłej.

- Słucham?

- To wersja Raskola. Cyganie to notoryczni kłamcy, ale to, co on mówi, pasuje do historii Josefa na temat ich sposobu myślenia.

- Czyli?

- Że najważniejszy jest honor rodziny. Dlatego została wyklęta. Według Raskola kiedy miała czternaście lat, wydano ją za mąż za jednego z tych mówiących po grecku Cyganów Cało w Hiszpanii. Ale zanim małżeństwo zostało skonsumowane, uciekła z jakimś *gadźo*.

- *Gadźo*?

- Nie - Cyganem. Z jakimś duńskim marynarzem. Najgorsze, co mogła zrobić. Przyniosła hańbę całej rodzinie.

- Mhm.

Nie zapalony papieros podskakiwał Harry'emu w ustach, kiedy mówił:

- Rozumiem, że dobrze poznałeś tego Raskola. Ivarsson przegonił dłonią wyimaginowany dym.

- Rozmawialiśmy. Nazwałbym to wstępными działaniami zaczepnymi. Bardziej treściwe rozmowy nastąpią, gdy wypełnimy swoją część umowy. A więc po zakończeniu tego pogrzebu z jego udziałem.

- Na razie więc niewiele zdążył powiedzieć?

- Z rzeczy, które miałyby znaczenie dla śledztwa, nie. Ale ton tych rozmów był obiecujący.

- Na tyle obiecujący, że, jak widzę, policja pomaga w niesieniu jego krewnej do grobu.

- Pastor poprosił mnie albo Li o pomoc w niesieniu trumny, bo brakowało jednej osoby. Nie mieliśmy nic przeciwko temu, i tak jesteśmy tu wyłącznie po to, by go pilnować. I nie zamierzamy z tego rezygnować. Mam na myśli pilnowanie go.

Harry zmrużył oczy w ostrym jesiennym słońcu. Ivarsson obrócił się do niego.

- Powiem wprost, Hole. Nikomu nie wolno rozmawiać z Raskolem, dopóki my z nim nie skończymy. Nikomu. Przez trzy lata usiłowałem umówić się z człowiekiem, który wie wszystko. Wreszcie mi się to udało. Nikt nie może mi tego popsuć, rozumiesz?

- Powiedz mi, Ivarsson, skoro już rozmawiamy w cztery oczy... - Harry zdjął kawałek tytoniu z języka. - Czy ta sprawa nagle zmieniła się w zawody między tobą a mną?

Ivarsson obrócił twarz do słońca i roześmiał się dźwięcznie. - Wiesz, co bym zrobił na

twoim miejscu? - spytał z zamkniętymi oczyma.

- No co? - Harry przerwał nieznośnie przedłużającą się pauzę.

- Oddałbym ten garnitur do pralni chemicznej. Wyglądasz, jakbyś leżał w śmietniku. - Przyłożył dwa palce do czoła. - Życzę miłego dnia.

Harry został sam na schodach i paląc papierosa, obserwował białą trumnę, krzywo przemieszczającą się nad chodnikiem.

Kiedy Harry wszedł do środka, Halvorsen zakreślił się na krześle.

- Świetnie, że jesteś. Mam dobre wiadomości. Ja... O cholera, ale cuchnie! - Zatkanął nos i głosem przypominającym ten z komunikatu dla rybaków, zapytał: - Co się stało z twoim garniturem?

- Wpadłem do pojemnika na śmieci. Jakie wiadomości?

- Eee... No, pomyślałem, że zdjęcie mogło zostać zrobione w którejś z miejscowości wakacyjnych na południu kraju. Przesłałem je więc mailem do wszystkich posterunków w Agder i rzeczywiście, niedługo po tym zadzwonił funkcjonariusz z Risør i powiedział, że dobrze zna tę plażę. Ale wiesz, co?

- Chyba nie.

- To wcale nie w południowej Norwegii, tylko w Larkollen! - Halvorsen popatrzył na Harry'ego z wyczekującym uśmiechem, a ponieważ kolega nie wykazał żadnej reakcji, dodał: - To znaczy w Ostfold. Kolo Moss.

- Wiem, gdzie leży Larkollen, Halvorsen.

- No tak, ale ten funkcjonariusz pochodzi z...

- Ci z południa też czasem jeżdżą na wakacje. Dzwoniłeś do Larkollen?

Halvorsen z rezygnacją przewrócił oczami.

- Jasne. Dzwoniłem na camping i w dwa miejsca, w których wynajmują domki. I jeszcze do dwóch jedyńskich sklepów spożywczych.

- Znalazłeś coś?

- Owszem. - Halvorsen znów się rozpromienił. - Przefaksowałem zdjęcie i okazało się, że facet, który prowadzi jeden z tych sklepów, dobrze wie, kim jest ta kobieta. Mają jeden z najbardziej ekskluzywnych domków w okolicy, on nawet dowozi im towar.

- A ta kobieta nazywa się...

- Vigdis Albu. - Albu, tak jak... łokieć?

- Tak. W Norwegii są tylko dwie osoby o tym nazwisku, przy czym jedna urodzona w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym. Druga ma czterdzieści trzy lata i mieszka pod adresem Bjornetrakket 12 na Slemdal, razem z Arnem Albu. Abrakadabra - tu masz numer telefonu,

szefie.

- Nie nazywaj mnie tak. - Harry już sięgał po słuchawkę.

- O co chodzi? - Halvorsen jęknął. - Zły jesteś czy co?

- Owszem, ale nie dlatego tak mówię. Szefem jest Molier. Ja nie jestem szefem.

Jasne?

Halvorsen już miał coś odpowiedzieć, ale Harry podniósł rękę do góry.

- Czy pani Albu?

Ktoś poświęcił wiele pieniędzy, wiele czasu i wiele miejsca na to, by zbudować dom państwa Albu. I wiele gustu. W opinii Harry'ego, wiele złego gustu. Wyglądało na to, że architekt, jeżeli w ogóle takowy istniał, usiłował połączyć norweską tradycję budownictwa drewnianego ze stylem plantacji w południowych Stanach, dodając do tego kapkę różowego szczęścia z przedmieść w stylu Kaczogrodu. Harry poczuł, że stopy zapadają mu się głęboko w żwir na podjeździe prowadzącym przez zadbane ogród z ozdobnymi krzewami i niedużym jelonkiem z brązu, popijającym wodę z fontanny. Na wiązarze nad podwójnym garażem umocowany był owalny miedziany szyld, na którym widniała niebieska flaga z żółtym trójkątem.

Zza domu dobiegało zajadłe szczekanie psa. Harry wszedł na szerokie schody między kolumnami, zadzwonił i właściwie oczekiwał, że otworzy mu czarnoskóra matrona w białym fartuchu.

- Witam - zaczął głośno w momencie otwarcia drzwi. Vigdis Albu wyglądała na żywcem wyjętą z reklamy klubu fitness, jakie Harry czasami oglądał w telewizji, kiedy wracał do domu w nocy. Miała ten sam nieskazitelnie biały uśmiech, tlenione włosy lalki. Barbie i mocne wytrenowane ciało klasy wyższej, opakowane w legginsy i krótki top. A jeśli piersi sobie kupiła, to przynajmniej miała dość rozumu, by nie przesadzić w doborze rozmiaru.

- Harry...- Proszę wejść - uśmiechnęła się, pokazując jedynie zaczątek zmarszczek wokół dyskretnie umalowanych dużych niebieskich oczu.

Harry wszedł do dużego holu, zamieszkałego przez tłuste brzydkie trolle wyrzeźbione w drewnie i sięgające mu do bioder.

- Właśnie robię porządki - wyjaśniła Vigdis Albu, odsłaniając białe zęby, i ostrożnie otarła pot palcem wskazującym, żeby nie rozmazać tuszu.

- Wobec tego zdejmę buty. - W tym samym momencie Harry przypomniał sobie dziurę na palcu prawej skarpety.

- Boże broń, nie sprzątam domu, od tego mamy ludzi - roześmiała się. - Ale ubrania

piore sama. Istnieją pewne granice wpuszczania obcych we własne życie, nie sądzi pan?

- Cóż w tym jest - mruknął Harry. Musiał dobrze wyciągać nogi, żeby dotrzymać jej kroku na schodach. Minęli olbrzymią kuchnię i weszli do salonu. Za przeszkłonymi przesuwanymi drzwiami znajdował się wielki taras. Na dłuższej ze ścian widniała olbrzymia konstrukcja z cegieł, coś pośredniego między ratuszem w Oslo a nagrobkiem.

- Zaprojektowany przez Pera Hummela na czterdzieste urodziny Arnego - powiedziała Vigdis Albu. - Per to nasz przyjaciel.

- No tak, rzeczywiście Per zaprojektował... kominek.

- Słyszał pan chyba o Perze Hummelu, architekcie? Twórca nowej kaplicy na Holmenkollen, słyszał pan?

- Niestety. - Harry podał jej fotografię. - Chciałbym, żeby pani to obejrzała.

Obserwował, jak zaskoczenie powoli maluje się na jej twarzy.

- Ależ to przecież zdjęcie zrobione przez Arnego dwa lata temu w Larkollen. Skąd pan je ma?

Harry wstrzymał się z odpowiedzią, aby sprawdzić, czy kobieta zdoła utrzymać tę szczerze zdumioną minę. Zdołała.

- Znaleźliśmy je w bucie kobiety, która nazywa się Anna Bethsen. Harry był świadkiem reakcji łańcuchowej myśli, wniosków i uczuć, odmalowujących się na twarzy Vigdis Albu niczym w operze mydlanej puszczanej w przyspieszonym tempie. Najpierw zdumienie, potem głęboki namysł, a na koniec dezorientacja. Nagły pomysł, który w pierwszej chwili został odrzucony z pełnym niedowierzania śmiechem, lecz mimo wszystko nie chciał odejść i zdawał się zmieniać w narastające zrozumienie. A na koniec gwałtownie zamknięta twarz z napisem: istnieją pewne granice wpuszczania obcych w swoje życie, nie sądzi pan?

Harry obracał w palcach wyjętą z kieszeni paczkę z papierosami. Na środku stołu-ławy królowała wielka kryształowa popielniczka.

- Czy pani zna Annę Bethsen, pani Albu?

- Ani trochę. A powinnam?

- Nie wiem - odparł Harry szczerze. - Ona nie żyje. Zastanawiałem się tylko, co taka osobista fotografia mogła robić w jej bucie. Ma pani jakiś pomysł?

Vigdis Albu usiłowała odpowiedzieć mu wyrozumiałym uśmiechem, lecz usta jakby nie chciały jej słuchać. Zadowolona się energicznym pokręceniem głową.

Harry czekał. Nieruchomy i rozluźniony. Tak jak stopy zapadły mu się w żwir, tak teraz ciało zapadało się w głęboką białą kanapę. Doświadczenie nauczyło go, że ze

wszystkich metod nakłaniania ludzi do mówienia najskuteczniejsze jest milczenie. Gdy dwoje obcych ludzi siedzi naprzeciwko siebie tak jak teraz, cisza zdaje się próżnią wysysającą słowa. Siedzieli tak przez dziesięć nie mających końca sekund. W końcu Vigdis Albu przełknęła ślinę.

- Może nasza pomoc domowa znalazła gdzieś to zdjęcie leżące luzem i je zabrała? A potem dała je tej... Annie, tak?

- Mhm. Czy mógłbym zapalić, pani Albu?

- U nas w domu się nie pali. Ani mój mąż, ani ja... - Podniosła dłoń do warkocza. - A Alexander, najmłodszy, ma astmę.

- To przykre. Czym się teraz zajmuje pani mąż?

Gdy patrzyła na niego, jej wielkie niebieskie oczy zrobiły się jeszcze większe.

- Chodzi mi o to, gdzie pracuje. - Harry schował papierosy z powrotem do kieszeni.

- Jest inwestorem. Trzy lata temu sprzedał firmę.

- Jaką firmę?

- Albu SA. Import ręczników i mat prysznicowych dla hoteli i innych odbiorców hurtowych.

- Wygląda na to, że tych ręczników musiało być bardzo dużo. Mat prysznicowych zresztą też.

- Mieliśmy filie w całej Skandynawii.- Gratuluję. A ta flaga na garażu, czy to nie jest symbol konsula? Vigdis Albu odzyskała równowagę i ściągnęła gumkę z włosów. Harry stwierdził, że musiała robić coś z twarzą. Nie zgadzało się coś z proporcjami. To znaczy zgadzało się aż za dobrze, symetria była wręcz sztuczna.

- Saint Lucia. Mój mąż przez jedenaście lat był ich konsulem honorowym. Znajduje się tam fabryka, która szyje maty prysznicowe. Marny tam też niewielki domek. Czy był pan...

- Nie.

- Fantastyczna, cudowna, prześliczna wyspa. Wielu tubylców wciąż mówi po francusku. Co prawda trudno ich zrozumieć, ale są tak czarujący, że wprost trudno uwierzyć.

- To raczej kreolski.

- Słucham?

- Coś tam o tym czytałem. Sądzi pani, że mąż może wiedzieć, w jaki sposób to zdjęcie znalazło się u zmarłej?

- Nie potrafię sobie tego wyobrazić. Dlaczego miałby to wiedzieć?

- No cóż - uśmiechnął się Harry. - Odpowiedź na to pytanie może być równie trudna,

jak na to, dlaczego ktoś ma zdjęcie obcych ludzi w bucie. - Wstał. - Gdzie mogę go znaleźć, pani Albu?

Notując numer telefonu i adres biura Arnego Albu, przypadkiem zerknął na sofę, z której przed chwilą wstał.

- Oj - zająknął się i zobaczył, że Vigdis Albu powędrowała spojrzeniem za jego wzrokiem. - Poślizgnąłem się i wpadłem do pojemnika ze śmieciami. Oczywiście...

- Nic nie szkodzi - przerwała mu. - Pokrycie i tak idzie do pralni w przyszłym tygodniu.

Już na zewnętrznych schodach spytała, czy Harry mógłby wstrzymać się z telefonowaniem do jej męża do piątej.

- Wróci już wtedy do domu i nie będzie taki zajęty.

Harry nie odpowiedział. Czekał, patrząc, jak kąciki ust Vigdis drgają w górę i w dół.

- Żebyśmy mogli razem... zastanowić się nad znalezieniem dla pana jakiejś rozsądnej odpowiedzi.

- Dziękuję. To miłe z pani strony, ale mam samochód, a to po drodze. Zajrzę więc do niego do pracy i zobaczę, czy go zastanę.

Ujadanie psa towarzyszyło Harry'emu w drodze po długim podjeździe. Przy furcie odwrócił się, Vigdis Albu wciąż tkwiła na schodach przed różowym budynkiem plantacji. Stała z pochyloną głową, a słońce odbijało się od jej włosów i gładkiego stroju sportowego. Z daleka wyglądała jak mały jelonek z brązu.

W centrum konferencyjnym Vika Atrium Harry nie znalazł ani dozwolonego miejsca na parkowanie, ani też Arnego Albu. Zastał jedynie recepcjonistkę, która poinformowała go, że Arne Albu wynajmuje biuro wraz z trzema innymi inwestorami, a obecnie wyszedł na lunch z „przedsięwzięciem pośrednictwa w handlu nieruchomościami”.

Gdy Harry opuścił Vika Atrium, okazało się, że pracownicy naczelnika Wydziału Ruchu Drogowego zdążyli już wsunąć za wycieraczkę mandat za złe parkowanie. Harry zabrał go wraz ze swoim złym humorem do „DS Louise” na Aker Brygge, która nie była wcale statkiem parowym, tylko restauracją. W przeciwieństwie do Schrodera serwowano tu całkiem jadalne dania gościom posiadającym płynność finansową i adresy w dzielnicy, którą przy odrobinie dobrej woli można było określić jako Oslo Wall Street. Harry nigdy nie czuł się na Aker Brygge u siebie, lecz być może wynikało to z faktu, że był chłopakiem z Oslo, a nie turystą. Zamienił parę słów z kelnerem, który wskazał mu stolik pod oknem.

- Bardzo przepraszam, że przeszkodzę - zaczął Harry.

- O, nareszcie! - wykrzyknął jeden z trójki przy stoliku, odgarniając do tyłu grzywkę. -

Twierdzi pan, panie *maitre d'hôtel*, że to wino ma właściwą temperaturę?

- Uważam, że to norweskie czerwone wino rozlewane do butelek *Cios des Papes* - odparł Harry.

Grzywka, zaskoczona, zmierzyła wzrokiem Harry'ego i jego ciemny garnitur od stóp do głów.

- To żart - uśmiechnął się Harry. - Jestem z policji. Zaskoczenie przeszło w przerażenie.

- Ale nie z gospodarczej.

Ulga zmieniła się w znak zapytania. Harry usłyszał chłopięcy śmiech i nabrał oddechu. Już wcześniej zdecydował, w jaki sposób to załatwi, ale nie miał pojęcia, jakie będą skutki. - Arne Albu? - spytał.

- To ja - odparł ten, który się śmiał, szczupły mężczyzna z krótkimi ciemnymi kręconymi włosami i zmarszczkami od uśmiechu wokół oczu, które świadczyły zarówno o tym, że dużo się śmieje, jak i o tym, że ma prawdopodobnie więcej niż trzydzieści pięć lat, na które Harry początkowo go oceniał.

- Przepraszamy za nieporozumienie - ciągnął, wciąż ze śmiechem w głosie. - Czy mogę panu w czymś pomóc, panie policjancie?

Harry przyjrzał mu się uważnie, próbując stworzyć sobie naprędce obraz tego człowieka. Głos miał z rodzaju tych dźwięcznych, spojrzenie pewne. Rożki kołnierzyka koszuli kredowobiałe nad węzłem krawata zawiązanego mocno, lecz nie za ciasno. Fakt, że nie poprzestał na „to ja”, lecz dodał przeprosiny i „czy mogę panu w czymś pomóc, panie policjancie” z lekko ironicznym naciskiem na „policjancie”, wskazywał, że Arne Albu jest albo bardzo pewny siebie, albo też posiada dużą wprawę w sprawianiu wrażenia, że tak jest.

Harry skoncentrował się. Nie na tym, co miał powiedzieć, lecz na reakcji Albu.

- Owszem, może pan, panie Albu. Czy zna pan Annę Bethsen? Albu popatrzył na Harry'ego spojrzeniem równie niebieskim jak jego żony i po sekundzie namysłu odparł głośno i wyraźnie:

- Nie.

Jego twarz nie wykazywała żadnych oznak, które sugerowałyby Harry'emu coś innego niż to, co powiedziały usta. Co prawda wcale na to liczył. Dawno już przestał wierzyć w mit o tym, że ludzie uprawiający zawody, w których człowiek na co dzień styka się z kłamstwem, uczą się je rozpoznawać. Podczas pewnego procesu, w którym jeden z policjantów twierdził, że „opierając się na swoim doświadczeniu, widział, że oskarżony kłamię”, Aune znów stał się narzędziem obrony, gdy na pytanie adwokata odpowiedział, że

badania naukowe wykazały, iż w odkrywaniu kłamstwa żadna grupa zawodowa nie jest lepsza od innej. Sprzątaczką może być w tym równie dobra jak psycholog czy policjant. To znaczy równie nieudolna. Jedynymi osobami, które zdobyły nieco więcej punktów niż przeciętna, byli agenci Secret Service. Ale Harry nie był agentem Secret Service, tylko facetem z Oppsal, któremu się spieszyło, w dodatku miał kiepski humor i akurat w tej chwili wykazał się złą wolą. Konfrontowanie człowieka w obecności innych z być może kompromitującymi faktami, i to właściwie bez żadnych konkretnych podejrzeń, było, po pierwsze, raczej mało skuteczne, po drugie, nie dało się tego nazwać czystą grą. Harry wiedział więc, że nie powinien robić tego, co zrobił.

- Ma pan jakiś pomysł na to, kto mógł jej dać to zdjęcie? Wszyscy trzej mężczyźni popatrzyli na fotografię, którą Harry położył na stoliku.

- Nie mam pojęcia - odparł Albu. - Moja żona? Może któreś z dzieci?

- Mhm. - Harry szukał wspomnień w jego źrenicach, jakiegokolwiek oznaki przyspieszonego pulsu, kropli potu czy rumieńca.

- Nie wiem, o co chodzi, panie policjancie, lecz ponieważ zadał pan sobie tyle trudu, żeby odnaleźć mnie aż tutaj, zakładam, że nie chodzi o bagatelkę. Może więc moglibyśmy to raczej omówić w cztery oczy, kiedy już załatwię sprawę z panami z Banku Handlowego. Jeśli zechce pan poczekać, poproszę kelnera, żeby wskazał panu stolik na dole, w sali dla pałających.

Harry nie był w stanie stwierdzić, czy uśmiech Albu jest drwiący, czy też po prostu życzliwy. Nawet tego.

- Nie mam na to czasu - odparł Harry. - Gdybyśmy więc mogli usiąść...

- Obawiam się, że ja również nie mam czasu - przerwał mu Albu spokojnym, lecz zdecydowanym tonem. - To mój czas pracy. Porozmawiamy więc raczej po południu, jeśli oczywiście wciąż będzie pan uważał, że mogę panu w czymś pomóc.

Harry przełknął ślinę. Był bezsilny i widział, że Albu również o tym wie.

- No to jesteśmy umówieni - zakończył, ale sam słyszał, jak niezdarnie to zabrzmiało.

- Dziękuję, panie policjancie. - Albu skinął Harry'emu z uśmiechem. - I najprawdopodobniej ma pan rację, jeśli chodzi o wino. - Odwrócił się do Banku Handlowego. - Co mówiłeś o Opticomie, Svein?

Harry zabrał zdjęcie, a zanim opuścił restaurację, zebrał jeszcze marnie skrywany uśmiezek pośrednika z grzywką. Na skraju nabrzeża zapalił papierosa, ale jakoś mu nie posmakował. Wyrzucił go, zirytowany. Słońce błysnęło w szybie twierdzy Akershus, a morze było tak spokojne, że wyglądało, jak pokryte warstewką cieniutkiego przezroczystego lodu. Dlaczego to zrobił? Dlaczego pokusił się na tę iście samobójczą próbę upokorzenia

człowieka, którego w ogóle nie znał? W efekcie został jedynie rękami w jedwabnych rękawiczkach podniesiony za kołnierz do góry i wyrzucony za drzwi.

Obrócił twarz do słońca, przymknął oczy i pomyślał, że być może dla odmiany powinien dziś zrobić coś mądrego. Na przykład rzucić wszystko w diabły. Bo tu nie było się czego czepiać. Po prostu zwyczajny chaos i zwykłe rzeczy, których nie można pojąć. Rozdzwoniły się dzwony na ratuszu.

Harry wciąż jeszcze nie wiedział, że Molier miał rację. To ostatni te go roku ciepły dzień.

16 NAMCO G-CON 45

Dzielny Oleg.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział przez telefon. Powtarzał to raz po raz, jak gdyby miał jakiś tajemniczy plan. - Mama i ja już niedługo wracamy.

Harry stał przy oknie w salonie i patrzył na niebo ponad dachem po drugiej stronie podwórza, gdzie wieczorne słońce barwiło spód cienkiej pomarszczonej warstwy chmur czerwienią i pomarańczom. Gdy był w drodze do domu, temperatura w niewytłumaczalny sposób gwałtownie spadła, jak gdyby ktoś otworzył niewidzialne drzwi, przez które wysane zostało całe ciepło. W mieszkaniu chłód zaczął już wypełzać spomiędzy desek podłogi. Gdzie są jego filcowe kapcie? W piwnicy czy na strychu? Czy w ogóle je ma? Nic już nie pamiętał. Na szczęście zapisał nazwę tego czegoś do PlayStation, co obiecał kupić Olegowi, jeśli uda mu się pobić jego rekord w Tetris na gameboyu. Namco G-Con 45.

Za jego plecami na czternastocalowym telewizorku szumiały wiadomości. Kolejna gala artystów, z której dochód miał być przeznaczony dla ofiar. Julia Roberts okazywała współczucie, a Sylvester Stallone odbierał telefony od ofiarodawców. Nadeszła też chwila odwetu, zdjęcia pokazywały górskie zbocza - bombardowane podczas nalotu dywanowego. Na pustkowiu spośród kamieni i niczego wyrastały czarne kolumny dymu. Zadzwoił telefon.

To był Weber. W Budynku Policji uchodził za upartego zrzędcę, z którym trudno się pracuje. Harry miał całkowicie przeciwne zdanie. Należało jedynie mieć świadomość, że Weber będzie zrzędził, jeśli ktoś za dużo gada albo zanadto marudzi.

- Wiem, że czekasz na wiadomość - powiedział technik. - Nie znaleźliśmy na butelce żadnych śladów DNA, ale mamy za to parę ładnych odcisków palców.

- Świetnie. Balem się, że mogły zostać zniszczone, mimo że leżały w plastikowej torbie.

- Na szczęście to szklana butelka. Na plastikowej po tylu dniach tłuszcz z odcisków mógł się wchłonać.

Harry usłyszał w tle odgłosy mycia podłogi.

- Jesteś jeszcze w pracy, Weber? - Tak.

- Kiedy sprawdzicie te odciski w banku danych?

- Poganiasz mnie? - burknął podejrzliwie stary policjant. - Ależ skąd! Mam mnóstwo czasu, Weber.

- Jutro. Nie jestem mistrzem komputera, a młode chłopaki poszły już do domu.

- A ty co robisz?

- Zamierzam porównać te odciski z paroma możliwymi kandydatami w tradycyjny sposób. Śpij dobrze, Hole. Ciotka policja czuwa.

Harry odłożył słuchawkę, przeszedł do sypialni i włączył komputer. Optymistyczna muzyczka Microsoftu na sekundę zagłuszyła amerykańską retorykę dobiegającą z salonu. Harry doklikał się do filmu z napadu na Kirkeveien. Oglądał rwany film raz po raz, nie robiąc się od tego ani mądrzejszy, ani głupszy. W końcu kliknął ikonę poczty. Klepsydra i informacja: „Odbieranie wiadomości 1 z 1”. Telefon w przedpokoju zadzwonił jeszcze raz. Harry zerknął na zegarek, zanim podniósł słuchawkę i powiedział „Cześć” miękki głosem, zarezerwowanym dla Rakel.

- Mówi Arne Albu. Przepraszam, że dzwonię na prywatny numer, ale żona podała mi pana nazwisko. Pomyślałem, że załatwię tę sprawę °d razu. Pasuje to panu?- Tak, owszem - odparł Harry nieco zakłopotany, zwyczajnym już głosem.

- Jak wspominałem, rozmawiałem z żoną i żadne z nas nie zna tej kobiety, ani nie wie, skąd mogła wziąć to zdjęcie. Ale zostało przecież wywołane u fotografa i być może ktoś, kto tam pracuje, zrobił sobie kopię. Poza tym przez nasz dom przewijają się sporo osób. Istnieje więc wiele, ba, bardzo wiele możliwych wyjaśnień.

- Mhm. - Harry zorientował się, że w głosie Arnego Albu brak już tego tonu pewności siebie, który pobrzmiwał w nim wcześniej. Po kilku sekundach wypełnionego trzaskami milczenia to również Albu podjął:

- Jeśli pan życzy sobie o tym porozmawiać, chciałbym, żeby skontaktował się pan ze mną w biurze. O ile dobrze zrozumiałem, żona podała panu numer.

- A ja zrozumiałem, że życzy pan sobie, by nie przeszkadzano panu podczas pracy, panie Albu.

- Chciałbym jedynie... Moja żona ogromnie się denerwuje. Zmarła kobieta ze zdjęciem w bucie, wielkie nieba! Chciałbym, aby załatwił to pan bezpośrednio ze mną.

- Rozumiem. Ale na zdjęciu jest ona i dzieci.

- Ona nie ma o tym pojęcia, przecież panu mówię! - I zaraz dodał, jakby żałując gniewnego tonu: - Obiecuję sprawdzić wszystkie możliwe wyjaśnienia tej sprawy, jakie tylko przyjdą mi do głowy.

- Dziękuję za propozycję, muszę jednak zastrzec sobie prawo do kontaktowania się z osobami, z którymi rozmowę uznam za celową. - Harry przez chwilę słuchał oddechu Albu, zanim dodał: - Mam nadzieję, że pan to rozumie.

- Proszę posłuchać...

- Obawiam się, że to nie jest temat do dyskusji, panie Albu. Skontaktuję się z panem albo z pana żoną, jeśli będę się chciał czegoś dowiedzieć.

- Chwileczkę. Pan nie rozumie. Moja żona... ogromnie cierpi.

- Ma pan rację, nie rozumiem. Czy jest chora?

- Chora? - powtórzył Albu zdumiony. - Nie, ale...

- Wobec tego proponuję, abyśmy teraz zakończyli rozmowę. - Harry przejrzał się w lustrze. - To nie są moje godziny pracy, panie Albu. Dobranoc.

Odłożył słuchawkę i przejrzał się w lustrze jeszcze raz. Zniknął mu już z twarzy ten uśmiezek radości z cudzego nieszczęścia. Sadyzmu. Samouwielbienia. Samowoli. Samousprawiedliwienia. Czterech „S” zemsty. Ale było coś jeszcze. Coś się nie zgadzało. Czegoś brakowało. Jeszcze raz przyjrzał się swemu odbiciu w lustrze. Może tylko światło padało inaczej?

Siadając przed komputerem, myślał o tym, że musi zapamiętać te cztery „S” zemsty i wspomnieć o nich Aunemu. Doktor lubił podobne rzeczy.

Mail, który dostał, został wysłany z adresu, którego nigdy wcześniej nie widział: furia@bolde.com. Kliknął.

I właśnie wtedy chłód wpełził w ciało Harry’ego Hole już na dobre do końca roku.

Stało się to w chwili, gdy czytał wiadomość na ekranie. Włoski na karku stanęły mu, a skóra napięła się, jak kurczące się w praniu ubranie:

Zagramy? Wyobraźmy sobie, że byłeś na kolacji u pewnej kobiety, a następnego dnia znaleziono ją martwą. Co robisz? C#MN

Telefon rozdzwonił się jękliwie. Harry wiedział, że to Rakel. Nie odebrał.

17 ŁZY ARABII

Halvorsen, otworzywszy drzwi do pokoju, zareagował na widok Harry’ego wielkim

zaskoczeniem.

- Już jesteś? Zdajesz sobie sprawę, że jest dopiero godzina...

- Nie mogłem spać - mruknął Harry, który siedział z założonymi rękami i wpatrywał się w ekran komputera. - Cholera, ale te maszyny wolno pracują!

Halvorsen zerknął mu przez ramię.

- Jeśli szukasz czegoś w Internecie, wszystko zależy od prędkości przesyłania danych. Jesteś teraz na zwykłym łączy ISDN, ale możesz się cieszyć, bo niedługo będziemy mieć łącze szerokopasmowe. Zainteresowałaś się gospodarką? Szukasz czegoś w artykułach z „Dagens Naeringsliv”?

- No... tak.

- Arnego Albu? Rozmawiałeś z Vigdis Albu?

- Pewnie.

- Jaki właściwie mają związek z tym napadem na bank?

Harry nie podniósł głowy. Nie powiedział, że to ma związek z napadem na bank, ale nie mówił też nic innego, więc takie założenie kolegi było dość naturalne. Uniknął odpowiedzi, bo w tej samej chwili twarz Arnego Albu wypełniła ekran. Nad ciasno zawiązanym węzłem krawata jaśniał najszerszy z uśmiechów, jakie Harry miał okazję kiedykolwiek oglądać. Halvorsen cmoknął głośno i przeczytał na głos:

- Trzydzieści milionów za firmę rodzinną. Arne Albu może dziś wpłacić trzydzieści milionów koron na konto bankowe po wczorajszym przejęciu przez sieć hoteli Choice wszystkich akcji Albu SA. Jak mówi Arne Albu, głównym powodem sprzedaży odnoszącej sukcesy firmy było pragnienie poświęcenia się rodzinie. „Chcę widzieć, jak dorastają moje dzieci - mówi Albu w jednym z komentarzy. - Rodzina to moja najważniejsza inwestycja”.

Harry wcisnął drukowanie.

- Nie chcesz zamówić dalszego ciągu tego artykułu?

- Nie, potrzebne mi tylko zdjęcie - odparł Harry.

- Trzydzieści milionów na koncie i jeszcze mu mało? Musi napadać na banki?

- Później ci to wyjaśnię - odparł Harry, wstając. - A w międzyczasie chciałbym, żebyś ty mi wytłumaczył, w jaki sposób znaleźć nadawcę e-maila.

- Adres nadawcy jest w mailu, który dostajesz.

- I co? Mam go sprawdzić w książce telefonicznej?

- Nie, ale tam jest podane, z którego serwera została wysłana wiadomość. To wynika z adresu. A właściciele serwera orientują się, jacy abonenci posiadają skrzynki. To bardzo proste. Dostałeś jakąś interesującą pocztę?

Harry pokręcił głową.

- Podaj mi ten adres, a znajdę ci nadawcę w czasie zero koma zero - powiedział Halvorsen.

No dobrze. Słyszałeś o serwerze, który ma adres „? - Nie słyszałem, ale sprawdzę. Jaki jest dalszy ciąg tego adresu? Harry zawahał się.

- Nie pamiętam - powiedział wreszcie.

Wyprowadził jeden z samochodów z policyjnego garażu i wolno przejechał przez Gronland. Nieprzyjemny wiatr podrywał liście, które wyschły na chodnikach we wczorajszym słońcu. Ludzie chodzili z rękami w kieszeniach i z głowami wciśniętymi w ramiona.

Na Pilestredet ukrył się za tramwajem i wyszukał w radiu stację NRK-Zawsze Wiadomości. Nie mówili nic o sprawie Stine. Obawiano się, że sto tysięcy dzieci uciekinierów umrze podczas surowej afgańskiej zimy. Zabity został amerykański żołnierz. Przeprowadzano wywiad z rodziną. Pragnęli zemsty. Na Bislett był objazd.

- Tak? - jedna sylaba w domofonie wystarczyła, by usłyszeć, że Astrid Monsen mocno się przeziębila.

- Tu Harry Hole. Dziękuję za ostatnie spotkanie. Chciałbym zadać jeszcze kilka pytań. Ma pani czas?

Dwukrotnie pociągnęła nosem, nim odpowiedziała:

- Jakich pytań?

- Wolałbym nie opowiadać w tym miejscu. Pociągnęła nosem jeszcze dwa razy.

- Nie pasuje pani? - spytał Harry. Rozległ się brzęczyk i Harry pchnął drzwi.

Astrid Monsen stała na klatce w szalu narzuconym na ramiona, z rękami założonymi na piersiach.

- Widziałem panią na pogrzebie - powiedział.

- Uznałam, że przynajmniej jeden z sąsiadów powinien się stawić. - Brzmiało to tak, jakby mówiła przez megafon.

- Chciałem spytać, czy poznaje pani tę osobę?

Z wahaniem wzięła do ręki pogniecioną fotografię.

- O którą z nich panu chodzi?

- O którąkolwiek. - Głos Harry'ego szczekliwym echem odbijał się od ściany.

Astrid Monsen długo przypatrywała się zdjęciu. - I jak?

Pokręciła głową.

- Jest pani pewna? Kiwnęła.

- Mhm.

- Wie pani, czy Anna miała partnera?

- Jednego?

Harry odetchnął głębiej.

- Chce pani powiedzieć, że było ich więcej? Wzruszyła ramionami.

- Bardzo tu akustycznie. Zdarzało się, że wchodzili po schodach, że tak powiem.

- Coś poważnego?

- Tego to już nie wiem.

- Harry czekał. Nie wytrzymała długo.

- Latem na skrzynce pocztowej obok jej nazwiska pojawiła się przylepiona karteczka z innym nazwiskiem. Ale nie wiem, czy to było coś poważnego.

- Aha.

- Wyglądała na napisaną jej charakterem pisma. I było tam jedynie „Eriksen”. - Wąskie wargi rozciągnęły się lekko, jakby w uśmiechu. - Może zapomniał podać jej imienia. Po tygodniu karteczka zniknęła.

Harry wyrzwał poza poręcz. Schody były strome.

- Jeden tydzień może być lepszy niż żaden. Zgodzi się pani?

- Dla kogoś może tak - odparła, kładąc rękę na klamce. - Muszę już iść, usłyszałam, że dostałam maila.

- Chyba nie ucieknie.

Astrid Monsen złapał atak kichania.

- Muszę odpowiedzieć - powiedziała z załzawionymi oczami. - To autor. Dyskutujemy na temat przekładu.

- Postaram się niepotrzebnie nie przedłużać - obiecał Harry. - Chciałem jedynie, żeby pani popatrzyła również na to.

Podał jej kartkę. Wzięła ją, zerknęła i podejrzliwie spojrzała na Harry'ego.

- Proszę się uważnie przyjrzeć temu zdjęciu. I proszę się nie spieszyć.

- Nie muszę - odparła, oddając mu kartkę.

Harry potrzebował dziesięciu minut na przejście z Budynku Policji pod adres Kjolberggata 21 A. Zniszczona kamienica była przez lata garbarnią, drukarnią, kuźnią i zapewne paroma innymi zakładami. Stanowiła w pewnym sensie pamiątkę po przemyśle, który kiedyś istniał w Oslo. Teraz przejął 3 Wydział Techniki Kryminalistycznej. Pomimo nowoczesnego oświetlenia i wyposażenia wnętrza, budynek zachował pewien industrialny charakter. Harry znalazł Webera w jednym z wielkich chłodnych pomieszczeń.

- Cholera - westchnął Harry. - Jesteś całkiem pewien? Weber uśmiechnął się zmęczony.

- Odcisk palca na butelce jest tak dobry, że gdybyśmy mieli go w archiwum, komputer bez problemu zdołałby dopasować. Oczywiście moglibyśmy przeszukać bazę danych manualnie, żeby mieć sto dziesięć procent pewności, ale to by potrwało tygodnie, a i tak nic byśmy nie znaleźli. Gwarantuję ci to.

- *Sorry* - powiedział Harry. - Po prostu byłem przekonany, że już go mamy. Uznałem prawdopodobieństwo, że taki facet nigdy nie został za nic złapany, za wręcz mikroskopijne.

- To, że nie ma go w naszym archiwum, oznacza jedynie, że musimy szukać na zewnątrz. Ale mamy teraz przynajmniej konkretne ślady. Ten odcisk palca i włókna z Kirkeveien. Jeśli tylko uda wam się go znaleźć, to będzie decydujący dowód. Helgesen!

Młody człowiek, który właśnie wychodził, gwałtownie się zatrzymał.

- Dostałem tę czapkę znad rzeki Aker w niezapieczętowanej torebce - burknął Weber.

- Tu nie chlew, zrozumiano?

Helgesen kiwnął głową, śląc jednocześnie Harry'emu wiele mówiące spojrzenie.

- Musisz to przyjąć jak mężczyzna. - Weber znów zwrócił, się do Harry'ego. - Przynajmniej ominęło cię to, przez co musiał przejść dzisiaj Ivarsson.

- Ivarsson?

- Naprawdę nie dotarły do ciebie wieści o tym, co się dziś wydarzyło w Kanale?

Harry pokręcił głową, a Weber zarechotał i zatarł ręce.

- No to przynajmniej usłyszysz niezłą historię, Hole. Opowiadanie Webera przypominało raporty policyjne jego autorstwa. Krótkie, grubo ciosane zdania, które szkicowały przebieg wydarzeń bez malowniczych opisów uczuć, akcentu czy wyrazu twarzy. Harry jednak nie miał żadnych problemów z wypełnieniem pustych miejsc. Potrafił sobie wyobrazić, jak naczelnik wydziału Rune Ivarsson i Weber wchodzi do jednego z dwóch pokoi odwiedzin na oddziale A w budynku więzienia i słyszą zamykane za nimi drzwi. Oba pokoje mieściły się przy dyżurce. Osadzeni mogli w wyznaczonym czasie spędzić spokojne chwile z najbliższymi w pomieszczeniu, któremu usiłowano nawet nadać pewne pozory przytulności - proste umeblowanie, plastikowe kwiaty i kilka bladych akwarelek na ścianach.

Raskol stał, gdy weszli do środka. Pod pachą trzymał grubą książkę, na niskim stoliku leżała rozłożona szachownica, na której ustawił figury. Nie odezwał się ani słowem. Patrzył tylko na nich piwnymi cierpiącymi oczami. Ubrany był w białą przypominającą kitel koszulę, sięgającą mu niemal do kolan. Ivarsson sprawiał wrażenie nieswojego i surowym głosem

kazał wysokiemu chudemu Cyganowi usiąść. Raskol usłuchał go z uśmiechem.

Ivarsson zabrał ze sobą Webera zamiast któregoś z młodych z grupy prowadzącej śledztwo, ponieważ uznał, że taki szczywany lis pomoże mu „przejrzeć” Raskola, jak się wyraził. Weber podsunął sobie krzesło pod drzwi i wyjął notatnik, natomiast Ivarsson zajął miejsce naprzeciwko więźnia.

- Bardzo proszę, panie naczelniku Ivarsson. - Raskol otwartą dłonią wykonał gest świadczący o tym, że oczekuje, by policjant otworzył partię szachów.

- Przyszliśmy tu po informacje, a nie po to, by się bawić - oświadczył Ivarsson i rozłożył na stoliku pięć klatek z filmu z napadu na Bogstadveien. - Chcemy wiedzieć, kto to jest.

Raskol kolejno brał do ręki zdjęcia i przyglądał się im, za każdym razem głośno pomrukując.

- Mogę pożyczyć długopis? - spytał, obejrzawszy wszystkie. Weber i Ivarsson wymienili spojrzenia.

- Proszę - Weber podał mu wieczne pióro.

- Wolę zwykły długopis - powiedział Raskol, nie odrywając spojrzenia od Warssona.

Naczelnik wzruszył ramionami, wyjął z kieszonki długopis i podał Cyganowi.

- Chciałbym najpierw opowiedzieć wam coś o zasadzie działania ampułek barwiących - zaczął Raskol, rozkręcając biały długopis Ivarssona, przypadkiem z logo banku DnB. - Jak wiecie, podczas napadu pracownicy banku zawsze się starają umieścić razem z pieniędzmi ampułkę z atramentem. W kasetach z gotówką do bankomatu takie ampułki są zamontowane na stałe. Niektóre mają połączenie z nadajnikiem i są aktywowane w momencie, gdy zostają przenoszone lub na przykład wkładane do torby. Inne zaczynają działać w chwili, gdy mijają portal umieszczony, dajmy na to, nad drzwiami banku. Ampułka może być zaopatrzona w mikronadajnik, połączony z odbiornikiem i eksplodować w chwili, gdy znajdzie się w pewnej odległości od odbiornika, na przykład po stu metrach. Inne eksplodują z zamierzonym opóźnieniem od chwili aktywowania. Sama ampułka może mieć rozmaity kształt, lecz powinna być na tyle mała, by dało się ją ukryć między banknotami. Bywają i takie maleńkie. - Raskol rozsunął palec wskazujący i kciuk na odległość dwóch centymetrów. - Wybuch jest niegroźny dla sprawy. Problem stanowi barwnik, atrament.

Podniósł do góry wkład do długopisu.

- Mój dziadek zajmował się wytwarzaniem atramentu. Nauczył mnie, że w dawnych czasach do produkcji atramentu żelazowo-galusowego używano gumy arabskiej. Guma pochodzi z drzew akacji i nazywana jest „łzami Arabii”, ponieważ wypływa żółtawymi

kroplami mniej więcej tej wielkości.

Tym razem z kciuka i palca wskazującego zrobił kółko wielkości orzecha włoskiego.

- Główną zaletą gumy arabskiej jest jej gęstość, dzięki której atrament się nie rozlewa, a jednocześnie sole żelaza pozostają płynne. Oprócz tego potrzebny jest jeszcze rozpuszczalnik. Kiedyś zalecano deszczówkę albo białe wino. Albo ocet. Dziadek mówił, że trzeba dodawać octu, gdy się pisze do wroga, a wina, gdy się pisze do przyjaciela.

Ivarsson chrząknął, ale Raskol ciągnął bez zmrużenia oka.

- Atrament był początkowo niewidoczny. Ukazywał się dopiero w zetknięciu z papierem. W ampułce z farbą znajduje się czerwony pył atramentowy, który reaguje pod wpływem kontaktu z papierem banknotów, przez co nie daje się go usunąć. Pieniądze zostają na zawsze naznaczone jako te pochodzące z napadu.

- Wiem, jak działają takie ampułki - przerwał Ivarsson. - Wolałbym raczej usłyszeć...

- Cierpliwości, drogi panie naczelniku. Fascynujące w tej technologii jest to, że jest ona tak prosta. Tak prosta, że mógłbym sam zrobić taką ampułkę, umieścić ją wszystko jedno gdzie i sprawić, by eksplodowała w określonej odległości od odbiornika. Cały potrzebny sprzęt zmieściłby się w pudełku na drugie śniadanie.

Weber przestał notować.

- Ale w zasadzie działania ampułek barwiących technologia wcale nie jest najważniejsza, panie naczelniku Ivarsson. Najważniejszy jest skutek. - Twarz Raskola rozjaśniła się w szerokim uśmiechu. - Atrament zostaje również na ubraniu i skórze bandyty. A jest tak trwały, że gdy już znajdzie się na rękach, nie daje się niczym zmyć. Poncjusz Piłat i Judasz, prawda? Krew na rękach. Krwawe pieniądze. Udreka sędziego. I kara dla donosiciela.

Raskolowi wkład upadł na podłogę, za stół. Gdy się pochyłał, by go podnieść, Ivarsson zasygnalizował Weberowi, żeby mu dał notatnik.

- Chciałbym, aby pan napisał nazwisko osoby, która jest na zdjęciach. - Ivarsson położył notatnik na stole. - Mówiłem już, że nie przyszedłem tutaj, żeby się bawić.

- Nie ma mowie o zabawie - odparł Raskol i powolnymi ruchami skrzył długopis. - Obiecałem, że podam nazwisko człowieka, który zabrał pieniądze, prawda?

- Owszem, taka była umowa. - Ivarsson pochylił się napięty, gdy Raskol zaczął pisać.

- My, Romowie, wiemy, czym jest umowa - odparł. - Piszę teraz nie tylko jego nazwisko, lecz również imię prostytutki, którą regularnie odwiedza, i człowieka, z którym się kontaktował w sprawie złamania kolana młodemu mężczyźnie, który niedawno złamał serce jego córki. Ten młody człowiek odmówił jednak wykonania zlecenia.

- Hm, doskonale. - Ivarsson obrócił się prędko do Webera i uradowany wyszczerzył

zęby.

- Proszę. - Raskol podał mu notes i długopis, Ivarsson czym prędzej zaczął czytać.

Promienny uśmiech zniknął mu z twarzy.

- Ale... - zaczął się jąkać. - Helgę Kłementsen? To przecież kierownik oddziału. - Nagle jakby go oświeciło. - Czy on jest w to zamieszany?

- W najwyższym stopniu - odparł Raskol. - To przecież on zabrał pieniądze, prawda?

- I włożył je do torby bandyty - mruknął Weber cicho spod drzwi. Wyraz twarzy Ivarssona zmieniał się powoli ze zdumienia we wściekłość.

- Co to za brednie? Obiecałeś, że mi pomożesz!

Raskol przyglądał się uważnie długiemu ostremu paznokciowi małego palca. Potem z powagą kiwnął głową, pochylił się nad stołem i gestem przywołał Ivarssona, by przysunął się bliżej.

- Masz rację - szepnął. - A oto i moja pomoc. Naucz się, o co chodzi w życiu. Usiądź spokojnie i przyjrzyj się swemu dziecku. Niełatwo jest odzyskać rzeczy, które się utraciło, ale to nie jest niemożliwe. - Poklepał naczelnika po ramieniu, usiadł odchyłony do tyłu, skrzyżował ręce na piersiach i skinął głową w stronę szachownicy.

- Pański ruch, panie naczelniku.

Ivarsson pinił się z wściekłości, gdy razem z Weberem maszerowali Kanałem, trzystumetrowym podziemnym korytarzem, łączącym areszt z Budynkiem Policji.

- Zaufałem jednemu z tych, którzy wymyślili łgarstwo! - syczał Ivarsson. - Uwierzyłem cholernemu Cyganowi! - Echo dudniło wśród ścian. Weber przyspieszał, pragnął jak najszybciej wydostać się z zimnego, wilgotnego tunelu. Korzystano z niego podczas przewożenia więźniów na przesłuchania do Budynku Policji i krążyło wiele plotek o tym, co się tu wydarzyło.

Ivarsson mocniej otulił się marynarką i też przyspieszył.

- Obiecay mi jedno, Weber. Ze nie piśniesz nikomu o tym ani słowa. W porządku? - Odwrócił się do Webera z uniesioną brwią. - Dobra?

Odpowiedzią na pytanie naczelnika było „Tak”, ale ledwie słyszalne, gdyż akurat dotarli do tego punktu tunelu, w którym ściany pomalowano na pomarańczowo. Weber usłyszał ciche „puf”, a Ivarsson krzyknął wystraszony. Potem osunął się na kolana w kałużę i złapał się za pierś. Weber zaczął kręcić się w kółko, oglądając ściany tunelu. Nikogo nie było. Potem odwrócił się do naczelnika, z przerażeniem wpatrującego się w pokrytą czerwienią dłoń.

- Krwawię - jęknął Ivarsson. - Umieram!

Weber widział, jak naczelnikowi oczy dosłownie wychodzą z głowy.

- Co to jest? - spytał Ivarsson z lękiem w głosie, widząc zdumienie na twarzy Webera.

- Będziesz musiał iść do pralni - odparł Weber. Ivarsson popatrzył na siebie. Czerwień rozpostarła się już na całą pierś koszuli i przeniknęła na zieloną marynarkę w kolorze limonki.

- Czerwony atrament - stwierdził Weber.

Warsson wyłowił z kieszeni szczątki długopisu z logo DnB. Mikroeksplozja podzieliła go na pół. Naczelnik siedział z zamkniętymi oczami, dopóki nie wrócił mu normalny oddech. Potem spojrzał na Webera.

- Wiesz, jaki był największy grzech Hitlera? - spytał, wyciągając do niego czystą rękę.

Weber pomógł mu wstać. Ivarsson gniewnym wzrokiem popatrzył w głąb tunelu, z którego przyszli.

- Że nie rozprawił się z Cyganami ostatecznie.

- Nikomu o tym ani słowa - przedrzeźnił Ivarssona Weber, śmiejąc się pod nosem. - Poszedł prosto do garażu i pojechał do domu. Nie zmyje z siebie tego atramentu co najmniej przez trzy dni.

Harry z niedowierzaniem kręcił głową.

- I có zrobiliście z Raskolem? Weber wzruszył ramionami.

- Ivarsson oświadczył, że dopilnuje, by umieszczono go w izolatce. Ale ja nie wierzę, żeby to cokolwiek dało. Ten facet jest... inny. A propos inny, jak ci się układa z Beatą? Znaleźliście coś więcej oprócz tego odcisku palca?

Harry pokręcił głową.

- Ta dziewczyna jest wyjątkowa - powiedział Weber. - Widzę w niej cechy ojca. Może być naprawdę dobra.

- To prawda. Znałeś jej ojca? Weber kiwnął głową.

- Świetny facet. Lojalny. Szkoda, że tak się skończyło.

- Dziwne, że tak doświadczony policjant popełnił taki błąd.

- Nie wierzę, że to był błąd - powiedział Weber, opłukując pod zlewem kubek po kawie.

- Tak?

Weber coś mruknął.

- Co powiedziałaś, Weber?

- Nic - odburknął. - Mówię jedynie, że musiał mieć jakiś powód.

- Bardzo możliwe, że bolde kropka com to serwer - tłumaczył Halvorsen. - Mówię tylko, że nie jest nigdzie zarejestrowany. Ale może na przykład stać gdzieś w jakiejś piwnicy

w Kijowie i mieć anonimowych abonentów, którzy wysyłają sobie nawzajem wyrafinowaną pornografię. Co więcej mogę ci powiedzieć? Tych, którzy nie chcą zostać odnalezieni w tej dżungli, my, zwykli śmiertelnicy, nie znajdziemy. Potrzeba do tego psa tropiącego, prawdziwego specjalisty.

Pukanie było tak delikatne, że Harry go nie usłyszał, ale Halvorsen zawołał:

- Proszę!

Drzwi uchyliły się ostrożnie.

- Cześć - uśmiechnął się Halvorsen. - Beatę, prawda? Kiwnęła głową i zaraz przeniosła wzrok na Harry'ego.

- Próbowałam cię złapać. Ten numer twojej komórki w spisie telefonów...

- On zgubił komórkę - wyjaśnił Halvorsen, wstając. - Siadaj. Zaraz zaparzę ci espresso *a la* Halvorsen.

Beatę zawahała się.

- Dziękuję, ale chciałam ci coś pokazać w House of Pain, Harry. Masz chwilę?

- Całą wieczność - odparł Harry, odchylając się na krześle. - Weber miał same złe wiadomości. Żadnych pasujących odcisków. A Raskol zrobił Ivarssona w balona.

- To taka zła wiadomość? - wyrwało się Beatę. Przerażona zakryła usta dłonią, ale Harry i Halvorsen wybuchnęli śmiechem.

- Zajrzyj do nas jeszcze kiedyś, Beatę - powiedział Halvorsen, zanim wyszli z Harrym z pokoju. Nie doczekał się odpowiedzi, a jedynie badawczego spojrzenia Harry'ego, które odrobinę go zawstydziło. Harry zauważył koc skłębiony na wąskiej kanapie z Ikei, ustawionej w rogu House of Pain.

- Spałeś tu dzisiaj? - spytał.

- Tylko trochę - odparła, włączając magnetowid. - Przyjrzyj się Ekspedytorowi i Stine Grette na tej klatce. - Wskazała na ekran, na którym widać było zatrzymane zdjęcie bandyty i Stine, nachylającej się ku niemu. Harry poczuł, że jeżą mu się włosy na karku.

- W tym zdjęciu jest coś dziwnego, prawda? - spytała Beatę.

Harry popatrzył na bandytę, potem na Stine i w tej chwili już wiedział, że właśnie ta klatka kazała mu raz po raz oglądać ten sam film w poszukiwaniu czegoś, co tam było, lecz przez cały czas się wymykało. I nadal nie dawało się uchwycić.

- Co to jest? - spytał. - Co ty widzisz, a czego ja nie widzę?

- Spróbuj!

- - Już próbowałam.

- Zapamiętaj ten obraz, zamknij oczy i szukaj.

- Poważnie, Beatę...

- Próbuje, Harry - uśmiechnęła się. - Przecież na tym polega śledztwo, prawda?

Spojrzał na nią z lekkim zdumieniem, potem wzruszył ramionami i zrobił tak, jak mu kazała.

- Co widzisz, Harry?

- Spód moich powiek.

- Skup się. Co tu zgrzyta?

- Coś dziwnego jest w nim i w niej. Coś w... w sposobie, w jaki stoją.

- Dobrze. A co jest dziwnego w sposobie, w jaki stoją?

- Stoją... Nie wiem, stoją jakoś nie tak.

- Co to znaczy „nie tak”?

Harry'ego znów ogarnęło to samo uczucie zapadania się jak u Vigdis Albu. Widział, że Stine Grette siedzi pochylona do przodu, jak gdyby po to, by zrozumieć słowa przestępcy, a on patrzy przez dziury w kominiarce prosto w twarz kobiety, którą wkrótce miał pozbawić życia. O czym myślał? I o czym myślała ona? Czy w tej zamrożonej chwili usiłowała zorientować się, kim jest ten człowiek z zasłoniętą twarzą?

- Co jest nie tak? - powtórzyła Beatę.

- Oni... oni...

Broń w ręku, palec na spuście. Wszyscy ludzie dookoła są z marmuru. Ona otwiera usta, on widzi jej oczy nad muszką. Lufa stuka w zęby.

- Co jest nie tak?

- Oni... oni stoją zbyt blisko siebie.

- Brawo, Harry!

Otworzył oczy. W polu widzenia wybuchły iskry i przesunęły się fragmenty przypominające ameby.

- Brawo? O co ci chodzi?

- Zdołałeś wreszcie nazwać słowami to, co widzieliśmy przez cały czas. Masz rację, Harry. Oni stoją zbyt blisko siebie.

- No tak, słyszałem, sam to powiedziałem. Ale za blisko w stosunku do czego?

- W stosunku do tego, jak blisko siebie może stać dwoje ludzi, którzy się nigdy nie spotkali.

- Słucham?

- Słyszałeś o Edwardzie Hallu?

- Nie za bardzo.

- To antropolog. Pierwszy wykazał związek między odległością, jaką ludzie utrzymują podczas rozmowy, a łączącymi ich związkami. To całkiem konkretne.

- Mów!

- Dystans społeczny między ludźmi, którzy się nie znają, wynosi od jednego do trzech i pół metra. To odległość, jaką chce się utrzymać, jeśli tylko pozwala na to sytuacja. Przypomnij sobie przystanki autobusowe i pisuary. W Tokio dopuszczalna jest nieco mniejsza odległość, ale wariacje kulturowe są właściwie dość niewielkie.

- On nie może do niej szeptać z odległości ponad metra.

- To prawda. Ale wystarczyłoby zachowanie tego, co nazywa się dystansem osobistym. Od metra do czterdziestu pięciu centymetrów. To odległość, jaką ludzie zachowują wobec przyjaciół i tak zwanych znajomych. Jak widzisz, Ekspedytor i Stine Grette przełamują tę granicę. Zmierzyłam odległość między nimi. To dwadzieścia centymetrów. A to oznacza, że przekroczyli dystans intymny. To odległość tak niewielka, że przestaje się już wtedy widzieć całą twarz drugiego człowieka, czuje się jego zapach i ciepło. To dystans zastrzeżony dla kochanków czy bliskiej rodziny.

- Mhm - powiedział Harry. - Imponujesz mi swoją wiedzą. Ale tych dwoje znalazło się w bardzo dramatycznej sytuacji.

- No i właśnie to jest takie fascynujące! - wykrzyknęła Beate, przytrzymując się poręczy krzesła, by nie unieść się w górę. - Ludzie, jeśli nie muszą, nie przekraczają granic opisanych przez Edwarda Halla. A Stine Grette i Ekspedytor wcale nie muszą tego robić.

Harry potarł brodę.

- Okej, idźmy dalej za tą myślą.

- Uważam, że Ekspedytor znał Stine Grette - powiedziała Beate.

- I to dobrze.

- Dobrze, dobrze. - Harry zakrył twarz dłońmi i mówił przez palce.

- To znaczy, że Stine Grette zna przestępcę, profesjonalistę napadającego na banki, który dokonuje rabunku doskonałego, a potem do niej strzela. Wiesz, dokąd nas prowadzi takie rozumowanie?

Beate kiwnęła głową.

- Zaraz sprawdzę, co możemy znaleźć na temat Stine Grette.

- Świetnie. A potem pogadamy sobie z kimś, kto na pewno przekroczył jej dystans intymny.

18 PRZYJEMNY DZIEŃ

- To miejsce sprawia, że ciarki mi przechodzą po plecach - wyznała Beatę.

- Mieli tu kiedyś słynnego pacjenta, który się nazywał Arnold Juklerod - odparł Harry.

- Powiedział, że to mózg chorej bestii, jaką jest psychiatria. A więc nie znalazłaś nic na Stine Grette?

- Nic, kartoteka bez skazy, a stan kont nie wskazuje na żadne problemy finansowe. Żadnego nadmiernego korzystania z kart płatniczych w sklepach z ubraniami czy w restauracjach. Żadnych wypłat na wyścigach ani innych symptomów hazardu. Najbardziej ekstrawagancką rzeczą, jaką udało mi się znaleźć, był wyjazd do Sao Paulo latem tego roku.

- A jej mąż?

- Dokładnie tak samo. Solidny i rozważny.

Weszli w bramę szpitala psychiatrycznego Gaustad i znaleźli się na placu między wielkimi budynkami z czerwonej cegły.

- Trochę przypomina więzienie - stwierdziła Beatę.

- Dzieło Heinricha Schirmera - odparł Harry. - Niemieckiego architekta z dziewiętnastego wieku. Tego samego człowieka, który zaprojektował więzienie w Oslo.

Do recepcji przyszedł po nich pielęgniarz. Miał włosy farbowane na czarno i wyglądał na człowieka, który gra w jakimś zespole albo zajmuje się projektami graficznymi. Tak zresztą było.

- Grette głównie siedzi i gapi się przez okno - powiedział, gdy szli korytarzem na oddział G2.

- Nadaje się do rozmowy? - spytał Harry.

- Mówić może... - Pielęgniarz zapłacił sześćset koron, żeby jego czarna fryzura wyglądała na aż tak nieuczesaną, a teraz przesunął jeden z kosmyków i spojrzał na Harry'ego przez czarne okulary w rogowej oprawie, dzięki którym wyglądał jak palant, ale był wystylizowany w taki sposób, by wtajemniczeni rozumieli, że wcale nie wygląda palantowato, tylko stylowo.

- Mojemu koledze chodzi o to, czy Grette czuje się na tyle dobrze, by móc rozmawiać o żonie - wyjaśniła Beatę.

- Możecie spróbować - odparł pielęgniarz i ponownie przesunął kosmyk włosów przed okulary. - Jak znów wpadnie w psychozę, to będzie oznaczało, że jeszcze nie jest gotów.

Harry nie spytał, po czym można poznać, że ktoś wpada w psychozę. Doszli do końca korytarza i pielęgniarz otworzył drzwi z wizjerem.

- Trzeba go zamykać na klucz? - spytała Beatę, rozglądając się po jasnym pokoju

dziennym.

- Nie - odparł pielęgniarz, nie wdając się w dalsze wyjaśnienia. Wskazał na samotne plecy, obciążone białym szlafrokiem na krześle przysuniętym pod samo okno. - Będę w dyżurce po lewej stronie korytarza, jak zechcecie wyjść.

Podeszli do mężczyzny na krześle. Wyglądał przez okno, a poruszała się jedynie jego prawa ręka, wodząca długopisem po bloku rysunkowym, nierówno, mechanicznie jak kończyła robota.

- Trond Grette? - spytał Harry. Nie poznał człowieka, który się do niego odwrócił. Grette miał włosy ostrzyżone przy skórze, twarz wydawała się chudsza, a dzikość w oczach, widoczną tamtego wieczoru na korcie tenisowym, zastąpił spokojny pusty, wpatrzony w dół wzrok, skierowany gdzieś daleko poza nimi. Harry już to kiedyś widział. Tak wyglądali po pierwszych tygodniach za kratami ci, którzy siedzieli pierwszy raz. Instynktownie wiedział, że człowiek na krześle też odsiaduje karę.

- Jesteśmy z policji - powiedział Harry. Grette przesunął wzrok na nich.

- Chodzi nam o napad na bank i o pańską żonę.

Mężczyzna zmrużył oczy, jak gdyby musiał się skupić, by zrozumieć jego słowa.

- Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań - oznajmiła głośno Beatę. Grette powoli kiwnął głową. Beatę przysunęła sobie krzesło bliżej niego i usiadła.

- Może pan nam o niej opowiedzieć? - spytała.. - Opowiedzieć? - Jego głos zazgrzytał jak źle naoliwione drzwi.

- Tak. - Beatę uśmiechnęła się łagodnie. - Chcielibyśmy wiedzi jaka była Stine. Co robiła, co lubiła, jakie mieliście plany? Takie rzecz

- Takie rzeczy? - powtórzył Grette, patrząc na Beatę. Potem odłożył długopis. - Zamierzaliśmy mieć dzieci. Taki był plan. Z próbki. Stine miała nadzieję na bliźnięta. Dwa plus dwa, powtarzała zawsze. Dwa plus dwa. Właśnie mieliśmy zacząć. Właśnie teraz. - Do oczu napłynęły mu łzy.

- Akurat teraz?

- Chyba dzisiaj. Albo jutro. Który dzisiaj?

- Siedemnasty - odparł Harry. - Byliście małżeństwem już od dawna, prawda?

- Od dziesięciu lat - odparł Grette. - Nie przeszkadzałoby mi nawet, gdyby nie chciały grać w tenisa. Nie można zmuszać dzieci, żeby lubiły to samo co rodzice, prawda? Może wolałyby jeździć konno? Konie też są fajne.

- Jakim typem człowieka była Stine?

- Dziesięć lat - powtórzył Grette, znów odwracając się do okna. - Poznaliśmy się w

osiemdziesiątym ósmym. Zaczęłam studia na Akademii Ekonomicznej, a ona chodziła do ostatniej klasy w gimnazjum w Nissen. Była najładniejszą dziewczyną, jaką znałam. Wszyscy tak tylko mówią, ale najładniejsza jest zawsze ta, której się nie miało i o której się może zapomnieć. Ale ze Stine tak było naprawdę. Nigdy nie przestałam jej uważać za najładniejszą. Po miesiącu zamieszkaliśmy razem i przez trzy lata spędziliśmy ze sobą każdą noc i każdy dzień. Mimo to nie mogłam uwierzyć, że to prawda, kiedy zgodziła się zostać Stine Grette. Czy to nie dziwne? Kiedy kocha się kogoś tak bardzo, trudno pojąć, że ten ktoś może kochać ciebie. Powinno być odwrotnie, prawda? Na poręcz krzesła spadła łąza.

- Ona była taka dobra. Mało kto potrafi jeszcze docenić tę cechę. Można było na niej polegać. Była wierna i zawsze uśmiechnięta. I odważna. Jeśli spałam, sama wstawała i schodziła na dół do salonu, kiedy wydawało jej się, że usłyszała coś dziwnego. Powtarzałam, żeby mnie budziła, bo co by się stało tego dnia, gdyby naprawdę pojawili się włamywacze. Ale ona tylko się śmiała i mówiła: „Zaproszę ich wtedy na gofry, a ciebie obudzi ich zapach. Zawsze cię budzi”. Miał mnie obudzić zapach pieczonych przez nią... No tak.

Oddychał ciężko przez nos. Nagie gałęzie brzoź za oknem machały do nich w porywach wiatru.

- Powinnaś upiec gofry - szepnął. Potem próbował się śmiać, ale zabrzmiało to jak płacz.

- Jakich miała przyjaciół? - spytała Beatę.

Grette dalej się śmiała, więc Beatę musiała powtórzyć pytanie.

- Lubiła być sama - powiedział. - Może dlatego, że była jedynaczką. Miała dobry kontakt z rodzicami. No i mieliśmy siebie. Niczego więcej nie potrzebowaliśmy.

- Mogła chyba utrzymywać kontakty z kimś poza pana wiedzą? Trond Grette spojrzał na Beatę.

- Co pani ma na myśli?

Beatę gwałtownie się zarumieniła i uśmiechnęła przepraszająco.

- Chodzi mi o to, że pańska żona nie musiała referować panu wszystkich rozmów ze wszystkimi różnymi ludźmi, z którymi się stykała.

- Dlaczego? Do czego wy zmierzacie?

Beatę przełknęła ślinę i wymieniła spojrzenia z Harrym. Teraz on się włączył:

- Są pewne elementy, które musimy zawsze sprawdzać w każdym śledztwie dotyczącym napadu na bank, bez względu na to, jak nieprawdopodobne mogą się wydawać. A jedną z takich rzeczy jest hipoteza, że przestępca działał w porozumieniu z pracownikami. Zdarza się, że bandyta zapewnia sobie pomoc z wewnątrz, zarówno przy planowaniu napadu,

jak i podczas jego dokonywania. Mamy na przykład pewne wątpliwości co do tego, skąd przestępca wiedział, kiedy bankomat zostanie napełniony.

Harry obserwował twarz Grettego w poszukiwaniu jakiegoś śladu reakcji, ale spojrzenie mężczyzny wskazywało na to, że znów ich opuścił.

- Podobne pytania zadawaliśmy wszystkim innym pracownikom banku - skłamał.

Gdzieś na drzewie zaskrzeczała sroka, skarżąc się w samotności. Grette kiwnął głową, najpierw powoli, potem szybciej.

- Aha - powiedział. - Rozumiem. Sądzicie, że właśnie dlatego Stine została zastrzelona; Myślicie, że знаła bandytę. I że kiedy już ją wykorzystał, to ją zastrzelił, żeby zerwać nić, która mogłaby was do niego doprowadzić, prawda?

- Taka możliwość istnieje, przynajmniej teoretycznie - oświadczył Harry.

Grette pokręcił głową i znów się roześmiał głuchym smutnym śmiechem.

- Wyraźnie widać, że nie znaliście mojej Stine. Ona by nigdy nie mogła zrobić czegoś podobnego. I dlaczego miałyby to robić? Gdyby pożyła jeszcze trochę, zostałyby milionerką.

- Słucham?

- Walie Bodtker, jej dziadek, ma osiemdziesiąt pięć lat i jest właścicielem trzech kamienic w centrum. Latem stwierdzono u niego raka płuc i od tamtej pory wszystko idzie już tylko w jedną stronę. Każde z wnucząt miało odziedziczyć po kamienicy.

Harry zadał następne pytanie wiedziony wyłącznie odruchem:

- A kto teraz odziedziczy kamienicę przeznaczoną dla Stine?

- Pozostałe wnuki. Pewnie teraz będziecie sprawdzać, czy mają alibi, prawda? - dodał Grette z obrzydzeniem w głosie.

- Nie uważa pan, że powinniśmy? - spytał Harry.

Grette już miał odpowiedzieć, ale wstrzymał się, widząc spojrzenie Harry'ego. Przygryzł dolną wargę.

- Przepraszam - powiedział, przeciągając ręką po króciuteńkich włosach. - Oczywiście powinienem się cieszyć, że sprawdzacie wszelkie możliwości. Tyle tylko, że to wszystko wydaje się beznadziejne. Bezsensowne. Bo nawet jeśli uda wam się go złapać, to ja nigdy nie dostanę odszkodowania za to, co mi zrobił. Nie wynagrodzi mi tego nawet kara śmierci. Bo utrata życia nie jest wcale najgorszą rzeczą, jaka może spotkać człowieka.

Harry znał już dalszy ciąg.

- Najgorsza jest utrata tego, po co się żyje.

- No dobrze. - Harry wstał. - To moja wizytówka. Proszę dzwonić, jeśli coś się panu przypomni. Może pan również pytać o Beatę Lonn.

Grette znów odwrócił się do okna, nie patrząc na wizytówkę, Harry położył ją więc na stole. Na dworze już zrobiło się ciemniej i w szybie pojawiło się ich przezroczyste odbicie. Przypominali upiory.

- Mam wrażenie, że go widziałem - powiedział Grette. - W piątki zazwyczaj prosto z pracy idę pograć w sausa w centrum treningowym SATS na Sporveisgata. Nie miałem partnera, poszedłem więc na siłownię. Trochę podźwigałem, pojeździłem na rowerze, ale tam o tej porze jest tyle ludzi, że głównie stoi się w kolejce.

- Wiem - powiedział Harry.

- Byłem tam, kiedy zginęła Stine. Trzysta metrów od banku. Cieszyłem się na prysznic, na powrót do domu i przygotowanie obiadu. Zawsze w piątki to ja szykowałem obiad. Lubilem na nią czekać. Lubilem... czekać. Nie wszyscy mężczyźni lubią.

- Co pan miał na myśli, mówiąc, że go pan widział? - spytała Beate.

- Widziałem jakiegoś człowieka przechodzącego do szatni. Miał na sobie obszerne czarne ubranie. Kombinezon czy coś podobnego.

- I kominiarkę? Grette pokręcił głową.

- Może czapkę z daszkiem? - podsunął Harry.

- Czapkę trzymał w ręku. To mogła być kominiarka. Albo czapka z daszkiem.

- Widział pan twa... - zaczął Harry, ale Beate mu przerwała:

- Wzrost?

- Nie wiem - odparł Grette. - Normalny. A jaki jest normalny? Może metr osiemdziesiąt?

- Dlaczego nie powiedział nam pan o tym wcześniej? - spytał Harry.- Ponieważ... - Grette przycisnął palce do szyby. - Już mówiłem, że to tylko wrażenie. Wiem, że to nie był on.

- Skąd taka pewność? - spytał Harry.

- Bo kilka dni temu było u mnie dwoje pańskich kolegów. Oboje nazywali się Li. - Odwrócił się do Harry'ego. - Są spokrewnieni?

- Nie. Czego chcieli?

Grette przyciągnął dłoń do siebie. Wokół tłustych odcisków na szybie zebrała się para.

- Sprawdzali, czy Stine nie działała w porozumieniu z bandytą. Pokazali mi też zdjęcia z napadu.

- I?

- Kombinezon na tych zdjęciach był czarny, bez żadnych znaczków. A ten, który widziałem w SATS, miał na plecach duże białe litery.

- Jakie litery? - spytała Beatę.

- P-O-L-I-C-J-A. - Grette roztarł ślady palców na szybie. - Gdy później wyszedłem na ulicę, słyszałem syreny policyjne na Majorstua. Pomyślałem wtedy: dziwne, że złodziejowi udaje się uciec, skoro wszędzie dookoła jest tyle policji.

- Aha. Dlaczego pomyślał pan o tym akurat wtedy?

- Nie wiem. Może dlatego, że w czasie, gdy byłem na siłowni, ktoś mi ukradł z szatni raketę do squasha. W następnej chwili pomyślałem, że może ktoś napadł na bank Stine. Takie rzeczy przychodzą do głowy, kiedy się tylko na moment puści wodze wyobraźni, prawda? Pojechałem więc do domu i zrobiłem lazanie. Stine uwielbiała lazanie. - Grette próbował się uśmiechnąć, ale z oczu popłynęły mu łzy.

Harry utkwiał wzrok w kartce, na której Grette wcześniej coś pisał, żeby nie patrzeć, jak dorosły mężczyzna płacze.

- Sprawdziłam pana konto, w ostatnim półroczu dokonał pan jednej dużej wypłaty. - Głos Beatę zabrzmiał twardo, metalicznie. - Trzydzieści tysięcy koron w Sao Paulo.

Harry popatrzył na nią zaskoczony. Sprawiała wrażenie kompletnie nieporuszonej sytuacją.

Grette uśmiechnął się przez łzy.

- Stine i ja obchodziliśmy tam dziesiątą rocznicę ślubu. Miała zaległy urlop. Pojechała tydzień przede mną. To najdłuższy okres, jaki spędziliśmy z dala od siebie.

- Pytałam, na co wydaliście trzydzieści tysięcy koron w brazylijskiej walucie - przypomniała Beatę.

Grette wyjrzał przez okno.

- To sprawa prywatna.

- To sprawa o zabójstwo, panie Grette. Odwrócił się do Beatę i długo na nią patrzył.

- Pani chyba nikt nigdy nie kochał, prawda? Twarz Beatę pociemniała.

- Niemieccy jubilerzy w Sao Paulo uważani są za najlepszych na świecie - powiedział Grette. - Kupiłem ten pierścionek z brylantem, który Stine miała na sobie w chwili śmierci.

Po Grettego przyszło dwóch pielęgniarzy. Harry i Beatę patrzyli za nim przez okno. Czekali na pracownika, który miał ich wyprowadzić.

- Przepraszam - powiedziała Beatę. - Wyglupiłam się... Ja...

- W porządku - odparł Harry.

- Zawsze sprawdzamy finanse osób podejrzanych w sprawie napadu, ale tu, zdaje się, posunęłam się...

- Mówiłem już, że to w porządku, Beatę. Nigdy nie przepraszaj za to, o co spytałaś,

tylko za to, o co nie pytałaś.

Przyszedł pielęgniarz, żeby ich wypuścić.

- Jak długo on tu zostanie? - spytał go Harry.

- Zostanie odesłany do domu w środę.

Już w samochodzie w drodze do centrum Harry spytał Beatę, dlaczego pielęgniarze zawsze „odsyłają” pacjentów do domu. Przecież ich nie transportują? I chorzy sami chyba decydują o tym, czy chcą wrócić do domu, czy gdzie indziej. Dlaczego więc nie mogą powiedzieć, że „jadą do domu” albo że „zostaną wypisani”?

Beatę nie miała na ten temat żadnego zdania. Harry wyjrzał więc na ponure deszczowe miasto i pomyślał, że zaczyna już mówić jak stary zgorzkniały człowiek. Do tej pory był tylko zgorzkniały.

- Zmienił fryzurę - powiedziała nagle Beata. - I zaczął nosić okulary.

- Kto?

- Ten pielęgniarz.

- Tak? Nie wyglądało na to, że się znacie.- Bo się nie znamy. Widziałam go kiedyś na plaży w Huk. I w Eldorado. I na Stortingsgata. Tak, to było chyba na Stortingsgata... Z pięć lat temu.

Harry popatrzył na nią.

- Nie sądziłem, że jest w twoim typie.

- Nie o to chodzi.

- Aha, zapomniałem, że masz tę wadę w mózgu. Uśmiechnęła się.

- Oslo to małe miasto.

- Tak? A ile razy widziałas mnie, zanim zaczęłaś pracować w policji?

- Raz. Sześć lat temu.

- Gdzie?

- W telewizji. Rozwiązałaś tę sprawę w Sydney.

- Mhm. Musiała zrobić wrażenie, o ile dobrze rozumiem.

- Pamiętam jedynie,- że zirykowało mnie, że zostałeś wtedy przedstawiony jako bohater, chociaż ci się nie powiodło.

- Słucham?

- Nie udało ci się doprowadzić mordercy przed sąd. Przecież go zastrzeleś.

Harry przymknął oczy, myśląc o tym, jak bardzo będzie smakowało pierwsze zaciągnięcie się papierosem, i sprawdził, czy ma paczkę w kieszeni. Wyjął z niej złożoną kartkę i pokazał Beatę.

- Co to jest? - spytała.

- Kartka, na której smarował Grette.

- „Przyjemny dzień” - przeczytała.

- Napisał to trzynastą razy. Trochę jak w *Lśnieniu*, nie sądzisz?

- W *Lśnieniu*?

- To taki horror Stanleya Kubricka. - Zerknął na nią z boku. Ten, w którym Jack Nicholson siedzi w hotelu i raz po raz pisze to samo zdanie.

- Nie lubię horrorów - oświadczyła cicho Beatę.

Harry odwrócił się do niej, miał coś powiedzieć, ale uznał, że lepiej będzie milczeć.

- Gdzie mieszkasz? - spytała.

- Na Bislett.

- To po drodze.

- Mhm. Dokąd?

- Na Oppsal.

- Tak? A gdzie na Oppsal?

- Na Vetlandsveien. Tuż przy dworcu. Wiesz, gdzie jest Jornslokkveien?

- Tak. Na rogu stoi żółty drewniany dom.

- Właśnie. Ja tam mieszkam. Na piętrze. Matka zajmuje parter. W tym domu się wychowałam.

- Ja też dorastałem na Oppsal - powiedział Harry. - Może mamy wspólnych znajomych?

- Może. - Beatę wyjrzała przez boczną szybę.

- Trzeba by było poszukać - powiedział Harry. Żadne już się nie odezwało.

Nadszedł wieczór i wiatr się wzmógł. Prognozy pogody zapowiadały sztorm na południe od Stadt i wzrastające zachmurzenie na północy. Harry kaszlał. Wciągnął sweter, który matka zrobiła na drutach ojcu, a który ojciec podarował mu w prezencie gwiazdkowym kilka lat po jej śmierci. Dziwny gest, pomyślał Harry. Przyrządził sobie makaron z klopsikami, a potem zadzwonił do Rakel i opowiedział jej o domu, w którym dorastał.

Niewiele się odzywała, ale zorientował się, że z przyjemnością słucha opowieści o jego pokoju. O zabawkach i niedużej komodzie. O tym, jak wymyślał historie na temat wzorów na tapecie, jak gdyby były zakodowanymi bajkami. I o tej szufladzie komody, co do której ustalili z matką, że będzie należała tylko do niego, a ona nigdy tam nie zajrzy.

- Chowałem tam karty z piłkarzami - opowiadał Harry. - Autograf Toina Lunda i list od Solvi, dziewczynki, którą poznałem na wakacjach w Andalsnes. A później pierwszą

paczkę papierosów. No i paczkę z kondomami. Leżała nieotwarta, aż skończył się termin ważności. Wyschły tak, że aż popękały, kiedy nadmuchiwaaliśmy je z siostrą.

Rakel się śmiała. Harry opowiadał dalej, tylko po to, by znów słyszeć jej śmiech. Później zaczął bez celu krążyć po pokoju. Wiadomości wydawały się powtórką z poprzedniego dnia. Rosnące zachmurzenie nad Dżalalabadem.

Wszedł do sypialni i włączył komputer. Wśród szumów i zgrzytów zobaczył, że znów dostał maila. Na widok adresu nadawcy puls mu przyspieszył. Kliknął.

Cześć Harry.

Gra się rozpoczęła. Z sekcji wynika, że mogłeś być obecny w chwili jej śmierci. Dlatego zatrzymujesz to dla siebie? Z pewnością niegłupio, chociaż wygląda to na samobójstwo. Parę rzeczy się nie zgadza, prawda? Następny ruch należy do ciebie.

C#MN

Huk poderwał Harry'ego z krzesła. Zorientował się, że to on sam uderzył dłonią w blat. Rozejrzał się po ciemnym pokoju. Był zły i wystraszony. Ale najbardziej irytowało go wrażenie, że nadawca znajduje się gdzieś blisko. Wyciągnął wciąż piekącą dłoń i dotknął ekranu komputera. Zimne szkło schłodziło skórę, ale czuł też ciepło, bijące od urządzenia, przypominające ciepło ciała.

19 BUTY NA DRUCIE

Elmer z uśmiechem spieszył w dół Gronlandsleiret, przelotnie pozdrawiając klientów i pracowników sąsiednich sklepów. Był zły na samego siebie. Skończyły mu się drobne i musiał wywiesić na drzwiach zamkniętego kiosku tabliczkę „Zaraz wracam”, żeby pobiec do banku.

Szarpnął drzwi, wkroczył do lokalu, odśpiewał swoje zwykłe „dzień dobry” i podbiegł do automatu z numerkami. Na „dzień dobry” nikt mu nie odpowiedział, ale do tego w zasadzie już przywykł. Pracowali tu jedynie biali Norwegowie. Jakiś człowiek zdawał się reperować bankomat, a jedyni dwaj klienci, jakich dostrzegął, stali przy oknie, zwrócenii do ulicy. Panowała niezwykła cisza. Czyżby na zewnątrz działo się coś, na co nie zwrócił uwagi?

- Dwadzieścia! - zawołał kobiecy głos.

Elmer spojrzał na swój numer. Widniał na nim numer 51, ale ponieważ wszystkie okienka były wolne, podszedł do tego, z którego dobiegło wołanie.

- Witam, Cathrine, moja śliczna - powiedział, z ciekawością zerkając w stronę okna. - Daj mi pięć rolek z piątkami i jednokoronówkami.

- Dwadzieścia jeden!

Elmer zaskoczony odwrócił się do Cathrine Schoyen i dopiero teraz zauważył stojącego obok niej mężczyznę. W pierwszej chwili wziął go za czarnoskórego, ale teraz dostrzegł, że ten człowiek ma na głowie czarną kominiarkę. Lufa trzymanego przez niego karabinu AG3 odsunęła się od Cathrine i zatrzymała na Elmerze.

- Dwadzieścia dwa! - zawołała Cathrine nieswoim metalicznym głosem.

- Dlaczego tutaj? - spytał Halvorsen, zmrużonymi oczyma patrząc na rozciągający się pod nimi Oslofjord. Wiatr co raz podnosił mu do góry grzywkę. Jazda z wypełnionego spalinami kotła na Gronland na wzgórze Ekeberg, wyrastające niczym zielona wieża strażnicza na południowoschodnim krańcu miasta, nie zajęła im nawet pięciu minut. Znaleźli pod drzewami ławkę z widokiem na stary piękny budynek z kamienia, który Harry wciąż nazywał Szkołą Morską, chociaż obecnie produkowano tu kadre kierowniczą.

- Po pierwsze dlatego, że tutaj jest ładnie - odparł Harry. - A po drugie, żeby nauczyć przybysza z obcych stron nieco historii Oslo. „Os” w nazwie Oslo oznacza wzgórze, właśnie to, na którym teraz siedzimy. Wzgórze Ekeberg. A „lo” to ta równina, którą widzisz w dole - pokazał palcem. - Po trzecie, patrzymy na to wzgórze co dzień, a dobrze jest wiedzieć, co jest za nim.

Halvorsen nie odpowiedział.

- Nie chciałem rozmawiać o tym w biurze - ciągnął Harry. - Ani u Elmera. Muszę ci coś powiedzieć. - Nawet tak wysoko ponad fiordem Harry'emu wydawało się, że w podmuchach wiatru wyczuwa zapach słonej wody. - Znałem Annę Bethsen.

Halvorsen pokiwał głową.- Nie wyglądasz na zdziwionego - zauważył Harry.

- Przypuszczałem, że może chodzić o coś takiego.

- Ale to jeszcze nie koniec. - Tak?

Harry wsunął do ust nie zapalonego papierosa.

- Zanim powiem coś więcej, muszę cię ostrzec. To, co mam do powiedzenia, musi zostać między tobą a mną. I to akurat może stać się dla ciebie pewnym kłopotem. Rozumiesz? Jeśli więc nie chcesz, żeby cię do tego mieszać, zamknę się i urwę w tym miejscu. Wchodzisz w to czy nie?

Halvorsen popatrzył na Harry'ego. Jeśli się zastanawiał, to nie potrzebował dużo czasu. Kiwnął głową.

- Ktoś zaczął mi przysyłać maile do domu - powiedział Harry. - Na temat tego zgonu.

- Ktoś, kogo znasz?

- Nie, nie mam pojęcia, kto to jest. Adres nic mi nie mówi.

- To dlatego wypytywałeś mnie wczoraj o możliwość wytropienia adresu mailowego?

- Nie mam o tym zielonego pojęcia, w przeciwieństwie do ciebie. - Harry podjął nieudaną próbę zapalenia papierosa wśród podmuchów wiatru. - Potrzebuję pomocy. Sądzę, że Anna została zamordowana.

W czasie, gdy północnozachodni wiatr zrywał ostatnie liście z drzew na Ekeberg, Harry opowiadał o dziwnych mailach od osoby, która zdawała się wiedzieć wszystko to, co oni, a prawdopodobnie jeszcze więcej. Nie wyznał, że treść listów mówiła o jego obecności u Anny tamtego wieczoru, gdy umarła. Zdradził jednak informacje o pistolecie, który Anna trzymała w prawej ręce, pomimo że umiejscowienie palety świadczyło o tym, iż była leworęczna. O zdjęciu w bucie. I o rozmowie z Astrid Monsen.

- Astrid Monsen po obejrzeniu zdjęcia stwierdziła, że nigdy nie widziała Vigdis Albu ani tych dzieci - tłumaczył Harry. - Ale kiedy pokazałem jej zdjęcie męża, Arnego Albu, to z „Dagens Naeringsliv”, wystarczyło, że ledwie rzuciła na nie okiem. Nie знаła jego nazwiska, ale wiedziała, że regularnie odwiedzał Annę. Widywała go wiele razy, gdy schodziła po pocztę. Zjawiał się po południu, wychodził wieczorem.

- To się nazywa praca w nadgodzinach.

- Spytałem panfą Monsen, czy tych dwoje spotykało się jedynie w dni powszednie. Odparła, że czasami przyjeżdżał po nią samochodem, również w weekendy.

- Może lubili urozmaicenia wśród zieleni?

- Urozmaicenia, możliwe. Ale nie zieleń. Astrid Monsen jest osobą bardzo skrupulatną i posiada zmysł obserwacji. Twierdziła, że nigdy nie przyjeżdżał po nią w letniej połowie roku. Właśnie to naprowadziło mnie na tę myśl.

- Jaką? O hotelu?

- Możliwe. Ale do hotelu można pojechać również latem, Myśl, Halvorsen, myśl o tym, co najzwyczajniejsze.

Halvorsen wysunął dolną wargę, ale zaraz się skrzywił, by pokazać, że nie ma żadnej propozycji. Harry uśmiechnął się i mocno wydmuchnął dym.

- Przecież ty sam odnalazłeś to miejsce. Halvorsen zaskoczony uniósł brwi.

- Domek letniskowy, to oczywiste!

- Prawda? Luksusowe i dyskretne gniazdko miłości, kiedy rodzina wróciła już do domu po sezonie, a ciekawscy sąsiedzi pozakładali okiennice na zimę. I to zaledwie godzinę jazdy od Oslo.

- Co z tego? - dopytywał się Halvorsen. - Niewiele nas to posuwa naprzód.

- Nie mów tak. Jeśli zdołamy udowodnić, że Anna była w tym domku, Albu będzie

musiał przynajmniej się wytłumaczyć. A do tego niedużo trzeba. Wystarczy jeden odcisk palca, włos, ciekawski sklepikarz, który od czasu do czasu przywozi towar.

Halvorsen roztarł kark.

- Ale dlaczego nie iść najprostszą drogą i zamiast tego poszukać raczej odcisków palców Albu w mieszkaniu Anny? Musi ich tam być pełno.

- Najprawdopodobniej już nie. Według Astrid Monsen Albu przestał przychodzić do Anny przed rokiem. Tak było do soboty w ubiegłym miesiącu. Nagle znów przyjechał po nią samochodem. Monsen pamięta to dokładnie, ponieważ Anna zadzwoniła do niej do drzwi i poprosiła, żeby uważała na złodziei.

- I ty sądzisz, że pojechali do tego domku?- Ja sądzę - Harry wrzucił dymiący niedopałek do kałuży, gdzie z sykiem zgasł - że to powód, dla którego Anna miała to zdjęcie w bucie. Pamiętasz, czego nauczyłeś się w szkole policyjnej o zabezpieczaniu dowodów technicznych?

- Owszem, niewiele było tych zajęć. A ty nie pamiętasz?

- Nie pamiętam. W bagażniku trzech z naszych samochodów służbowych leży walizeczka ze standardowym wyposażeniem. Proszek, pędzel i plastikowa folia do zbierania odcisków palców. Miarka, latarka kieszonkowa, obcęgi, takie rzeczy. Chcę, żebyś zamówił jeden z tych samochodów na jutro.

- Harry...

- I zadzwoń wcześniej do sklepikarza, niech ci dokładnie opiszę drogę. Wypytaj go w przyzwoity sposób, żeby nie nabrał podejrzeń. Powiedz, że sam budujesz domek, a architekt, z którym się kontaktowałeś, powołał się na domek państwa Albu. I że chciałbyś go tylko obejrzeć.

- Harry, nie możemy tak po prostu...

- Weź też łom.

- Posłuchaj mnie!

Okrzyk Halvorsena sprawił, że dwie mewy poderwały się i z ochrypłym krzykiem poleciały w stronę fiordu. Halvorsen zaczął wyliczać na palcach:

- Nie mamy tego niebieskiego świstka z zezwoleniem na przeszukanie. Nie mamy dowodów, dzięki którym zdobylibyśmy świstek. Nie mamy... nic. A najważniejsze, że nie mamy, czy raczej, że ja nie mam, wszystkich faktów. Bo nie powiedziałeś mi wszystkiego, prawda, Harry?

- Co cię skłania, żeby...

- Po prostu. Twój motyw nie jest dostatecznie przekonujący. To, że znalazłeś tę kobietę,

nie jest dostatecznie dobrym motywem, żeby nagle pogwałcić wszystkie zasady, włamywać się do czyjegoś domku i ryzykować utratę pracy. Nie tylko własnej, bo i mojej. Wiem, że potrafisz być szalony, Harry, ale nie jesteś idiotą.

Harry popatrzył na nasiąknięty wodą niedopalek pływający w kałuży.

- Od jak dawna się znamy, Halvorsen?

- Od blisko dwóch lat.

- Czy w ciągu tego czasu kiedykolwiek cię okłamałem?

- Dwa lata to niezbyt długo.

- Pytam, czy kiedykolwiek cię okłamałem.

- Na pewno.

- No dobrze, czy kiedykolwiek okłamałem cię w jakiejś ważnej kwestii?

- Nic o tym nie wiem.

- Okej. Nie zamierzam cię okłamywać i teraz. Masz rację. Nie mówię ci wszystkiego.

I rzeczywiście, pomagając mi, ryzykujesz utratę pracy. Mogę ci powiedzieć jedynie, że znalazłbyś się w jeszcze większym kłopotcie, gdybym opowiedział ci resztę. Jest tak, że musisz mi zaufać. Albo mnie zostawić. Wciąż jeszcze możesz się wycofać.

Siedzieli wpatrzeni w fiord. Mewy zmieniły się w dwie kropki.

- A ty co byś zrobił na moim miejscu? - spytał Halvorsen.

- Ja bym się wycofał.

Kropki na niebie znów się powiększyły. Mewy zawróciły.

Kiedy wrócili do Budynku Policji, na sekretarce była wiadomość od Moliera.

- Przejdźmy się - zaproponował naczelnik, gdy Harry oddzwonił.

- Wszystko jedno gdzie - dodał Molier, kiedy znaleźli się już na zewnątrz.

- Chodźmy do Elmera - podsunął Harry. - Nie mam papierosów.

Molier ruszył za Harrym błotnistą ścieżką między Budynkiem Policji a brukowanym podjazdem do aresztu. Harry już dawno zauważył, że architekci zdają się nigdy nie rozumieć, że ludzie i tak znajdą najszybszą drogę łączącą dwa punkty bez względu na to, którą zostanie wytyczona droga. Na końcu ścieżki znajdowała się przekrzywiona od licznych kopniaków tabliczka „Nie deptać trawnika”.

- Poinformowano cię o dzisiejszym napadzie na Gronlandsleiret? - spytał Molier.

Harry kiwnął głową.

- Interesujące, że zdecydował się na napad w odległości zaledwie kilkuset metrów od Budynku Policji. Miał szczęście, - że alarm w banku jest akurat w naprawie.

- Ja nie wierzę w szczęście - powiedział Harry.

- Tak? Uważasz, że dostał informację od kogoś z banku? Harry wzruszył ramionami.

- Albo od kogoś innego, kto wiedział o tej naprawie.

- O takich rzeczach wie jedynie bank i firma konserwatorska. No i my, rzecz jasna.

- Ale chyba nie o dzisiejszym napadzie na bank chciałeś rozmawiać, szefie.

- Nie. - Molier, drepcząc, obszedł kałużę. - Komendant okręgowy miał dziś rozmowę z burmistrzem. Niepokoją go te wszystkie napady.

Na ulicy zatrzymali się, żeby przepuścić kobietę, ciągnącą za sobą troje dzieci. Łajęła je zmęczonym, gniewnym głosem, unikając spojrzenia Harry'ego. Była właśnie pora odwiedzin w areszcie.

- Ivarsson jest zdolny, nikt w to nie wątpi - powiedział Molier. - Alej ten Ekspedytor sprawia wrażenie człowieka innego kalibru niż ten, do którego przywykliśmy. Komendant uważa, że być może konwencjonalne metody tym razem nie wystarczą.

- Może i nie. Ale co z tego? Jedno zwycięstwo na wyjeździe mniej czy więcej to chyba żaden skandal?

- Zwycięstwo na wyjeździe?

- Niewykryta sprawa. Dość popularne ostatnio powiedzonko, szefie.

- Gra idzie o wyższą stawkę, Harry. Dziennikarze przez cały dzień nie dawali nam spokoju. Całkiem powariowali. Nazywają go nowym Martinem Pedersenem. A internetowe wydanie „VG” wywęszyło już, że nazywamy go Ekspedytorem.

- A więc ta sama stara historia. - Harry przeszedł przez ulicę na czerwonym świetle, a Molier z wahaniem podążył za nim. - To dziennikarze decydują, która ze spraw ma mieć priorytet.

- Mimo wszystko on zabił człowieka.

- A zabójstwa, o których przestają pisać, są umarzane.

- Nie! - huknął Molier. - Nie zaczynajmy międlić wszystkiego od początku.

Harry wzruszył ramionami i dał krok ponad stojakiem z gazetami przewróconym przez wiatr. Jedna gazeta leżała na ulicy i we wściekłym tempie sama sobie przerzucała strony.

- No to czego chcesz? - spytał Harry.

- Komendanta oczywiście interesuje prestiżowy aspekt tej sprawy. O pojedynczym napadzie na pocztę opinia publiczna zapomina znacznie wcześniej, nim sprawa zostanie umorzona. Ale w tym wypadku wszystkie oczy zwrócą się na nas. A im więcej będzie się mówić o napadzie, tym bardziej rozbudzi to ciekawość. Martin Pedersen był zwyczajnym człowiekiem, który zrobił to, o czym marzy wielu, to taki współczesny Jesse James

uciekający przed prawem. Te historie tworzą mity, bohaterów, z którymi ludzie się identyfikują. A tym samym pojawiają się kolejni rekruci w branży napadów na bank. W czasie gdy prasa rozpisywała się o Martinie Pedersenie, liczba napadów na banki w całym kraju gwałtownie wzrosła.

- Boicie się, że to zaraźliwe? Może i słusznie. Ale jaki to ma związek ze mną?

- Ivarsson jest zdolny, nikt nie ma co do tego wątpliwości. To porządny policjant, tradycjonalista, który nigdy nie działał poza prawem. Ale Ekspedytor nie jest zwykłym bandytą. Komendanta nie satysfakcjonują nasze wyniki. - Molier skinieniem głowy wskazał na budynek więzienia. - Doszły go słuchy o tym epizodzie z Raskolem.

- Mhm.

- Byłem w biurze komendanta przed lunchem i padło twoje nazwisko. I to kilka razy.

- Mój ty świecie, mam się czuć zaszczycony?

- W każdym razie jesteś śledczym, który wcześniej osiągał dobre wyniki, stosując niekonwencjonalne metody.

Harry uśmiechnął się krzywo.

- Łagodna charakterystyka pilota kamikadze...

- Krótko mówiąc, polecenie jest następujące, Harry: Zostaw wszystkie inne sprawy, którymi się zajmujesz, i daj mi znać, jeśli potrzebujesz więcej ludzi. Ivarsson będzie jak dotychczas pracował ze swoim zespołem. Ale my stawiamy na ciebie. I jeszcze jedno... - Molier podszedł tuż do Harry'ego. - Będziesz miał większą swobodę. Jesteśmy skłonni zaakceptować naciąganie zasad. Ale to, oczywiście, nie może wyjść poza firmę.

- Mhm. Chyba rozumiem. A jeśli stanie się inaczej?

- Będziemy cię wspierać na tyle, na ile się da. Ale rzecz jasna pewne granice istnieją.

Elmer odwrócił się, gdy zabrzęczały dzwonki nad drzwiami, i skinieniem głowy wskazał na małe przenośne radjko, przy którym stał. - A ja sądziłem, że Kandahar to rodzaj wiązania do nart. Paczka cameli?

Harry kiwnął głową.

Elmer ściszył radio i głos radiowego reportera wplótł się w szum dźwięków dochodzących z zewnątrz. W samochody, w wiatr szarpiący markizą, w szelest liści po asfalcie.

- A twój kolega czego sobie życzy?

Elmer skinął głową w stronę drzwi, gdzie ustawił się Molier.

- Pilota kamikadze. Harry otworzył paczkę.

- Ach, tak?

- Ale zapomniał spytać o cenę.

Harry nie musiał się oglądać, by zobaczyć zygzakowaty uśmiech Moliera.

Ile biorą dzisiaj piloci kamikadze? - spytał kioskarz, wydając Harry'emu resztę.

- Jeśli przeżyje, pozwolą mu później robić to, co chce - odparł Harry. - To jedyny stawiany przez niego warunek. I jedyny, jaki akceptuje.

- Wydaje się całkiem rozsądny - stwierdził Elmer. - Życzę miłego dnia, moi panowie.

W powrotnej drodze Molier obiecał porozmawiać z komendantem o tym, by pozwolił Harry'emu jeszcze przez trzy miesiące zajmować się sprawą Ellen. Oczywiście pod warunkiem, że Ekspedytor zostanie złapany.

Harry kiwnął głową. Molier zawahał się przed tabliczką z napisem „Nie deptać trawników”.

- To najkrótsza droga, szefie.

- Owszem - odparł Molier. - Ale buty się okropnie brudzą.

- Rób, jak chcesz. - Harry już wszedł na ścieżkę. - Moje już są brudne.

Korek rozluźnił się tuż za zjazdem na Ulvoya. Przestało padać i już w okolicach Ljan asfalt był suchy, wkrótce potem droga rozszerzyła się na cztery pasy i samochody, jakby wypuszczone po zimie na wiosenne pastwisko, przyspieszyły jak oszalałe. Harry zerknął na Halvorsena, zastanawiając się, kiedy i on również usłyszy rozzwierające krzyki. Ale Halvorsen niczego nie słyszał, ponieważ potraktował dosłownie płynące z radia zalecenie grupy Travis:

- *Sing, sing, sing!*

- Halvorsen...

- *For the love you bring...*

Harry przyciszył radio, a Halvorsen spojrział na niego zdziwiony.

- Wycieraczki - wyjaśnił Harry. - Możesz je już wyłączyć.

- A, rzeczywiście. Sorry.

Jechali dalej w milczeniu. Minęli zjazd na Drobak.

- Co powiedziałaś sklepikarzowi? - spytał Harry.

- Wolałbyś tego nie słyszeć.

- Ale on rzeczywiście dostarczył produkty do domku państwa Albu w czwartek pięć tygodni temu?

- Tak przynajmniej twierdził.

- Przed przyjazdem Albu?

- Mówił tylko, że zwykle sam sobie otwiera.

- To znaczy, że ma klucz?
- Harry, mając taki kiepski pretekst, nie mogłem go o wszystko wypytywać.
- A jaki to był pretekst? Hahorsen westchnął.
- Geodeta okręgowy.
- Geodeta? A czym się on zajmuje?
- Nie mam pojęcia.

Larkollen leżało przy bocznej drodze. Trzyście kilometrów i czterdzieście powolnych zakrętów od autostrady.

- W prawo przy czerwonym domu za stacją benzynową - wyrecytował z pamięci Halvorsen i skręcił na zwirową drogę.

- Bardzo dużo mał prysznicowych - mruknął Harry pięć minut później, gdy Halvorsen zatrzymał samochód i wskazał na gigantyczny dom z drewnianych bali między drzewami. Wyglądał na przerośniętą górską zagrodę, która w wyniku nieporozumienia znalazła się nad morzem.

- Wygląda na to, że nie ma tu ludzi. - Halvorsen, mrużąc oczy, przyjrzał się sąsiednim domkom. - Tylko mewy. Cholernie dużo mew. Może gdzieś w pobliżu jest wysypisko śmieci. - Mhm. - Harry spojrzął na zegarek. - I tak zaparkujemy kawałek dalej.

Droga kończyła się placem do zawracania. Halvorsen zgasił silnik, a Harry otworzył drzwiczki i wysiadł. Przeciągnął się, słuchając krzyku mew i dalekiego szumu fal bijących o skały.

- Ach! - Halvorsen wypełnił płuca. - Zupełnie inne powietrze niż w Oslo, nie?

- Pewnie. - Harry już szukał papierosów. - Weźmiesz walizkę? Na ścieżce prowadzącej do domku, Harry zauważył na płocie dużą żółtobiałą mewę. Powoli obracała łepkiem, gdy ją mijali. Harry miał wrażenie, że przez całą dalszą drogę czuje na plecach błyszczące ptasie spojrzenie.

- To nie będzie łatwe - oświadczył Halvorsen, gdy przyjrzeni się bliżej solidnemu zamkowi. Powiesił czapkę na latarni z kutego żelaza, zawieszanej nad ciężkimi dębowymi drzwiami.

- Mhm. Bierz się do roboty. - Harry zapalił papierosa. - Ja się w tym czasie rozejrzę.

- Jak to się stało - powiedział Halvorsen, otwierając walizkę z metalowymi okuciami - że tak nagle zacząłeś palić znacznie więcej niż kiedyś?

Harry na moment znieruchomiał. Popatrzył na las.

- Chcę ci dać szansę, żebyś mógł mnie kiedyś wyprzedzić na rowerze.

Czarne jak smoła drewno, szczelne okna. Wszystko w tym domu sprawiało wrażenie

solidnego i niedostępnego. Harry już zaczął się zastanawiać, czy nie dałoby się wejść do środka przez imponujący komin z kamienia, ale odrzucił ten pomysł. Poszedł w dół ścieżki. Deszcz padający przez ostatnie dni pokrył ją błotem, ale Harry potrafił sobie wyobrazić małe boscie dziecięce stopki biegające latem po nagrzanej od słońca ziemi w drodze na plażę za skałami. Zatrzymał się i zamknął oczy. Stał tak, aż nadciągnęły dźwięki. Bzyczenie owadów, szum wysokiej trawy kołyszącej się na wietrze, odległe dźwięki radia, piosenka niesiona wiatrem i radosne piski dzieci bawiących się na brzegu. Miał dziesięć lat i z trudem szedł do sklepu, żeby kupić mleko i chleb, a żwir wbijał mu się w podeszwy bosych stóp. Zaciskał jednak zęby, postanowił bowiem, że zahartuje stopy przez lato, by po powrocie do domu biegać na bosaka razem z Oysteinem. W powrotnej drodze ciężka torba z zakupami zdawała się wbijać go w żwir. Miał uczucie, że stąpa po rozżarzonych węglach. Ale wtedy upatrywał sobie coś kawałek przed sobą - jakiś większy kamień czy liść - i myślał: „byłoby tylko doszedł tam, jeszcze ten kawałeczek”. Kiedy wreszcie wrócił do domu po półtorej godzinie, mleko zdążyło skwaśnieć na słońcu i matka się gniewała. Harry otworzył oczy. Po niebie mknęły szare chmury.

W zbrązowiałej trawie przy drodze znalazł ślady samochodu. Grube głębokie odciski świadczyły o tym, że był to ciężki samochód z oponami przeznaczonymi do jazdy w terenie. Landrover lub podobny. Zważywszy na deszcz, jaki padał ostatnio, wykluczone było, by ślady mogły pochodzić sprzed kilku tygodni. Najprawdopodobniej pojawiły się najwyżej dwa dni wcześniej.

Rozejrzał się i pomyślał, że nie ma nic bardziej opuszczonego niż domki letniskowe jesienią. W powrotnej drodze kiwnął głową mewie.

Halvorsen stał zgięty wpół przy zamku z elektronicznym wytrychem w rękę i stękał.

- Jak ci idzie?

- Złe - Wyprostował się i otarł pot. - To nie jest zamek dla amatorów. Raczej trzeba będzie zrezygnować. Chyba że chcesz użyć łomu.

- Nie, nie, nie łomu. - Harry podrapał się w brodę. - Zaglądałeś pod wycieraczkę?

Halvorsen westchnął.

- Nie. I nie mam takiego zamiaru.

- Dlaczego?

- Dlatego, że mamy nowe tysiąclecie i nikt już nie chowa kluczy pod wycieraczkę. Zwłaszcza do domku letniskowego za milion. Więc po prostu nie chce mi się tego robić. Chyba że założysz się o stówę, zgoda?

Harry kiwnął głową.

- No i dobrze.

Halvorsen kucnął, żeby spakować walizkę.

- To znaczy zgadzam się na ten zakład o stowę - powiedział Harry. Halvorsen podniósł wzrok.

- Żartujesz?

Harry pokręcił głową.

Halvorsen ujął brzeg zielonej wycieraczki z tworzywa sztucznego. - Niech się stanie - mruknął i odsunął ją na bok. Trzy mrówki, dwa skorki i jedna szczypawka obudziły się do życia i zaczęły kręcić na szarym murze. Ale klucza nie było.

- Czasami bywasz niewiarygodnie naiwny, Harry - stwierdził Halvorsen, wyciągając do niego rękę. - Dlaczego on miałby zostawiać klucz tutaj?

- Dlatego - odparł Harry, który nie zauważył wyciągniętej ręki, ponieważ wzrok utkwił w latarni z kutego żelaza nad drzwiami - że mleko na słońcu kwaśniej.

Podszedł do latarni i zaczął odkręcać jej pokrywę.

- O czym ty mówisz?

- Artykuły spożywcze zostały tu przywiezione na dzień przed przyjazdem Albu, prawda? Na pewno wniesiono je do środka, to się samo przez się rozumie.

- I co z tego? Może zostawiają zapasowy klucz w sklepiku?

- Nie wierzę. Przypuszczam, że Albu chciał mieć całkowitą pewność, że nikt go nie zaskoczy, kiedy był tu z Anną. - Zdjął pokrywę i zerknął do wnętrza szkła. - A teraz już nie tylko przypuszczam.

Halvorsen, pomrukując, przyciągnął rękę do siebie.

- Powąchaj - powiedział Harry, kiedy weszli do pokoju dziennego.

- Szare mydło - stwierdził Halvorsen. - Ktoś niedawno uznał, że trzeba tu posprzątać.

Ciężkie meble, wiejskie antyki i wielki kominek ze steatytu wzmacniał wrażenie ferii wielkanocnych. Harry podszedł do sosnowego regału na drugim końcu pokoju. Na półkach stały stare książki. Harry popatrzył na tytuły na zniszczonych grzbietach, lecz mimo to miał wrażenie, że nigdy ich nie czytano. Może zostały kupione *en bloc* w jednym z antykwariatów na Majorstua. Stare albumy. Szuflady. W szufladach pudełka po cygarach Cohiba i Bolivar. Jedna z szuflad zamknięta na klucz.

- No i tyle przyszło z tego sprzątnięcia - westchnął Halvorsen. Harry obrócił się i zobaczył, że kolega pokazuje na mokre brunatne ślady butów, przecinające podłogę.

Zdjęli buty w korytarzu, znaleźli w kuchni ścierkę do podłogi i po wytarciu plam uzgodnili, że Halvorsen zajmie się pokojem, a Harry przeszuka łazienkę i sypialnię.

Tego, co Harry wiedział o przeszukaniach, nauczył się w nagrzonej klasie w Wyższej Szkole Policyjnej w pewien piątek po lunchu, kiedy wszyscy myśleli jedynie o powrocie do domu, wzięciu prysznicu i wyjściu na miasto. Nie mieli żadnego podręcznika, ale uczył ich komisarz o nazwisku Rokke. Właśnie on w tamten piątek udzielił Harry'emu jedynej wskazówki, jaką od tej pory posługiwał się za każdym razem, gdy prowadził przeszukiwanie: „Nie myśl o tym, czego szukasz. Myśl o tym, co znajdziesz. Dlaczego to tu jest? Czy powinno tu być? Co oznacza? To tak jak czytanie. Jeśli myślisz o «l» patrząc na «k», nie zrozumiesz żadnego słowa”.

Po wejściu do pierwszej sypialni Harry zauważył przede wszystkim podwójne łóżko i zdjęcie państwa Albu na nocnym stoliku. Zdjęcie, choć nieduże, rzucało się w oczy, ponieważ było jedyną tu fotografią, a w dodatku stało przodem do drzwi.

Otworzył drzwi szafy. Uderzył go zapach ubrań obcych ludzi. To nie były ubrania sportowe, tylko suknie wieczorowe, bluzki i parę garniturów. I jeszcze para butów do golfa, z kolcami.

Systematycznie przejrzał wszystkie trzy szafy. Zbyt długo był śledczym, by krępowało go oglądanie i dotykanie cudzych rzeczy.

Usiadł na łóżku, popatrzył na zdjęcie na nocnym stoliku. W tle było tylko niebo i morze, lecz sposób padania światła sprawił mimo wszystko, że Harry zaczął myśleć, iż zrobiono je gdzieś dalej na południu. Arne Albu był opalony, a jego spojrzenie miało w sobie to samo chłopięce rozbawienie, które Harry zauważył w restauracji na Aker Brygge. Mocno obejmował żonę w pasie. Tak mocno, że Vigdis Albu zdawała się od niego odchylać.

Harry odsunął na bok narzutę i kołdrę. Jeśli Anna leżała w tej pościeli, bez wątpienia znaleźliby włosy, fragmenty naskórka, ślady śliny lub wydzieliny płciowej. Prawdopodobnie wszystko. Było jednak tak, jak przypuszczał. Poglądził dłonią sztywne prześcieradło, przyłożył twarz do poduszki i powąchał. Świeżo uprana. Cholera!

Otworzył szufladę nocnego stolika. Paczka gumy do żucia Extra, nieodpieczętowane pudełko pyralginy, kółeczko z pojedynczym kluczem i mosiężną płytką z inicjałami AA. Zdjęcie nagiego niemowlęcia, skulonego jak larwa na stoliku do pielęgnacji, i szczyryk szwajcarskiej armii. Już chciał wziąć nóż do ręki, gdy usłyszał pojedynczy dziwny krzyk mewy. Mimowolnie zadrżał i wyjrzał przez okno. Mewa odfrunęła. Miał kontynuować poszukiwania, ale z zewnątrz dobiegło ostre szczekanie psa.

W tej samej chwili w drzwiach stanął Halvorsen.

- Ktoś idzie ścieżką.

Serce w tym momencie przerzuciło się na turbo.

- Ja zabiorę buty - szepnął Harry. - Ty przynieś tu walizkę ze sprzętem.

- Ale...

- Wskoczmy przez okno, jak wejda do środka. Prędko! Szczekanie na zewnątrz jeszcze się wzmogło, nabrało zajadłości.

Harry przemknął na korytarz, a Halvorsen uklęknął przy regale i zaczął wrzucać do walizki proszek, szczotkę i folię. Ujadanie przybliżyło się już tak bardzo, że między szczęknięciami dawało się słyszeć powarkiwanie. Kroki na schodach. Nie zamknęli za sobą drzwi na klucz. Było już za późno, by coś zrobić, Harry wiedział, że zostanie złapany na gorącym uczynku! Nabrał powietrza, ale nie ruszał się z miejsca. Równie dobrze można było przeprowadzić konfrontację tu i teraz. Może chociaż Halvorsen zdoła uciec i Harry nie będzie miał na sumieniu przynajmniej tego zwolnienia.

- Gregor! - rozległ się męski głos po drugiej stronie drzwi. - Wracaj! Szczekanie oddaliło się, a mężczyzna zszedł ze schodów.

- Gregor! Zostaw te sarny! Harry zrobił dwa kroki w przód i ostrożnie przekręcił zasuwę. Potem zabrał obie pary butów i słuchając dobiegającego z zewnątrz dzwonięcia kluczy, na palcach przeszedł do pokoju dziennego. W chwili, gdy usłyszał odgłos otwieranych drzwi wejściowych, zamykał właśnie drzwi do sypialni.

Halvorsen siedział na podłodze pod oknem i patrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

- Co jest? - szepnął Harry.

- Właśnie wychodziłem przez okno, kiedy przybiegł ten durny pies - odszepnął Halvorsen. - To wielki rottweiler.

Harry wyjrzał przez okno prosto w rozdziawioną paszczę. Pies stał oparty przednimi łapami o ścianę. Na widok Harry'ego zaczął podskakiwać, ujadając jak opętany. Z białych kłów ciekła mu ślina. Z pokoju dziennego dobiegały ciężkie kroki. Harry osunął się na podłogę koło Halvorsena.

- Maksymalnie siedemdziesiąt kilo - szepnął. - Nie ma sprawy.

- Bardzo cię proszę. Widziałem, jak jeden z rottweilerów w „Victorze” atakuje.

- Mhm.

- Podczas treningu stracili kontrolę nad psem. Funkcjonariuszowi odgrywającemu bandytę musieli zszywać rękę w szpitalu.

- Myślałem, że są dobrze opakowani.

- Bo są.

Siedzieli, wsłuchując się w dobiegające zza okna ujadanie. Kroki w pokoju dziennym

ucichły.

- Idziemy się przywitać? - spytał szeptem Halvorsen. - Kwestią czasu pozostaje...

- Cicho!

Znów usłyszeli kroki. Zbliżały się do drzwi sypialni. Halvorsen zamknął oczy, jak gdyby chciał przygotować się na upokorzenie. Kiedy znów je otworzył, zobaczył, że Harry położył palec na ustach.

A potem usłyszeli głos z za okna sypialni:

- Gregor, chodź, wracamy do domu!

Jeszcze kilka szczęknięć i wszystko gwałtownie ucichło. Harry słyszał jedynie urywany krótki oddech. Nie wiedział, czy swój własny, czy Halvorsena.

- Cholernie posłuszne te rottweilery - szepnął Halvorsen. Zaczekali na odgłos odjeżdżającego samochodu na drodze. Wtedy pędem wpadli do pokoju dziennego i Harry zdążył jeszcze zobaczyć tył granatowego jeepa cherokee znikający na drodze. Halvorsen zwałił się na kanapę i odchylił głowę.

- Boże - jęknął. - Już sobie przez chwilę wyobrażałem niechlubny powrót do Steinkjer. Po co on, u diabła, tu przyjechał? Był tu zaledwie przez dwie minuty. - Poderwał się z sofy. - Myślisz, że wróci? Może wybrał się tylko do sklepu?

Harry pokręcił głową.

- Pojechali do domu. Tacy ludzie nie oszukują swoich psów.

- Jesteś pewien?- Oczywiście. Któregoś dnia zawoła: „Na miejsce, Gregor, jedziemy do doktora, żeby cię uśpił”.

Harry rozejrzał się po pokoju. Potem podszedł do regału i przeciągnął palcem po grzbietach książek od najwyższej do najniższej półki. Halvorsen z ponurą miną pokiwał głową i dodał, patrząc przed siebie:

- A Gregor przybiegnie, machając ogonem. Psy są dziwne. Harry zatrzymał się i zachichotał.

- Żałujesz, Halvorsen?

- Nie bardziej tego niż czego innego.

- Zaczynasz mówić jak ja.

- Bo to ty tak mówisz. Cytuję twoje słowa wypowiedziane w dniu, w którym kupiliśmy ekspres do kawy. Czego szukasz?

- Nie wiem.

Harry wyciągnął dość gruby wysoki tom i otworzył go. - Zobacz, album ze zdjęciami. Interesujące.

- Tak? Znow straciłem wątek.

Harry wskazał za siebie i dalej przeglądał album. Halvorsen wstał, żeby zobaczyć. I wtedy zrozumiał. Mokre ślady butów prowadziły w prostej linii od progu przez korytarz do półki, przy której stał Harry.

Harry wstawił album na półkę, wyciągnął inny i znow zaczął go przeglądać.

- No właśnie - odpowiedział po chwili. Przycisnął album do twarzy. - Właśnie tak.

- Co znow?

Harry położył album na stole przed Halvorsenem i wskazał na jedną z sześciu fotografii pokrywających czarną stronę. Kobieta i troje dzieci uśmiechały się do nich z plaży.

- To samo zdjęcie, które znalazłem w bucie Anny - powiedział Harry. - Powąchaj!

- Nie muszę. Nawet tutaj czuję klej.

- No właśnie. Wkleił to zdjęcie przed chwilą. Poruszaj nim, to zobaczysz, że klej ciągle jest miękki. Ale powąchaj też samo zdjęcie.

- Okej. - Halvorsen przysunął nos do uśmiechów. - Pachnie... chemikaliami.

- Jakimi?

- Takimi, jakimi pachną zdjęcia tuż po wywołaniu.

- Znow masz rację. A jaki z tego wniosek?

- Że on, lubi wklejać zdjęcia?

Harry zerknął na zegarek. Jeśli Albu pojechał prosto do domu, będzie tam za godzinę.

- Wytlumaczę ci w samochodzie - powiedział. - Mamy dowód, który był nam potrzebny.

Kiedy wyjechali na E6, zaczęło padać. Światła nadjeżdżających z przeciwka samochodów odbijały się w mokrym asfalcie.

- Wiemy teraz, skąd wzięło się zdjęcie, które Anna miała w bucie - powiedział Harry.

- Przypuszczam, że wykorzystwała okazję, by je wyrwać z albumu podczas swojego ostatniego pobytu w domku.

- Ale na co jej było to zdjęcie?

- Bóg jeden wie. Może chciała móc patrzeć na tych, którzy dzielą ją od Arnego Albu, żeby lepiej wszystko zrozumieć. Albo mieć coś, w co mogłaby wbijać igły.

- A kiedy pokazałeś mu to zdjęcie, zorientował się, skąd je wzięła?

- Oczywiście. Ślady kół cherokee przy domku są takie same jak te, które były tam już wcześniej. Dowodzą, że przyjechał tam najwyżej parę dni temu. Może nawet wczoraj.

- Żeby sprzątnąć domek i usunąć wszystkie odciski palców?

- I żeby sprawdzić, czy jest tak, jak podejrzewał, to znaczy, że w jednym z albumów

brakuje zdjęcia. A po powrocie do domu odszukał negatyw i zaniósł go do zakładu fotograficznego.

- Pewnie do takiego, w którym wywołują zdjęcia w godzinę. A dzisiaj wrócił do domku, żeby wkleić zdjęcie w miejsce tamtego, zabranego.

- Mhm.

Tylne koła jadącego przed nimi tira pokrywały przednią szybę tłustą wodą deszczową. Wycieraczki pracowały gorączkowo.

- Albu posunął się bardzo daleko, by ukryć ślady swoich eskapad - stwierdził Halvorsen. - Ale sądzisz, że to naprawdę on pozbawił życia Annę Bethsen?

Harry wpatrywał się w logo wymalowane na tylnych drzwiach ciężarówki. „Amoroma - na zawsze twój”.

- A dlaczego nie?- On mi nie wygląda na mordercę. Dobrze wykształcony porządnik, solidny ojciec rodziny z nieskazitelną kartoteką, który stworzył własną firmę.

- Był niewierny.

- A kto nie był?

- Właśnie. Kto nie był? - powtórzył Harry powoli, a potem wykrzyknął nagle zirytowany: - Będziemy się wlec za tym tirem i zbierać brudy aż do samego Oslo?

Halvorsen spojrział w lusterko i zjechał na lewy pas.

- A jaki miałby mieć motyw?

- Spytajmy.

- Co ty mówisz? Chcesz pojechać do niego do domu i go zapytać? Ujawnić, że zdobyliśmy dowód w nielegalny sposób? Żeby nas od razu wywalili z roboty na zbity pysk?

- Ciebie to ominie. Zrobię to sam.

- A jak ci się wydaje, co przez to osiągniesz? Jeśli wyjdzie na jaw, że weszliśmy do jego domku bez nakazu przeszukania, to nie ma w tym kraju sędziego, który nie odrzuci sprawy na miejscu.

- Właśnie dlatego.

- Właśnie... Przepraszam, Harry, ale te twoje zagadki zaczynają się stawać trochę męczące.

- Ponieważ nie mamy nic, co moglibyśmy wykorzystać w procesie sądowym, musimy sprowokować coś, co da się wykorzystać.

- Wobec tego powinniśmy raczej zaprosić go na przesłuchanie, usadzić w fotelu, zaserwować nasze espresso i włączyć magnetofon.

- Nie. Nie potrzeba nam mnóstwa kłamstw na taśmie, dopóki nie możemy

wykorzystać tego, co wiemy, by udowodnić, że on kłamie. Potrzebny nam sprzymierzeniec. Ktoś, kto zdoła go odkryć w naszym imieniu.

- I to jest?

- Vigdis Albu.

- Aha. A w jaki sposób...

- Jeśli Arne Albu zdradził żonę, istnieją duże szanse, że Vigdis zechce zbadać tę sprawę do dna. A są również duże szanse na to, że ona posiada te informacje, o które nam chodzi. Wiemy też parę rzeczy, które pomogą jej dowiedzieć się jeszcze więcej.

Halvorsen obrócił nieco lustro w dół, żeby nie oślepiły go światła tira, który usiadł im teraz na ogonie.

- Jesteś pewien, że to mądre, Harry?

- Nie. Wiesz, co to jest anagram?

- Pojęcia nie mam.

- To taka zabawa w przestawianie liter. Na przykład słowa, które można czytać i od przodu, i od tyłu. Popatrz na tego tira w bocznym lustrze. AMOROMA. Masz to samo słowo bez względu na to, od którego końca zaczniesz.

Halvorsen chciał coś skomentować, ale się powstrzymał i tylko z rezygnacją pokręcił głową.

- Podrzucić mnie do Schrodera - powiedział Harry.

Powietrze było gęste od potu, dymu papierosowego, przemoczonych ubrań i przekazywanych krzykiem zamówień na piwo.

Beate Lonn siedziała przy tym samym stoliku, przy którym ostatnio usiadł Aune. Równie trudno było ją zauważyć jak zebrową w oborze.

- Długo czekasz? - spytał Harry.

- Nie, nie - skłamała. Przed nią stało nietknięte i już zwiędłe piwo. Beate powędrowała za spojrzeniem Harry'ego i z przymusem podniosła szklanę.

- Tu nie ma obowiązku picia piwa - powiedział Harry, nawiązując kontakt wzrokowy z Mają. - Tak się tylko wydaje.

- Jest naprawdę niezłe - Beate wypięła małeńki łyczek. - Mój ojciec mawiał, że nie wierz ludzom, którzy nie piją piwa.

Na stoliku przed Harrym wylądował dzbanek z herbatą i filiżanka. Beate mocno się zaczerwieniła.

- Kiedyś piłem piwo - wyjaśnił Harry. - Musiałem przestać. Beate wpatrywała się w obrus.

- Ale to jedyny brzydki nałóg, którego się pozbyłem - ciągnął Harry. - Palę, kłamię i jestem mściwy. - Uniósł filiżankę, jak gdyby wznosił toast. - A ty na co cierpisz, Lonn? Oprócz tego, że jesteś wideoholiczką i zapamiętujesz wszystkie twarze, jakie kiedykolwiek widziałas?

- Oprócz tego już chyba na nic. - Beatę uniosła szklankę. - Chyba że na drgawki z Setesdalen.

- To coś poważnego?- Dosyć. Właściwie nazywa się to chorobą Huntingtona. To płasawica. Jest dziedziczna i była powszechna w Setesdalen.

- Dlaczego akurat tam?

- To... wąska dolina otoczona wysokimi górami. Daleko stamtąd do innych ludzi.

- Rozumiem.

- Zarówno mój ojciec, jak i matka pochodzą z Setesdalen. I początkowo matka nie chciała ojca, bo uważała, że miał ciotkę, cierpiącą na drgawki z Setesdalen. Ciotka miała odruch niekontrolowanego wymachiwania ręką, więc ludzie trochę się od niej odsuwali.

- A teraz ty to masz? Beatę uśmiechnęła się.

- Ojciec żartował o tym z mamą, kiedy byłam małą. Bo kiedy tata i ja graliśmy w łapki, byłam bardzo szybka i uderzałam okropnie mocno. Mówił wtedy, że to muszą być drgawki z Setesdalen. Ja uważałam to za zabawne, chciałam mieć tę chorobę, ale któregoś dnia mama powiedziała mi, że na chorobę Huntingtona można umrzeć. - Beatę bawiła się szklanką. - Tego samego lata dowiedziałam się, co oznacza śmierć.

Harry kiwnął głową staruszkowi, który był podczas wojny marynarzem, siedzącemu przy sąsiednim stoliku. Nie odpowiedział.

- A co z żądzą zemsty? - chrząknął Harry. - Na to też cierpisz?

- O co ci chodzi? - Popatrzyła na niego zdziwiona. Harry wzruszył ramionami.

- Rozejrzyj się wokoło. Zemsta i odwet. To siła napędowa kierująca zarówno malcem, który był prześladowany w szkole, a później został multimilionerem, jak i przestępcą rabującym bank, przekonany, że społeczeństwo go skrzywdziło. I popatrz na nas. Płomienna zemsta społeczeństwa w przebraniu zimnego racjonalnego odwetu. To nasza profesja.

- To chyba jest potrzebne - powiedziała, nie patrząc mu w oczy. - Bez kary społeczeństwo nie mogłoby funkcjonować.

- Pewnie, ale nie tylko o to chodzi, prawda? Jest jeszcze katharsis. Zemsta niesie oczyszczenie. Arystoteles napisał, że tragedia, przez wzbudzenie litości i trwogi, dokonuje oczyszczenia ludzkiej duszy. To przerażająca myśl, prawda? Że przez tragedię wynikającą z

zemsty spełniamy najgłębsze pragnienia naszej duszy.

- Nie interesowałam się za bardzo filozofią. - Podniosła szklankę i wypła spory łyk.

Harry spuścił głowę.

- Ja też nie. Tak tylko próbuję zablysnąć. Co słyhać w sprawie?

- Najpierw zła wiadomość - powiedziała Beatę. - Z rekonstrukcji twarzy pod maską niewiele wyszło. Udał się jedynie nos i zarys głowy.

- A dobra?

- Kobieta, której użyto jako zakładniczki podczas napadu na Gronlandsleiret, uważa, że rozpoznałaby głos napastnika. Powiedziała, że był niezwykle wysoki. Wydawało jej się niemal, że to kobieta.

- Mhm. Coś jeszcze?

- Tak. Rozmawiałam z obsługą w centrum SATS i trochę posprawdzałam. Trond Grette przyszedł tam w pół do trzeciej i wyszedł około czwartej.

- Skąd możesz mieć taką pewność?

- Dlatego, że kiedy przyszedł, zapłacił za godzinę squasha kartą. Centrala rozliczeniowa zarejestrowała wpłatę o 14.34. A pamiętasz tę skradzioną raketę do squasha? Oczywiście poinformowałam obsługę. Dziewczyna, która miała dyżur w tamten piątek, w raporcie odnotowała czas, jaki Grette tam spędził. Opuścił centrum treningowe o 16.02.

- I to była ta dobra wiadomość?

- Nie, zaraz do niej dojdę. Pamiętasz kombinezon, który Grette zauważył, gdy przechodził przez salę?

- Ten z napisem „Policja” na plecach?

- Znów oglądałam taśmę wideo. Wygląda na to, że na kombinezonie Ekspedytora na plecach i piersi jest rzep.

- I?

- Jeśli to Ekspedytor, mógł mieć oznakowanie policyjne przyklejone na rzepy i umieścił je na kombinezonie, kiedy już znalazł się poza zasięgiem kamery.

- Mhm. - Harry głośno siorbnął.

- To może tłumaczyć, dlaczego nikt nie zgłosił, że widział w tej okolicy człowieka w całkiem czarnym kombinezonie. Przecież tuż po napadzie dosłownie roilo się od policjantów ubranych na czarno.

- A co ci powiedzieli w SATS?

- Właśnie to jest interesujące. Pracownica rzeczywiście zapamiętała mężczyznę w kombinezonie, którego wzięła za policjanta. Przemknął obok. Miała wrażenie, że spieszy się

na squasha czy coś takiego.

- Nie mają więc nazwiska tego faceta?

- Nie.

- No, to akurat nie jest takie super.

- Posłuchaj, najlepsze będzie teraz. Zapamiętała faceta, bo wydawało jej się, że swoim strojem chce podkreślić, jaki z niego macho.

- Mów dalej - poprosił Harry.

Beatę przesunęła szklankę, a Harry'emu wydało się, że dostrzega u niej leciutki triumfalny uśmiezek.

- Miał na głowie do połowy zsuniętą kominiarkę. I ciemne okulary zasłaniające pół twarzy. Powiedziała też, że niósł czarną torbę, która wydawała się bardzo ciężka.

Harry zakrztusił się kawą.

Para starych butów zwisała na sznurówkach z drutu rozciągniętego między kamienicami po przeciwnych stronach Dovregata. Latarnia starała się jak mogła oświetlić brukowane przejście między domami, lecz wydawało się, że jesienna ciemność już zdążyła pochłonąć całe światło miasta. Harry'emu to nie przeszkadzało. Znał drogę między Sofies gate a Schroderem na pamięć i mógł się nią poruszać po omacku. Niejeden raz to wypróbował.

Beatę otrzymała listę nazwisk osób, które przyszły na squasha lub aerobik do SATS w czasie, gdy był tam mężczyzna w kombinezonie, i zamierzała następnego dnia zacząć je obdzwaniać. Nawet gdyby nie odnalazła tego mężczyzny, to istniały w każdym razie pewne szanse, że ktoś przebywał w szatni akurat w czasie, gdy on się przebierał, i mógł podać jego rysopis.

Harry przeszedł pod butami na drucie. Wisiały tam od lat i pogodził się już z myślą, że nigdy się nie dowie, w jaki sposób się tam znalazły.

Kiedy wszedł na klatkę, Ali akurat mył schody.

- Chyba nienawidzisz norweskiej jesieni - powiedział Harry, wycierając nogi. - Tylko brud i błoto.

- W moim rodzinnym mieście w Pakistanie widoczność wynosiła pięćdziesiąt metrów z powodu zanieczyszczenia powietrza - uśmiechnął się Ali. - Na okrągło, przez cały rok.

Harry usłyszał daleki, lecz znajomy dźwięk. Znów zadziałała zasada, że telefon dzwoni zawsze wtedy, gdy tylko możesz go usłyszeć, ale nie zdążysz odebrać. Spojrzał na zegarek. Dziesiąta. Rakel mówiła, że zadzwoni o dziewiątej.

- A z tą twoją piwnicą... - zaczął Ali, lecz Harry już wbiegał na górę i co cztery

stopnie zostawiał odcisk martensów.

Telefon przestał dzwonić, gdy tylko otworzył drzwi.

Zrzucił buty. Dłońmi przeciągnął po twarzy. Podeszedł do telefonu i podniósł słuchawkę. Numer do hotelu wisiał na żółtej karteczce przyklejonej do lustra. Odkleił ją i wtedy w lustrze odbił się pierwszy mail od C#MN. Wydrukował go i przypiął na ścianie. Stary zwyczaj. W Wydziale Zabójstw zwykle ozdabiali ściany zdjęciami, listami i innymi drobiazgami, które mogły pomóc w dostrzeżeniu całości lub w jakiś inny sposób pobudzić podświadomość. Harry nie potrafił odczytać lustrzanego pisma, ale też i wcale nie musiał:

Wyobraźmy sobie, że byłeś na kolacji u pewnej kobiety, którą następnego dnia znajdują martwą. Co robisz? C#MN

Zmienił zdanie, przeszedł do pokoju, włączył telewizor i usiadł w fotelu. Zaraz jednak gwałtownie się poderwał, wrócił do przedpokoju i wykręcił numer.

Rakel miała zmęczony głos.

- U Schrodera - powiedział Harry. - Właśnie wróciłem.

- Dzwoniłam chyba z dziesięć razy.

- Coś się stało?

- Boję się, Harry.

- Mhm. Bardzo?

Stanął w drzwiach do pokoju ze słuchawką wciśniętą między ramię a ucho i pilotem przyciszył telewizor.

- Nie bardzo - odparła. - Trochę.

- Trochę się bać to nie takie straszne. Człowiek staje się od tego silniejszy.

- A co będzie, jak zacznę się bardzo bać?

- Wiesz, że przyjadę natychmiast. Tylko daj mi znać.- Mówiłam ci już, że nie możesz przyjechać, Harry.

- Niniejszym przyznaję ci prawo do zmiany zdania.

Harry patrzył na mężczyznę w turbanie i mundurze maskującym, który pojawił się na ekranie telewizora. W jego twarzy było coś dziwnie znajomego. Kogoś przypominał.

- Świat się wali - powiedziała Rakel. - Chciałam tylko wiedzieć, że ktoś tam jest.

- Jest.

- Ale wydajesz się taki daleki.

Harry odwrócił się od telewizora i oparł o futrynę.

- Przepraszam. Ale jestem tu i myślę o tobie. Chociaż wydaję się daleki.

Zaczęła płakać.

- Wybacz, Harry. Musisz mnie uważać za okropną bekse. Przecież wiem, że tam jesteś. I szeptem dodała: - Wiem, że mogę ci ufać.

Harry nabrał powietrza. Ból głowy nadciągał wolno, lecz zdecydowanie, niczym żelazna obręcz powoli zaciskająca się na jego czole. Kiedy się rozłączyli, czuł już każde uderzeniu pulsu w skroniach. Wyłączył telewizor i nastawił płytę *Radiohead*, ale nie wytrzymał głosu Thoma Yorke'a. Poszedł do łazienki i umył twarz. Stał w kuchni, bezmyślnie gapiąc się na lodówkę. W końcu nie dało się tego dłużej odkładać. Przeszedł do sypialni. Obudzony do życia ekran komputera zalał pokój zimnym niebieskim światłem. Harry nawiązał kontakt ze światem, który, poinformował go, że dostał jedną wiadomość. Teraz wyraźnie czuł już pragnienie. Szarpało nim jak pies, który chce się urwać z łańcucha. Kliknął ikonę poczty.

Powinienem był sprawdzić jej but. Zdjęcie musiało leżeć na nocnym stoliku, widocznie sięgnęła po nie, kiedy lądowałem. Z drugiej strony dzięki temu gra jest odrobinę bardziej emocjonująca. Odrobinę.

C#MN

PS. Ona się bala. Chciałem tylko, żebyś o tym wiedział.

Harry wsunął rękę do kieszeni i wyjął kółko z kluczykiem. Na mosiężnej płytce widniały inicjały AA.

Część trzecia

20 LĄDOWANIE

Co myśli człowiek, który patrzy wprost w lufę broni? Czasami przypuszczam, że w ogóle nie myśli. Tak jak ta kobieta dzisiaj. Powiedziała: „Nie zabijaj mnie”. Naprawdę sądziła, że taka prośba może mieć jakieś znaczenie? Na tabliczce miała napis: „DnB, Cathrine Schoyen”. A kiedy spytałem, dlaczego jest tyle CiHw jej nazwisku, popatrzyła na mnie tylko z głupią, krowią miną i powtórzyła: „Nie zabijaj mnie”. Niewiele brakowało, żebym stracił kontrolę, ryknął i strzelił jej między rogi.

Ruch na ulicy przede mną zastygł. Czuję siedzenie pod plecami, lepkie i spocone. Radio ustawione jest na NRK-Zawsze Wiadomości, na razie jeszcze nie pisnęli ani słowa. Patrzę na zegarek. Normalnie byłbym bezpieczny w domku letniskowym w ciągu pół godziny. Samochód przede mną nie ma katalizatora, więc wyłączam nawiew. Zaczęły się popołudniowe korki, ale jedzie się jeszcze wolniej niż zwykle. Czyżby z przodu wydarzył się jakiś wypadek? Albo policja już ustawiła kontrolę drogową?

Niemożliwe. Torba z pieniędzmi leży pod kurtką na tylnym siedzeniu. Razem z naładowanym AG3. Silnik przede mną gwałtownie prychna, zanim kierowcy udaje się puścić sprzęgło i przesunąć samochód o dwa metry. Znów stoimy. Zastanawiam się, czy mam się nudzić, bać, czy irytować, gdy nagle ich dostrzegam. Dwie osoby idą wzdłuż Unii rozdzielającej pasy. To kobieta w mundurze i wysoki mężczyzna w szarym płaszczu. Czujnie przyglądają się samochodom z prawej i z lewej strony. Przy jednym zatrzymują się i z uśmiechem zamieniają kilka słów z kierowcą, który najwyraźniej nie zapiął pasa. Może to tylko rutynowa kontrola. Podchodzą bliżej. W NRK-Zawsze Wiadomości nosowy głos po angielsku mówi, że temperatura na ziemi wynosi ponad czterdzieści stopni i należy przedsięwziąć odpowiednie środki, by nie nabawić się porażenia słonecznego. Odruchowo zaczynam się pocić, chociaż wiem, że na zewnątrz jest naprawdę nieprzyjemnie i zimno. Są tuż przy moim samochodzie. To ten policjant. Harry Hole. Kobieta jest podobna do Stine. Zerka na mnie, mijając mój samochód. Oddycham z ulgą. Już mam wybuchnąć głośnym śmiechem, kiedy słyszę stukanie w szybę. Odwracam się wolno, straszliwie wolno. Ona się uśmiecha, a ja widzę, że szyba już jest opuszczona. Dziwne. Ona coś mówi, ale zagłusza ją ryczący silnik z przodu.

- Co? - pytam i otwieram oczy jeszcze raz.

- Could you please put the back of your seat to an upright position?

- Oparcie? - pytam zdezorientowany.

- We'll be landing shortly, sir - uśmiecha się i odchodzi. Przecieram oczy ze snu i wszystko wraca. Napad. Ucieczka. Walizka

z biletem lotniczym czekająca w domku letniskowym. SMS od Księcia, że droga jest wolna. A mimo wszystko to lekkie uklucie zdenerwowania, gdy pokazywałem paszport podczas odprawy na lotnisku Gardermoen. Odlot. Wszystko poszło zgodnie z planem.

Wyglądam przez okno, Najwyraźniej wciąż jeszcze nie opuściłem krainy snu, bo przez moment wydaje mi się, że lecimy ponad gwiazdami. Potem dociera do mnie, że to światła miasta, i zaczynam myśleć o wynajętym samochodzie, który zamówiłem. Czy może raczej powinienem przenocować w hotelu, w tym wielkim parnym i cuchnącym mieście, a dalej na południe pojechać rano? Nie, jutro będę tak samo zmęczony z powodu zmiany czasu, jet-lag. Najlepiej od razu dotrzeć do celu. Miejsce, do którego się wybieram, jest lepsze niż jego sława. Mieszka tam nawet paru Norwegów, z którymi da się porozmawiać. Obudzić się w słońcu, nad morzem, w lepszym życiu. Taki jest plan. Mój plan, w każdym razie.

Trzymam się mocno drinka, którego udało mi się ocalić, zanim stewardesa złożyła mój stolik. Dlaczego więc nie wierzę w ten plan?

Warkot silnika wznosi się i opada. Czuję teraz, że lecę w dół. Zamykam oczy i odruchowo nabieram powietrza, świadom tego, co nastąpi. Ona. Ma na sobie tę samą sukienkę, w której ujrzałem ją pierwszy raz. O Boże, już za nią tęsknię. Fakt, że to tęsknota, której nie dałoby się zaspokoić, nawet gdyby żyła, niczego nie zmienia. Wszystko w niej było niemożliwe. Cnotliwość i szaleństwo. Włosy, który powinny chłonać całe światło, a zamiast tego lśniły jak złoto. Uparty śmiech w czasie, gdy łzy spływały jej po policzkach. Pełne nienawiści spojrzenie, gdy w nią wchodziłem. Fałszywe oświadczenia miłości i prawdziwa radość, gdy niedotrzymawszy umowy, przynosiłem jej marne wymówki. Powtarzane w czasie, gdy leżałem obok niej w łóżku, z głową na odcisku w poduszce pozostawionym przez innego. To już tak dawno temu. Miliony lat. Znow zamykam oczy, by nie widzieć dalszego ciągu. Momentu, gdy trafiłem, jej źrenic rozszerzających się powoli, jak czarne róże. Krwi skapującej na podłogę. Bezwładna szyja, głowa odrzucona w tył.

Kobieta, którą kocham, nie żyje. Po prostu. Ale to wciąż nie przynosi żadnego sensu. Właśnie to jest piękne. Tak proste i piękne, że nie można tego znieść. W kabinie spada ciśnienie, coś naciska. Od środka. Niewidzialna siła, która pcha się ku bębenkom i miękkiemu mózgowi. Coś mi mówi, że to się stanie w taki sposób. Nikt mnie nie znajdzie. Nikt nie wydusi ze mnie tajemnicy. Ale plan zostanie zniszczony. Od środka.

21 MONOPOLY

Harry'ego obudziły wiadomości w radiu z budzikiem. Bombardowania się wzmożyły. Brzmiało to jak powtórka. Usiłował przypomnieć sobie choćby jeden powód, żeby wstać.

Głos w radiu opowiadał, że przeciętna waga Norwegów wzrosła od roku 1975 o trzynaście kilo dla mężczyzn i dziewięć kilo dla kobiet. Harry zamknął oczy, myśląc o tym, co powiedział Aune. Że eskapizm cieszy się niezasłużenie złą sławą. Nadszedł sen. To samo słodkie, ciepłe uczucie, jak wówczas, gdy był mały i leżał w łóżku przy otwartych drzwiach, słuchając, jak ojciec chodzi po domu i gasi światła, jedno po drugim, a z każdą zgaszoną lampą robiło się coraz ciemniej.

„Po brutalnych napadach, jakie miały miejsce w Oslo w ciągu ostatnich tygodni, pracownicy najbardziej narażonych oddziałów w centrum domagają się uzbrojonej ochrony. Wczorajszy napad na oddział Gjensidige Nor na Gronlandsleiret wpisuje się w szereg napadów z bronią, o których dokonanie policja podejrzewa tak zwanego Ekspedytora. To ten sam człowiek, który zastrzelił...”

Harry postawił stopy na zimnym linoleum. Twarz w lustrze w łazience przedrzeźniała

późnego Picassa. Beatę siedziała przy telefonie. Pokręciła głową, widząc Harry'ego w drzwiach. Już chciał odejść, ale dała mu znak ręką, żeby został. - W każdym razie dziękuję za pomoc - zakończyła i odłożyła słuchawkę.

- Przeszkadzam? - spytał Harry, stawiając przed nią filiżankę.

- Nie, kręciłam głową, żeby ci powiedzieć, że to bez efektu. Człowiek, z którym teraz rozmawiałam, był ostatni na liście. Ze wszystkich mężczyzn, o których bytności w SATS w aktualnym momencie wiemy, tylko jeden niejasno sobie przypomina człowieka w kombinezonie. A nie był nawet pewien, czy widział go w szatni; czy gdzie indziej.

- Mhm. - Harry usiadł i rozejrzał się dokoła. W pokoju Beatę panował taki porządek, jakiego się spodziewał. Z wyjątkiem znajomej rośliny doniczkowej, której nazwy nie znał, na parapecie, pokój był równie ogołcony z osobistych przedmiotów jak jego własny. Na biurku dostrzegł plecy stojącej ramki do zdjęć. Domyślał się, kto jest na fotografii.

- Rozmawiałaś tylko z mężczyznami?

- Według naszej teorii wszedł do męskiej szatni, żeby się przebrać, prawda?

- A potem powędrował ulicami Morristown jako zwyczajny człowiek. No tak. Coś nowego od wczoraj w związku z napadem na Gronlandsleiret?

- No cóż, nowego? Bardziej powtórka, powiedziałabym. Ten sam rodzaj ubrania i AG3. Zakładniczkę wykorzystano do porozumiewania się. Zabrał pieniądze z bankomatu, poświęcił na to minutę i pięćdziesiąt sekund. Żadnych śladów. Krótko mówiąc...

- Ekspedytor - powiedział Harry.

- Co to jest? - Beatę podniosła filiżankę i zajrzała do środka.

- Capuccino. Halvorsen przesyła pozdrowienia.

- ICawa z mlekiem? - skrzywiła się Beatę.

- Pozwól, że zgadnę. Twój ojciec mawiał, że nie wierzy ludziom, którzy nie piją czarnej kawy.

Natychmiast pożałował swoich słów, gdy zobaczył zdumienie na twarzy Beatę.

- Przepraszam - mruknął. - Nie chciałem... to było nie fair.

- Co teraz zrobimy? - spytała Beatę, obracając w palcach uszko filiżanki. - Wróciliśmy na start.

Harry usiadł na krześle i zapatrzył się w czubki swoich butów.

- Trzeba iść do więzienia. - Co?

- Prosto do więzienia. - Znów się wyprostował. - Nawet jeśli miniesz start, nie dostaniesz dwóch tysięcy koron.

- O czym ty mówisz?

- O kartach „Szansa” w Monopoly. Tylko to nam zostaje. Szansa. W więzieniu. Masz telefon do aresztu?

- To zmarnowany czas - powiedziała Beate. Jej głos odbijał się od murowanych ścian Kanału, gdy biegła obok Harry’ego.

- Może i tak - odparł. - Podobnie jak dziewięćdziesiąt procent każdego śledztwa.

- Przeczytałam wszystkie raporty i protokoły przesłuchań, jakie kiedykolwiek zostały sporządzone w związku z jego osobą. On nigdy nic nie mówi. Poza mnóstwem filozoficznych bredni, które nie mają żadnego związku ze sprawą.

Harry wcisnął domofon przy szarych metalowych drzwiach na końcu tunelu.

- Znasz przysłowie, że najciemniej jest pod latarnią? Wynika z tego, że zgubionej rzeczy należy szukać tam, gdzie jest jasno. Ma to, zdaje się, być ilustracją ludzkiej głupoty. Dla mnie to wyraz zdrowego rozsądku.

- Przysuńcie identyfikatory do kamery - rozległ się głos w głośniku domofonu.

- Dlaczego mam iść z tobą, skoro chcesz rozmawiać z nim sam? - spytała Beate, prześlizgując się przez drzwi za Harrym.

- To taka metoda, z której korzystaliśmy z Ellen, przesłuchując podejrzanych. Zawsze któreś z nas prowadziło przesłuchanie, a to drugie tylko siedziało i słuchało. Jeśli utknęliśmy w martwym punkcie, robiliśmy przerwę. I jeśli to ja je prowadziłem, wychodziłem wtedy, a Ellen zaczynała mówić o zwyczajnych codziennych sprawach, na przykład o rzucaniu palenia albo o tym, że w telewizji pokazują samo gówno. Albo że czynsz zaczął jej ciążyć, kiedy zerwała z chłopakiem. Po pewnej chwili takiej gadki wsuwałem głowę do środka i mówiłem, że wyniknęła jakaś sprawa i teraz ona musi przejąć przesłuchanie.- Działo?

- Za każdym razem.

Weszli na górę po schodach i znaleźli się w służbie prowadzącej do hali więzienia. Funkcjonariusz za grubym zbrojonym szkłem kiwnął im głową i nacisnął jakiś guzik.

- Zaraz przyjdzie strażnik - rozległ się nosowy głos. Strażnikiem okazał się niewysoki facet o nabrzmiąłych mięśniach i kołyszącym kroku karła. Zaprowadził ich do części, w której znajdowały się cele. Dookoła dużego podłużnego holu ciągnęła się wysoka na trzy piętra galeria z szeregami jasnoniebieskich drzwi. Między piętrami rozpięta była stalowa siatka. Nigdzie nie było nikogo widać, a ciszę przerwało jedynie echo zatraskiwanych gdzieś drzwi.

Harry był tu już wiele razy wcześniej, ale zawsze takim samym absurdem wydawało mu się, że za tymi drzwiami siedzą ludzie, których zamknięcie wbrew ich woli społeczeństwo uznało za konieczne. Nie bardzo wiedział, dlaczego, ale ta myśl go przerażała. Było jednak

coś niesamowitego w tym konkretnym przejawie publicznej zinstytucjonalizowanej zemsty za przestępstwo. Waga i miecz.

Klucze w pęku strażnika zabrzczały, gdy otwierał drzwi oznakowane czarnym napisem: „Pokój odwiedzin”.

- Bardzo proszę. Kiedy będziecie chcieli wyjść, po prostu zastukajcie.

Weszli do środka i drzwi za nimi się zatrzasnęły. W ciszy, jaka zapadła, Harry zwrócił uwagę na lekki szum świetlówki, która zapalała się i gasła, i na plastikowe kwiatki na ścianie, rzucające blade cienie na wypłowiałą akwarelę. Na krześle ustawionym dokładnie pośrodku krótszej żółtej ściany za stołem siedział wyprostowany mężczyzna. Przedramiona oparł o blat po obu stronach szachownicy. Włosy miał ściągnięte mocno do tyłu, za uszy. Ubrany był w gładki szary, przypominający kombinezon strój. Mocno zaznaczone brwi i cień padający z boku prostego nosa tworzyły wyraźną literę T za każdym razem, gdy świetlówka gasła. Ale Harry z pogrzebu zapamiętał przede wszystkim jego spojrzenie. To samo przeczące sobie pomieszczenie cierpienia i obojętności, które kazało Harry'emu myśleć o kimś innym.

Ruchem głowy dał Beatę znak, żeby zajęła miejsce przy drzwiach. Sam przysunął sobie krzesło do stołu i usiadł naprzeciwko Raskola.

- Dziękuję, że zechciał pan poświęcić czas na spotkanie z nami.

- Czas - powiedział Raskol głosem zaskakująco jasnym i miękkim - jest tu bardzo tani.

- Mówił w charakterystyczny dla Europejczyków ze wschodu sposób, twardo wymawiając „r”, z wyraźną dykcją.

- Rozumiem. Jestem Harry Hole. A moja koleżanka nazywa się...

- Beatę Lonn. Podobna jest pani do ojca, Beatę.

Harry usłyszał, że Beatę zabrakło tchu, i lekko się obrócił. Jej twarz nie zapłonęła się, przeciwnie, blada skóra wydawała się jeszcze bielsza, a usta zastygły z grymasem, jak gdyby ktoś ją uderzył.

Harry chrząknął, wpatrzony w stół, i dopiero teraz zwrócił uwagę, że niemal straszną symetrię wzdłuż osi dzielącej pokój i Raskola zakłóca jeden niewielki szczegół: król i królowa na szachownicy.

- A pana gdzie ja już widziałem, Hole?

- Na ogół przebywam w pobliżu zmarłych - odparł Harry.

- Aha, na pogrzebie. Był pan jednym z psów naczelnika wydziału, prawda?

- Nie.

- Nie spodobało się panu, że ktoś pana nazwał jego psem? Jest między wami jakaś zła krew?

- Nie. - Harry zastanowił się. - Po prostu się nie lubimy. Wy, jak rozumiem, też?

Raskol uśmiechnął się łagodnie, a świetlówka zamigotała.

- Mam nadzieję, że nie wziął tego osobiście. A garnitur wyglądał na bardzo tani.

- Nie sędzę, by to akurat garnitur najbardziej ucierpiał.

- Chciał, żebym mu coś powiedział, no to powiedziałem.

- Ze donosicieli naznacza się na zawsze?

- Nieźle, komisarzu. Ale ten atrament z czasem się zmyje. Grywa pan w szachy?

Harry starał się nie zwracać uwagi na to, że Raskol użył jego stopnia. Może tylko zgadywał.

- Ciekaw jestem, w jaki sposób zdołał pan później ukryć nadajnik - powiedział Harry.

- Słyszałem, że przewrócili do góry nogami cały oddział.

- A kto powiedział, że cokolwiek ukryłem? Białe czy czarne?

- Podobno jest pan wciąż mózgiem większości napadów w Norwegii, a tu znajduje się pańska baza, przynależna panu część zysków wpływa na konto za granicą. Czy to dlatego postarał się pan o przybycie tu, na oddział A w więzieniu Oslo, bo tutaj może pan spotkać ludzi, którzy dostali krótkie kary i wkrótce wyjdą, by mogli zrealizować plany układane przez pana? I w jaki sposób porozumiewa się pan z nimi, kiedy są na wolności? Tutaj też pan ma komórki? Komputery? Raskol westchnął.

- Zaczął pan obiecująco, komisarzu, ale powoli pan mnie nudzi. Gramy czy nie?

- Gra jest nudna - oświadczył Harry. - Chyba że gra się o coś.

- Chętnie. O co gramy?

- O to. - Harry podniósł do góry kółeczko z pojedynczym kluczem i miedzianą blaszką.

- A co to jest? - zainteresował się Raskol.

- Tego nie wie nikt. Czasami po prostu trzeba ryzykować i liczyć, że to, o co się gra, ma jakąś wartość.

- Dlaczego miałbym ryzykować? Harry pochylił się do przodu.

- Bo mi pan ufa. Raskol zaśmiał się głośno.

- Niech mi pan poda chociaż jeden powód, dla którego miałbym panu ufać, *Spiuni*.

- Beatę - powiedział Harry, nie odrywając wzroku od Raskola. - Zostaw nas samych, proszę.

. Usłyszał stukanie do drzwi, a potem podzwanianie kluczami. Drzwi się otworzyły, a następnie z lekkim szcękaniem zamknęły.

- Niech pan się przyjrzy. - Harry położył klucz na stole. Raskol, nie odrywając

spojrzenia od Harry'ego, spytał:

- A.A.?

Harry podniósł z szachownicy białego króla. Figura była ręcznie rzeźbiona i bardzo piękna.

- To inicjały człowieka, którego gnębił bardzo delikatny problem. Był bogaty. Miał żonę i dzieci. Dom i domek letniskowy. Psa i kochankę. Wszystko wydawało się w jak najlepszym porządku. - Harry obrócił króla. - W miarę jednak upływu czasu ten bogaty człowiek się zmieniał. Pewne zdarzenia sprawiły, że któregoś dnia uświadomił sobie, że najważniejsza w jego życiu jest rodzina. Sprzedał więc firmę, pozbył się kochanki, a potem przyrzekł sobie i rodzinie, że od tej pory będą żyli tylko dla siebie. Problem polegał na tym, że kochanka zaczęła grozić ujawnieniem ich romansu. Być może żądała również pieniędzy. Nie była pazerna, tylko biedna. Kończyła właśnie dzieło sztuki, które, jak sądziła, stanie się arcydziełem jej życia, i potrzebowała pieniędzy, by pokazać je światu. Naciskała coraz mocniej, aż pewnej nocy on postanowił ją odwiedzić. Nie był to przypadkowy wieczór, lecz bardzo szczególny, gdyż powiedziała mu, że właśnie tego wieczoru odwiedzi ją jej dawny kochanek. Dlaczego mu o tym powiedziała? Może chciała wzbudzić w nim zazdrość? Albo pokazać, że inni mężczyźni też jej pragną? Ale on nie był zazdrosny. Ucieszył się. To doskonała okazja.

Harry zerknął na Raskola. Cygan założył ręce na piersi i bacznie mu się przyglądał.

- Czekał przed domem. Czekał i czekał, patrząc w górę na światła z jej mieszkania. Tuż przed północą gość wyszedł. Przypadkowy mężczyzna, który, gdyby miało okazać się to konieczne, nie umiałby przedstawić żadnego alibi i o którego pobycie u Anny, co łatwo przewidzieć, ktoś by się w końcu dowiedział. Usłyszała go na przykład czujna sąsiadka Anny. Astrid Monsen. Ale nasz człowiek nie zadzwonił. Nasz człowiek otworzył sobie drzwi kluczem. Zakradł się na górę po schodach i kluczem otworzył drzwi do jej mieszkania.

Harry wziął do ręki czarnego króla i porównał z białym. Komuś, kto nie przyglądałby się zbyt uważnie, figury mogły się wydać identyczne.

- Broń jest niezarejestrowana. Może należała do Anny, może była jego własnością. Co dokładnie zaszło w mieszkaniu, nie wiem. I świat prawdopodobnie też nigdy się o tym nie dowie, bo ona nie żyje. A ze strony policji sprawa została uznana za samobójstwo.

- „Ja?” „Ze strony policji?” - Raskol pogładził ręką kocią bródkę. - Dlaczego nie mówi pan „my”? I „z naszej strony”? Stara się pan mi wmówić, że gra pan solo, komisarzu?

- O co panu chodzi?

- Dobrze pan wie, o co. Rozumiem tę sztuczkę z odprawieniem koleżanki, bym

odniósł wrażenie, że to zostanie wyłącznie między nami, ale... - Złożył dłonie. - Nie musi to wcale oznaczać, że tak nie jest. Czy ktoś jeszcze wie to, co pan?

Harry pokręcił głową.- Po co pan przyszedł? Po pieniądze? - Nie.

- Na pana miejscu tak bym się nie spieszył, komisarzu. Nie zdążyłem jeszcze powiedzieć, ile ta informacja jest dla mnie warta. Być może mówimy o dużych sumach. Pod warunkiem, że pan może udowodnić swoje słowa. I że ukaranie winnego nastąpi, powiedzmy, według prywatnej reżyserii, bez zbędnego mieszania w to czynników oficjalnych.

- To nie jest pytanie - oświadczył Harry z nadzieją, że nie widać potu na jego czole. - Pytaniem jest, ile pańska informacja jest warta dla mnie.

- Co więc pan proponuje, *Spiunil*

- Proponuję... - Harry wziął oba króle do jednej ręki -...remis. Pan mi powie, kim jest Ekspedytor. Ja znajdę dowody przeciwko człowiekowi” który odebrał życie Annie.

Raskol zaśmiał się cicho.

- No to już wszystko jasne. Może pan odejść, *Spiuni*.

- Niech się pan na tym zastanowi, Raskol.

- Nie muszę. Ufam ludziom, którzy chcą pieniędzy, a nie krzyżowcom.

Popatrzyli na siebie, że świetlówki dobiegł syk. Harry kiwnął głową. Postawił figury na stole, wstał, podszedł do drzwi i zapukał.

- Musiał pan ją kochać - powiedział, obrócony do Raskola plecami. - Mieszkanie na Sorgenfrigata okazało się zapisane na pana, a ja dobrze wiem, jak marną sytuację finansową miała Anna.

- O?

- Ponieważ to pańskie mieszkanie, nakazałem zarządcy spadku przesłać klucz panu. Posłaniec powinien przynieść go w ciągu dnia. Proponuję, by porównał go pan z kluczem, który pan dostał ode mnie.

- Dlaczego?

- Do mieszkania Anny były trzy klucze. Jeden miała Anna, drugi elektryk. Ten klucz znalazłem w szufladzie nocnego stolika człowieka, o którym mówiłem. To trzeci, ostatni klucz. Jedyne, który mógł zostać użyty, jeśli Anna została zamordowana.

Za drzwiami rozległy się kroki.

- A co do mojej wiarygodności - dodał jeszcze Harry - to chodzi mi wyłącznie o ratowanie własnej skóry.

Spragnieni ludzie piją wszystko jedno gdzie. Na przykład u Malika na Thereses gate. Był to bar z hamburgerami, który nie miał w sobie nic z tego, co czyniło Schrodera miejscem z wyszynkiem, posiadającym mimo wszystko pewien klimat. Wprawdzie hamburgery sprzedawane u Malika miały opinię lepszych niż u konkurencji i przy odrobinie dobrej woli można było powiedzieć, że lekko inspirowane Indiami wewnątrz ze zdjęciem norweskiej rodziny królewskiej nie jest pozbawione pewnego czaru, lecz było i pozostało miejscem, w którym serwowano fast food, a ludziom skłonnymp zapłacić za zachowanie pewnej wiarygodności nigdy nie wpadłoby do głowy, by właśnie tutaj wypić duże piwo.

Harry nigdy się do nich nie zaliczał.

Dawno już nie był u Malika, ale gdy się rozejrzył, skonstatował, że nic się nie zmieniło. Oystein siedział razem ze swymi kolegami i jedną koleżanką od wypitki przy stoliku dla palących. W dźwiękowej scenerii przebrzmiałych popowych hitów, Eurosportu i skwierczącego oleju toczyła się dobrodusznarozmowa o wygranych w lotto, sprawie potrójnego zabójstwa w Orderud i upadku moralnym nieobecnego kumpla.

- O rany, cześć, Harry! - ochrypiły głos Oysteina przedarł się przez zanieczyszczone powietrze. Potrząsnął długimi tłustymi kosmykami, wytarł rękę o spodnie i wyciągnął ją do Harry'ego. - Ludzie, to ten glina, o którym wam opowiadałem. Ten, co zastrzelił tamtego faceta w Australii. Trafiłeś go w łeb, no nie?

- Dobra robota - pochwalił jeden z pozostałych gości, którego twarzy Harry nie widział, ponieważ siedział pochylony, a jego długie włosy tworzyły zasłonę wokół szklanki z piwem. - Śmieci trzeba sprzątać.

Harry wskazał na wolny stół, a Oystein kiwnął głową, zgasił papierosa, wsunął paczkę z tytoniem papierosowym Petteroe's do kieszonki na piersi dzinsowej koszuli i skupił się na przenoszeniu nowej szklanki z piwem tak, by nie uronić ani kropli.

- Kopeć lat! - Oystein zaczął skręcać kolejnego papierosa. - Tak samo jak z resztą chłopaków. W ogóle ich nie widuję. Powyprowadzali się, poženili, mają dzieciaki. - Oystein zaśmiał się twardym gorzkim śmiechem. - Wszyscy jednak wyrosli na porządnych ludzi, kto by przypuszczał?

- Mhm.

- Zaglądasz czasami na Oppsal? Twój ojciec ciągle tam mieszka, nie?

- Owszem, ale rzadko tam bywam. Czasami rozmawiamy przez telefon.

- A twoja siostra? Polepszyło jej się? Harry się uśmiechnął.

- Jak ktoś ma Downa, to mu się nie polepsza, Oystein. Ale nieźle sobie radzi. Mieszka

sama w mieszkaniu na Sogn. Ma chłopaka.

- O rarty! To ma więcej niż ja.

- Jak ci się jeździ?

- Może być. Akurat zmieniłem właściciela taksówki. Tamten poprzedni uważał, że cuchnę. Cholerny dupek!

- I wciąż nie jesteś zainteresowany powrotem do pracy w informatyce?

- Oszalałeś? Pewnie, że jestem! - Oystein aż się zatrzęsł od śmiechu, czubkiem języka zwilżając bibułkę. - Milion rocznego dochodu i biuro, które stoi w jednym miejscu. Jasne, że bym to sobie wyobrażał. Ale ten pociąg już odjechał, Harry. Czas takich jak ja rockandrolowców w branży informatycznej już minął.

- Rozmawiałem z facetem zajmującym się zabezpieczaniem danych dla DnB. Powiedział, że wciąż jesteś uważany za pioniera w łamaniu kodów.

- Pionier to znaczy stary, Harry. Nikt już nie potrzebuje podstarzałego hackera, który jest o dziesięć lat za nowościami. Rozumiesz to chyba? No i jeszcze cała ta awantura.

- Mhm. Co się właściwie stało?

- Co się stało? - Oystein przewrócił oczami. - Znasz mnie. Raz hippis, całe życie hippis. Potrzebowałem forsy. Spróbowałem złamać kod, którego nie powinienem był łamać. - Zapalił papierosa i na próżno rozejrzał za popielniczką. - A co z tobą? Na dobre zakręciłeś korek, czy nie?

- Staram się. - Harry wyciągnął się po popielniczkę do sąsiedniego stolika. - Jestem z kobietą.

Opowiedział o Rakel, Olegu i o sprawie w Moskwie. I w ogóle o życiu. Szybko poszło.

Oystein mówił o innych chłopakach z grupki kolegów, dorastających z nimi na Oppsal. O Siggenie, który przeniósł się na Harestua z dziewczyną, zdaniem Oysteina, zdecydowanie dla niego za elegancką. O Kristianie, który po wypadku motocyklowym na północ od Minnesund zaczął jeździć na wózku, ale lekarze wciąż nie tracili nadziei.

- Nadziei na co? - zainteresował się Harry.

- Na to, żeby jeszcze kiedyś mógł pieprzyć. - Oystein dopił piwo. Tore wciąż był nauczycielem, ale rozwiódł się z Silje.

- Jego szanse są mniejsze - stwierdził Oystein. - Przytył trzydzieści kilo. Dlatego go rzuciła. Naprawdę! Torkild spotkał ją na mieście, powiedziała, że nie mogła już znieść tego tłuszczu. - Odstawił szklanekę. - Ale chyba nie dlatego do mnie zadzwoniłeś?

- Nie. Potrzebuję pomocy. Prowadzę sprawę.

- Łapiesz brzydkich bandytów i przychodzisz z tym do mnie? O rany! - Śmiech Oysteina przeszedł w kaszel.

- To sprawa, w którą jestem osobiście wmieszany - odparł Harry.

- Trochę trudno to wszystko wytłumaczyć, ale chodzi o odnalezienie kogoś, kto wysyła maile na mój komputer domowy. Przypuszczam, że wysyła je z serwera obsługującego anonimowych abonentów gdzieś za granicą.

Oystein zamyślony pokiwał głową.

- To znaczy, że masz kłopoty?

- Być może. Dlaczego tak myślisz?

- Jestem kierowcą taksówki, który trochę za bardzo lubi wypić i nie ma kompletnie pojęcia o najnowszych wynalazkach w komunikacji elektronicznej. Poza tym wszyscy, którzy mnie znają, wiedzą, że jeśli chodzi o tę robotę, to nie można mi już ufać. Krótko mówiąc, ktoś może się do mnie zwrócić tylko z jednego powodu: ponieważ jestem starym kumplem. Chodzi o lojalność. Umiem trzymać gębę na kłódkę, nie? - Wypił duży łyk. - Być może lubię wypić, ale głupi nie jestem, Harry.

- Mocno zaciągnął się papierosem. - Kiedy zaczynamy?

Nocny mrok zapadł nad Slemdal. Drzwi się otworzyły i na schodach ukazali się mężczyzna z kobietą. Ze śmiechem pożegnali się z gospodarzem, zeszli po podjeździe, na którym żwir zazgrzytał pod czarnymi błyszczącymi butami. Pod nosem komentowali jedzenie, gospodarzy i innych gości. Wyszli przez bramę na Bjornetrakket i dlatego nie zauważyli taksówki parkującej nieco niżej na drodze. Harry zgasił papierosa, nastawił radio głośniejsze i usłyszał, jak Elvis Costello beczy w *Watching the Detectives*. Na P4. Zwrócił uwagę, że gdy tylko jego ulubione pełne gniewu piosenki osiągały dostateczny wiek, trafiały na pozbawione gniewu kanały radiowe. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że może to oznaczać tylko jedno, a mianowicie, że on również się starzał. Wczoraj w Nitimen puszczała Nicka Cave'a.

Podlizujący się nocy głos zapowiedział *Another Day In Paradise* i Harry wyłączył radio. Opuścił okno i zasłuchał się w przytłumione pulsowanie basów, dobiegające z domu państwa Albu, będące jedynym dźwiękiem zakłócającym ciszę. Impreza dla dorosłych. Znajomi z interesów, sąsiedzi i dawni koledzy z Akademii Ekonomicznej. Ani nie bal przebierańców, ani nie impreza techno, tylko dzin z tonikiem, Abba i Rollingstonesi. Ludzie zbliżający się do czterdziestki, z wyższym wykształceniem. Innymi słowy, trzeba niedługo wracać do domu, zwolnić opiekunkę do dzieci. Harry spojrzął na zegarek. Pomyślał o kolejnym mailu, który zastał na komputerze, gdy włączyli go razem z Oysteinem:

Nudzę się. A ty się boisz czy jesteś po prostu głupi? C#MN

Zostawił komputer Oysteinowi, a sam pożyczył od niego taksówkę, zajęzdzzonego mercedesa z lat siedemdziesiątych, który po wjechaniu w dzielnicę willową kołysał się na śpiących policjantach jak stary sprężynowy materac, ale mimo wszystko prowadził się jak marzenie. Widząc odświętnie ubranych ludzi opuszczających dom Albu, Harry postanowił jednak, że zaczeka. Nie było powodu wywoływać skandalu. Zresztą tak czy owak, powinien poświęcić trochę czasu na zastanowienie się, zanim zrobi coś głupiego. Starał się myśleć trzeźwo, ale tamto „Nudzę się” cały czas mu w tym przeszkadzało.

- Już się zastanowiłeś - powiedział w końcu do siebie, patrząc w hi sterko. - Teraz już możesz zrobić coś głupiego.

Otworzyła mu Vigdis Albu. Wykonała magiczną sztuczkę, którą są w stanie opanować jedynie wyćwiczone iluzjonistki, a której mężczyźni tacy jak Harry nigdy nie będą w stanie rozszyfrować: Vigdis stała się piękna. A jedyną konkretną zmianą, jaką Harry potrafił nazwać, było to, że włożyła turkusową suknię wieczorową, podkreślającą jej wielkie - a teraz z zaskoczenia szeroko otwarte - niebieskie oczy.

- Przepraszam, że przeszkadzam tak późno, pani Albu, chciałbym porozmawiać z pani mężem.

- Urządzamy przyjęcie - odparła. - Czy to nie może poczekać do jutra? - uśmiechnęła się prosząco, ale Harry widział, że ma wielką ochotę zwyczajnie zatrzaskać mu drzwi przed nosem.

- Przykro mi - powiedział. - Pani mąż skłamał, mówiąc, że nie znał Anny Bethsen, a przypuszczam, że pani również ją znała. - Harry nie wiedział, czy to z powodu sukni wieczorowej, czy konfrontacji zwracał się do niej tak oficjalnie. Wargi Vigdis Albu ułożyły się w nieme O.

- Znalazłem świadka, który widział ich razem - oświadczył Harry. - I wiem, skąd pochodzi to zdjęcie.

Vigdis Albu dwa razy zamrugła.

- Dlaczego... - wyjąkała. - Dlaczego...

-...ponieważ byli kochankami, pani Albu.

- Chodzi mi o to, dlaczego pan mi to wszystko mówi? Kto panu dał do tego prawo?

Harry już otworzył usta, by odpowiedzieć, że sądzi, iż ona o wszystkim wie, a pewnego dnia cała prawda i tak wyjdzie na jaw. Zamiast tego tylko stał i na nią patrzył. Bo ona wiedziała, dlaczego jej o tym powiedział. A on dowiedział się o tym dopiero w tej chwili. Przełknął ślinę.

- Prawo do czego, moja droga?

Arne Albu schodził ze schodów. Czoło błyszczało mu od potu, a muszka zwisała nisko na piersi koszuli. Z salonu David Bowie upierał się przy błędnym twierdzeniu *This is not America*.

- Cicho, Arne, obudzisz dzieci. - Vigdis nie odrywała od Harry'ego błagalnego spojrzenia.

- One by się nie zbudziły, nawet gdyby ktoś zrzucił tu bombę atomową - mruknął jej mąż.

- Wydaje mi się, że Hole właśnie to zrobił - powiedziała cicho. - I to z zamiarem wyrządzenia maksymalnych szkód. Na to wygląda.

Harry wytrzymał jej spojrzenie. - Co tam? - Arne Albu uśmiechnął się szeroko, obejmując ramiona żony. - Czy ja też mogę się z wami zabawić? - Uśmiech był rozbawiony, lecz jednocześnie otwarty, wręcz niewinny, jakby wyrażał nieodpowiedzialną radość chłopca, który bez pozwolenia pożyczył samochód ojca.

- Przykro mi - powiedział Harry - ale zabawa się skończyła. Mamy niezbędne dowody. A właśnie w tej chwili ekspert informatyk szuka adresu, z którego wysyłał pan maile.

- O czym on gada? - zaśmiał się Arne. - Dowody? Maile? Harry spojrzał na niego.

- Zdjęcie, które leżało w bucie, Anna wyrwała z albumu, kiedy byliście razem w Larkollen kilka tygodni wcześniej.

- Tygodni? - powtórzyła Vigdis, patrząc na męża.

. - Pani mąż zrozumiał to, kiedy pokazałem mu zdjęcie. Był wczoraj w Larkollen i zastąpił je nową odbliską.

Arne Albu zmarszczył czoło, lecz nadal się uśmiechał.

- Pan się upił, panie policjancie?

- Nie powinien był pan jej mówić, że umrze - ciągnął Harry, czując, że traci kontrolę. - A przynajmniej nic spuszczać jej później z oczu. Zdołała ukryć to zdjęcie w bucie. I właśnie to pana zgubiło, Albu.

Usłyszał, że pani Albu nabiera powietrza.

- Co za but? Jaki but? Albu połaskotał żonę w kark.

- Wie pan, dlaczego norwescy biznesmeni nie są w stanie robić interesów za granicą? Bo zapominają o butach. Noszą buty kupione na wyprzedaży w Skoringen do garnituru od Prądy za piętnaście tysięcy koron. Cudzoziemcom wydaje się to podejrzane. - Albu wskazał w dół. - Niech pan spojrzy. Włoskie. Ręcznie szyte. Za tysiąc osiemset. To niedrogo, gdy

chodzi o kupowanie zaufania.

- Zastanawiałem się, dlaczego tak się pan starał, żebym się dowiedział o pana istnieniu - powiedział Harry. - Czyżby to kwestia zazdrości?

Arne ze śmiechem pokręcił głową, a pani Albu uwolniła się od jego ramienia.

- Sądził pan, że jestem jej nowym kochankiem? - ciągnął Harry. - I ponieważ uznał pan, że nie będę miał odwagi, by podjąć jakieś kroki w sprawie, w którą sam mogłem zostać wplątany, zaczął pan się ze mną bawić? Dręczyć mnie, żebym chodził po ścianach? Czy właśnie tak było?

- Chodź, Arne! Christian będzie przemawiał! - Na szczycie schodów chwiał się mężczyzna z drinkiem i cygarem.

- Zaczniście beze mnie - odpowiedział mu Albu. - Muszę tylko odprawić tego miłego pana.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

- Jakież kłopoty?

- Nie, nie - pospiesznie zapewniła Vigdis. - Wracaj do innych, Thomas.

Mężczyzna wzruszył ramionami i zniknął.

- Dziwi mnie poza tym - podjął Harry - że okazał się pan na tyle arogancki, że nawet po skonfrontowaniu pana ze zdjęciem nie przestał pan przysyłać mi maili.

- Przepraszam, że muszę się powtórzyć, panie policjancie - mruknął niewyraźnie Albu. - Ale o co chodzi z tymi mailami, o których pan wciąż marudzi?

- No cóż, wielu osobom wydaje się, że mogą wysyłać maile anonimowo, jeśli tylko korzystają z serwera, którego usług nie abonują na własne nazwisko. To błędna opinia. Mój przyjaciel hacker powiedział mi właśnie, że wszystko, absolutnie wszystko, co się robi w sieci, zostawia elektroniczne ślady, które mogą doprowadzić, a w tym wypadku doprowadzą, do komputera, z którego zostały wysłane. To tylko kwestia wiedzy o tym, w jaki sposób należy szukać. - Harry wyciągnął paczkę papierosów z wewnętrznej kieszeni.

- Wołałabym... - zaczęła Vigdis Albu, ale gwałtownie urwała.

- Proszę mi powiedzieć, panie Albu, gdzie pan był we wtorek w ubiegłym tygodniu między godziną jedenastą a pierwszą w nocy?

Arne i Vigdis Albu wymienili spojrzenia.

- Możemy porozmawiać o tym tutaj albo na policji - powiedział Harry.

- Arne był w domu - powiedziała Vigdis.

- Mówiłem już - Harry wydmuchnął dym przez nos. Wiedział, że przesadza w odgrywaniu swojej roli, ale blefowanie na pół gwizdka bywa z zasady nieudane. Teraz nie

miał już drogi odwrotu. - Możemy porozmawiać o tym tutaj albo na komendzie. Czy mam powiedzieć gościom, że przyjęcie skończone? Vigdis przygryzła dolną wargę.

- Ale przecież mówię, że on był... - zaczęła. Przestała już być taka piękna.

- W porządku, Vigdis. - Albu poklepał ją po ramieniu. - Wracaj do gości, ja odprowadzę Holego do bramy.

Harry ledwie czuł powiew wiatru, ale wyżej musiało najwyraźniej mocno dmuchać, ponieważ chmury pędziły po niebie, od czasu do czasu zasłaniając księżyc. Szli wolno.

- Dlaczego tutaj? - spytał Albu.

- Pan ó to prosił.

, Albu kiwnął głową.

- Może i tak. Ale dlaczego ona musiała się o tym dowiedzieć w taki sposób?

Harry wzruszył ramionami.

- A jaki sposób bardziej by panu odpowiadał?

Muzyka ucichła i z wnętrza domu w regularnych odstępach dobiegał śmiech. Christian najwyraźniej już zaczął przemowę.

- Mogę prosić o papierosa? - spytał Albu. - Właściwie rzuciłem. Harry podał mu paczkę.

- Dziękuję. - Albu wsunął papierosa między wargi i nachylił się nad płomieniem zapalniczki, którą Harry mu podsunął. - Czego pan chce? Pieniędzy?

- Dlaczego wszyscy o to pytają? - mruknął Harry.

- Przyszedł pan sam, nie ma pan nakazu aresztowania i blefuje pan, że zabierze mnie na komendę. A jeśli rzeczywiście był pan w domku w Larkollen, to wpędził się pan w takie same kłopoty jak ja.

Harry pokręcił głową.

- Nie chodzi panu o pieniądze? - Albu odchylił głowę. Na niebie migotało kilka pojedynczych gwiazd. - Może więc o coś osobistego? Byliście kochankami?

- Sądziłem, że pan wie o mnie wszystko - odparł Harry.

- Anna traktowała miłość bardzo poważnie. Kochała miłość. Nie, uwielbiała. To jest właściwie słowo. Uwielbiała miłość. To była jedyna rzecz, jaka liczyła się w jej życiu. Miłość i nienawiść. - Kiwnął głową w niebo. - Te dwa uczucia były w jej życiu jak gwiazdy neutronowe. Wie pan, co to są gwiazdy neutronowe?

Harry pokręcił głową. Albu podniósł papierosa do góry.

- To ciała niebieskie o tak wielkiej gęstości i takiej sile grawitacji, że gdybym na którejś z nich upuścił tego papierosa, uderzyłby z taką samą siłą jak bomba atomowa. Tak

samo było i z Anną. Jej siła grawitacji w miłości - i w nienawiści - miała taką moc, że w przestrzeni pomiędzy nimi nie mogło istnieć nic. I każda najmniejsza bagatelka wywoływała eksplozję atomową. Rozumie pan? Jeśli o mnie chodzi, musiało upłynąć dużo czasu, zanim to pojąłem. Ona była jak Jowisz, skryta za wieczną pokrywą chmur siarki. I humoru. I seksu.

- Wenus.

- Słucham? - Nic.

Księżyc wysunął się zza dwóch chmur, a jelonek z brązu niczym baśniowe zwierzę wyłonił się z cieni w ogrodzie.

- Anna i ja umówiliśmy się, że się spotkamy o północy - mówił Albu. - Powiedziała, że ma parę moich rzeczy osobistych, które chciałaby mi zwrócić. Parkowałem na Sorgenfrigata między dwunastą a kwadrans po dwunastej. Umówiliśmy się, że zadzwonię do niej z samochodu, zamiast dzwonić do drzwi. To z uwagi na ciekawską sąsiadkę, tak przynajmniej mówiła. Tak czy owak, nie odpowiedziała. Wróciłem więc do domu.

- To znaczy, że pana żona skłamała?

- Oczywiście. Już tego samego dnia, kiedy zjawił się pan ze zdjęciem, ustaliliśmy, że da mi alibi.

- Dlaczego pan teraz to ujawnia?

- A czy to ma jakieś znaczenie? Jesteśmy dwiema osobami, które ze sobą rozmawiają przy księżycu w roli milczącego świadka. Wszystkiemu mogę zaprzeczyć. Prawdę mówiąc, wątpię, aby miał pan cokolwiek przeciwko mnie.

- Dlaczego więc nie opowie mi pan reszty?

- Chodzi panu o to, bym powiedział, że ją zabiłem? - Roześmiał się, tym razem głośniej. - Stwierdzenie tego należy chyba do pańskich obowiązków.

Doszli już do bramy.

- Chciał się pan tylko przekonać, jak zareagujemy, prawda? - Albu zgasił papierosa na marmurze. - A poza wszystkim chciał się pan zemścić. Dlatego pan jej o tym powiedział. Był pan zły. Mały rozgniewany chłopczyk, który uderza na oślep, co tylko napatoczy mu się pod rękę. Jest pan zadowolony?

- Kiedy znajdę ten adres mailowy, będę już pana miał - powiedzia Harry. Teraz nie był zły, tylko zmęczony.

- Nie znajdzie pan żadnego adresu mailowego - odparł Albu. Przykro mi, przyjacielu. Możemy kontynuować tę grę, ale pan nie może jej wygrać.

Harry nie wytrzymał. Odgłos kości uderzających w ciało był głuchy i krótki. Albu zachwiał się, zrobił krok w tył i dotknął ręką brwi.

Harry patrzył na szarą chmurę własnego oddechu, widoczną wśród mroku nocy.

- Trzeba żyć - stwierdził. Albu spojrział na zakrwawioną rękę i wybuchnął głośnym śmiechem

- Boże, ale z ciebie żaloszny przegrany, Harry! Mogę się do ciebie zwracać po imieniu? Mam wrażenie, że bardzo nas to do siebie zbliżyło, a ty nie?

Harry nie odpowiedział, a Albu zaśmiał się jeszcze głośniej.

- Co ona w tobie widziała, Harry? Anna nie lubiła przegranych. W każdym razie nie pozwalała im się pieprzyć.

Śmiech dzwijał coraz głośniej za plecami Harry'ego, gdy szedł do taksówki, a zębki kluczyków samochodowych wbijały mu się w skórę, gdy coraz mocniej zaciskał na nich rękę.

23 MGLAWICA „KOŃSKI ŁEB”

Harry'ego obudził telefon. Zerknął na zegarek. 7.30. Dzwonił Oystein. Wyszedł z mieszkania Harry'ego zaledwie trzy godziny wcześniej. Zdołał wtedy zlokalizować serwer w Egipcie. A teraz wiedział jeszcze więcej.

- Mailowałem trochę ze starym kumplem. Mieszka w Malezji i od czasu do czasu jeszcze zajmuje się hackerstwem. Serwer znajduje się w El Tor na półwyspie Synaj. Mają tam więcej serwerów. To zdaje się coś w rodzaju centrum. Spałeś?

- W pewnym sensie. Jak znajdziesz naszego abonenta?

- Obawiam się, że jest tylko jeden sposób. Trzeba tam jechać z grubym plikiem zielonych amerykańców.

- Ile?

- Tyle, by wystarczyło, żeby ktoś powiedział, z kim trzeba rozmawiać. I żeby ten, z kim się będzie rozmawiać, powiedział, z kim naprawdę trzeba rozmawiać. A ten, z kim naprawdę trzeba rozmawiać...

- Rozumiem. Ile?

- Tysiąc dolarów powinno wystarczyć na jakiś czas.

- Naprawdę?

- Tak tylko mówię. Skąd, u diabła, mam to wiedzieć?

- Okej. Bierzesz to zlecenie?

- Zależy.

- Zapłacę za twój tyłek. Polecisz najtańszym samolotem i zatrzymasz się w najgorszym hotelu.

- Umowa stoi.

Była dwunasta i w kantynie w Budynku Policji panował największy tłok. Harry zacisnął zęby i wszedł do środka. Nie lubił kolegów nie z zasady, tylko instynktownie. A w miarę upływu lat robiło się coraz gorzej.

„Całkiem zwyczajna paranoja - podsumował to kiedyś Aune. - Sam ją mam. Wydaje mi się, że wszyscy psychologowie chcą mnie dopaść, podczas gdy w rzeczywistości dotyczy to zapewne jedynie połowy”.

Harry zajrzał w głąb lokalu i dostrzegł Beatę nad drugim śniadaniem, a obok plecy osoby dotrzymującej jej towarzystwa. Usiłował nie zwracać uwagi na spojrzenia posyłane od mijanych po drodze stolików. Ktoś mruknął „cześć”, ale Harry wyszedł z założenia, że to z pewnością było ironiczne, i nie odpowiedział.

- Przeszkadzam?

Beatę popatrzyła na niego z miną, jakby przyłapał ją na gorącym uczynku.

- Ależ skąd - odparł znajomy głos i mężczyzna wstał. - Właśnie miałem iść. Harry poczuł, że włoski na karku mu się podnoszą. Nie z zasady, tylko instynktownie.

- Wobec tego do zobaczenia wieczorem - uśmiechnął się białymi zębami Tom Waaler do czerwonej jak burak Beatę. Zabrał swoją tacę, skinął Harry'emu głową i zniknął. Przez cały czas, gdy Harry siadał, Beatę wpatrywała się w brązowy kozi ser, z całych sił starając się zmienić minę na obojętną.

- I co?

- Z czym? - zaćwierkała, udając, że nie rozumie.

- Zostawiłaś mi na sekretarce wiadomość, że masz coś nowego - odparł Harry. - Doszedłem do wniosku, że to pilne.

- Bo coś znalazłam. - Beatę wypięła łyk mleka. - Chodzi o te rysunki twarzy Ekspedytora, które przygotował program. Przez cały czas nie dawało mi spokoju, że są do kogoś podobne.

- Masz na myśli te wydruki, które mi pokazywałaś? Przecież tam nie ma nic chociażby zbliżonego do twarzy. Zbieranina jakichś przypadkowych kresek.

- A jednak.

Harry wzruszył ramionami.

- To ty masz *gyrus fusiformus*. Mów!

- Dziś w nocy uświadomiłam sobie, kto to jest. - Wypięła kolejny łyk i serwetką wytarła mleczne wąsy.

- No kto?

- Trond Grette.

Harry długo jej się przyglądał.

- Żartujesz, prawda?

- Nie - odparła. - Chodzi mi tylko o to, że istnieje pewne podobieństwo. No i Grette mimo wszystko w chwili dokonywania zabójstwa znajdował się w pobliżu Bogstadveien. Ale coś mi to dało.

- Co mianowicie?

- Sprawdzalam w Gaustad. Jeśli to ten sam bandyta, który napadł na oddział DnB na Kirkeveien, to nie może być Grette. W tym czasie siedział na sali telewizyjnej razem z co najmniej trzema pielęgniarzami. Wysłałam też paru chłopaków z Wydziału Techniki Kryminalistycznej do domu Grettego po jego odcisków placów. Weber właśnie je porównał ze śladem na butelce po coli. To definitywnie nie jest jego odcisk;

- A więc wyjątkowo się pomyliłaś? Beatę pokręciła głową.

- Szukamy osoby, która ma pewne charakterystyczne cechy zewnętrzne identyczne z Grettem.

- Przepraszam, że muszę to powiedzieć, Beatę, ale Grette nie ma żadnych cech charakterystycznych. Ani zewnętrznych, ani innych. Jest księgowym, który wygląda jak księgowy. Już zapomniałem, jak.

- Aha - powiedziała, zdejmując papier śniadaniowy z następnej kanapki. - Ale ja nie zapomniałam. To jest pewien punkt, którego można się trzymać.

- Mhm. Ja też mam chyba dobrą wiadomość.

- Jaka?

- Zaraz idę do więzienia. Iaskol chciał ze mną rozmawiać.

- O rany, powodzenia!

- Dziękuję. - Harry wstał, zawahał się, ale w końcu się zdecydował: - Wiem, że nie jestem twoim ojcem, ale czy wolno mi coś powiedzieć?

- Bardzo proszę.

Rozejrzał się, aby się upewnić, że nikt ich nie słyszy.

- Na twoim miejscu uważałbym na Waalera.

- Dziękuję. - Beatę ugryzła wielki kęs. - Rzeczywiście nie jesteś moim ojcem.

- Przez całe życie mieszkałem w Norwegii - mówił Harry. - Wychowałem się na Oppsal. Moi rodzice byli nauczycielami. Ojciec jest na emeryturze, a od śmierci mamy żyje jak lunatyk i tylko od czasu do czasu odwiedza tych, którzy nie śpią. Mojej młodszej siostrze bardzo go brakuje. Mnie chyba również. Brakuje mi ich obojga. Sądziłem, że zostanę

nauczycielem. Ja też tak myślałem. Zamiast tego jednak poszedłem do Szkoły Policyjnej. Trochę studiowałem prawo. Jeśli mnie spytasz, dlaczego postanowiłem zostać policjantem, potrafię wymienić z dziesięć niezłych powodów. Ale w żaden z nich sam nie wierzę. Przestałem się już nad tym zastanawiać. To w końcu praca, płacą mi, a od czasu do czasu myślę, że robię coś dobrego. To wystarczy na długo. Zanim skończyłem trzydzieści lat, stałem się alkoholikiem. A może nawet zanim skończyłem dwadzieścia. Zależy jak się na to spojrzy. To podobno tkwi w genach. Możliwe. Kiedy dorosłem, dowiedziałem się, że mój dziadek z Andalsnes upijał się codziennie przez pięćdziesiąt lat. Spędzaliśmy u niego każde wakacje, dopóki nie skończyłem piętnastu lat, a nigdy niczego nie zauważyłem. Niestety, nie odziedziczyłem po nim tego talentu. Robiłem różne rzeczy, które nie pozostały niezauważone. Krótko mówiąc, to prawdziwy cud, że jeszcze pracuję w policji.

Harry zmrużonymi oczami popatrzył na tabliczkę z napisem „Prosimy o niepalenie” i zapalił papierosa.

- Anna i ja byliśmy kochankami przez sześć tygodni. Nie kochała mnie, ja jej też nie kochałem. Kiedy przestałem się z nią kontaktować, wyświadczyłem większą przysługę jej niż sobie samemu. Ona widziała to inaczej.

Drugi mężczyzna obecny w pokoju pokiwał głową.

- Kochałem w życiu trzy kobiety. Pierwszą była młodzięcza miłość, z którą chciałem się ożenić, ale wszystko diabli wzięli. Odebrała sobie życie na długo po tym, jak przestałem się z nią widywać. Nie miało to ze mną nic wspólnego. Druga została zamordowana przez człowieka, którego ścigałem po przeciwnej stronie kuli ziemskiej. To samo spotkało moją bliską koleżankę, Ellen. Nie wiem, z czego to wynika, ale bliskie mi kobiety umierają. Może to tkwi w genach.

- A co z tą trzecią, którą kochałeś?

- Trzecia kobieta. Trzeci klucz. - Harry przesunął palcami po inicjałach AA i po ząbkach klucza, który Raskol zaraz na początku rzucił mu przez stół. Kiwnął głową w odpowiedzi na pytanie, czy klucz jest identyczny z tym, który otrzymał pocztą.

Potem poprosił, by Harry opowiedział mu o sobie.

Teraz Raskol siedział z łokciami na stole, długie szczupłe palce splótł ze sobą jak do modlitwy. Popsutą świetlówkę wymieniono i światło kładło się na jego twarzy niczym biały puder.

- Trzecia kobieta jest w Moskwie - odparł Harry. - Wydaje mi się, że posiada zdolności przeżycia.

- Jest twoja?

- Ja bym tego lak nie nazwał.

- Ale jesteście razem? - Tak.

- I planujecie spędzić ze sobą resztę życia?

- No cóż, my nie planujemy. Trochę jeszcze na to za wcześnie.

Raskol uśmiechnął się zasmucony.

- Chcesz powiedzieć, że ty nie planujesz. Ale kobiety planują. Kobiety zawsze planują.

- Tak jak ty? Raskol pokręcił głową.

- Ja wiem tylko, jak wziąć szturmem bank. Jeśli chodzi o szturm na kobiece serce, to my, wszyscy mężczyźni, jesteśmy amatorami. Może nam się wydawać, że ją zdobyliśmy, tak jak dowódca polowemu, który zdobył twierdzę i spostrzega za późno - jeśli w ogóle - że został zwabiony do środka. Słyszałeś o Sun Tzu?

Harry kiwnął głową.

- To chiński generał i taktik wojenny. Napisał *The Art of War. Sztukę wojny*.

- Utrzymuje się, że on to napisał. Osobiście uważam, że autorem była kobieta. *The Art of War* to z pozoru podręcznik taktyki na polu walki, lecz tak naprawdę opisuje sposób wygrywania konfliktów, a mówiąc dokładniej, sztukę osiągania tego, czego pragniesz, za możliwie najniższą cenę. Ten, kto wygra wojnę, niekoniecznie musi być zwycięzcą. Wielu zdobywało koronę, tracąc tak wielką część armii, że mogli rządzić jedynie na zasadach ustalanych przez pozornie pokonanych wrogów. Kobiety nie są tak próżne, gdy chodzi o władzę, jak mężczyźni, nie muszą demonstrować władzy, zależy im jedynie na takiej władzy, która może im dać to, czego pragną. Bezpieczeństwo, pożywienie, rozkosz, zemstę, spokój. Kobieta myśli racjonalnie, nie jest zainteresowana bitwą ani czczeniem zwycięstwa. A ponieważ posiada wrodzoną zdolność dostrzegania słabości swojej ofiary, instynktownie wie, kiedy powinna uderzyć, a kiedy zostawić ją w spokoju. Takich rzeczy nie można się wyuczyć, *Spiuni*.

- To dlatego siedzisz w więzieniu?

Raskol przyklnął oczy i zaśmiał się bezgłośnie.

- Mogę ci odpowiedzieć, ale nie wierz ani jednemu mojemu słowu. Sun Tzu mówi, że pierwszą zasadą prowadzenia wojny jest *tromperie* - oszustwo. Uwierz mi, wszyscy Cyganie kłamią.

- Mhm. Mam ci uwierzyć? Jak w tym greckim paradoksie?

- No proszę. Policjant, który czytał coś więcej niż tylko kodeks karny. Jeśli wszyscy Cyganie kłamią, a ja jestem Cyganem, to nieprawdą jest, że wszyscy Cyganie kłamią. Prawdą

jest więc, że mówię prawdę, czyli, że prawdą jest, że wszyscy Cyganie kłamią. Tak więc kłamię. Zamknięty krąg logiczny, z którego nie można się wyrwać. Takie jest moje życie i to jest jedyna prawda. - Roześmiał się miękko, niemal po kobiecemu.

- No dobrze. Zobaczyłeś już moje otwarcie. Kolej na twój ruch. Raskol popatrzył na Harry'ego, potem kiwnął głową.

- Nazywam się Raskol Baxhet. To albańskie nazwisko. Ale mój ojciec nie przyznawał się do tego, że jesteśmy Albańczykami. Twierdził, że Albania to odbyt Europy. Mnie i wszystkim z mojego rodzeństwa mówiono, że urodziliśmy się w Rumunii, ochrzczono nas w Bułgarii, a obrzezano na Węgrzech.

Raskol opowiadał, że jego rodzina pochodziła prawdopodobnie z Meckari, największego ze szczepów albańskich Cyganów. Rodzinie udało się uniknąć prześladowań Envera Hodży, gdyż przez góry przepawiła się do Czarnogóry i wyruszyła dalej na wschód.

- Przeganiano nas zewsząd, gdzie się znaleźliśmy. Mówiono, że kradniemy. Oczywiście tak też i było. Ale nie próbowano nawet szukać dowodów. Bo najlepszy dowód stanowił fakt, że byliśmy Cyganami. Opowiadam to, ponieważ, aby zrozumieć Cygana, trzeba pojąć, że on się urodził z piętnem niższej kasty na czole. Prześladowały nas wszystkie reżimy w całej Europie. Pod tym względem faszyci, komuniści i demokraci nie różnili się od siebie. Faszyci byli po prostu nieco bardziej skuteczni. Cyganie nie mają szczególnego stosunku do holokaustu, b różnice nie były tak wielkie w stosunku do wcześniejszych prześladowań, do jakich przywykli. Masz taką minę, jakbyś mi nie wierzył.

Harry wzruszył ramionami. Raskol skrzyżował ręce na piersi.

- W roku tysiąc pięćset osiemdziesiątym dziewiątym w Danii wpro wadzono karę śmierci dla przywódców cygańskich. Pięćdziesiąt lat później Szwedzi również postanowili, że wszystkich cygańskich mężczyzn należy wieszać. Na Morawach Cygankom odcinano lewe ucho, w Czechach - prawe. Arcybiskup Moguncji ogłosił, że wszyscy Cyganie maj zostać zgładzeni, bo ich tryb życia jest zakazany. W roku tysiąc siedemset dwudziestym piątym w Prusach zdecydowano, że wszyscy Cygani powyżej osiemnastego roku życia zostaną zgładzeni bez procesu sądo wego. Później prawo to zmieniono. Granicę wieku obniżono do lat czternastu. Czterech z braci ojca zmarło w niewoli i tylko jeden z nich podczas wojny. Mam mówić dalej? Harry pokręcił głową.

- Ale to również logiczny zamknięty krąg - podjął Raskol. - Powód, dla którego jesteśmy prześladowani i dla którego przeżywamy, jest ten sam. Jesteśmy - i będziemy - inni. Tak samo, jak nas nie dopuszcza się do ciepła domostw, tak i my nie dopuszczamy do siebie *gadźów*. Cygan to tajemniczy groźny obcy, o którym nic się nie wie, ale o którym opowiada

się przeróżne niesamowite historie. Przez wiele pokoleń uważano Cyganów za kanibali. Tam, gdzie się wychowałem, w Balteni pod Bukaresztem, twierdzono, że jako potomkowie Kaina jesteśmy skazani na wieczne potępienie. Nasz sąsiad, *gadžo*, dawał nam pieniądze, bylebyśmy tylko się trzymali z dala od niego.

Spojrzenie Raskola błędziło po pozbawionych okien ścianach.

- Mój ojciec był kowalem. Ale w Rumunii w tamtych czasach brakowało pracy dla kowali. Musieliśmy się wyprowadzić na wysypisko śmieci na obrzeżach miasta, gdzie przebywali Cyganie ze szczepu Kelderasza. W Albanii ojciec był *bulibasem*, miejscowym przywódcą Cyganów i sędzią, ale tam, wśród Kelderaszy, stał się jedynie bezrobotnym kowalem.

Raskol westchnął głęboko.

- Nigdy nie zapomnę wyrazu jego oczu, kiedy wrócił do domu z małym oswojonym niedźwiadkiem. Kupił go za ostatnie grosze od grupy Ursari, niedźwiedników. Powiedział, że miś umie tańczyć. Komuniści płacili za oglądanie tańczących zwierząt. Stefan, mój brat, usiłował karmić niedźwiadka, ale miś nie chciał jeść. Matka spytała więc ojca, czy zwierzę jest chore. Odpowiedział, że niedźwiedź szedł piechotą aż od Bukaresztu i musi tylko trochę odpocząć. Zdechł cztery dni później.

Raskol przymknął oczy i uśmiechnął się swoim smutnym uśmiechem.

- Tej samej jesieni ja i Stefan uciekliśmy. Dwie gęby mniej do nakarmienia. Wyruszyliśmy na północ.

- Ile mieliście lat?

- Ja miałem dziewięć, a on dwanaście. Planowaliśmy przedostać się do Niemiec Zachodnich. W tym czasie wpuszczali do siebie uchodźców z całego świata i dawali im jedzenie. Pewnie w ten sposób chcieli odpokutować za grzechy. Stefan uważał, że im młodsi będziemy, tym większe są nasze szanse, żeby się tam dostać, ale zatrzymano nas na polskiej granicy. Dotarliśmy do Warszawy, tam nocowaliśmy pod jakimś wiaduktem, owinięci kocami na ogrodzonym terenie Dworca Wschodniego. Wiedzieliśmy, że tam możemy znaleźć *schleppera* - człowieka, który zajmuje się przemytem ludzi. Po kilku dniach poszukiwań spotkaliśmy kogoś, kto mówił *romani*, nazywał się przewodnikiem i obiecywał przerzucić nas do Niemiec Zachodnich. Nie mieliśmy pieniędzy, żeby mu za to zapłacić, ale on powiedział, że znajdzie na to radę. Zna mężczyzn, którzy dobrze płacą za młodych ładnych cyganiaków. Nie zrozumiałem, o czym mówił, ale Stefan najwyraźniej wiedział. Odciągnął przewodnika na bok i zaczęli głośno dyskutować. Przewodnik wskazywał na mnie. Stefan cały czas kręcił głową, aż tamten w końcu machnął ręką i ustąpił. Stefan kazał mi czekać na swój powrót, a

sam wsiadł do samochodu. Zrobiłem tak, jak sobie życzył, ale godziny płynęły. Nadeszła noc i położyłem się spać. Przez - dwie pierwsze noce pod wiaduktem budziło mnie wycie hamujących pociągów towarowych, ale młode uszy prędko się nauczyły, że wcale nie tych dźwięków powinienem się wystrzegać. Zasnąłem więc i obudziły mnie dopiero kroki skradające się w środku nocy. To był Stefan. Wsunął się pod koc i przycisnął do mokrego muru. Słyszałem, że płacze, ale udawałem, że nie słyszę, i z całej siły zaciskałem oczy. Wkrótce znów słyhać było tylko pociągi. - Raskol podniósł głowę. - Lubisz pociągi, *Spiunil*.

Harry kiwnął głową.

- Przewodnik wrócił następnego dnia. Potrzebował więcej pieniędzy. Stefan znów wsiadł do samochodu. Cztery dni później obudziłem się o świcie i patrzyłem na Stefana. Nie było go przez całą noc. Leżał z półotwartymi oczami, jak zwykle. Widziałem, jak jego oddech zastyga w porannym mroźnym powietrzu. Miał krew u nasady włosów i spuchniętą wargę. Zabrałem wełniany koc i poszedłem na dworzec. Tam przy toaletach rozłożyła się rodzina Kelderaszów, oczekujących na przerzucenie na zachód. Porozmawiałem z najstarszym z chłopców. Powiedział mi, że ten, którego wzięliśmy za *schleppera*, to zwykły alfons wałęsający się po terenie dworca, proponował ich ojcu parę złotych za wysłanie z nim dwóch najmłodszych braci. Pokazałem chłopcu swój koc. Był gruby i ciepły, ukradziony ze sznura z praniem w Lublinie. Spodobał mu się. Był już prawie grudzień. Poprosiłem, żeby pokazał mi swój nóż. Nosił go za koszulą.

- Skąd wiedziałeś, że ma nóż?

- Każdy Cygan ma nóż. Do jedzenia. Nawet członkowie tej samej rodziny nie korzystają ze wspólnych sztućców. Obawiają się *mahrime*, skalania. Ale ten chłopiec zrobił dobry interes, jego nóż był nieduży i tępy. Na szczęście udało mi się go naostrzyć w kuźni w warsztatach dworcowych.

Raskol pociągnął długim wąskim paznokciem prawego małego palca wzdłuż grzbietu nosa.

- Tego samego wieczoru, kiedy Stefan wsiadł już do samochodu, spytałem alfonsa, czy i dla mnie nie miałby klienta. Uśmiechnął się i powiedział, żebym poczekał. Kiedy wrócił, stałem w cieniu pod wiaduktem i patrzyłem na pociągi wjeżdżające na dworzec. „Chodź, *sintil* - zawołał. - Mam dobrego klienta. Bogatego partyjniaka. Szybciej, mamy mało czasu”. Odpowiedziałem: „Musimy poczekać na pociąg z Krakowa”. Podszedł do mnie i złapał mnie za rękę. „Musisz już iść, nie rozumiesz?” Sięgałem mu do piersi. „Już jedzie” - pokazałem. Puścił mnie i podniósł głowę. Czarna karawana stalowych wagonów przetoczyła się obok nas, pełna przyglądających się nam bladych twarzy, a potem nadeszło to, na co

czekałem. Zgrzyt stali o stal, kiedy uruchomiono hamulce. Zagłuszyły wszystko.

Harry zmrużył oczy, jak gdyby to miało mu pomóc w stwierdzeniu, czy Raskol kłamie.

- Kiedy ostatnie wagony przesuwają się wolno obok nas, zobaczyłem twarz kobiety wpatrującą się w nas z jednego z okien pociągu. Wyglądała jak upiór. Była podobna do mojej matki. Uniosłem zakrwawiony nóż i pokazałem jej. I wiesz, co, *Spiunil* To był jedyny moment w całym moim życiu, w którym czułem się naprawdę szczęśliwy. - Raskol zamknął oczy jak gdyby ponownie chciał przeżyć tę chwilę. - *Kokę per koke*. Głowa za głowę. To albańskie wyrażenie na określenie krwawej zemsty. Najlepszy i najbardziej niebezpieczny narkotyk, jaki Bóg dał ludziom.

- Co się stało później? Raskol znów otworzył oczy.

- Wiesz, co to jest *baxt*, *Spiunil*

- Nie mam pojęcia.- Los. Szczęście i karma. To ono kieruje naszym życiem. Zabrałem alfonsowi portfel i okazało się, że w środku jest bardzo dużo złotych. Stefan wrócił, przenieśliśmy trupa przez szyny i wrzuciliśmy go do jednego z wagonów towarowych, które miały jechać na wschód. Sami wyruszyliśmy na północ. Dwa tygodnie później zakradliśmy się na statek z Gdańska, który zawiózł nas do Göteborga. Stamtąd przedostaliśmy się do Oslo. Dotarliśmy na pole na Toyen, gdzie stały cztery przyczepy kempingowe. W trzech mieszkali Cyganie, czwarta była stara, miała popsute osie i ktoś ją porzucił. Stała się naszym domem na pięć lat. Tam w Wigilię obchodziliśmy moje dziewiąte urodziny, mieliśmy kruche ciastka i szklankę mleka, spaliliśmy pod tym jednym kocem, który nam został. W pierwszy dzień świąt po raz pierwszy włamaliśmy się do kiosku i zrozumieliśmy, że trafiliśmy we właściwe miejsce. - Raskol uśmiechał się szeroko. - To było tak proste jak zabieranie cukierków dzieciom.

Przez długą chwilę siedzieli w milczeniu.

- Wciąż wyglądasz tak, jakbyś mi nie wierzył - powiedział Raskol w końcu.

- Czy to ma jakieś znaczenie? Raskol uśmiechnął się.

- Skąd wiesz, że Anna cię nie kochała? - spytał. Harry wzruszył ramionami.

Ręka w rękę skuci ze sobą kajdankami ruszyli przez Kanał.

- Nie przyjmuj za pewnik, że wiem, kim jest złodziej - powiedział Raskol. - To może być outsider.

- Wiem.

- To dobrze.

- Jeśli więc Anna jest córką Stefana, a on mieszka w Norwegii, to dlaczego nie

przyszedł na jej pogrzeb?

- Ponieważ nie żyje. Kilka lat temu spadł z dachu domu, który remontowali.

- A matka Anny?

- Po śmierci Stefana wyjechała z siostrą i bratem do Rumunii. Nie znam jej adresu.

Wątpię, by jakiś miała.

- Powiedziałeś Ivarssonowi, że rodzina nie przyszła na pogrzeb, ponieważ Anna ściągnęła na nich hańbę.

- Tak powiedziałem?

Harry w piwnych oczach Raskola dostrzegł rozbawienie.

- Uwierzysz mi, jeśli powiem, że skłamałem?

- Uwierzę.

- Ale ja nie skłamałem. Anna była wyklęta przez rodzinę. Dla swego ojca przestała istnieć. Nie chciał nawet wymieniać jej imienia. Żeby uniknąć *mahrime*, rozumiesz?

- Raczej nie.

Weszli do Budynku Policji i stanęli, oczekując na windę. Raskol mruknął coś do siebie, zanim powiedział głośno:

- Dlaczego ty mi ufasz, *Spiunil*

- A czy mam jakiś wybór?

- Zawsze jest wybór.

- Bardziej mnie interesuje, dlaczego ty ufasz mnie. Chociaż klucz, który dostałeś ode mnie, jest taki sam jak ten do mieszkania Anny, nie musi być wcale prawdą, że znalazłem go u mordercy.

Raskol pokręcił głową.

- Źle mnie zrozumiałeś. Ja nie ufam nikomu. Ufam jedynie własnemu instynktowi, a on mi mówi, że nie jesteś głupim człowiekiem. Każdy ma coś, po co żyje. Coś, co można mu odebrać. Ty też. Nie ma w tym nic bardziej skomplikowanego.

Drzwi windy się rozsunęły. Wsiedli.

Harry w półmroku obserwował Raskola, oglądającego film z napadu. Siedział wyprostowany, z dłońmi przyciśniętymi płasko do siebie, z twarzą bez wyrazu. Nie drgnął nawet wtedy, gdy House of Pain wypełnił zniekształcony odgłos strzału.

- Chcesz to obejrzeć jeszcze raz? - spytał Harry, gdy doszli do ostatnich zdjęć Ekspedytora, znikającego z Industrigata.

- Nie trzeba - powiedział Raskol.

- Nie? - Harry bardzo się starał ukryć podniecenie.

- Jest coś jeszcze?

Harry miał wrażenie, że to zabrzmiało jak zła wiadomość.

- No, mam jeszcze film z kamery w sklepie 7-Eleven po przeciwnej stronie ulicy, z którego przeprowadzał rozpoznanie przed napadem.

- Puść. Harry nastawił film dwa razy.

- I jak? - powtórzył, kiedy na ekranie znów pojawiła się śnieżycą.

- Rozumiem, że podejrzewacie go o popełnienie kilku napadów. I równie dobrze moglibyśmy je również obejrzyć. - Raskol zerknął na zegarek. - Ale to strata czasu.

- Zdaje się, mówiłeś, że czas to jedyna rzecz, której masz dość.

- Jawne kłamstwo - odparł Raskol, wstał i wyciągnął rękę. - Czas to jedyna rzecz, na jakiej mi zależy. Skuj nas razem, *Spiuni*.

Harry zamknął kajdanki na ręce Raskola i ruszyli między stołem a ścianą do drzwi. Harry już sięgnął do zamka.

- Większość ludzi, którzy napadają na banki to proste dusze - powiedział Raskol. - Dlatego zostają złodziejami.

Harry zatrzymał się.

- Jednym z najśłynniejszych złodziei był Amerykanin, Willie Sutton - ciągnął Raskol. - Gdy go pozostawiono przed sądem, sędzia spytał, dlaczego napadał na banki. Sutton odpowiedział: *Because that's where the money is*. Stało się to popularnym powiedzonkiem w Ameryce i ma, zdaje się, pokazywać nam, jak genialnie bezpośrednio i po prostu można powiedzieć różne rzeczy. Mnie pokazuje to jedynie, że złapany został idiota. Dobrzy złodzieje nie są ani słynni, ani cytowani. Nikt nigdy o nich nie słyszał. Ponieważ nie zostali złapani. Ponieważ nie są bezpośredni i prości. Ten, którego szukacie, jest właśnie taki.

Harry czekał.. - To Grette.

- Grette? - Beatę oczy o mało nie wyszły z głowy. - Grette? - Na szyi wystąpiła jej żyła. - Grette ma alibi! Trond Grette to biegły rewident, który ma kłopoty z nerwami, a nie bandyta napadający na banki. Trond Grette... jest... jest...

- Niewinny - dokończył Harry. - Wiem o tym.

Zamknął za sobą drzwi do pokoju Beatę i usiadł głęboko na krześle przy biurku.

- Ale my nie mówimy o Trondzie Grettem.

Usta Beatę zamknęły się z wyraźnie słyszalnym cmoknięciem.

- Słyszałaś o Lvie Grettem? - spytał Harry. - Raskol powiedział, że wystarczyło mu trzydzieści pierwszych sekund, ale chciał obejrzyć dalszy ciąg, żeby się upewnić, ponieważ Lva Grette nikt nie widział już od wielu lat. Ostatnie plotki, jakie dotarły do Raskola, mówiły,

że Lev Grette mieszka gdzieś za granicą.

- Lev Grette? - wzrok Beatę zrobił się daleki. - To był taki wonder-boy. Pamiętam, jak ojciec o nim opowiadał. Czytałam raporty z napadów, o które był podejrzewany, kiedy miał zaledwie szesnaście lat. Stał się legendą, ponieważ policja nigdy go nie złapała, a kiedy zniknął na dobre, nie mieliśmy nawet jego odcisków palców. - Popatrzyła na Harry'ego. - Ze też mogłam być taka głupia! Ta sama budowa ciała, podobieństwo w rysach twarzy. To brat Tronda Grette, prawda?

Harry pokiwał głową. Beatę zmarszczyła czoło.

- Ale to oznacza, że Lev Grette zastrzelił własną bratową.

- Ale przez to jeszcze parę innych rzeczy układa się na swoich miejscach, prawda?

Beatę z namysłem kiwnęła głową.

- Dwadzieścia centymetrów między twarzami. Oni się znali. - A jeśli Lev Grette zrozumiał, że został rozpoznany...

- Oczywiście - westchnęła Beatę. - Była świadkiem. Nie mógł ryzykować, że go zdradzi.

Harry wstał.

- Poproszę Halvorsena, żeby nam zaparzył coś porządnego. Idziemy na seans wideo.

- Obstawiam, że Lev Grette nie wiedział nawet, że Stine tam pracowała - mówił Harry ze wzrokiem utkwionym w ekran. - Interesujące jest to, że prawdopodobnie ją poznał, a mimo wszystko postanowił wykorzystać ją jako zakładniczkę. Musiał wiedzieć, że ona z bliska go rozpozna. Jeśli już nie po czym innym, to po głosie.

Beatę ze zdziwieniem pokręciła głową, patrząc na zdjęcia z banku, w którym jak na razie panował spokój, a August Schulz szurał nogami w połowie drogi do okienka.

- Dlaczego więc to zrobił? - spytała Beatę.

- To profesjonalista. Nic nie pozostawia przypadkowi. Stine Grette była skazana na śmierć od tego momentu. - Harry zatrzymał film na klatce, na której bandyta wszedł do oddziału i przeświecił lokal wzrokiem. - Kiedy Lev Grette zobaczył Stine i zrozumiał, że ona może go zidentyfikować, wiedział już, że będzie musiała umrzeć. Dlatego postanowił wykorzystać ją jako zakładniczkę.

- Lodowaty zimny drań.

- Minus czterdzieści. Nie całkiem tylko rozumiem, dlaczego posunął się do zabójstwa, aby nie zostać rozpoznany, skoro już i tak był poszukiwany za inne napady.

Weber wszedł do pokoju z kawą na tacy.

- No tak, ale Lev Grette nie jest poszukiwany za żaden napad - powiedział, ostrożnie

stawiając tacę na stoliku. Salon wyglądał na urządzony w latach pięćdziesiątych, a później nietknięty już ludzką ręką. Z pluszowych foteli, pianina i zakurzonych roślin na parapecie bił dziwny spokój. Nawet wahadło ściennego zegara poruszało się bezszelestnie. Siwowłosa kobieta o promiennych oczach w ramce za szkłem na kominku śmiała się bezgłośnie, jak gdyby cisza, która zapadła przed ośmioma laty, gdy Weber został wdowcem, spowiła wszystko wokół niego tak dogłębnie, że nawet z pianina nie dałoby się wydobyć żadnego dźwięku. Mieszkanie znajdowało się na parterze starej kamienicy na Toyen, ale szum samochodów dobiegający z zewnątrz tylko podkreślał ciszę panującą w środku. Weber usadowił się w jednym z dwóch foteli, ostrożnie, jakby siadał na obiekcie muzealnym.

- Nigdy nie znaleźliśmy żadnych konkretnych dowodów na to, że Grette był zamieszany w któryś z napadów. Nie mieliśmy żadnego rysopisu podanego przez świadków, żadnych informatorów w środowisku, żadnych odcisków palców czy innych śladów technicznych. Raporty stwierdzają jedynie, że był podejrzany.

- Mhm. Dopóki więc Stine Grette nie mogła go wydać, był po prostu człowiekiem o czystej kartotece.

- Zgadza się. Ciasteczko? Beatę pokręciła głową.

Weber miał wolny dzień, ale Harry przez telefon uparł się, że muszą porozmawiać od razu. Wiedział, że Weber niechętnie przyjmuje wizyty w domu, ale tym razem postanowił się tym nie przejmować.

- Prosiłiśmy oficera dyżurnego z Wydziału Techniki Kryminalistycznej o porównanie tego odciska palca z butelki po coli z odciskami zabezpieczonymi przy okazji wcześniejszych napadów, w których Lev Grette był podejrzany - powiedziała Beatę. - Ale on nic takiego nie znalazł.

- Mówiłem już. - Weber sprawdził, czy przykrywka dzbanka z kawą leży właściwie. - Lev Grette nigdy nie pozostawił żadnych śladów na miejscu zdarzenia.

Beatę przeglądała swoje notatki.

- Zgodzisz się z Raskolem, że Lev Grette jest tym bandytą?

- Hm. Dlaczego nie? - Weber zaczął nalewać do filiżanek.

- Ponieważ nigdy w żadnym z dotychczasowych napadów, o których dokonanie jest podejrzewany, nikt nie popełnił zbrodni i ponieważ ona była jego bratową. Miałyby zabić dlatego, że ktoś mógł go rozpoznać? Czy to nie jest zbyt słaby motyw zabójstwa?

Weber przestał nalewać i popatrzył na nią. Potem zerknął pytająco na Harry'ego, który wzruszył ramionami.

- Nie - odparł krótko i wrócił do nalewania. Beatę się zaczerwieniła.

- Weber należy do klasycznej szkoły - wyjaśnił Harry niemal przepraszającym tonem.
- Jest przekonany, że zabójstwo z definicji wyklucza racjonalny motyw. Istnieją tylko stopnie nieracjonalności motywów, które niekiedy mogą przypominać rozsądek.

- Rzeczywiście tak jest. - Weber odstawił dzbanek.

- Zastanawiam się - powiedział Harry - dlaczego Lev Grette uciekł z kraju, skoro policja i tak nic na niego nie miała?

Weber strzepnął niewidzialny pyłek z poręczy fotela.

- Tego nie wiem na pewno.

- Na pewno?

Weber wcisnął cieniutkie delikatne uszko porcelanowej filiżanki między gruby wielki kciuk a poźółkły od nikotyny palec wskazujący.

- Krążyła kiedyś plotka - nie żebyśmy w nią wierzyli - ale twierdzono, że on wcale nie przed policją ucieka. Ktoś słyszał, że ten ostatni napad nie poszedł całkiem zgodnie z planem. Grette zostawił swego partnera na lodzie.

- Jak to się stało? - spytała Beatę.

- Tego nikt nie wiedział. Niektórzy sądzili, że Grette był kierowcą i uciekł z miejsca napadu, gdy przyjechała policja w czasie, gdy tamten wciąż jeszcze znajdował się w banku. Inni mówili, że napad się powiódł, ale Grette uciekł z pieniędzmi obydwu za granicę. - Weber wypił łyk i ostrożnie odstawił filiżankę. - Ale interesujące dla sprawy, nad którą teraz pracujemy, jest być może nie w jaki sposób, ale kogo zawiódł. Harry popatrzył na Webera.

- Chcesz powiedzieć, że to był... Stary technik policyjny kiwnął głową. Beatę i Harry wymienili spojrzenia.

- O, cholera!

Beatę włączyła lewy migacz i czekała na przerwę w strumieniu samochodów z prawej na Toyengata. Deszcz bębnił o dach. Harry zamknął oczy. Wiedział, że gdyby się skupił, to świst przejeżdżających samochodów mógłby się zmienić w gnane wiatrem fale uderzające w dziób promu, skąd wpatrywał się w białą pianę, trzymając dziadka za rękę. Nie miał na to jednak czasu.

- A więc Raskol ma jakieś porachunki z Lvem Grette - powiedział, otwierając oczy. - I wskazuje na niego jako na bandytę. Czy na tym filmie wideo jest naprawdę Grette? Czy też tylko Raskol chce się na nim zemścić? A może to kolejna sztuczka Raskola, który chce nas oszukać?

- Albo, jak powiedział Weber, tylko niejasne plotki - przypomniała Beatę. Samochody wciąż nadjeżdżały z prawej, a ona niecierpliwie bębniła w kierownicę.

- Może masz rację - powiedział Harry. - Gdyby Raskol chciał się zemścić na Grette, nie potrzebowałby do tego pomocy policji. Zakładając jednak, że to tylko plotki, dlaczego wskazuje na Grettego, skoro Grette tego nie zrobił?

- Taki kaprys? Harry pokręcił głową.

- Raskol to taktyk. Nie wskazuje niewłaściwego człowieka, jeśli nie ma ku temu dobrych powodów. Nie jest pewne, czy Ekspedytor działa zupełnie solo.

- O co ci chodzi?

- Może to ktoś inny planuje napady. Ktoś, kto siedzi w sieci, organizuje broń, samochód do ucieczki, kryjówkę. *Cleaner*, który ułatwia pozbycie się ubrania, użytego podczas napadu, i broni. *Washer*, który pierze pieniądze.

- Raskol?

- Gdyby Raskol chciał odwrócić naszą uwagę od prawdziwego winnego, to jakie posunięcie może być sprytniejsze niż wysłanie nas na poszukiwanie człowieka, którego miejsca pobytu nikt nie zna, który jest martwy i pogrzebany, albo pod zmienionym nazwiskiem zamieszkał za granicą, podejrzanego, którego nigdy nie zdołamy wyeliminować? Zlecając nam taki ciągnący się całe wieki projekt, może nas nakłonić do ścigania własnego cienia, zamiast swojego człowieka.

- Sądysz więc, że on kłamie?

- Wszyscy Cyganie kłamią. - Tak?

- To cytat z Raskola.

- W każdym razie nie brakuje mu poczucia humoru. No i dlaczego miałby nie kłamać tobie, skoro okłamywał innych?

Harry nie odpowiedział.

- No, nareszcie wolne! - Beatę lekko wcisnęła pedał gazu.

- Zaczekaj! - zawołał Harry. - Skręć w prawo. W stronę Finnmark-gata.

- Dobrze - powiedziała zdziwiona, skręcając w ulicę przed parkiem Toyen. - Dokąd jedziemy?

- Złożymy domową wizytę Trondowi Grette.

Siatkę na korcie usunięto, a w żadnym oknie mieszkania Tronda Grette się nie świeciło.

- Nie ma go - stwierdziła Beata, kiedy dwukrotnie już zadzwonili do drzwi.

Otworzyło się okno sąsiedniego mieszkania.

- Trond jest w domu - zatrzeszczał głos pomarszczonej kobiety, której twarz wydawała się jeszcze bardziej opalona niż poprzednio. - Po prostu nie chce otworzyć.

Naciskajcie długo, to przyjdzie.

Beatę wcisnęła guzik dzwonnka, słyhać teraz było terroryzujący brzęczyk we wnętrzu domu. Okno sąsiadki się zamknęło, ale niedługo potem patrzyli już w bladą twarz z dwoma sinoczarnymi kołami obramowującymi obojętne spojrzenie. Trond Grette ubrany był w żółty szlafrok. Wyglądał, jakby właśnie wstał po przespaniu całego tygodnia, ale nawet taka ilość snu mu nie wystarczyła. Bez słowa podniósł rękę i zaprosił ich do środka. Błysnęło, kiedy promień słońca odbił się od brylantu w pierścionku na lewym małym palcu.

- Lev był inny - mówił Trond. - Kiedy miał piętnaście lat, o mało nie zabił człowieka.

Uśmiechnął się, jakby wspomnienie było drogą sercu.

- Jakbyśmy dostali pełen zestaw genów do podziału na dwóch. To, czego on nie miał, miałem ja. I odwrotnie. Wychowaliśmy się tutaj, na Disengrenda. W tym domu. Lev był legendą w sąsiedztwie, a ja jedynie jego młodszym bratem. Jedną z pierwszych rzeczy, jaką pamiętam ze szkoły, to widok Lva, chodzącego po rynnie podczas przerwy. Było to na wysokości trzeciego piętra. I zaden z nauczycieli nie miał odwagi go stamtąd zabrać. Staliśmy na dole, kibicując mu, a on tańczył wysoko z rękami wyciągniętymi na boki. Wciąż mam w oczach jego sylwetkę na tle błękitnego nieba. Nie bałem się nawet przez moment. Do głowy mi nie przyszło, że mój starszy brat może spaść. Myślę, że wszyscy tak czuli. Lev jako jedyny mógł stłuc braci Gausten z bloków na Traverveien, chociaż byli o dwa lata starsi i mieli za sobą poprawczak. Kiedy Lev miał czternaście lat, ukradł ojcu samochód, pojechał do Lillestrom i wrócił z paczką cukierków, którą zwinął w kiosku na dworcu. Ojciec niczego nie zauważył, cukierki Lev oddał mnie.

Trond Grette wyglądał tak, jakby próbował się śmiać. Usiedli wokół kuchennego stołu, gospodarz przyrządził kakao. Proszku nasypał z metalowej puszki, której wcześniej długo się przyglądał. Ktoś napisał na niej czerwonym flamastrem „KAKAO”. Charakter pisma był staranny i kobiecy.

- Najgorsze, że Lev mógł zostać kimś wielkim - powiedział Trond. - Problem w tym, że tak szybko się wszystkim nudził. Wszyscy twierdzili, że to największy talent w piłce nożnej w klubie Skeid od wielu lat. Ale kiedy został wezwany na zgrupowanie drużyny chłopięcej, nie chciało mu się tam pójść nawet raz. Gdy miał piętnaście lat, pożyczył od kogoś gitarę i dwa miesiące później występował w szkole z własnymi piosenkami. Później Waaktar, ten facet z A-ha, zaproponował mu, żeby przyłączył się do zespołu z Grorud, ale odmówił, twierdząc, że są kiepscy. Lev był takim typem, któremu wychodzi wszystko. W szkole radziłby sobie bez najmniejszych problemów, gdyby odrabiał lekcje i tyle nie wagarował. - Trond uśmiechnął się krzywo. - Płacił mi skradzionymi słodyczami za to,

żebym się nauczył jego charakteru pisma i pisał mu wypracowania. To przynajmniej uratowało mu stopień z norweskiego. - Trond roześmiał się, ale zaraz znów spoważniał. - Wkrótce gitara mu się znudziła i zaczął się włóczyć razem z grupą starszych chłopaków z Arvoll. Nigdy nie bał się porzucić tego, co już miał. Zawsze było coś więcej. Coś lepszego. Coś bardziej interesującego za następnym zakrętem.

- Być może głupio zadawać takie pytanie bratu - zastrzegł się Harry - ale czy powiedziałby pan, że go dobrze znał?

Trond zastanowił się.

- Nie, to wcale nie jest głupie pytanie. Wychowywaliśmy się razem, a Lev był otwarty i wesoły. Wszyscy, i chłopcy, i dziewczyny, chcieli się z nim przyjaźnić. Ale tak naprawdę Lev był samotnym wilkiem. Powiedział mi kiedyś, że nigdy nie miał prawdziwych kumpli, tylko fanów i dziewczyny. Wiele w nim nie rozumiałem. Na przykład tego, kiedy bracia Gausten zjawili się, żeby wywołać awanturę. Było ich trzech. Wszyscy starsi od Lva. Ja i reszta chłopaków z okolicy uciekliśmy od razu na ich widok. A Lev został. Przez pięć lat spuszczała mu lanie, ale przyszedł dzień, kiedy najstarszy z nich, Roger, był sam. My jak zwykle zwialiśmy. Kiedy chwilę później wyjrzałem zza rogu, zobaczyłem, że Roger leży na ziemi, a Lev siedzi na nim, przytrzymując jego ręce nogami, a sam trzyma w ręku patyk. Podszedłem bliżej, żeby sprawdzić, co się dzieje. Oprócz ciężkiego oddechu żaden z nich nie wydawał z siebie żadnego dźwięku. Zobaczyłem, że Lev wbija Rogerowi patyk w oko.

Beatę zmieniła pozycję.

- Lev był idealnie skoncentrowany, jak gdyby wymagało to niesłychanej precyzji i uwagi. Wyglądało to tak, jakby próbował wydłubać mu oko. A Roger płakał krwią. Płynęła mu z oka i spływała do ucha. I ściekała dalej na asfalt. Było tak cicho, że słyszałem, jak kapie.

- I co pan zrobił?

- Zwymiotowałem. Nigdy nie znosiłem widoku krwi. Od razu robi mi się słabo. - Trond pokręcił głową. - Lev puścił Rogera i zabrał mnie do domu. Roger wyleczył oko, ale już więcej nie widzieliśmy braci Gausten w okolicy. Nigdy jednak nie zapomnę widoku Lva z patykiem. Właśnie w takich chwilach myślałem, że mój starszy brat czasami staje się kimś innym. Kimś, kogo nie znam, a kto tylko od czasu do czasu przychodzi z nieoczekiwaną wizytą. Niestety, z czasem te wizyty stawały się coraz częstsze.

- Wspomniał pan, że usiłował kiedyś kogoś zabić.

- To było w niedzielę rano. Lev, zabrawszy ze sobą śrubokręt i ołówek, pojechał rowerem na jedną z kładek nad Ringveien. Mielście okazję chodzić po takich kładkach, prawda? To trochę straszne, ponieważ idzie się po kwadratowych metalowych kratkach i

patrzy wprost na asfalt siedem metrów w dół. Jak mówiłem, była niedziela rano, niewielu ludzi na ulicach. Lev obluźował śruby przy jednej z krat. Zostawił tylko dwie z jednej strony, a w rogu włożył ołówek tak, żeby krata się na nim opierała. Potem czekał. Najpierw przeszła kobieta, która według słów Lva wyglądała na „świeżo przelecianą”, w imprezowym ubraniu, rozczochrana, przeklinała pod nosem, kulała, bo jedną szpilkę miała złamaną.

- Trond zaśmiał się cicho. - Lev spostrzegł dużo jak na piętnastolatka.

- Podniósł kubek do ust i zdziwiony wyjrzał przez kuchenne okno na śmieciarkę, która zatrzymała się przy pojemniku za statywem do suszenia bielizny. - Mamy dzisiaj poniedziałek?

- Nie - odparł Harry, który nie tknął swojego kubka. - No i jak się skończyło z tą dziewczyną?

- Tam są dwa rzędy tych krat. Dziewczyna trzymała się lewego. Niestety. Tak stwierdził Lev. Powiedział, że wolałby ją od tego starego. Ale potem pojawił się starszek, szedł prawą stroną. Z powodu ołówka w rogu obluźwana krata wystawała trochę ponad inne i Lev był przekonany, że starszek musiał wyczuć niebezpieczeństwo, bo szedł coraz wolniej w miarę, jak się do niej zbliżał. A kiedy miał zrobić ostatni krok, jakby zamarł w powietrzu.

Trond wolno pokręcił głową, wpatrując się w śmieciarkę, która z warkotem pochłaniała śmieci z całego sąsiedztwa.

- Kiedy postawił nogę, krata otworzyła się jak zapadnia, wiecie, taka, jakiej używają podczas egzekucji przez powieszenie. Stary złamał obie nogi w kolanach, kiedy upadł na asfalt. Gdyby nie to, że była niedziela rano, zostałby natychmiast przejechany. Lev stwierdził, że nie miał szczęścia.

- Policji też tak powiedział? - spytał Harry.

- No właśnie, policja. - Trond zajrzał w kubek. - Zadzwonili do drzwi dwa dni później. To ja otworzyłem. Spyтали, czy rower, który stoi przed domem, należy do kogoś, kto tu mieszka. Powiedziałem, że tak. Okazało się, że jakiś świadek widział, jak Lev odjeżdża na rowerze spod kładki. Opisał rower i chłopca w czerwonej kurtce. Pokazałem więc czerwoną puchówkę, którą Lev miał na sobie.

- Pan? - powiedział Harry. - Wydał pan brata? Trond westchnął.

- Powiedziałem, że to mój rower. I moja kurtka. Lev i ja jesteśmy do siebie bardzo podobni.

- Dlaczego, na miłość boską, pan tak postąpił?

- Miałem dopiero czternaście lat. I byłem za młody, żeby mogli mi coś zrobić. Lev trafiłby do tego samego poprawczaka, w którym był Roger Gausten.

- A co na to wasi rodzice?

- Co mieli mówić? Wszyscy, którzy nas znali, wiedzieli, że to Lev. To on był tym szaleńcem, który ściągał słodycze i rzucał kamieniami. Ja natomiast byłem porządnym miłym chłopcem, który odrabiał lekcje i przeprowadzał staruszki przez ulicę. Nigdy więcej już się o tym nie mówiło.

Beatę chrząknęła.

- Czyj to był pomysł, żeby pan wziął winę na siebie?

- Mój. Kochałem Lva ponad wszystko na ziemi. Ale mogę o tym mówić teraz, kiedy sprawa jest już przedawniona. A faktem jest... - Trond Grette uśmiechnął się nieobecnym uśmiechem - że czasami żałuję, że to nie ja miałem dość odwagi, by to zrobić.

Harry i Beatę w milczeniu obracali swoje kubki. Harry zastanawiał się, które z nich wreszcie zapyta. Gdyby tu była z nim Ellen, wyczuliby to po sobie.

- Gdzie... - zaczęli chórem.

Trond mrugnął zdziwiony. Harry skinął głową Beatę.

- Gdzie jest teraz pański brat? - spytała.

- Gdzie jest... Lev? - Trond popatrzył na nią zdziwiony.

- Tak - potwierdziła. - Wiemy, że od pewnego czasu zniknął. Grette odwrócił się do Harry'ego.

- Nie mówiliście, że chodzi o Lva. - W głosie zabrzmiał wyrzut.

- Mówiliśmy, że chcemy trochę porozmawiać o mniej i bardziej ważnych sprawach - włączył się Harry. - I właśnie skończyliśmy z tymi mniej ważnymi. Trond poderwał się gwałtownie, sięgnął po kubek, podszedł do zlewu i wylał kakao.

- Ale Lev... on przecież... co, na miłość boską, mógłby mieć z tym wspólnego?

- Być może nic - odparł Harry. - W takim razie prosilibyśmy pana o pomoc w wykluczeniu go z tej sprawy.

- On przecież nawet nie mieszka w kraju - jęknął Trond, obracając się do nich.

Beatę i Harry wymienili spojrzenia.

- A gdzie mieszka? - spytał Harry.

Trond zawahał się o ułamek sekundy za długo, nim odpowiedział:

- Nie wiem.

Harry zerknął na żółtą śmieciarkę przejeżdżającą pod oknem.

- Pan niezbyt dobrze umie kłamać, prawda? Trond patrzył na niego sztywno, bez słowa.

- Hm - mruknął Harry. - Być może nie powinniśmy oczekiwać, że nam pan pomoże w

odnalezieniu pańskiego brata, ale z drugiej strony to pana żona została zabita. A mamy świadka, który wskazał pańskiego brata jako mordercę. - Podniósł wzrok na Tronda, gdy wymawiał to ostatnie słowo, i zobaczył, jak podskakuje mu grdyka pod bladą skórą szyi. W ciszy, która zapadła, słychać było dźwięki radia włączonego w mieszkaniu sąsiada.

Harry chrząknął.

- Jeśli więc może nam pan coś powiedzieć, to bylibyśmy za to bardzo wdzięczni.

Trond pokręcił głową.

Posiedzieli jeszcze trochę, w końcu Harry wstał.

- No dobrze. Wie pan, gdzie nas szukać, jeśli coś się panu przypomni.

Kiedy znów stanęli na schodach, Trond wyglądał na równie zaspanego jak wówczas, gdy przyszli. Harry zmrużonymi oczami popatrzył na słońce, które wyłoniło się zza chmur.

- Rozumiem, że to niełatwe, panie Grette - powiedział. - Ale być może czas zdjąć z siebie wreszcie tę czerwoną puchówkę.

Grette nie odpowiedział. Gdy wyjeżdżali z parkingu, stał na schodach i obracał pierścionek na małym palcu. W sąsiednim oknie mignęła opalona pomarszczona twarz.

Wieczorem chmury się rozwiały. Na końcu Dovregata w drodze do domu ze Schrodera Harry zatrzymał się i popatrzył w górę. Na bezksiężycowym niebie migotały gwiazdy. Jednym ze światel był samolot, kierujący się na północ ku lotnisku Gardermoen. Mgławica „Koński Łeb” w gwiazdozborze Oriona. Koński Łeb. Orion. Kto mu o tym opowiadał? Czyżby Anna?

Po wejściu do mieszkania włączył telewizor, żeby obejrzeć wiadomości w NRK. Kolejne bohaterkie historie o amerykańskich strażakach. Wyłączył. Męski głos wykrzykiwał kobiece imię na ulicy. Wyglądało na to, że gość jest pijany. Harry poszukał w kieszeni kartki z nowym numerem telefonu, który podała mu Rakel, i zorientował się, że wciąż ma klucz z mosiężną blaszką z inicjałami AA. Schował go w głębi szuflady stolika, na którym stał telefon, zanim wybrał numer. Nikt nie odebrał. Kiedy więc telefon zadzwonił, był pewien, że to ona. Ale wśród trzasków rozległ się głos Oysteina:

- Jasna cholera, ale oni tu jeżdżą!

- Nie musisz krzyczeć, Oystein.

- Próbują pozabijać wszystkich na drodze! Wziąłem taksówkę z Szarm el-Szejk. Pomyślałem, że to będzie niezła wycieczka. Przez pustynię, niewielki ruch, prosta droga. Ale się pomyliłem. Przynajmniej ci, to cud, że żyję. I cholernie gorąco. Słyszałeś tutejsze koniki polne? Pustynne cykady? Wydają najgłośniejszy na świecie dźwięk ze wszystkich koników, i to w wysokich tonach. Wwierca się w korę mózgową. Naprawdę straszne. A woda jest po

prostu chora. Chora! Jak niewidzialna, z odrobiną zielonego. Ma temperaturę ciała, więc jej nie czujesz. Wczoraj wyszedłem z morza i nie byłem pewien, czy w ogóle do niego wchodziłem.

- Daj spokój tym temperaturom kąpieli, Oystein. Znalazłeś jakiś serwer?

- I tak, i nie.

- Co to znaczy?

Harry nie otrzymał odpowiedzi. Najwyraźniej przerwała im jakaś dyskusja na drugim końcu linii, z której Harry wychwycił jedynie urywki, takie jak *the boss* i *the money*.

- Harry? *Sorry*, ci chłopcy tutaj mają lekką paranoję. Ja zresztą też. Naprawdę cholernie tu gorąco. Ale chyba znalazłem właściwy serwer. Oczywiście jest szansa, że ci chłopcy próbują mnie wkłócić, ale jutro mam obejrzeć tę sieczkarnię i spotkać się z samym szefem. Trzy minuty przy klawiaturze i będę wiedział, czy jest właściwy. Reszta będzie już wtedy wyłącznie kwestią ceny. Taką przynajmniej mam nadzieję. Zadzwoń do ciebie jutro. Żałuj, żeś nie widział tych noży, jakie Beduini tutaj noszą...

Śmiech Oysteina brzmiał dziwnie głucho.

Ostatnią rzeczą przed zagaszeniem światła w salonie, jaką zrobił Harry, było zajrzenie do leksykonu. Mgławica „Koński Łeb” była czarną mgłą, o której niewiele było wiadomo, podobnie jak o Orionie, oprócz tego, że uważano go za jeden z najpiękniejszych gwiazdozbiorów. Ale Orion był również postacią z mitologii greckiej, tytanem, wielkim myśliwym. Został uwiedziony przez Eos i zabity przez rozgniewaną Artemidę.

Harry kładł się z uczuciem, że ktoś o nim pamięta.

Kiedy otwierał oczy następnego dnia rano, myśli miał poszatkwane, pamiętał tylko urywki i na poły zamglone przebłyski. Miał wrażenie, że ktoś przeszukał jego mózg i całą zawartość ułożoną w szufladkach i w szafkach wysypał na podłogę. Musiało mu się coś śnić. Telefon w korytarzu nie przestawał dzwonić. Harry zmusił się, żeby wstać. To znowu Oystein. Siedział w jakimś biurze w El Tor.

- No i mamy problem - powiedział.

24 SAO PAULO

Wargi Raskola miały kształt łagodnego uśmiechu, dlatego trudno było stwierdzić, czy się uśmiecha, czy nie. Harry podejrzewał, że raczej nie.

- A więc twój przyjaciel znajduje się w pewnym mieście w Egipcie i szuka numeru telefonu - powtórzył Raskol, a Harry nie był w stanie ocenić, czy mówi złośliwie, czy też po

prostu stwierdza fakt.

- W El Tor - potwierdził i potarł dłońmi poręczę krzesła. Czuł się bardzo nieprzyjemnie. Nie z powodu ponownej wizyty w nagim pokoju odwiedzin, lecz z powodu całej sprawy, z jaką przyszedł. Rozważył już wszystkie inne możliwości. Wzięcie kredytu, wtajemniczenie Bjarnego Moliera w sprawę, sprzedaż forda escorta warsztatowi, w którym stał. Ale to było jedyną realną możliwością. Jedyną logiczną rzeczą, jaką dało się zrobić. Było również szaleństwem.

- Ten numer telefonu nie jest tylko numerem - dodał. - Doprowadzi nas do abonenta, który wysłał do mnie te maile, świadczące, że ich nadawca zna szczegóły na temat śmierci Anny, których nie mógłby znać, gdyby nie było go tam tuż przed jej śmiercią.

- A twój przyjaciel mówi, że właściciele serwera zażądali sześćdziesięciu tysięcy funtów egipskich? Czyli...?

- Około stu dwudziestu tysięcy koron.

- Które, uważasz, mogę ci dać?

- Ja nic nie uważam. Mówię tylko, jak wygląda sytuacja. Oni chcą pieniędzy, których ja nie mam.

Raskol przeciągnął palcem po górnej wardze.

- Dlaczego to miałby być mój problem, Harry? Zawarliśmy umowę, ja swojej części dotrzymałem.

- A ja dotrzymam swojej, tyle że bez pieniędzy potrwa to znacznie dłużej.

Raskol pokręcił głową, rozłożył ręce i mruknął coś, jak Harry przypuszczał, w romani. Oystein przez telefon wydawał się zrozpaczony. Twierdził, że nie ma wątpliwości, że znalazł właściwy serwer, ale wyobrażał sobie zardzewiały, charczący antyk stojący w jakiejś szopie i handlarza końmi w turbanie, który zażąda trzech wielbłądów i paczki amerykańskich papierosów w zamian za całą listę abonentów. Trafił jednak do biura z klimatyzacją, w którym młody Egipcjanin w okularach w srebrnych oprawkach i w garniturze patrzył na niego zza biurka i oświadczył, że cena jest *non negotiable*, zapłata musi nastąpić w gotówce, by nie dało się jej wytropić przez systemy bankowe, a oferta jest ważna trzy dni.

- Zakładam, że przemyślałeś konsekwencje, gdyby wyszło na jaw, że przyjąłeś pieniądze na służbie od kogoś takiego jak ja.

- Nie jestem na służbie - powiedział Harry. Raskol potarł dłońmi uszy.

- Sun Tzu mówi, że jeśli nie kontrolujesz biegu wypadków, one zaczną kontrolować ciebie. Ty nie masz kontroli nad wydarzeniami, *Spiuni*. To znaczy, że popełniłeś błąd. Nie ufam ludziom, którzy popełniają błędy. Dlatego mam propozycję. Zrobimy to w sposób

najprostszy dla obu stron. Podasz mi nazwisko tego człowieka, a ja załatwię resztę.

- Nie. - Harry uderzył pięścią w stół. - Nie załatwi go jeden z twoich goryli trzeciej klasy. On musi trafić za kratki.

- Zaskakujesz mnie, *Spiuni*. Jeśli cię dobrze zrozumiałem, już znalazłeś się w trudnej sytuacji. Dlaczego nie chcesz pozwolić, by sprawiedliwość dopełniła się jak najbardziej bezboleśnie?

- Żadnej wendety. Taka była umowa. Raskol uśmiechnął się.

- Twardy jesteś, Hole. Podoba mi się to. I szanuję umowy. Ale gdy zaczynasz robić głupstwa, to skąd mam mieć pewność, że to właściwy człowiek?

- Sam mogłeś sprawdzić, że klucz, który znalazłem w domku letniskowym, był identyczny z kluczem Anny.

- A teraz znów przychodzisz do mnie po pomoc. Musisz mi więc dać coś jeszcze.

Harry przelknął ślinę.

- Kiedy znalazłem Annę, miała w bucie zdjęcie.

- Mów dalej.

- Sądzę, że zdążyła je tam schować, zanim morderca ją zastrzelił. To fotografia rodziny mordercy.

- To wszystko? - Tak.

Raskol pokręcił głową. Popatrzył na Harry'ego i pokręcił nią jeszcze raz.

- Nie wiem, który z nas jest głupszy. Ty, który dajesz się oszukiwać swemu przyjacielowi, twój przyjaciel, któremu wydaje się, że zdoła się ukryć po tym, jak ukradnie moje pieniądze, czy ja, który ci pieniądze dam.

Harry sądził, że poczuje radość albo przynajmniej ulgę. Zamiast tego jednak supeł w brzuchu tylko mocniej się zacisnął.

- Co musisz znać?

- Tylko nazwisko twojego przyjaciela i nazwę banku w Egipcie, w którym odbierze pieniądze.

- Podam ci za godzinę. - Harry wstał.

Raskol roztarł nadgarstki, jak gdyby właśnie zdjął kajdanki.

- Nie wydaje ci się, mam nadzieję, że mnie rozumiesz, *Spiuni* - powiedział cicho, nie podnosząc głowy.

Harry zatrzymał się.

- O co ci chodzi?

- Jestem Cyganem. Mój świat może być odwróconym światem. Wiesz, jak jest Bóg w

języku romani?

- Nie.

- *Devel*. Dziwne, prawda? Gdy się sprzedaje duszę, dobrze jest wiedzieć, komu się ją sprzedaje, *Spiuni*.

Halvorsenowi Harry wydał się zmęczony.

- Zdefiniuj zmęczenie - odpowiedział mu Harry, odchylając się na biurowym krześle. - A zresztą nie.

Kiedy Halvorsen spytał, jak poszło, a Harry kazał mu zdefiniować „poszło”, Halvorsen tylko westchnął i poszedł szukać szczęścia u Elmera. Harry wstukał numer, który dostał od Rakel, ale znów usłyszał głos mówiący po rosyjsku, który, jak przypuszczał, mówił mu, że się pomylił. Potem zadzwonił do Bjarnego Moliera i usiłował wyrzucić na szefie wrażenie, że wcale się nie myli. Moliere nie wyglądał na przekonanego.

- Chcę usłyszeć dobre wiadomości, Harry. Nie raporty o tym, na co poświęcałeś czas.

Zajrzała Beatę z informacją, że jeszcze dziesięć razy obejrzała film wideo z napadu i nie ma już wątpliwości, że Ekspedytor i Stine Grette się znali.

- Na samym końcu chyba jej mówi, że ona umrze. Widać to po jej spojrzeniu. Gniewnym i zarazem wystraszonym. Przypomina spojrzenia z filmów z wojny, pokazujących partyzantów, którzy stoją przed plutonem egzekucyjnym.

Milczenie.

- Halo? - zamachała mu ręką przed nosem. - Zmęczony? Zadzwonił do Aunego.

- Mówi Harry. Jak reagują ludzie przed egzekucją? Aune roześmiał się.

- Koncentrują się - powiedział. - Na czasie.

- Boją się? Wpadają w panikę?- To zależy. O jakiej egzekucji mówimy?

- Publicznej. W lokalu bankowym.

- Rozumiem. Oddzwonię do ciebie za dwie minuty.

Harry, czekając, patrzył na zegarek. Telefon zadzwonił po stu dziesięciu sekundach.

- Proces umierania podobnie jak proces narodzin to wydarzenia bardzo intymne - powiedział Aune. - Przyczyną, dla której ludzie w takich sytuacjach instynktownie pragną się schować, jest nie tylko strach przed fizycznymi doznaniem. Śmierć na oczach innych ludzi, taka jak w przypadku publicznej egzekucji, jest podwójną karą, ponieważ w najokrutniejszy możliwy sposób narusza intymność skazanego. To był jeden z powodów, dla których uważano, że egzekucje publiczne będą miały o wiele większy skutek prewencyjny wobec społeczeństwa niż wykonywanie wyroku śmierci w samotności celi. Pewne względy utrzymywano, na przykład katu kazano nosić maskę. Wcale nie po to, jak sądzi wiele osób, by

ukryć jego tożsamość, przecież wszyscy wiedzieli, że był nim miejscowy rzeźnik albo hycel. Maska była dla dobra skazanego, aby nie musiał w momencie śmierci znajdować się tak blisko obcego człowieka.

- Mhm. Ten bandyta w banku też był zamaskowany.

- Używanie masek to całkiem spory dział w psychologii. Na przykład współczesne przekonanie o tym, że nosząc maskę, tracimy swobodę, można odwrócić. Maska depersonifikuje osobę, w sposób przydający jej większej swobody. Jak sądzisz, dlaczego bale maskowe cieszyły się taką popularnością w epoce wiktoriańskiej? Albo dlaczego ludzie wkładają maski podczas zabaw erotycznych? Natomiast przestępca napadający na banki wkłada maskę z o wiele bardziej prozaicznych powodów.

- Być może.

- Być może?

- Nie wiem - westchnął Harry.

- Wydajesz się...

- Zmęczony. Cześć.

Pozycja Harry'ego na kuli ziemskiej z wolna oddalała się do Słońca i coraz wcześniej robiło się ciemniej. Cytryny przed sklepem Alego jaśniały jak małe żółte gwiazdki, a siąpiący deszcz bezszelestnie obmywał ulice, gdy Harry szedł w górę Sofies gate. Popołudnie spędził na załatwianiu przelewu do El Tor. Okazało się to nietrudne. Porozmawiał z Oysteinem, zapisał numer jego paszportu i adres banku przy hotelu, w którym się zatrzymał, a następnie przekazał te informacje przez telefon do gazetki osadzonych „Upiór”, do której Raskol właśnie pisał artykuł na temat Sun Tzu. Pozostawało jedynie czekać.

Harry doszedł do bramy i szukał kluczy w kieszeni, gdy usłyszał dreptanie na chodniku. Nie odwrócił się.

Zareagował dopiero, gdy dobiegło go ciche warczenie.

Właściwie nie był zaskoczony. Gdy się podłoży ogień pod parowarem, to wiadomo, że prędzej czy później coś musi się stać.

Psi pysk był czarny jak noc i podkreślał jeszcze biel odsłoniętych zębów. Słabe światło lampy nad bramą odbiło się w kropki śliny zwisającej z długiego kła.

- Siad! - z cienia przy wjeździe do garaży po drugiej stronie wąskiej cichej uliczki rozległ się znajomy głos. Rottweiler niechętnie opuścił szeroki umięśniony zad na mokry asfalt, ale nie spuszczał z Harry'ego brązowych błyszczących ślepi, niekojarzących się ani trochę z tym, co powszechnie uważa się za psie spojrzenie.

Na twarz zbliżającego się mężczyzny padał cień daszka czapki.

- Dobry wieczór, Harry. Boisz się psów?

Harry zerknął w czerwoną otwartą paszczę. Na powierzchnię wypłynął kawałek banalnej wiedzy. Rzymianie wykorzystywali przodków rottweilerów do podboju Europy.

- Nie. Czego chcesz?

- Przychodzę z pewną propozycją. Propozycją, której nie... jak to się mówi...

- W porządku. Mów, o co chodzi, Albu.

- Zawieszenie broni. - Arne Albu pchnął do góry daszek czapki z logo klubu sportowego Ready. Próbował uśmiechać się swoim chłopięcym uśmiechem, lecz nie wypadł on równie naturalnie jak poprzednio.

- Ty będziesz się trzymał z daleka ode mnie, a ja od ciebie.

- Interesujące. A co mógłbyś mi zrobić, Albu?

Albu skinął głową na rottweilera, który raczej nie siedział, tylko szykował się do skoku.

- Mam swoje metody. Nie jestem zupełnie pozbawiony środków.- Mhm. - Harry sięgnął ręką po papierosy w kieszeni, ale zrezygnował z palenia, gdy warczenie niepokojąco się wzmogło. - Wyglądasz na zmęczonego, Albu. Wyczerpał cię bieg?

Albu pokręcił głową.

- To nie ja biegnę, Harry, tylko ty.

- Tak? Nieokreślone pogrożki wobec funkcjonariusza w miejscu publicznym. Nazwałbym to oznakami wycieńczenia. Dlaczego nie chcesz się już bawić?

- Bawić? Tak właśnie to postrzegasz? Jako grę w chińczyka ludzkimi losami?

Harry widział gniew w oczach Arnego Albu, ale nie tylko. Szczęki mu się poruszały, a żyły na skroniach wyraźnie pulsowały. To była rozpacz.

- Czy ty właściwie zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłeś? - powiedział prawie szeptem, nie próbując już nawet udawać uśmiechu. - Ona mnie opuściła. Zabrała... zabrała dzieci i odeszła. Z powodu takiej bagatelki. Anna nic już dla mnie nie znaczyła.

Arne Albu stanął tuż przy Harrym.

- Poznałem ją, kiedy przyjaciel chciał mi pokazać swoją galerię, a ona akurat miała tam wernisaż. Kupiłem dwa jej obrazy. Nie bardzo wiem, dlaczego. Powiedziałem, że do biura. Oczywiście nigdy nigdzie nie zawisły. Gdy następnego dnia przyszedłem po obrazy, zacząłem rozmawiać z Anną i nagle zaprosiłem ją na lunch. Potem była kolacja. A dwa tygodnie później weekendowy wypad do Berlina. Wszystko potoczyło się tak szybko. Utknąłem w tym i nawet nie próbowałem się wyrwać. Dopiero gdy Vigdis zorientowała się, co się dzieje, i zaczęła grozić, że odejdzie...

W jego głosie pojawiło się lekkie drżenie.

- Obiecałem Vigdis, że to jednorazowy wyskok, idiotyczne zaburzenie, jakie zdarza się czasami mężczyznom w moim wieku, gdy spotkają młodą kobietę, która przypomina im, jacy byli kiedyś. Młodzi, silni i niezależni. I już tacy nie są. Zwłaszcza niezależni. Kiedy będziesz miał dzieci, zrozumiesz...

Głos go zawiódł i zaczął ciężko oddychać. Ręce schował w kieszeniach płaszcza i zaczął od nowa:

- Anna kochała tak gwałtownie. To zakrawało wręcz na szaleństwo. Nie była jakby w stanie odpuścić. Musiałem się jej wrywać, dosłownie.

Raz podarła mi marynarkę, gdy próbowałem wyjść. Wydaje mi się, że rozumiesz, o co chodzi. Opowiadała mi kiedyś, co się stało, kiedy ty odszedłeś. Ze stoczyła się niemal na dno.

Harry był zbyt zdumiony, by odpowiedzieć.

- Ale mnie zrobiło się jej chyba żal - ciągnął Albu. - Inaczej nie zgodziłbym się na ponowne spotkanie. Oświadczyłem jej jasno, że między nami koniec, a ona na to, że chce mi jedynie oddać kilka rzeczy. Skąd mogłem wiedzieć, że ty się zjawisz i to rozdmuchasz? Że będzie to wyglądało, jakbyśmy... zaczęli dokładnie w tym samym miejscu, w którym skończyliśmy. - Zgarbił się. - Vigdis mi nie wierzy. Twierdzi, że już nigdy nie będzie mogła mi zaufać. Nie robi tego jeszcze raz.

Podniósł głowę i teraz Harry ujrzał rozpacz również w jego oczach.

- Odebrałeś mi jedyne, co mam, Hole. Mam tylko ich. Nie wiem, czy zdołam ich odzyskać.

Twarz ściągnęła mu się z bólu.

Harry myślał o parowarze. Doprawdy, niewiele już brakowało.

- Jediną moją szansą jest to, że ty... jeśli ty nie...

Harry zareagował instynktownie, gdy zobaczył, że prawa ręka Albu porusza się w kieszeni płaszcza. Wymierzył kopniaka i trafił go w kolano, Albu osunął się na chodnik. Harry zasłonił ręką twarz, gdy w tej samej sekundzie zaatakował rottweiler. Usłyszał odgłos rozdieranego materiału i poczuł zęby przecinające skórę, wbijające się w ciało. Miał nadzieję, że pies zaciśnie szczękę, ale ten mądry diabeł go puścił. Harry zamierzył się nogą na czarny nagi kłęb mięśni, lecz nie wcelował. Usłyszał szuranie pazurów o asfalt, gdy pies się odbijał, i ujrzał zbliżającą się ku niemu otwartą paszczę. Ktoś mu kiedyś opowiadał, że rottweilery jeszcze przed ukończeniem trzeciego tygodnia życia wiedzą, że najskuteczniejszym sposobem zabijania jest przegryzienie gardła. A teraz pięćdziesięciokilogramowa maszyna mięśni była poza zasięgiem jego rąk. Harry wykorzystał

zamach, jaki wziął, by wymierzyć kopniaka, do wykonania pół obrotu, dlatego szczęki psa nie zacisnęły mu się na szyi, tylko na karku, ale jego kłopoty wcale nie minęły. Sięgnął rękami za siebie, złapał psa za górną i dolną szczękę, z całej siły usiłując ją rozewrzeć, ale zęby wbiły mu się w kark jeszcze kilka milimetrów głębiej. Miał wrażenie, że ścięgnął i mięśnie w szczękach potwora są ze stalowego drutu. Cofnął się, rzucił w tył o ścianę domu i usłyszał trzask pękających żeber w ciele psa. Ale szczęki ani drgnęły. Poczł narastającą panikę. Słyszał o szczęko-ścisku, o hienie wbitej w gardło lwa jeszcze długo po tym, jak została zagryziona przez lwicę. Czuł krew spływającą ciepłym strumieniem po plecach pod T-shirtem i zorientował się, że upadł na kolana. Czyżby już zaczął tracić przytomność? Gdzie się podzieli wszyscy ludzie? Sofies gate była cichą uliczką, ale Harry'emu wydawało się, że nigdy nie widział jej tak opustoszałej jak w tej chwili. Uświadomił sobie, że wszystko odbyło się w największej ciszy, bez krzyków, bez jednego szczeknięcia, były tylko odgłosy ciała uderzającego o ciało i pękającej skóry. Usiłował krzyczeć, ale nie był w stanie nic z siebie wydusić. Pole widzenia zaczynało mu ciemnieć na brzegach i zrozumiał, że ma ściśniętą tętnicę i widzenie tunelowe, ponieważ do mózgu nie dociera dostateczna ilość krwi. Cytryny świecące przed sklepem Alego zaczęły gasnąć. Coś czarnego, płaskiego, mokrego i ciężkiego zbliżyło się i eksplodowało mu w twarz. Poczł smak asfaltu. Z daleka usłyszał głos Arnego Albu.

- Puść!

Ściskanie na karku lekko zelżało, ale jego pozycja na ziemi powoli odwracała się od słońca i zrobiło się całkiem ciemno. Nagle usłyszał nad sobą jakiś głos:

- Żyjesz? Słyszysz mnie?

Tuż nad jego uchem rozległ się szczęk stali. Części broni. Ładowanie.

- Chole... - usłyszał zduszony jęk i plusk wymiocin o asfalt. I znów szczęk metalu. Odbezpieczanie... Za kilka sekund wszystko się skończy. A więc to takie uczucie. Nie rozpacz, nie lęk, nawet nie żal. Tylko ulga. Nie było co zostawiać. Albu się nie spieszył. Na tyle, by Harry miał czas dojść do wniosku, że mimo wszystko coś jest. Coś jednak pozostawiał. Nabrał powietrza w płuca. Sieć naczyń krwionośnych uderzeniowo pobrała tlen i poniosła go do mózgu.

- Teraz to już... - zaczął głos, lecz gwałtownie urwał, gdy zaciśnięta pięść Harry'ego trafiła go prosto w grdykę.

Harry uniósł się na kolana. Dalej nie zdołał. Usiłował zachować przytomność w oczekiwaniu na decydujący atak. Upłynęła jedna sekunda. Dwie sekundy. Trzy. Odór wymiocin świdrował w nosie. Uliczne latarnie powoli nabierały ostrości. Ulica była pusta.

Całkiem pusta. Z wyjątkiem mężczyzny, który, charcząc, leżał obok niego, w niebieskiej puchówce, spod której wystawało coś, co przypominało górę od piżamy. Światło latarni odbiło się w metalu. To nie był pistolet, tylko zapalniczka. I dopiero teraz Harry zorientował się, że mężczyzną nie jest wcale Arne Albu. To był Trond Grette.

Harry postawił kubek z wrzącą herbatą na kuchennym stole przed Trondem, który wciąż z trudem chwytał oddech, a spanikowane oczy zdawały się wychodzić mu z orbit. Jemu samemu kręciło się w głowie i było mu niedobrze, a w karku pulsowało jak po oparzeniu.

- Pij - powiedział. - W środku jest mnóstwo cytryny, która działa znieczulająco na mięśnie, w końcu się rozluźnią i będzie ci lżej oddychać.

Trond usłuchał. Ku wielkiemu zdziwieniu Harry'ego wydawało się, że napój zadziałał. Po kilku kolejnych łykach i paru napadach kaszlu na policzki Tronda zaczął powoli występować leciutki rumieniec.

- Szkrpnie - wyszemrał.

- Słucham? - Harry usiadł na drugim kuchennym krześle.

- Wyglądasz okropnie.

Harry uśmiechnął się i dotknął ręcznika, którym obwiązał kark. Już był przesiąknięty krwią.

- To dlatego zwymiotowałeś?

- Nie znoszę widoku krwi - powiedział Trond. - Robię się całkiem... - Przewrócił oczami.

- No cóż. Mogło być gorzej. Uratowałeś mnie. Trond pokręcił głową.

- Byłem spory kawałek dalej, kiedy was zobaczyłem, i po prostu krzyknąłem. Nie wiem, czy to dlatego kazał psu cię puścić. Przykro mi, że nie zdążyłem zapisać numeru, ale w każdym razie zauważyłem, że to jeep cherokee.

Harry lekceważąco machnął ręką.

- Wiem, kto to był. - Tak?

- Facet, przeciwko któremu prowadzę śledztwo. Ale może ty mi raczej powiesz, co robisz w tej okolicy, Grette? Trond obracał w rękach kubek z herbatą.

- Zdecydowanie powinieneś zgłosić się z tą raną na pogotowie.

- Zastanowię się. Może namyśliłeś się od czasu naszej ostatniej rozmowy?

Trond powoli kiwnął głową.

- I do czego doszedłeś?

- Że nie mogę mu już dłużej pomagać.

Harry'emu trudno było stwierdzić, czy jedynie z powodu obolałej krtani Trond to

ostatnie zdanie wypowiedział szeptem.

- Gdzie więc jest twój brat?

- Chcę, żebyście mu przekazali, że to ja wam o tym powiedziałem. On zrozumie.

- Dobrze.

,- Porto Seguro. - Aha.

- To miasto w Brazylii. Harry zmarszczył nos.

- Dobrze. Jak go tam znajdziemy?

- Mówił mi jedynie, że ma tam dom. Nie chciał podać adresu, tylko numer komórki.

- Dlaczego? Przecież nie jest poszukiwany.

- Co do tego ostatniego to nie jestem pewien. - Trond wypił kolejny łyk. - W każdym razie powiedział, że najlepiej dla mnie będzie, jeśli nie będę znał tego adresu.

- Mhm. To duże miasto?

- Według słów Lva, niespełna milionowe.

- No właśnie. Nie masz nic innego? Może jakiś inny znajomy zna jego adres?

Trond zawahał się i pokręcił głową.

- Mów - poprosił Harry.

- Kiedy się ostatnio spotkaliśmy w Oslo, poszliśmy razem na kawę. Oświadczył, że smakuje jeszcze gorzej niż zwykle. Ze przyzwyczaił się już do picia *cafezinho* w lokalnej *kanwa*.

- *Kanwa*? Ale czy to nie jest taka arabska kawiarnia?

- Zgadza się. *Cafezinho* to, zdaje się, taki mocniejszy brazylijski wariant espresso. Lev mówił, że chodzi tam prawie co dzień. Pije kawę, pali fajkę wodną i gra w domino z właścicielem, Syryjczykiem, który stał się kimś w rodzaju kumpla. Zapamiętałem jego imię. Muhammed Ali. Tak jak ten bokser.

- I pięćdziesiąt milionów innych Arabów. Czy twój brat powiedział, jak ta kawiarenka się nazywa?

- Na pewno, chociaż nie pamiętam nazwy. Ale w brazylijskim mieście nie może być tak znów wiele *kahwa*.

- Może i tak. - Harry zastanowił się. W każdym razie miał pewne konkrety, nad którymi mógł pracować. Chciał dotknąć dłonią czoła, ale gdy próbował unieść rękę, bóle w karku się wzmogły.

- Ostatnie pytanie, Grette. Co cię skłoniło, żebyś mi to opowiedział? Kubek Tronda obracał się w kółko.

- Wiedziałem, że on był w Oslo.

Ręcznik na karku Harry'ego wydawał się ciężkim sznurem.

- Skąd?

Trond długo drapał się pod brodą, zanim odpowiedział:

- Nie rozmawialiśmy od ponad dwóch lat. Zadzwoił do mnie nagle i powiedział, że jest w mieście. Spotkaliśmy się w kawiarni i długo rozmawialiśmy. Stąd ta rozmowa o kawie.

- Kiedy to było?

- Na trzy dni przed napadem.

- O czym rozmawialiście?

- O wszystkim i o niczym. Kiedy człowiek zna się tak długo jak my, to wielkie rzeczy często urastają do takich rozmiarów, że woli się rozmawiać o błahostkach. O... o różach ojca i podobnych rzeczach.

- O jakich wielkich rzeczach?

- Takich, które nie powinny były mieć miejsca. I pozostać nienazwane.

- To znaczy, że zamiast tego rozmawialiście o różach?

- Zająłem się różami ojca, kiedy razem ze Stine przejęliśmy dom. W tym domu obaj się wychowaliśmy. Chciałem, aby tam się wychowywały nasze dzieci.

Przygryzł dolną wargę. Spojrzenie utkwił w brązowobiałej ceracie, jedynej rzeczy, jaką Harry odziedziczył po matce.

- Nie mówił nic o napadzie? Trond pokręcił głową.- Zdajesz sobie sprawę, że napad już w tym momencie musiał być zaplanowany? Że już wiadomo było, że obrabowany zostanie bank twojej żony?

Trond westchnął ciężko.

- Gdybym o tym wiedział, być może mógłbym temu zapobiec. Lev zawsze z wielką radością opowiadał o napadach. Zdobywał gdzieś kopie filmów wideo z napadów i przechowywał je na strychu na Disengrenda, a czasami nalegał, abyśmy oglądali je razem. Jakby po to, żebym mógł się przekonać, jakiego mam zdolnego brata. Kiedy ożeniłem się ze Stine i zacząłem pracować, oświadczyłem mu jasno, że nie chcę więcej słyszeć o jego projektach, bo może mnie to postawić w niezręcznej sytuacji.

- Mhm. A więc nie wiedział, że Stine pracowała w banku?

- Mówiłem mu, że pracuje w Nordei, ale chyba nie w którym oddziale.

- Ale oni się znali?

- Tak, spotkali się kilka razy. Podczas paru uroczystości rodzinnych. Lev nigdy nie gustował w tego rodzaju spotkaniach.

- I jak się ze sobą zgadzali?

- Świetnie. Lev, kiedy zechce, potrafi być czarującym facetem. - Trond uśmiechnął się krzywo. - Mówiłem już, że otrzymaliśmy jeden zestaw genów do podziału. Cieszyłem się, że chce mu się pokazywać przed nią z dobrej strony. A ponieważ opowiadałem jej, jak potrafi się zachować wobec ludzi, których nie ceni, czuła się zaszczycona. Gdy po raz pierwszy odwiedziła nas w domu, oprowadził ją po sąsiedztwie i pokazał wszystkie miejsca, w których bawiliśmy się jako dzieci.

- Na kładkę chyba nie poszedł?

- Nie, tam nie. - Trond zamyślony uniósł dłonie i bacznie się nim przyglądał. - Ale nie myśl sobie, że chciał w jej oczach uchodzić za lepszego. Lev zawsze bardziej niż chętnie opowiadał o wszystkich swoich złych postępkach. Przed Stine je zataił, ponieważ wiedział, że nie chciałem, by się o tym dowiedziała.

- Mhm. Jesteś pewien, że nie przypisujesz bratu zbyt szlachetnego serca?

Trond pokręcił głową.

- Lev ma jasną i ciemną stronę. Tak jak my wszyscy. Dla tych, których kocha, poszedłby w ogień.

- Ale nie do więzienia.

Trond otworzył usta, lecz nie odpowiedział. Przez skórę pod okiem przebiegało drżenie. Harry westchnął i wstał. Miał miękkie nogi.

- Zawołam taksówkę, żeby zawiozła mnie na pogotowie.

- Mam samochód - powiedział Trond.

Silnik auta szumiał cicho. Harry wpatrywał się w latarnie, przesuujące się po czarnym niebie, w deskę rozdzielczą i w kierownicę, na której lekko połyskiwał brylant tkwiącym na małym palcu Tronda.

- Skłamałeś o tym pierścionku - szepnął Harry. - Brylant jest za mały na to, by mógł kosztować trzydzieści tysięcy. Zgaduję, że kosztował około pięciu i że kupiłeś go dla Stine u jubilera tu, w Oslo. Mam rację?

Trond kiwnął głową.

- W Sao Paulo spotkałeś Lva, prawda? Pieniądze były dla niego. Trond potwierdził jeszcze raz.

- Wystarczyły na jakiś czas - powiedział Harry. - Na bilet lotniczy, kiedy postanowił przylecieć do Oslo i wrócić do roboty.

Trond nie odpowiedział.

- Lev wciąż jest w Oslo - szepnął Harry. - Chcę numer tej komórki.

- Wiesz, co? - Trond ostrożnie skrzywił w prawo przy Alexander Kjellands plass. - Dziś

w nocy śniło mi się, że Stine weszła do sypialni i mówiła do mnie. Ubrana była w strój anioła. Nie w taki, jakie noszą prawdziwe anioły, tylko w kostium, jaki wkłada się na bal przebierańców. Powiedziała, że nie tam jest jej miejsce. A kiedy się obudziłem, pomyślałem o Lvie. Pomyślałem o tym, jak siedział na dachu szkoły i machał nogami, a my w tym czasie poszliśmy na następną lekcję. Wyglądał jak mała kropka, ale pamiętam, co sobie pomyślałem. Że jego miejsce jest tam.

25 BAKSZYSZ

W pokoju Ivarssona siedziały trzy osoby. Ivarsson za wysprzątanym biurkiem oraz Beatę i Harry na nieco niższych krzesłach przed nim. Sztuczka z niższymi krzesłami to technika manipulowania tak znana, że można by przypuszczać, iż przestała już być stosowana, lecz Ivarsson najwyraźniej wiedział lepiej. Jego doświadczenie mówiło, że podstawowe techniki nigdy się nie starzeją.

Harry ustawił swoje krzesło ukosem, aby móc wyglądać przez okno. Miał widok na hotel Plaža. Okrągłe chmury przesuwają się nad szklaną wieżą i ponad miastem, nie wypuszczając ani kropli deszczu. Harry nie spał, chociaż na pogotowiu po zastrzyku przeciwțęczowym dostał też środki znieczulające. Historia opowiedziana kolegom o szalonym bezpańskim psie była na tyle oryginalna, żeby mogła się wydać wiarygodna, i na tyle bliska prawdy, by zdołał ją opowiedzieć w dostatecznie przekonujący sposób. ICark miał spuchnięty, a bandaż szorował skórę. Harry dobrze wiedział, jakim bólem przyplaciłby każdą próbę odwrócenia się w stronę Ivarssona. Zresztą nie obracałby się ku niemu, nawet gdyby go nie bolało.

- Chcecie więc wyjechać do Brazylii, żeby tam go szukać? - Ivarsson przetarł ręką biurko, udając, że tłumi uśmiech. - Podczas gdy Ekspedytor, jak wynika z dowodów, jest zajęty rabowaniem banków tu, w Oslo?

- Nie wiemy, gdzie w Oslo przebywa - powiedziała Beata. - Ani czy w ogóle tu jest. Ale mamy nadzieję, że zdołamy wytropić dom w Porto Seguro, o którym opowiedział nam jego brat. Jeśli go odnajdziemy, zdobędziemy też odciski palców. A jeśli będą pasowały do odcisków na butelce po coli, uzyskamy ostateczny dowód obciążający. Ten wyjazd powinien być tyle wart.

- Ach tak? A jakież to macie odciski palców, których nie znalazł nikt inny?

Beatę na próżno usiłowała uzyskać kontakt wzrokowy z Harrym. Przelknęła ślinę.

- Ponieważ zasadą jest, że mamy prowadzić śledztwo niezależnie od siebie,

postanowiliśmy zachować tę informację dla siebie. Na razie.

- Droga Beatę - zaczął Ivarsson, mrużąc prawe oko. - Mówisz „my”, ale ja słyszę Harry’ego Hole. Doceniam zapał Holego w realizowaniu mojej metody, lecz nie możemy dopuścić, aby zasady przeszkadzały wynikom, które możemy osiągnąć razem. Powtarzam więc: jakie odciski palców?

Beatę zrozpaczona popatrzyła na Harry’ego.

- Hole? - popędził go Ivarsson.

- Zostawmy to tak, jak jest - powiedział Harry. - Na razie.

- Jak sobie chcesz - odparł Ivarsson. - Ale o tym wyjeździe zapomnijcie. Porozmawiajcie z policją brazylijską, poproście, żeby wam pomogli uzyskać te odciski.

Beatę chrząknęła.

- Już to sprawdzałam. Musimy przesłać pisemny wniosek za pośrednictwem komendanta policji stanu Bahia i poprosić, aby brazylijski prokurator zapoznał się ze sprawą i ewentualnie wydał zezwolenie na przeszukanie. Człowiek, z którym rozmawiałam, twierdził, że bez odpowiednich znajomości wśród brazylijskich biurokratów z doświadczenia można powiedzieć, że potrwa to od dwóch miesięcy do dwóch lat.

- Mamy zarezerwowane miejsca w samolocie jutro wieczorem. - Harry bacznie przyglądał się swojemu paznokciowi. - I jak będzie?

Ivarsson rozśmiał się.

- A jak myślisz? Przychodźcie do mnie po pieniądze na bilety lotnicze na drugą stronę kuli ziemskiej, nie wykazując odrobiny dobrej woli, by prośbę uzasadnić. Zamierzacie dokonać przeszukania czyjś domu bez odpowiedniego zezwolenia, więc jeśli nawet rzeczywiście znajdziecie jakiś dowód, sąd i tak byłby zmuszony odrzucić go jako uzyskany niezgodnie z prawem.

- Sztuczka z cegłą - powiedział Harry cicho.

- Słucham?

- Nieznana osoba wrzuca cegłę przez okno. Policja przejeżdża tamtędy najzupełniej przypadkiem, więc nie potrzebuje nakazu przeszukania, aby wejść do środka. Wydaje im się, że w mieszkaniu czuć zapach marihuany. To wrażenie bardzo subiektywne, ale daje uzasadniony powód do natychmiastowego przeszukania. Gromadzone są dowody techniczne z danego miejsca, na przykład odciski palców. Wszystko najzupełniej zgodne z prawem.

- Krótko mówiąc, przemyśleliśmy to, o czym mówiłeś - pospiesznie dodała Beatę. - Jeśli uda nam się odnaleźć ten dom, z pewnością zdołamy również pobrać odciski palców w sposób zgodny z prawem.

- Doprawdy?- Miejmy nadzieję, że obejdzie się bez cegły. Ivarsson pokręcił głową.

- To mi nie wystarczy. Odpowiadam głośno i wyraźnie: Nie. - Spojrzał na zegarek, by podkreślić, że uważa spotkanie za zakończone, i z jaszczurczym uśmiechem dodał: - Na razie.

- Nie mogłeś mu powiedzieć czegokolwiek? - spytała Beate, gdy szli korytarzem po wyjściu z pokoju Ivarssona.

- A czego? - Harry ostrożnie poruszył głową. - On podjął decyzję już z góry.

- Nie dałeś mu nawet szansy, żeby nam kupić te bilety.

- Dałem mu szansę, żeby nie został objechany.

- O co ci chodzi? Zatrzymali się przy windzie.

- Mówiłem ci, że posiadamy pewne nadzwyczajne pełnomocnictwa w tej sprawie.

Beate odwróciła się i popatrzyła na niego.

- Chyba rozumiem - powiedziała wolno. - I co teraz będzie?

- Objechanie. Nie zapomnij o kremie do opalania. Drzwi windy się otworzyły.

Później tego samego dnia Bjarn Molier opowiedział Harry'emu, że Ivarsson bardzo źle przyjął wiadomość, przekazaną mu osobiście przez komendanta okręgowego policji, o wyjeździe Harry'ego i Beate do Brazylii, i o tym, że koszty podróży i pobytu mają zostać pokryte z budżetu Wydziału Napadów.

- Jesteś zadowolony z siebie? - spytała Beate, zanim się rozstali.

Ale gdy Harry mijał Plaża, a chmury nareszcie otwarły śluzy, o dziwo, nie czuł żadnego zadowolenia. Czuł jedynie zawstydzenie, brak snu i bóle w karku.

- Bakszysz? - wrzeszczał Harry do słuchawki. - Co to, u diabła, jest bakszysz?

- Napiwek - wyjaśnił Oystein. - Bez tego nikt w tym przeklętym kraju nic kiwnie nawet palcem.

- Cholera! - Harry kopnął stolik pod lustrem. Aparat ześlizgnął się z blatu, wyrwijając mu słuchawkę z ręki.

- Halo? Jesteś tam, Harry? - zaskrzeczało z podłogi. Harry w ogóle nie miał ochoty podnosić słuchawki. Miał ochotę odejść albo nastawić płytę Metaliki na fuli. Którąś z tych starszych.

- Nie pękaj, Harry! - pisnęło.

Harry nachylił się z wyprostowanym karkiem i podniósł słuchawkę.

- *Sorry*, Oystein. Co mówiłeś, ile więcej chcieli?

- Dwadzieścia tysięcy egipskich. Na norweskie czterdzieści tysięcy. Powiedzieli, że wtedy dostanę abonenta na tacy.

- Oni nas oszukują, Oystein.

- Oczywiście. Ale chcemy tego abonenta czy nie?
- Dostaniesz pieniądze, tylko poproś o pokwitowanie.

Położył się na łóżku i gapił się w sufit, czekając, aż zacznie działać potrójna dawka środków przeciwbólowych. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, zanim zapadł się w ciemność, był chłopiec, który przyglądał mu się z góry, machając nogami.

Część czwarta

26 D'AJUDA

Freda Baugestada męczył kac. Miał trzydzieści jeden lat, był rozwiedziony i pracował na platformie Stadfjord B jako robotnik. Praca była ciężka i w trakcie nie wolno było wypić nawet piwa. Ale pensja świetna, w pokoju telewizor, wyżywienie ekskluzywne, i najlepsze ze wszystkiego: po trzech tygodniach pracy następowały cztery tygodnie wolnego. Niektórzy jechali do domu, do żony i dzieci, i gapili się w ścianę, inni jeździli taksówką albo budowali dom, żeby nie zwariować z nudów, a jeszcze inni robili tak jak Fred: wyjeżdżali do ciepłych krajów i próbowali zapić się na śmierć. Od czasu do czasu wysyłał pocztówkę na wyspę Karmoy do małej, „Ogryzka”, jak wciąż ją nazywał, choć skończyła już dziesięć lat. A może jedenaście? Tak czy owak, był to jedyny kontakt, jaki wciąż utrzymywał ze stałym lądem, i całe szczęście. Kiedy ostatnio rozmawiał z ojcem, ten skarżył się, że matkę znów przyłapano na kradzieży herbatników kapitańskich w supermarkecie Rimi.

„Modłę się o nią”, powiedział ojciec, a potem spytał, czy Fred, wyjeżdżając za granicę, zabiera ze sobą norweską Biblię. „Jest mi równie niezbędna jak śniadanie, ojcze”, odparł Fred, co było prawdą, ponieważ przebywając w d'Ajuda, nigdy nie jadł przed lunchem. Chyba żeby *caipirinha* nazwać jedzeniem. Była to zresztą kwestia definicji, zwłaszcza że do każdego drinka wsypywał co najmniej cztery łyżki cukru. Fred Baugestad pił *caipirinha*, ponieważ były takie wstrętne. W Europie drink zyskał sobie dobrą sławę, gdyż przyrządzało się go na rumie lub na wódce. Natomiast dodatek *cachaca*, mocnego, ostrego brazylijskiego samogonu z trzciny cukrowej, zmieniał picie *caipirinha* w pokutę i właśnie w tym celu, zdaniem Freda, go wymyślono. Obaj dziadkowie Freda byli alkoholikami, więc przy takim obciążeniu dziedzicznym uważał, że dla bezpieczeństwa należy pić coś, od czego nigdy nie można się uzależnić. Dzisiaj powlókł się do Muhammeda o dwunastej. Wypiwszy espresso i jedną brandy, powoli wrócił w drżące rozgrzane powietrze na wąskiej dziurawej kamienistej drodze wśród małych, niskich i mniej lub bardziej białych murowanych domów. Ten, który wynajmował razem z Rogerem, zaliczał się do tych mniej białych. Tynk się

łuszczył, a wewnątrz szare surowe ściany były tak na wskroś przesiąknięte wilgotnym wiatrem znad Atlantyku, że wystarczyło wystawić język, by poczuć gorzki smak muru. Ale po co miałby ktoś to robić, pomyślał Fred. Dom wcale nie był najgorszy. Trzy sypialnie, dwa materace, lodówka, kuchenka. I jeszcze kanapa i blat na dwóch ceglach w pokoju, uważanym przez nich za salon, ponieważ miał niemal kwadratową dziurę w ścianie, którą nazywali oknem. Owszem, powinni trochę częściej sprzątać. W kuchni roilo się od żółtych boleśnie kłujących mrówek ze straszliwymi szczękami, zwanych przez Brazylijczyków *lava pe*, ale Fred nie zaglądał tam zbyt często, odkąd przenieśli lodówkę do salonu.

Fred leżał na kanapie,- planując swój następny atak na ten dzień, kiedy przyszedł Roger.

- Gdzie byłeś? - spytał.

- W aptece w Porto - odparł Roger z uśmiechem, ciągnącym się niemal naokoło szerokiej przekrwionej głowy. - Nie uwierzysz, co tu sprzedają legalnie. Można kupić rzeczy, których w Norwegii nie dostanie się nawet na receptę. - Wyrzucił na stół zawartość plastikowej torby i zaczął głośno odczytywać napisy na etykietkach. - Trzy miligramy benzydiazepiny. Dwa miligramy flunitrazepamu. Cholera, Fred, praktycznie mówimy o rohypnolu!

Fred nie odpowiedział.

- Zle się czujesz? - zainteresował się Roger. - Jeszcze nic nie jadłeś?

- *Ndo*. Wypiłem tylko kawę u Muhammeda. Zaglądał tam zresztą pewien tajemniczy facet. Wypytywał Muhammeda o Lva.

Roger gwałtownie podniósł głowę znad zdobyczy aptecznych.

- O Lva? A jak wyglądał?

- Wysoki, jasne włosy, niebieskie oczy. Mówił jak Norweg.

- Cholera, nie strasz mnie tak, Fred! - Roger wrócił do czytania etykietek.

- O co ci chodzi?

- Powiem ci tak. Gdyby był ciemny, wysoki i chudy, to byłby najwyższy czas opuścić d'Ajuda. I w ogóle zachodnią półkulę. Wyglądał na glinę?

- A jak wyglądają gliny? - Oni... Nieważne, nafciarzu.

- Wyglądał tak, jakby mu się pić chciało. Wiem przynajmniej, jak wyglądają spragnieni.

- Okej. Może jakiś kumpel Lva. Pomożemy mu? Fred pokręcił głową.

- Lev powiedział, że mieszka tu całkowicie in... in... coś tam po łacinie, a znaczy tyle, że w tajemnicy. Muhammed udał, że nigdy w życiu nie słyszał o Lwie. Facet znajdzie Lva, jeśli on sam tego zechce.

- Żartowałem. A gdzie jest zresztą Lev? Nie widziałem go od kilku tygodni.

- Kiedy ostatnio o nim słyszałem, miał jechać do Norwegii. - Fred ostrożnie próbował unieść głowę.

- Może napadł na bank i go złapali? - Roger uśmiechnął się na samą myśl. Nie dlatego, że chciał, aby Lev wpadł, lecz ponieważ myśl o skokach na banki zawsze skłaniała go do uśmiechu. Osobiście zrobił to trzy razy i za każdym razem było to niesamowite przeżycie. Dwa razy co prawda wpadli, ale za ostatnim zrobił wszystko jak należy. Gdy opowiadał komuś o tym skoku, z reguły zapominał wspomnieć o szczęśliwym zbiegu okoliczności - tymczasowym wyłączeniu kamery ochrony. Tak czy siak, łup pozwalał mu cieszyć się teraz swoim *otium* - a czasami również opium - tu, w d'Ajuda. Nieduże śliczne miasteczko, położone dokładnie na południe od Porto Seguro, jeszcze do niedawna gościło największe na kontynencie na południe od Bogoty zbiorowisko poszukiwanych indywiduów. Zaczęło się to w latach siedemdziesiątych, kiedy d'Ajuda stała się miejscem zgrupowań hippisów i wędrowców, żyjących z ulicznego muzykowania i ze sprzedaży ręcznie wytwarzanej biżuterii i ozdób w Europy w letniej połowie roku. Ich obecność oznaczała mile widziany dodatkowy dochód dla d'Ajuda i w zasadzie nikomu nie przeszkadzała, więc dwie brazylijskie rodziny, w których rękach skupiła się właściwie cała działalność gospodarcza miasteczka, zawarły porozumienie z szefem miejscowej policji, aby patrzeć przez palce na palenie marihuany na plaży, w kawiarniach, w coraz liczniejszych barach, a z czasem również na ulicach, czyli wszędzie.

Pojawił się jednak pewien problem: „nakładanie mandatów” na turystów za palenie marihuany i łamanie innych mniej lub bardziej znanych praw było tu, podobnie jak gdzie indziej, ważnym źródłem dochodów dla policjantów, otrzymujących od państwa jedynie głodowe pensje. Aby przynoszący dochody turyści i policja mogli pokojowo koegzystować, rodziny musiały zadbać o zabezpieczenie alternatywnych dochodów dla funkcjonariuszy. Zaczęło się od tego, że pewnemu amerykańskiemu socjologowi i jego argentyńskiemu kochankowi, zawiadującym miejscową produkcją i sprzedażą marihuany, polecono wypłacenie prowizji szefowi policji w zamian za ochronę i udzielenie monopolu, czyli za aresztowanie potencjalnych konkurentów i przekazanie ich przy wtórze trąb i fanfar policji federalnej. Strumień pieniędzy płynął do małego przejrystego aparatu funkcjonariuszy i wszystko układało się jak w raj, aż do czasu, gdy przybyli trzej Meksykanie, którzy zaoferowali wyższą prowizję. W pewną niedzielę rano Amerykanin i Argentyńczyk zostali również przy wtórze trąb i fanfar na placu przed pocztą wydani w ręce policji federalnej. Skutecznie regulowany potrzebami rynku system kupna i sprzedaży ochrony nie przestawał

się jednak rozwijać i wkrótce d'Ajuda zapelniło się poszukiwanymi przestępcami ze wszystkich zakątków świata, którzy mogli sobie tutaj zapewnić stosunkowo bezpieczne życie za cenę daleko niższą, niż gdyby przyszło im opłacać policję w Pattai i wielu innych miejscach. W latach osiemdziesiątych tę piękną i do tego czasu niemalże nietkniętą cywilizacją perlę z długimi plażami, czerwonymi zachodami słońca i doskonałą marihuaną odkryły sępy turystyczne - backpackersi, włóczędzy z plecakami. Napływali do d'Ajuda w takiej liczbie i z taką wolą konsumpcji, że dwie miejscowe rodziny musiały zrewidować pogląd na opłacalność d'Ajuda jako obozu dla wyjętych spod prawa. Z czasem, gdy przyjemnie mroczne bary przeistoczyły się w wypożyczalnię sprzętu do nurkowania, a kawiarnia, w której miejscowi tańczyli swoją lambadę w tradycyjny sposób, zaczęła organizować „Wilde-Wilde-Moonparty”, coraz częściej się zdarzało, że miejscowa policja dokonywała błyskawicznych najazdów na mniej białe murowane domki i zaciągała dziko protestującą zwierzynę na rynek. Na razie jednak przestępcy mimo wszystko byli bezpieczniejsi w d'Ajuda aniżeli w wielu innych miejscach na świecie, chociaż powoli paranoja zaczynała dosięgać ich wszystkich, nie tylko Rogera.

Właśnie dlatego w łańcuchu ekonomicznym d'Ajuda istniało również miejsce dla człowieka takiego jak Muhammed Ali. Usprawiedliwienie dla jego egzystencji wiązało się głównie ze strategicznym położeniem na rynku, gdzie autobus z Porto Seguro miał ostatni przystanek. Zza lady w swej otwartej *kahwa* Muhammed miał świetny widok na wszystko, co działo się na spieczonym słońcem brukowanym i jedynym *plaża* w d'Ajuda. Gdy przyjeżdżały nowe autobusy, przestawał serwować kawę i napełniać fajki wodne brazylijskim tytoniem, marnym erzacem jego rodzimego *m'aasil*, aby baczenie przyglądać się nowo przybyłym i ujawnić ewentualnych policjantów albo łowców nagród. Jeśli jego niezawodny nos klasyfikował kogoś do jednej z wymienionych kategorii, natychmiast podnosił alarm. Alarm był czymś w rodzaju systemu abonamentowego, w którym ci, wnoszący miesięczną opłatę, zostawali uprzedzeni przez telefon lub otrzymywali wiadomość przekazywaną osobiście przez małego poruszającego się błyskawicznie Paulinho. Ale Muhammed miał również osobisty powód, by baczenie się przyglądać przyjeżdżającym autobusom. Gdy razem z Rosalitą uciekł z Rio przed jej mężem, nawet przez moment nie miał wątpliwości, co ich czeka, gdy porzucony małżonek dowie się, gdzie ich szukać. W fawelach w Rio czy w Sao Paulo proste morderstwo można było zamówić już za paręset dolarów, ale nawet profesjonalni płatni zabójcy nie żądali więcej niż dwa-trzy tysiące dolarów plus zwrot wydatków za zlecenie typu *find-and-destroy*, więc przez ostatnie dziesięć lat rynkiem rządzili kupujący. W dodatku za parę można się było spodziewać rabatu.

Zdarzało się, że ci, których Muhammed w myślach oznakował jako myśliwych, przychodzili wprost do jego *kahwa*. Dla zachowania pozorów chętnie zamawiali kawę i wypiwszy jej sporo, zadawali nieuniknione pytanie: „Nie wiesz, gdzie mieszka mój przyjaciel taki to a taki?” albo „Nie znasz tego człowieka na zdjęciu? Jestem mu winien pieniądze”. W takich wypadkach Muhammed pobierał dodatkową opłatę, jeśli jego stałą odpowiedź („Widziałem, jak dwa dni temu z wielką walizką wsiadał do autobusu do Porto Seguro”) skłaniała myśliwego do wyjazdu pierwszym autobusem. Kiedy wysoki jasnowłosy mężczyzna w wymiętym lnianym garniturze z białym bandażem na karku postawił na kontuarze torbę podróżną i torbę plastikową z napisem „PlayStation”, wytarł pot z czoła i zamówił kawę po angielsku, Muhammed przeczuwał już, że oprócz stałej opłaty może się spodziewać kilku reais ekstra. Ale to nie mężczyzna obudził jego instynkt, lecz towarzysząca mu kobieta. Równie dobrze mogła mieć na czole napis „Policja”.

Harry rozejrzał się. Oprócz niego, Beatę i Araba za ladą, w lokalu siedziały trzy inne osoby. Dwa trampy i jeden turysta z rodzaju tych bardziej zmęczonych, który wyglądał na cierpiącego na potężnego kaca. Ból w karku o mało nie wykończył Harry’ego. Spojrzał na zegarek. Minęło dwadzieścia godzin, odkąd wyruszyli z Oslo. Dzwonił Oleg. Rekord w Tetris został pobity, a Harry zdążył kupić Namco G-Con 45 w sklepie z grami komputerowymi na Heathrow przed dalszym lotem do Recife. Z Recife polecili śmigłowcem do Porto Seguro. Koło lotniska zgodził się zapłacić prawdopodobnie szaloną cenę taksówkarzowi, który odwiózł ich na prom. Przeprawili się na drugą stronę zatoki, a potem już na ostatnim odcinku drogi do d’Ajuda wytrzęśli się w autobusie.

Dwadzieścia cztery godziny minęły od czasu, gdy siedział w pokoju odwiedzin i wyjaśniał Raskolowi, że potrzebuje czterdziestu tysięcy koron dla Egipcjan. A Raskol wytłumaczył mu, że *kahwa* Muhammeda Alego nie znajduje się w samym Porto Seguro, lecz w sąsiednim miasteczku.

„D’Ajuda - powiedział Raskol z szerokim uśmiechem. - Znam paru chłopców, którzy tam mieszkają”.

Arab spojrział na Beatę, która pokręciła głową, a potem postawił filiżankę przed Harrym. Kawa była gorzka i mocna.

- Muhammed - powiedział Harry i zobaczył, że mężczyzna za ladą drętwieje. - *You are Muhammed, right?*

Arab przełknął ślinę.

- *Who’s asking?*

- *Afriend.* - Harry wsunął prawą rękę pod marynarkę i ujrzał panikę na ciemnej

twarży. - Młodszy brat Lva próbuje go złapać. - Wyjął jedną z fotografii, które Beate dostała u Tronda, i położył je na ladzie.

Muhammed na moment zamknął oczy, w tym czasie wargi zdawały się mamrotać nieme modlitwy.

Na zdjęciu byli dwaj chłopcy. Ten większy był ubrany w czerwoną puchówkę. Śmiał się i po koleżeńsku obejmował drugiego chłopca, który z zażenowaniem uśmiechał się do aparatu.

- Nie wiem, czy Lev wspominał ci o swoim młodszym bracie - powiedział Harry. - Ma na imię Trond.

Muhammed wziął zdjęcie do ręki i bacznie mu się przyjrzał.

- Hm - podrapał się w brodę. - Żadnego z nich nigdy nie widziałem. I nigdy nie słyszałem, żeby ktoś tu, w d'Ajuda, miał na imię Lev. A znam większość ludzi. - Oddał zdjęcie Harry'emu, który schował je z powrotem do wewnętrznej kieszonki i dokończył kawę.

- Musimy znaleźć jakieś miejsce na nocleg, Muhammed. Potem wrócimy, a ty się w tym czasie zastanów.

Muhammed pokręcił głową, wyciągnął dwudziestodolarowy banknot, który Harry wsunął pod filiżankę, i oddał mu, mówiąc:

- Nie przyjmuję takich grubych banknotów. Harry wzruszył ramionami.

- I tak wrócimy, Muhammed.

W niedużym hotelu o nazwie Vittoria dostali oddzielne pokoje, ponieważ nie był to szczyt sezonu. Harry'emu wręczono klucz z numerem 69, chociaż hotel miał jedynie dwa piętra i około dwudziestu pokoi. Przypuszczał, że to apartament dla nowożeńców, gdyż po otwarciu szuflady nocnego stolika przy łóżku w kształcie serca nakrytym czerwoną narzutą znalazł dwa kondomy i pozdrowienia od hotelu. Całe drzwi łazienki pokrywało lustro, w którym można się było przeglądać z łóżka. W niezrozumiale wielkiej i głębokiej szafie, jedynym oprócz łóżka mebli w pokoju, wisiały dwa lekko podniszczone szlafroki frotte, sięgające do połowy uda z orientalnymi symbolami na plecach.

Recepcjonistka tylko się uśmiechnęła i pokręciła głową, gdy pokazali jej zdjęcia Lva Grette. To samo spotkało ich w restauracji obok i w kafejce internetowej kawałek dalej na tej dziwnie cichej głównej ulicy. Tradycyjnie prowadziła od kościoła na cmentarz, ale nadano jej nową nazwę: Broadway. W maleńkim sklepiku spożywczym, gdzie sprzedawano wodę i ozdoby choinkowe, ale nad drzwiami widniał napis SUPER-MARKET, udało im się wreszcie znaleźć kobietę skrytą za kasą. Odpowiadała „Yes” na każde ich pytanie, a gdy wreszcie się

poddali i wyszli, patrzyła za nimi pustym wzrokiem. W powrotnej drodze zobaczyli tylko jednego człowieka, młodego policjanta, który stał oparty o jeepa z rękami założonymi na piersi i kaburą pistoletu opuszczoną nisko na biodra; ziewał, wodząc za nimi wzrokiem.

W *kahwa* Muhammeda chudy chłopiec za ladą wyjaśnił, że szef nagle postanowił wybrać się na spacer. Beatę spytała, kiedy wróci, ale chłopiec, nie rozumiejąc, pokręcił głową, wskazał na słońce i powiedział „Trancoso”.

W hotelu recepcjonistka wyjaśniła im, że trzynastokilometrowa trasa spacerowa wzdłuż białej niczym niezmaconej piaszczystej plaży do Trancoso to największa atrakcja turystyczna d’Ajuda, oprócz, rzecz jasna, katolickiego kościoła przy rynku.

- Mhm. Dlaczego tu jest tak mało ludzi, señora? - spytał Harry. Uśmiechnęła się i wskazała na morze.

I rzeczywiście na rozpalonym do białości piasku, rozciągającym się I w obie strony tak daleko, jak tylko oko mogło sięgnąć w upalnej mgłę, byli ludzie. Łowcy słońca, rozłożeni na *lit de parade*, plażowi sprzedawcy maszerujący po sypkim piasku, zgięci w pół pod ciężarem toreb-lodówek i worków z owocami, barmani, ślący szerokie uśmiechy z prowizorycznych barów, krytych strzechą, spod której z głośników buchała samba, surferzy w żółtych strojach ekipy narodowej z wargami pomalowanymi na białą tlenkiem cynku. I jeszcze dwoje ludzi maszerujących na południe z butami w rękę. Jedno w szortach, w niedużym topie i słomianym kapeluszu, drugie wciąż z gołą głową w wymiętym lnianym garniturze.

- Czy ona mówiła o trzynastu kilometrach? - Harry zdmuchnął kroplę potu zwisającą z nosa.

- Zrobi się ciemno, zanim wrócimy - powiedziała Beata, pokazując palcem. - Zobacz, wszyscy już wracają.

Wzdłuż plaży ciągnęła się czarna smuga, pozornie niemająca końca karawana ludzi, kierujących się do domów z popołudniowym słońcem świecącym prosto w plecy.

- To jak na zamówienie - stwierdził Harry, poprawiając ciemne okulary. - Całe d’Ajuda ustawione w kolejce. Musimy użyć oczu. Nawet jeśli nie zobaczymy Muhammeda, być może będziemy mieli szczęście i spotkamy samego Lva. Beatę uśmiechnęła się.

- Stawiam stówę - powiedziała.

W upale przesuwwały się obok nich twarze. Czarne, białe, młode, stare, piękne, brzydkie, nieprzytomne, trzeźwe, uśmiechnięte i ponure. Bary i wypożyczalnie desek surfingowych zniknęły, z lewej strony widać było jedynie piasek i morze, a z prawej - gęstą dżunglę. Tu i ówdzie przysiadły grupki ludzi, od których płynął niemożliwy do pomylenia z

czymkolwiek innym zapach marihuany.

- Zastanawiałem się nad tą historią o strefach intymności i naszą teorią współnika w banku - rzucił Harry. - Myślisz, że Lev i Stine Grette mogli się znać lepiej niż szwagier z bratową?

- I że wciągnął ją w planowanie, a potem zastrzelił, by usunąć ślady? - Beatę zmrużyła oczy, patrząc na słońce. - Hm, dlaczego nie?

Chociaż było już po czwartej, upał nie zelżał w sposób zauważalny. Włożyli buty, by przeprowić się przez skupisko skał, po ich drugiej stronie Harry znalazł grubą suchą gałąź, którą morze wyrzuciło na brzeg. Wbił ją w piasek, a wyjąwszy z kieszeni portfel i paszport, powiesił na tym prowizorycznym wieszaku marynarkę.

W oddali widać już było Trancoso, gdy Beatę oświadczyła, że właśnie minęli człowieka, którego widziała kiedyś na filmie wideo. Harry w pierwszej chwili uznał, że miała na myśli jakiegoś średnio znanego aktora, ale Beatę zaraz wyjaśniła, że ten człowiek to Roger Person i że oprócz kilku różnych wyroków za narkotyki siedział za napady na urzędy pocztowe na Starym Mieście i na Veitvet, a podejrzewany był również o napad na pocztę na Ulleval.

Fred zdążył już w siebie wlać trzy *caipirinha* w plażowej restauracji w Trancoso, lecz pomysł przejścia trzynastu kilometrów jedynie po to, by, jak powiedział Roger, „przewietrzyć skórę, zanim zarazi się grzybem od ścian”, wciąż wydawał mu się bezsensowny.

- Ty po prostu nie jesteś w stanie usiedzieć w spokoju przez te twoje nowe pigułki - burknął zły do kolegi, który maszerował przodem, obciągając palce i wysoko podnosząc

- O? A jak on wygląda?

Harry patrzył na Beatę i zachodził w głowę, jak to możliwe, że ona nie miała na czole ani jednej kropli potu, on natomiast pocił się jak spróchniała ryba.

- Idziemy na ryby.

Zachód słońca był krótkim, lecz rozbuchanym widowiskiem we wszystkich odcieniach czerwieni i jeszcze paru innych kolorów, jak twierdził Muhammed, wskazując na słońce, które właśnie roztopiało się nad horyzontem niczym grudka masła na rozgrzanej patelni. Ale Niemca przy kontuarze nie interesował zachód słońca, bo właśnie oświadczył, że jest gotów zapłacić tysiąc dolarów temu, kto pomoże mu znaleźć Lva Grette albo Rogera Persona. Czy Muhammed mógłby mu pomóc w rozpowszechnieniu tej propozycji? Zainteresowani informatorzy mogą zgłaszać się do pokoju 69 w hotelu Vittoria. Tak powiedział Niemiec, zanim opuścił *kahwa* razem z tą jasną kobietą.

Jaskółki wpadły w amok, gdy owady wyruszyły na równie krótkie wieczorne tańce. Słońce zmieniło się w oliwę rozlaną po powierzchni morza, a dziesięć minut później było już ciemno. Kiedy po godzinie pojawił się przeklinający Roger, nawet pod spaloną słońcem skórą widać było bladość.

- Przeklęty Cygan! - mruknął do Muhammeda i dodał, że plotki o wysokiej nagrodzie słyszał już w barze U Freda i natychmiast stamtąd wyszedł. Po drodze zajrzał do Petry w supermarkecie, powiedziała mu, że Niemiec razem z tą blondynką był już u niej dwa razy. Za drugim razem o nic więcej nie pytali, tylko kupili żyłkę do wędki.

- Na co im żyłka? - spytał, nerwowo rozglądając się dokoła, gdy Muhammed nalewał mu kawy. - Wybierają się na ryby?

- Proszę. - Muhammed skinieniem głowy wskazał na filiżankę. - To dobre na paranoję.

- Na paranoję? - zawołał Roger. - To zdrowy rozsądek! Pieprzony tysiąc dolarów! Ludzie tutaj gotowi są sprzedać rodzoną matkę za jedną dziesiątą tej sumy!

- No to co masz zamiar zrobić?

- To, co muszę. Uprzedzić tego Niemca.

- Tak? A w jaki sposób?

Roger spróbował kawy, a jednocześnie wyciągnął zza paska spodni czarny pistolet z krótką rudobrazową rękojeścią.

- Przywitaj się z taurusem PT92C z Sao Paulo.

- Nie, dziękuję - burknął Muhammed. - Zabieraj to stąd natychmiast. Jesteś szalony. Zamierzasz walczyć z tym Niemcem całkiem sam?

Roger wzruszył ramionami i wsunął pistolet z powrotem za pasek.

- Fred leży w domu i się trzęsie. Twierdzi, że nigdy nie ma zamiaru wytrzeźwieć.

- Ten facet to zawodowiec, Roger.

- A ja? - prychnął Roger. - Ja też obrobiłem kilka banków. Wiesz, co jest najważniejsze, Muhammed? Moment zaskoczenia. To on decyduje o wszystkim. - Roger wypił kawę do końca. - I widzę, jaki z niego zawodowiec, skoro rozgłasza wszem i wobec, w którym pokoju mieszka.

Muhammed przewrócił oczami i przeżegnał się.

- Allah cię widzi, Muhammed - mruknął Roger cierpko i wstał.

Zauważył blondynkę zaraz po wejściu do recepcji. Siedziała razem z grupką mężczyzn oglądających mecz piłkarski w telewizorze zawieszonym nad barem. Rzeczywiście, przecież dzisiaj *flaflu*, tradycyjne lokalne derby między Flamengo przeciwko Fluminense z Rio. Dlatego u Freda było tak pełno. Wyminął ich prędko z nadzieją, że nikt nie zwróci na niego uwagi. Wbiegł po nakrytych dywanem schodach i ruszył w głąb korytarza. Dobrze wiedział, gdzie jest ten pokój. Kiedy mąż Petry wyjeżdżał z miasta, Roger czasami z wyprzedzeniem zamawiał pokój numer 69.

Przyłożył ucho do drzwi, ale nic nie usłyszał. Zajrzał przez dziurkę od klucza, ale w środku było ciemno. Niemiec wyszedł lub spał. Roger przełknął ślinę. Serce waliło mu szybko, lecz dzięki łykniętej połówce rohypnolu zachowywał spokój. Sprawdził, czy pistolet jest naładowany, i odbezpieczył go, zanim delikatnie nacisnął klamkę. Drzwi były otwarte! Szybko wszedł do pokoju i cicho zamknął za sobą drzwi. Stał w ciemności, wstrzymując oddech. Nikogo nie widział ani nie słyszał. Żadnego ruchu, żadnego oddechu. Jedyne lekkie szum wiatraka na suficie. Na szczęście znał ten pokój jak własną kieszeń. Wycelował pistoletem tam, gdzie, jak wiedział, stoi łóżko w kształcie serca, czekając, aż wzrok powoli przyzwyczai się do ciemności. Wąska smuga księżycowego światła rzucała bladą poświatę na łóżko, kołdra leżała lekko odrzucona na bok. Puste. Zastanowił się. Czy możliwe, by Niemiec wyszedł, zapominając zamknąć drzwi na klucz? Jeśli tak, to Roger mógł po prostu rozsiąść się i spokojnie czekać, aż wróci i stanie w drzwiach. Będzie wtedy doskonałym celem. Ale to wydawało się mimo wszystko zbyt dobre, by mogło być prawdziwe. Trochę jak bank, w którym zapomniano uruchomić alarm. Tak się po prostu nie dzieje. Wiatrak się obraca. Podejrzenia potwierdziły się w tej samej sekundzie. Roger drgnął, słysząc nagły dźwięk wody spuszczonej w łazience. Facet siedział w kiblu! Roger, trzymając pistolet w wyprostowanych rękach, skierował się tam, gdzie, jak wiedział, znajdują się drzwi łazienki. Upłynęło pięć sekund. Osiem. Nie był w stanie dłużej wstrzymać oddechu. Na co, do cholery, ten facet

czeka? Przecież już spuścił wodę. Dwanaście sekund. Może coś usłyszał? Może próbuje uciec? Rogerowi przypomniało się, że w łazience pod sufitem jest małe okienko. Cholera! Przecież to jego szansa. Nie może mu teraz pozwolić na ucieczkę. Przeszedł na palcach, mijając szafę ze szlafrokiem, w którym Petrze było tak do twarzy. Stał przed drzwiami łazienki. Nabrał powietrza i położył rękę na klamce. Już miał ją obrócić, gdy poczuł leciutki powiew, nie taki, jak z wentylatora czy z otwartego okna. To było coś innego.

- *Freeze* - rozległ się głos za jego plecami.

I Roger właśnie to zrobił. Podniósłszy głowę i przejrzawszy się w lustrze w drzwiach łazienki, zlodowaciał tak, że aż dzwonił zębami. Drzwi do szafy uchyliły się i między białymi szlafrokami zarysowała się olbrzymia postać. Ale nie ten widok wywołał ów nagły napad chłodu. Pewne obeznanie z bronią nie łagodzi wcale psychologicznego efektu odkrycia, że ktoś celuje w ciebie bronią o wiele większą niż ta, którą sam trzymasz. Przeciwnie, strach rośnie, gdy się wie, o ile bardziej skuteczne w niszczeniu ludzkiego ciała są kule dużego kalibru. A taurus PT92C Rogera wydawał się procą na groch w porównaniu z olbrzymim czarnym potworem, widocznym w świetle księżyca. Zgrzyt kazał Rogerowi podnieść głowę. Błysnęło coś, co przypominało żyłkę rybacką, prowadzącą od szpary w drzwiach łazienki do szafy.

- *Guten Abend* - szepnął Roger.

Gdy przypadek sprawił, że Roger sześć lat później zdecydował się na wejście do pewnego baru w Pattai i odkrył, że pod ogromnym gęstym zarostem ukrywa się Fred, w pierwszej chwili był tak zaskoczony, że znieruchomiał i nie zareagował, kiedy Fred podstawił mu krzesło.

Stary kumpel zamówił drinki i opowiedział, że nie pracuje już na Morzu Północnym. Jest na rencie. Roger usiadł z wahaniem i bez wdawania się w szczegóły wyjaśnił, że ostatnie sześć lat spędził na działalności kurierskiej z Chang Rai. Dopiero po dwóch drinkach Fred chrząknął i odważył się spytać, co właściwie wydarzyło się tamtego wieczoru, kiedy Roger tak nagle zniknął z d'Ajuda.

Roger zajrzał do szklanki, nabrał powietrza i odparł, że właściwie nie miał wyboru. Ze ten Niemiec, który zresztą wcale nie był Niemcem, przechytrzył go i chciał zlikwidować, tam i wtedy, ale Rogerowi w ostatniej chwili udało się go namówić na układ. Dał mu półgodzinne fory w zamian za wyjawienie, gdzie ukrywa się Lev Grette.

- A jaki pistolet miał ten facet? - spytał Fred.

- Było za ciemno, żeby coś zobaczyć. W każdym razie żadnej znanej marki. Ale obiecuję ci, odstrzeliliby mi łeb, tak że doleciałby aż do baru Freda. - Roger znów zerknął

ukradkiem w stronę drzwi wejściowych.

- Wynajmuję tu mieszkanie - powiedział Fred. - A ty masz gdzie mieszkać?

Roger popatrzył na niego tak, jakby nad tą kwestią wcale się nie zastanawiał. Długo pocierał zarośniętą twarz, nim wreszcie odpowiedział:

- Właściwie nie.

27 EDVARD GRIEG

Dom Lva stał oddzielnie na końcu ślepej uliczki. Jak większość domów w sąsiedztwie był murowany, lecz odróżniał się od innych tym, że w oknach miał szyby. Samotna latarnia rzucała żółty snop światła, w którym o miejsce walczyła imponująca różnorodność owadów, stanowiących cel wyłaniających się z ciemności nietoperzy.

- Nie wygląda na to, żeby był w domu - szepnęła Beatę.

- Może po prostu oszczędza prąd - odparł Harry. Zatrzymali się przed niską zardzewiałą żelazną furtką.

- Jak to zrobimy? - spytała Beatę. - Wejdziemy i zapukamy?

- Nie. Włącz komórkę, stań tutaj i zaczekaj. Kiedy zobaczysz, że stają pod oknem, zadzwoń pod ten numer. - Podał jej kartkę wyrwaną z notesu.

- Po co?

- Jeśli usłyszę komórkę dzwoniącą w środku, możemy założyć, że Lev jest w domu. - No właśnie. W jaki sposób zamierzasz go zatrzymać? Za pomocą tego tutaj? - Wskazała na niezgrabny czarny przedmiot, który Harry trzymał w prawej ręce.

- Dlaczego nie? - odparł Harry. - Na Rogera Persona zadziała.

- Stał w ciemnym pokoju i widział go jedynie w krzywym lustrze, Harry.

- No cóż, skoro nie pozwolono nam zabrać broni do Brazylii, trzeba wykorzystać to, co się ma.

- Żyłkę rybacką przywiązaną do spłuczki w ubikacji i zabawkę?

- To nie jest zwyczajna zabawka, Beatę. To Namco G-Con 45. - Pogłaskał przerośnięty plastikowy pistolet.

- Zdjąłbyś przynajmniej tę nalepkę „PlayStation” - pokręciła głową Beatę.

Harry zrzucił buty i pochylony przebiegł kawałek po suchej popękanej ziemi, na której kiedyś ktoś usiłował założyć trawnik. Dotarł na miejsce, oparł się plecami o ścianę pod oknem i ręką dał znak Beatę. Nie widział jej, ale był świadomy, że sam jest dla niej widoczny na tle białego muru. Spojrzał w niebo, wszechświat był jak na wystawie. Parę sekund później

z wnętrza domu rozległy się ciche, lecz mimo wszystko wyraźne dźwięki komórki. *W grocie Króla Gór. Peer Gynt.* Innymi słowy, facet ma poczucie humoru.

Harry utkwiał spojrzenie w jednej z gwiazd, starając się opróżnić głowę ze wszystkich innych myśli i skupić się wyłącznie na tym, co miał teraz zrobić. Nie udało mu się. Aune powiedział kiedyś, że skoro wiemy, że w samej tylko naszej galaktyce jest więcej słońc niż ziarenek piasku na przeciętnej plaży, to dlaczego zadajemy sobie pytanie, czy we wszechświecie jest gdzieś jakieś życie. Powinniśmy raczej zastanawiać się nad tym, czy istnieje szansa na to, aby ci wszyscy byli pokojowo nastawieni, i ocenić, czy warto ryzykować próbę nawiązania z nimi kontaktu. Harry zacisnął dłoń na pistolecie. To samo pytanie zadawał sobie teraz. Telefon przestał grać Griega. Harry czekał. Potem nabrał powietrza, wyprostował się i po cichu zakradł do drzwi. Nasłuchiwał, lecz dochodziły do niego jedynie cykady. Delikatnie położył rękę na klamce, nastawiając się, że drzwi będą zamknięte.

I rzeczywiście.

Zaklął w duchu. Już wcześniej postanowił, że jeśli okażą się zamknięte i straci w związku z tym moment zaskoczenia, zaczekają z działaniami do następnego dnia i zrobią trochę zakupów w sklepie z artykułami żelaznymi. Wątpił, by w miejscu takim jak to, problemów nastęczał zakup dwóch sztuk w miarę przyzwoitej broni. Przeczynał jednak, że Lev wkrótce otrzyma wiadomość o wydarzeniach dzisiejszego dnia, więc nie będą mieli dużo czasu.

Aż podskoczył, czując nagły ból w prawej stopie. Odruchowo podniósł nogę i spojrzał w dół. W marnym świetle gwiazd ledwie dostrzegł czarną smugę na tle białego muru. Smuga prowadziła od drzwi po schodach, na których właśnie stała jego stopa, i dalej w dół, gdzie zniknęła mu z oczu. Wyjął z kieszeni minilatarkę Maglite, zapalił. To były mrówki. Wielkie żółte półprzezroczyste mrówki, które wędrowały dwiema kolumnami. Jedna wspinała się na górę po schodach, a druga wychodziła spod szpary w drzwiach. Najwyraźniej był to inny gatunek niż znane domowe czarne mrówki. Trudno było dojrzeć, co przenoszą, ale z tego, co Harry wiedział o mrówkach, żółtych czy nie, z całą pewnością coś transportowały.

Zgasił latarkę. Zastanowił się. A potem zszedł po schodach i skierował się w stronę furtki. W połowie drogi zatrzymał się, zawrócił i puścił się biegiem. Proste, na pół spróchniałe drewniane drzwi, trafione dziewięćdziesięciopięciokilogramowym ciężarem ciała Harry'ego, poruszającego się z prędkością prawie trzydziestu kilometrów na godzinę, wyleciały z futryny z obu stron. Przygniótł sobie łokieć, gdy wraz z połamanymi deskami runął na murowaną podłogę. Ból przeszył mu rękę i kark. Leżał w ciemności, czekając na metaliczny zgrzyt odbezpieczenia pistoletu. Ponieważ nie następował, wstał i znów zapalił

latarkę. Wąski promień światła odnalazł kolonię mrówek pod ścianą. Ciepło rozpościerające się spod bandaża na karku powiedziało mu, że znów zaczął krwawić. Powiódł spojrzeniem za lekko połyskującymi odwłokami mrówek, przechodzących po brudnym chodniku do sąsiedniego pokoju. Tam kolumna gwałtownie skręcała w lewo i wędrowała w górę po ścianie. Snop światła odnalazł brzeg obrazu z rysunkiem z *Kamasutry*. Mrówcza karawana omijała go i sunęła dalej po suficie. Harry odchylił głowę w tył. Kark bolał go jak nigdy dotąd. Teraz były tuż nad nim. Musiał się odwrócić. Światło latarki przez moment błędziło po ścianach, nim odnalazło mrówki. Czy to, doprawdy, najkrótsza droga do miejsca przeznaczenia? Więcej Harry nie zdołał pomyśleć, bo stanął twarzą w twarz z Lvem Grette. Jego ciało wznosiło się nad Harrym. Puścił latarkę i cofnął się. I chociaż mózg mówił mu, że jest za późno, to dłonie w szoku pomieszany z obłędem zacisnęły się na Namco G-Con 45.

28 LWAPE

Beatę wytrzymała smród zaledwie przez parę minut, potem musiała wybiec. Stała w ciemności zgięta w pół, kiedy Harry przyszedł za nią, usiadł na schodach i zapalił papierosa.

- Ty tego nie czułeś? - jęknęła Beata, ocierając ślinę z ust.

- Dysosmia - Harry zapatrzył się w żar papierosa. - Częściowa utrata zmysłu powonienia. Niektórych rzeczy już nie czuję. Aune twierdzi, że to dlatego, że nawąchałem się za dużo trupów. Trauma emocjonalna itepe.

Beatę znów szarpnęły mdłości.

- Przepraszam - jęknęła. - To przez te mrówki. Dlaczego te ohydne stworzenia musiały wybrać sobie nozdrza na coś w rodzaju dwukierunkowej szosy?

- Jeśli nalegasz, to mogę ci wytłumaczyć, gdzie w ludzkim ciele znajdują najbardziej bogate w białko fragmenty.

- O, nie, dziękuję. - Przepraszam.

Harry rzucił papierosa na suchą ziemię.

- I tak dobrze sobie poradziłaś tam w środku, Lonn. To coś innego niż oglądanie filmów wideo. - Wstał i wszedł z powrotem do domu.

Lev Grette wisiał na krótkim sznurze przywiązany do haka od lampy. Unosił się pół metra nad podłogą przy przewróconym krześle i to by powód, dla którego do tej pory na zwłoki miały monopol muchy i żółte mrówki, które kontynuowały nieprzerwanie wędrówkę po sznurze.

Beatę znalazła telefon komórkowy z ładowarką na podłodze przy kanapie i

stwierdziła, że może sprawdzić, kiedy ostatnio z niego rozmawiał. Harry przeszedł do kuchni i zapalił światło. Na ułożonej na blacie kartce formatu A4 siedział karaluch w kolorze blue metallic i przez chwilę wymachiwał czułkami, ale zaraz wycofał się za kuchenkę. Harry podniósł kartkę do góry. Była zapisana ręcznym pismem. Czytał już najróżniejsze listy samobójców i rzadko trafiała się wśród nich lepsza literatura. Słynne ostatnie słowa bywały z reguły ogłupiałą paplaniną, rozpaczliwym krzykiem o pomoc albo prozaicznymi instrukcjami dotyczącymi tego, kto ma odziedziczyć opiekacz do chleba i kosiarkę. Jednym z bardziej sensownych listów pożegnalnych, z jakimi Harry miał styczność, była wiadomość pewnego wieśniaka z Maridalen, który napisał kredą na ścianie obory: *W środku wisi trup. Proszę zadzwonić na policję. Przepraszam.* Pod tym względem list Lva Grette był, jeśli nie wyjątkowy, to przynajmniej niezwykły.

Kochany Trondzie!

Zawsze zastanawiałem się, jak on się czuł, kiedy kładka się pod nim rozstąpiła. Kiedy otworzyła się przed nim przepaść i zrozumiał, że oto dzieje się coś bezsensownego, że umiera bez celu. Może wciąż miał jakieś sprawy niezalutowane, może tamtego dnia rano ktoś na niego czekał. Może myślał, że właśnie ten dzień będzie początkiem czegoś nowego. Pod tym względem w pewnym sensie się nie pomylił...

Nigdy ci nie mówiłem, że odwiedziłem go w szpitalu. Zaniósłem mu bukiet róż i powiedziałem, że widziałem wszystko z okna w bloku, zadzwoniłem po karetkę i przekazałem policji rysopis chłopaka w czerwonej kurtce na rowerze. Leżał w łóżku taki mały i szary, dziękował mi. Spytałem go niczym jeden z tych przeklętych komentatorów sportowych: „Co pan wtedy czuł?”

Nie odpowiedział, leżał tylko otoczony wężami i kroplówkami i patrzył na mnie. Potem jeszcze raz mi podziękował. Chwilę później pielęgniarka kazała mi wyjść.

Nigdy więc nie dowiedziałem się, jakie to uczucie. Tak było aż do dnia, kiedy i pode mną otworzyła się przepaść. Nie stało się to w chwili, gdy biegiem przez Industrigata po napadzie, ani wtedy, gdy później liczyłem pieniądze. Ani gdy oglądałem to wszystko jeszcze raz w wiadomościach. To się stało dokładnie tak, jak w przypadku tamtego staruszka. Pewnego ranka, kiedy szedłem i wszystko wydawało mi się takie spokojne i bezpieczne, świeciło słońce, udało mi się bezpiecznie wrócić do d’Ajuda, mogłem odpocząć i znów pozwolić sobie na myślenie. Zacząłem więc myśleć. Pomyślałem, że odebrałem człowiekowi, którego kocham najbardziej na świecie, to, co on kochał najbardziej. Miałem dwa miliony koron na życie, ale nie miałem po co żyć. To było dziś rano.

Nie spodziewam się, że zrozumiesz to, co zrobiłem, Trond. Ze obrabowałem bank, że

ona mnie rozpoznała, że byłem więźniem gry, która kieruje się własnymi zasadami. Na żadną z tych rzeczy nie ma miejsca w Twoim świecie. Nie spodziewam się też, że zrozumiesz to, co teraz zamierzam zrobić. Sądzę jednak, że jesteś w stanie pojąć, że życia też można mieć dość.

Lev

PS. Tamtym razem nie zdziwiło mnie, że staruszek, dziękując mi, nie uśmiechał się. Ale dzisiaj o tym pomyślałem, Trond. Może jednak nie miał nic i nikt na niego czekał. Może gdy przepaść się otworzyła, czuł jedynie ulgę i pomyślał, że na szczęście nie będzie musiał zrobić tego sam.

Kiedy Harry wrócił do pokoju, Beatę stałą na krześle przy zwłokach Lva. Z trudem usiłowała rozgiąć jego sztywne palce, by odbiły się we wnętrzu niedużego błyszczącego metalowego pudełeczka.

- Cholera - powiedziała na jego widok. - Poduszka z tuszem stała na słońcu w hotelu i całkiem wyschła.

- Jeśli nie uda ci się pobrać przyzwoitych odcisków, to będziemy się musieli posłużyć metodą strażaków - odparł Harry.

- To znaczy?

- Ludzie, którzy płoną, odruchowo zaciskają ręce i czasami nawet w wypadku zwęglonych zwłok skóra na koniuszkach palców pozostaje nietknięta, dzięki czemu można dokonać identyfikacji. Czasami chłopcy muszą z przyczyn praktycznych odciąć cały palec, żeby przekazać go do Wydziału Technicznego.

- To się nazywa bezczeszczenie zwłok. Harry wzruszył ramionami.

- Jak spojrzysz na jego drugą rękę, zobaczysz, że już i tak nie ma palca.

- Widziałam. Wygląda na to, że został odcięty. Co to może oznaczać?

Harry podszedł bliżej i zapalił latarkę.

- Rana się nie zagoiła. A mimo to prawie nie ma krwi. To oznacza, że palec został odcięty na długo po tym, jak on się powiesił. Ktoś mógł tu wejść i przekonać się, że Lev sam zrobił za nich robotę.

- Kto?

- No cóż. W niektórych krajach Cyganie karzą złodzieja przez obcięcie palca. Jeśli oczywiście okradł Cygana.

- Chyba mam dobre odciski - stwierdziła Beata, ocierając pot z czoła. - Odcinamy go?

- Nie. Rozejrzemy się tu tylko, posprzątamy po sobie i znikamy. Widziałem budkę telefoniczną na głównej ulicy, wykonam anonimowy telefon na policję i zgłoszę to. Po powrocie do Oslo zadzwonisz i poprosisz o przysłanie protokołu lekarskiego. Nie wątpię, że

zmarł przez zadławienie, ale chciałbym znać czas.

- Co z drzwiami?
- Niewiele da się na to poradzić.
- A z twoim karkiem? Bandaż jest cały czerwony.
- Zapomnij o tym. Bardziej boli mnie ręka, na którą upadłem, wyważając drzwi.
- Bardzo boli?

Harry ostrożnie unióśł rękę i skrzywił się.

- Dopóki nią nie ruszam, wszystko jest dobrze.
- To ciesz się, że nie cierpisz na drgawki z Setesdalen.

Dwie osoby z trzech obecnych w pokoju roześmiały się, ale ich śmiech prędko ucichł.

W drodze powrotnej do hotelu Beatę spytała Harry'ego, czy wszystko mu się zgadza.

- Pod względem technicznym tak. Oprócz tego samobójstwo nigdy mi się nie zgadza. -

Wyrzucił papierosa, który nakreślił ognistą parabolę na tle wręcz materialnej ciemności. - Ale taki już jestem.

29 POKÓI 316

Okno otworzyło się z trzaskiem.

- Tronda nie ma - zgrzytnęło „r”. Tlenione włosy od ostatniego razu najwyraźniej doczekały się kolejnej porcji chemikaliów i przez udręczone loki prześwitywała skóra głowy.

- Byliście na wakacjach na południu? Harry obrócił w stronę kobiety spaloną na słońcu twarz.

- W pewnym sensie. Wie pani, gdzie on jest?

- Pakuje rzeczy do samochodu - odparła, wskazując na drugą stronę domów. - Wydaje mi się, że wybiera się w podróż, biedaczysko.

- Mhm.

Beatę już chciała odejść, ale Harry nie ruszał się z miejsca.

- Pani tu mieszka od jakiegoś czasu?

- O tak, od trzydziestu dwóch lat.

- Wobec tego pamięta pani Lva i Tronda, jak byli mali?

- Oczywiście. Wryli się w pamięć naszej dzielnicy - uśmiechnęła się i wychyliła jeszcze mocniej. - Zwłaszcza Lev. Naprawdę czarujący chłopiec. Wcześniej było widać, że będzie niebezpieczny dla kobiet.

- Niebezpieczny, no właśnie. Słyszała pani być może tę historię o starszym panu,

który spadł z kładki?

Kobieta pociemniała na twarzy i z przejęciem w głosie szepnęła:

- O tak, to było straszne. Słyszałam, że już nigdy nie mógł normalnie chodzić. Kolana mu zeszywniały. Potrafi pan sobie wyobrazić, że dziecko wymyśli coś tak złego?

- Mhm. Ale on zdaje się być prawdziwym łobuziakiem?

- Łobuziakiem? - Przesłoniła oczy dłonią. - Tego bym nie powiedziała. Był uprzejmym, dobrze wychowanym chłopcem. I właśnie dlatego to było takie szokujące.

- I wszyscy w sąsiedztwie wiedzieli, że to on zrobił?

- Wszyscy. Sama widziałam przez okno, jak wyjeżdża stąd na rowerze w czerwonej kurtce. I powinnam byłam zrozumieć, że stało się coś złego, kiedy wrócił. Był biały jak prześcieradło. - Zadrżała, jakby dmuchnął mocniej zimny wiatr. Potem wskazała na drogę.

Trond szedł w ich stronę z rękami zwisającymi po bokach. Zbliżał się coraz wolniej, aż w końcu prawie wcale się nie poruszał.

- Chodzi o Lva, prawda? - spytał, gdy w końcu stanął przed nimi... - Tak - odparł Harry.

- Nie żyje?

Kątem oka Harry dostrzegł otwarte usta twarzy w oknie.

- Tak. Nie żyje.

- To dobrze - powiedział Trond, a potem pochylił się i zakrył twarz dłońmi.

Bjarne Molier stał przy oknie i wyglądał na świat z zatroskaną miną, kiedy Harry wsunął głowę do środka przez uchylone drzwi. Delikatnie zapukał.

Molier odwrócił się i rozjaśnił.

- Cześć.

- Tu jest raport, szefie. - Harry rzucił mu na biurko zieloną papierową teczkę.

Molier usiadł na krześle, przez kilka sekund zmagął się z wciśnięciem długich nóg pod blat biurka, w końcu włożył okulary.

- No właśnie - mruknął, otworzywszy okładkę z napisem „Lista dokumentów”. W środku leżała pojedyncza kartka formatu A4.

- Pomyślałem, że wolicie nie znać wszystkich szczegółów - powiedział Harry.

- Skoro tak sądzisz, to z pewnością masz rację - odparł Molier, przesuwając wzrokiem po liniijkach oddzielonych od siebie sporymi odstępami.

Harry wyjrzał przez okno ponad ramieniem szefa. Nic nie było widać, tylko gęstą mokrą mgłę, która spowijała miasto niczym szara pielucha. Molier odłożył kartkę.

- Więc po prostu pojechaliście tam, ktoś wam powiedział, gdzie ten facet mieszka, no i

znaleźliście Ekspedytora zwisającego ze sznura w suficie?

- W krótkim zarysie tak. Molier wzruszył ramionami.

- Mnie to wystarczy pod warunkiem, że mamy niezbite dowody, że to naprawdę człowiek, którego szukaliśmy.

- Weber rano porównał odciski palców. - I?

Harry usiadł na krześle.

- Odpowiadają tym znalezionym na butelce coli, którą bandyta trzymał w ręku tuż przed napadem.

- Czy możemy być pewni, że to ta sama butelka, która...

- Spokojna głowa, szefie. Mamy i butelkę, i człowieka na filmie wideo. A ty akurat przeczytałeś w raporcie, że mamy też napisany ręcznie list pożegnalny, w którym Lev Grette przed popełnieniem samobójstwa przyznaje się do winy, prawda? Byliśmy rano na Disengrenda i przekazaliśmy tęsmutną wiadomość Trondowi Grette. Pożyczyliśmy od niego stare zeszyty Lva, przechowywane na strychu, i Beatę zaniósł ją do grafologa w Kripos. Stwierdził, że nie ma wątpliwości: list pożegnalny napisała ta sama osoba.

- Tak, tak, chciałem mieć tylko absolutną pewność, zanim z tym wystąpimy, Harry. To pójdzie natychmiast na pierwsze strony, przecież wiesz.

- Musisz się nauczyć bardziej cieszyć, szefie. Harry wstał.

- Właśnie rozwiązaliśmy jedną z najtrudniejszych ostatnio spraw. Powinny tu wisieć serpentyny i balony.

- Z pewnością masz rację - westchnął Molier i, zawahawszy się, spytał: - Ale dlaczego ty się nie cieszysz?

- Ja się z niczego nie ucieszę, dopóki nie rozwiążemy tej drugiej sprawy, wiesz. Halvorsen i ja sprzątamy dzisiaj biurka i od jutra wracamy do sprawy Ellen.

Zatrzymał się w drzwiach, bo Molier chrząknął.

- Tak, szefie?

- Ciekaw jestem po prostu, w jaki sposób doszedłeś do tego, że to, Lev Grette był Ekspedytorem.

- No cóż. Oficjalna wersja mówi, że Beatę rozpoznała go na filmie wideo. Chcesz znać nieoficjalną?

Molier rozmasowywał sztywne kolano. Na twarz znów powróciła mu ta sama zatroskana mina.

- Chyba raczej nie.

- Tak, tak - stwierdził Harry, stając w drzwiach House of Pain.

- Tak, tak - odmrugnęła Beatę, obracając się na krześle i zerkając na obrazy, przewijające się na ekranie.

- Dziękuję za współpracę - powiedział Harry. - I wzajemnie.

Harry stał, bawiąc się pękiem kluczy.

- Tak czy owak, Ivarsson nie powinien się złościć zbyt długo - po wiedział w końcu. - Przypadnie mu należna część szczytów, skoro to jego pomysłem było utworzenie zespołu składającego się z nas dwojga.

- Przynajmniej na jakiś czas - uśmiechnęła się lekko Beatę.

- I pamiętaj, co ci powiedziałem. Wiesz, o kim.

- Nie. - Jej oczy niebezpiecznie zabłysły. Harry wzruszył ramionami.

- To drań. Nie mam sumienia, żeby ci o tym nie powiedzieć.

- Miło cię było poznać, Harry. Drzwi same się za nim zamknęły.

Harry otworzył kluczem drzwi do mieszkania, odstawił torbę podróżną i tę z napisem „PlayStation”, po czym poszedł się położyć. Trzy pozbawione marzeń sennych godziny później obudził go telefon. Obrócił się, zobaczył jaśniejące na budziku cyfry 19.03, spuścił nogi z łóżka, przeszedł na bosaka do przedpokoju, podniósł słuchawkę i powiedział „Cześć, Oystein”, zanim rozmówca zdążył się przedstawić.

- Cześć, jestem na lotnisku w Kairze. Chyba o tej porze mieliśmy się dzwonić, prawda?

- Jesteś uosobieniem punktualności - odparł Harry. - I jesteś pijany.

- Aż tak to nie - wybełkotał urażony Oystein. - Wypiłem tylko dwie Stelle, góra trzy.

Na pustyni trzeba dbać o równowagę płynów. Jestem gotowy i trzeźwy.

- Świetnie. Mam nadzieję, że przekażesz mi więcej dobrych wiadomości.

- Mam, jak mówią lekarze, jedną dobrą, a jedną złą wiadomość. Zacznę od tej dobrej...

- Słucham.

Po długiej przerwie, podczas której słyszał jedynie trzaski, wywołane jakby głębokimi oddechami, Harry spytał:

- Oystein?

- Tak?

- Nie mogę się już doczekać, jak dziecko.

- Co?

- Na tę dobrą wiadomość.

- A tak. No więc... dostałem numer tego abonenta, Harry. *No problemo*, jak tutaj mówią. To numer norweskiej komórki.

- Komórki? To możliwe?

- E-maile można wysyłać bez drutu. Z całego świata. Wystarczy podłączyć komputer do komórki, z której dzwoni się na serwer. To już strasznie stara nowość, Harry.

- No dobrze, ale czy ten abonent ma jakieś nazwisko?

- No... jasne. Ale chłopcy z El Tor go nie znają. Obciążają po prostu norweskiego operatora sieci, w tym wypadku to Telenor, który z kolei przesyła rachunki końcowemu abonentowi. Zadzwońłem więc do informacji w Norwegii i mam to nazwisko.

- No i? - Harry już całkiem oprzytomniał.

- I teraz dochodzimy do tej gorszej wiadomości.

- Mów.

- Sprawdzalesz swój rachunek telefoniczny w ostatnich tygodniach, Harry?

Upłynęło kilka sekund, nim Harry'emu zaczęło się przejaśniać w głowie.

- Moja komórka? Ten drań korzysta z mojej komórki?

- Jak rozumiem, nie znajduje się już w twoim posiadaniu.

- Nie, zgubiłem ją tamtego wieczoru u... Anny. Jasny gwint!

- I nigdy nie przyszło ci do głowy, że mądrze byłoby zlikwidować abonament, skoro komórka zginęła?

- Czy mi nie przyszło do głowy? - Harry jęknął. - Odkąd cała ta cholerna sprawa się zaczęła, przez głowę nie przeszła mi ani jedna rozsądna myśl, Oystein! Przepraszam, że się tak na ciebie złościę, to przecież oczywiste i proste. To dlatego nie odnalazłem potem telefonu u Anny i dlatego on mnie traktuje z góry.

- Przepraszam, jeśli zepsułem ci dzień.

- Chwileczkę - W głosie Harry'ego zabrzmiała nagle radość. - Jeśli zdołamy udowodnić, że on ma moją komórkę, to udowodnimy też, że był u Anny po moim wyjściu!

- Jupi! - rozległo się w słuchawce, a potem już ostrożniejsze: - To znaczy, że mimo wszystko jesteś zadowolony, tak? Halo? Harry?

- Jestem, jestem. Myślę.

- Myślenie jest dobre. Myśl dalej, a ja tu jestem umówiony ze Stellą, i to z niejedną. Jeśli więc mam zdążyć na samolot do Oslo...

- Trzymaj się, Oystein.

Harry stał ze słuchawką w ręku i zastanawiał się, czy nie rzucić nią we własne odbicie w lustrze. Gdy obudził się następnego dnia, miał nadzieję, że rozmowa z Oysteinem tylko mu się przyśniła. I rzeczywiście tak było, śniło mu się sześć albo siedem jej wersji.

*

Raskol siedział ze spuszczoną głową opartą na rękach. Ani się nie ruszał, ani nie przerywał, gdy Harry opowiadał, jak znaleźli Lva Grette, a także o tym, że to własny telefon komórkowy Harry'ego był przyczyną, dla której wciąż nie mieli dowodów przeciwko mordercy Anny. Kiedy skończył, Raskol złożył dłonie i wolno uniósł głowę.

- A więc rozwiązałeś swoją sprawę, natomiast moja pozostaje nierozstrzygnięta.

- Ja tego nie traktuję jako twoją sprawę i moją, Raskol. Moim obowiązkiem...

- Ale ja tak to widzę, *Spiuni* - przerwał mu Raskol. - I to ja prowadzę wojnę.

- Mhm. A co dokładnie przez to rozumiesz? Raskol przymknął oczy.

- Opowiadałem ci, jak król Wu zaprosił Sun Tzu, by ten nauczył nadworne konkubiny sztuki prowadzenia wojny, *Spiuni*?

- Nie.

Raskol uśmiechnął się.

- Sun Tzu był intelektualistą i zaczął od wyjaśniania kobietom komend marszowych, dokładnie i pedagogicznie. Ale kiedy zabiły bębny, kobiety nie maszerowały, tylko chichotały. „Nie rozumiała komenda jest winą generała” - oświadczył Sun Tzu i wyjaśnił wszystko od początku. Ale gdy nakazał marsz, powtórzyło się to samo. „Jeśli podwładni wciąż nie słuchają komendy, to wina oficera” - powiedział i nakazał dwóm swoim ludziom wybrać spośród kobiet dwie przywódczynię. Zostały one ścięte na oczach pozostałych przerażonych kobiet. Gdy król dowiedział się, że dwie jego ulubione konkubiny zostały zgładzone, rozchorował się i musiał spędzić w łóżku wiele dni. A kiedy wstał, przekazał Sun Tzu dowodzenie swoją armią. - Raskol otworzył oczy. - Czego nas uczy ta historia, *Spiuni*?

Harry nie odpowiedział.

- Uczy nas tego, że w organizacji militarnej logika nie może zawodzić, a wszystko trzeba robić z żelazną konsekwencją. Jeśli zabraknie ci tej konsekwencji, to zostaniesz z gromadą rozchichotanych konkubin. Kiedy zwróciłeś się do mnie z prośbą o dalszych czterdzieści tysięcy koron, dostałeś je, ponieważ uwierzyłem w tę historię o zdjęciu w bucie Anny. Ponieważ Anna to Cyganka. Kiedy my, Cyganie, wyruszamy na wędrowkę, zostawiamy *patrin* przy rozstajach dróg. Czerwoną chustkę zawiązaną na gałęzi, kostkę z nacięciami, wszystko ma swoje znaczenie. Zdjęcie oznacza, że ktoś nie żyje. Lub że umrze. Nie mogłeś o tym wiedzieć, więc uwierzyłem w twoją opowieść. - Raskol położył dłonie na stole wnętrzem do góry. - Ale człowiek, który odebrał życie córce mego brata, pozostaje wolny, a gdy teraz na ciebie patrzę, widzę chichoczącą konkubinę, *Spiuni*. Żelazna konsekwencja. Podaj mi jego nazwisko.

Harry głęboko odetchnął. Dwa słowa, cztery sylaby. Gdyby on sam wyjawiał czyn

Albu, jaką karę mógłby ponieść? Umyślne zabójstwo z motywem zazdrości. Dziewięć lat. Wyjdzie po sześciu. A konsekwencje dla samego Harry'ego? Śledztwo z pewnością wykazałoby, że jako policjant zataił prawdę, by podejrzenia nie padły na niego. Strzał samobójczy. Dwa słowa. Cztery sylaby. I wszystkie problemy Harry'ego by się rozwiązały. A żelaznej konsekwencji posmakowałby Albu.

Harry odpowiedział jedną sylabą.

Raskol kiwnął głową i spojrział na niego smutnym wzrokiem.

- Obawiałem się, że tak odpowiesz. Nie pozostawiasz mi wyboru, *Spiuni*. Pamiętasz, co ci odpowiedziałem, gdy mnie spytałeś, dlaczego ci ufam?

Harry kiwnął głową.

- Każdy ma coś, po co żyje, prawda, *Spiuni*? Coś, co można mu odebrać. Czy trzysta szesnaście coś ci mówi?

Harry nie odpowiedział.

- Przypomnę ci więc, że trzysta szesnaście to numer pokoju w hotelu International w Moskwie. Etażowa ma na imię Olga. Niedługo idzie na emeryturę i ma wielką ochotę na długie wakacje nad Morzem Czarnym. Na piętro z dwóch stron prowadzą schody, jest też winda. I jeszcze winda dla personelu. W pokoju stoją dwa oddzielne łóżka.

Harry przełknął ślinę. Raskol oparł czoło na złożonych dłoniach.

- Mały śpi bliżej okna. Harry wstał, podszedł do drzwi i mocno w nie uderzył. Słyszał echo, jakie przetoczyło się przez korytarz. Nie przestał walić w drzwi, dopóki nie usłyszał zgrzytu klucza w zamku.

30 WIBROWANIE

- Sorry, przyjechałem najszybciej jak mogłem - powiedział Oystein, wycofując taksówkę z chodnika przed kioskiem Elmera.

- Witaj z powrotem - odparł Harry, zastanawiając się, czy nadjeżdżający z prawej strony autobus zrozumiał, że Oystein nie ma najmniejszego zamiaru się zatrzymać.

- Mieliśmy jechać na Slemdal? - Oystein udął, że nie słyszy wściekłego klaksonu.

- Bjornetrakket. Wiesz, że masz tu obowiązek ustąpienia pierwszeństwa przejazdu.

- Postanowiłem z tego nie skorzystać.

Harry spojrział na kolegę. W dwóch wąskich szparkach z trudem dawało się dostrzec przekrwione gałki oczne.

- Zmęczony?

- Jet-lag.
- Różnica czasu z Egiptem to tylko godzina, Oystein.
- Co najmniej.

Ponieważ ani amortyzatory, ani sprężyny w siedzeniu nie dawały już rady, Harry czuł każdy kamień bruku i każde złączenie asfaltu, jakie mijali na krętej drodze, prowadzącej do willi państwa Albu, lecz akurat w tej chwili nic już nie mogło go mniej obchodzić. Pożyczył komórkę od Oysteina, zadzwonił do hotelu International i uzyskał połączenie z pokojem trzysta szesnaście. Słyszał radość w głosie Olega, gdy pytał, gdzie jest Harry.

- W samochodzie. A gdzie mama?

- Wyszła.

- Myślałem, że do sądu ma iść dopiero jutro?

- Poszła na spotkanie z tymi wszystkimi adwokatami z Kuźnieckiego Mostu - odparł chłopczyk dorosłym tonem. - Wróci za godzinę.

- Posłuchaj, Oleg, mógłbyś coś przekazać mamie? Powiedz, że musicie się przenieść do innego hotelu. Natychmiast.

- Dlaczego?- Bo... bo ja tak mówię. Po prostu jej to powtórz, dobrze? Zadzwonię później.

- Dobrze.

- Mądry chłopczyk. Muszę już lecieć.

- Posłuchaj... - Co? - Nic.

- No dobrze. Tylko nie zapomnij powtórzyć mamie tego, co ci powiedziałem.

Oystein przyhamował i zjechał na chodnik.

- Zaczekaj tutaj! - Harry wyskoczył z samochodu. - Jeśli nie wrócę za jakieś dwadzieścia minut, dzwoń pod ten numer centrali operacyjnej, który ci podałem. I powiedz, że...

- Komisarz Hole prosi natychmiast o uzbrojony radiowóz. Tyle zrozumiałem.

- Dobrze. A jak usłyszysz strzał, nie czekasz, tylko dzwonisz od razu.

- W porządku. Przypomnij mi tylko, jaki to film.

Harry spojrział na dom. Nie było słyhać ujadania. Wolno minęło ich granatowe bmw i zaparkowało na ulicy kawalek dalej. Poza tym było całkiem cicho.

- Większość - odparł Harry cicho. Oystein uśmiechnął się.

- Fajnie.

Potem między brwiami na czole pojawiła mu się zmarszczka zatroskania.

- Bo jest fajnie, prawda? A nie tylko cholernie niebezpiecznie?

Drzwi otworzyła Vigdis Albu. Ubrana była w świeżo wyprasowaną białą bluzkę i krótką spódnicę, ale zamglony wyraz oczu sprawiał, że wyglądała, jakby właśnie wstała z łóżka.

- Dzwoniłem do pani męża do pracy - oświadczył Harry. - Powiedzieli, że jest dziś w domu.

- Możliwe - odparła. - Ale on już tu nie mieszka. - Wybuchnęła śmiechem. - Niech pan nie wygląda na takiego zdziwionego, panie komisarzu. To przecież pan przyniósł całą tę historię o tej... tej... - Gestykulowała, jakby szukała innego słowa, lecz zrezygnowała, uśmiechając się krzywo, jak gdyby inne słowo nie istniało. - ...dziwce.

- Czy mogę wejść, pani Albu?

Wzruszyła ramionami, zatrzęsała nimi, udając, że się wzdryga.

- Proszę mówić do mnie Vigdis, czy jakkolwiek bądź, byle nie pani Albu.

- Vigdis - Harry uklonił się nisko. - Czy teraz mogę wejść?

Na wąskich jak kreseczki wyregulowanych brwiach pojawiły się kąty. Zawahała się, w końcu machnęła ręką.

- Dlaczego nie?

Harry'emu wydało się, że wyczuwa słaby zapach dżinu, lecz równie dobrze mogły to być także jej perfumy. Nic w domu nie wskazywało na to, że jest inaczej niż zwykle. Było czysto, pachnąco i porządnie, a w wazonie na kredensie stały świeże kwiaty. Harry zauważył, że obicie kanapy stało się odrobinę bardziej white niż off-white od czasu, gdy ostatnio na niej siedział. Z niewidocznych głośników płynęła przyciszona muzyka klasyczna.

- Mahler? - spytał.

- *Greatest hits* - odparła Vigdis. - Arne kupował jedynie składanki. Zawsze powtarzał, że interesuje go wyłącznie to, co najlepsze.

- Miło, że nie zabrał ze sobą wszystkich składanek. Gdzie on zresztą jest?

- Po pierwsze nic, co pan tu widzi, nie jest jego własnością. A gdzie jest, tego nie wiem i nie chcę wiedzieć. Ma pan papierosa, komisarzu?

Harry podał jej paczkę i patrzył, jak męczy się z dużą stołową zapalniczką z drewna tekowego i srebra. Sięgnął przez stół z własną, jednorazówką.

- Dziękuję. Przypuszczam, że jest za granicą, w jakimś ciepłym kraju. Ale obawiam się, że nie jest tam tak gorąco, jakbym tego pragnęła.

- Mhm. Co pani chciała powiedzieć przez to, że nic tutaj nie jest jego własnością?

- Dokładnie to, co powiedziałam. Dom, meble, samochód, wszystko jest moje. - Mocno wydmuchała dym. - Proszę spytać mojego adwokata.

- Sądziłem, że to raczej pani mąż ma pieniądze na...

- Proszę go tak nie nazywać! - Vigdis Albu wyglądała tak, jakby chciała wyssać z papierosa cały tytoń. - Owszem, Arne miał pieniądze. Miał dość pieniędzy, żeby kupić ten dom, te meble, samochody, garnitury, domek letniskowy i biżuterię, którą dawał mi wyłącznie po to, żebym mogła się w niej pokazać naszym tak zwanym przyjaciołom. Jedyną rzecz, jaka dla Arnego miała znaczenie, to właśnie opinia innych. Co myśli jego rodzina, moja rodzina, koledzy z pracy, sąsiedzi, znajomi ze studiów. - Gniew przydawał jej głosowi twardego metalicznego tonu, jak gdyby mówiła przez megafon. - Wszyscy byli publicznością, podziwiającą fantastyczne życie Arnego Albu. Mieli klaskać w dłonie, gdy wszystko układało się jak najlepiej. Gdyby Arne wkładał tyle samo energii w prowadzenie firmy, co w zbieranie pochwał, to być może Albu SA nie stoczyłaby się tak głęboko na dno.

- Mhm. Ale według „Dagens Nærlingsliv” Albu SA było firmą odnoszącą sukcesy.

- Albu było firmą rodzinną, a nie spółką notowaną na giełdzie, która musi publicznie przedstawiać szczegóły swoich wyników. Arne zdołał prezentować się tak, jakby miał zyski, ale tak naprawdę wyprzedawał majątek firmy. - Zgasiła wypalonego do połowy papierosa w popielniczce. - Parę lat temu firma przechodziła ostry kryzys, a ponieważ Arne osobiście odpowiadał za długi, wszystko, dom i cały majątek, przepisał na mnie i na dzieci.

- Mhm. Ale ci, którzy przejęli firmę, nieźle jednak za nią zapłacili. W gazecie napisano, że trzydzieści milionów.

Vigdis zaśmiała się gorzko.

- A więc pan kupił tę historię o odnoszącym sukcesy biznesmenie, który postanawia się wycofać, ponieważ chce się poświęcić rodzinie? Arne jest w tym dobry, to trzeba mu przyznać. Proszę mi pozwolić powiedzieć tak: Arne został postawiony przed wyborem: albo dobrowolnie odda firmę, albo zbankrutuje. Oczywiście wybrał pierwsze rozwiązanie.

- A tych trzydzieści milionów?

- Arne potrafi być czarujący jak wszyscy diabli, jeśli tylko zechce. Ludzie łatwo mu wtedy wierzą. Umie negocjować, zwłaszcza gdy znajdzie się w trudnej sytuacji. Właśnie dzięki temu bank i dostawcy tak długo utrzymywali firmę przy życiu. Podczas rozmowy z dostawcą, który przejął firmę, choć właściwie powinno się to zakończyć bezwarunkową kapitulacją, Arnemu udało się załatwić dwie rzeczy: zachował dom letniskowy, który wciąż pozostawał zapisany na niego, i nakłonił kupującego do wpisania sumy kupna na trzydzieści milionów. To ostatnie nie miało dla nich żadnego znaczenia, gdyż i tak wszystko szło na pokrycie ich wierzytelności w Albu SA. Ale dla wizerunku Arnego Albu miało to oczywiście ogromne znaczenie. Udało mu się bankructwo przemienić w złoty interes. A to, cholera,

całkiem nieźle, prawda?

Głośno się śmiejąc, odchyliła głowę do tyłu. Harry zauważył pod brodą maleńką bliznę po operacji plastycznej.

- A co z Anną Bethsen? - spytał.

- Z tą jego dziwką? - skrzyżowała szczupłe nogi, odgarnęła palcem włosy z twarzy i popatrzyła przed siebie z obojętną miną. - Była jedynie zabawką. Głupstwo, które popełnił, polegało na tym, że miał zbyt wielką ochotę pochwalić się chłopakom swoją cygańską kochanką. A nie wszyscy, których Arne uważał za przyjaciół, poczuwali się, mówiąc oględnie, do szczególnej lojalności wobec niego. Krótko mówiąc, dotarło to do mnie.

- I?

- Dałam mu kolejną szansę. Ze względu na dzieci. Jestem rozsądną kobietą. - Popatrzyła na Harry'ego spod ciężkich powiek. - Ale on tej szansy nie wykorzystał.

- Może zorientował się, że stała się dla niego kimś więcej niż tylko zabawką?

Nie odpowiedziała, ale wąskie, cienkie wargi zrobiły się jeszcze węższe.

- Czy on miał jakiś pokój do pracy czy coś w tym rodzaju? - spytał Harry.

Vigdis Albu skinęła głową. Poszła przodem po schodach.

- Czasami zamykał się i spędzał tu pół nocy. - Otworzyła drzwi do pokoju na poddaszu z widokiem na dachy sąsiednich domów.

- Pracował?

- Surfował w Internecie. Oszalał na tym punkcie. Twierdził, że ogląda samochody, ale Bóg jeden wie, co robił.

Harry podszedł do biurka i wyciągnął jedną z szuflad.

- Opróżniona?

- Zabrał ze sobą wszystko, co tu miał. Zmieściło się w plastikowej torbie.- Komputer też?

- To był tylko laptop.

- Do którego od czasu do czasu podłączał komórkę? Lekko uniosła brew.

- O tym nic nie wiem.

- Tak się tylko zastanawiałem.

- Chce pan zobaczyć coś jeszcze?

Harry odwrócił się. Vigdis Albu stała oparta o futrynę z jedną ręką nad głową, a drugą na biodrze. Poczucie *deja-vu* było przytłaczające.

- Ostatnie pytanie, pani... Vigdis.

- Tak? Spiesz się panu, komisarzu?

- Licznik w taksówce bije. Pytanie jest dość proste: sądzi pani, że on mógł ją zabić?

Popatrzyła na Harry'ego zamyślona, obcasem buta lekko stukając o próg. Harry czekał.

- Wie pan, jakie były jego pierwsze słowa, gdy oświadczyłam, że wiem o tej jego dziwce? „Obiecuj, że nikomu o tym nie powiesz, Vigdis”. Ja miałam o tym nikomu nie mówić. Dla Arnego wyobrażenia innych o tym, że jesteśmy szczęśliwym małżeństwem, były ważniejsze od rzeczywistości. Moja odpowiedź, panie komisarzu, brzmi: Nie mam pojęcia, do czego on jest zdolny. Nie znam tego człowieka.

Harry z wewnętrznej kieszeni wyjął wizytówkę.

- Proszę, by pani do mnie zadzwoniła, jeśli on się z panią skontaktuje lub jeśli dowie się pani, gdzie on przebywa. Natychmiast.

Vigdis popatrzyła na wizytówkę z lekkim uśmiechem na bladoróżowych wargach.

- Tylko wtedy, komisarzu? Harry nie odpowiedział.

Na zewnętrznych schodach jeszcze się do niej odwrócił.

- A czy powiedziała pani o tym komukolwiek?. - O tym, że mąż mnie zdradza? A jak pan myśli?

- No cóż, sądzę, że jest pani rozsądnie myślącą kobietą. Uśmiechnęła się szeroko.

- Osiemnaście minut - powiedział Oystein. - Jasny gwint, ale mi puls przyspieszył!

- Dzwoniłeś na stary numer mojej komórki w czasie, kiedy byłem w środku?

- Jasne. Cały czas dzwoniłem.

- Nie słyszałem kompletnie nic. Już go tam nie ma.

- Przepraszam, ale słyszałeś o wibracjach?

- O czym?

Oystein udał atak epilepsji.

- O czymś takim. O wibrujących komórkach. *Sileni phone*.

- Mój telefon kosztował koronę i tylko dzwonił. On go zabrał ze sobą. Gdzie się podziało to granatowe bmw, które tu wcześniej stało?

- Co?

Harry westchnął.

- Jedźmy.

31 MAGLITE

- Twierdzisz, że jakiś szaleniec ściga nas, ponieważ ty nie możesz odnaleźć osoby,

która zamordowała jego krewną? - Głos Rakel nieprzyjemnie trzeszczał w telefonie.

Harry zamknął oczy. Halvorsen poszedł do Elmera, więc miał pokój tylko dla siebie.

- Krótko mówiąc, tak. Zawarłem z nim umowę. I on swojej części dotrzymał.

- A to oznacza, że my jesteśmy ściganą zwierzyną? Dlatego muszę uciekać z hotelu z moim synem, który za kilka dni się dowie, czy będzie musiał rozstać się z matką, czy nie? Dlatego... dlatego... - Jej głos przeszedł w wyższy rejestr, w gniewną poszarpaną skalę.

Harry pozwalał jej mówić, nie przerywał.

- Dlaczego, Harry?

- Z najstarszego powodu na świecie. Krwawa zemsta. Wendeta.

- Co to ma wspólnego z nami?

- Jak już mówiłem, nic. Ty i Oleg nie jesteście celem, tylko środkiem. Ten człowiek pomszczenie zabójstwa uważa za swój obowiązek. - Obowiązek? - Głos Rakel aż zaświdrował w uszach. - Zemsta to działanie na poziomie obrony terytorium, uprawiane przez was, mężczyzn, i nie chodzi tu o żaden obowiązek, tylko o popędy na poziomie neandertalczyków!

Uznał wreszcie, że skończyła.

- Bardzo mi przykro, ale teraz nie mogę nic z tym zrobić. Nie odpowiedziała.

- Rakel? - Tak.

- Gdzie jesteście?

- Jeśli prawdą jest, że znaleźli nas tak - łatwo, to nie wiem, czy będę ryzykować i mówić ci o tym przez telefon.

- Okej. Czy to bezpieczne miejsce?

- Tak mi się wydaje.

- Mhm.

W tle zabrzmiał jakiś głos mówiący po rosyjsku, jakby przez krótkofalówkę.

- Dlaczego nie możesz mnie po prostu zapewnić, że jesteśmy bezpieczni, Harry? Powiedzieć, że to jakiś wymysł, że oni tylko blefują. - Głos zaczął jej się załamywać. - Dlaczego nie możesz mi powiedzieć czegokolwiek?

Trochę to trwało, zanim Harry odparł powoli i wyraźnie:

- Ponieważ konieczne jest, żebyś się bała, Rakel. Bała na tyle, by postępować właściwie.

- To znaczy? Odetchnął głęboko.

- Załatwię to, Rakel. Obiecuję. Załatwię.

-

Gdy tylko Rakel się rozłączyła, Harry natychmiast zadzwonił do Vigdis Albu.

Podniosła słuchawkę po pierwszym dzwonku.

- Dzień dobry, mówi Hole. Siedzi pani przy telefonie i na kogoś czeka, pani Albu?

- A jak pan myśli? Harry po niewyraźnych słowach zorientował się, że po jego wyjściu musiała wypić jeszcze kilka drinków.

- Nie mam pojęcia. Ale chciałbym, by zgłosiła pani zaginięcie męża.

- Po co? Wcale za nim nie tęsknię.

- Cóż, muszę mieć powód, by wszcząć poszukiwania. Może pani wybierać, albo sama pani zgłosi zaginięcie, albo zostanie wszczęte śledztwo w sprawie o morderstwo.

Nastąpiła długa chwila ciszy.

- Nie rozumiem pana, panie policjancie.

- Tu nie ma co rozumieć, pani Albu. Czy mam zgłosić, że zgłosiła pani jego zaginięcie?

- Chwileczkę! - zawołała.

Harry na drugim końcu linii usłyszał brzęk tłuczonej szklanki.

- O czym pan mówi? Przecież Arne już jest poszukiwany.

- Owszem, przeze mnie, ale na razie jeszcze nikogo o tym nie informowałem.

- Tak? A ci trzej śledczy, którzy byli tu po pana wyjściu?

Harry miał wrażenie, że ktoś zimnym palcem powiódł mu wzdłuż kręgosłupa.

- Jacy trzej śledczy?

- Czy wy w policji się ze sobą nie porozumiewacie? W ogóle nie chcieli wyjść, nawet trochę się wystraszyłam.

Harry już podnosił się z krzesła.

- Czy przyjechali granatowym bmw, pani Albu?

- Nie pamiętasz, co mówiłam o zwracaniu się do mnie na pani, Harry?

- Co im pani powiedziała?

- Co im powiedziałam? Nic takiego, czego bym nie powiedziała tobie. Obejrżeli kilka zdjęć i... nie byli wprost niemili, ale...

- Co takiego im pani powiedziała, że wyszli?

- Ze wyszli?

- Nie wyszliby, gdyby nie dowiedzieli się tego, po co przyjechali. Proszę mi uwierzyć, pani Albu.

- Harry, dość już mam przypominania o...

- Proszę się zastanowić, to ważne.

- Na miłość boską, człowieku, przecież tłumaczę, że nic nie powiedziałam, tylko... No

tak, puściłam tylko wiadomość, którą Arne zostawił mi na sekretarce. Zaraz potem wyszli.

- Mówiła pani, że z nim nie rozmawiała.- Bo to prawda. Zostawił mi tylko wiadomość, że zabiera Gregora. I rzeczywiście w tle słychać było szczekanie.

- Skąd on dzwonił?

- A skąd ja mogę wiedzieć?

- Oni w każdym razie zrozumieli. Może mi pani puścić to nagranie?

- Ale on mówi tylko...

- Bardzo proszę zrobić to, o co proszę. To sprawa... - Harry usiłował wyrazić to oględniej, ale zrezygnował. -...życia i śmierci.

Harry niewiele wiedział o komunikacji. Nie miał pojęcia, że obliczenia wykazały, iż budowa dwóch linii tunelu w okolicach Vinterbro i przedłużenie autostrady usunie korki z E6 na południe od Oslo. Nie wiedział, że najważniejszym argumentem tej miliardowej inwestycji nie było wcale dobro wyborców dojeżdżających do pracy z Moss i Drobak, lecz bezpieczeństwo na drogach, ani że we wzorze, którym władze odpowiedzialne za ruch drogowy posługiwały się przy obliczaniu społecznej opłacalności, jedno ludzkie życie wyceniono na 20,4 miliona koron, wliczając w nie dojazd karetki, konieczność zmiany organizacji ruchu i utracone w przyszłości podatki. Kiedy bowiem przepychał się na południe w korku drogą E6 w mercedesie Oysteina, nie wiedział nawet, na ile wycenia życie Arnego Albu. A już na pewno nie miał pojęcia, co można zyskać, ratując je. Wiedział jedynie, że nie może ryzykować straty, na którą go nie stać. Pod żadnym względem. Równie dobrze więc mógł się nad tym nie zastanawiać. Nagranie, które Vigdis Albu puściła mu przez telefon, trwało zaledwie pięć sekund i zawierało tylko jedną wartościową informację. Ale już samo to wystarczyło. Nie kryła się ona w dziewięciu krótkich słowach, wypowiedzianych przez Arnego Albu przed odłożeniem słuchawki. „Zabrałem Gregora. Chcę po prostu, żebyś o tym wiedziała”.

Nie tkwiła również w słyszalnym w tle ujadaniu Gregora. Ważne były zimne krzyki. Krzyki mew.

Zrobiło się już ciemno, gdy wreszcie pojawił się znak z informacją o zjeździe na Larkollen.

Przed domem stał jeep cherokee, ale Harry pojechał dalej, aż do placyku, gdzie dało się zawrócić. Tu też nie dostrzegł granatowego bmw.

Zaparkował tuż przy domu. Nie było sensu się zakradać. Już wcześniej przez otwarte okno usłyszał ujadanie.

Zdawał sobie sprawę, że powinien był zabrać broń. Nie dlatego, by miał powody

przypuszczać, że Arne Albu jest uzbrojony, gdyż ten nie mógł wiedzieć, że ktoś czyha na jego życie. Ale oni dwaj nie byli już jedynymi aktorami w tym przedstawieniu.

Wysiadł z samochodu, nic widział już ani nie słyszał mew. Pomyślał, że może krzyczą wyłącznie za dnia.

Gregor był przywiązany do balustrady przy schodach przed wejściowymi drzwiami. Zęby błysnęły w świetle księżycy, a Harry poczuł ciarki we wciąż obolałym karku, ale zmusił się, by dalej iść ku szczekającemu psu długim spokojnym krokiem.

- Pamiętasz mnie? - spytał Harry szeptem, gdy znalazł się już tak blisko, że mógł dosłownie dotknąć szarego oddechu rottweilera. Napięta smycz aż drżała. Harry przykucnął i ku jego zdumieniu szczekanie straciło nieco na sile. Zachrypnięcie świadczyło o tym, że pies ujada już od pewnego czasu. Gregor wysunął przednie łapy przed siebie, opuścił łeb i przestał szczekać. Harry sięgnął do drzwi. Były zamknięte na klucz. Nasłuchiwał. Czyżby usłyszał jakiś głos w środku? W salonie się świeciło.

- Arne Albu! Brak odpowiedzi.

Zaczekał chwilę i spróbował jeszcze raz.

Klucza w lampie nie było. Wybrał więc odpowiedniej wielkości kamień, wspiął się na balustradę, zbił szkło w jednej z małych szybek w drzwiach werandy, wsunął rękę do środka i otworzył.

W salonie nie było widać oznak walki, a jedynie pospiesznego wyjazdu. Książka rozłożona na stole. Harry podniósł ją. *Makbet* Szekspira. Jedna linijka tekstu była obwiedziona niebieskim długopisem: „Nie mam słów: mój wszystek głos jest w tym mieczu”. Rozejrzał się, ale nigdzie nie zauważył długopisu. Używane było jedynie łóżko w mniejszej sypialni. Na nocnym stoliku dostrzegł magazyn dla mężczyzn „Vi menn”.

W kuchni cicho szemrało nieduże radio, ustawione mniej więcej na P4. Harry je wyłączył. Na blacie leżał rozmrożony już surowy antrykot i wciąż owinięte w folię brokuły. Harry zabrał antrykot i wyszedł do wiatrołapu. Rozległo się skrobanie do drzwi, otworzył. Para brązowych psich oczu patrzyła na niego, a raczej na mięso, które ledwie zdążyło wylądować na schodach z mokrym plaśnięciem, gdy zostało rozerwane na strzępy.

Harry obserwował żarłocznego zwierzaka, zastanawiając się, co robić. Jeśli w ogóle było coś do zrobienia. Arne Albu nie czytał Szekspira. Tego był pewien.

Gdy ostatni kawałek mięsa zniknął, Gregor z nową siłą zaczął szczekać na drogę. Harry podszedł do balustrady, odwiązał psa i ledwie zdołał utrzymać się na nogach na wilgotnej ziemi, gdy Gregor spróbował mu się wyrwać. Pies pociągnął go ścieżką, przebiegł przez drogę i ruszył w dół stromego zbocza, z którego Harry w oddali dostrzegł czarne fale

rozbijające się o skały w pianę, jaśniejącą w bladym świetle księżyca. Musieli brodzić w wysokiej mokrej trawie, lepiącej się Harry'emu do tydek, jak gdyby chciała ich zatrzymać. Ale dopiero gdy pod martensami zachrząścił żwir i piasek, Gregor stanął. Krótki tępy ogon sterczał prosto do góry. Zatrzymali się na brzegu. Był pełen przyływ, fale sięgały niemal do sztywnej trawy, a z piany pozostającej na piasku po cofającej się wodzie unosił się szum jak musowanie dwutlenku węgla. Gregor znów zaczął ujadać.

- Wyplłynął stąd łodzią? - spytał Harry na poły Gregora, na poły samego siebie. - Sam czy też miał towarzystwo?

Nikt mu nie odpowiedział. Jasne było, że ślady urywają się tutaj. Ale gdy Harry pociągnął za obrozę, rottweiler nie pozwolił się ruszyć, Harry zapalił więc swoją latarkę i skierował ją na morze. Widział jedynie białe szeregi fal, przypominające smugi kokainy na ciemnym lusterku. Najwyraźniej nadbrzeżna pływająca sięgała daleko. Pociągnął za smycz, ale wtedy Gregor zaczął kopać w piasku, towarzyszyło temu przejmujące wycie.

Harry westchnął, zgasił latarkę i wrócił do domu letniskowego. Zrobił sobie filiżankę kawy w kuchni, nasłuchując odległego szczekania. Wyplukawszy filiżankę, wrócił na brzeg i znalazł w skale zagłębienie, w którym mógł się schronić przed wiatrem. Zapalił papierosa i usiłował myśleć. Potem owinał się płaszczem i zamknął oczy.

Pewnej nocy, kiedy leżeli w jej łóżku, Anna coś powiedziała. Musiało to być pod koniec tych sześciu tygodni, a on bardziej trzeźwy niż zazwyczaj, skoro to zapamiętał. Mówiła, że jej łóżko jest statkiem, a ona i Harry to dwoje samotnych rozbitków, dryfujących po morzu i śmiertelnie przerażonych tym, że nagle w polu widzenia może pojawić się ląd. Czy właśnie tak się stało? Czy zobaczyli gdzieś ląd? Nie zapamiętał tego tak, raczej wspominał to jako skok za burtę. Ale może pamięć go zawodziła.

Zamknął oczy i próbował przypomnieć sobie jej obraz. Nie z tamtego razu, gdy byli rozbitkami, lecz gdy widział ją ostatnio. Zjedli kolację. To oczywiste. Nalała mu czegoś. Wina? Spróbował? Najwyraźniej. Nalała drugi raz. Stracił poczucie rzeczywistości. Sam sobie dolał. Ona się z niego śmiała. Całowała go, tańczyła dla niego. Szeptala mu do ucha czule słówka tak jak kiedyś. Opadli na łóżko i zarzucili cumę. Czy naprawdę przychodziło jej to z taką łatwością? Jemu?

Nie, tak być nie mogło.

Ale niczego przecież nie wiedział na pewno, prawda? Nie mógł z całą pewnością odrzucić tego, że leżał z uśmiechem uniesienia na ustach w łóżku na Sorgenfrigata, ponieważ odnalazł dawną kochankę, podczas gdy Rakel nie mogła zasnąć i gapiała się w sufit w hotelu w Moskwie pełna obaw, że straci dziecko.

Harry skulił się. Wilgotny zimny wiatr przewiewał go na wskroś, jakby był upiorem. Dotychczas udawało mu się odsuwać te myśli od siebie, lecz teraz napłynęły wszystkie: Skoro nie mógł mieć pewności, że nie jest w stanie zdradzić tego, co cenił w życiu najbardziej, to skąd mógł wiedzieć, co jeszcze zrobił? Aune twierdził, że alkohol jedynie wzmacnia lub osłabia cechy, które człowiek nosi w sobie już wcześniej. Ale kto wie na pewno, co w sobie nosi? Ludzie nie są robotami, a chemia mózgu z czasem się zmienia. Kto posiada pełny spis tego, co - zakładając właściwe okoliczności i błędne leczenie - człowiek może zrobić?

Harry trząsał się i przeklinał. Teraz już wiedział. Wiedział, dlaczego musi odnaleźć Arnego Albu i wydusić z niego przyznanie się do winy, zanim inni zmuszą go do milczenia. Nie dlatego, że policyjna robota weszła mu w krew ani dlatego, że państwo prawa stało się jego sprawą osobistą. On po prostu musiał wiedzieć. Arne Albu zaś był jedynym człowiekiem, który mógł to potwierdzić.

Harry przymknął oczy, słuchając gwizdów wiatru wśród granitu ponad leniwym monotonnym rytmem fal.

Kiedy znów je otworzył, nie było już tak ciemno. Wiatr przegnał chmury z nieba i nad głową lekko świeciły gwiazdy. Księżyc się przesunął. Harry spojrzął na zegarek. Tkwił tam już blisko godzinę. Gregor frenetycznie ujadał na wodę. Harry, zdrętwiały, zdołał wreszcie podnieść się na nogi i z trudem podszedł do psa. Przyciąganie księżyca zmieniło adres. Poziom wody opadł i Harry szedł teraz po szerokiej piaszczystej plaży.

- Chodź, Gregor, niczego tu nie znajdziemy.

Pies kłapnął szczękami, kiedy Harry ujął go za obrozę, więc odruchowo się cofnął. Zmrużonymi oczyma popatrzył na wodę. Światło księżyca odbijało się w czarnej toni, lecz dostrzegł teraz coś, czego nie widział, gdy morze osiągnęło najwyższy poziom. Wyglądało to na czubki dwóch pali do cumowania łodzi, wystające lekko ponad powierzchnię wody. Harry podszedł na sam brzeg i znów zapalił latarkę.

- Boże Świąty - szepnął.

Gregor wskoczył do wody, Harry też zaczął brodzić. Do tego miejsca było jakieś dziesięć metrów, lecz mimo to woda sięgała Harry'emu nie wyżej niż do pół łydki. Zobaczył parę butów. Ręcznie szytych. Włoskich. Poświecił latarką w wodę, światło wydobyło niebieskosine nagie łydki sterczące jak dwa blade nagrobki.

Krzyk Harry'ego porwany wiatrem utonął w szumie fal, ale latarka, którą wypuścił z ręki, pochłonięta przez wodę, leżała na piaszczystym dnie i świeciła jeszcze przez blisko dobę.

Kiedy latem następnego roku odnalazł ją chłopczyk i zaniósł ojcu, słona woda zdążyła już przeżreć czarną osłonę i żaden z nich nie połączył latarki mini Maglite z makabrycznym znaleziskiem, jakie miało miejsce w ubiegłym roku, o którym rozpisywały się gazety, a które w letnim słońcu wydawało się nieskończenie dalekie.

Część piąta

32 DAVID HASSELHOFF

Biała kolumna porannego światła przebiła warstwę chmur, tworząc na fiordzie to, co Tom Waaler nazywał jezusowym światłem. Kiedyś w domu wisiało sporo podobnych obrazków. Dał krok ponad plastikową taśmą, odgradzającą miejsce przestępstwa. Nigdy się nie schylał, zawsze przechodził górą, to leżało w jego naturze. Tak powiedzieliby ci, którym wydawało się, że go znają. Mieli rację co do tego pierwszego punktu, ale w drugim się mylili: Tom Waaler nie uważał, by ktokolwiek go znał, i podobny stan rzeczy zamierzał utrzymywać dalej.

Przyłożył nieduży cyfrowy aparat do stalowoniebieskich szkieł ciemnych okularów marki Police, których miał w domu z tuzin. Podarunek od wdzięcznego klienta, tak samo zresztą jak aparat. Ramka klatki objęła dziurę w ziemi i leżące obok zwłoki, ubrane w czarne spodnie i koszulę, która kiedyś była biała, ale teraz zbrązowiła od gliny i piasku.

- Kolejne zdjęcie do prywatnej kolekcji? - spytał Weber.

- To coś nowego - odparł Waaler, nie podnosząc głowy. - Lubię morderców z fantazją. Zidentyfikowaliście człowieka?

- Arne Albu. Czterdzieści dwa lata, żonaty, troje dzieci. Miał, zdaje się, sporo pieniędzy. Był właścicielem domku letniskowego tu, niedaleko.

- Ktoś coś widział albo słyszał?

- Przepytyują w sąsiedztwie, ale sam widzisz, jak tu pusto.

- Może ktoś w hotelu? - Waaler wskazał na duży żółty budynek z drewna na końcu plaży.

- Wątpię - odparł Weber. - O tej porze roku nie ma tu żywej duszy.

- Kto znalazł tego faceta?

- Był anonimowy telefon z budki w Moss. Na policję w Moss.

- Morderca?- Raczej nie. Mówił, że zobaczył nogi wystające z morza, kiedy wyszedł na spacer z psem.

- Mamy tę rozmowę nagraną? Weber pokręcił głową.

- Nie dzwonił na numer alarmowy.

- Coś z tego wyciągniecie? - Waaler skinął głową na zwłoki.

- Lekarze przygotowują swój raport, ale mnie wygląda na to, że został żywcem pogrzebany. Na ciele brak zewnętrznych oznak przemocy, ale krew w nosie i w ustach, a także popękane naczynka w oczach świadczą o dużej koncentracji krwi w rejonie głowy. Poza tym znaleźliśmy piasek głęboko w przetyku, co wskazuje, że oddychał, kiedy został zakopany.

- Rozumiem. Coś jeszcze?

- Przy jego domku letniskowym, który stoi na tym wzgórzu, był przywiązany pies. Duży paskudny rottweiler. W zaskakująco dobrej formie. Drzwi wejściowe nie były zamknięte, w środku żadnych śladów rękoczynów.

- Innymi słowy zwyczajnie weszli do środka, zagrozili mu bronią, uwiązali psa, wykopali dla niego dół i kazali mu skoczyć na główkę.

- Owszem, jeśli było ich więcej.

- Wielki rottweiler, półtorametrowy dół. Myślę, że możemy tak stwierdzić, Weber.

Weber nie odpowiedział. Nigdy nie miał nic przeciwko pracy razem z Waalerem, facet był obdarzony talentem śledczym, jakich mało, jego wyniki mówiły same za siebie. Nie oznaczało to jednak, że Weber musi go lubić, chociaż „nie lubić” też nie było właściwym określeniem. Jego stosunek do Waalera przywołał po chwili zastanowienia na myśl test na spostrzegawczość, „znajdź siedem błędów na obrazku”, kiedy to trudno jest stwierdzić, w czym rzecz, ale wiadomo, że coś nie pasuje. Właśnie, nie pasuje. To dobre określenie.

Waalera przykucnął przy zwłokach. Wiedział, że Weber go nie lubi. Trudno. Weber był starym policjantem z Wydziału Techniki Kryminalistycznej, który nie miał żadnych planów i w żaden sposób nie mógł wywrzeć wpływu na karierę młodego komisarza czy w ogóle na jego życie. Krótko mówiąc, Waaler nie czuł potrzeby, by Weber go lubił.

- Kto go zidentyfikował?

- Przyszło paru miejscowych, popatrzeć. Właściciel sklepu spożywczego go poznał. Sprowadziliśmy tu jego żonę z Oslo. Potwierdziła, że to Arne Albu.

- Gdzie jest teraz?

- W domku.

- Ktoś z nią rozmawiał? Weber wzruszył ramionami.

- Lubię być pierwszy - powiedział Waaler i zrobił zdjęcie twarzy nieboszczyka w zbliżeniu.

- Sprawę prowadzi komenda w Moss. Nas wezwano jedynie do pomocy.

- To my mamy doświadczenie - przypomniał Waaler. - Czy ktoś w uprzejmy sposób wytłumaczył to tym wieśniakom?

- Paru z nas prowadziło już śledztwo w sprawie morderstwa - rozległ się głos za ich plecami.

Waalera podniósł wzrok i zobaczył uśmiechniętego mężczyznę w policyjnej czarnej skórzanej kurtce. Na pagonach widniała jedna gwiazdka i złote brzegi.

- *No hard feelings* - zaśmiał się komisarz z Moss. - Bez obrazy. Jestem Paul Sorensen. A ty to na pewno komisarz Waaler.

Tom Waaler krótko kiwnął głową, nie zwracając uwagi na to, że Sorensen wykonał gest, jakby chciał mu podać rękę. Nie lubił kontaktu cielesnego z mężczyznami, których nie znał. Zresztą z tymi, których znał, również. W kwestii kobiet sprawa wyglądała inaczej. Przynajmniej dopóki to on decydował. A tak było.

- Nigdy nie zajmowaliście się taką sprawą jak ta, Sorensen - powiedział, odchylając powiekę zmarłego i odsłaniając przekrwioną gałkę oczną. - To nie jest bójka z użyciem noża w knajpie ani zbłąkany strzał oddany po pijaku. Przecież właśnie dlatego do nas zadzwoniliście, prawda?

- To rzeczywiście nie wygląda na sprawę lokalną - potwierdził Sorensen.

- Wobec tego proponuję, abys razem ze swoimi chłopakami siedział cicho i pilnował miejsca zdarzenia. A ja pójdę porozmawiać z żoną tego trupa.

Sorensen roześmiał się, jak gdyby Waaler opowiedział niezły dowcip, ale urwał na widok brwi uniesionych nad okularami police. Tom Waaler wyprostował się i skierował w stronę zabezpieczeń policyjnych. Wolno policzył do trzech, a potem nie odwracając się, zawołał:

- I zabierzcie ten wasz samochód, który zaparkowaliście na placu do zawracania. Nasi technicy szukają śladów samochodu mordercy. Z góry dziękuję.

Nie musiał się odwracać, by wiedzieć, że uśmiech zniknął z dobroduszej twarzy Sorensena. I że dochodzenie w miejscu popełnienia przestępstwa przejęła właśnie Komenda Okręgowa w Oslo.

- Pani Albu? - spytał Waaler, wchodząc do salonu. Stwierdził, że chce mieć to prędko za sobą. Był umówiony na lunch z obiecującą dziewczyną, którą planował zatrzymać na trochę dłużej.

Vigdis Albu podniosła oczy znad albumu z fotografiami, który właśnie, przeglądała.

- Słucham?

Tomowi Waalerowi spodobało się to, co zobaczył. Starannie wypielęgnowane ciało,

pewność siebie w sposobie siedzenia, poza przypominająca prezenterkę telewizyjną Dorthe Skappel - świadcząca o pewności siebie, rozpięty trzeci guzik przy bluzce. Spodobało mu się także to, co usłyszał: miękki głos, jakby stworzony dla tych szczególnych słów, których lubił słuchać od swoich kobiet. Spodobały mu się też usta, budzące nadzieję, że padną z nich te słowa.

- Komisarz Tom Waaler - przedstawił się, siadając naprzeciwko niej. - Rozumiem, jakim to musiało być dla pani szokiem, i chociaż zabrzmiało to jak banał, który dla pani nie ma w tej chwili żadnego znaczenia, to jednak chciałbym powiedzieć, że pani współczuję. Sam niedawno straciłem bliską mi osobę.

Zawiesił głos. Aż do chwili, gdy ona w końcu podniosła wzrok i popatrzyła mu w oczy. Były zamglone. Waaler w pierwszej chwili pomyślał, że to przez łzy. Zrozumiał, że jest pijana, dopiero wtedy, gdy odpowiedziała:

- Ma pan papierosa?

- Proszę mi mówić Tom. Przykro mi, nie palę.

- Jak długo muszę tu zostać, Tom?

- Postaram się załatwić wszystko tak, by mogła pani wyjechać jak najszybciej. Muszę jedynie zadać kilka pytań, w porządku?

- W porządku.

- To dobrze. Czy ma pani jakiś pomysł, kto mógł pragnąć pozbawić życia pani męża?

Vigdis Albu oparła brodę na rękę i wyjrzała przez okno.

- Gdzie ten drugi policjant, Tom?

- Słucham? Jaki policjant, pani Albu?

- Harry. To przecież on prowadzi tę sprawę, prawda?

Najważniejszą przyczyną, dla której Tom Waaler robił karierę w policji szybciej niż ktokolwiek inny z jego rocznika, było to, że zrozumiał, że nikt, nawet adwokaci, nie zadawali pytań o sposoby zdobywania dowodów, jeśli tylko wina oskarżonego została w dostateczny sposób udowodniona. Drugą z kolei przyczyną były jego bardzo wrażliwe włoski na karku. Oczywiście zdarzało się, że nie reagowały wtedy, gdy powinny. Nigdy jednak się nie zdarzyło, by zareagowały wtedy, gdy nie powinny. A teraz zareagowały.

- Pani Albu, czy pani mówi o Harrym Hole?

- Możesz się tutaj zatrzymać.

Tomowi Waalerowi wciąż podobał się ten głos. Zjechał na chodnik, pochylił się do przodu na siedzeniu i spojrzał na różowy dom królujący na szczycie wzgórza. Popołudniowe słońce odbiło się od czegoś przypominającego zwierzę w ogrodzie.

- Bardzo ci dziękuję - powiedziała Vigdis Albu. - Za to, że nakłoniłeś tego Sorensena, aby mnie puścił, i za to, że mnie odwiozłeś.

Waaler uśmiechnął się ciepło. Wiedział, że to ciepły uśmiech. Wiele osób mówiło mu, że jest podobny do Davida Hasselhoffa ze *Słonecznego patrolu*, że ma identyczny jak on podbródek, budowę ciała i uśmiech. Oglądał *Słoneczny patrol* i wiedział, w czym rzecz.

- To ja powinienem dziękować - odparł.

Nie skłamał. Podczas krótkiej jazdy z Larkollen dowiedział się wielu interesujących rzeczy. Na przykład, że Harry Hole usiłował znaleźć dowody na to, że jej mąż zamordował Annę Bethsen, która, o ile dobrze pamiętał, jakiś czas temu popełniła samobójstwo na Sorgenfrigata. Sprawa była już zamknięta. To sam Waaler stwierdził samobójstwo i napisał raport. Czego więc ten wariat Hole teraz szuka? Czy to próba zemsty za dawną wrogość? Czyżby Hole starał się skompromitować jego, Toma Waalera? To rzeczywiście podobne do tego szalonego alkoholika, lecz Waalerowi nie całkiem pasowało, że Holemu chciałoby się wkładać aż tyle energii w sprawę, która w najgorszym razie ujawniłaby jedynie, że Waaler za bardzo się pospieszył z wyciąganiem wniosków. Pomysł, że Harrym mogła całkiem po prostu kierować chęć ostatecznego wyjaśnienia sprawy, natychmiast odrzucił, bo jedynie na filmach policjanci poświęcają wolny czas na coś takiego. Faktem pozostawało, że człowiek podejrzewany przez Harry'ego sam został teraz zabity, co rzecz jasna otwierało kolejne możliwości alternatywnych rozwiązań. Waaler nie bardzo wiedział, jakich, ale ponieważ włosy na karku wskazywały, że ma to coś wspólnego z Harrym Hole, był ciekaw, o co może chodzić. Gdy więc Vigdis Albu spytała, czy miałby ochotę wstąpić na filiżankę kawy, wcale nie myśl o świeżo upieczonej wdowie poruszyła go w pierwszej chwili, lecz fakt, iż mogła to być szansa na utracenie człowieka, którego oddech już od dłuższego czasu czuł na karku. Od jak dawna to trwało? Od ośmiu miesięcy?

Rzeczywiście minęło już osiem miesięcy. Osiem miesięcy od chwili, gdy sierżant Ellen Gjeltcn przez jeden z głupich błędów Sverrego Olsena odkryła, że Tom Waaler jest głównym człowiekiem zamieszonym w zorganizowany przemyt broni do Oslo. Wydając Olsenowi rozkaz wykończenia dziewczyny, zanim zdąży przekazać dalej swoje odkrycie, oczywiście miał świadomość, że Hole nigdy się nie podda, dopóki nie znajdzie tego, kto ją zabił. Dlatego sam zatroszczył się o to, by czapkę Olsena znaleziono w miejscu przestępstwa, a następnie zastrzelił podejrzanego o morderstwo „w samoobronie” podczas aresztowania. Żaden dowód nie wskazywał bezpośrednio na niego, lecz mimo to Waaler od czasu do czasu nie mógł oprzeć się nieprzyjemnemu uczuciu, że Hole wpadł na jakiś trop i może być niebezpieczny.

- Tak pusto w domu, kiedy nikogo nie ma - powiedziała Vigdis Albu, otwierając drzwi kluczem.

- Od jak dawna jest pani... hm... sama? - spytał Waaler, idąc za nią po schodach do salonu. Wciąż podobało mu się to, co widział.

- Dzieci są u moich rodziców w Nordby. Miały tam zostać, dopóki wszystko się nie unormuje - westchnęła i usiadła w jednym z głębokich foteli. - Muszę się napić. A potem powinnam do nich zadzwonić.

Tom Waaler stał na środku i patrzył na nią. To, co teraz powiedziała, popsuło wszystko. Lekkie drzenie, które odczuwał, zniknęło. I nagle wydała mu się znacznie starsza. Może dlatego, że powoli trzeźwiała. Alkohol wygładził jej zmarszczki i zmiękczył usta, które, twardniejąc, zmieniły się w krzywą pomalowaną na różowo szparę.

- Siadaj, Tom. Zaraz zrobię nam kawy.

Usiadł ciężko na kanapie, a Vigdis zniknęła w kuchni. Rozsunął nogi i zauważył na obiciu kanapy wybieloną plamę. Przypominała plamę na jego własnej kanapie. Tę pozostawioną przez krew menstruacyjną.

Uśmiechnął się na tę myśl.

Na myśl o Bcate Lonn.

O słodkiej niewinnej Beatę Lonn, która siedziała po drugiej stronie stolika ławy i chłonęła każde jego słowo, jak gdyby było kostką cukru w jej *cafe latte*, napoju małych dziewczynek. *Uważam, że najważniejsza jest odwaga, by być sobą. W związku podstawą jest uczciwość, nie uważasz? Z młodymi dziewczętami czasami trudno było przewidzieć, jak nisko lub jak wysoko trzeba celować przy doborze niby mądrych banałów. Ale z Beatę najwyraźniej trafił w dziesiątkę. Bezwolnie poszła za nim do domu, gdzie przygotował jej napój, zdecydowanie nieodpowiedni dla małych dziewczynek.*

Nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Nawet dzień później Beatę Lonn była przekonana, że film urwał jej się ze zmęczenia i wypila drinka jedynie odrobinę mocniejszego niż te, do których przywykła. Właściwe dozowanie to podstawa.

Najbardziej komiczne było jednak to, że kiedy wszedł rano do salonu, zastał ją z mokrą ścierką szorującą kanapę w miejscu, gdzie poprzedniego wieczoru zaczęli, dopóki całkiem nie zgasła i nie rozpoczęła się prawdziwa zabawa.

- Przepraszam - mówiła bliska płaczu. - Zorientowałam się dopiero teraz. Tak mi głupio. Spodziewałam się tego dopiero w przyszłym tygodniu.

- Nic nie szkodzi - odparł, gładząc ją po policzku. - Przynajmniej dopóki tak się starasz, żeby to usunąć.

Szybko wyszedł do kuchni, odkręcił kran i zaczął hałasować drzwiami lodówki, żeby zagłuszyć śmiech. Tymczasem Beatę Lonn dalej szorowała plamę krwi menstruacyjnej zostawionej przez Lindę. A może przez Karen?

- Chcesz mleka do kawy, Tom? - zawołała Vigdis z kuchni, jej głos brzmiał twardo i przenikliwie, charakterystycznie dla mieszkanki zachodnich dzielnic. A poza tym dowiedział się już wszystkiego, co mu było potrzebne.

- Właśnie mi się przypomniało, że jestem umówiony w mieście - odparł. Odwrócił się i zobaczył, że Vigdis stoi w drzwiach kuchni z dwiema filiżankami, a oczy ma wielkie, zdziwione, jak gdyby ją uderzył. Zaczął nawet to rozważać w myślach.

- Poza tym przyda ci się, jeśli pobędziesz trochę sama - powiedział, wstając. - Wiem, że tak trzeba. Mówiłem już, niedawno sam straciłem bliską osobę.

- Przepraszam - bąknęła. - Nawet nie spytałam kogo.

- Miała na imię Ellen. Koleżanka z pracy. Bardzo ją lubiłem. - Tom Waaler lekko przekrzywił głowę i popatrzył na Vigdis Albu, która odpowiedziała mu niepewnym uśmiechem.

- O czym myślisz? - spytała.

- O tym, że być może pewnego dnia zajrzę sprawdzić, jak się czujesz. - Uśmiechnął się wyjątkowo ciepło, najlepszym uśmiechem w stylu Davida Hasselhoffa, i w duchu pokręcił głową nad chaosem, jaki zapanowałby na świecie, gdyby ludzie umieli odczytywać swoje myśli.

33 DYSOSMIA 1

Zaczęły się już popołudniowe korki i przez Gronlandsleiret defilowały samochody i niewolnicy pensji. Na gałązce przysiadła pokrzywnica, poobserwowała, jak ostatni listek odpada od gałązki, wzniosła się w górę i przeleciała obok okna sali konferencyjnej na piątym piętrze.

- Nie nadaję się do przemawiania podczas uroczystości - zaczął Bjarne Molier, a ci z obecnych, którzy już wcześniej mieli okazję słuchać przemówień w jego wydaniu, ze zrozumieniem pokiwali głowami.

Wszyscy uczestnicy pościgu za Ekspedytorem, butelka wina musującego Opera za siedemdziesiąt dziewięć koron i czternaście nierozpakowanych jeszcze plastikowych kieliszków czekali, aż Molier skończy.

- Po pierwsze, chciałem przekazać pozdrowienia od zarządu miasta, od burmistrza i

komendanta okręgowego i podziękować za świetnie wykonaną pracę. Byliśmy, jak wszyscy z was wiedzą, w trudnej sytuacji, gdy zrozumieliśmy, że mamy do czynienia z bandytą, seryjnie, można powiedzieć, napadającym na banki...

- Nic wiedziałem, że istnieją inni! - zawołał Warsson, który został nagrodzony śmiechem. Stał z tyłu pomieszczenia, przy drzwiach, skąd miał widok na wszystkich zebranych.

- No właśnie - uśmiechnął się Molier. - Chciałem powiedzieć, że... no wiecie, cieszymy się, że to się już skończyło. A zanim wypijemy po kieliszku szampana i rozejdziemy się do domów, pragnę wyrazić szczególne podziękowanie dla osoby, której głównie należy się chwała...

Harry poczuł na sobie spojrzenia. Nienawidził tego rodzaju imprez, przemówień szefów, przemówień do szefów, podziękowań dla klaunów, teatru trywialności.

-...Runemu Ivarssonowi, który kierował śledztwem. Gratuluję, Rune!

Głośne oklaski.

- Może chciałbyś powiedzieć kilka słów, Rune?

- Nie, dziękujemy - mruknął Harry przez zęby.

- Owszem, dziękuję - odparł Ivarsson. Wszyscy odwrócili się w jego stronę. Chrząknął. - Niestety nie mam takiego przywileju, jak ty, Bjarne, który możesz powiedzieć, że nie umiesz przemawiać. Ja bowiem umiem.

Kolejne śmiechy.

- I jako mówca, który zgromadził doświadczenie podczas przemówień z okazji innych rozwiązanych spraw, wiem, jak męczące jest dziękowanie na lewo i na prawo. Praca w policji, to jak wszyscy dobrze wiemy, praca zespołowa. To Beatę i Harry mieli zaszczyt strzelić piłkę do bramki, ale wstępnym przygotowaniem zajmował się cały zespół.

Harry z niedowierzaniem patrzył, jak zgromadzeni kiwają głowami.

- Dlatego dziękuję wszystkim. - Ivarsson omiół ich wzrokiem, najwyraźniej w tym celu, by każdy przyjął podziękowania osobiście. Potem wesołym głosem zawołał: - A teraz rozprawmy się wreszcie z tym szampanem!

Ktoś podał mu butelkę, którą Ivarsson mocno potrząsnął i przystąpił do wyciągania korka.

- Nie zniosę tego dłużej - szepnął Harry do Beatę. - Spadam. Popatrzyła na niego z wyrzutem.

- Bardzo proszę... - Korek strzelił w sufit. - Weźcie sobie kieliszki!

- *Sorry* - szepnął Harry. - Widzimy się jutro.

Zajrzał jeszcze do biura i zabrał kurtkę. W windzie w drodze na dół oparł się o ścianę. Tej nocy zdrzemnął się ledwie parę godzin w domku letniskowym Albu. O szóstej rano pojechał na dworzec w Moss, odszukał budkę telefoniczną i numer na komendę, a potem zgłosił odkrycie zwłok w morzu. Wiedział, że zwrócić się do Komendy Okręgowej w Oslo o pomoc. Dlatego gdy koło ósmej dotarł do stolicy, usiadł w Palarni Kawy na Ullev&lsveien i pił *cortado*, dopóki nie uzyskał pewności, że sprawa zostanie przydzielona komuś innemu, i dopiero wtedy mógł spokojnie pójść do pracy.

Winda się otworzyła i Harry wysiadł. Wyszedł przez obrotowe drzwi na chłodne, jesiennie przejrzyste powietrze w Oslo, które podobno jest bardziej zanieczyszczone niż w Bangkoku. Upomniął samego siebie, że nigdzie się nie spieszy. Zmusił się, by iść powoli. Zamierzał o niczym dzisiaj nie myśleć, tylko spać i mieć nadzieję, że nic mu się nie przyśni, a jutro obudzić się ze wszystkimi drzwiami zamkniętymi za sobą.

Wszystkimi oprócz jednych. Tych, które nie dawały się zamknąć, których nie chciał zamykać. Ale tym zajmie się dopiero jutro. Razem z Halvorsenem pójda się przejść nad rzekę Aker, staną pod drzewem, pod którym ją znaleziono. Po raz setny będą rekonstruować przebieg wydarzeń. Nie dlatego, że o czymś mogli zapomnieć, lecz by odzyskać uczucie, by znów poczuć zapach w nozdrzach. Już się tego bał.

Wybrał wąską ścieżkę przez trawnik. Na skróty. Nie patrzył na szary, budynek więzienia z lewej strony, gdzie Raskol tym razem prawdopodobnie spakował już swoją szachownicę. Ani na Larkollen, ani w żadnym innym miejscu nigdy nie znajdą nic, co by wskazywało na Cygana lub któregoś z jego rzemieślników, nawet gdyby Harry sam wziął na siebie prowadzenie śledztwa. Mogliby je prowadzić tak długo, dopóki uznawano by to za konieczne. Ekspedytor nie żył. Arne Albu nie żył. Ellen powiedziała kiedyś, że sprawiedliwość jest jak woda, zawsze sobie znajdzie drogę. Wiedzieli, że to nieprawda, lecz przynajmniej w tym kłamstwie można było znaleźć jakąś pociechę.

Harry słyszał syreny, słyszał je już od dłuższej chwili. Białe samochody z migającymi niebieskimi światłkami mijały go i znikaly w dole Gronlandsleiret. Starał się nie myśleć o tym, dlaczego tak nagle wyjeżdżają. Prawdopodobnie to nie jego interes. A nawet jeśli jego, i tak musi poczekać do jutra.

Tom Waaler stwierdził, że przyszedł za wcześnie, widocznie mieszkańcy bladej kamienicy mieli inne zajęcia niż siedzenie w domu w ciągu dnia. Właśnie nacisnął dolny i ostatni guzik domofonu, już odwracał się, by odejść, gdy usłyszał metaliczny głos.

- Słucham?

Waaler obrócił się na pięcie.

- Dzień dobry, tu... - Spojrzał na nazwisko przy dzwonku. - Czy to Astrid Monsen?

Dwadzieścia sekund później stał na klatce i patrzył na przerażoną piegowatą twarz wyglądającą przez szparę uchylonych, ale zamkniętych na łańcuch drzwi.

- Czy mogę wejść, panno Monsen? - spytał, szczerząc zęby w specjalnym uśmiechu Davida Hasselhoffa.

- Wolalabym nie - odpisnęła. Może nie oglądała *Słonecznego patrolu*. Podał jej swój identyfikator.

- Przyszedłem spytać, czy jest coś, o czym powinniśmy wiedzieć w związku ze śmiercią Anny Bethsen. Nie jesteśmy już tak do końca pewni, czy to było samobójstwo. Wiem, że jeden z moich kolegów usiłował badać tę sprawę na własną rękę, niejako prywatnie. Ciekaw jestem, czy pani z nim rozmawiała.

Tom Waaler słyszał, że zwierzęta, zwłaszcza drapieżniki, wyczuwają zapach strachu. Wcale go to nie dziwiło. Zdumiewało go raczej, że nie wszyscy ludzie go wyczuwają. Strach cuchnął tak samo jak szczyny wołu.

- Czego się pani boi, panno Monsen?

Źrenice jeszcze bardziej jej się rozszerzyły, a włosy na karku Waalera zjeżyły się teraz całkiem.- Bardzo ważne, aby pani nam pomogła. Najważniejsza w stosunkach policji ze społeczeństwem jest szczerść, prawda?

Umknęła wzrokiem, zaryzykował więc:

- Obawiam się, że mój kolega może być w jakiś sposób w to wplątany.

Dolna szczęka jej opadła, kobieta popatrzyła na niego bezradnie. Bingo. Trafił w dziesiątkę.

Siedzieli w kuchni. Brunatne ściany pokrywały rysunki dziecięce, Waaler przypuszczał, że Astrid Monsen jest ciotką sporej gromadki. Notował, podczas gdy ona mówiła.

- Usłyszałam jakiś hałas na klatce, a kiedy wyszłam, na podeście przy moich drzwiach leżał zwinięty w kłębek mężczyzna. Najwyraźniej upadł, spytałam więc, czy potrzebuje pomocy, ale mi nie odpowiedział. Poszłam wówczas na górę i zadzwoniłam do Anny Bethsen, ale ona też nie odpowiedziała. Wróciłam więc na dół i pomogłam mu wstać, wszystkie jego rzeczy wysypały się z kieszeni. Leżały rozrzucone na podłodze. Znalazłam portfel i kartę bankową z nazwiskiem i adresem. Potem pomogłam mu wyjść na ulicę, zatrzymałam taksówkę i podałam adres kierowcy. Nic więcej nie wiem.

- Jest pani pewna, że to była ta sama osoba, która odwiedziła panią później? To znaczy Harry Hole?

Przełknęła ślinę i kiwnęła głową.

- Wszystko w porządku, Astrid. Skąd pani wiedziała, że on był u Anny?

- Słyszałam, jak przyszedł.

- Słyszała pani, jak przyszedł, i słyszała pani, jak wychodził?

- Mój gabinet przylega do klatki. Jest bardzo akustyczny. To spokojna kamienica.

Niewiele się tu dzieje.

- Czy słyszała pani, żeby ktoś inny przyszedł do Anny lub od niej wychodził?

Zawahała się.

- Wydawało mi się, że ktoś się skrada po schodach, wkrótce po wyjściu tego policjanta. Ale to wyglądało bardziej na kobietę. Wie pan, na wysokich obcasach. To całkiem inny dźwięk. Sądzę, że to była pani Gundersen z czwartego.

- Tak?

- Zwykle się skrada, kiedy wypije kilka kieliszków w Starym Majorze.

- Słyszała pani strzał?

Astrid Monsen pokręciła głową.

- Mieszkania są dobrze izolowane.

- Zapamiętała pani numer tej taksówki? - Nie.

- A która była godzina, gdy usłyszała pani hałas na korytarzu?

- Piętnaście po jedenastej.

- Jest pani najzupełniej pewna, Astrid? Kiwnęła głową, nabrała powietrza.

Waalera zaskoczyła nagle moc jej głosu, gdy oświadczyła:

- To on ją zabił.

Poczuł, jak puls mu przyspiesza. Leciutko.

- Co panią skłania do tego, by tak sądzić, Astrid?

- Zrozumiałam, że coś jest nie tak, kiedy się dowiedziałam, że Anna tego wieczoru popełniła samobójstwo. Ten człowiek leżał pijany, nieprzytomny pod moimi drzwiami, a ona nie odpowiedziała mi, kiedy zadzwoniłam, prawda? Zastanawiałam się, czy nie skontaktować się z policją, ale znów tu przyszedł... - Popatrzyła na Toma Waalera spojrzeniem takim, jakby tonęła, a on był jej wybawcą. - Pierwszą rzeczą, o jaką mnie spytał, to, czy go poznaje. Zrozumiałam od razu, o co mu chodzi.

- A o co mu chodziło, Astrid?

Jej głos podniósł się o pół oktawy.

- Morderca, który pyta jedyne go świadka o to, czy go poznaje? A jak pan myśli? Oczywiście przyszedł mnie ostrzec, co się ze mną stanie, jeśli go wydam. Zrobiłam tak, jak

chciał. Powiedziałam, że nigdy go nie widziałam.

- Ale mówiła pani, że wrócił później, by panią wypytywać o Arnego Albu?

- Tak. Chciał, żebym pomogła mu złożyć winę na kogoś innego. Musi pan zrozumieć, tak bardzo się bałam. Udawałam, że nic się nie dzieje, i tylko mu potakiwałam... - Słysząc już było płacz w jej głosie.

- Ale teraz jest pani skłonna opowiedzieć o wszystkim? Również na sali sądowej, pod przysięgą?- Tak, jeśli... pan... Jeśli będę wiedziała, że jestem bezpieczna.

Z sąsiedniego pokoju dobiegł cichutki sygnał oznaczający, że nadeszła właśnie wiadomość wysłana pocztą elektroniczną. Waaler spojrział na zegarek. Pół do piątej. To musi nastąpić szybko. Najlepiej jeszcze dziś wieczorem.

Za dwadzieścia pięć piąta Harry otworzył kluczem drzwi do mieszkania i w tej samej chwili przypomniał sobie, że umówił się z Halvorsenem na rower. Zrzucił buty, wszedł do pokoju, wcisnął guzik *Play* mrugającej automatycznej sekretarki. To była Rakel.

- Wyrok zapadnie w środę. Zamówiłam bilety na czwartek. Będziemy na Gardermoen o jedenastej. Oleg pytał, czy mógłbyś po nas wyjść.

Po nas. Wcześniej mówiła mu, że wyrok od razu będzie prawomocny. Jeśli przegrają, nie będzie żadnych „nas” do odebrania, tylko jeden człowiek, który utracił wszystko.

Nie zostawiła numeru pod który mógłby oddzwonić i powiedzieć, że to już minęło. Że może przestać zerkać przez ramię. Westchnął i zapadł się w zielony fotel. Zamknął oczy, a ona zaraz się pojawiła. Rakel. Białe prześcieradło tak chłodne, że zdawało się parzyć skórę, zasłony ledwie drgające w otwartym oknie i przepuszczające smugę księżycowego światła, która padała na jej nagie ramię. Z niezmierną delikatnością pogładził koniuszkami palców jej oczy, dłonie, wąskie ramiona, długą szczupłą szyję, nogi splecione z jego nogami. Czuł na szyi jej spokojny ciepły oddech, który ledwie zauważalnie zmienił rytm, gdy delikatnie pogładził ją po krzyżu. Jej biodra zaczęły się niedostrzegalnie poruszać ku niemu, jak gdyby usnęła, wciąż na to czekając.

O piątej Runę Ivarsson odebrał telefon w swoim domu na Osteras z zamiarem oznajmienia temu, kto dzwonił, że rodzina właśnie usiadła do stołu, a obiad w tym domu jest rzeczą świętą. Czy można prosić o telefon za jakiś czas?

- Przepraszam, że przeszkadzam, Ivarsson. Mówi Tom Waaler.

- Witaj, Tom - odparł Ivarsson z niepogryzionym jeszcze ziemniakiem w ustach. - Posłuchaj...

- Potrzebuję nakazu zatrzymania Harry'ego Hole. Wraz z nakazem przeszukania jego mieszkania. Do tego pięć osób, by przeprowadzić przeszukanie. Mam powody, by

przypuszczać, że Hole jest w bardzo nieprzyjemny sposób zamieszany w sprawę o zabójstwo. Ivarsson zakrztusił się kartoflem.

- Sprawa jest pilna. Istnieje niebezpieczeństwo zatarcia dowodów przestępstwa.

- Bjarne Molier - wykrztusił Ivarsson wśród ataków kaszlu.

- Tak, tak, wiem, że to tak naprawdę działka Moliera - odparł Waaler. - Ale, jak przypuszczam, zgodzisz się ze mną, że on w tej sytuacji się nie nadaje. Pracuje razem z Harrym od dziesięciu lat.

- Punkt dla ciebie. Ale akurat pod koniec dnia pojawiła się inna sprawa i wszyscy moi ludzie są zajęci.

- Rune... - to odezwała się żona Ivarssona. Nie chciał jej niepotrzebnie drażnić. Spóźnił się na obiad dwadzieścia minut, bo najpierw było to przyjęcie z szampanem, a potem alarm, że jest napad na oddział DnB na Grensen.

- Oddzwonię do ciebie, Waaler. Porozumiem się z prokuratorem, zobaczę, co się da zrobić. - Chrząknął i dodał na tyle głośno, by mieć pewność, że żona również go usłyszy: - Po obiedzie.

Harry'ego obudziło ciężkie stukanie do drzwi. Jego mózg odruchowo wyciągnął wniosek, że ta osoba stuka już od pewnego czasu, a poza tym ma pewność, że ktoś jest w domu. Spojrzał na zegarek. Za pięć szósta. Śniła mu się Rakel. Przeciągnął się i wstał z fotela.

Znów to stukanie. Ciężkie.

- Już idę, idę! - zawołał, kierując się do drzwi.

Przez matową szybę w drzwiach widział zarys postaci. Pomyślał, że to może któryś z sąsiadów, skoro nie zadzwonił domofonem.

Już położył rękę na klamce, gdy zorientował się, że się waha. Lekkie ukłucie w karku. Plamka, która przeleciała przed okiem. Odrobinę za szybki puls. Bzdura. Przekręcił klamkę i otworzył drzwi.

To był Ali. Miał brwi w kształcie litery V.

- Obiecałeś, że do dziś posprzątasz w swojej, piwnicy - oświadczył. Harry stuknął się ręką w czoło.

- Cholera! *Sorry*, Ali, jestem strasznie zapominalski.

- W porządku, Harry. Mogę ci pomóc, jeśli teraz masz czas. Harry spojrzał na niego zdziwiony.- Pomóc? Przecież to, co tam trzymam, można usunąć w dziesięć sekund. Prawdę mówiąc, nie przypominam sobie, żebym miał tam cokolwiek, ale dobrze.

- To przecież cenne rzeczy, Harry. - Ali kręcił głową. - Głupio robisz, trzymając je w piwnicy.

- Nic o tym nie wiem. Idę do Schrodera coś zjeść, a potem zastukam do ciebie, Ali.

Harry zamknął drzwi, usiadł w fotelu i nacisnął pilota. Wiadomości w języku migowym. Prowadził kiedyś sprawę, podczas której przesłuchiwali kilka głuchych osób, i nauczył się wtedy paru znaków. Teraz próbował połączyć gesty tłumacza z pojawiającymi się napisami. Nic nowego na froncie wschodnim. Amerykanin stanie przed sądem wojennym, oskarżony o współpracę z Talibami. Harry się poddał. Danie dnia u Schrodera, pomyślał. Kawa, papieros. Potem wycieczka do piwnicy i prosto do łóżka. Ujął pilota i miał wyłączyć telewizor, gdy nagle czytający wiadomości wyciągnął rękę do przodu z wyprostowanym palcem wskazującym i kciukiem wysuniętym do góry. Ten znak pamiętał. Kogoś zastrzelono. Harry odruchowo pomyślał o Arnem Albu, ale przypomniało mu się, że został uduszony. Przeniósł spojrzenie na dół ekranu na pasek. Zesztywniał na krześle. I zaczął gorączkowo naciskać guziki pilota. To były złe, możliwe, że bardzo złe wiadomości. W telegazecie znalazł niewiele więcej niż to, co było na pasku:

Pracownica banku została postrzelona podczas napadu na oddział DnB na Grensen w Oslo dziś po południu. Jej stan jest krytyczny.

Harry przeszedł do sypialni i włączył komputer. Napad na bank był główną wiadomością również na stronie startowej. Kliknął dwa razy.

Tuż przed zamknięciem oddziału zamaskowany bandyta wszedł do środka i grożąc bronią kierownicze, kazał jej opróżnić bankomat. Gdy nie nastąpiło to w wyznaczonym przez niego czasie, strzelił w głowę innej pracownicy banku. Lekarze informują, że stan postrzelonej kobiety jest krytyczny. Naczelnik wydziału policji Runę Ivarsson poinformował, że policja nie ma żadnych śladów bandyty. Nie chciał jednak komentować przypuszczeń, że napad zaplanowano według tego samego schematu co poprzednie, dokonywane przez tak zwanego Ekspedytora, który, według informacji udzielonych przez policję wcześniej w tym tygodniu, został znaleziony martwy w d'Ajuda w Brazylii.

To mógł być przypadek. Oczywiście, że to mógł być przypadek. Ale tak nie było. Harry przeciągnął dłonią po twarzy. Cały czas się tego obawiał. Lev Grette dokonał tylko jednego napadu. Pozostałymi zajął się ktoś inny. Ktoś, komu najwyraźniej dobrze szło. Na tyle dobrze, że kwestią honoru stało się dla niego jak najdokładniejsze kopiowanie prawdziwego Ekspedytora, aż po najdrobniejsze ze wszystkich okrutnych szczegółów.

Harry usiłował odciąć się od takiego myślenia. Nie chciał się teraz zastanawiać nad kolejnymi napadami na bank. Ani nad zastrzelonymi pracownikami banku. Ani nad konsekwencjami faktu, że Ekspedytorów było dwóch. Nad ryzykiem, że ponownie będzie musiał współpracować z Ivarssonem z Wydziału Napadów, a sprawę Ellen znów trzeba będzie

odłożyć na później.

Stop. Dziś więcej już nie myśleć. Jutro.

Ale nogi mimo wszystko zaniósły go do korytarza, gdzie palce same z siebie wystukały numer komórki Webera.

- Mówi Harry. Co macie?

- Mamy szczęście, tylko tyle. - Weber sprawiał wrażenie wyjątkowo wesołego. - Grzeczni chłopcy i dziewczynki w końcu zawsze mają szczęście.

- To dla mnie nowość - stwierdził Harry. - Mów.

- Beatę Lonn zadzwoniła do mnie z House of Pain w czasie, gdy pracowaliśmy w lokalu bankowym. Właśnie zaczęła oglądać nagranie wideo z napadu, gdy zauważyła coś interesującego. Bandyta stał bardzo blisko pleksi nad kontuarem, kiedy mówił. Zaproponowała, żebyśmy poszukali śladów śliny. Minęło wtedy zaledwie pół godziny od napadu i znalezienie czegoś wciąż pozostawało realne.

- I? - spytał niecierpliwie Harry.

- Na szybie nie było śliny. Harry jęknął.

- Tylko mikrokropla skondensowanego oddechu.

- Naprawdę?

- *Yes!*

- Ktoś się musiał ostatnio gorąco modlić wieczorem. Moje gratulacje, Weber!

- Liczę, że za trzy dni dostaniemy profil DNA. Potem już będzie można zacząć porównywać. Zgaduję, że dopadniemy go przed upływem tygodnia.- Mam nadzieję, że się nic mylisz.

- Nie mylę się.

- No dobrze, i tak ci dziękuję, że choć trochę uratowałeś mi apetyt.

Harry odłożył słuchawkę i włożył kurtkę. Już miał wyjść, gdy przypomniał sobie, że nie wyłączył komputera, i wrócił do sypialni. Zobaczył to w momencie, gdy chciał nacisnąć guzik. Serce gwałtownie przyspieszyło, a krew nagle zgęstniała w żyłach. Dostał maila. Oczywiście i tak mógł wyłączyć komputer. Powinien go wyłączyć, nic przecież nie wskazywało na to, że trzeba się spieszyć. To mógł być mail od kogokolwiek. Właściwie tylko jedna osoba nie mogła go przysłać. Harry żałował, że nie jest w tej chwili akurat w drodze do Schrodera, że nie wlecze się w dół Dovregata, że nie rozmyśla o parze starych butów kołyszących się między niebem a ziemią ani nie bawi się wspomnieniami ze snu o Rakel. Ale było już za późno. Palce znów przejęły komendę. Z wnętrza maszyny dobiegły szумы. W końcu pojawiła się wiadomość. Długa.

Kiedy Harry skończył czytać, popatrzył na zegarek. 18.04. Refleks wyćwiczony po latach pisania raportów. Mógł więc odnotować, kiedy dokładnie ten świat, który znał, legł w gruzach.

Cześć Harry!

Dlaczego masz taką smętną minę? Może nie sądziłeś, że jeszcze kiedyś dostaniesz ode mnie wiadomość? Cóż, życie jest pełne niespodzianek, Harry! Liczę, że gdy będziesz to czytał, Arne Albu też zdążył się już o tym przekonać. Uczyniliśmy przecież, Ty i ja, jego życie nieznośnym, prawda? Nie pomylę się chyba za bardzo, sądząc, że żona zabrała dzieciaki i od niego odeszła. Okrutne, prawda? Odbieranie człowiekowi rodziny, zwłaszcza gdy się wie, że jest w jego życiu najważniejsza. Ale sam może sobie za to dziękować. Na niewierność nie ma zbyt surowej kary. Chyba się ze mną zgodzisz, Harry? W każdym razie moja akcja zemsty kończy się tutaj. Więcej już się do Ciebie nie odezwę.

Ponieważ jednak byłeś niewinną osobą, która została w to wciągnięta, winien Ci jestem chyba wyjaśnienie. Jest ono całkiem proste. Kochałem Annę. Naprawdę. Zarówno to, kim była, jak i to, co mi dawała.

Ona, niestety, kochała jedynie to, co jej dawałem. Wielką H. The Big Sleep. Nie wiedziałeś, że była ćpunką? Życie jest, jak już wspomniałem, pełne niespodzianek. To ja pierwszy raz dałem jej herę po jednej z tych, powiedzmy sobie wprost, nieudanych wystaw. Były wprost dla siebie stworzone. Miłość od pierwszego uklucia. Przez cztery lata Anna była moją klientką i potajemną kochanką. Tych ról nie dało się od siebie oddzielić.

Zdziwiony, Harry? Może dlatego, że nie znaleźliście żadnych śladów po ukluciach, kiedy ją rozebraliście? No cóż, to sformułowanie o miłości od pierwszego uklucia było jedynie taką metaforą. Anna w ogóle nie tolerowała zastrzyków, heroinę paliliśmy w sreberkach z batoników Cuba. To oczywiście droższe niż wstrzykiwanie, ale z drugiej strony Anna, dopóki była ze mną, kupowała towar po cenach hurtowych. Byliśmy, jak to się mówi, nierozłączni. Wciąż łzy mi się w oczach kręcą, gdy pomyślę o tamtych czasach. Robiła dla mnie wszystko, co kobieta może zrobić dla mężczyzny. Pieprzyła się ze mną, karmiła mnie, dawała mi pić, bawiła mnie i pocieszała. I błagała mnie. W zasadzie brakowało jedynie tego, żeby mnie kochała. Dlaczego akurat to jest tak cholernie trudne, Harry? Przecież Ciebie kochała, chociaż nie zrobiłeś dla niej kompletnie nic.

Nawet Arnego Albu zdołała pokochać, a ja sądziłem, że to jedynie głupek, od którego doiła pieniądze na heroinę po cenach rynkowych i uwolnienie się na jakiś czas ode mnie.

Zadzwoiłem jednak do niej pewnego wieczoru w maju. Akurat odsiedziałem trzy miesiące za jakiś drobiazg, a z Anną nie rozmawiałem od dawna. Powiedziałem, że musimy to

uczcić, że dostałem najczystszy towar na świecie wprost z fabryki w Chang Rai. Po jej głosie od razu poznałem, że coś jest nie tak. Powiedziała, że rzuciła. Spytałem, co ma na myśli: hereć czy mnie? Odparła, że jedno i drugie. Zaczęła pracować nad tym dziełem sztuki, dzięki któremu miała zostać zapamiętana. Tak mówiła. A to wymagało od niej w pełni trzeźwego umysłu. Wiesz, że Anna była upartą Cyganką, gdy już raz wbiła sobie coś do głowy. Założę się więc, że we krwi nie znaleźliście śladów narkotyków. Zgadza się?

A potem opowiedziała mi o tym facecie, Arnem Albu, o tym, że od jakiegoś czasu są razem i planują wspólnie zamieszkać. Musiał najpierw tylko załatwić sprawę z żoną. Słyszałeś już kiedyś, Harry? No cóż, ja też.

Czy to nie dziwne, jak jasno człowiek potrafi myśleć, kiedy świat dookoła się wali? Wiedziałem, co trzeba zrobić, jeszcze zanim odłożyłem słuchawkę. Zemsta. Prymitywne? Wcale nie. Zemsta jest odruchem ludzi myślących. Złożoną kompilacją działań i konsekwencji, jakich żaden inny gatunek zwierząt nie zdołał dotychczas wykształcić. Realizacja zemsty ewolucyjnie okazała się tak skuteczna, że przeżyli jedynie najbardziej mściwi z nas. Zemsta albo śmierć. Wiem, to brzmi jak tytuł westernu, lecz pamiętaj, że właśnie ta logika odwetu stworzyła państwo prawa. Stale obowiązująca zasada oko za oko, grzesznik, który musi się smażyć w piekle albo przynajmniej zadyndać na szubienicy. Zemsta to zwyczajnie podstawowy fundament cywilizacji, Harry.

Jeszcze tego samego wieczoru zasiadłem do pracy nad planem.

Załatwiłem to w prosty sposób. Zamówiłem klucz do mieszkania Anny w Trionor. W jaki sposób, o tym nie zamierzam Ci mówić. Po Twoim wyjściu z jej mieszkania otworzyłem nim sobie drzwi. Anna już się położyła. Ona, ja i beretta M92 odbyliśmy długą, bardzo interesującą rozmowę. Poprosiłem, żeby wyjęła coś, co dostała od Arnego Albu, kartkę, list, wizytówkę, wszystko jedno co. Mój plan polegał na tym, by umiejscowić to gdzieś na jej ciele, aby pomóc Wam powiązać zabójstwo z tym mężczyzną. Ale ona miała jedynie zdjęcie jego rodziny, zrobione w pobliżu domku letniskowego, które wyrwała z albumu z fotografiami. Zrozumiałem, że to może być zbyt tajemnicze. Ze potrzebna Wam będzie skuteczniejsza pomoc. Wpadłem więc na pewien pomysł. Panna Beretta nakłoniła ją do opowieści o tym, w jaki sposób dostać się do domku letniskowego Albu, i o kluczu w lampie.

Kiedy ją zastrzeliłem (nie zamierzam się tutaj wdawać w szczegóły, ponieważ był to bardzo rozczarowujący punkt kulminacyjny - nie okazała ani lęku, ani skruchy), umieściłem zdjęcie w jej bucie i natychmiast pojechałem do Larkollen. Tam, jak z pewnością już zrozumiałeś, schowałem zapasowy klucz do jej mieszkania. Rozważałem przyklejenie go w rezerwuarze w toalecie - to moje ulubione miejsce - tam Michael z Ojca Chrześnego ukrył

pistolet. Ale Tobie raczej zabrakłoby fantazji, żeby tam szukać. W dodatku nie miało to zbyt większego sensu. Włożyłem więc klucz do szuflady nocnego stolika. Proste, prawda?

Tym samym dekoracje zostały zbudowane, a Ty i pozostałe marionetki mogliście wkroczyć na scenę. Mam zresztą nadzieję, że nie obraziłeś się za pewne podpowiedzi, których Ci udzieliłem po drodze. Ale iloraz inteligencji u was, policjantów, raczej nie zachwyca.

Teraz się żegnam. Dziękuję za towarzystwo i za pomoc. Przyjemnie się z Tobą współpracowało, Harry.

C#MN

34 PLUVIANUS AEGYPTIUS

Samochód policyjny stał zaparkowany tuż przed bramą do kamienicy, drugi blokował Sofies gate przy Dovregata.

Tom Waaler zabronił używania syren i kogutów.

Sprawdził przez krótkofalówkę, czy wszyscy zajęli swoje miejsca, i wysłuchał krótkich trzeszczących potwierdzeń. Informacja od Ivarssona, że niebieska kartka - nakaz zatrzymania wraz z nakazem przeszukania - już jest w drodze od prokuratora, została przekazana dokładnie czterdzieści minut temu. Waaler zdecydowanie oświadczył, że nie chce grupy Delta, sam chciał dokonać zatrzymania, a ludzi, których potrzebował, już powiadomił. Ivarsson nie robił problemów.

Waaler zatarł ręce. Trochę z powodu lodowatego wiatru szalejącego po ulicy od strony stadionu Bislett, ale przede wszystkim z radości. Zatrzymanie było najciekawszą częścią pracy. Zrozumiał to już wtedy, gdy był mały, i razem z Joakimem czaili się w sądzie rodziców w jesienne wieczory, czekając, aż gówniarze z domów spółdzielczych przyjdą kraść jabłka. I rzeczywiście przychodzili, często po ośmiu, dziesięciu naraz. Bez względu jednak na to, ilu ich było, zawsze wybuchała totalna panika, gdy on i Joakim zapalali kieszonkowe latarki i wrzeszczeli przez domowej roboty megafony. Stosowali tę samą zasadę co wilki polujące na renifery, wypatrywali najmniejszego i najsłabszego i odcinali mu drogę. Podczas gdy Toma fascynowało najbardziej właśnie zatrzymanie - powalenie zwierzyny - do Joakima najbardziej przemawiała kara. Jego kreatywność pod tym względem kazała mu niekiedy posuwać się tak daleko, że Tom musiał go powstrzymać. Wcale nie dlatego, że współczuł złodziejom, lecz ponieważ w przeciwieństwie do Joakima zachowywał trzeźwy umysł i był w stanie ocenić konsekwencje. Tom często myślał, że mimo wszystko nie było przypadkiem, iż Joakim wybrał taki zawód. Był teraz młodszym sędzią w Sądzie Rejonowym w Oslo i

przepowiadano mu błyskotliwą karierę.

Tak więc właśnie moment zatrzymania przestępcy zaprowadził Toma do policji. Ojciec pragnął, by Tom studiował medycynę albo teologię, tak jak on. Miał przecież najlepsze stopnie w szkole, dlaczego więc chciał zostać policjantem? Ojciec mawiał, że po to, by mieć poczucie własnej godności, potrzebne jest porządne wykształcenie, i opowiadał o swoim starszym bracie, który pracował w sklepie z artykułami żelaznymi, sprzedawał śruby i nienawidził ludzi, ponieważ czuł, że są od niego lepsi.

Tom przysłuchiwał się tym pouczeniom z uśmiechem, którego, jak wiedział, ojciec nie znosi. Wcale nie o poczucie własnej wartości Toma niepokoił się ojciec, lecz o to, co powiedzą sąsiedzi i krewni, gdy jego jedyny syn zostanie „tylko policjantem”. Ojciec nigdy nie rozumiał, że można nienawidzić ludzi, chociaż jest się od nich lepszym. Właśnie dlatego, że jest się od nich lepszym.

Spojrzał na zegarek. Trzydzieści po szóstej. Nacisnął jeden z domofonów na parterze.

- Słucham? - rozległ się kobiecy głos.

- Policja - powiedział Waaler. - Może nam pani otworzyć? - Skąd mam wiedzieć, że jesteście z policji?

Cholerna Pakistanka, pomyślał Waaler i kazał jej wyrzucić przez okno na samochody policyjne. Rozległ się brzęczyk otwieranych drzwi.

- I proszę nie wychodzić z mieszkania - dodał jeszcze do domofonu. Jednego z ludzi Waaler umieścił na tylnym podwórzu przy schodach ewakuacyjnych. Kiedy obejrzał plany budynku w Internecie, postarał się zapamiętać, gdzie leży mieszkanie Harry'ego, i doszedł do wniosku, że nie ma żadnego tylnego wyjścia, którego należałoby przypilnować.

Uzbrojeni w MP3 przewieszane przez ramię na skórzanych pasach, Waaler i jeszcze dwaj ludzie zaczęli się skradać po zniszczonych drewnianych stopniach. Na drugim piętrze Waaler zatrzymał się i wskazał na drzwi, na których nie było - zresztą nigdy nie była potrzebna - żadnej wizytówki. Popatrzył na kolegów. Ich klatki piersiowe poruszały się i opadały pod mundurami. Wcale nie ze względu na wspinaczkę po schodach.

Naciągnęli kominiarki. Najważniejsza teraz była szybkość, skuteczność i zdecydowanie. To ostatnie oznaczało w zasadzie jedynie gotowość do brutalności. A jeśli to konieczne, nawet do zabicia. Rzadko bywało konieczne. Nawet zatwardziali przestępcy z reguły ulegali paraliżowi na widok zamaskowanych uzbrojonych mężczyzn, bez uprzedzenia wpadających do mieszkania. Krótko mówiąc, policjanci stosowali tę samą taktykę, co bandyci napadający na banki.

Waaler przygotował się, ruchem głowy dał znak koledze i delikatnie musnął drzwi

dwoma palcami, jedynie po to, by później w raporcie mogli napisać, że uprzednio zastukali. Waaler wybił szybę w drzwiach lufą pistoletu maszynowego, wsunął rękę do środka i jednym i tym samym ruchem otworzył. Wrzeszczał, gdy wdzierali się do środka. Jakaś samogłoskę, czy początek słowa, nie był pewien. Wiedział jedynie, że wrzeszczał dokładnie tak samo, gdy z Joakimem zapalali latarki. To było najprzyjemniejsze.

- Kluski ziemniaczane - powiedziała Maja, zabierając talerz i z wyrzutem patrząc na Harry'ego. - A ty nawet nie tknąłeś.

- Przepraszam. Nie mam apetytu. Pozdrów kucharza i powiedz, że to nie jego wina. Tym razem.

Maja serdecznie się roześmiała i skierowała do kuchni.

- Maju...

Obróciła się wolno. Było coś w głosie Harry'ego, coś w jego tonie, że już wiedziała, co nastąpi.

- Przynieś mi piwo, dobrze?

- Co się stało, Maju? - spytał kucharz, gdy opróżniała talerz do śmieci.

- To nie moje życie - odparła. - Tylko jego. Tego idioty.

Telefon w pokoju Beatę pisnął cienko. Podniosła słuchawkę. W pierwszej chwili usłyszała tylko odgłos rozmów, śmiechów i pobrzękującego szkła. Potem rozległ się głos:

- Przeszkadzam?

Przez moment czuła się niepewnie. W jego głosie było coś obcego. Ale to nie mógł być nikt inny.

- Harry?

- Co robisz?

- Sprawdzam w Internecie, czy ktoś nam czegoś nie podpowiedział. Harry...

- Umieściliście więc film z napadu na Grensen w sieci?

- Tak, ale... posłuchaj...

- Jest parę rzeczy, które muszę ci powiedzieć, Beatę. Arne Albu...- Dobrze, ale zaczekaj chwilę i najpierw posłuchaj mnie.

- Jesteś zdenerwowana, Beatę.

- Owszem! - Od jej okrzyku w telefonie zatrzeszczało. Zaraz jednak powiedziała już spokojniej. - Szukają cię, Harry. Próbowałam do ciebie dzwonić, żeby cię ostrzec zaraz po tym, jak stąd wyjechali, ale nie zastałam cię w domu.

- O czym ty mówisz?

- O Tomie Waalerze. Ma na ciebie niebieską kartkę.

- Co? Mają mnie aresztować?

Dopiero teraz Beatę zrozumiała, czym jest ta obcość w jego głosie. Pił. Przełknęła ślinę.

- Powiedz, gdzie jesteś, Harry, to po ciebie przyjadę. Powiemy, że sam się zgłosiłeś. Nie wiem jeszcze, o co w tym wszystkim chodzi, ale ci pomogę. Obiecuję. Harry? Nie rób nic głupiego, dobrze? Halo?

Siedziała, słuchając głosów, śmiechów i pobrzękujących szklanek, aż w końcu usłyszała kroki i zachrypnięty kobiecy głos w słuchawce. - Mówi Maja ze Schrodera.

- Gdzie...

- Wyszedł.

35 SOS

Vigdis Albu obudziło ujadanie Gregora na zewnątrz. Deszcz bębnił o dach. Spojrzała na zegarek. Pół do ósmej. Musiała zasnąć. Szklanka przed nią była pusta, dom był pusty, wszystko było puste. Nie tak to sobie zaplanowała.

Wstała i podeszła do drzwi na taras, żeby spojrzeć na Gregora. Stał obrócony w stronę furtki, uszy miał nastawione, ogon zadarty. Co miała zrobić? Oddać go? Uśpić? Nawet dzieci nie żywiły żadnych cieplejszych uczuć wobec tego hiperaktywnego i nerwowego zwierzaka. Plan. No tak. Spojrzała na opróżnioną do połowy butelkę ginu na szklanym stoliku. Najwyższa pora zacząć opracowywać nowy.

Szczekanie Gregora rozdzierało powietrze. Hau, hau. Arne twierdził, że ten irytujący odgłos go uspokajał, podświadomie przydawał uczucia, że ktoś czuwa. Twierdził, że psy są w stanie wyczuć zapach wroga, ponieważ ci, którzy pragną im wyrządzić krzywdę, pachną inaczej niż przyjaciele. Postanowiła zadzwonić jutro do weterynarza, miała dosyć karmienia psa, który zaczynał szczekać za każdym razem, gdy tylko weszła do pokoju.

Uchyliła drzwi na taras i nasłuchiwała. Wśród ujadania i deszczu usłyszała jeszcze chrzęst żwiru. Zdążyła przeciągnąć szczotkę przez włosy i zetrzeć plamę z tuszu pod lewym oknem, gdy dzwonek do drzwi odegrał swoje trzy tony z *Mesjasza* Haendla. Podarunek na nowe mieszkanie od teściów. Domyślała się, kto to może być. Miała rację, ale tylko w połowie.

- To pan, panie policjancie? - zdziwiła się szczerze. - Przyjemna niespodzianka.

Mężczyzna na schodach był przemoczony, krople wody zwiślały mu z brwi. Oparł się

jedną ręką o futrynę i patrzył na nią, nie odpowiadając. Vigdis Albu otworzyła drzwi szerzej i zmrużyła oczy.

- Nie wejdzie pan?

Poszła przodem, za plecami słyszała kłaskanie przemoczonych butów. Wiedziała, że spodobało mu się to, co zobaczył. Usiadł w fotelu, nie zdejmując płaszcza. Widziała, że materiał ciemnieje, chłonąc wodę.

- Ginu?

- A ma pani Jima Beama?

- Nie.

- Gin też jest dobry.

Przyniosła kryształowe szklanki - prezent ślubny od teściów - i naląła obojgu.

- Moje kondolencje. - Policjant patrzył na nią zaczerwienionymi błyszczącymi oczami, które powiedziały jej, że nie był to jego pierwszy drink tego dnia.

- Dziękuję. Wypijmy.

Gdy odstawiła swoją szklankę, spostrzegła, że on opróżnił naraz połowę swojej. Obracał ją teraz w palcach, gdy nagle oznajmił:

- To ja pozbawiłem go życia. ■.

Vigdis mechanicznie sięgnęła do naszyjnika z pereł. Prezentu po nocy poślubnej.

- Nie chciałem, żeby to się tak skończyło - ciągnął. - Ale byłem głupi i nieostrożny. Doprowadziłem morderców prosto do niego. Vigdis czym prędzej podniosła szklankę do ust, by nie zauważył, że jest bliska wybuchnięcia śmiechem.

- Teraz więc już pani to wie.

- Tak, teraz już wiem - szepnęła. Wydało jej się, że dostrzega w jego oczach cień zdziwienia.

- Rozmawiała pani z Tomem Waalerem. - Zabrzmiało to jak stwierdzenie, nie jak pytanie.

- Ma pan na myśli tego policjanta, który uważa się za dar boży dla... Tak, rozmawiałam z nim. I oczywiście powiedziałam wszystko, co wiedziałam. Miałam nie mówić, Harry?

Wzruszył ramionami.

- Narobiłam ci kłopotów, Harry?

Podciągnęła nogi na kanapę i sponad szklanki przyglądała mu się z zatroskaną miną. Nie odpowiedział.

- Jeszcze drinka? Kiwnął głową.

- Mam w każdym razie jedną dobrą wiadomość. - Bacznie obserwował, jak mu nalewa. - Dziś wieczorem dostałem maila od osoby, która przyznaje się do zamordowania Anny Bethsen. Ten człowiek przez cały czas zwodził mnie, żebym myślał, że to Arne.

- Świetnie - powiedziała. - Ojoj, trochę przesadziłam. - Rozlała gin na stole.

- Nie wydaje się pani tym zaskoczona.

- Mnie już nic nie dziwi. Prawdę powiedziawszy, nie wierzyłam, by Arne miał na tyle stalowe nerwy, by zamordować człowieka.

Harry roztarł kark.

- W każdym razie mam teraz dowody na to, że Anna Bethsen została zabita. Przed wyjściem z domu przesłałem to przyznanie się do winy pewnej osobie z pracy, wraz ze wszystkimi pozostałymi mailami, które otrzymałem. To oznacza, że jeśli chodzi o moją rolę, wykładam wszystkie karty na stół. Anna była kiedyś moją przyjaciółką. Mój problem polega na tym, że odwiedziłem ją tego wieczoru, kiedy zginęła. Powinienem był to zgłosić od razu, ale byłem głupi i nieostrożny, sądziłem, że uda mi się wyjaśnić tę sprawę samodzielnie, jednocześnie nie zostając w to wplątany. Byłem...

- Głupi i nieostrożny. Już mówiłeś.

Popatrzyła na niego zamyślona, ręką gładząc poduszkę kanapy.

- To oczywiście wiele wyjaśnia. Lecz mimo wszystko nie bardzo rozumiem, dlaczego przestępstwem miałoby być spędzanie czasu z kobietą, z którą ma się ochotę... spędzić czas. Musisz się jakoś wytłumaczyć, Harry.

- No cóż. - Wlał w siebie przezroczysty alkohol. - Kiedy się obudziłem następnego dnia, nic nie pamiętałem.

- Rozumiem. - Wstała z kanapy i stanęła naprzeciwko niego. - Wiesz, kim on jest?

Odchylił głowę na oparcie i podniósł wzrok na nią.

- A kto powiedział, że to on? Zaczynał już trochę bełkotać.

Wyciągnęła do niego szczupłą dłoń. Spojrzał na nią pytająco.

- Płaszcz - powiedziała. - Idź prosto do łazienki i weź gorącą kąpiel. Zrobię w tym czasie kawę i znajdę ci jakieś suche ubranie. Nie sądzę, by on protestował. Był pod wieloma względami rozsądnym człowiekiem.

- Ja...

- Idź już.

Gorące objęcia wywoływały u Harry'ego dreszcz rozkoszy. Pieszczotliwe ukąszenia ciągnęły się w górę ud ku biodrom. Jęknął. Potem zanurzył się głębiej we wrzącej wodzie i oparł głowę o brzeg wanny.

Słyszał deszcz na zewnątrz, usiłował też nasłuchiwać Vigdis Albu, ale nastawiła płytę. Police. *Greatest hits*, w tym wypadku również. Zamknął oczy.

- *Sending out an SOS, sending out an SOS...* - śpiewał Sting. A Harry tak ufał temu facetowi. A propos, liczył, że Beatę już przeczytała jego maila, przekazała informacje dalej i pościg za lisem został odwołany. Od alkoholu powieki zrobiły mu się ciężkie. Za każdym razem jednak, gdy tylko zamykał oczy, widział nogi w ręcznie szytych włoskich butach wystające z parującej wody w wannie. Sięgnął za głowę po szklankę, którą postawił na brzegu. U Schrodera zdążył wypić zaledwie dwa duże piwa, zanim zadzwonił do Beatę, a to nie zapewniło mu wcale tego znieczulenia, którego potrzebował. Gdzie się podziała ta przeklęta szklanka? Ciekawe, czy Tom Waaler mimo wszystko go szuka. Harry wiedział, że Waaler wprost się pali z chęci dokonania tego aresztowania. Ale on nie zamierzał dać się zamknąć w areszcie, dopóki nie pozna wszystkich szczegółów. Od tej chwili nie mógł ufać nikomu oprócz siebie. Da radę. Tylko najpierw krótki time-out. Jeszcze jeden drink. Poprosi o przenocowanie go na kanapie. W głowie mu się przejaśni. Da radę. Jutro.

Ręka natrafiła na szklankę i ciężki kryształ z brzękiem rozbił się na podłodze z kafli.

Harry zaklął i wstał. O mało się nie przewrócił, lecz w ostatniej chwili oparł się o ścianę. Owinął się grubym puszystym ręcznikiem i poszedł do salonu. Butelka z ginem wciąż stała na stole. Znalazł nową szklankę w barku i nalał sobie po brzeg. Słyszał pomrukiwanie ekspresu do kawy. I głos Vigdis z holu na parterze. Wrócił do łazienki, ostrożnie postawił szklankę obok ubrania przygotowanego przez Vigdis, czarno-niebieskiego zestawu z kolekcji Bjórna Borga. Przetarł lustro ręcznikiem i w kawałku uwolnionym z pary ujrzał własne odbicie.

- Ty idioto - szepnął.

Spojrzał na podłogę. Wzdłuż fugi między kafelkami ku kratce odpływowej ciągnęła się czerwona smuga. Powiódł wzrokiem wzdłuż niej do własnej prawej stopy. Spomiędzy palców płynęła świeża krew. Stał wśród odłamków i nawet tego nie poczuł. Nie poczuł kompletnie nic. Znowu spojrzał w lustro i wybuchnął śmiechem.

Vigdis odłożyła słuchawkę. Musiała improwizować. Nienawidziła improwizacji, czuła się wręcz fizycznie chora, gdy coś nie szło według planu. Już jako mała dziewczynka zrozumiała, że nic nie dzieje się samo, że najważniejsze jest planowanie. Wciąż pamiętała, jak rodzina przeniosła się z Skien do Slemdal, chodziła wtedy do trzeciej klasy i musiała stanąć przed nowymi kolegami. Powiedziała, jak się nazywa, a wszyscy się na nią gapili. Na nią, na jej ubranie, na dziwny plastikowy tornister, na którego widok kilka dziewczynek wybuchnęło śmiechem. Na ostatniej lekcji zrobiła listę. Napisała, która z dziewcząt zostanie jej najlepszą

przyjaciółką, którą odrzuci, który z chłopców się w niej zakocha, i który z nauczycieli uzna ją za ulubioną uczennicę. Listę po powrocie do domu powiesiła nad swoim łóżkiem i zdjęła ją dopiero w Boże Narodzenie, gdy przy każdym z nazwisk już postawiła ptaszka.

Ale teraz stało się inaczej. Teraz, aby wszystko ułożyło się na swoim miejscu, była skazana na innych.

Popatrzyła na zegarek. Dwadzieścia po ósmej. Tom Waaler mówił, że zdążą przyjechać w ciągu dwunastu minut. Obiecał, że wyłączy syreny w odpowiednim czasie przed dojechaniem na Slemdal, by nic musiała wstydzić się sąsiadów. Sam tak powiedział, ona w ogóle o tym nie wspomniała.

Siedziała w holu i czekała. Hole najpewniej zasnął w wannie. Znów spojrzała na zegarek, posłuchała muzyki. Stresujące piosenki Police na szczęście już się skończyły i teraz Sting tym cudownym uspokajającym głosem śpiewał przeboje ze swoich płyt solowych. O deszczu, który wciąż będzie padał jak łzy gwiazdy. To było tak piękne, że zebrało jej się na płacz.

Potem usłyszała ochryple szczekanie Gregora. Nareszcie.

Otworzyła drzwi i wyszła na schody, tak, jak się umówili. Ujrzała jakąś postać biegnącą przez ogród w stronę tarasu i drugą okrążającą dom od tyłu. Dwaj zamaskowani ludzie w czarnych mundurach z niedużą krótką bronią zatrzymali się tuż przed nią.

- Ciągle w łazience? - spytał jeden z tych w kominiarkach. - Za schodami w lewo?

- Tak, Tom - szepnęła. - Dziękuję, że zjawiliście się tak... Ale oni już wchodzili.

Zamknęła oczy i nasłuchiwała. Biegące kroki na schodach, rozpaczliwe szczekanie Gregora na tarasie. Miękki głos Stinga. *How fragile we are*. Hałas, gdy kopniakami wyważyli drzwi łazienki.

Odwróciła się i weszła do środka. Na górę po schodach, ku okrzykom. Potrzebowała drinka. Zobaczyła Toma Waalera u szczytu schodów. Ściągnął maskę, lecz twarz miał tak wykrzywioną, że prawie go nie poznała. Wskazywał na coś. Na dywan. Były na nim ślady krwi. Jej spojrzenie powędrowało za nimi przez cały salon aż do uchylonych drzwi tarasu. Nie słyszała, co wrzeszczy do niej ten idiota w czerni. *Plan*, powtarzała jedynie w myślach. Me taki był plan.

36 WALTZING MATHILDA

Harry biegi. Równe szczekanie Gregora było niczym metronom w tle. Poza tym dookoła panowała cisza. Bose stopy z pluskiem uderzały o moką trawę. Z rękami

wyciągniętymi przed siebie przedarł się przez kolejny żywopłot, ledwie czując, jak ciernie rozdierają dłonie i kolekcję Bjórna Borga. Własnego ubrania ani butów nie znalazł, pewnie zniosła je na dół, na parter, gdzie siadła i czekała. Próbował znaleźć inne obuwie, ale nagle Gregor zaczął ujadać i musiał uciekać tak jak stał, w samych spodniach i koszuli. Deszcz zalewał mu oczy; domy, jabłonie i krzewy zlewały się w jedną masę. Z ciemności wyłonił się kolejny ogród. Zaryzykował przeskoczenie przez nieduży płot, ale stracił równowagę. Bieganie pod wpływem alkoholu. Zadbany trawnik uderzył go w twarz. Leżał i nasłuchiwał.

Wydawało mu się, że słyszy szczekanie innych psów, czyżby przybyły patrol z „Victora”? Tak prędko? Waaler musiał ich trzymać w gotowości. Harry wstał i rozejrzał się. Dotarł na szczyt wzgórza, ku któremu się kierował.

Świadomie trzymał się z dala od oświetlonych ulic, gdzie mogli go zobaczyć ludzie. Wkrótce zresztą zaczną je patrolować radiowozy. W dole przy Bjornetrøkket widział posiadłość Albu. Przed bramą stały zaparkowane cztery samochody, dwa z obracającymi się kogutami. Spojrzał w dół, na drugą stronę wzgórza. Czy to trawiasty stadion Holmen? Chyba tak. Na dole przy skrzyżowaniu stał cywilny samochód z włączonymi światłami postojowymi. Parkował na przejściu dla pieszych. Harry był szybki, ale Waaler szybszy. Tak parkuje jedynie policja.

Mocno roztarł twarz, próbował pozbyć się znieczulenia, za którym jeszcze przed chwilą tak bardzo tęsknił. Niebieskie światło mignęło między drzewami kawałek dalej przy Stasjonsveien. Znalazł się w sieci, która już się wokół niego zaciskała. Nie wymknie się. Waaler jest na to zbyt dobry. Nie bardzo to jednak rozumiał. Niemożliwe, by to była solowa zagrywka Waalera. Ktoś musiał autoryzować użycie tak pokaźnych sił do aresztowania jednego człowieka. Co się stało? Czyżby Beatę nie dostała jego maila?

Nasłuchiwał. Z całą pewnością było więcej psów. Rozejrzał się. Popatrzył na oświetlone wille, porzucane po ciemnym jak noc wzgórzu. Pomyślał o ciepłe i przytulności za szybami. Norwegowie lubią światło. I mają prąd. Gaszą światło dopiero wówczas, gdy wyjeżdżają na dwa tygodnie na wakacje w południowych krajach. Spojrzenie przeskakiwało z domu na dom.

Tom Waaler wpatrywał się w wille zdobiące krajobraz jak plamki choinkowe. Duże czarne ogrody. Kradzież jabłek. Siedział z nogami na desce rozdzielczej w specjalnej furgonetce „Victora”. Oni mieli najlepszy sprzęt komunikacyjny, przeniósł się więc z dowodzeniem operacją tutaj. Utrzymywał kontakt radiowy ze wszystkimi jednostkami otaczającymi już okolicę. Popatrzył na zegarek. Psy ruszyły. Minęło już blisko dziesięć minut, odkąd zniknęły razem ze swymi przewodnikami w drodze przez ogrody.

Zatrzeszczało radio.

- Stasjonsveien, do Victora zero jeden. Mamy tu samochód z niejakim Stigiem Antonsenem, który chce wjechać na Revehiveien siedemnaście. Twierdzi, że wraca z pracy. Czy mamy...

- Sprawdźcie tożsamość i adres i wpuście go - odparł Waaler. - To samo dotyczy wszystkich innych. Myślcie trochę.

Wyjął płytę kompaktową z kieszeni na piersi i włożył ją do odtwarzacza. Śpiewana kilkoma falsetami piosenka. *Thunder all through the night, and a promise to see Jesus in the morning light*. Policjant na siedzeniu kierowcy uniósł brew, lecz Waaler udał, że tego nie widzi, i zrobił głośniejsze. Zwrotka. Zwrotka. Refren. Zwrotka. Refren. Następna piosenka. *Pop Daddy, Daddy Pop. Oh, sock it to me. You are the best*. Waaler znów spojrzał na zegarek. Do diabła, ile czasu potrzebują te psy! Uderzył pięścią w deskę. Kolejne spojrzenia kierowcy.

- Mają przecież ślady świeżej krwi - powiedział Waaler. - Czy to takie trudne?

- To psy, nie roboty - odparł kierowca. - Uspokój się, zaraz go złapią!

Artysta, który na zawsze miał się nazywać Prince, dotarł do połowy *Diamonds and Pearls*, gdy nadszedł meldunek.- Victor zero trzy do Victora zero jeden. Chyba go mamy. Stoimy przed białą willą na... Erik próbuje sprawdzić, jak się ta ulica nazywa. Ale w każdym razie na ścianie domu jest numer szesnaście.

Waaler ściszył muzykę.

- Okej. Sprawdźcie to i czekajcie na nas. Co to za dziwny pisk?

- Dochodzi ze środka domu. W radiu zatrzeszczało.

- Stasjonsveien do Victora jeden. Przepraszam, że się wtrączę, ale mamy tu samochód z Falcka. Mówią, że jadą na Harelabben szesnaście. W ich centrali zarejestrowano, że uruchomił się tam alarm. Czy mam...

- Victor zero jeden do wszystkich jednostek! - krzyknął Waaler. - Ruszamy! Harelabben szesnaście!

Bjarne Molier był w paskudnym humorze. W samym środku talkshow! Odszukał białą willę z numerem 16, zaparkował przed nią i przeszedł przez furtkę do otwartych drzwi, w których stał policjant z owczarkiem niemieckim na smyczy.

- Jest tu Waaler? - spytał naczelnik wydziału. Funkcjonariusz wskazał mu głową wewnątrz domu. Molier zauważył, że szkło w wejściowych drzwiach jest zbite. Waaler stał w korytarzu i gniewnie dyskutował z innym policjantem.

- Co tu się, u diabła, dzieje? - spytał Molier bez wstępów. Waaler obrócił się.

- A co ciebie tu sprowadza, Molier?

- Telefon od Beatę Lonn. Kto autoryzował to szaleństwo?

- Nasz policyjny prokurator.

- Nie mówię o aresztowaniu. Chodzi mi o to, kto dał sygnał rozpoczęcia trzeciej wojny światowej tylko z tego powodu, że jeden z naszych kolegów może - może! - mieć parę rzeczy do bliższego wyjaśnienia.

Waaler zakłosał się na piętach, patrząc Molierowi prosto w oczy.

- Naczelnik wydziału Ivarsson. Znaleźliśmy u Harry'ego w domu parę rzeczy i stał się kimś więcej niż tylko osobą, z którą mielibyśmy ochotę porozmawiać. Jest podejrzany o zabójstwo. Chciałbyś wiedzieć coś jeszcze, Molier?

Zdumiony Molier uniósł brew, stwierdzając, że Waaler musi być bardzo podniecony. Po raz pierwszy bowiem usłyszał, żeby zwracał się do zwierzchnika tonem wyzywającym.

- Owszem. Gdzie jest Harry?

Waaler wskazał na czerwone odciski stóp na parkiecie.

- Był tutaj. Włamanie, jak widzisz. Rzeczy do wyjaśnienia zaczyna się zbierać coraz więcej, prawda?

- Pytałem, gdzie jest teraz.

Waaler i drugi policjant wymienili spojrzenia.

- Harry'ego najwyraźniej nie interesuje żadne składanie wyjaśnień. Ptaszek wyfrunął, gdy tu przybyliśmy.

- Tak? A miałem wrażenie, że otoczyliście całą okolicę żelaznym kordonem.

- Bo tak było - odparł Waaler.

- To w jaki sposób zdołał się wywinąć?

- Dzięki temu. - Waaler wskazał aparat telefoniczny na stoliku. Na słuchawce widać było ślady przypominające krew.

- Uciekł przez telefon?

Pomimo złego humoru i powagi sytuacji Molier miał irracjonalnie ochotę się uśmiechnąć.

- Są powody, by przypuszczać - mówił Waaler, a Molier obserwował ruchy mocnych szczęk Davida Hasselhoffa - że zamówił taksówkę.

Oystein wolno jechał aleją i skręcił taksówką na brukowany plac, który układał się w półkole przed bramą Więzienia w Oslo. Ustawił się między dwoma samochodami tyłem do pustego parku i Gronlandsleiret. Przekręcił kluczyk do połowy; silnik zgasł, lecz wycieraczki nie przestały się poruszać. Zerknął jeszcze na Budynek Policji, a potem pociągnął za uchwyt pod kierownicą. Rozległ się krótki trzask i pokrywa bagażnika uchyliła się do połowy.

- Jesteśmy na miejscu! - zawołał, patrząc w lusterko. Samochód się zakołysał, pokrywa bagażnika otworzyła się szerzej i zaraz znów się zatrzasnęła. Potem otworzyły się tylne drzwiczki i do środka wślizgnął się człowiek. Oystein obserwował przemoczonego, trzęsącego się z zimna pasażera w lusterku.

- Świetnie wyglądasz, Harry.- Dziękuję.

- Ciuchy też masz niezłe.

- Nie mój rozmiar, ale to Björn Borg. Pożycz mi swoje buty. - Co?

- W korytarzu znalazłem tylko filcowe kapcie, nie mogę w nich iść w odwiedziny do więzienia. I daj mi swoją kurtkę.

Oystein przewrócił oczami, ale ściągnął z siebie krótką skórzaną kurtkę.

- Miałeś jakieś kłopoty z przedostaniem się przez zapory? - spytał Harry.

- Tylko w tamtą stronę. Musieli sprawdzić adres i nazwisko osoby, dla której miałem paczkę.

- Nazwisko znalazłem na drzwiach.

- W powrotnej drodze zajrzeli tylko do samochodu i kazali jechać. Minęło pół minuty i nagle w radiu zrobił się okropny szum. Do wszystkich jednostek i tak dalej. Ha, ha.

- Wydawało mi się z tyłu, że coś słyszę. Masz świadomość, że słuchanie radia policyjnego jest nielegalne, Oystein?

- Ho, ho, samo posiadanie nie jest nielegalne, tylko korzystanie. A ja nie korzystam z niego prawie nigdy.

Harry zawiązał sznurówki, a filcowe kapcie przerzucił ponad siedzeniem Oysteinowi.

- Dostaniesz nagrodę w niebie. Jeśli zapisali numer taksówki i ktoś się do ciebie zgłosi, powiesz dokładnie, jak było. Ze pasażer zadzwonił do ciebie bezpośrednio na komórkę i uparł się podróżować w bagażniku.

- Naprawdę?

- To najprawdziwsza prawda, z jaką nie zetknąłem się o dawna.

Harry nabrał powietrza i zadzwonił. W zasadzie nic powinno istnieć żadne niebezpieczeństwo, ale nie wiadomo, jak szybko się rozejdzie wiadomość o tym, że jest poszukiwany. Policja przecież i tak cały czas wchodziła i wychodziła z więzienia.

- Słucham? - rozległ się głos w głośniku.

- Komisarz Harry Hole - powiedział Harry z nadmiernie wyraźną dykcją, patrząc wprost w kamerę ponad bramą, z jakkolwiek, miał nadzieję, wyraźnym spojrzeniem. - Do Raskola Baxheta.

- Nie mam cię na liście.

- Nie masz? - odparł Harry zdziwionym głosem. - Prosiłem Beatę Lonn, żeby zadzwoniła do was i uprzedziła. Dziś wieczorem o dziewiątej. Spytajcie Raskola.

- Poza wyznaczoną porą odwiedzin muszę cię mieć na liście. Zadzwoń jutro w godzinach pracy.

Harry zmienił ton.

- Jak się nazywasz?

- Boygset. Posłuchaj, nie mogę...

- Posłuchaj, Boygset, chodzi o informacje w bardzo ważnej sprawie, która nie może czekać do jutra do godzin pracy. Słyszałeś chyba dziś wieczorem syreny wyjeżdżających z Budynku Policji?

- No tak, ale...

- Więc jeśli nie masz ochoty odpowiadać jutro gazetom, w jaki sposób udało wam się zagubić listę z moim nazwiskiem, to proponuję, żebyśmy zmienili sposób działania i wcisnęli guzik zdrowego rozsądku. To ten, który masz bezpośrednio przed sobą, Boygset.

Harry zapatrzył się w martwe oko kamery. Sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa... Zahuczał brzęczyk zamka.

Gdy Harry'ego wpuszczono do środka, Raskol siedział na krześle w celi.

- Dziękuję, że potwierdziłeś umówioną wizytę. - Harry rozejrzał się po maleńkiej celi cztery na dwa metry. Łóżko, pulpit, dwie szafki, kilka książek. Żadnego radia, żadnych czasopism, żadnych rzeczy osobistych. Nagie ściany.

- Wolę, żeby tak było - powiedział Raskol, jak gdyby w odpowiedzi na myśli Harry'ego. - Dzięki temu umysł się wyostrza.

- No to zobaczymy, na ile ci się wyostrzył. - Harry przysiadł na brzegu łóżka. - To jednak nie Arne Albu zabił Annę. Dopadliście niewłaściwego człowieka. Masz na rękach niewinną krew, Raskol.

Harry nie był pewien, lecz wydało mu się, że dostrzegł leciutkie drgnięcie w łagodnej, lecz mimo to zimnej masce męczennika. Raskol pochylił głowę i przyłożył ręce do skroni.

- Dostałem maila od mordercy - powiedział Harry. - Okazało się, że manipulował mną od pierwszego dnia. - Gładząc ręką kraciatą poszewkę kołdry, opowiedział o treści ostatniego maila, a następnie o wydarzeniach, jakie miały miejsce tego dnia.

Raskol siedział nieruchomo i czekał, aż Harry skończy.

Potem podniósł głowę.

- To oznacza, że ty też masz na rękach krew niewinnego człowieka, *Spiuni*?

Harry kiwnął głową.

- A teraz przyszedłeś tu, by mi powiedzieć, że to ja tę krew na ciebie ściągnąłem? I dlatego jestem ci coś winien?

Harry nie odpowiedział.

- Zgadzam się - oświadczył Raskol. - Powiedz mi, o co chodzi. Harry przestał gładzić koldrę.

- Jesteś mi winien trzy rzeczy. Po pierwsze, muszę się gdzieś schować, dopóki nie dotrę do samego sedna tej sprawy.

Raskol kiwnął głową.

- Po drugie, muszę mieć klucz do mieszkania Anny, żeby sprawdzić kilka rzeczy.

- Przecież ci go oddałem.

- Nie mówię o kluczu z inicjałami AA. Ten leży w szufladzie w moim mieszkaniu, a tam się teraz nie dostanę. A po trzecie...

Harry urwał. Raskol popatrzył na niego pytająco.

- Jeśli dowiem się od Rakel, że ktokolwiek choćby krzywo na nich spojrział, to się zgłoszę. Wyłożę wszystkie karty na stół i wskażę ciebie jako człowieka odpowiedzialnego za morderstwo Arnego Albu.

Raskol uśmiechnął się z życzliwą pobłażliwością, jak gdyby w imieniu Harry'ego chciał przeprosić za fakt, z którego obaj zdawali sobie sprawę: Że nikt nigdy nie zdoła znaleźć jakiegokolwiek powiązania między Raskolem a tym morderstwem.

- O Rakel i Olega nie musisz się obawiać, *Spiuni*. Mój kontakt Otrzymał polecenie wycofania swoich pomocników, gdy tylko uwinęliśmy się z Albu. Bardziej powinieneś się bać o wynik sprawy. Mój informator twierdzi, że to nie wygląda różowo. Jak rozumiem, rodzina ojca dziecka ma stosowne powiązania.

Harry wzruszył ramionami. Raskol wyciągnął szufladę, wyjął z niej błyszczący klucz Trioving i dał go Harry'emu.

- *Idź* prosto na stację kolejki podziemnej na Gronland. Kiedy zejdziesz z pierwszych schodów, zobaczysz kobietę w okienku przy toaletach. Musisz dać jej pięć koron, żeby cię wpuściła. Powiesz, że Harry przyszedł, wejdiesz do męskiej i zamkniesz się w którymś z boksów. Kiedy usłyszysz, że ktoś wchodzi i gwizdże *Waltzing Mathilda*, będzie to oznaczać, że transport po ciebie przyjechał. Powodzenia, *Spiuni*.

*

Deszcz padał tak mocno, że nad asfaltem unosiła się delikatna mgielka odbitych kropli. A ktoś, kto się nie spieszył, zobaczyłby małe tęczowe światła ulicznych latarni na dole wąskiego jednokierunkowego odcinka Sofies gate. Ale Bjarne Molier nie miał na to czasu.

Wysiadł z samochodu, naciągnął płaszcz na głowę i przebiegł przez ulicę do bramy, gdzie już czekali na niego Ivarsson, Weber i jeszcze jeden mężczyzna, z wyglądu Pakistańczyk.

Molier podał im rękę po kolei, śniady przedstawił się jako Ali Niazi, sąsiad Harry'ego.

- Waaler przyjedzie, gdy tylko zrobi porządek na Slemdal - powiedział Molier. - Co znaleźliście?

- Obawiam się, że bardzo interesujące rzeczy - odparł Ivarsson. - Najważniejsze teraz to wymyślić sposób, w jaki przekazemy prasie, że jeden z naszych ludzi...

- Hej, hej! - ryknął Molier. - Nie tak prędko! Powiedzcie mi w skrócie, co to jest?

Ivarsson uśmiechnął się lekko.

- Chodź.

Szef Wydziału Napadów ruszył przodem. Za nim trzej pozostali minęli niskie drzwi i po krzywych kamiennych schodach zeszli w dół do piwnicy. Molier starał się zginać prawie w pół, żeby nie dotknąć sufitu ani ścian. Nie przepadał za piwnicami.

Głos Ivarssona niósł się echem między ścianami.

- Jak wiesz, Beatę Lonn dostała dziś wieczorem kilka maili przesłanych jej przez Holego. Hole twierdzi, że to wiadomości od osoby, która przyznaje się do zamordowania Anny Bethsen. Byłem w Budynku Policji godzinę temu i czytałem te maile. To, mówiąc wprost, kompletnie niezrozumiały chory bełkot. Zawierają jednak również informacje, których nadawca nie mógł znać, nie mając jednocześnie dokładnej wiedzy o tym, co się wydarzyło, gdy zmarła Anna Bethsen. Chociaż maile mówią o obecności Holego w jej mieszkaniu tego wieczoru, dają jednocześnie Holemu pozorne alibi.

- Pozorne?

Molier schylił się w kolejnych drzwiach. Tu pod sufitem było jeszcze niżej. Szedł zgięty, starając się nie myśleć o tym, że znajduje się pod czteropiętrowym budynkiem, podtrzymywanym jedynie przez glinę i stuletnie belki.

- O co ci chodzi, Ivarsson? Mówiłeś, że te listy zawierają przyznanie się do winy?

- Najpierw przeszukaliśmy mieszkanie - odparł Ivarsson. - Włączyliśmy jego komputer, otworzyliśmy skrzynkę pocztową i znaleźliśmy wszystkie maile, które otrzymał. Dokładnie tak, jak przedstawił to Beatę Lonn. A więc pozorne alibi.

- To już słyszałem. - Molier nie skrywał irytacji. - Możemy dotrzeć do sedna?

- Sednem oczywiście jest odpowiedź na pytanie, kto wysyłał te maile na komputer Holego.

Molier usłyszał głosy.

- To tu za rogiem - powiedział człowiek, który przedstawił się jako sąsiad Harry'ego.

Zatrzymali się przed jednym z boksów piwnicznych. Za metalową siatką kucało dwóch mężczyzn. Jeden kieszonkową latarką oświetlał tył przenośnego komputera, odczytując na głos numer, który ten drugi zapisywał. Molier zobaczył dwa kable odchodzące z gniazdka na ścianie. Jeden do przenośnego komputera, a drugi do zniszczonego telefonu komórkowego Nokia, który z kolei był połączony z laptopem.

Molier wyprostował się na tyle, na ile się dało.

- I co to ma znaczyć?

Ivarsson położył rękę na ramieniu sąsiada Harry'ego.

- Ali mówi, że był w piwnicy parę dni po śmierci Anny Bethsen. I wtedy po raz pierwszy zobaczył w boksie Harry'ego tego laptopa z podłączoną komórką. Komórkę już sprawdziliśmy.

- I co?

- Jest własnością Holego. Teraz usiłujemy sprawdzić, kto kupił laptopa. Ale wcześniej zajrzeliśmy do niego i weszliśmy do skrzynki wiadomości wysłanych.

Molier przymknął oczy. Plecy już solidnie go bolały.

- I tam je znaleźliśmy. - Ivarsson znacząco kręcił głową. - Wszystkie maile, które, jak Harry chciał nam wmówić, wysyłał do niego jakiś tajemniczy morderca.

- Hm - chrząknął Molier. - Rzeczywiście nie wygląda to najlepiej.

- Prawdziwy dowód Weber znalazł w mieszkaniu.

Molier spojrzał pytająco na technika, który z ponurą miną podał mu niedużą plastikową torebkę.

- Klucz? - zdziwił się Molier. - Z inicjałami AA?

- Znalazłem to w szufladzie stolika pod telefon - powiedział Weber. - Wzór ząbków zgadza się z kluczem do mieszkania Anny Bethsen.

Molier patrzył na Webera pustym wzrokiem. Ostre światło nagiej żarówki przydawało twarzom takiej samej trupiej bladości, jaką miały pobielone wapnem ściany, i Molier nagle poczuł się tak, jakby się znalazł w grobie.

- Muszę wyjść - powiedział cicho.

37 SPIUNI German

Harry otworzył oczy, popatrzył w twarz roześmianej dziewczynki i poczuł pierwsze uderzenie młota.

Zamknął oczy, lecz ani dziewczęcy śmiech, ani ból głowy nie zniknęły. Spróbował

zrekonstruować wydarzenia.

Raskol, toaleta na stacji kolejki, niewysoki krępy pogwizdujący mężczyzna w znoszonej garniturze od Armaniego, wyciągnięta ręka z upierścienionymi palcami, czarne włosy i długi, ostro zakończony paznokieć małego palca. „Cześć, Harry, jestem twój przyjaciel Simon”. I w ostrym kontraście do złachanego garnituru lśniący nowy mercedes z kierowcą, który wyglądał na brata Simona. Takie same wesołe piwne oczy, i taki sam uścisk owłosionej, ozdobionej złotem dłoni.

Ci dwaj siedzący z przodu rozmawiali mieszaniną norweskiego i szwedzkiego z dziwnym akcentem cyrkowców, sprzedawców noży, karnodziei i wokalistów z zespołów tanecznych. Ale nie mówili zbyt wiele. „Jak ci leci, przyjacielu?”, „Okropna pogoda, nie?” „Piękne ubranie, przyjacielu. Zamienimy się?” Serdeczny śmiech i trzaski zapalniczek. Czy Harry pali? „Rosyjskie papierosy, bardzo proszę. Z całą pewnością niedobre, ale w przyjemny sposób, wiesz?” I znów śmiechy. O Raskolu nie padło ani jedno słowo, podobnie jak o celu podróży.

Który, jak się okazało, znajdował się niedaleko.

Za Muzeum Muncha skręcili w dziurawą drogę prowadzącą na parking przed błotnistym pustym boiskiem do piłki nożnej. Na końcu parkingu stały trzy przyczepy kempingowe. Dwie nowe, duże, jedna mała, stara, bez kół, ustawiona na kilku cegłach. Drzwi jednej z dużych przyczep otworzyły się i stanęła w nich kobieta. Za nią wysunęły się główki dzieci. Harry naliczył pięć.

Powiedział, że nie jest głodny i, usiadłszy w kącie, patrzył, jak tamci jedzą. Posiłek podała młodsza z dwóch kobiet obecnych w przyczepie; jedzono szybko, bez żadnych ceremonii. Dzieci, chichocząc i poszturchując się, cały czas zerkały na Harry'ego. Parę razy puścił do nich oko i próbował się uśmiechnąć. Powoli odzyskiwał czucie w przemarzniętym do szpiku kości ciele. Nie była to zbyt dobra wiadomość, skoro miał go prawie dwa metry, a każdy centymetr bolał. Potem Simon dał mu dwa wełniane koce, życzliwie poklepał po ramieniu i skinieniem głowy wskazał na najmniejszą przyczepę. „To nie Hilton, przyjacielu, ale tam będziesz bezpieczny”.

Wszelkie odzyskane ciepło w ciele zniknęło natychmiast, gdy tylko znalazł się w jajowatej lodowce, jaką była przyczepa. Zrzucił buty Oysteina co najmniej o numer za małe, roztarł stopy i próbował znaleźć miejsce dla nóg w krótkim łóżku. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał, było to, że usiłował ściągnąć mokre spodnie.

- Hi, hi, hi!

Harry znów otworzył oczy. Mała smagła buzia zniknęła, a śmiech dobiegał teraz z

zewnątrz przez otwarte drzwi, przez które smuga słońca wesoło świeciła na ścianę za jego plecami i na przybite do niej zdjęcie. Harry uniósł się na łokciach, by się im przyjrzeć. Na jednym było dwóch młodzieńskich chłopców, objętych ramionami, przed przyczepą wyglądającą identycznie jak ta, w której teraz leżał. Chłopcy sprawiali wrażenie zadowolonych, a nawet więcej - szczęśliwych. Może właśnie dlatego z wielkim trudem rozpoznał młodego Raskola.

Spuścił nogi z łóżka, postanawiając zignorować ból głowy. Przez parę sekund siedział spokojnie, żeby sprawdzić, czy żołądek wytrzyma.

Przeżywał gorsze wpadki niż ta wczorajsza. O wiele gorsze. Mało brakowało, a spytałby wczoraj przy kolacji, czy nie mają jakiejś wódki, ale zdołał się powstrzymać. Może ciało lepiej znosiło alkohol po tak długim okresie odwyku.

Odpowiedź uzyskał, gdy wyszedł z przyczepy.

Dzieciaki z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami patrzyły, jak Harry, przytrzymując się mocowania przyczepy, wymiotuje w brunatną trawę. Zacharczał i splunął parę razy, wytarł usta wierzchem dłoni, a gdy się odwrócił, zobaczył stojącego przed nim Simona, uśmiechającego się szeroko, jak gdyby opróżnianie żołądka było jak najbardziej naturalnym początkiem dnia.

- Zjesz coś, przyjacielu?

Harry przełknął ślinę i kiwnął głową.

Simon pożyczył Harry'emu wygnieciony garnitur, czystą koszulę z szerokim kołnierzykiem i parę dużych ciemnych okularów. Wsiedli do mercedesa, pojechali w górę Finnmarkgata na Carl Berners plass i zatrzymali się na czerwonym świetle. Simon opuścił okno i zawołał coś do mężczyzny stojącego pod kioskiem i palącego cygaro. Harry miał niejasne uczucie, że widział tego człowieka już wcześniej, a z doświadczenia wiedział, że takie uczucie oznaczało, że ten człowiek ma kartotekę. Mężczyzna roześmiał się i odkrzyknął coś, czego Harry nie zrozumiał.

- Znajomy? - spytał.

- Kontakt - odparł Simon.

- Kontakt - powtórzył Harry, patrząc na radiowóz, czekający na zielone światło po drugiej stronie skrzyżowania.

Simon skręcił na zachód w kierunku szpitala UllevSI.

- Powiedz mi - poprosił Harry - jakiego rodzaju kontakty Raskol ma w Moskwie, skoro jest w stanie odnaleźć człowieka w tym dwudziestomilionowym mieście... - Harry pstryknął palcami - o tak, bez najmniejszego kłopotu. Z mafią rosyjską?

Simon roześmiał się.

- Może i tak. Skoro nie potrafisz wymyślić kogoś, kto jest w tym lepszy.

- KGB?- O ile dobrze pamiętam, przyjacielu, to już nie istnieją. - Simon roześmiał się jeszcze głośniej.

- Nasz ekspert od spraw rosyjskich w POT mówił mi, że ludzie z dawnej KGB wciąż wszystkim tam rządzą.

Simon wzruszył ramionami.

- Przysługi, przyjacielu, i przysługi za przysługi. We wszystkim tylko o to chodzi.

- Myślałem, że chodzi o pieniądze.

- No przecież mówię, przyjacielu.

Harry wysiadł na Sorgenfrigata, Simon pojechał dalej, żeby zająć się „interesami na Sagene, wiesz”.

Harry rozejrzał się po obu stronach ulicy. Przejechał samochód dostawczy. Tess, piwnooka dziewczynka, która go obudziła, na jego prośbę pobiegła na Toyen i kupiła „Dagbladet” i „VG”, ale w żadnej z gazet nie było informacji o tym, że jest poszukiwany. Nie oznaczało to jednak wcale, że może się pokazywać wszędzie, bo, o ile się nie mylił, jego zdjęcie wisiało teraz w każdym samochodzie policyjnym. Podszedł do bramy, wsunął klucz Raskola w zamek i przekręcił. Starał się nie zakłócać ciszy na klatce. Pod drzwiami Astrid Monsen leżała gazeta. W mieszkaniu Anny delikatnie zamknął za sobą drzwi i dopiero wtedy odetchnął.

Nie myśl o tym, czego szukasz.

W środku unosił się zapach zamkniętego, niewietrzonego pomieszczenia. Wszedł do salonu. Niczego nie tknięto, odkąd był tu ostatnio. Kurz tańczył w smugach światła, wpadającego przez okno i oświetlającego trzy portrety. Stał i długo się im przyglądał. W zniekształconych głowach było coś znajomego. Podszedł do obrazów, koniuszkami palców pogładził grudki farby olejnej. Jeśli do niego przemawiały, nie rozumiał ich języka.

Wszedł do kuchni.

Czuć było zapach śmieci i zjełczałego tłuszczu. Otworzył okno i zaczął przeglądać talerzyki i sztucce przy zlewie. Były opłukane, ale nie umyte. Widelcem zaczął dłubać w zaschniętych resztkach jedzenia. Udało mu się oddzielić maleńki czerwony kawałeczek z sosu. Włożył go do ust. Chili japone.

Za sporym rondlem stały dwa duże kieliszki do czerwonego wina. Jeden miał ładny czerwony osad, drugi sprawiał wrażenie nieużywanego.

Harry wsunął nos do środka, ale czuć było tylko ciepłe szkło. Obok kieliszków stały

dwie zwykłe szklanki do wody. Poszukał ścierki, by mógł podnieść je pod światło tak, by nie zostawić odcisków palców. Jedna czysta, druga miała lepki osad. Podrapał go paznokciem i possał. Cukier. O smaku kawy. Cola? Zamknął oczy. Wino i cola? Nie. Woda i wino dla jednej osoby. Cola i nieużywany kieliszek do wina dla drugiej. Owinał szklankę w ścierkę i schował ją do kieszeni marynarki. Wiedziony odruchem, poszedł jeszcze do łazienki, podniósł pokrywę spluczki i obmacał ręką jej środek. Nic.

Gdy wyszedł na ulicę, chmury nadciągały od zachodu, w powietrzu wyczuwało się ostrzejsze podmuchy. Harry przygryzł dolną wargę. Potem podjął decyzję i ruszył na Vibes gate.

Młodego mężczyznę za kontuarem w „Ślusarzu” Harry poznał od razu.

- Dzień dobry, jestem z policji - przedstawił się Harry z nadzieją, że chłopak nie spyta o identyfikator, który został w kurtce u pani Albu na Slemdal.

Chłopak odłożył gazetę.

- Wiem.

Harry'ego ogarnęła panika.

- Pamiętam, że był pan tu i odbierał klucz. - Chłopak uśmiechnął się szeroko. - Pamiętam wszystkich klientów.

Harry chrząknął.

- Ale teraz nie jestem klientem. - Tak?

- Ten klucz nie był dla mnie, ale nie dlatego...

- Musiał być dla pana - przerwał mu chłopak. - Przecież to był klucz generalny, no nie?

Harry kiwnął głową. Kątem oka zobaczył przejeżdżający wolno radiowóz patrolujący ulicę.

- Chciałem spytać właśnie o klucze generalne. Zastanawiałem się nad tym, w jaki sposób osoba niepowołana może dorobić taki klucz. Na przykład klucz firmy Trioving?

- To niemożliwe - odparł chłopak z pewnością siebie osoby czytującej „Wiedzę ilustrowaną”. - Tylko Trioving może wykonać kopię, która działa. Jedynym sposobem jest więc sfalszowanie pełnomocnictwa na zamówienie dodatkowego klucza, wystawionego przez zarząd budynku. Ale nawet to zostanie odkryte przy odbiorze klucza, ponieważ zażądamy dowodu tożsamości i sprawdzimy nazwisko na liście nazwisk właścicieli mieszkań w danej kamienicy.

- Ale przecież ja odbierałem tu klucz generalny. A prosiła mnie o to inna osoba.

Chłopak zmarszczył czoło.

- Nie, nie. Pamiętam dokładnie, że pan pokazał dowód i sprawdziłem nazwisko. Czyj klucz, pana zdaniem, pan dostał?

Harry w szklanych drzwiach za kontuarem dostrzegł odbicie tego samego samochodu policyjnego jadącego teraz w przeciwną stronę.

- No dobrze. Czy istnieje jakaś inna możliwość zdobycia dodatkowego klucza?

- Nie. Trioving, który dorabia klucze, przyjmuje zamówienia wyłącznie od autoryzowanych zakładów takich jak nasz. A my, jak mówiłem, sprawdzamy dokumenty i odnotowujemy zamówione klucze dla każdej wspólnoty czy spółdzielni. Ten system jest podobno bardzo bezpieczny.

- Rzeczywiście na to wygląda. - Harry zirytowany potarł twarz dłonią. - Dzwoniłem jakiś czas temu i dowiedziałem się, że pewna kobieta z Sorgenfrigata dostała trzy klucze do swojego mieszkania. Jeden znaleźliśmy w mieszkaniu, drugi dała elektrykowi, który miał coś naprawiać, a trzeci znaleźliśmy gdzie indziej. Tyle tylko, że nie wierzę, by to ona sama zamawiała ten trzeci klucz. Możesz to dla mnie sprawdzić?

Chłopak wzruszył ramionami.

- Pewnie, że mogę. Ale dlaczego nie spytać jej samej?

- Ktoś strzelił jej w głowę.

- Ops. - Chłopak nawet się nie skrzywił.

Harry stał zupełnie nieruchomo, ale coś poczuł. Leciutki dreszcz, może powiew od drzwi. Wystarczający akurat na to, by włosy na karku się zjeżyły. Rozległo się ciche chrząknięcie. Nie usłyszał, jak ktoś wchodzi. Usiłował, nie odwracając się, stwierdzić, kto to jest, lecz kąt na to nie pozwalał.

- Policja - powiedział wysoki jasny głos za jego plecami. Harry przełknął ślinę.

- Tak? - rzucił chłopak ponad ramieniem Harry'ego.

- Stoją na zewnątrz. Mówią, że było włamanie u jakieś starszej pani pod czternastką, musi natychmiast zmienić zamki. Pytają, czy nie moglibyśmy od razu kogoś wysiać.

- Idź z nimi, Alf. Widzisz, że jestem zajęty.

Harry intensywnie wsłuchiwał się w oddalające się kroki.

- Anna Bethsen - słyszał, że szepcze. - Możesz sprawdzić, czy osobiście odebrała wszystkie klucze?

- Nie muszę sprawdzać, bo tak musiało być. Harry pochylił się nad ladą.

- Ale czy mimo wszystko nie możesz tego sprawdzić?

Chłopak westchnął ciężko i zniknął na zapleczu. Za chwilę wrócił z segregatorem i zaczął przerzucać kartki.

- Niech pan spojrzy. Tu, tu i tu.

Harry rozpoznał formularze wydania klucza, identyczne jak ten, który sam podpisywał, odbierając klucz Anny. Ale wszystkie pokwitowania, które miał przed sobą, były podpisane jej nazwiskiem. Już miał spytać, gdzie jest to z jego podpisem, gdy nagle spojrzął na daty.

- Z tego wynika, że ten ostatni klucz odebrano już w sierpniu. Przecież to dużo wcześniej, zanim ja tu przyszedłem i...

- Ico?

Harry zapatrzył się przed siebie.

- Dziękuję - powiedział. - Wiem już dosyć.

Na zewnątrz zaczęło mocniej wiać. Harry poszedł do budki telefonicznej na Valkyrieplass.

- Beatę?

Nad wieżą Szkoły Morskiej dwie mewy starały się utrzymać w locie pod wiatr i nie stracić równowagi. Pod nimi rozciągał się Oslofjorden, który przybrał złowieszczy zielonoczarny odcień, i Ekeberg, na którym dwoje ludzi na ławce było maleńkimi kropkami.

Harry skończył opowieść o Annie Bethsen, o tym, jak się poznali, o ostatnim wieczorze, z którego nic nie pamiętał. O Raskolu. Beatę też już skończyła opowiadać o przenośnym komputerze znalezionym w piwnicy Harry'ego, który, jak się okazało, został kupiony trzy miesiące wcześniej w sklepie Ekspert przy Colosseum. O tym, że gwarancję wypisano na nazwisko Anny Bethsen, a podłączona do niego komórka była tą, którą Harry, jak twierdził, zgubił.

- Nienawidzę krzyku mew - powiedział Harry.

- Tylko tyle masz do powiedzenia?

- Akurat w tej chwili tak. Beatę wstała z ławki.

- Nie powinno mnie tu być, Harry. Nie powinieneś być do mnie dzwonić.

- Ale tu jesteś. - Harry zrezygnował z zapalenia papierosa w podmuchach wiatru. - To znaczy, że mi wierzysz, prawda?

Beatę w odpowiedzi tylko ze złością machnęła ręką.

- Nie wiem więcej niż ty. Nie wiem nawet, czy nic zastrzeliłem Anny Bethsen.

Mewom udało się przebić i z podmuchi wiatru elegancko przefrunęły kawałek dalej.

- Powtórz jeszcze raz to, co wiesz - powiedziała Beatę.

- Wiem, że ten facet musiał w taki czy inny sposób zdobyć klucze do mieszkania Anny. I wszedł do niej, a potem stamtąd wyszedł w nocy, kiedy popełniono zabójstwo.

Wychodząc, zabrał jej laptopa i mój telefon komórkowy.

- Dlaczego twoja komórka leżała w mieszkaniu Anny?

- Musiała mi wypaść z kieszeni kurtki w jakimś momencie tego wieczoru. Mówiłem ci już, że byłem odrobinę nieprzytomny.

- A potem?

- Jego pierwotny plan był prosty. Po zabójstwie pojechać do Larkollen i zostawić klucz, którego używał, w domku letniskowym Arnego Albu. Zawieszony na breloczku z inicjałami AA, żeby nikt nie miał wątpliwości. Lecz kiedy znalazł moją komórkę, zrozumiał nagle, że plan da się jeszcze uatrakcyjnić. Można mianowicie zrobić tak, by wyglądało, że to ja najpierw zamordowałem Annę, a potem ułożyłem wszystko tak, aby móc zrzucić winę na Albu. Dlatego wykorzystał moją komórkę do zamówienia abonamentu internetowego na serwerze w Egipcie i zaczął wysyłać mi maile, których nadawcy nie dało się ustalić.

- A gdyby nawet się dało, to doprowadziłyby do...

- Do mnie. I tak nie zauważyłbym niczego, dopóki nie dostałbym kolejnego rachunku z Telenor. A prawdopodobnie również i wtedy, bo tak cholernie uważnie ich nie studiuję.

- I nie przyszło ci do głowy zamknąć abonament, kiedy zgubiłeś komórkę.

- Mhm. - Harry podniósł się gwałtownie i zaczął się nerwowo przechadzać tam i z powrotem przed ławką. - Znacznie trudniej zrozumieć, w jaki sposób dostał się do mojej piwnicy. Nie znaleźliście żadnych śladów włamania, a nikt w naszej kamienicy nie wpuściłby obcego. Innymi słowy, musiał mieć klucz. Co prawda wystarczył mu tylko jeden, ponieważ mamy klucze generalne, które otwierają bramę, strych, piwnice i mieszkania, ale taki klucz trudno zdobyć. A klucz do mieszkania Anny, który sobie załatwił, też był kluczem generalnym... - Urwał i zapatrzył się na południe. Na fiord wpływał zielony statek towarowy z dwoma wielkimi dźwigami.

- Nad czym się zastanawiasz? - spytała Beatę.

- Zastanawiam się, czy nie poprosić cię o sprawdzenie kilku nazwisk.

- Wołałabym nie, Harry. Mówiłam ci już, że w ogóle nie powinno mnie tu być.

- No i zastanawiam się, skąd masz te siniaki. Beatę prędko złapała się za szyję.

- To na treningu. Judo. Zastanawiasz się nad czymś jeszcze?

- Tak. Nad tym, czy nie mogłabyś zanieść tego Weberowi. - Wyjął z kieszeni kurtki szklanek owiniętą w ścierkę. - Poproś, żeby sprawdził odciski palców i porównał je z moimi.

- A ma twoje?

- Wydział Techniki Kryminalistycznej ma odciski wszystkich śledczych pracujących w miejscu zdarzenia. Poproś też, żeby zrobił analizę tego, co było w szklance.

- Harry... - zaczęła ostrzegawczym tonem.

- Tak cię proszę.

Beatę westchnęła i wzięła od niego szklankę.

- „Ślusarz” - powiedział Harry.

- Co to jest?- Gdybyś zmieniła zdanie w kwestii sprawdzania nazwisk, mogłabyś zobaczyć, kto tam pracuje. To nieduża firma.

Popatrzyła na niego z rezygnacją. Harry wzruszył ramionami.

- Jeśli załatwisz tylko to ze szklanką, to będę więcej niż szczęśliwy.

- A gdzie cię znajdę, jak już dostanę odpowiedź od Webera?

- Naprawdę chcesz to wiedzieć? - uśmiechnął się Harry.

- Chcę wiedzieć jak najmniej. Skontaktujesz się ze mną? Harry mocniej owinął się kurtką.

- Idziemy?

Beatę kiwnęła głową, ale nie ruszała się z miejsca. Harry spojrzał na nią zdziwiony.

- To, co on napisał - powiedziała - to, że przeżywają jedynie ci najbardziej mściwi... Naprawdę uważasz, że to prawda, Harry?

Harry rozprostował nogi w krótkim łóżku przyczepy kempingowej. Szum samochodów jadących Finnmarkgata przypominał mu czasy, gdy jako mały chłopiec na Oppsal leżał w łóżku i wsłuchiwał się w odgłosy ruchu ulicznego. Gdy spędzali lato u dziadka wśród ciszy w Andalsnes, była to jedyna rzecz, za jaką tęsknił. Za monotonnym usypiającym szumem, przerywanym jedynie warkotem motoru, dudnieniem dziurawego tłumika, dobiegającą z oddali syreną policyjną.

Ktoś zastukał do drzwi. Simon.

- Tess chce, żebyś jutro też jej opowiedział bajkę na dobranoc - oznajmił, wchodząc do środka.

Wcześniej Harry opowiadał, jak kangurek nauczył się skakać, a w nagrodę wszystkie zwierzaki uściskały go na dobranoc.

Dwaj mężczyźni palili w milczeniu. Harry wskazał na zdjęcie na ścianie.

- To Raskol i jego brat, prawda? Stefan, ojciec Anny.. Simon potaknął.

- Gdzie jest teraz Stefan?

Simon obojętnie wzruszył ramionami i Harry zrozumiał, że to nie temat do rozmowy.

- Na tym zdjęciu wyglądają na dwóch dobrych przyjaciół - stwierdził Harry.

- Byli jak bliźniacy syjamscy, wiesz. Kumple. Raskol dwa razy siedział w więzieniu za Stefana - roześmiał się Simon. - Widzę, że jesteś zdziwiony, przyjacielu. To już taka

tradycja. To zaszczyt przyjąć karę za brata albo za ojca, wiesz.

- Dla policji to nie to samo.

- Oni nie odróżniali Raskoła od Stefana. Bracia Cyganie. Niełatwa sprawa dla norweskiej policji. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu i podsunął Harry'emu kolejnego papierosa. - Zwłaszcza gdy nosili maski.

Harry chwilę popalił i w końcu zdecydował, że będzie strzelał na oślep.

- Co zaszło między nimi?

- A jak myślisz? - Simon dramatycznie przewrócił oczami. - Oczywiście kobieta.

- Anna?

Simon nie odpowiedział, ale Harry czuł, że jest blisko.

- Stefan nie chciał mieć nic wspólnego z Anną, ponieważ związała się z *gadem*.

Simon zgasił papierosa i wstał.

- To nie była Anna, wiesz. Ale Anna miała matkę. Dobranoc, *Spiuni*.

- Mhm. Jeszcze tylko ostatnie pytanie. Simon zatrzymał się.

- Co to znaczy *spiunil*? Roześmiał się.

- To skrót od *spiuni gjerman*, niemiecki szpieg. Ale nie martw się, przyjacielu, nie ma w tym nic złego. Czasami używa się tego określenia zamiast chłopięcych imion. - Zamknął za sobą drzwi i zniknął.

Wiatr ucichł i słychać było jedynie szum z Finnmarkgata. Mimo to Harry nie mógł zasnąć.

Beatę wsłuchiwała się w odgłosy przejeżdżających samochodów. Kiedy była mała, zasypiała przy jego głosie. Bajek, które opowiadał, nie znalazła w żadnych książkach, powstawały w miarę, jak mówił. Nigdy nie były takie same, choć czasami tak samo się zaczynały. Występowały w nich te same postaci. Dwaj źli złodzieje, dobry tatuś i jego bohaterska córka. I zawsze dobrze się kończyły, złodzieje trafiali za kratki. Beatę nie pamiętała, by ojciec kiedykolwiek czytał. Gdy trochę podrosła, dowiedziała się, że cierpiał na coś, co nazywali dysleksją. Matka mawiała, że gdyby nie to, zostałby prawnikiem. „Chcemy, żebyś ty nim została”. Ale bajki nie opowiadały o prawnikach i gdy Beatę oznajmiła, że została przyjęta do Szkoły Policyjnej, matka się rozplakała.

Nagle Beatę szeroko otworzyła oczy. Ktoś zadzwonił do drzwi. Jęknęła i wysunęła nogi z łóżka.

- To ja - powiedział głos w domofonie.

- Mówiłam ci, że nie chcę się z tobą więcej widzieć - odpowiedziała, trzęsąc się w cienkim szlafroku. - Idź sobie.

- Pójdę, tylko najpierw cię przeproszę. Nie byłem sobą. Ja nie jestem taki. Trochę mnie... poniosło. Proszę, Beate, tylko pięć minut.

Zawahała się. Wciąż miała sztywny kark, a Harry zauważył siniaki.

- Mam dla ciebie prezent - powiedział głośno.

Westchnęła. Przecież i tak musi się z nim widywać. Mimo wszystko lepiej się kłócić tu niż w pracy. Wpuściła go, mocniej owinęła się szlafrokiem i czekała w drzwiach, słuchając jego kroków na schodach.

- Cześć - powiedział na jej widok i uśmiechnął się, szerokim białym uśmiechem Davida Hasselhoffa.

38 GYRUS FUSIFORMUS

Tom Waaler podał jej prezent, ale uważał, by jej nie dotykać, bo wciąż zachowywała się jak antylopa, która zwietrzyła drapieżnika. Wyminął ją, wszedł do salonu i usiadł na kanapie. Przeszła za nim, ale stała. Rozejrzył się. Mieszkanie było urządzone mniej więcej tak, jak wszystkie inne mieszkania młodych kobiet, do których regularnie trafiał. Osobiście i nieoryginalnie, przytulnie i nudno... - Nie otworzysz? - spytał.

Usłuchała.

- Jakiś kompakt - powiedziała zdziwiona.

- Nic jakis. *Purple Rain*. Nastaw, to zrozumiesz.

Przyglądał się, gdy włączała żalosne urządzenie „wszystko w jednym”, które ona i jej podobne nazywały sprzętem stereo. Panna Lonn nic była piękna, ale ładna na swój sposób. Figurę miała dość nieciekawą, nie bardzo było za co złapać, ale ciało szczupłe i wytrenowane. I podobało jej się to, co z nią robił. Okazywała wręcz zdrowy entuzjazm, w każdym razie podczas rund wstępnych, gdy traktował ją z pewnym spokojem. Tak, bo rund było więcej, nie tylko tamta jedna. Właściwie to dziwne, skoro nie zaliczała się do jego ulubionego typu.

Ale pewnego wieczoru postanowił niczego jej nie oszczędzać, a ona, jak większość kobiet, z którymi się stykał, nie dała się do końca porwać zabawie. Dla niego było to tym bardziej atrakcyjne, lecz z reguły oznaczało też ostatni raz. Na ogół wcale się tym nie przejmował. Ale Beatę powinna była się cieszyć. W jej wypadku mogło się to skończyć znacznie gorzej. Parę wieczorów wcześniej, kiedy leżeli w łóżku, powiedziała mu nagle, gdzie widziała go po raz pierwszy.

- Na Griinerlokka. Wieczorem. Siedziałeś w czerwonym samochodzie. Na ulicach było mnóstwo ludzi i szybę miałeś opuszczoną. To było zimą. W zeszłym roku.

Ogromnie go zaskoczyła. Zwłaszcza że jedyny wieczór spędzony na Griinerlokka zimą ubiegłego roku, jaki sobie przypominał, to tamten sobotni wieczór, gdy załatwili Ellen Gjelten.

- Ja zapamiętuję twarze - powiedziała z triumfującym uśmiechem na widok jego miny.

- *Gyrus fusiformus*, ta część mózgu, która jest odpowiedzialna za rozpoznawanie rysów twarzy, u mnie jest ogromna. Powinnam występować w wesołym miasteczku.

- Tak? - spytał. - A co więcej pamiętasz?

- Rozmawiałeś z jakimś człowiekiem.

Oparł się na łokciach, pochylił w jej stronę i kciukiem lekko gładził jej szyję. Czuł puls bijący pod skórą jak u małego wystraszonego królika. A może to swój własny puls wyczuwał?

- Wobec tego pamiętasz również twarz tej osoby? - spytał, już usiłując planować w myślach. Czy ktoś wie, że spędza u niego ten wieczór? Czy utrzymywała w tajemnicy ich związek, tak jak ją o to prosił? Czy w szafce kuchennej są worki na śmieci?

Obróciła się do niego i spytała zdziwiona.

- O co ci chodzi?

- Czy poznałabyś tę drugą osobę, gdybyś na przykład zobaczyła jej zdjęcie? Długo na niego patrzyła, potem delikatnie go pocałowała.

- No i co? - spytał, wysuwając drugą rękę spod kołdry.

- Nie. Stał obrócony plecami.

- Ale zapamiętałaś chyba ubranie, jakie miał na sobie, gdyby cię poproszono o identyfikację?

Pokręciła głową.

- *Gyrus fusiformus* zapamiętuje tylko twarze. Reszta mojego mózgu jest normalna.

- Ale zapamiętałaś kolor samochodu, w którym siedziałem. Roześmiała się i przytuliła się mocniej.

- To musi oznaczać, że spodobało mi się to, co zobaczyłam. Odsunął rękę od jej szyi.

Dwa wieczory później odegrał całe przedstawienie i wtedy już nie spodobało jej się to, co zobaczyła. I to, co usłyszała. I co poczuła.

- *Dig if you will the picture of you and I engaged in a kiss - the sweat of the body covers me...:*

Przyciszyła.

- Czego chcesz? - spytała, siadając w fotelu.

- Tak jak mówiłem. Chciałem cię przeprosić.

- No to już przeprosiłeś. Skończmy z tym. - Ziewnęła demonstracyjnie. - Już się kładłam, Tom.

Poczuł nadciągający gniew. Nie ten czerwony, który zniekształcał i zaślepił, tylko ten biały, rozjaśniający w głowie i dodający energii.

- No dobrze. Przejdę teraz do interesów. Gdzie jest Harry Hole? Beatę roześmiała się. Prince krzyczał falsetem.

Tom zamknął oczy, czuł, jak robi się silniejszy od wściekłości, która rozlewa się po żyłach niczym orzeźwiająca lodowata woda.

- Harry dzwonił do ciebie tego wieczoru, gdy zniknął. Tobie przesłał te maile. Jesteś osobą, z którą się kontaktuje. Jedyną, której w tym momencie ufa. Gdzie on jest?

- Naprawdę jestem już śpiąca. Tom. Wstała.

- Jeśli masz jeszcze jakieś pytania, na które nie dostaniesz odpowiedzi, to proponuję, żebyśmy załatwili to jutro.

Tom Waaler siedział.

- Miałem dziś interesującą rozmowę z funkcjonariuszem służby więziennej w areszcie. Harry był tam wczoraj wieczorem, tuż przed naszym nosem. A my w tym czasie razem z połową służby kryminalnej szukaliśmy go po mieście. Wiedziałaś, że Harry współdziała z Raskolem?

- Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz, ani jaki to ma związek ze sprawą.

- Ja też nie. Ale proponuję, żebyś na chwilę usiadła, Beatę, i wysłuchała krótkiej historii, która, jak sądzę, zmieni twoją opinię o Harrym i jego przyjaciółach.

- Moja odpowiedź brzmi: Nie, Tom. Wyjdz.

- Nawet jeśli powiem, że w tę historię zamieszany jest twój ojciec? Zauważył lekkie drgnienie w kąciu ust i zrozumiał, że jest na właściwym tropie.

- Mam źródła, które, jak by tu powiedzieć, nie są dostępne dla przeciętnego policjanta. Dzięki nim wiem, co się zdarzyło, kiedy twój ojciec został zastrzelony na Ryen. Wiem też, kto go zastrzelił.

Wpatrywała się w niego. Waaler roześmiał się.

- Nie liczyłaś na coś takiego, prawda?

- Kłamiesz.

- Twój ojciec został zastrzelony z uzi, dostał sześć strzałów w pierś. Według raportu wszedł do banku, aby negocjować, chociaż był sam i nieuzbrojony, więc nie miał podstaw do negocjacji. Mógł jedynie zdenerwować napastników i wzbudzić ich agresję. Kardynalny błąd. Niepojęte. Zważywszy zwłaszcza na to, że twój ojciec obrósł legendą właśnie ze względu na

swój profesjonalizm. Ale tak naprawdę towarzyszył mu kolega, młody funkcjonariusz, obiecujący policjant, po którym wiele się spodziewano. Przypuszczano, że zrobi wielką karierę. Ale on nigdy nie miał do czynienia z napadem na bank na żywo. A w każdym razie nie z bandytami aż tak zdesperowanymi. Zamierzał tego dnia odwiedzić twego ojca po pracy do domu, bo tak bardzo lubił przebywać ze swoimi zwierzchnikami. Tak więc twój ojciec przyjeżdża na Ryen samochodem, o którym w raporcie zapomniano napisać, że nie należy do niego. Bo wasz samochód stał w domu w garażu, Bcatc, u ciebie i u mamy, kiedy się o tym dowiedziałyście, prawda? Widział, jak tętnice na jej szyi występują na wierzch i robią się coraz bardziej sine.

- Niech cię wszyscy diabli, Tom!

- Chodź tutaj i posłuchaj bajki tatusia - powiedział, poklepując poduszkę kanapy obok siebie. - Bo będę mówił bardzo cicho, a szczerze uważam, że powinnaś tego wysłuchać.

Beatę mimowolnie zrobiła krok do przodu, ale zaraz się zatrzymała.

- Okej - zaczął Tom. - Było więc tak, że tego dnia... kiedy to było, Beatę?

- W piątek, trzeciego czerwca, za piętnaście trzecia - odszepnęła.

- W czerwcu, no właśnie. Słyszą meldunek przez radio, bank jest tuż obok, jadą tam i stają przed nim z bronią. Młody sierżant i doświadczony komisarz. Postępują według podręcznika. Czekają na posiłki albo na wyjście bandytów z banku. Nawet przez myśl im nie przejdzie, żeby wchodzić to środka. Tak jest aż do chwili, gdy jeden z przestępców pojawia się w drzwiach z bronią przyłożoną do głowy jednej z pracownic. Woła twego ojca po nazwisku. Bandyta zauważył ich ze środka i rozpoznał komisarza Lonna. Krzyczy, że nie skrzywdzi kobiety pod warunkiem, że będzie miał innego zakładnika. Jeśli Lonn chce się z nią zamienić, to oni się zgadzają. Ale w takim razie musi odłożyć broń i sam wejść do banku, by dokonać zamiany. Co robi twój ojciec? Myśli. Musi myśleć szybko. Kobieta jest w szoku. Ludzie z szoku niekiedy umierają. Myśli o swojej żonie, twojej matce. Czerwcowy dzień, piątek, niedługo weekend, a słońce... Świeciło wtedy słońce, Beatę?

Kiwnęła głową.

- Myśli o tym, jak gorąco musi być w lokalu bankowym. Przeżycia, desperacja. Podejmuje więc decyzję. Jaka to decyzja, Beatę?

- Wchodzi do środka. - Jej szept był gruby od płaczu.

- Wchodzi do środka - Waaler zniżył głos. - Komisarz Lonn wchodzi do środka, a młody sierżant czeka. Czeka na posiłki. Czeka, aż wyjdzie z banku kobieta. Czeka, aż ktoś mu powie, co ma robić, albo że to tylko sen i ćwiczenia. Że może wrócić do domu, ponieważ jest piątek i świeci słońce. Zamiast tego słyszy... - Waaler kilka razy uderzył językiem o

podniebienie - twój ojciec osuwa się na drzwi wejściowe, które się uchylają, i wypada do połowy na zewnątrz. Z sześcioma strzałami w piersi.

Beatę osunęła się na krzesło.

- Młody sierżant widzi leżącego komisarza i dociera do niego, że to nie jest ani ćwiczenie, ani sen. Że przestępcy w środku naprawdę mają broń automatyczną i z zimną krwią strzelają do policjantów. Boi się tak, jak nie bał się nigdy przedtem i nigdy potem. Uczył się o tym. Miał dobre stopnie z psychologii. Ale coś się stało. Czuje tę panikę, o której tak świetnie pisał na egzaminie. Wsiada do samochodu i odjeżdża. Jedzie i jedzie, aż dociera do domu, a żona, którą niedawno poślubił, wychodzi na schody i złości się, że spóźnił się do domu na obiad. On staje na baczność, przyjmuje połajania, obiecuje, że to się już nigdy nie powtórzy. Siadają do stołu. Po obiedzie oglądają telewizję i słyszą, jak dziennikarz mówi, że podczas napadu na bank został zastrzelony policjant. Twój ojciec nie żyje.

Beatę ukryła twarz w rękach. Wszystko powróciło. Cały tamten dzień. Z okrągłym jakby pytającym słońcem na bezsensownie bezchmurnym niebie. Ona też myślała, że to tylko sen.

- Kim mogli być bandyci? Który z nich zna nazwisko twego ojca? Który zna wszystkich pracujących przy napadach? Który zdaje sobie sprawę, że z tych dwóch tylko komisarz Lonn przedstawia dla nich jakieś zagrożenie? Kto jest tak zimny i wyrachowany, że stawia twego ojca przed wyborem, którego wyniku jest pewien? Dzięki temu może go potem zastrzelić, a później bez trudu rozprawić się z młodym wystraszonego sierżantem. Kto to taki, Beatę?

Łzy ściekały jej między palcami.

- Ras... - zaszlochała.

- Nie słyszałem, Beatę?

- Raskol.

- No właśnie, Raskol. I tylko on. Jego towarzysz był wściekły, mówił, że są złodziejami, a nie mordercami. Ale okazał się na tyle głupi, że zagroził Raskolowi, że sam się zgłosi i doniesie na niego. Na szczęście ucieka za granicę, nim Jaskolowi udaje się go dopaść.

Beatę szlochała. Waaler czekał.

- Wiesz, co jest w tym najbardziej komiczne? Że dałaś się oszukać mordercy swego ojca. Tak samo jak on.

Beatę podniosła głowę.

- Co... o co ci chodzi? Waaler wzruszył ramionami.

- Poprosiliście Raskola o wskazanie mordercy, a on cały czas ściga człowieka, który

groził, że będzie świadczył przeciw niemu w sprawie o zabójstwo. Co on robi? Oczywiście podsuwa wam tego człowieka.

- Lva Grette? Beatę otarła łzy.

- A dlaczego nie? Chciał, żebyście mu pomogli w odnalezieniu go. Czytałem, że znaleźliście Grettego wiszącego na sznurze i że popełnił samobójstwo. Nie dałbym sobie obciąć za to głowy. Możliwe, że ktoś was po prostu uprzedził.

Beatę chrząknęła.

- Zapominasz o paru rzeczach. Po pierwsze znaleźliśmy list pożegnałny. Lev pozostawił po sobie niewiele pisanych świadectw, ale rozmawiałam z jego bratem, który odszukał na strychu na Disengrenda kilka starych szkolnych zeszytów Lva. Zniosłam je Jeanowi Hue, ekspertowi grafologowi z Kripos, a ten stwierdził z całą pewnością, że list został napisany przez Lva. Po drugie, Jaskol już siedzi w więzieniu. Zgłosił się dobrowolnie. To się nie zgadza z tym, że był skłonny zabić, by uniknąć kary.

Waaler pokręcił głową.

- Mądra z ciebie dziewczynka. Ale tak samo jak twemu ojcu brakuje ci wiedzy psychologicznej. Nie rozumiesz, jak działa mózg przestępcy. Raskol nie siedzi w więzieniu. Po prostu tymczasowo stacjonuje w areszcie. Wyrok za morderstwo wszystko zmienia. A w tym czasie ty go chronisz. Ty i jego przyjaciel Harry Hole. - Pochylił się i położył jej rękę na ramieniu. - Przepraszam, jeśli cię to zabolalo, lecz teraz już wszystko wiesz, Beatę. Twój ojciec nie popełnił głupstwa, a Harry współpracuje z człowiekiem, który go zamordował. Jak więc będzie, szukamy Harry'ego razem?

Beatę zamknęła oczy, wycisnęła z nich ostatnią łzę. Potem znów je otworzyła. Waaler podał jej chusteczkę.

- Tom - powiedziała. - Muszę ci wyjaśnić jedną rzecz.

- Nie musisz - pogładził ją po ręce. - Ja rozumiem. Przeżywasz konflikt lojalności. Zastanów się tylko, co zrobiłby twój ojciec. Profesjonalizm, prawda?

Beatę popatrzyła na niego z namysłem, potem wolno kiwnęła głową. W tej samej chwili zadzwonił telefon.

- Nie odbierzesz? - spytał Waaler po trzech dzwonekach.

- To moja matka - powiedziała Beatę. - Oddzwonię do niej za trzydzieści sekund.

- Za trzydzieści sekund?

- Tyle czasu potrwa wyjaśnienie ci, że nawet gdybym wiedziała, gdzie jest Harry, byłbyś ostatnią osobą, której bym o tym powiedziała. - Oddała mu chusteczkę. - A teraz wkładaj buty i wynoś się stąd!

Tom Waaler poczuł wściekłość niczym promień biegnący wzdłuż pleców i karku. Przez parę sekund tylko napawał się tym uczuciem, a potem złapał ją jedną ręką i wciągnął pod siebie. Opierała się z jękiem, ale wiedział, że poczuła jego erekcję, i że wargi, które zaciskała tak mocno, wkrótce się otworzą.

Po sześciu dzwonek Harry odwiesił słuchawkę i wyszedł z budki, ustępując miejsca dziewczynie czekającej w kolejce. Obrócił się plecami do Kjolberggata i do wiatru. Zapalił papierosa i wydmuchał dym w kierunku parkingu i przyczep. W zasadzie to komiczne. Z jednej strony o rzut kamieniem miał Wydział Techniki Kryminalistycznej, z drugiej Budynek Policji, a z trzeciej - przyczepę campingową. Stał w takim miejscu, w cygańskim garniturze, poszukiwany przez policję. Można umrzeć ze śmiechu.

Dzwonił zębami.

Odwrócił się lekko, gdy pojawił się samochód policyjny, przejeżdżający ruchliwą, lecz bezludną trasą. Nie zdołał zasnąć, a nie mógł leżeć beczynnym ze świadomością, że czas działa na jego niekorzyść. Zgniół niedopałek obcasem i już miał odejść, gdy zauważył, że budka znów jest wolna. Zerknął na zegarek. Niedługo północ. Dziwne, że nie ma jej w domu. Może spała i nie zdążyła odebrać telefonu. Jeszcze raz wybrał numer. Odebrała po pierwszym dzwonku.

- Tu Beatę.

- Mówi Harry. Obudziłem cię poprzednio?

- Ja... tak.

- Przepraszam, mam zadzwonić jutro?

- Nic, bardzo dobrze, że dzwonicz teraz.

- Jesteś sama? Chwila ciszy.- Dlaczego o to pytasz?

- Bo wydajesz się taka... No nic, wszystko jedno. Znalazłaś coś?

- Weber sprawdził odciski na szklance. Większość jest twoja. Analiza resztek ze szklanki powinna być gotowa w ciągu paru dni.

- To świetnie.

- Jeśli chodzi o ten komputer w twojej piwnicy, to okazało się, że miał program Ilie, dzięki któremu możesz z góry zaplanować datę i godzinę wysłania maila. Ostatniej manipulacji przy mailach dokonywano tego samego dnia, w którym zmarła Anna Bethsen.

Harry nie czuł już lodowatego wiatru.

- Oznacza to, że wiadomości, które dostałeś, czekały gotowe w komputerze już wtedy, gdy go umieszczono w twojej piwnicy. To tłumaczy, dlaczego twój sąsiad Pakistańczyk widział ten komputer u ciebie w piwnicy już od dłuższego czasu.

- Chcesz powiedzieć, że stał tam, tykał i chodził na własną rękę przez cały ten czas?
- Dzięki podłączeniu do prądu i komputer, i komórka całkiem nie źle dawały sobie radę.

- Jasna cholera! - Harry uderzył się w czoło. - Ale to oznacza, że człowiek, który z wyprzedzeniem zaprogramował komputer, musiał przewidzieć cały przebieg wydarzeń. Wszystko to było jakimś cholernym przedstawieniem kukielkowym. Z nami w roli kukielek.

- Na to wygląda. Harry?

- Jestem. Próbuję tylko to przetrwać. To znaczy zapomnieć o tym na jakiś czas. Bo to za dużo naraz. A co z tą nazwą firmy, którą ci podałem?

- Tak, nazwa firmy. Dlaczego uważasz, że coś z tym zrobiłam?

- Wcale tak nie uważam. Ale to, co teraz powiedziałaś...

- Przecież nic nie powiedziałam.

- No tak, ale odezwałaś się takim obiecującym tonem.

- Naprawdę?

- Coś znalazłaś, prawda?

- Coś znalazłam.

- No to mów.

- Zadzwoiłam do biura rachunkowego, z którego usług korzyst „Ślusarz”, i poprosiłam jakąś panią o przesłanie mi listy numerów oso bitych i dat urodzeń osób, które tam pracują. Są cztery osoby na pełnym etacie i dwie na niepełnym. Sprawdziłam je w Rejestrze Karnym i w Rejestrze Spraw Karnych. Pięć z nich miało czyste kartoteki. Ale jeden facet...

- No co?

- Musiałam przewijać ekran, żeby obejrzeć wszystko. Głównie narkotyki. Był podejrzany o sprzedaż heroiny i morfiny, ale skazany jedynie za posiadanie niewielkiej ilości haszyszu. Siedział też za włamanie i dwa ciężkie rozboje.

- Z użyciem broni?

- Podczas jednego z rozbojów posługiwał się pistoletem. Nie strzelił, ale pistolet był naładowany.

- Doskonale, to nasz człowiek. Jesteś aniołem. Jak on się nazywa? - Alf Gunnerud. Trzydzieści dwa lata. Kawaler. Adres: Thor Olsens gate 9. Wygląda na to, że mieszka sam.

- Powtórz nazwisko i adres. Beatę powtórzyła.

- Mhm. Niewiarygodne, że Gunnerud z taką kartoteką dostał pracę w „Ślusarzu”.

- Jako właściciel sklepu figuruje niejaki Birger Gunnerud.

- Aha. Rozumiem. Pewna jesteś, że wszystko okej? Milczenie.

- Beate?

- Wszystko jest okej, Harry. Co masz zamiar zrobić?

- Zamierzam złożyć wizytę w jego mieszkaniu, zobaczyć, czy znajdę coś ciekawego.

W razie czego zadzwonię do ciebie z jego mieszkania, żebyś mogła wysłać tam samochód, który zabezpieczy ślady w przepisowy sposób.

- Kiedy się tam wybierasz? - A co?

Kolejna pauza.

- Żeby wiedziała, czy będę w domu, kiedy zadzwonisz.

- Jutro o jedenastej. Mam nadzieję, że on będzie wtedy w pracy.

Odłożywszy słuchawkę, stanął wpatrzony w zachmurzone nocne niebo, które przykrywało miasto żółtą kopułą. Słyszał muzykę w tle. Ledwie, ale to wystarczyło: *I only want to see you bathing in the purple rain*. Wrzucił do automatu jeszcze jedną monetę i wykręcił numer informacji, 1881.

- Potrzebny mi numer do Alfa Gunneruda...

Taksówka jak milcząca czarna ryba sunęła przez noc, mijając skrzyżowania, latarnie i znaki wskazujące drogę do centrum.

- Nie możemy dłużej spotykać się w taki sposób - oświadczył Oystein. Zerknął w lusterko i zobaczył, że Harry wciąga czarny sweter, który mu przyniósł.

- Pamiętałeś o łomie? - spytał Harry.

- Leży w bagażniku. A jeśli ten facet mimo wszystko będzie w domu?

- Ludzie, którzy są w domu, na ogół odbierają telefony.

- A co się stanie, jak wróci w tym czasie, kiedy ty będziesz w mieszkaniu?

- Wtedy zrobisz tak, jak ci mówiłem. Zatrąbisz krótko dwa razy.

- No dobrze, ale ja przecież nie mam pojęcia, jak ten typ wygląda.

- Mówiłem ci już. Ma około trzydziestki. Jak zobaczysz, że ktoś taki wchodzi pod numer dziewięć, to trąbisz.

Oystein zatrzymał się przy znaku zakazu parkowania na brudnej, zanieczyszczonej, cierpiącej na wieczny skręt kiszek ulicy, która na stronie dwieście sześćdziesiątej piątej zakurzonej książki *Ojcowie miasta IV* w położonej po sąsiedzku Bibliotece Deichmanna została określona jako niepozorna i wyjątkowo mało interesująca. Nadano jej nazwę Thora Olsena. Ale akurat tego wieczoru Harry'emu bardzo to pasowało. Hałas, przejeżdżające samochody i ciemność to dla niego świetny kamuflaż. I nikt nie zwrócił uwagi na oczekującą taksówkę.

Wsunął łom do rękawa skórzanej kurtki i szybko przeszedł na drugą stronę ulicy. Zadowolony zobaczył, że pod numerem dziewiątym jest co najmniej dwadzieścia przycisków domofonu. Dzięki temu będzie miał więcej możliwości, jeżeli blef nie uda się za pierwszym razem. Nazwisko Alfa Gunneruda było drugie od góry z prawej strony. Przyjrzał się fasadzie po prawej. W oknach na piątym piętrze było ciemno. Zadzwoił na pierwsze. Odpowiedział mu zaspany kobiecy głos.

- Idę do Alfa - powiedział. - Ale najwyraźniej tak głośno słuchają muzyki, że nie słyszą dzwonka. Do Alfa Gunneruda. Do ślusarza z piątego. Mogłaby mi pani otworzyć?

- Już po północy.

- Przepraszam panią, poproszę, żeby Alf ściszył muzykę. Harry czekał. W końcu odezwał się brzęczyk.

Wbiegał na górę po trzy stopnie naraz. Na piątym piętrze zatrzymał się i nasłuchiwał, ale słyszał jedynie własne tłukące się serce. Miał do wyboru dwoje drzwi. Na jednych przyklejono szarą tekturkę z nazwiskiem „Andersen” wypisanym flamastrem. Drugie były gładkie.

To była najbardziej krytyczna część planu. Prosty zamek dałoby się rozgiąć bez budzenia wszystkich mieszkańców klatki, lecz jeśli Alf wykorzystał cały arsenał od „Ślusarza”, Harry miał problem. Obejrzał drzwi dokładnie od góry do dołu. Żadnych nalepek Falcka czy innych centrali alarmowych. Żadnych niemożliwych do przeborowania zamków zabezpieczających. Żadnych niedających się otworzyć wytrychem cylindrów Twin z podwójnym rzędem bolców. Tylko stary zamek cylindrowy yale. Innymi słowy to, co Anglicy nazywają kawałkiem ciastka.

Harry rozciągnął rękaw skórzanej kurtki i wyjął łom. Zawahał się, zanim wsunął czubek w drzwi tuż pod zamkiem. To było niemal zbyt proste. Ale nie miał czasu do namysłu i nie miał żadnego wyboru. Wygiął drzwi nie na zewnątrz, tylko podniósł je w stronę zawiasów, dzięki temu udało mu się wepchnąć kartę bankową Oysteina pod zamek zatraskowy, jednocześnie zasuwka wysunęła się nieco z uchwytu w futrynie. Lekko nacisnął łom, drzwi odrobinę się odchyliły i wtedy wsunął stopę pod brzeg na dole. Zatrzeszczały zawiasy, gdy mocno pchnął łom, jednocześnie przyciągając kartę do siebie. Wszedł do środka i zamknął drzwi za sobą. Cała operacja zajęła mu osiem sekund.

Buczenie lodówki i śmiech siteomu z telewizora u sąsiada. Harry starał się oddychać głęboko w grobowych ciemnościach. Słyszał samochody na zewnątrz, czuł też chłodny przeciąg od drzwi, jedno i drugie świadczyło o tym, że w mieszkaniu są stare okna. Ale najważniejsze: żaden dźwięk nie wskazywał na to, że ktoś jest w domu.

Znalazł przełącznik światła. Korytarzowi zdecydowanie przydałaby się operacja plastyczna. Salonowi pełny remont. Kuchnia w pożałowania godnym stanie. A umeblowanie wyjaśniało marne zabezpieczenia drzwi. Umeblowanie, a raczej jego brak. Alf Gunnerud nie posiadał bowiem nic. Nawet sprzętu stereo, o którego przyciszenie Harry mógłby go poprosić. O tym, że ktoś w ogóle tu mieszka, świadczyły dwa krzesła turystyczne, pomalowany na zielono stół-lawa, rozrzucone wszędzie ubrania i łóżko z kołdrą bez poszwy.

Harry wciągnął rękawice do zmywania, które dostarczył mu Oystein, i zaniósł jedno ze składanych krzesel na korytarz, postawił je przed szeregiem szafek, sięgających aż po znajdujący się na wysokości trzech metrów sufit. Opróżnił głowę z myśli i delikatnie wszedł na krzesło. W tej samej chwili zadzwonił telefon. Harry przesunął nogę, krzesło się złożyło, a on z hukiem wylądował na podłodze.

Tom Waaler miał złe przecucia. Sytuacji brakowało przewidywalności, o którą o każdym czasie zabiegał. Ponieważ jego kariera i przyszłość leżały nie tylko w jego rękach, lecz również w rękach tych, z którymi się sprzymierzał, ludzki czynnik stanowił ryzyko, z którym zawsze musiał się liczyć. A złe przecucia wynikały z faktu, że nie wiedział, czy może w tej chwili ufać Beatę Lonn, Runemu Ivarssonowi i - to była rzecz najpoważniejsza - człowiekowi, który był jego głównym źródłem pieniędzy: Waletowi.

Gdy Toma doszły słuchy, że po napadzie na Gronlandsleiret zarząd miasta zaczął naciskać komendanta okręgowego policji, by ten wszczął szczególne kroki zmierzające do ujęcia Ekspedytora, nakazał Waletowi się ukryć. Ustalili miejsce, które Walet znał już wcześniej. Ze wszystkich miejsc na wschodniej półkuli Pattaya gromadziła największą liczbę poszukiwanych przez policję przestępców z zachodu i położona była zaledwie parę godzin jazdy samochodem od Bangkoku. Jako biały turysta Walet mógł tam zniknąć w tłumie. Nazywał Pattayę „Sodomą Azji”. Waaler nie mógł więc zrozumieć, dlaczego tak nagle znów pojawił się w Oslo i oświadczył, że nie ma siły dłużej tam tkwić.

Waaler zatrzymał się na czerwonym na Uelands gate i włączył lewy migacz. Złe przecucia. Ostatniego napadu Walet dokonał bez uprzedniej konsultacji z nim, to było poważne złamanie reguł. Coś być może należało z tym zrobić.

Właśnie próbował zadzwonić do domu do Waleta, ale bez skutku. To oznaczało wszystko i nic. Mógł pojechać do domku letniskowego w Tryvann i pracować nad szczegółami transportu pieniędzy, o którym rozmawiali. Albo przeglądać sprzęt. Ubrania, broń, radio policyjne, szkice. Mogło to również oznaczać, że pękł i tkwił gdzieś w swoim mieszkaniu, kiwając głową ze strzykawką wbity w łokieć.

Waaler wolno jechał przez ciemny brudny kawałek ulicy, przy której mieszkał Walet.

Po drugiej stronie parkowała oczekująca taksówka. Waaler podniósł głowę, żeby spojrzeć w okna mieszkania. Dziwne, świeci się. Jeśli strzelił sobie w żyłę, rozpęta się piekło. Wejście do mieszkania to prosta sprawa. Walet miał tylko jeden prosty zamek. Tom spojrzął na zegarek. Wizyta u Beatę tylko go podnieciła. Wiedział, że jeszcze długo nie zdoła zasnąć. Będzie musiał trochę pojeździć po mieście, zadzwonić w parę miejsc i zobaczyć, co z tego wyniknie.

Waaler podkreślił Prince'a, dodał gazu i skręcił w Ullevalsveien.

Harry siedział na krześle turystycznym z głową opartą na rękach, z obolałym biodrem i bez cienia dowodu na to, że Alf Gunnerud jest człowiekiem, którego szukał. Zaledwie dwadzieścia minut zabrało mu przejście nielicznych rzeczy znajdujących się w mieszkaniu, było ich tak niewiele, że można by podejrzewać, że Gunnerud tak naprawdę mieszka gdzie indziej. W łazience Harry zobaczył szczoteczkę do zębów, prawie pustą tubkę pasty do zębów Solidox i kawałek niedającego się zidentyfikować mydła, rozmoczonego w mydelniczce. Do tego ręcznik, który może kiedyś był biały. To już wszystko. Niczego więcej nie znalazł. I to była ta jego szansa.

Zbierało mu się na płacz. Miał ochotę walić głową w ścianę. Utracił szyjkę z butelki Jima Beama i pić alkohol z odłamkami szkła. Bo to musiał - musiał - być Gunnerud. Miał w kartotece narkotyki i użycie broni, pracował w „Ślusarzu”, mógł zamówić każdy klucz generalny, jaki chciał, na przykład do mieszkania Anny. I Harry'ego.

Podszedł do okna. Myślał o tym, jak dał się złapać na lep i co do joty wypełniał scenariusz napisany przez szaleńca. Ale teraz instrukcje się skończyły, nie było gotowych replik. Z rozdarcia chmur wyrżał księżyc, wyglądał jak nadgryziona tabletką fluoru, ale też nie mógł mu nic podsuflować.

Zamknął oczy, skupił się. Co zobaczył w tym mieszkaniu? Co mogło mu podrzucić następną kwestię? Co przeoczył? W pamięci odtwarzał mieszkanie, kawałek po kawałku. Po trzech minutach się poddał. Utknął w martwym punkcie. Nic tutaj nie było.

Sprawdził, czy wszystko jest tak, jak zastał, gdy tu przyszedł, i zgasił światło w salonie. Poszedł do toalety, stanął przed sedesem i rozpiął spodnie. Czekał. Boże, nawet to go zawodziło. Wreszcie poszło. Westchnął zmęczony. Pociągnął za sznurek. Woda zaszumiła i w tym momencie zdrętwiał. Czyżby wśród plusku usłyszał klakson? Wyszedł na korytarz i zamknął drzwi do łazienki, żeby lepiej słyszeć. Rzeczywiście. Krótki twardy dźwięk z ulicy. Gunnerud wracał! Harry już stał w drzwiach, gdy nagle doznał olśnienia. Oczywiście musiało się to stać właśnie teraz, kiedy było już za późno. Szum spuszczonej wody. *Ojciec Chrzestny. Pistolet. To moje ulubione miejsce.*

- Jasna cholera!

Wbiegł z powrotem do toalety, złapał za uchwyt w pokrywie spłuczki i gorączkowo zaczął go odkręcać. Ukazały się pokryte czerwoną rdzą frezy.

- Szybciej - szepnął do siebie, obrócił rękę i poczuł, jak serce gwałtownie przyspiesza, ale przekłety drażek tylko się obracał w koło z jęklwym odgłosem, nie chcąc się odłączyć. Usłyszał trzaśnięcie drzwi na klatce na dole. Wreszcie drażek się poluzował i pokrywę spłuczki dało się unieść. Odgłos porcelany uderzającej o porcelaną rozdarł półmrok. Woda w środku wciąż wzbierała. Harry wsunął rękę do rezerwuaru i zaczął palcami obmacywać lepki osad glonów. Co, do cholery? Nic?

Odwrócił pokrywę. Był tam. Przyklejony taśmą od środka. Odetchnął głęboko. W kluczu przytrzymywanym przezroczystym kawałkiem taśmy znał każdy ząbek, każdy występ i zagłębienie. To był klucz do jego kamienicy, podwórza, piwnicy i do jego mieszkania. Zdjęcie przyklejone taśmą obok klucza również było znajome. Zaginione zdjęcie znad lustra. Sio uśmiechała się, a Harry próbował wyglądać na twardziela. Opaleni i radośnie nieświadomi. Nic natomiast nie wiedział o białym proszku w plastikowej torebce, przymocowanej trzema szerokimi kawałkami mocnej taśmy, ale był gotów założyć się o sporą sumę, że to dia-cetylmorfina, lepiej znana pod nazwą heroiny. Dużo heroiny. Sześć lat heroiny bez zawieszenia. Co najmniej. Harry niczego nie dotykał, położył tylko pokrywę na miejsce i zaczął z powrotem ją przykręcać, nasłuchując jednocześnie kroków. Jak podkreśliła Beata, dowody nie byłyby nic warte, gdyby się okazało, że wszedł do tego mieszkania bez niebieskiej kartki. Wreszcie uchwyt znalazł się na miejscu i Harry mógł puścić się biegiem do wyjściowych drzwi. Nie miał wyboru. Otworzył je i wyszedł na klatkę. Słysząc już było szurające kroki. Po cichu zamknął drzwi, wyjrzał przez poręcz i zobaczył ciemną gęstą czuprynę. Za pięć sekund ten człowiek go dostrzeże. Ale trzy długie kroki po schodach na szóste wystarczyłyby, by zniknąć mu z oczu.

Młody chłopak stanął jak wryty na widok Harry'ego, siedzącego na schodach.

- Cześć, Alf - powiedział Harry, spoglądając na zegarek. - Czekałem na ciebie.

Chłopak patrzył na niego szeroko otwartymi oczami. Błądą piegowatą twarz obramowywały półdługie tłuste włosy z wystrzępionymi kosmykami w stylu Liama Gallaghery przy uszach. Przywodziła Harry'emu na myśl nic zatwardziałego zabójcę, tylko chłopczyka, który boi się kolejnego lania.

- Czego chcesz? - spytał wysokim jasnym głosem.

- Żebyś poszedł ze mną na policję.

Chłopak zareagował momentalnie. Odwrócił się, przytrzymał poręcz i zeskoczył na podest niżej.

- Hej! - zawołał Harry. Ale Alf już zniknął mu z oczu. Ciężkie dudnienie stóp, uderzających o co piąty lub co siódmy stopień, odbijało się echem unoszonym w górę klatki schodowej.

- Gunnerud!

Odpowiedzią był jedynie huk zatrzasniętych drzwi.

Harry sięgnął do wewnętrznej kieszeni, zanim uświadomił sobie, że nie ma papierosów. Wstał i spokojnie zszedł na dół. Teraz pora na kawalerię.

Tom Waaler przyciszył muzykę, wyjął z kieszeni popiskującą komórkę, wcisnął guzik łączący rozmowę i przyłożył telefon do ucha. Z drugiego końca dochodził urywany drżący oddech i odgłosy ruchu ulicznego.

- Halo? - powiedział głos. - Jesteś tam?

To był Walet. Sprawiał wrażenie wystraszonego.

- Co się dzieje, Walet?

- O Boże, jesteś! Piekło się rozpętało. Musisz mi pomóc. Szybko.- Nic nie muszę. Odpowiadaj na pytania.

- Odkryli nas. Kiedy wróciłem do domu, na schodach czekał na mnie gliniarz.

Waaler zatrzymał się przed przejściem dla pieszych przy Ringveien. Jakiś staruszek przechodził przez ulicę, dziwacznie drobiąc kroki. Poruszał się nieskończenie wolno.

- Czego chciał? - spytał Waaler.

- A jak ci się wydaje? Chciał mnie aresztować.

- To dlaczego nie jesteś aresztowany?

- Bo działałem szybko jak sam diabeł. Uciekłem. Ale oni mi deptają po piętach. Już przejeżdżały tędy trzy radiowozy. Słyszysz? Złapią mnie, jeśli... Jeśli nie...

- Nie krzycz w słuchawkę. Gdzie byli inni policjanci?

- Nie widziałem żadnych innych, po prostu uciekłem.

- I tak łatwo udało ci się wymknąć? Jesteś pewien, że ten facet był policjantem?

- No tak, to przecież on.

- Jaki on?

- Harry Hole. Był niedawno w zakładzie.

- O tym mi nie mówiłeś.

- To zakład ślusarski. Policja stale tam przychodzi.

Światło zmieniło się na zielone. Waaler zatrąbił na samochód stojący przed nim.

- No dobrze, o tym pomówimy później. Gdzie jesteś teraz?

- Stoję w budce telefonicznej przed... No, przed sądem. - zaśmiał się nerwowo. - I nie

najlepiej się tu czuję.

- Czy u ciebie w mieszkaniu jest coś, czego nie powinno tam być?

- Jest czyste. Cały sprzęt mam w domku.

- A co z tobą? Ty też jesteś czysty?

- Dobrze wiesz, że tak. Przyjedziesz czy nie? Cholera, cały się trzęsę.

- Spokojnie, Walet.

Waaler obliczał, ile czasu potrzebuje. Tryvann, Budynek Policji, Centrum.

- Myśl o tym, jak o napadzie na bank. Kiedy przyjadę, dostaniesz ode mnie prochy.

- Mówię ci, że rzuciłem - zawahał się Walet. - Nie wiedziałem, że chodzisz z prochami, Książę.

- Jak zawsze. Pauza.

- Co masz?

- *Mother's arms*. Rohypnol. Masz przy sobie ten pistolet jcricho, który ci dałem?

- Jak zawsze.

- To dobrze. A teraz posłuchaj uważnie. Spotkamy się na przystani po wschodniej stronie Magazynu Portowego. Jestem kawałek stamtąd. Musisz mi więc dać czterdzieści minut.

- O czym ty gadasz? Musisz przyjechać tutaj, do cholery! Teraz! Waaler, nie odpowiadając, słuchał szumu oddechu odbijającego się od membrany.

- Jak mnie złapią, pociągnę cię za sobą. Mam nadzieję, że to rozumiesz, Książę. Doniosę na ciebie, jeśli dzięki temu uda mi się taniej z tego wywinąć. Nie mam, do ciężkiej cholery, zamiaru odsiadywać za ciebie. Jeśli ty nie...

- To mi wygląda na panikę, Walet. Panika nam teraz niepotrzebna. Jaką mam gwarancję, że już nie zostałeś aresztowany i że to nie pułapka, by mnie powiązać z tobą? Rozumiesz teraz? Masz być sam i stać pod latarnią, żebym cię wyraźnie widział, kiedy przyjadę.

- Cholera! - jęknął Walet. - Cholera! - I co?

- No dobrze, w porządku. Tylko weź te prochy. Cholera.

- Magazyn Portowy za czterdzieści minut, pod latarnią.

- Nie spóźnij się.

- Chwileczkę, to jeszcze nie koniec. Zaparkuję kawałek dalej, a kiedy ci powiem, masz trzymać pistolet podniesiony do góry tak, bym mógł go wyraźnie widzieć.

- Dlaczego? Wpadłeś w paranoję?

- Powiedzmy, że sytuacja jest akurat w tej chwili odrobinę niepewna, więc nie chcę

ryzykować. Zrób po prostu, jak mówię.

Waaler rozłączył się i spojrzał na zegarek. Przekręcił gałkę do samego końca. Gitary. Cudowny biały hałas. Cudowna biała wściekłość. Skręcił na stację benzynową. Bjarne Molier przekroczył próg i rozejrzał się po pokoju z lekkim obrzydzeniem.

- Przytulne mieszkanie, prawda? - spytał Weber.

- Słyszałem, że to jakiś nasz dobry znajomy?

- Alf Gunnerud. W każdym razie mieszkanie zapisane jest na niego. Mamy mnóstwo odcisków palców. Wkrótce stwierdzimy, czy jego. Szkło. - Wskazał na młodego człowieka, który czyścił szybę pędzelkiem. - Najlepsze odciski są zawsze na szkle.

- Ponieważ zaczęliście zdejmować odciski palców, to zakładam, że znaleźliście tu coś jeszcze.

Weber wskazał na torebkę plastikową, leżącą wraz z innymi przedmiotami na wełnianym kocu na podłodze. Molier przykucnął i wsunął palec w rozdarcie w plastiku.

- Hm. Ma smak heroiny. Musi być tego z pół kilo. A to co takiego?

- Zdjęcie dwojga dzieci. Nie wiemy jeszcze, kim są. I klucz Triooving, który w każdym razie nie pasuje do drzwi do tego mieszkania.

- Jeśli to klucz generalny, to Triooving może stwierdzić, kto jest właścicielem. Ten chłopiec na zdjęciu wydaje mi się jakoś znajomy.

- Mnie też się tak wydawało.

- *Gyrus fusiformis* - rozległ się za ich plecami kobiecy głos.

- Panna Lonn? - przywitał ją zdumiony Molier. - Co tu robi Wydział Napadów?

- To ja dostałam cynk, że jest tu heroina. I poprosiłam o wezwanie ciebie.

- Masz więc informatorów również w środowisku narkomanów?

- Złodzieje-bandyci i narkomani to jedna wielka szczęśliwa rodzina.

- Kim był informator?

- Nie mam pojęcia. Zadzwoił do mnie do domu, kiedy już się położyłam. Nie chciał powiedzieć, jak się nazywa, ani skąd wie, że jestem policjantką. Ale to, co mi przekazał, było na tyle konkretne i szczegółowe, że postanowiłam mimo wszystko zbudzić jednego z policyjnych prawników.

- Hm - mruknął Molier. - Narkotyki. Karany. Niebezpieczeństwo zatarcia dowodów przestępstwa. Myślę, że od razu dostałaś sygnał do działania?

- Owszem.

- Ale nie widzę zwłok, dlaczego więc zostałem wezwany?

- Ponieważ informator powiedział mi coś jeszcze.

- Ach, tak?

- Podobno Alf Gunnerud utrzymywał bliskie stosunki z Anną Bethsen, był jej kochankiem i dostawcą. Dopóki nie poznała kogoś innego w czasie, gdy siedział. Co ty na to, Molier?

Molier popatrzył na nią.

- Cieszę się - odparł z kamienną twarzą. - Cieszę się bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić.

Dalej na nią patrzył, aż wreszcie Beatę musiała spuścić wzrok.

- Weber - powiedział. - Chcę, żebyś odgrodził to mieszkanie i wezwał wszystkich ludzi, jakimi dysponujesz. Czeka nas tu niezła robota.

39 GLOCK

Stein Thommesen pracował jako funkcjonariusz w straży kryminalnej. Pragnął zostać śledczym, a jego marzeniem było stanowisko specjalisty policyjnego. Mieć stałe godziny pracy, własny pokój i wynagrodzenie wyższe niż komisarz. Wracać do domu do Trine i opowiadać jej o interesującym problemie zawodowym, o którym dyskutował ze specjalistą z Wydziału Zabójstw, a który jej wydałby się niezwykle głęboki i niesamowicie skomplikowany. Na razie dyżurował za psie pieniądze, budził się śmiertelnie zmęczony, nawet jeśli spał dziesięć godzin, a gdy Trine mówiła, że nie zamierza tak żyć aż do śmierci, usiłował jej wyjaśnić, co się dzieje z człowiekiem, którego dni mijają na odwożeniu nastolatków po przedawkowaniu na pogotowie, tłumaczeniu dzieciakom, że mają dzwonić, kiedy ojciec bije matkę, i zbieraniu wyzwisk od wszystkich, którzy nienawidzą twojego munduru. Trine przewracała oczami z miną mówiącą, że już to słyszała.

Gdy komisarz Tom Waaler z Wydziału Zabójstw wszedł do dyżurki i spytał Steina Thommesena, czy nie poszedłby z nim zwinąć poszukiwanego, Thommesen w pierwszej chwili pomyślał, że Waaler mógłby mu podpowiedzieć, co ma robić, żeby zostać śledczym. Wspomnił o tym w samochodzie, gdy jechali Nylandsveien w stronę skrzyżowania estakad, Waaler uśmiechnął się i powiedział, żeby napisał zwykłe podanie, kilka słów na kartce. A może on, Waaler, dodałby parę ciepłych słów od siebie.

- To by było... bardzo fajnie.

Thommesen zastanawiał się, czy podziękowanie zabrzmiałoby jak podlizywanie się. Przecież na razie nie było jeszcze za co dziękować. W każdym razie wspomni Trine, że wysunął czułki. Tak, tak właśnie powie, wysunął czułki. I nic więcej. Będzie tajemniczy,

dopóki nie dowie się czegoś konkretnego.

- Co to za facet, którego mamy zwinąć? - spytał.

- Alf Gunnerud. Jechałem samochodem, kiedy usłyszałem w radiu, że znaleźli heroinę w mieszkaniu przy Thor Olsens gate. Słyszałem o tym na dyżurze. Prawie pół kilo.

- A chwilę później zadzwonił do mnie facet i powiedział, że widział Gunneruda przy basenie portowym.

- Informatorzy są dzisiaj wyjątkowo aktywni. Jakiś anonimowy telefon doprowadził też do znalezienia tej heroiny. To może być przypadek, ale dziwne, że dwa anonimowe...

- Może to ten sam człowiek - przerwał mu Waaler. - Ktoś, kto się wściekł na Gunneruda. Ktoś, kogo ten oszukał.

- Może i tak.

- A więc masz ochotę zostać śledczym - powiedział Waaler.

Thommesenowi wydało się, że słyszy w jego głosie cień irytacji. Skręcili z estakady w okolice portu.

- No tak, rozumiem. To byłoby coś zupełnie innego. O jakim wydziale myślałeś?

- Zabójstw - odparł Thommesen. - Albo napadów. Raczej nie o obyczajówce.

- No pewnie, to jasne. Jesteśmy.

Jechali przez pogrążony w ciemności otwarty plac pełen kontenerów poustawianych jedno na drugich, zamknięty w głębi różowym budynkiem.

- Ten, który stoi pod tamtą latarnią, pasuje do opisu - stwierdził Waaler.

- Gdzie? - spytał Thommesen, mrużąc oczy.

- Tam, przy tamtym budynku.

- Do diabła, ale ty dobrze widzisz.

- Masz przy sobie broń? - spytał Waaler, zwalniając. Thommesen popatrzył na niego zaskoczony.

- Nic nie mówiłeś o...

- W porządku, ja mam. Zostań w samochodzie, żeby wezwać inne wozy, gdybyśmy mieli jakieś kłopoty, okej?

- Dobrze. Jesteś pewien, że nie powinniśmy czekać na...

- Nie mamy czasu. - Waaler włączył długie światła i zatrzymał samochód. Thommesen ocenił odległość do postaci pod latarnią na jakieś pięćdziesiąt metrów, ale późniejsze pomiary miały wykazać, że wynosiła ona dokładnie trzydzieści cztery metry.

Waaler załadował pistolet - Glocka 20 - na który po wielu staraniach dostał specjalne zezwolenie, sięgnął po dużą czarną latarkę leżącą między siedzeniami i wysiadł z samochodu.

Zawołał coś, zaczynając się zbliżać do człowieka pod latarnią. W raportach obu policjantów dotyczących całego zajścia akurat w tym punkcie wystąpiła różnica. Waaler napisał w raporcie, że zawołał: „Policja, pokaż mi się!”, w domyśle „Pokaż mi się z rękami nad głową”. Prokurator okręgowy zgodził się, że rozsądne było przypuszczenie, iż człowiek uprzednio już karany i wielokrotnie aresztowany znał ten slang. W każdym razie komisarz Waaler jasno dał do zrozumienia, że jest z policji. W raporcie Thommesena pierwotnie znalazło się stwierdzenie, że Waaler zawołał: „Hej, tu ciotka policja, pokaż mi go!”, jednakże po konsultacji Thommesena z Waalerem okazało się, że właściwa jest jednak wersja Waalera.

Na temat tego, co nastąpiło później, nie było żadnych sporów. Mężczyzna pod latarnią zareagował, sięgając pod kurtkę i wyciągając pistolet, jak się później okazało, z zeszlifowanym numerem seryjnym, a więc niemożliwy do wytropienia. Waaler, który - jak podkreślił SEFO, Wydział Kontroli Wewnętrznej w wydanej przez siebie opinii - uzyskał najlepsze w policji wyniki na strzelnicy, krzyknął i oddał trzy strzały prędko, jeden po drugim. Dwa trafiły Alfa Gunneruda. Jeden w lewy bark, drugi w biodro. Żaden ze strzałów nie był śmiertelny, lecz spowodował upadek Gunneruda na plecy. Waaler podbiegł do niego z uniesionym pistoletem, wołając: „Policja, rzuć broń, bo będę strzelał! Powiedziałem, rzuć broń!” Od tego momentu sierżant Stein Thommesen nie mógł w swoim raporcie zamieścić nic bardziej konkretnego, ponieważ znajdował się w odległości trzydziestu czterech metrów, było ciemno, a ponadto Waaler zasłonił sobą Gunneruda. Z drugiej strony, z raportu Thommesena, ani też z przeszukania miejsca zdarzenia nie wynikało nic, co by przeczyło przebiegowi zajścia opisanemu w raporcie Waalera: pomimo ostrzeżeń Gunnerud sięgnął po pistolet i skierował go w policjanta, lecz Waaler zdążył strzelić pierwszy. Dzielili ich wtedy odległość od trzech do czterech metrów.

Umieram. To bezsensowne. Patrzę w dymiącą lufę. Nie taki był plan, w każdym razie nie mój. Możliwe, że wszystko zmierzało do tego punktu. Ale bez mojej wiedzy. Mój plan nie był taki. Mój plan był lepszy. Mój plan miał sens. W kabinie ciśnienie spada, niewidzialna siła pcha się ku bębkom. Ktoś pochyla się nade mną, pyta, czy jestem gotów, bo wkrótce będziemy lądować.

Szeptem, że kradłem, kłamałem, handlowałem narkotykami, cudzołożyłem i biłem, ale nigdy nikogo nie zabiłem. Ta kobieta, którą zraniłem na Grensen, to był niefortunny wypadek. Gwiazdy pod nami przeświecają przez korpus samolotu.

- Popelnilem jeden grzech - mówię szeptem. Zgrzeszyłem wobec tej, którą kochałem. Czy to również może zostać wybaczone? Ale stewardesa już odeszła, światelka lądowania rozblysły ze wszystkich stron.

To było tamtego wieczoru, kiedy Anna pierwszy raz powiedziała „nie”, na co ja powiedziałem „tak” i pchnąłem drzwi. To był najczystszy junk, jaki kiedykolwiek miałem w rękach, tym razem nie zamierzałem popsuć sobie przyjemności przez palenie. Protestowała, ale powiedziałem, że funduję, i przygotowałem strzykawkę. Ona nigdy nie dotykała strzykawki, więc sam zrobiłem jej zastrzyk. Trudniej to zrobić komuś innemu. Kiedy dwa razy nie trafiłem, popatrzyła na mnie i powiedziała wolno: - „Byłam czysta przez trzy miesiące. Byłam uratowana”. „Witaj z powrotem” - powiedziałem. Roześmiała się krótko i oświadczyła: „Zabiję cię”.

Trzecia próba się powiodła. Trafiłem. Źrenice jej się otwały, powoli jak czarne róże. Kropelki krwi z przedramienia cicho spadały na dywan. Potem głowa opadła jej bezwładnie do tyłu. Następnego dnia zadzwoniła do mnie, że chce jeszcze. Koła zgrzytają w zetknięciu z asfaltem.

Mogliśmy razem zmienić to życie w coś dobrego. Właśnie taki był plan. Taki miał być sens. A jaki jest sens tego, co się dzieje, nie mam pojęcia.

Według protokołu z sekcji zwłok dziesięciomilimetrowa kula uderzyła w kość nosową Alfa Gunneruda. Odłamki kości wraz z kulą przedostały się przez cienką tkankę okalającą mózg, ołów i kość zdołały w dużej mierze zniszczyć wzgórze, układ limbiczny i mózdzek, zanim kula wyszła tylną stroną czaszki. Wbiła się w asfalt, wciąż jeszcze miękki, gdyż firma wykonująca roboty drogowe zaledwie dwa dni wcześniej zmieniła tu nawierzchnię.

40 BONNIETYLER

Był smutny, krótki i w ogóle niepotrzebny dzień. Ołowianoszare chmury sunęły ciężkie od deszczu ponad miastem, nie wypuszczając ani kropli, a przypadkowe podmuchy wiatru szeleściły gazetami na statywie przed kioskiem Elmera z owocami i tytoniem. Nagłówki świadczyły o tym, że ludzie zaczynają mieć dość tej tak zwanej wojny z terroryzmem, która nabrała złowróżbnego wygłosu hasła wyborczego, a poza tym straciła ważność, ponieważ nikt nie wiedział, gdzie podział się główny winowajca. Niektórzy byli nawet przekonani, że nie żyje. Dlatego gazety znów zaczęły poświęcać więcej miejsca gwiazdom z reality show, zagranicznym gwiazdkom drugiej kategorii, które powiedziały coś miłego o jakimś Norwegu, i planom wakacyjnym rodziny królewskiej. Monotonię braku wydarzeń przerwała jedynie strzelanina w okolicach Magazynu Portowego, podczas której poszukiwany przez policję morderca i handlarz narkotykami zagroził bronią policjantowi, ale został zabity, zanim zdążył strzelić. W mieszkaniu zabitego znaleziono heroinę w znacznej

ilości, jak się wyraził naczelnik Wydziału Narkotykowego, natomiast szef Wydziału Zabójstw poinformował, że śledztwo w sprawie zabójstwa, o którego dokonanie podejrzewa się trzydziestodwulatka, wciąż trwa. Gazeta, w której najpóźniej oddawano teksty do druku, zdążyła jednak jeszcze dodać, że poszlaki przeciwko temu mężczyźnie norweskiego pochodzenia są mocne. A zamieszany w sprawę policjant to, o dziwo, ten sam człowiek, który przed ponad rokiem zastrzelił neonazistę Sverrego Olsena w jego domu w podobnej sytuacji. Policjant został obecnie zawieszony w czynnościach, dopóki SEFO nie zakończy śledztwa. Gazeta cytowała również naczelnika Biura Kryminalnego, który stwierdził, że to rutynowe postępowanie w podobnych sprawach, niemające nic wspólnego ze sprawą Sverrego Olsena.

Małą notkę poświęcono również pożarowi domku letniskowego w Tryvann, ponieważ w pewnej odległości od całkowicie spalonego budynku znaleziono pusty kanister, w którym mogła być benzyna, dlatego policja nie wyklucza podłożenia ognia. W druku nie ukazał się opis podjętych przez dziennikarza prób nawiązania kontaktu z Birgerem Gunnerudem, którego pragnął spytać o odczucia, jakie ogarniają człowieka, gdy tego samego dnia traci syna i domek letniskowy.

Wcześniej zrobiło się ciemno i już o trzeciej zapaliły się latarnie. Kiedy Harry wszedł do House of Pain, na ekranie drgał zatrzymany obraz napadu na Grensen.

- Masz coś więcej? - spytał, głową wskazując na zdjęcie przedstawiające Ekspedytora w biegu.

Beatę pokręciła głową.

- Czekamy.

- Aż znowu uderzy?

- Siedzi gdzieś w tej chwili i planuje kolejny napad. Przypuszczam, że nastąpi to w ciągu przyszłego tygodnia.

- Mówisz, jakbyś była tego pewna. Wzruszyła ramionami.

- Doświadczenie.

- Twoje?

Uśmiechnęła się i nie odpowiedziała. Harry usiadł.

- Mam nadzieję, że nie pokrzyżowałem wam planów, postępując inaczej, niż powiedziałem przez telefon.

Zmarszczyła czoło.

- O czym ty mówisz?

- O tym, że miałem przeszukać jego mieszkanie dopiero dzisiaj.

Harry popatrzył na nią. Wyglądała na szczerze zdumioną. Z drugiej jednak strony

Harry nie pracował w Secret Service. Już miał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie. Tymczasem to Beatę się odezwała.

- Muszę cię o coś spytać, Harry.

- Strzelaj!

- Wiedziałeś o Raskolu i moim ojcu?

- Co masz na myśli?

- Ze to Raskol... był w tym banku. Że to on strzelał. Harry spuścił głowę. Przyglądał się swoim rękom.

- Nie - powiedział. - Nie wiedziałem.

- Ale zrozumiałeś, że tak było? Podniósł głowę i popatrzył Beatę w oczy.

- Myślałem o tym. To wszystko.

- A co cię skłoniło do tego, by tak myśleć?

- Odsiadywanie.

- Odsiadywanie?

Harry głęboko nabrał powietrza.

- Czasami groza przestępstwa przesłania widok. Albo zrozumienie.

- O co ci chodzi?

- Wszyscy ludzie odczuwają potrzebę odpokutowania, Beatę. Ty też, a Bóg jeden wie, jak bardzo mocno ja ją odczuwam. Raskol także. To równie podstawowa potrzeba jak potrzeba umycia się. Ma to związek z harmonią, z niezbędną do życia równowagą w samym sobie. Tę równowagę nazywamy moralnością.

Zobaczył, że twarz Beatę zrobiła się biała, potem szczerwieniała.

- Nikt nie wie, dlaczego Raskol zgłosił się na policję - powiedział Harry. - Ale jestem przekonany, że zrobił to, by odpokutować. Dla człowieka, który dorastał, mając swobodę podróżowania jako jedyną swobodę, więzienie to ostateczny sposób na ukaranie samego siebie. Odebranie komuś życia to kwestia zupełnie inna niż odebranie pieniędzy. Przypuśćmy, że on popełnił przestępstwo, przez które stracił równowagę. Decyduje się więc na odpokutowanie go w tajemnicy, tylko przed sobą i przed Bogiem, jeśli w niego wierzy.

Beatę z trudem wykrztusiła wreszcie słowa:

- Zabójca o takiej moralności? Harry czekał, ale nic więcej nie padło.- Człowiek moralny to taki, który przyjmuje konsekwencje swojej własnej moralności - powiedział cicho.

- Nie cudzej.

- A co by było, gdybym włożyła to? - powiedziała Beatę z goryczą w głosie, otworzyła szufladę przed sobą i wyciągnęła z niej kaburę na pasku. - Co by było, gdybym

zamknęła się z Raskolem w którymś z pokoiów odwiedzin, a potem powiedziała, że on mnie zaatakował i strzeliłam w samoobronie. Pomszczenie rodzzonego ojca z jednoczesnym pozbyciem się szumowiny. Czy to dla ciebie dostatecznie moralne? - Uderzyła kaburą o stół.

Harry odchylił się na krzesło i przymknął oczy, dopóki nie usłyszał, że jej prędkie oddechy się uspokajają.

- Pytanie, co dla ciebie jest moralne, Beatę. Nie wiem, dlaczego przyniosłaś ze sobą ten pistolet, i nie mam zamiaru powstrzymać cię przed czymkolwiek.

Wstał.

- Zrób tak, żeby ojciec był z ciebie dumny, Beatę. Ujął za klamkę, ale usłyszał jej szloch. Odwrócił się.

- Ty nic nie rozumiesz - płakała. - Myślałam, że mogłabym... Myślałam, że... to coś w rodzaju... wyrównania rachunków, prawda?

Harry stał. W końcu przysunął krzesło blisko niej, usiadł i dotknął ręką jej policzka. Jej łyzy były gorące, zdawały się wsiąkać w jego szorstką skórę.

- Człowiek zostaje policjantem, ponieważ wierzy, że musi istnieć jakiś porządek, jakaś równowaga rzeczy, prawda? Rozliczenie, sprawiedliwość i tak dalej. I pewnego dnia stajesz nagle przed szansą rozliczenia się, taką, o jakiej tak naprawdę marzyłeś. Tylko po to, by stwierdzić, że w rzeczywistości wcale tego nie chcesz. Pociągnęła nosem.

- Moja matka powiedziała raz, że tylko jedna rzecz jest gorsza od niemożności zaspokojenia chęci, a jest tym nieodczuwanie żadnej chęci w ogóle. Nienawiść to jakby ostatnia rzecz, jaka człowiekowi zostaje, kiedy stracił już wszystko inne. A potem to również mu się odbiera.

Zepchnęła kaburę z pistoletem ze stołu, aż uderzyła w ścianę z głuchym hukiem.

*

Było już ciemno, kiedy Harry stał na Sofies gate i szukał kluczy w bardziej znajomej kieszeni. Jedną z pierwszych rzeczy, jaką zrobił, po zgłoszeniu się tego ranka do Budynku Policji, było odebranie własnego ubrania z Wydziału Techniki Kryminalistycznej, dokąd przewieziono je z domu pani Albu. Ale przede wszystkim stawiał się w biurze Bjarnego Moliera. Szef Wydziału Zabójstw powiedział, że większość spraw Harry'ego wydaje się w porządku, ale muszą poczekać, czy nie wpłynie zawiadomienie o włamaniu na Harelabben 16. I że w ciągu dnia zapadnie decyzja co do sposobu zareagowania na fakt, że Harry ukrył, iż był w mieszkaniu Anny Bethsen tego wieczoru, gdy zginęła. Harry przypomniał, że ewentualne rozpatrywanie tej sprawy będzie oczywiście musiało się wiązać z napomknieniem o umowie, jaką komendant okręgowy i Molier zawarli z Harrym na temat elastycznych pełnomocnictw

udzielonych mu w związku z poszukiwaniem Ekspedytora, i pobłogosławieniu przez nich wyjazdu do Brazylii bez informowania o tym władz brazylijskich.

Bjarne Molier uśmiechnął się wtedy krzywo i odparł, że najprawdopodobniej śledztwo w tej sprawie okaże się zbędne i nie będzie żadnych reakcji.

Na klatce było cicho. Harry zerwał zabezpieczenia policyjne z drzwi swojego mieszkania. Wybitą szybę w drzwiach zastąpiono płytą wiórową.

Stanął i rozejrzał się po salonie. Weber wyjaśnił, że przed rozpoczęciem przeszukania zrobili zdjęcia, więc wszystko zostało odstawione dokładnie na swoje miejsce. Mimo to Harry nie zdołał pozbyć się uczucia, że obce ręce i oczy pozostawiły ślady. Nie chodziło o to, że znajdowało się tu coś, co nie powinno ujrzeć światła dziennego. Ot, kilka pełnych uniesienia, ale starych listów miłosnych, otwarta paczka prezerwatyw z pewnością przeterminowanych i koperta ze zdjęciami zwłok Ellen Gjelten, których przechowywanie w domu mogło zostać uznane za perwersję. Oprócz tego dwa czasopisma pornograficzne, płyta Bonnie Tyler i książka Suzanne Brogger.

Długo wpatrywał się w mrugające czerwone światełko automatycznej sekretarki, zanim wreszcie nacisnął guzik. Obcy pokój wypełnił znajomy chłopięcy głosik. „Cześć, to my. Dzisiaj był wyrok. Mama płacze i dlatego chciała, żebym to ja ci powiedział”.

Harry nabrał powietrza, żeby się przygotować.

„Wracamy do domu jutro”.

Harry wstrzymał oddech. Dobrze usłyszał? Wracamy do domu? My?

„Wygraliśmy. Żałuj, żeś nie widział gęby tych adwokatów taty. Mama mówiła, że wszyscy uważali, że przegramy. Mamo, chcesz... Nie, ona tylko płacze. Teraz idziemy uczcić to do McDonalda. Mam cię zapytać, czy po nas wyjdiesz. Cześć”

Usłyszał jeszcze oddech Olega w słuchawce i odgłosy wycierania nosa, a potem śmiech. I znów głos Olega, już cichszy. „Fajnie by było, gdybyś po nas wyszedł, Harry”.

Harry osunął się na krzesło. Coś wielkiego nagle rozerwało mu pierś i z oczu trysnęły łzy.

Część szósta

41 C#MN

Niebo było bezchmurne, ale wiatr nieprzyjemny, a blade słońce nie dawało ciepła. Harry i Aune mocno przytrzymywali poły kurtek, idąc blisko siebie brzożową aleją, która rozebrała się już na zimę.

- Opowiadałem żonie, z jaką radością mówiłeś, że Rakel i Oleg wrócili już do domu - powiedział Aune. - Spytała, czy to oznacza, że wkrótce wyprowadzisz się od siebie i zamieszkacie razem.

Harry w odpowiedzi tylko się uśmiechnął.

- Ona w każdym razie ma dość miejsca u siebie w domu - naciskał go dalej Aune.

- Owszem w domu miejsca jest dość - przyznał Harry. - Przekaż ode mnie pozdrowienia swojej Karolinie, razem z tym cytatem z Oli Bauera.

- „Przeniosłem się na ulicę Beztroską”?

- „Ale to też nie pomogło”. Roześmiali się.

- Poza wszystkim najbardziej zajmuje mnie w tej chwili ta sprawa - powiedział Harry.

- Sprawa, no tak - zamyślił się Aune. - Czytałem wszystkie raporty, tak jak mnie o to prosiłeś. Zdziwiający. Naprawdę zdziwiający. Budzisz się u siebie w domu, nic nie pamiętasz, ale pstryk, nagle zostajesz wciągnięty w grę tego Alfa Gunneruda. Oczywiście trudno jest wysnuwać jakąkolwiek diagnozę psychologiczną *post mortem*, ale to doprawdy interesujący przypadek. Bez wątplenia bardzo inteligentny i twórczy człowiek, wręcz artysta. Ten plan to przecież majstersztyk. Ale parę rzeczy mnie zastanawia. Czytałem kopie tych maili, które do ciebie wysłał. Od początku zakładał, że miałeś blackout. To musi oznaczać, że widział, jak wychodzisz z tego mieszkania pijany, i uznał, że na drugi dzień nie będziesz nic pamiętał. - Często tak bywa, kiedy trzeba komuś pomóc wsiąść do taksówki. Sądzę, że stał na ulicy i szpiegował. Dokładnie tak, jak opisał to w mailu. Dlatego uznałem, że to był Arne Albu. Prawdopodobnie miał kontakt z Anną i wiedział, że miałem do niej przyjść tamtego wieczoru. A fakt, że wyszedłem do tego stopnia pijany, to bonus, na który zapewne nie liczył.

- Potem otworzył sobie drzwi do jej mieszkania kluczem, który sam zdobył od producenta za pośrednictwem „Ślusarza”. I ją zastrzelił. Własną bronią?

- Najprawdopodobniej. Numer seryjny był zeszlifowany. Tak samo jak na broni, którą znaleźliśmy przy Gunnerudzie w Magazynie Portowym. Weber mówi, że sposób szlifowania wskazuje na broń pochodzącą od tego samego dostawcy. Ktoś najwyraźniej prowadzi nielegalny import broni na wielką skalę. Ten glock, którego znaleźliśmy u Sverrego Olsena, tego, który zabił Ellen, miał takie same ślady szlifowania.

- Włożył jej więc pistolet do prawej ręki, chociaż ona było leworęczna.

- Przynęta - stwierdził Harry. - Oczywiście wiedział, że ja w jakimś momencie zaangażuję się w tę sprawę, jeśli nie z innych powodów, to choćby po to, by mieć pewność, że nie zostanę w nią zamieszany w kompromitujący sposób. I że w przeciwieństwie do śledczych, którzy jej nie znali, zauważę ten błąd z ręką.

- No i jeszcze to zdjęcie pani Albu i dzieci...

- Które miało mnie doprowadzić do Arnego Albu i jej ostatniego kochanka.

- A przed wyjściem zabrał laptop Anny i twój telefon komórkowy, który zgubiłeś w jej mieszkaniu w którymś momencie wieczoru.

- Kolejny nieoczekiwany bonus.

- A więc ten mózg zdołał z góry ułożyć zawiły i szczelny plan zranienia zarówno niewiernej kochanki, mężczyzny, z którym go zdradziła w czasie, gdy siedział w więzieniu, i jej starego-nowego kochanka - jasnowłosego policjanta. Ale zaczyna też improwizować. Kolejny raz wykorzystuje fakt, że pracuje w „Ślusarzu”, by zdobyć klucz do twojego mieszkania i do piwnicy. Tam umieszcza laptopa Anny i podłącza do niego twój telefon komórkowy, na który zamówił anonimowy abonament poczty elektronicznej za pośrednictwem serwera niedającego się zidentyfikować.

- Prawie.

- No tak. Ten twój spec od komputerów w końcu go odszukał, ale nie zorientował się, że maile, które dostawałeś, zostały napisane wcześniej i były wysyłane w określone uprzednio dni z komputera w twojej piwnicy. Innymi słowy, że nadawca wszystko przygotował, jeszcze zanim umieścił u ciebie komputer i komórkę. Mam rację?

- Mhm. Przyjrzałeś się tym mailom, jak cię prosiłem?

- Oczywiście. Gdy czyta się je już po wszystkim, widać, że wprawdzie przewidują pewien bieg wydarzeń, lecz jednocześnie są niejasne. Tego się jednak, naturalnie, nie widzi, gdy tkwi się w tym po same uszy. Wtedy wydaje się, że ten człowiek ma pełną wiedzę o wszystkim i cały czas jest na łączach. Oczywiście mógł to osiągnąć, gdyż to on pod wieloma względami dyrygował wydarzeniami.

- No cóż, nie wiemy jeszcze, czy to Gunnerud wyreżyserował zabójstwo Arnego Albu. Jeden z jego kolegów ze „Ślusarza” twierdzi, że w przypuszczalnym czasie zabójstwa siedział razem z Gunnerudem w Starym Majorze i pili piwo.

Aune zatarł dłonie. Harry nie wiedział, czy to z powodu zimnego wiatru, czy też tak cieszył się z wielu logicznych zagadek i ich rozmaitych rozwiązań.

- Załóżmy, że to nie Gunnerud zabił Albu - powiedział psycholog. - Jaki inny los mógł dla niego zaplanować, skoro chciał cię na niego naprowadzić? Chciał, aby Albu został skazany? Ale wtedy ty musiałbyś ująć wolno. I odwrotnie. Dwóch ludzi nie można skazać za jedno i to samo zabójstwo.

- To prawda - powiedział Harry. - Trzeba zadać sobie pytanie, co było najważniejsze w życiu Arnego Albu.

- Doskonale - potwierdził Aune. - Ojciec rodziny, który dobrowolnie lub pod przymusem, ale zrezygnował z zawodowych ambicji. Wobec tego, rodzina, jak przypuszczam.

- A co osiągnął Gunnerud ujawniając, a raczej każąc mi ujawnić, że Arne Albu wciąż spotykał się z Anną?

- Ze żona odeszła od niego, zabierając dzieci:

- „Bo najgorszą krzywdą, jaką można wyrządzić człowiekowi nie jest wcale odebranie mu życia, tylko tego, po co żyje”.

- Dobry cytat. - Aune z uznaniem kiwnął głową. - Kto to powiedział?- Nie pamiętam.

- Ale następne pytanie, jakie trzeba sobie zadać brzmi: Co on chciał odebrać tobie, Harry? Co sprawia, że uważasz, że warto żyć?

Doszli do kamienicy Anny. Harry długo mocował się z kluczem.

- I jak? - spytał Aune.

- Gunnerud znał mnie zapewne jedynie z opowiadań Anny. A ona z kolei знаła mnie z okresu, kiedy nie miałem... no, w zasadzie nic innego oprócz pracy.

- Pracy?

- Chciał, żeby mnie zamknęli. Ale przede wszystkim, żeby mnie wyrzucili z policji.

Wchodząc po schodach, nie rozmawiali.

W mieszkaniu Weber i jego ludzie kończyli oględziny. Technik był zadowolony, znalazł odciski palców Gunneruda w wielu miejscach, między innymi na oparciu łóżka.

- Nie był zbyt ostrożny - stwierdził.

- Bywał tu wcześniej tyle razy, że w końcu znaleźlibyście jakieś odciski palców. Poza tym miał pewność, że na niego podejrzenia nigdy nie padną.

- A tak w ogóle to Albu został zabity w bardzo interesujący sposób - dodał Aune, gdy Harry otwierał przesuwane drzwi do pokoju z portretami i lampą Grimmera. - Zakopany głową do dołu. Na brzegu morza. Wygląda to na rytualne zabójstwo, jak gdyby morderca chciał nam powiedzieć coś o sobie. Nie zastanowiło cię to?

- Nie biorę udziału w tej sprawie.

- Nie o to cię pytałem.

- No cóż, może morderca chciał raczej powiedzieć coś o ofierze.

- O czym ty mówisz?

Harry zapalił lampę Grimmera i światło padło na trzy obrazy.

- Przypomniało mi się coś, czego dowiedziałem się, gdy studiowałem prawo. W prawie ustanowionym przez Gulating około roku tysiąc setnego napisano, że każdy człowiek,

który umiera, ma spocząć w poświęconej ziemi, z wyjątkiem niegodziwców, zdrajców króla i morderców. Tych należy pogrzebać na brzegu morza, tam gdzie stykają się ze sobą morską wodą i zielony torf. Miejsce, w którym został pogrzebany Albu, nie wskazuje na zabójstwo z zazdrości, jakim byłoby, gdyby to Gunnerud go zabił. Ktoś chciał pokazać, że Arne Albu to przestępca.

- Interesujące - stwierdził Aune. - Dlaczego znów mamy oglądać te obrazy? Są okropne.

- Naprawdę jesteś pewien, że nic w nich nie dostrzegasz?

- Owszem, pretensjonalną młodą artystkę, z przesadnym uwielbieniem dla dramatyzmu i kompletnie bez wyczucia w kwestiach malarstwa.

- Mam koleżankę, która nazywa się Beatę Lonn. Nie mogła tu dzisiaj przyjść, pojechała na konferencję do Niemiec, na której ma opowiadać, w jaki sposób można zidentyfikować zamaskowanych przestępców przy niewielkiej pomocy komputerowej obróbki zdjęć i wykorzystaniu *gyrus fusiformus*. Urodziła się ze specjalnym talentem, rozpoznaje wszystkie twarze, które raz w życiu widziała.

- Słyszałem o takich przypadkach, owszem.

- Gdy jej pokazałem te obrazy, rozpoznała osoby na portretach.

- Tak? - Aune uniósł brew. - Opowiadaj. Harry pokazał palcem.

- Z lewej strony jest Arne Albu, pośrodku ja, a ostatni to Alf Gunnerud.

Aune zmrużył oczy, poprawił okulary i spróbował spojrzeć na obrazy z innej odległości.

- Interesujące - mruknął znów. - Bardzo interesujące. Ja dostrzegam jedynie zarys głów.

- Chciałem się tylko dowiedzieć, czy ty jako biegły sądowy zaświadczysz, że takie rozpoznanie jest możliwe. To pomogłoby nam powiązać Gunneruda jeszcze mocniej z Anną.

Aune machnął ręką.

- Jeśli mówisz prawdę o panie Lonn, to może ona rozpoznać twarz, mając do dyspozycji zaledwie minimum informacji.

Kiedy znów znaleźli się na dworze, Aune powiedział, że z ciekawości zawodowej bardzo chciałby spotkać się z tą Beatą Lonn.

- Bierze udział w śledztwach, przypuszczam?

- W Wydziale Napadów. To z nią współpracowałem w sprawie Ekspedytora.

- I jak wam poszło? - No cóż, śladów jest niewiele. Spodziewali się, że on uderzy jeszcze raz, ale tak się nie stało. Właściwie to dziwne.

Na Bogstadveien Harry zorientował się, że w powietrzu unoszą się pierwsze tej jesieni płatki śniegu.

- Zima! - zawołał Ali do Harry'ego z drugiej strony ulicy, wskazując na niebo. Powiedział coś w urdu do brata, który zaraz zastąpił go we wnoszeniu skrzynek z owocami do sklepu. Ali, szurając nogami, podszedł do Harry'ego. - Czy nie cudownie, że to się już skończyło? - rzucił z uśmiechem.

- Owszem - zgodził się Harry.

- Jesień jest okropna. Nareszcie trochę śniegu.

- A, o to ci chodzi. Myślałem, że masz na myśli sprawę.

- Tę z komputerem w twojej piwnicy? Też już się skończyła?

- Nikt ci o tym nic powiedział? Odnaleziono człowieka, który go tam umieścił.

- Ano właśnie. Pewnie dlatego moja żona dostała wiadomość, że nie muszę się stawiać dzisiaj na policji na przesłuchanie. O co właściwie w tym wszystkim chodziło?

- Krótko mówiąc, pewien facet chciał, by wyglądało na to, że jestem wmieszany w poważne przestępstwo. Zaprosiłeś mnie kiedyś na obiad, to poznacie szczegóły.

- Przecież już cię zapraszałem, Harry. Ale nie powiedziałeś kiedy.

Ali przewrócił oczami.

- Dlaczego wy zawsze musicie mieć wyznaczony dzień i godzinę, żeby przyjść do kogoś z wizytą? Zapukaj do drzwi, ja otworzę, jedzenia nigdy u nas nie brakuje.

- Dziękuję, Ali. Zapukam głośno i wyraźnie. - Harry już otwierał bramę.

- Dowiedzieliście się, kim była ta kobieta? Też maczała w tym palce?

- O czym ty mówisz?

- O nieznanym kobiecie, którą widziałem tamtego dnia przy drzwiach do piwnicy.

Mówiłem to temu Tomowi... jak mu tam?

Harry znieruchomiał z ręką na kłamce.

- Co dokładnie mu powiedziałeś, Ali?

- Spytał, czy nie zauważyłem czegoś niezwykłego w piwnicy czy w jej pobliżu, a mnie się wtedy przypomniało, że kiedy wszedłem na klatkę, zobaczyłem jakąś obcą kobietę, która stała przy drzwiach do piwnicy, odwrócona do mnie plecami. Zapamiętałem to, bo chciałem zapytać, kim jest, ale usłyszałem, że zamek się otwiera, więc pomyślałem, że skoro ma klucz, to chyba wszystko w porządku.

- Kiedy to było i jak ona wyglądała? Ali z żalem rozłożył ręce.

- Spieszyło mi się i tylko przez moment widziałem jej plecy. A kiedy to mogło być? Trzy tygodnie temu, pięć... Jasne włosy? Ciemne? Nie mam pojęcia.

- Ale jesteś pewien, że to była kobieta?
- W każdym razie tak pomyślałem.
- Alf Gunnerud był średniego wzrostu, miał wąskie barki i półdługie ciemne włosy.

Czy mogłeś przez to pomyśleć, że jest kobietą?

Ali namyślał się.

- Tak. Oczywiście mogło tak być. Mogła to być również córka pani Melkersen, która przysłała z wizytą. Na przykład.

- Trzymaj się, Ali.

Harry postanowił wziąć szybki prysznic, zanim się przebierze i pojedzie do Rakel i Olega, którzy zaprosili go na naleśniki i Tetris. Rakel z Moskwy przywiozła prześliczne szachy z rzeźbionymi figurami i szachownicą z drewna i macicy perłowej. Niestety, nie spodobał jej się pistolet Namco G-Con 45, który Harry kupił Olegowi, i natychmiast go skonfiskowała, przypominając, że w jasny sposób zabroniła Olegowi bawić się zabawkami wyglądającymi jak broń strzelecka, dopóki nie skończy dwunastu lat. Harry i Oleg, obaj nieco zawstydzeni, zaakceptowali to bez dyskusji. Ale obaj mieli świadomość, że Rakel, wiedząc, że Harry zostanie z Olegiem, skorzysta z okazji i pójdzie pobiegać. Oleg zdążył już szepnąć Harry'emu, że wie, gdzie matka schowała prezent.

Wrzące strumienie prysznicza wypędały chłód z ciała, Harry starał się zapomnieć o tym, co powiedział mu Ali. W każdej sprawie pozostanie miejsce na wątpliwości, bez względu na to, jak oczywista może się wydawać. Harry był wprawdzie od urodzenia niewiernym Tomaszem, ale w jakimś momencie trzeba zacząć w coś wierzyć, jeśli życie w ogóle ma mieć jakieś kontury, jakiś sens.

Wytarł się, ogolił i włożył czystą koszulę. Przejrzał się w lustrze i wyszczerzył zęby. Oleg mu powiedział, że ma żółte zęby, a Rakel śmiała się wtedy trochę za głośno. W lustrze zobaczył również wydruk z pierwszego maila od C#MN, wciąż przymocowany do przeciwległej ściany. Jutro go zerwie i przyklei z powrotem zdjęcie swoje i Sio. Jutro. Przyglądał się mailowi w lustrze. Dziwne, że nie zauważył tego tamtego wieczoru, gdy stał przed lustrem i poczuł, że czegoś tu brakuje. Brakowało Harry'ego i jego młodszej siostry. Pewnie dlatego, że gdy patrzy się na te same rzeczy tyle razy, człowiek w pewnym sensie robi się na nie ślepy. Ślepy. Znow popatrzył na maila w lustrze. Potem zamówił taksówkę, włożył buty i czekał. Spojrzał na zegarek. Taksówka na pewno już przyjechała. Trzeba iść. Nagle zorientował się, że podniósł słuchawkę telefonu i wybiera numer.

- Słucham, Aune.

- Chciałbym, żebyś przeczytał te maile jeszcze raz. I powiedział mi, czy twoim

zdaniem zostały napisane przez mężczyznę, czy przez kobietę.

42 DŹS

Śnieg stopniał tej samej nocy. Astrid Monsen właśnie wyszła z kamienicy i wędrowała po mokrym czarnym asfalcie w stronę Bogstadveien, gdy ujrzała jasnowłosego policjanta na chodniku po drugiej stronie ulicy. Częstotliwość jej kroków i puls gwałtownie przyspieszyły. Wpatrywała się sztywno przed siebie z nadzieją, że jej nie zauważy. W gazetach były zdjęcia Alfa Gunneruda, a policjanci całymi dniami tupali w górę i w dół po schodach, zakłócając jej spokój niezbędny do pracy. Ale teraz to już minęło, przekonywała siebie.

Pospieszyła ku przejściu dla pieszych. Cukiernia, „Piekarz Hansen”. Byleby tam doszła, a będzie uratowana. Filiżanka herbaty i pączek przy stoliku najdalej w głębi lokalkiszki. Co dzień dokładnie o pół do jedenastej.

„Herbata i pączek?”, „Tak, poproszę”, „Razem trzydzieści osiem koron”, „Proszę”, „Dziękuję”.

Na ogół była to najdłuższa konwersacja, jaką z kimś odbywała w ciągu dnia.

W ostatnich tygodniach zdarzało się, że gdy przychodziła, okazywało się, że pewien starszy pan zajął jej stolik, i choć było wiele innych wolnych stolików, ona mogła siedzieć przy tym jednym, ponieważ... Nie, nie chciała teraz o tym myśleć. W każdym razie została zmuszona do przychodzenia kwadrans po dziesiątej, by jako pierwsza zająć swoje stałe miejsce. Pomyślała, że akurat dzisiaj dobrze się złożyło, gdyż inaczej byłaby w domu, gdyby on zadzwonił. A wtedy musiałaby mu otworzyć, bo tak obiecała matce. Po tamtym razie, kiedy nie odbierała telefonów ani nie otwierała nikomu drzwi przez dwa miesiące, aż wreszcie przysłała policja, matka zagroziła, że znów umieści ją w szpitalu.

Nie mogła kłamać matce.

Innym, tak, innych okłamywała nieustannie. Kłamała podczas rozmów telefonicznych z wydawnictwem, w sklepach i na czacie w Internecie. Zwłaszcza tam. Tam mogła udawać, że jest kimś innym. Jedną z postaci z książek, które tłumaczyła. Albo Ramonę, dekadencją i rozwiązała, lecz nieznaną strachu kobietą, którą była w poprzednim życiu. Astrid odkryła Ramonę, jeszcze będąc dzieckiem. Ramona była tancerką, miała długie czarne włosy i brązowe oczy w kształcie migdałów. Astrid bardzo często rysowała Ramonę, zwłaszcza jej oczy, ale musiała to robić ukradkiem, bo matka darła rysunki, mówiąc, że nie chce widzieć takich rozpustnic pod swoim dachem. Ramona zniknęła na wiele lat, lecz w końcu powróciła. Ostatnio Astrid zauważyła, że Ramona coraz częściej ją zastępuje, zwłaszcza przy pisaniu

listów do autorów, których książki tłumaczyła. Po wstępnych pytaniach dotyczących języka i ustalaniu źródeł, chętnie wysyłała mniej formalne maile, a po paru z nich francuscy pisarze uporczywie domagali się spotkania, na przykład, gdy przyjeżdżali do Oslo, by promować książkę. Ale samo spotkanie z nią również mogło stanowić powód przyjazdu. Zawsze odmawiała, ale to nie działało odstrasżająco na pełnych zapału zalotników, raczej przeciwnie. Właśnie w takich listach realizowała swe pisarskie powołanie, odkąd wiele lat temu ze snu i marzeń o wydawaniu własnych książek zbudził ją pewien redaktor, który nie wytrzymał i przez telefon oświadczył, że nie jest w stanie dłużej znosić jej histerycznej grafomanii, że żaden czytelnik nigdy nie zechce zapłacić za jej przemyślenia, lecz być może mógłby się nimi zająć psycholog, ale za odpowiednią opłatą. - Astrid Monsen!

Poczula skurcz w gardle i przez moment ogarnęła ją panika. Nie może mieć kłopotów z oddychaniem tu, na ulicy. Już miała przejść na drugą stronę, kiedy światło się zmieniło na czerwone. Zdażyłaby przejść przed samochodami, ale nigdy nie przechodziła na czerwonym świetle.

- Dzień dobry, akurat szedłem do pani. - Harry Hole stanął przy niej. Wciąż miał na twarzy ten sam wyraz ściganego zwierzęcia, takie same czerwone oczy. - Tylko najpierw jeszcze pani powiem, że czytałem raporty Waalera z rozmowy z panią. I rozumiem, że pani kłamała podczas spotkań ze mną, ponieważ się pani bała.

Astrid czuła, że zaraz zemdleje.

- Bardzo niemądre z mojej strony było niewyjaśnienie pani od razu wszystkiego o mojej roli w tej sprawie - oświadczył ten policjant.

Spojrzała na niego zdziwiona, w jego głosie dał się słyszeć naprawdę szczery żal.

- A ja czytałam w gazecie, że winny wreszcie został ujęty - usłyszała własne słowa.

Stali, patrząc na siebie.

- Albo nie żyje - dodała cicho.

- No cóż - odparł, próbując się uśmiechnąć. - Może jednak mogłaby mi pani pomóc i odpowiedzieć na kilka pytań.

Po raz pierwszy nie siedziała przy stoliku w „Piekarzu Hansenie” sama. Dziewczyna za ladą popatrzyła na nią z wymownym przyjacielskim uśmiechem, jak gdyby mężczyzna, który jej towarzyszył, był jej kawalerem. A ponieważ wyglądał tak, jakby dopiero wstał z łóżka, może dziewczyna pomyślała sobie nawet, że... Nie, nie chciała się w to teraz zagłębiać.

Usiedli, a on podał jej wydruki z kilku maili, chciał, żeby się im przyjrzała. Czy ona, jako pisarka, jest w stanie się zorientować, czy zostały napisane przez mężczyznę, czy kobietę? Popatrzyła na nie. On powiedział „pisarka”. Czy powinna wyznaczyć mu prawdę?

Podniosła filiżankę z herbatą, żeby ukryć uśmiech. Oczywiście, że nie. Będzie kłamać.

- Trudno stwierdzić - odparła. - To fikcja literacka?

- I tak, i nie - odparł Harry. - Sądzymy, że napisał to człowiek, który zabił Annę Bethsen.

- Czyli mężczyzna.

Harry popatrzył w stolik, a ona przelotnie na niego zerknęła. Choć brzmiało to nieprawdopodobnie, zauważyła to od razu, gdy tylko zobaczyła go leżącego na klatce pod jej drzwiami. Może dlatego, że wypła o jedno cointreau więcej niż zwykle, ale wydał jej się taki spokojny, niemal piękny, gdy tak leżał, niczym uspiony książkę, którego ktoś zostawił pod jej drzwiami. Zawartość kieszeni rozsypała się na schodach. Zebrała wszystko po kolei. Zajrzała nawet do portfela. Znalazła jego nazwisko i adres.

Harry podniósł wzrok, więc Astrid czym prędzej spojrzała w inną stronę. Czy mógłby się jej spodobać? Z pewnością. Problem w tym, że ona z pewnością nie spodobałaby się jemu. Lęk bez powodów. Napady płaczu. On nie chciał nikogo takiego. Chciał kogoś jak Anna Bethsen. Albo jak Ramona.

- Jest pani pewna, że jej pani nie widziała? - spytał powoli. Popatrzyła na niego przerażona. Dopiero teraz zorientowała się, że podsunął jej zdjęcie. Pokazywał je już wcześniej. Kobieta i dwoje dzieci na plaży.

- Na przykład w noc, kiedy dokonano morderstwa - podsunął.

- Nie widziałam jej nigdy w życiu - odparła Astrid Monsen zdecydowanym głosem.

Znow zaczął padać śnieg. Duże mokre płatki szarzały, jeszcze zanim opadły na brunatny skrawek ziemi między Budynkiem Policji a więzieniem. W pokoju czekała wiadomość od Webera. Potwierdziła podejrzenia Harry'ego. Te same, które kazały mu spojrzeć na maile w inny sposób. Lecz mimo wszystko krótka i zwięzła informacja Webera była szokiem. Swego rodzaju spodziewanym szokiem.

Resztę dnia Harry spędził na telefonowaniu i bieganiu do faksu. W przerwach myślał, kładł kamień na kamieniu i starał się nie koncentrować na tym, czego szuka. Ale to się stawało zbyt wyraźne. Ta kolejka górską mogła się wznosić, opadać i obracać, ile tylko chciała, lecz i tak powracała do punktu wyjścia. Kiedy już skończył i większość znaków zapytania stała się dla niego jasna, usiadł na krześle i odchylił się do tyłu. Nie czuł triumfu, jedynie pustkę.

Rakel o nic nie pytała, kiedy zadzwonił i poprosił, by na niego nie czekała. Potem poszedł schodami na górę do kantyny, wyszedł na taras, gdzie paru palaczy trzęsło się z zimna. We wcześnie zapadającym popołudniowym zmierzchu w dole rozbłysły już światła

miasta. Harry zapalił papierosa. Przeciągnął ręką wzdłuż krawędzi muru i ulepił śnieżkę. Ubijał ją mocno, ścisnął w dłoniach, aż woda z roztopionego śniegu wypływała między palcami. Potem rzucił ją na trawnik. Wzrokiem śledził lot lśniącej kuli, patrzył, jak spada coraz szybciej i szybciej, aż zniknęła w szarobiałym tle.

- Był w mojej klasie chłopak, który miał na imię Ludvig Alexander - powiedział Harry głośno.

Palacze przytupujący nogami popatrzyli na komisarza.

- Grał na pianinie, przeżywałem go Dis, dlatego że raz na lekcji muzyki był na tle głupi, że powiedział nauczycielce, że dis to ten rodzaj dźwięku, który lubi najbardziej. Kiedy spadł śnieg, na każdej przerwie bawiliśmy się śnieżkami. Dis nie chciał brać w tym udziału, ale go zmuszaliśmy. Była to jedyna zabawa, w której pozwalaliśmy mu uczestniczyć. Jako mięso armatnie. On sam rzucał tak niecelnie, że aż głupio było patrzeć. Do innej klasy chodził Roar, gruby chłopak, który grał w piłkę ręczną na Oppsal. Rzucał śnieżkami Disowi w głowę dla zabawy, a potem doprawiał ciosami przedramion, tak że Dis był cały siny. Ale pewnego dnia Dis włożył do śnieżki wielki kamień i rzucił nim tak wysoko jak potrafił. Roar ze śmiechem podskoczył, żeby odbić główką. Rozległ się taki dźwięk jak wtedy, gdy kamień uderza o kamień w płytkiej wodzie, twardy i miękki jednocześnie. Tylko ten jeden jedyny raz widziałem na podwórzu szkolnym karetkę.

Harry mocno zaciągnął się papierosem.

- W pokoju nauczycielskim przez wiele dni dyskutowano, czy Disa należy ukarać. On przecież nie rzucił tą śnieżką w nikogo, więc pozostawało pytanie, czy należy go ukarać za to, że jakiś idiota zachował się jak idiota.

Harry zgasił papierosa i wyszedł.

Minęło pół do czwartej. Przenikliwy wiatr nabierał prędkości na otwartym odcinku między rzeką Aker a stacją kolejki podziemnej przy Gronlands torg, gdzie klientelę składającą się z uczniów i emerytów zastępowali teraz kobiety i mężczyźni o zamkniętych twarzach, w krawatach, spieszący do domów z biur. Harry wpadł na jednego z nich, kiedy zbiegał po schodach, i usłyszał rzucone za plecami przekleństwo, które aż zadudniło wśród ścian. Zatrzymał się przy okienku koło toalet, siedziała tam ta sama starsza kobieta co poprzednio.

- Muszę natychmiast porozmawiać z Simonem. Popatrzyła na niego spokojnymi brązowymi oczami.

- Nie ma go na Toyen - powiedział. - Wszyscy zniknęli. Kobieta zdziwiona wzruszyła ramionami.

- Niech pani przekaże, że Harry chce się z nim skontaktować. Pokręciła głową i machnięciem ręki dała mu znak, żeby sobie poszedł.

Harry nachylił się nad rozdzielającą ich szybą.

- Niech pani powie, że przyszedł *spiuni gjerman*.

Simon wybrał drogę wzdłuż Enebakkveien zamiast długiego tunelu Ekeberg.

- Nie lubię tuneli, wiesz - wyjaśnił, gdy w ślimaczym tempie wlekli się w górę w popołudniowych korkach.

- A więc ci dwaj bracia, którzy uciekli do Norwegii i dorastali razem w przyczepie kempingowej, stali się wrogami, bo zakochali się w tej samej dziewczynie? - spytał Harry.

- Maria pochodziła z bardzo szanowanej rodziny ze szczepu Lowari, mieszkała w Szwecji, jej ojciec był *bulibašem*. Poślubiła Stefana i przeniosła się do Oslo, kiedy miała zaledwie trzynaście lat, a on osiemnaście. Stefan był w niej śmiertelnie zakochany. Akurat wtedy Raskol ukrywał się w Rosji, wiesz. Ale nie przed policją, tylko przed pewnymi Albańczykami z Kosowa, mieszkającymi w Niemczech, którzy uważali, że ich oszukał w interesach.

- W interesach?

- Znaleźli pustego tira na autostradzie koło Hamburga - uśmiechnął się Simon.

- Ale Raskol wrócił? - Pewnego pięknego majowego dnia nagle zjawił się na Toyen. Wtedy właśnie po raz pierwszy zobaczyli się z Marią. - Simon śmiał się głośno. - Boże, jak oni na siebie patrzyli! Musiałem aż zerknąć w niebo, żeby sprawdzić, czy nie nadciąga burza, bo powietrze tak mocno było naładowane.

- Zakochali się w sobie?

- W jednej chwili. I to na oczach wszystkich. Parę kobiet aż się zawstydzilo.

- Ale skoro to było tak wyraźne, krewni chyba jakoś zareagowali?

- Nie przypuszczali, że to może być groźne. Pamiętaj, że my zawieramy małżeństwa znacznie wcześniej niż wy. Młodości nie da się powstrzymać. Pokochali się. Trzynaście lat, możesz to sobie wyobrazić?

- Mogę. - Harry roztarł kark.

- Ale sprawa okazała się poważna, wiesz. Ona była żoną Stefana, ale Raskola pokochała od pierwszego wejrzenia. I chociaż Maria i Stefan mieszkali w swoim wozie, to spotykała się z Raskolem, który stale tam przychodził. No i stało się to, co musiało się stać. Kiedy Anna się urodziła, tylko Stefan i Raskol nie rozumieli, że to Raskol jest jej ojcem.

- Biedna dziewczyna.

- I biedny Raskol. Jedyłą szczęśliwą osobą był Stefan. Puszył się tak, jakby miał trzy

metry wzrostu, wiesz. Powtarzał, że Anna jest równie śliczna jak jej tata. - Simon uśmiechnął się smutno. - Może by i mogło tak trwać dalej, gdyby nie to, że Stefan i Raskol postanowili obrobić bank.

- I nie udało się?

Korek dotarł do Ryenkryset.

- Było ich trzech. Stefan najstarszy, więc wchodził jako pierwszy i wychodził ostatni. Gdy dwaj pozostali wybiegli z pieniędzmi po samochód, którym mieli uciekać, Stefan został w banku z pistoletem, żeby nikt nie włączył alarmu. Byli amatorami. Nie mieli pojęcia, że w banku jest alarm, który działa bezgłośnie. Kiedy podjechali po Stefana, leżał na masce radiowozu, a policjant zakuwał go w kajdanki. Samochód prowadził Raskol, miał dopiero siedemnaście lat, bez prawa jazdy. Opuścił okno, z trzystoma tysiącami na tylnym siedzeniu podjechał wolno do radiowozu, na którym rzucał się jego brat. Raskol i ten policjant nawiązali kontakt wzrokowy. Boże, powietrze tak zgęstniało jak wtedy, gdy poznał Marię. Patrzyli sobie w oczy przez całe wieki. Bałem się, że Raskol zacznie krzyczeć, ale nie odezwał się ani słowem. Pojechał dalej. Widzieli się wtedy po raz pierwszy.

- Raskol i Jorgen Lonn?

Simon kiwnął głową. Zjechali z ronda w Ryensvingen. Przy stacji benzynowej Simon zahamował, mrugnął światłami, zatrzymali się przed dwunastopiętrowym budynkiem. Obok świecił nad wejściem niebieski neon z logo banku DnB.

- Stefan dostał cztery lata za to, że strzelił w sufit - ciągnął Simon. - Ale po zapadnięciu wyroku wydarzyło się coś dziwnego. Raskol odwiedził Stefana w więzieniu, a następnego dnia jeden z funkcjonariuszy więziennych stwierdził, że ten nowy więzień jakby zmienił wygląd. Jego szef powiedział, że to zwyczajna rzecz w przypadku tych, którzy siedzą pierwszy raz. Opowiadał o kobietach, które nie poznawały własnych mężów, gdy przychodziły z pierwszą wizytą. Strażnika to uspokoiło, ale kilka dni później do więzienia zadzwoniła kobieta, twierdząc, że trzymają nie tego więźnia, że miejsce Stefana Baxheta zajął jego młodszy brat, więc muszą go wypuścić.

- To rzeczywiście prawda? - spytał Harry, wyciągając zapalniczkę samochodową i przypalając nią papierosa.

- Oczywiście - odparł Simon. - U Cyganów na południu Europy to zwyczajna rzecz, że młodsze rodzeństwo albo synowie odsiadują kary za skazanego, jeśli ten ma na utrzymaniu rodzinę. A Stefan ją miał. To dla nas sprawa honoru, wiesz.

- Ale władze muszą jakoś zauważać takie pomyłki?

- E, tam - Simon machnął ręką. - Dla nich Cygan to Cygan, a jeśli nawet siedzi za coś,

czego nie zrobił, to na pewno zawinił w czym innym.

- Kto wtedy zadzwonił?

- Nigdy się tego nie dowiedzieli. Ale tej samej nocy Maria zniknęła. Nigdy więcej jej już nie widzieli. Policja odwiozła Raskola na Toyen w środku nocy, a Stefana rzucającego się i kopiącego zabrali siłą z wozu. Anna miała dwa latka. Leżała w łóżku, wzywając mamę, i nikt, ani kobiety, ani mężczyźni nie mogli jej uspokoić. Przestała płakać, dopiero kiedy przyszedł Raskol i wziął ją na ręce.

Wpatrywali się w wejście do banku. Harry patrzył na zegarek. Do zamknięcia pozostało zaledwie kilka minut. - I co się stało potem?

- Stefan po odsiedzeniu wyroku od razu wyjechał z kraju. Rozmawiałem z nim czasami przez telefon. Dużo jeździł.

- A Anna?

- Wychowywała się w przyczepie kempingowej, wiesz. Raskol posłał ją do szkoły. Miała przyjaciół *gadźów*, przejęła ich obyczaje. Nie chciała żyć jak my, chciała robić to, co jej przyjaciele. Decydować o sobie, zarabiać własne pieniądze i mieć własne mieszkanie. Ponieważ odziedziczyła mieszkanie po babce i przeniosła się na Sorgenfrigata, nie mieliśmy z nią do czynienia. Ona... No tak, sama zdecydowała, że się wyprowadza. Jedynym spośród nas, z którym utrzymywała jakiś kontakt, był Raskol.

- Twoim zdaniem wiedziała, że był jej ojcem? Simon wzruszył ramionami.

- O ile wiem, nikt nic nie powiedział, ale jestem pewien, że wiedziała. Siedzieli w milczeniu.

- To się stało tutaj - powiedział wreszcie Simon.

- Tuż przed zamknięciem? - spytał Harry. - Tak jak teraz?

- Nie zastrzeliliby Lonna, gdyby nie musiał - powiedział Simon. - Ale on robi to, co musi. To wojownik, no wiesz.

- Nie ma chichoczących konkubin.

- Ze co?

- Nic, nic. Gdzie jest teraz Stefan, Simon?

- Nie wiem.

Harry czekał. Widzieli, jak jeden z pracowników banku zamyka drzwi od środka. Harry dalej czekał.

- Kiedy ostatnio z nim rozmawiałem, dzwonił z pewnego miasta w Szwecji. Z Göteborga. Tylko tyle mogę ci pomóc.

- Nie mnie pomagasz.

- Wiem - westchnął Simon. - Wiem.

Harry odnalazł żółty dom na Vetlandsveien. Świeciło się na obu piętrach. Zaparkował, wysiadł i zapatrzył się na stację kolejki podziemnej. To tutaj zbierali się w pierwsze ciemne jesienne wieczory, żeby chodzić na jabłka. Siggen, Tore, Kristian, Torkild, Oystein i Harry. To był trzon ich bandy. Jeździli rowerami do Nordstrand, bo tam jabłka były większe, a szanse, że ktoś zna ich rodziców, mniejsze. Siggen pierwszy przełaził przez płot, a Oystein stał na czatach. Harry był najwyższy i dosięgał najładniejszych jabłek. Ale pewnego wieczoru nie chciało im się jechać tak daleko i wybrali się na jabłka w sąsiedztwie.

Harry patrzył na ogród po drugiej stronie drogi.

Napchali już kieszenie, gdy nagle zobaczyli jakąś twarz, wpatrującą się w nich z oświetlonego okna na piętrze. Bez słowa. To był Dis.

Harry otworzył furtkę i podszedł do drzwi. Na porcelanowej tabliczce nad dwoma dzwonekami widniał napis „Jorgen i Kristin Lonn”. Harry wcisnął górny guzik. Beatę odezwała się dopiero wtedy, gdy zadzwonił dwa razy.

Spytała, czy ma ochotę na herbatę, ale pokręcił głową. Zniknęła w kuchni w czasie, gdy on zdejmował buty w przedpokoju.

- Dlaczego nazwisko twego ojca wciąż jest na wizytówce? - spytał, gdy wróciła z jedną filiżanką. - Żeby obcy sądzili, że w domu mieszka mężczyzna?

Beatę wzruszyła ramionami i usiadła w głębokim fotelu.

- Po prostu nigdy nie przyszło nam do głowy, żeby coś z tym zrobić. Jego imię jest tam od tak dawna, że przestałyśmy je zauważać.

- Mhm. - Harry złożył dłonie. - W zasadzie właśnie o tym chciałem porozmawiać.

- O tabliczce na drzwiach?

- Nie, o dysosmii. O niemożności wywąchania zwłok.

- O czym ty mówisz?

- Stałem wczoraj w korytarzu i patrzyłem na pierwszy mail, który dostałem od mordercy Anny. Było z tym trochę tak, jak z waszą tabliczką. Zmysły zarejestrowały, ale mózg nie. Na tym właśnie polega dysosmia. Wydruk tego maila wisiał tam już od tak dawna, że przestałem go zauważać, tak samo jak moje zdjęcie z Sio. Kiedy zniknęło, zauważyłem jedynie, że coś się zmieniło, ale co dokładnie, nie wiedziałem. A wiesz dlaczego?

Beatę pokręciła głową.

- Bo nie wydarzyło się nic, co by sprawiło, żebym zaczął patrzeć na rzeczy w inny sposób. Widziałem po prostu to, co założyłem z góry. Ale wczoraj coś się wydarzyło. Ali wspomniał, że widział plecy nieznajomej kobiety przy drzwiach do piwnicy. Uświadomiłem

sobie wtedy, że do tej pory nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale przez cały czas uważałem, że Annę musiał zabić mężczyzna. Kiedy człowiek już popełni błąd i wyobrazi sobie, czego szuka, to nie widzi innych rzeczy, które znajduje. Właśnie to kazało mi spojrzeć na ten mail innymi oczami. Brwi Beatę ułożyły się w znak zapytania.

- Chcesz powiedzieć, że to nie Alf Gunnerud zabił Annę Bethsen?

- Wiesz, co to jest anagram? - spytał Harry.

- To taka zabawa słowna.

- Zabójca Anny pozostawił dla mnie *patrin*. Anagram. Ujrzałem go w lustrze. Ten mail był podpisany kobiecym imieniem. Zapisany lustrzanym pismem. Przesłałem więc maile Aunemu, który skontaktował się ze specjalistą psychologii kognitywnej języka. Zdarzało się, że ten ekspert na podstawie jednego zdania anonimowego listu z pogrózkami był w stanie określić płeć, wiek i region kraju, z którego pochodził nadawca. Tym razem stwierdził, że listy zostały napisane przez osobę liczącą od dwudziestu do siedemdziesięciu lat z dowolnego miejsca w kraju i dowolnej płci. Innymi słowy, niewiele mógł mi pomóc, oprócz tego, że stwierdził, iż najprawdopodobniej napisała je kobieta. Na podstawie jednego jedyne wyrażenia. Jest tam napisane „was, policjantów”, zamiast „was, z policji” czy „policja”. Powiedział, że nadawca mógł podświadomie użyć takiego określenia, aby zaznaczyć różnicę płci między sobą a odbiorcą.

Harry usiadł wygodniej. Beatę odstawiła filiżankę.

- Nie mogę powiedzieć, Harry, że jestem w pełni przekonana. Jakaś niezidentyfikowana kobieta na klatce, szyfr, który od tyłu daje kobiecie imię, i opinia psychologa, któremu wydaje się, że Alf Gunnerud wybrał raczej kobiece słowo.

- Mhm - pokiwał Harry głową. - Zgadza się. Postanowiłem ci po prostu najpierw wyjaśnić, co mnie naprowadziło na ten trop. Ale zanim ci powiem, kto zabił Annę, chciałem spytać, czy pomożesz mi odnaleźć pewną zaginioną osobę?

- Oczywiście. Ale dlaczego mnie o to prosisz? Zaginione osoby to nie jest...

- Właśnie, że tak - uśmiechnął się Harry ze smutkiem. - Zaginione osoby to twoja specjalność.

43 RAMONA

Harry zastał Vigdis Albu na plaży. Siedziała z rękami splecionymi wokół kolan, na tych samych skałach, na których on wtedy spał, i wpatrywała się w fiord. W porannej mgle słońce wyglądało jak blada kopia samego siebie. Gregor, machając ogonem, wybiegł

Harry'emu na spotkanie. Był odpływ, czuć było zapach wodorostów i ropy. Harry przysiadł na kamieniu za plecami Vigdis i wyjął papierosa.

- To pan go znalazł? - spytała, nie odwracając głowy. Harry zastanawiał się, od jak dawna na niego czeka.

- Wiele osób znalazło Arnego Albu - odparł. - Ja byłem jedną z nich. Odgarnęła kosmyk włosów, który tańczył jej przed twarzą na wietrze.

- Ja także. Ale to było dawno, bardzo dawno temu. Pan może mi nie wierzy, ale kiedyś go kochałam.

Harry zapalił zapalniczkę.

- Dlaczego miałbym nie wierzyć?

- Niech pan sobie wierzy, w co chce. Nie wszyscy ludzie są w stanie kochać. Nam - i im - tak się wydaje, ale tak nie jest. Uczą się mimiki, replik i kroków. To wszystko. Niektórzy z nich są tak dobrzy, że długo udaje im się nas oszukiwać. Dziwne jest nie to, że im się udaje, lecz że im się chce. Po co takie wysiłki, aby w zamian otrzymać uczucie, jakiego nawet nie znają? Rozumie pan to, panie policjancie?

Harry nie odpowiedział.

- Może po prostu się boją - stwierdziła i odwróciła się w jego stronę. - Boją się, że przejrzą się w lustrze i odkryją, że są kalekami.

- O kim pani mówi, pani Albu? Znów odwróciła się w stronę wody.

- A kto to wie? O Annie Bethsen. O Arnem. O sobie samej. Takiej, jaką się stałam.

Gregor lizał Harry'ego po rękę.

- Wiem, jak została zabita Anna Bethsen - powiedział Harry. Wpatrywał się plecy Vigdis Albu, lecz nie wychwycił żadnej reakcji. Papierosa zdołał przypalić za drugim razem.

- Wczoraj po południu otrzymałem z Wydziału Techniki Kryminalistycznej wynik analizy jednej z czterech szklanek, które stały na blacie w kuchni u Anny Bethsen. Były na niej moje odciski palców. Najwyraźniej piłem colę. A nigdy nie przyszłoby mi do głowy pić jednocześnie colę i wino. Jeden z kieliszków do wina był zresztą nieużywany. Interesujące natomiast było to, że w resztkach coli znaleziono ślady chlorowodoru morfiny, a mówiąc prościej - zwyczajnie morfiny. Pani wie, jak działają duże dawki, pani Albu?

Popatrzyła na niego. Wolno pokręciła głową.

- Nie? - powiedział Harry. - Utrata przytomności i pamięci dotyczącej wydarzeń z okresu działania narkotyku, a następnie po odzyskaniu świadomości silne mdłości i ból głowy. Innymi słowy, łatwo można to pomylić z pijaństwem. Dlatego tak jak rohypnol ten środek bywa często używany podczas gwałtów. I właśnie to się z nami stało: zostaliśmy

zgwałceni. Wszyscy. Prawda, pani Albu?

Jakaś mewa nad nimi zaśmiała się przeraźliwie.

- To znowu pan? - powiedziała Astrid Monsen, śmiejąc się nerwowo i wpuszczając go do mieszkania. Usiedli w kuchni. Zaczęła się po niej miotać, przygotowała herbatę, wystawiła ciasto kupione w „Piekarzu Hansenie” „na wypadek gdyby miała gości”. Harry mamrotał nieistotne uwagi o śniegu spadłym wczoraj, i o tym, jak świat, który, jak się zdawało, zawalił się wraz z wieżowcami pokazywanymi w telewizji, w rzeczywistości niewiele się zmienił. Dopiero, kiedy naląła herbaty i usiadła, spytał ją o opinię o Annie. Aż otworzyła usta ze zdziwienia.

- Pani jej nienawidziła, prawda?

W ciszy, która zapadła, wyraźnie było słycać elektroniczny sygnał, dobiegający z sąsiedniego pokoju.

- Nie, nie czułam do niej nienawiści. - Astrid ścisnęła w rękach olbrzymi kubek z zieloną herbatą. - Ona była po prostu... inna.

- Pod jakim względem inna?

- To życie, które wiodła, jej zachowanie, umiała być taka... taka... jaka chciała być.

- A to się pani nie podobało?

- Ja... nie wiem. Może i nie.

- A dlaczego?

Astrid Monsen patrzyła na niego długo. Uśmiech pojawiał się w jej oczach i znikał jak niezdecydowany motyl.

- Nie jest tak, jak pan myśli - powiedziała. - Zazdrościłam Annie. Podziwiałam ją. Były dni, gdy pragnęłam być nią. Ona była moim przeciwieństwem. Ja siedzę w domu, ona natomiast... - Jej spojrzenie powędrowało za okno. - Ona, można powiedzieć, rozbierała się do naga i wchodziła w życie. Przychodzili tu i odchodzili mężczyźni, których, jak wiedziała, nigdy nie dostanie, a mimo wszystko ich kochała. Nie umiała malować, ale wystawiała swoje obrazy, by reszta świata mogła się o tym przekonać na własne oczy. Rozmawiała ze wszystkimi, jak gdyby miała powód, by wierzyć, że jest lubiana przez wszystkich. Ze mną też rozmawiała. Były dni, gdy czułam, że Anna skradła tę osobę, która tak naprawdę była mną. Ze nie ma miejsca dla nas dwóch, muszę więc czekać na swoją kolej.

Znów się zaniosła charakterystycznym nerwowym śmiechem.

- I nagle umarła. A ja odkryłam wtedy, że wcale tak nie jest. Ja nie mogę być nią. Teraz nikt już nie może być nią. Czy to nie smutne? - Skierowała wzrok na Harry'ego. - Nie, nie czułam do niej nienawiści. Ja ją kochałam.

Harry czuł pulsowanie w karku.

- Czy może mi pani opowiedzieć, co się wydarzyło tamtego wieczoru, gdy znalazła mnie pani na korytarzu?

Uśmiech zapalał się i gasł niczym popsuta świetlówka, jak gdyby z jej oczu momentami wyglądała szczęśliwa osoba. Harry miał wrażenie, że wkrótce puści jakaś tama.

- Pan był brzydki - szepnęła. - Ale w jakiś sposób piękny. Harry zdziwiony uniośł brew.

- Mhm. Kiedy mnie pani podnosiła, czuła pani ode mnie alkohol? Sprawiała wrażenie zaskoczonej, jak gdyby dotychczas nie przeszło jej to przez myśl.

- Nie. Właściwie nie. Pan nie pachniał... niczym.

- Niczym?

Zarumieniła się głęboko.

- Niczym szczególnym.

- Czy ja coś zgubiłem na schodach?

- A co by to miało być?- Telefon komórkowy. I klucze.

- Jakie klucze?

- Na to pani musi mi odpowiedzieć. Pokręciła głową.

- Nie było żadnej komórki. A klucze włożyłam panu z powrotem do kieszeni. Dlaczego pan o to wszystko pyta?

- Ponieważ wiem już, kto zabił Annę. Chciałem tylko wcześniej jeszcze raz sprawdzić szczegóły.

44 PATRIN

Nazajutrz ostatnie resztki dwudniowego śniegu zniknęły. Na porannej odprawie Wydziału Napadów Ivarsson stwierdził, że jeśli chcą posunąć się dalej w sprawie Ekspedytora, to kolejny napad na bank jest jedyną rzeczą, jaka może im dać nadzieję, lecz przewidywania Beatę, twierdzącej, że Ekspedytor będzie atakował w coraz krótszych odstępach czasu, niestety się nie sprawdziły. Ku zaskoczeniu wszystkich Beatę nie sprawiała wrażenia, by brała sobie zbyt do serca zawołowaną krytykę, tylko wzruszała ramionami i zdecydowanym głosem twierdziła, że kolejny atak Ekspedytora to jedynie kwestia czasu.

Tego samego wieczoru radiowóz policyjny podjechał cicho na parking przed Muzeum Muncha i tam się zatrzymał. Wysiadło z niego czterech mężczyzn. Dwaj funkcjonariusze policji w mundurach i dwie osoby w cywilu, które z daleka wyglądały tak, jakby jedna drugą

prowadziła.

- Przepraszam za te zabezpieczenia - powiedział Harry, skinieniem głowy wskazując na kajdanki. - Tylko pod takim warunkiem mogłem uzyskać zezwolenie.

Raskol wzruszył ramionami.

- Wydaje mi się, że fakt, iż jesteśmy skuci ze sobą, drażni znacznie bardziej ciebie niż mnie, Harry.

Cały orszak przeszedł przez parking, kierując się w stronę boiska i przyczep kempingowych. Harry dał funkcjonariuszom sygnał, by poczekać na zewnątrz, a sam wraz z Raskolem wszedł do małej przyczepy.

W środku czekał na nich Simon, wystawił butelkę calvadosu i trzy kieliszki. Harry pokręcił głową, otworzył kajdanki i wsunął się na kanapę.

- Dziwne uczucie wrócić? - spytał.

Raskol nie odpowiedział. Harry czekał, aż jego czarne spojrzenie dokładnie omiecie całą przyczepę. Zauważył, że wzrok Cygana zatrzymał się na wiszącym nad łóżkiem zdjęciu dwóch chłopców, wydało mu się, że dostrzega, jak jego delikatne wargi odrobinę się krzywią.

- Obiecałem, że wrócimy do aresztu przed dwunastą. Przystąpmy więc do sprawy - powiedział Harry. - To nie Alf Gunnerud zabił Annę.

Simon zerknął na Raskola, który nie odrywał wzroku od Harry'ego.

- Nie zrobił tego również Arne Albu.

W ciszy wydawało się, że szum samochodów dochodzący z Finnmarkgata narasta. Czy Raskolowi brakowało tego szumu, kiedy kładł się spać w celi? Czy tęsknił za głosem z drugiego łóżka? Za zapachem, za równym oddechem brata w ciemności? Harry odwrócił się do Simona.

- Możesz zostawić nas samych?

Simon spojrzał na Raskola, który lekko skinął mu głową. Zamknął za sobą drzwi. Harry złożył dłonie i podniósł wzrok. Oczy Raskola zaczęły błyszczeć, jakby miał gorączkę.

- Wiesz to już od pewnego czasu, prawda? - spytał Harry cicho. Raskol przycisnął dłonie do siebie. Pozorna oznaka spokoju, lecz zbielełe koniuszki palców świadczyły, że jest inaczej.

- Może Anna czytała Sun Tzu - powiedział Harry. - I wiedziała, że najważniejszą zasadą obowiązującą na każdej wojnie jest oszukiwanie. Mimo to podsunęła mi rozwiązanie. Tylko ja nie potrafiłem złamać szyfru. Ce, krzyżyk, em i en. Podpowiedziała mi nawet, że siatkówka odwraca rzeczy tak, że powinienem raczej oglądać wszystko w lustrze, by się przekonać, jakie naprawdę jest.

Raskol zamknął oczy. Wyglądał, jakby się modlił.

- Jej matka była piękna i szalona. Anna odziedziczyła po niej jedno i drugie.

- Rozumiem, że już dawno rozwiązałeś ten anagram - powiedział Harry. - W podpisie było „C” z krzyżykiem, co jest oznaczeniem dźwięku cis, dalej „MN”. Jeśli się przeczyta podpis w ten sposób, otrzymamy Cis-em-en. Trzeba to napisać i obejrzeć w lustrze. I mamy Ne-me-sic.Nemezis. Mścicielka. Anna wyznała mi to wprost. To było jej arcydzieło. Dzięki niemu miała zostać zapamiętana.

Harry powiedział to bez triumfu w głosie, po prostu stwierdził. Miał teraz wrażenie, jakby ciasna przyczepa jeszcze bardziej się wokół nich skurczyła.

- Opowiedz mi resztę - szepnął Raskol.

- Reszty sam się możesz domyślić.

- Opowiedz - syknął.

Harry popatrzył na nieduże okrągłe okienko nad stołem, które już pokryło się parą. Bulaj. Statek kosmiczny. Przyszło mu nagle do głowy, że gdyby wytarł teraz tę mgiełkę ze szkła, zobaczyłby, że znajdują się w przestrzeni kosmicznej, dwaj samotni astronauty w mgławicy „Koński Łeb”, na pokładzie szybującej w przestworzach przyczepy kempingowej. Nie byłoby to wcale znacznie bardziej fantastyczne od opowieści, którą teraz miał przedstawić.

45 THE ART OF WAR

Raskol wyprostował się, a Harry zaczął mówić.

- Latem mój sąsiad Ali Niazi dostał list od pewnego człowieka, który uważał, że ma dług wobec wspólnoty jeszcze z czasów, gdy przed wieloma laty mieszkał w kamienicy. Ali nie mógł odnaleźć jego nazwiska w spisie mieszkańców, odpisał więc, że może o długu zapomnieć. Człowiek ten nazywał się Eriksen. Zadzwońłem wczoraj do Alego i poprosiłem go o odnalezienie tego listu. Okazało się, że przyszedł spod adresu Sorgenfrigata 17. Astrid wspomniała, że latem na skrzynce Anny przez kilka dni była naklejka z nazwiskiem Eriksen. Na cóż jej był ten list? Zadzwońłem do „Ślusarza” i rzeczywiście, mieli zamówienie na klucze do mojego mieszkania. Dokumenty przesłali mi faksem. Od razu zauważyłem, że zamówienie złożono na tydzień przed śmiercią Anny. Było podpisane przez Alego, przewodniczącego naszej wspólnoty i odpowiedzialnego za sprawy kluczy. Sfałszowany podpis średnio się udał, fałszerstwa mogła się na przykład dopuścić średnia malarka, naśladowująca podpis z otrzymanego listu. Ale „Ślusarzowi” wystarczyło to aż nadto.

Natychmiast zamówił w Trioiving klucz do mieszkania Harry'ego Hole. Harry Hole musiał jednak zgłosić się osobiście, przedstawić dowód tożsamości i pokwitować odbiór. I tak też zrobił, przekonany, że podpisuje odbiór klucza do mieszkania Anny. Można umrzeć ze śmiechu, prawda?

Raskol jednak najwyraźniej nie miał żadnych problemów z zachowaniem powagi.

- Pomiedzy tym spotkaniem a kolacją ostatniego wieczoru Anna wszystko urządziła. Zamówiła abonament na numer komórki Harry'ego na serwerze w Egipcie i umieściła w laptopie maile, zaprogramowane do wysyłki w późniejszym czasie. W ciągu dnia weszła do naszej piwnicy i odszukała mój boks. Tym samym kluczem otworzyła moje mieszkanie i zabrała z niego jakąś łatwą do rozpoznania rzecz osobistą, którą mogła umieścić u Alfa Gunneruda. Wybrała moje zdjęcie z Sio. Następnym punktem programu była wizyta u dawnego kochanka i dostawcy narkotyków. Być może Alf Gunnerud był nieco zaskoczony jej nagłymi odwiedzinami. Czego chciała? Może kupić albo pożyczyć pistolet, ponieważ wiedziała, że miał jedną sztukę broni z zeszlifowanym numerem fabrycznym, której ostatnio tyle się pojawiło w Oslo. Wyjął pistolet, berettę M92F, w czasie gdy Anna poszła do toalety. Może wydawało mu się, że siedzi tam zbyt długo, a kiedy wróciła z łazienki, okazało się, że nagle zaczęło jej się bardzo spieszyć, powiedziała, że musi już iść. Przynajmniej tak możemy sobie to wyobrazić.

Raskol mocno zacisnął szczęki, Harry dosłownie widział, jak bledną mu wargi. Odchylił się do tyłu.

- Następnym zadaniem było dostanie się do domku letniskowego Arnego Albu i umieszczenie klucza do swojego mieszkania w szufladzie nocnego stolika w jego sypialni. Z tym nie było żadnych kłopotów, wiedziała przecież, że klucz do domku jest schowany w latarni. Będąc tam, jednocześnie wyrwała z albumu zdjęcie Vigdis z dziećmi i zabrała je ze sobą. W tym momencie wszystko było już gotowe. Pozostawało jedynie czekać, aż Harry przyjdzie na kolację. W menu była zupa tomyam z chili japone i coca-cola z chlorowodorkiem morfiny. Ten ostatni środek często bywa podawany ofiarom gwałtów, ponieważ jest płynny, stosunkowo bez smaku, dozowanie jest proste, a skutki przewidywalne. Ofiara budzi się z czarną dziurą w pamięci, która w opinii innych jest wynikiem nadużycia alkoholu, bo wszystkie późniejsze symptomy przypominają kaca. I pod wieloma względami można właśnie powiedzieć, że zostałem zgwałcony. Byłem tak zamroczony, że Anna nie miała żadnych problemów z wyjęciem mi komórki z marynarki, zanim wyrzuciła mnie za drzwi. Kiedy od niej wyszedłem, pojechała za mną, weszła do mojej piwnicy i tam podłączyła komórkę do laptopa. Wracając do domu, skradała się po schodach.

Astrid Monsen słyszała ją, lecz sądziła, że to pani Gundersen z czwartego. A zanim resztę wydarzeń pozostawiła ich własnemu biegowi, przygotowała się do ostatniego występu. Oczywiście wiedziała, że będę badał tę sprawę, bez względu na to, czy zostanie mi przydzielona, czy nie. Więc wyłożyła dla mnie dwa *patrin*. Chwyła pistolet prawą ręką, ponieważ wiedziałem, że jest leworęczna, i wsunęła zdjęcie do buta.

Wargi Raskola poruszały się, lecz nie wydobywał się spomiędzy nich żaden dźwięk.

Harry potarł twarz dłonią.

- Ostatnim muśnięciem pędzla, zwieńczeniem arcydzieła, było naciśnięcie spustu pistoletu.

- Ale dlaczego? - szepnął Raskol. Harry wzruszył ramionami.

- Anna była osobą ekstremalną. Pragnęła zemścić się na ludziach, którzy jej zdaniem, odebrali jej to, po co żyła. Miłość. Winnymi byli Albu, Gunnerud i ja. I wy, rodzina.

- Brednie - burknął Raskol.

Harry odwrócił się i zdjął ze ściany fotografię Raskola i Stefana. Położył ją na stole między nimi.

- Przecież w waszej rodzinie zawsze zwyciężała nienawiść, prawda, Raskol?

Raskol odchylił głowę i opróżnił kieliszek. Potem uśmiechnął się szeroko.

Następne sekundy Harry zapamiętał jak film wideo, przesuwany się w przyspieszonym tempie. A kiedy się skończył, okazało się, że leży na podłodze w żelaznym uścisku Raskola, z oczami zalanymi wódką, ze świdrującym zapachem calvadosu w nosie, a na szyi czuł ukłucia szkła ze stłuczonej butelki.

- Tylko jedna rzecz jest bardziej niebezpieczna niż zbyt wysokie ciśnienie krwi, *Spiuni* - szepnął Raskol. - A mianowicie za niskie. Nie ruszaj się!

Harry przełknął ślinę i próbował coś powiedzieć, ale Raskol nacisnął mocniej i skończyło się tylko na jęku.

- Sun Tzu wypowiada się bardzo wyraźnie w kwestiach nienawiści i miłości, *Spiuni*. I nienawiść, i miłość wygrywają na wojnie. Są nierozłączne jak bliźnięta syjamskie. Przegrywa wściekłość i współczucie.

- To znaczy, że obaj właśnie przegrywamy - wyjącał Harry. Raskol znów ścisnął go mocniej.

- Moja Anna nigdy nie wybrałaby śmierci - głos mu drżał. - Kochała życie.

Harry ledwie zdołał z siebie wydusić:

- Tak jak ty... kochasz... wolność?

Uchwył Raskola na moment zelżał i Harry wciągnął powietrze do obolałych płuc. W

głowie mu pulsowało, ale szum samochodów na zewnątrz powrócił.

- Dokonałeś wyboru - wysyczał Harry. - Zgłosiłeś się, żeby odsiedzieć karę. To niezrozumiałe dla innych, ale taki był twój wybór. Tak samo postąpiła Anna.

Kiedy próbował się poruszyć, Raskol znów przycisnął mu butelkę do szyi.

- Miałem swoje powody.

- Wiem - powiedział Harry. - Chęć odpokutowania to instynkt również mocny jak żądza władzy.

Raskol nie odpowiedział.

- Wiedziałeś, że Beatę Lonn również dokonała wyboru? Zrozumiała, że nic nie zdoła wrócić jej ojca. Nie ma już w sobie wściekłości. Prosiła, bym cię pozdrowił i przekazał, że ci wybaczają.

Ostry kawałek szkła zadrapał o skórę, towarzyszył temu dźwięk taki, jaki wydaje stalówka na szorstkim papierze. Pisząca ostatnie słowo. Taka, której do postawienia pozostała jedynie kropka. Harry przełknął ślinę.

- Teraz twoja kolej na dokonanie wyboru, Raskol.

- Wyboru między czym a czym, *Spiuni*? Czy będziesz żył? Harry nabrał powietrza, usiłując odepchnąć panikę.- Czy zwrócisz wolność Beatę Lonn. Czy powiesz jej, co się wydarzyło tamtego dnia, kiedy zastrzelełeś jej ojca. I czy sam się od tego uwolnisz.

- Ja sam? - zaśmiał się Raskol miękko.

- Znalazłem go - powiedział Harry. - To znaczy znalazła go Beatę Lonn.

- Kogo znalazła?

- On mieszka w Göteborgu.

Śmiech Raskola urwał się jak ucięty nożem.

- Mieszka tam od dziewiętnastu lat - ciągnął Harry. - Od czasu, gdy się dowiedział, kto naprawdę był ojcem Anny.

- Kłamiesz! - krzyknął Raskol, unosząc butelkę nad głowę. Harry poczuł suchość w ustach i przymknął oczy. Gdy znów je otworzył, Raskol miał szklane spojrzenie. Oddychali w jednakowym rytmie, ich piersi jednocześnie unosiły się jedna przy drugiej i opadały. Raskol spytał szeptem:

- A... Maria?

Harry musiał próbować dwa razy, nim udało mu się uruchomić struny głosowe.

- Nikt nie miał od niej żadnych wiadomości. Ktoś mówił Stefanowi, że widział ją kilka lat temu z wędrującym taborem w Normandii.

- Stefan? Rozmawiałeś z nim? Harry kiwnął głową.

- Dlaczego zgodził się rozmawiać z takim *Spiuni* jak ty? Harry próbował wzruszyć ramionami, ale uścisk był mocny.

- Sam możesz go o to spytać.

- Spytać?

Raskol przyglądał mu się z niedowierzaniem.

- Simon przywiózł go wczoraj. Siedzi w sąsiedniej przyczepie. Ma parę niewyjaśnionych spraw z policją, ale funkcjonariusze, którzy są ze mną, otrzymali polecenie, żeby go nie ruszać. On chce rozmawiać z tobą. Reszta to twój wybór.

Harry wsunął rękę pomiędzy szyję a ostry kawałek szkła. Raskol nie próbował go powstrzymać, gdy się podnosił. Spytał jedynie:

- Dlaczego to zrobiłeś, *Spiuni*? Harry wzruszył ramionami.

- Ty się zatroszczyłeś o to, by sędziowie w Moskwie pozwolili Rakeł zatrzymać Olega. Ja ci daję szansę, byś zachował jedyną osobę, która ci pozostała z najbliższych.

Wyjął kajdanki z kieszeni i położył na stole.

- Bez względu na to, na co się zdecydujesz, od tej chwili uważam, że jesteśmy kwita.

- Kwita?

- Zatroszczyłeś się o to, by moi najbliżsi wrócili. Ja zatroszczyłem się o twoich.

- Słyszałem, co powiedziałaś, Harry. Ale co to ma znaczyć?

- To oznacza, że zamierzam opowiedzieć wszystko, co wiem, na temat zabójstwa Arnego Albu. I że będziemy cię ścigać, posługując się wszelkimi środkami, jakimi dysponujemy.

Raskol uniósł brew.

- Łatwiej by ci było, gdybyś to zostawił, *Spiuni*. Dobrze wiesz, że nic na mnie nie znajdziecie. Po co więc próbować?

- Ponieważ jesteśmy policjantami - odparł Harry. - A nie chichoczącymi konkubinami.

Raskol długo mu się przyglądał, potem lekko się uklonił. W drzwiach Harry się obrócił. Chudy mężczyzna siedział zgięty w pół nad niewielkim plastikowym stolikiem z twarzą skrytą w cieniach.

- Macie czas do północy, Raskol. Wtedy funkcjonariusze zabiorą cię z powrotem.

Przez szum na Finnmarkgata przedarła się syrena karetki. Wznosiła się i opadała, jak gdyby szukała czystego tonu.

Harry delikatnie pchnął drzwi sypialni. Wydawało mu się, że wciąż czuje jej perfumy, lecz zapach był tak słaby, że nie miał pewności, czy płynie z pokoju, czy raczej ze wspomnień. Wielkie łóżko królowało w pomieszczeniu jak rzymski galeon. Usiadł na materacu, zanurzył palce w chłodną białą pościel, zamknął oczy i poczuł kołysanie pod sobą. Długie leniwe fale. Czy to tutaj, w taki sposób Anna czekała na niego tego wieczoru? Gniewnie zabrzączał dzwonek. Harry zerknął na zegarek. Punkt siódma. To była Beate. Aune zadzwonił kilka minut później, po wejściu na schody miał czerwone podbródki. Zdyszany przywitał się z Beate i we troje weszli do salonu.

- Naprawdę potrafisz powiedzieć, kto jest na tych portretach? - spytał Aune.

- Arne Albu - Beate wskazała na obraz z lewej strony. - Alf Gunnerud w środku, a Harry z prawej.

- Imponujące - stwierdził Aune.

- No cóż, mrówka potrafi rozróżnić miliony innych twarzy w mrowisku. W stosunku do wagi ciała *gyrus fusiformus* ma o wiele większy niż ja.

- Obawiam się, że mój współczynnik jest wyjątkowo niski - powiedział Aune. - A ty coś widzisz, Harry?

- W każdym razie dostrzegam teraz nieco więcej niż wtedy, kiedy Anna pokazała mi je po raz pierwszy. Teraz już wiem, że są na nich ci trzej, których oskarżyła ona. - Harry skinął głową na kobiecą figurę podtrzymującą trzy lampy. - Nemezis, bogini zemsty i sprawiedliwości.

- Którą Rzymianie skradli Grekom - powiedział Aune. - Zachowali wagę, bat wymienili na miecz, zawiązali jej oczy opaską i nazwali Justitią. - Podszedł do lampy. - Około sześciuset lat przez Chrystusem zaczęto rozumieć, że system krwawej zemsty donikąd nie prowadzi, postanowiono więc odebrać zemstę pojedynczemu człowiekowi i uczynić z niej sprawę publiczną. Wtedy właśnie ta kobieta stała się symbolem nowoczesnego państwa prawa. - Poglądził dłonią chłodny brąz rzeźby. - Ślepa sprawiedliwość. Zimna zemsta. Nasza cywilizacja spoczywa w jej rękach. Czyż nie jest piękna?

- Równie piękna jak krzesło elektryczne - stwierdził Harry. - Zemsta Anny nie była akurat zimna.

- Była i zimna, i gorąca - odparł Aune. - Zaplanowana z premedytacją, a jednocześnie pełna namiętności. Ona musiała być bardzo wrażliwa. Najwyraźniej zraniona dusza. Ale wszyscy nimi jesteśmy. I w zasadzie mowa wyłącznie o stopniu odniesionych obrażeń.

- Jakich obrażeń doznała Anna?

- Nigdy nie miałem okazji jej poznać, więc mogę tylko zgadywać.

- A więc zgaduj - powiedział Harry.

- Skoro już mowa o antycznych bogach, to zakładam, że słyszeliście o Narcyzie, młodzieńcu z mitologii greckiej, który tak zakochał się we własnym odbiciu, że nie mógł się od niego oderwać. To Freud wprowadził do psychologii pojęcie narcyzmu, dotyczące osób z przesadnym poczuciem swojej wyjątkowości, opętanych marzeniem o bezgranicznym sukcesie. U narcyza potrzeba zemsty na tych, którzy ich urazili, jest nadrzędna w stosunku do wszystkich innych potrzeb. Nazywa się to wściekłością narcystyczną. Amerykański psychoanalityk Heinz Kohut opisał, w jaki sposób taka osoba będzie się starała różnymi środkami pomścić urazę, która nam może wydawać się bagatelką. Na przykład pozornie zwyczajna odmowa może prowadzić do tego, że z natrętnym uporem, bez odpoczynku będzie starała się odzyskać równowagę nawet, jeśli skutkiem tego miałyby być śmierć.

- Czyja śmierć? - spytał Harry.

- Wszystkich.

- To przecież chore! - zdumiała się Beate.

- Właśnie to chcę powiedzieć - odparł Aune cierpko.

Przeszli do jadalni. Aune wypróbował jedno ze starych prostych krzeseł przy długim wąskim dębowym stole.

- Już takich nie robią. Beate westchnęła.

- Ale że miałyby odebrać sobie życie jedynie po to, by się zemścić? Przecież są chyba inne sposoby?

- Oczywiście - odparł Aune. - Ale samobójstwo często bywa zemstą samo w sobie. Samobójca pragnie wzbudzić poczucie winy u ludzi, którzy go zawiedli. Anna po prostu posunęła się o kilka kroków dalej. Poza tym istnieją wszelkie powody, by przypuszczać, że naprawdę nie chciała już dłużej żyć. Była samotna, odsunięta przez rodzinę i odepchnięta w miłości. Nie powiodło jej się jako artystce, próbowała uciekać w narkotyki, lecz to nie rozwiązało żadnego problemu. Krótko mówiąc, była głęboko rozczarowanym i nieszczęśliwym człowiekiem, który z zimną premedytacją zdecydował się na samobójstwo. I na zemstę.

- Bez żadnych skrupułów moralnych? - spytał Harry.

- Oczywiście kwestie moralne są bardzo interesujące. - Aune założył ręce na piersi. - Nasze społeczeństwo narzuca nam moralny obowiązek życia i dlatego nie aprobuje samobójstwa. Ale Anna przy swym wyraźnym zachwycie antykiem mogła zetknąć się greckimi filozofami, którzy uważali, że człowiek sam powinien decydować o tym, kiedy ma umrzeć. Nietzsche również był zdania, że człowiek ma pełne moralne prawo do odebrania

sobie życia. Używał nawet określenia „freitot”, czyli dobrowolna śmierć. - Aune uniósł do góry palec wskazujący. - Ale ona stanęła przed jeszcze jednym moralnym dylematem, problemem zemsty. Etyka chrześcijańska, do której na pewno w jakimś stopniu się przyznawała, mówi wszak, że nie należy się mścić. Paradoks polega na tym, że chrześcijanie wyznają wiarę w Boga, który jest największym mścicielem z nich wszystkich. Jeśli mu się sprzeciwisz, będziesz się smażył w piekle po wsze czasy. To zemsta, która nie ma sobie równych, w pewnym sensie sprawa, którą powinna się zająć Amnesty International. A jeśli...

- Może ona po prostu nienawidziła.

Aune i Harry odwrócili się do Beaty. Patrzyła na nich wystraszona, jak gdyby te słowa wyrwały jej się przypadkiem.

- Moralność - szepnęła. - Chęć do życia. Miłość. A mimo wszystko najsilniejsza jest nienawiść.

47 DYWAN ŚWIATEŁ

Harry stał przy otwartym oknie i wsłuchiwał się w daleką syrenę karetki, która wolno tonęła w huku odgłosów miejskiego kotła. Dom, odziedziczony przez Rakel po ojcu, leżał wysoko ponad wszystkim, co działo się w dole, na dywanie ze świateł, który dostrzegał między wysokimi sosnami w ogrodzie. Lubił stać tutaj i patrzeć. Na drzewa, bo myśl o tym, od jak dawna tu stoją, napawała go spokojem. I na światła miasta przypominające fosforyzujące morze. Ogniki na morzu, żywe latarki widział tylko raz w życiu, pewnej nocy, gdy dziadek zabrał go łodzią na połów krabów koło Svartholmen. Tylko tamtej jednej nocy. Wiedział jednak, że nigdy tego nie zapomni. To była jedna z takich rzeczy, które z każdym upływającym rokiem nabierają wyrazistości i stają się bardziej rzeczywiste. Nie ze wszystkim tak było. Ileż nocy spędził z Anną, ileż razy wyruszali w szaloną podróż statkiem duńskiego szypra? Już nie pamiętał. A wkrótce zapomni i o reszcie. Smutne? Tak, smutne i konieczne.

A mimo to wiedział, że dwie chwile związane z imieniem Anny nigdy całkowicie nie zatrą się w pamięci. Dwa niemal identyczne obrazy, oba z jej włosami rozrzuconymi na poduszce jak czarny wachlarz. Szeroko otwarte oczy i jedna ręka zaciśnięta na bielutkim prześcieradle. Obrazy różniły się drugą ręką. Na jednym palce splatały się z jego dłonią, na drugim zaciskały na pistolecie.

- Nie zamkniesz okna? - spytała Rakel. Siedziała na kanapie z podciągniętymi nogami i z kieliszkiem czerwonego wina. Oleg zadowolony położył się spać, pokonawszy Harry'ego w Tetris. Harry obawiał się, że pewna era nieodwołalnie już minęła.

W wiadomościach nie było nic nowego, jedynie stare refreny: krzyżowa wyprawa na wschód, odwet na zachód. Wyłączyli więc telewizor i zamiast niego nastavili Stone Roses, płytę, którą Harry ku swemu zaskoczeniu - i radości - znalazł w zbiorze Rakel. Młodość. To były czasy, kiedy nic nie wprawiało go w lepszy humor niż aroganccy angielscy gówniarze z gitarami. Teraz lubił Kings of Convenience, ponieważ śpiewali ostrożnie i wydawali się odrobinę mniej głupi niż Donovan. I Stone Roses, po cichu. Smutne, ale prawdziwe. I może konieczne. Rzeczy zataczają krąg. Zamknął okno i obiecał sobie, że gdy tylko nadarzy się okazja, zabierze Olega nad morze i poszukają krabów.

- *Down, down, down* - mruzcili Stone Roses z głośników. Rakel nachyliła się i wypła łyk z kieliszka.

- To archetyp - szepnęła. - Dwaj bracia, kochający tę samą kobietę, to jakby przepis na tragedię.

Milczeli, splatając palce i słuchając swoich oddechów.

- Kochałeś ją? - spytała.

Harry długo się zastanawiał, nim odpowiedział:

- Nie pamiętam. Ten okres w moim życiu był bardzo... niewyraźny. Pogładziła go po policzku.

- Wiesz, co mnie dziwi? Ze ta kobieta, której nigdy nie spotkałam ani nie widziałam, weszła do twojego mieszkania i oglądała to zdjęcie nas trojga z Frognerseier, które wisi u ciebie na lustrze. I wiedziała, że wszystko popsuje. Może wy dwoje jednak naprawdę się kochaliście.- Mhm. Zaplanowała wszystkie szczegóły na długo, zanim dowiedziała się o tobie i Olegu. Podpis Alego zdobyła jeszcze latem.

- I pomyśl tylko, jak bardzo musiała się męczyć, żeby podrobić ten podpis. Przecież była leworęczna.

- O tym nie pomyślałem.

Obrócił głowę, którą trzymał u niej na kolanach, i popatrzył na nią z dołu.

- Pomówimy o czymś innym? Co ty na to, żebym zadzwonił do ojca i spytał, czy moglibyśmy skorzystać latem z domu w Andalsnes? Na ogół paskudna tam pogoda, ale w szopie jest łódź po dziadku.

Rakel zaśmiała się. Harry zamknął oczy. Kochał ten śmiech. Pomyślał, że jeśli się nie myli, to będzie mógł go słuchać jeszcze długo.

Gwałtownie się przebudził. Poderwał się w łóżku, z trudem chwytając oddech. Coś mu się śniło, ale nie pamiętał co. Serce waliło jak oszalała perkusja. Czy znów był pod wodą w basenie w Bangkoku? Czy stał przed zamachowcem w apartamencie hotelu SAS? Głowa

go bolała.

- Co się stało? - mruknęła Rakel w ciemności.

- Nic - szepnął Harry. - Spij.

Wstał, wyszedł do łazienki i wypił szklanekę wody. W lustrze zobaczył zmęczoną, trupio bladą twarz. Na dworze wiało. Gałęzie wielkiego dębu w ogrodzie ocierały się o ścianę. Kłuły go w ramię i łaskotały w kark. Nalał sobie drugą szklanekę wody, popijał. Teraz już sobie przypominał. Już wiedział, co mu się śniło. Chłopiec, który siedział na dachu szkoły i machał nogami, ten, który nie chodził na lekcje. Który kazał młodszemu bratu pisać swoje wypracowania. Który pokazał nowej dziewczynie brata wszystkie te miejsca, w których bawili się jako dzieci. Harry'emu przyśnił się przepis na tragedię.

Gdy wsuwał się znów pod kołdrę, Rakel spała. Utkwił wzrok w suficie i zaczął czekać na świt.

Zegarek na nocnej szafce wskazywał 04.03, kiedy nie mógł już dłużej wytrzymać, wstał, zadzwonił do informacji i dostał prywatny numer telefonu do Jeana Hue.

48 HEINRICH SCHIRMER

Beatę obudził dopiero trzeci dzwonek. Przetoczyła się na bok i popatrzyła na zegarek. Kwadrans po piątej. Zastanawiała się, co będzie najlepsze, wstać i kazać mu się wynosić do diabła, czy udawać, że nikogo nie ma w domu. I znów dzwonek, jeszcze bardziej natrętny. Zrozumiała, że on nie ma zamiaru się poddać. Westchnęła, wstała i włożyła szlafrok. Podniosła słuchawkę domofonu.

- Słucham?

- Przepraszam, że przychodzę tak późno, Beatę. Albo tak wcześnie.

- Idź do diabła, Tom! Zapadła długa cisza.

- To nie Tom - powiedział głos. - To ja, Harry. Beatę zaklęła pod nosem i przycisnęła guzik.

- Nie mogłem dłużej wytrzymać - oświadczył Harry jeszcze w progu. - Chodzi o Ekspedytora.

Usiadł na kanapie, Beatę zniknęła w sypialni.

- Jak już mówiłem, to z Waalerem to nie moja sprawa! - zawołał do otwartych drzwi.

- A poza tym, jak sam mówisz, już mi to mówiłeś! - odkrzyknęła. - Poza wszystkim został zawieszony.

- Wiem. Zostałem wezwany na przesłuchanie do SEFO, żeby im opowiedzieć o

swoich związkach z Alfem Gunnerudem.

Wróciła w białym T-shircie i džinsach i stanęła naprzeciwko niego. Harry zdziwiony podniósł głowę.

- Miałam na myśli to, że został zawieszony przeze mnie - powiedziała.

- O?

- To drań. Ale to, że masz rację, nie oznacza, że wolno ci powiedzieć wszystko każdemu.

Harry przekrzywił głowę i zmrużył jedno oko.

- Mam powtórzyć? - spytała.- Nie. Chyba zrozumiałem. Ale jeśli nie chodzi o każdego, tylko o przyjaciela?

- Chcesz kawy?

Beatę nie zdążyła jednak się odwrócić dostatecznie szybko w stronę kuchni, by ukryć rumieniec, który wystąpił jej na policzki. Harry wstał i poszedł za nią. Przy niedużym stoliku stało tylko jedno krzesło. Na ścianie wisiała drewniana plakietka z wymalowanymi wśród ludowych wzorów słowami z „Pieśni Najwyższego” z *Eddy*: „Wyjścia wszystkie, zanim się wejdziesz, trzeba obejrzeć, trzeba zbadać, bo nie wiadomo, gdzie wrogowie siedzą w świetlicy”.

- Wczoraj wieczorem Rakel powiedziała dwie rzeczy, które kazały mi myśleć - mówił Harry, opierając się o blat kuchenny. - Po pierwsze, że dwaj bracia zakochani w tej samej kobiecie to przepis na tragedię. Po drugie, że Anna musiała się namęczyć, aby podrobić podpis Alego, ponieważ była leworęczna.

- Tak? - Beatę odmierzyła miarką kawę i wsypała do filtra.

- Te zeszyty Lva, które dostałaś od Tronda Grette, żeby porównać z nimi pismo w liście pożegnalnym. Pamiętasz, jaki to był przedmiot?

- Nie czytałam ich uważnie. Pamiętam, że sprawdziłam tylko, czy to faktycznie jego. - Nalała wody do zbiornika.

- To były zeszyty do norweskiego - wyjaśnił Harry.

- Może i tak - odwróciła się do niego.

- Wiem to na pewno. Przyszedłem wprost od Jeana Hue z Kripos.

- Od eksperta grafologa? Teraz, w środku nocy?

- On ma gabinet w domu i okazał wyrozumiałość. Sprawdził pismo w zeszytach i w liście pożegnalnym, a potem porównał je z tym. - Harry rozłożył jakąś kartkę na kuchennym blacie. - Długo jeszcze ta kawa?

- A z czymś się trzeba spieszyć?

- Ze wszystkim - odparł Harry. - Pierwszą rzeczą, jaką musisz zrobić, jest ponowne

sprawdzenie tych kont bankowych.

Zdarzało się, że Else Lund, dyrektorka i jedna z dwóch osób zatrudnionych w biurze podróży Brastour, musiała w środku nocy odpowiadać na telefony jakiegoś klienta, który został okradziony albo zgubił paszport i bilet w Brazylii, i w rozpaczę dzwonił do niej na komórkę, nie myśląc o różnicy czasu. Na ogół więc kładąc się spać, komórkę wyłączała. Dlatego rozzłościła się, gdy telefon stacjonarny zadzwonił o pół do szóstej i głos na drugim końcu linii spytał, czy mogłaby przyjechać do pracy najszybciej, jak tylko się da. Złagodniała jedynie odrobinę, gdy głos dodał, że dzwoni policja.

- Mam nadzieję, że to sprawa życia i śmierci - powiedziała Else Lund.

- Owszem - usłyszała. - Głównie śmierci.

Runę Ivarsson jak zwykle przyszedł do pracy pierwszy. Wyglądał przez okno. Lubił ciszę, lubił mieć całe piętro dla siebie, ale nie dlatego przychodził tak wcześnie. Zanim inni zdążyli się stawić, on miał już przeczytane wszystkie faksy, raporty z poprzedniego wieczoru i wszystkie gazety, a dzięki temu zdobywał potrzebną przewagę. Właśnie o to chodziło, kiedy się było szefem. Znaleźć się wyżej. Zbudować most, z którego ma się widok na okolicę. Gdy jego podwładni z wydziału od czasu do czasu wyrażali niezadowolenie, ponieważ nie przekazuje informacji, robili to dlatego, że nie rozumieli, iż wiedza to władza, a szef musi mieć władzę, jeśli ma wytyczać kurs, który w końcu doprowadzi ich bezpiecznie do portu. Działał więc dla ich dobra. Teraz polecił, aby wszyscy pracujący nad sprawą Ekspedytora składali raporty bezpośrednio jemu właśnie po to, by zgromadzić wiedzę w punkcie, gdzie było jej miejsce, zamiast tracić czas na niekończące się dyskusje plenarne wymyślone wyłącznie po to, by podwładni mogli się łudzić, że w czymś uczestniczą. Akurat w tej chwili ważniejsze było, by jako szef podejmował odpowiednie kroki, wykazywał się inicjatywą i siłą działania. Chociaż starał się, jak mógł, by ujawnienie Lva Grette wyglądało na jego dzieło, wiedział, że sposób, w jaki nastąpiło, osłabił jego autorytet. A autorytet szefa to przecież nie jest kwestia osobistego prestiżu, tylko sprawa całego urzędu.

Ktoś zastukał do drzwi.

- Nie wiedziałem, że jesteś rannym ptaszkiem, Hole - rzucił Ivarsson bladej twarzy, która ukazała się w drzwiach. Nie przerwał czytania faksu. Przysłano mu wycinki z jednej z gazet, która przeprowadzała z nim wywiad na temat pościgu za Ekspedytorem. Wywiad mu się nie podobał. Wprawdzie nie znalazł żadnego przeinaczenia, lecz mimo wszystko w druku jego odpowiedzi wydawały się wymijające i niezgrabne. Na szczęście zdjęcia były dobre.

- Czego chcesz, Hole?

- Tylko powiedzieć, że zwołałem kilka osób do sali konferencyjnej na szóstym.

Pomyślałem, że może chciałbyś posłuchać. Chodzi o tak zwany napad na bank na Bogstadveien. Zaraz zaczynamy.

Ivarsson przerwał czytanie i podniósł głowę.

- Ty zwołałeś zebranie? Interesujące. Mogę spytać, kto je autoryzował, Hole?

- Nikt.

- Nikt. - Ivarsson zaśmiał się krótkim przenikliwym mewim śmiechem. - Wobec tego idź na górę i powiedz, że to zebranie jest przełożone i odbędzie się po lunchu. Mam górę raportów do przeczytania. Rozumiesz?

Harry powoli kiwnął głową, jak gdyby się zastanawiał.

- Rozumiem. Ale sprawa podlega pod Wydział Zabójstw, a my właśnie zaczynamy. Przyjemnego czytania.

Odwrócił się, a w tej samej chwili pięść Ivarssona uderzyła o blat biurka.

- Hole! Nie będziesz się, do cholery, odwracał do mnie plecami w taki sposób! To ja jestem tutaj od zwoływania zebrań. Zwłaszcza gdy chodzi o napady! Jasne?

W białej twarzy szefa wydziału drżała czerwona mokra dolna warga.

- Jak słyszałeś, mówiłem o tak zwanym napadzie na Bogstadvcien, Ivarsson.

- A co, u stu diabłów, miałeś przez to na myśli? - Jego głos był już tylko piskiem.

- To, że na Bogstadveien nie miał miejsca żaden napad - odparł Harry. - To było świetnie zaplanowane zabójstwo.

Harry stał przy oknie i patrzył na areszt. Na zewnątrz dzień dość niechętnie dawał się wprawić w ruch jak trzeszczący wózek. Deszczowe chmury nad Ekeberg i czarne parasole na Gronlandsleiret. Za jego plecami zebrali się wszyscy. Bjarne Molier, ziewający i wciśnięty głęboko w krzesło. Uśmiechnięty naczelnik Biura Kryminalnego konwersujący z Warssonem. Weber milczący i zniecierpliwiony, z rękami założonymi na piersi. Halvorsen z przygotowanym notatnikiem i Beatę Lonn, nerwowo błędząca wzrokiem.

49 STONE ROSES

Deszczowe chmury poddały się w miarę upływu dnia. Słońce z wahaniem wyglądało zza szarego ołowiu, zanim chmury nagle rozsunały się na różne strony niczym kurtyna przed ostatnim aktem. Jak się okazało później, miały to być ostatnie tego roku godziny bezchmurnego nieba, zanim miasto ostatecznie naciągnęło na siebie szarą, zimową kołdrę. Disengrenda leżała skąpana w słońcu, gdy Harry trzeci raz naciskał dzwonek.

Słyszał odgłos przypominający burczenie w brzuchu mieszkania w szeregowcu. Okno

sąsiadki otworzyło się z trzaskiem.

- Tronda nie ma - zazgrzytało. Jej twarz miała teraz inny odcień brązu, bardziej żółtawy, przywodzący Harry'emu na myśl skórę pobrudzoną nikotyną - Biedaczysko - dodała.

- A gdzie on jest? - spytał Harry.

W odpowiedzi przewróciła oczami i kciukiem wskazała za ramię.

- Na korcie?

Beatę już ruszyła, ale Harry dalej stał.

- Zastanawiałem się nad tym, o czym rozmawialiśmy ostatnio - powiedział. - O wypadku na kładce. Mówiła pani, że wszyscy byli tacy zaskoczeni, bo to taki spokojny, miły chłopiec.

- No tak.

- Ale wszyscy w okolicy wiedzieli, że to on zrobił?

- Widzieliśmy przecież, jak wyjeżdżał stąd rano rowerem.

- W czerwonej kurtce? - Tak.

- W kurtce Lva?

- Lva? - śmiejąc się pokręciła głową. - Ja nie mówię o Lwie. Lev wymyślał wiele dziwnych rzeczy, ale nigdy nie był zły.

- O kim więc?- O Trondzie. O nim mówiłam przez cały czas. Mówiłam przecież, że kiedy wrócił, był strasznie blady. A Trond nie znosi widoku krwi.

Zrywał się wiatr. Na zachodzie czarne napęczniałe jak popcorn chmury zaczęły zjadać błękitne niebo. Wśród podmuchów wiatru kałuże na czerwonej mączce ceglanej pokrywały się gęsią skórką, zacierając odbicie Tronda Grette, który podrzucał do góry piłkę do nowego serwu.

- Cześć - powiedział Trond i uderzył w piłkę, która, obracając się, wolno poszybowała przez powietrze. Nieduża chmurka białej kredy uniosła się i uleciała z wiatrem, kiedy piłka trafiła w tylną krawędź ścianki i podskoczyła wysoko, uniemożliwiając odbicie wyimaginowanemu przeciwnikowi po drugiej stronie.

Trond odwrócił się do Harry'ego i Beatę stojących na zewnątrz stalowej siatki. Ubrany był w białą koszulę do tenisa, białe szorty, białe skarpetki i białe buty.

- Idealnie, prawda? - uśmiechnął się.

- Prawie - powiedział Harry.

Trond uśmiechnął się tylko jeszcze szerzej, przysłonił ręką oczy i spojrzał na niebo.

- Wygląda na to, że się chmurzy. W czym mogę wam pomóc?

- Możesz pojechać z nami do Budynku Policji - powiedział Harry.

- Policji? - popatrzył na nich zdziwiony, a raczej, jakby próbował udawać zdziwionego. Szeroko otworzył oczy w nieco zbyt teatralny sposób, a w głosie wyczuwało się wręcz afektację, której nie wychwycili, gdy rozmawiali z nim wcześniej. Z przesadą zaakcentował ostatnią sylabę. Harry poczuł, że jeżą mu się włoski na karku.

- Teraz, od razu - dodała Beate.

- No tak. - Trond kiwnął głową, jakby coś sobie uświadomił. Znow się uśmiechnął. - Oczywiście. - Skierował się ku ławce, na której spod szarego płaszcza wystawała para rakiet do tenisa. Żwir pod butami chrzęścił.

- On przestał nad sobą panować - szepnęła Beate. - Skuję go.

- Nie... - zaczął Harry i próbował złapać ją za ramię, ale ona już pchnęła drzwi z siatki i weszła do środka. Czas nagle jakby się poszerzył, nadmuchał jak poduszka powietrzna i ścisnął Harry'ego, uniemożliwiając mu jakikolwiek ruch. Przez siatkę widział, jak Beate sięga po kajdanki, które miała przy pasku. Słyszał szuranie butów Tronda. Drobne kroczyki. Jak astronauty. Odruchowo sięgnął pod kurtkę po pistolet w kaburze pod pachą.

- Grette, bardzo mi przykro... - zdążyła powiedzieć Beate, zanim Trond dotarł do ławki i sięgnął pod szary płaszcz.

Czas zaczął teraz oddychać, kurczył się i rozszerzał w jednym nieprzerwanym ruchu. Harry czuł swoją rękę zaciskającą się na rękojeści pistoletu, lecz wiedział, że tę chwilę od momentu, gdy wyjmie broń, załaduje ją, odbezpieczy i wyceluje, dzieli cała wieczność. Spod uniesionej ręki Beate przeświecało odbicie promieni słońca.

- Mnie również - odparł Trond, podnosząc szarooliwkowy karabin AG3.

Beate cofnęła się o krok.

- Moja droga - powiedział Trond cicho. - Jeśli chcesz pożyć jeszcze kilka sekund, stój całkiem, ale to całkiem nieruchomo.

- Pomyliliśmy się. - Harry odwrócił się od okna ku zebrany. - Stine Grette nie została zamordowana przez Lva, lecz przez własnego męża, Tronda Grette.

Konwersacja szefa Biura Kryminalnego z Ivarssonem urwała się, Molier wyprostował się na krześle, Halvorsen przestał notować, i nawet Weber zrezygnował ze znudzonej miny.

Milczenie przerwał w końcu Molier.

- Ten księgowy?

Harry pokiwał głową, patrząc na niedowierzające twarze.

- To niemożliwe - stwierdził Weber. - Mamy film z 7-Eleven. Mamy też odcisk palca na butelce po coli, który nie pozostawia nawet cienia wątpliwości co do tego, że sprawcą

napadu był Lev Grette.

- I jeszcze charakter pisma z listu pożegnalnego - przypomniał Ivarsson.

- I o ile dobrze pamiętam, bandyta został zidentyfikowany jako Lev Grette przez samego Raskola - dodał szef Biura Kryminalnego.

- Sprawa wygląda na najzupełniej oczywistą - oświadczył Molier. - I całkowicie wyjaśnioną.

- Zaraz wam coś opowiem.- Bardzo cię o to prosimy - powiedział naczelnik Biura Kryminalnego.

Chmury teraz przyspieszyły i niczym czarna armada napłynęły nad szpital Aker.

- Nie zrób nic głupiego, Harry - powiedział Trond. Lufa karabinu przylegała do czoła Beatę. - Wiem, że trzymasz broń. Odłóż ją!

- Inaczej co? - spytał Harry, wyjmując pistolet spod kurtki. Trond zaśmiał się cicho.

- To elementarne. Inaczej zastrzele twoją koleżankę.

- Tak jak zastrzeleś żonę?

- Zasłużyła na to.

- Tak? Dlatego, że wołała Lva od ciebie?

- Dlatego, że była moją żoną!

Harry nabrał powietrza. Beatę stała między Trondem a nim, lecz do niego była odwrócona plecami, nie mógł więc nic wyczytać z jej twarzy. Istniało kilka dróg wyjścia. Rozwiązaniem numer jeden była próba wytłumaczenia Trondowi, że postępuje niemądrze i w sposób nieprzemyślany, i nadzieja, że on to zrozumie. Ale z drugiej strony: człowiek, który zabrał ze sobą naładowany AG3 na kort tenisowy, już przemyślał, do czego chce wykorzystać broń. Rozwiązaniem numer dwa było usłuchanie poleceń Tronda, odłożenie pistoletu i czekanie, aż się zostanie zaszlachtowanym. A rozwiązaniem numer trzy - przyciśnięcie Tronda, zmuszenie go do podjęcia jakichś kroków. Skłonienie do zmiany planu, ale to mogło jednak również spowodować jego wybuch i naciśnięcie przez niego spustu. Pierwsze rozwiązanie było beznadziejne. Drugie oznaczało najgorszy z możliwych końców, a trzecie wiązało się z ryzykiem, że Beatę spotka to samo co Ellen, a wtedy Harry nie mógłby żyć, nawet jeśli udałoby mu się przetrwać.

- Ale może ona już nie chciała być twoją żoną - podsunął Harry. - Czy właśnie tak się stało?

Palec Tronda zacisnął się na spuście, a spojrzenie napotkało wzrok Harry'ego ponad ramieniem Beatę. Harry zaczął automatycznie liczyć w duchu. Sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa...

- Sądziła, że może po prostu ode mnie odejść - wyznał Trond cicho. - Ode mnie, który dałem jej wszystko. - Roześmiał się. - Zamienić mnie na faceta, który nigdy nic dla nikogo nie zrobił, który uważał, że życie to przyjęcie urodzinowe, a wszystkie prezenty przeznaczone są dla niego. Lev nie kradł. On po prostu nie umiał czytać karteczek, które się nakleja na prezenty.

Wiatr porwał jego śmiech jak okruszki herbatników.

- Na przykład „Od Stine dla Tronda” - powiedział Harry. Trond mocno zamrugał.

- Powiedziała, że go kocha. Kocha. Nie używała takich słów nawet tego dnia, gdy się pobieraliśmy. Mówiła, że bardzo mnie lubi. Lubi. Bo byłem dla niej dobry. Ale kochała tego, który umiał tylko siedzieć na dachu, machać nogami z rynny i czekać na oklaski. Właśnie o to mu chodziło, o aplauz.

Dzieliło ich mniej niż sześć metrów. Harry widział, jak kostki na lewej dłoni Tronda bieleją w miarę, jak coraz mocniej zaciskała się na broni.

- Ale tobie nie, Trond. Ty nie potrzebowałeś aplauzu, prawda? Swoimi triumfami napawałeś się w ciszy. Sam. Tak jak wtedy na kładce.

Trond wysunął w przód dolną wargę.

- Przyznajcie, że mi wierzyliście.

- Owszem, wierzyliśmy ci, Trond. Wierzyliśmy w każde twoje słowo.

- Co więc poszło nie tak?

- Beatę sprawdziła wyciągi z kont bankowych Tronda i Stine Grette z ostatniego półtora roku - powiedział Harry, a Beatę podniosła do góry i pokazała plik papierów.

- Oboje przelali pieniądze do biura podróży Brastour - wyjaśniła. - Biuro podróży potwierdziło, że Stine Grette w marcu zarezerwowała czerwcowy wyjazd do Sao Paulo, a Trond Grette wyjechał tydzień później.

- To się mniej więcej zgadza z tym, co powiedział nam Trond Grette - włączył się Harry. - Dziwne natomiast było, że Stine powiedziała dyrektorowi oddziału, Klementsenu, że wyjeżdża na wakacje na Teneryfę. A także to, że Trond Grette zamówił i wykupił swój bilet dokładnie w dniu wyjazdu. Dość marne planowanie, jeśli chodzi o wspólne wakacje i uczczenie dziesiątej rocznicy ślubu, prawda?

W sali konferencyjnej panowała taka cisza, że słyhać było, jak włącza się silnik lodówki stojącej po przeciwnej stronie korytarza. - Trochę to wygląda na żonę, która okłamuje wszystkich naokoło o celu planowanego wyjazdu, i już wcześniej podejrzewającego coś męża, który sprawdził jej wyciągi bankowe, a Brastour nie bardzo mu się kojarzyło z Teneryfą. Zadzwonił więc do biura podróży, gdzie podano mu nazwę hotelu, w którym

zatrzymała się żona, i pojechał za nią przywieźć ją do domu.

- I co? - spytał Ivarsson. - Zastał ją z jakimś czarnuchem? Harry pokręcił głową.

- Sądzę, że w ogóle jej nie znalazł.

- Sprawdzaliśmy. Podczas pobytu w Brazylii nie mieszkała w zamówionym hotelu - powiedziała Beate. - A Trond wrócił jeszcze wcześniejszym samolotem niż ona.

- Poza tym Trond w Sao Paulo wypłacił trzydzieści tysięcy koron ze swego konta. Najpierw twierdził, że kupił za te pieniądze pierścionek z brylantem, później, że spotkał Lva i jemu dał te pieniądze, ponieważ brat był kompletnie splukany. Ale jestem absolutnie przekonany, że nie stało się ani jedno, ani drugie. Podejrzewam, że pieniądze były przeznaczone na opłacenie towaru, z którego Sao Paulo słynie jeszcze bardziej niż z klejnotów.

- Czyli? - spytał Ivarsson wyraźnie zirytowany nieznośnie przedłużającą się pauzą.

- Morderstwa na zlecenie.

Harry miał ochotę przeciągać to jeszcze dłużej, lecz spojrzenie Beate powiedziało mu, że popada w zbyt teatralną manierę.

- Tej jesieni Lev wrócił do Oslo za własne pieniądze. Wcale nie był splukany i nie miał zamiaru napadać na żaden bank. Przyjechał tu, by zabrać Stine do Brazylii.

- Stine? - wykrzyknął Molier. - Żonę rodzonego brata? Harry przytaknął. Zebrani wymienili spojrzenia.

- A Stine miała się wyprowadzić do Brazylii, nikomu o tym nie mówiąc? - ciągnął Molier. - Ani rodzicom, ani przyjaciółom? Nie składając nawet wymówienia w pracy?

- No cóż. Gdy już raz się zdecydujesz na to, by dzielić życie z człowiekiem, który napadał na banki i jest poszukiwany zarówno przez policję, jak i kolegów po fachu, to raczej nie dajesz ogłoszenia o swoich planach i nie wyjawiasz nowego adresu. Stine powiedziała o tym tylko jednej osobie, a mianowicie Trondowi.

- Ostatniemu człowiekowi, któremu powinna się do tego przyznać - dodała Beate.

- Sądziła pewnie, że go zna, skoro byli razem od trzynastu lat - Harry podszedł do okna. - Tego wrażliwego, lecz miłego i spokojnego księgowego, który tak bardzo ją kochał. Pozwólcie mi na kilka domysłów wokół tego, co się wydarzyło dalej.

- A jak nazwiesz to, co nam opowiadałeś do tej pory? - prychnął Ivarsson.

- Kiedy Lev przylatuje do Oslo, Trond się z nim kontaktuje. Mówi, że jako dorośli ludzie i bracia powinni umieć o tym porozmawiać. Lev cieszy się i czuje ulgę, ale nie chce pokazywać się w mieście. To zbyt ryzykowne. Umawiają się więc na spotkanie na Disengrenda w czasie, gdy Stine jest w pracy. Lev zostaje przyjęty serdecznie przez Tronda,

który mówi, że początkowo było mu bardzo przykro, lecz teraz właściwie już się z tym uporał i cieszy się w ich imieniu. Otwiera po butelce coli dla każdego, popijając, omawiają praktyczne szczegóły. Trond dostaje sekretny adres Lva w d'Ajuda, by mógł przekazywać mu pocztę, odprawę Stine i tak dalej. Lev, wychodząc, nie ma pojęcia, że właśnie przedstawił bratu ostatnie szczegóły, jakich ten potrzebuje, by zrealizować plan, który zaczął powstawać już podczas pobytu Tronda w Sao Paulo.

Harry zobaczył, że Weber z namysłem kiwa głową.

- Piątek rano. *D-day*. Po południu Stine ma lecieć razem z Lvem do Londynu, a stamtąd następnego dnia rano dalej do Brazylii. Podróż jest zabukowana za pośrednictwem Brastour, a jej towarzysz podróży jest wpisany jako Petter Berntsen. Walizki stoją spakowane w domu, ale Stine i Trond jak zwykle idą do pracy. O drugiej Trond wychodzi z pracy, idzie do centrum SATS na Sporveisgata. Po przyjeździe płaci kartą za zamówioną wcześniej godzinę squasha, ale twierdzi, że nie znalazł partnera. Tym samym pierwsza część alibi jest już gotowa: zarejestrowana transakcja w centrali płatniczej o 14.34. Trond mówi w recepcji, że zamiast tego potrenuje na siłowni i idzie do szatni. O tej porze jest tam sporo ludzi i duży przerób. Wchodzi do toalety z torbą, przebiera się w kombinezon, na który narzuca coś, by go ukryć, prawdopodobnie długi płaszcz. Czeka tak długo, aż nabierze pewności, że ci, którzy widzieli go wchodzącego do toalety, już wyszli z szatni, wkłada ciemne okulary, zabiera torbę i szybko, przez nikogo niezauważony, opuszcza szatnię i przechodzi przez recepcję. Przypuszczam, że idzie w stronę Stensparken, a potem w górę Pilestredet, gdzie jest plac budowy, na którym kończą prace o trzeciej. Wchodzi tam, ściąga płaszcz i wkłada kominiarkę, którą ukrywa pod czapką z daszkiem. Dociera na wzgórze i skręca w lewo w Industrigata. Gdy dochodzi do skrzyżowania przy Bogstadveien, zahacza o sklep 7-Eleven. Był tam już parę tygodni wcześniej i sprawdzał ustawienia kamer. Zamówiony przez niego kontener jest na miejscu. Odpowiednio już ustawił scenę dla pilnych policjantów, którzy, jak oczywiście wie, będą sprawdzać wszystkie filmy nagrane w okolicznych sklepach i na stacjach benzynowych w interesujących ich czasie. A potem urządza dla nas to drobne przedstawienie, podczas którego jego twarz pozostaje niewidoczna, natomiast bardzo wyraźnie widzimy butelkę coli, z której pije, trzymając ją rękami bez rękawiczek. Potem wkłada ją do plastikowej torby, tak abyśmy i my, i on mogli mieć pewność, że odcisków palców nie zniszczy ewentualny deszcz, i umieszcza ją w zielonym kontenerze, który nie zostanie zabrany z tego miejsca jeszcze przez dość długi czas. Wprawdzie nieco zbyt wysoko ocenił naszą skuteczność, naprawdę mało brakowało, aby ten dowód przepadł, ale miał szczęście. Beatę jechała tak ostro, że zdążyliśmy: zapewniliśmy Trondowi Grette pewne alibi,

zdobywając ostateczny bezsporny dowód przeciwko Lvu.

Harry urwał. Twarze wokół niego wyrażały lekką dezorientację.

- Z tej butelki pił Lev na Disengrenda - wyjaśnił Harry. - Albo gdzieś w jakimś innym miejscu. Trond zachował ją z przeznaczeniem właśnie do tego celu.

- Obawiam się, że zapominasz o jednym, Hole - roześmiał się Ivarsson. - Przecież sami na własne oczy widzieliście, że bandyta dotykał butelki bez rękawiczek. Jeśli to był Trond Grette, to odciski jego palców również muszą znajdować się na butelce.

Harry skinął głową na Webera.

- Klej - oświadczył krótko stary policjant.

- Słucham? - naczelnik Biura Kryminalnego odwrócił się do Webera.

- Znana sztuczka wśród przestępców napadających na banki. Trzeba posmarować opuszki klejem, poczekać chwilę, żeby wysechł i już, nie ma żadnych odcisków palców.

Naczelnik pokręcił głową.

- Ale gdzie ten księgowy, jak go nazywacie, nauczył się wszystkich takich sztuczek?

- Był młodszym bratem jednego z najlepszych zawodowców trudniących się napadami na banki w Norwegii - wyjaśniła Beate. - Znał na pamięć metody i styl pracy Lva. Lev między innymi przechowywał w domu na Disengrenda filmy z nagranyimi skokami. Trond poznał sposób działania brata z takimi szczegółami, że nawet Raskol dał się nabrać i rozpoznał Lva Grette. Do tego oczywiście dochodzi fizyczne podobieństwo braci, przez które z poddanych obróbce komputerowej zdjęć uzyskanych z nagrania wideo wynikało, że istotnie mógł to być Lev.

- Jasna cholera! - wyrwało się Halvorsenowi. Zgarbił się gwałtownie i przerażony zerknął na Bjarnego Moliera. Ale Molier siedział z rozdziawionymi ustami i patrzył przed siebie, jak gdyby właśnie dostał kulę w łeb.

- Nie odłożyłeś pistoletu, Harry. Możesz mi to wytłumaczyć? Harry starał się oddychać równo, chociaż serce od dawna już waliło mu jak opętane. Tlen dla mózgu. To było najważniejsze. Starał się nie patrzeć na Beate. Wiatr dmuchnął na nią, unosząc jasne cienkie kosmyki włosów. Mięśnie szczupłej szyi poruszyły się, barki zaczęły drżeć.

- To elementarne - odparł Harry. - Bo wtedy zastrzelisz nas oboje. Musisz mi zaproponować lepszy układ.

Trond roześmiał się, przyłożył zieloną kolbę do policzka.

- A co powiesz na taki *deal*, Harry? Masz dwadzieścia pięć sekund na przemyślenie swoich rozwiązań i odłożenie broni.

- Tradycyjne dwadzieścia pięć sekund?

- Właśnie tak. Chyba mniej więcej pamiętasz, jak szybko mijały. Myśl więc prędko, Harry. - Trond zrobił krok w tył.

- Wiesz, co nam nasunęło na myśl, że Stine знаła napastnika? - zawołał Harry. - To, że stali za blisko siebie. O wiele bliżej niż ty i Beatę teraz stoicie. Dziwne, lecz nawet w sytuacjach, w których gra idzie o życie, ludzie szanują nawzajem swoje strefy intymności. Czy to nie zaskakujące?

Trond podsunął łufę pod brodę Beatę i uniósł jej twarz. - Beatę, możesz być tak miła i liczyć dla nas? Znów posługiwał się tym teatralnym tonem.

- Od jednego do dwudziestu pięciu. Nie za szybko i nie za wolno.

- Nad jedną rzeczą się zastanawiam - mówił Harry. - Co ona ci powiedziała tuż przed tym, jak do niej strzeliłeś?

- Chciałbyś to wiedzieć, co, Harry?

- Owszem, chciałbym.

- No to Beatę ma dwie sekundy do rozpoczęcia liczenia. Jeden...

- Beatę, licz!

- Jeden. - Jej głos był zaledwie suchym szeptem. - Dwa.

- Stine wydała na siebie i Lva ostateczny wyrok śmierci - powiedział Trond.

- Trzy.

- Powiedziała, że ją mogę zastrzelić, ale jego muszę oszczędzić. Harry poczuł dławienie w gardle, uścisk wokół pistoletu zelżał.

- Cztery.

- Innymi słowy, zastrzeliłby Stine bez względu na to, ile czasu kierownik poświęciłby na włożenie pieniędzy do torby? - spytał Halvorsen.

Harry z ponurą miną to potwierdził.

- Ponieważ jesteś taki wszystkowiedzący, zakładam, że znasz również jego drogę ucieczki - powiedział Ivarsson. Usiłował nadać swojemu głosowi lekko kwaśny, a zarazem zabawny ton, lecz irytacja przebijała przez niego zbyt wyraźnie.

- Nie znam, ale przypuszczam, że wrócił tą samą drogą. Poszedł przez Industrigata, dalej w dół Pilestredet, wstąpił na plac budowy, gdzie ściągnął kominiarkę, a na plecach kombinezonu umocował napis „Policja”. Wrócił do centrum SATS w czapce z daszkiem i ciemnych okularach. Nie zrobił nic, by ukryć się przed obsługą, skoro i tak nie mogła go poznać. Poszedł do szatni, przebrał się z powrotem w strój treningowy, który miał na sobie po przyjściu z pracy, wtopił się w tłum na siłowni, trochę pojeździł na rowerze, trochę popodnosił ciężary. Potem wziął prysznic, wyszedł do recepcji i zgłosił kradzież rakiety do

squasha. Dziewczyna, która przyjęła zgłoszenie, dokładnie odnotowała czas. 16.02. Alibi było gotowe, mógł wyjść na ulicę, posłuchać muzyki syren i wrócić do domu. Na przykład.

- Nie wiem, czy zrozumiałem, jaki był cel tego oznakowania policyjnego - powiedział szef Biura Kryminalnego. - Przecież my, w policji, nie używamy kombinezonów.

- Elementarna psychologia - stwierdziła Beatę i zaraz się zaczerwieniła, widząc, że naczelnik unosi brew.

- Nie mam na myśli tego, że elementarna w rozumieniu no... oczywista.

- Mów dalej - zachęcił naczelnik.

- Trond Grette rzecz jasna wiedział, że policja będzie szukać wszystkich osób w kombinezonach, jakie uda się zauważyć w okolicy. Dlatego musiał mieć na swoim kombinezonie coś, co sprawi, że policja od razu wyeliminuje tę niezidentyfikowaną osobę w SATS. A na mało co ludzie bardziej zwracają uwagę niż na napis „POLICJA”.

- Interesujące stwierdzenie - powiedział Ivarsson z kwaśnym uśmiechem i podparł brodę na dwóch palcach.

- Ona ma rację - potwierdził szef Biura Kryminalnego. - Wszyscy mają potrzebę odrobiny lęku przed autorytetami. Proszę mówić dalej, Lonn.

- Aby mieć całkowitą pewność, wystąpił w roli świadka i bez zachęcania opowiedział o mężczyźnie, którego widział przechodzącego przez salę ćwiczeń w kombinezonie z napisem.

- Co oczywiście samo w sobie było dość genialnym posunięciem - włączył się Harry. - Grette powiedział to tak, jakby nie zdawał sobie sprawy, że napis „POLICJA” od razu dyskwalifikował tego człowieka. Ale to oczywiście wzmocniło w naszych oczach jego wiarygodność. Przecież dobrowolnie powiedział coś, co mogło - z jego punktu widzenia - uplasować go na drodze ucieczki mordercy.

- Co? - powiedział Molier. - Powtórz to ostatnie jeszcze raz, Harry. Tylko powoli.

Harry już nabrał powietrza w płuca.

- A zresztą, daj spokój - westchnął Molier. - Głowa mnie boli.

- Siedem.

- Ale nie zrobiłeś tego, o co cię prosiła - powiedział Harry. - Nie oszczędziłeś brata.

- Oczywiście, że nie - odparł Trond. - Czy on wiedział, że to ty ją zabiłeś?

- Miałem tę radość, że sam go o tym poinformowałem. Przez komórkę. Siedział na Gardermoen i czekał na nią. Powiedziałem, że jeśli nie wsiądzie do tego samolotu, przyjdę i jego również załatwię.

- On ci uwierzył, kiedy wyznałeś, że zabiłeś Stine? Trond roześmiał się.

- Lev mnie znał. Nawet przez moment nie miał wątpliwości. Gdy przedstawiałem mu szczegóły, siedział w poczekalni dla biznesmenów i czytał w telegazecie o napadzie na bank. Rozłączył się, gdy usłyszałem, że wywołują jego samolot. Jego i Stine. No, no, ty! - Znow przystawił lufę karabinu do czoła Beatę.

- Osiem.

- Pewnie sądził, że ucieka w bezpieczne miejsce - powiedział Harry. - Przecież nie wiedział o kontrakcie w Sao Paulo.

- Lev był złodziejem, ale naiwnym. Nigdy nie powinien mi być dawać tego sekretnego adresu w d'Ajuda.

- Dziewięć.

Harry starał się nie słuchać monotonnego jak głos robota głosu Beatę.

- Wysłałeś więc instrukcje płatnemu mordercy, razem z listem pożegnalnym. Napisałeś go takim charakterem pisma jak ten, którym kiedyś pisałeś bratu wypracowania.

- No proszę - powiedział Trond. - Dobra robota, Harry. Oprócz tego, że został wysiany jeszcze przed napadem.

- Dziesięć.

- Płatny morderca też zrobił dobrą robotę - zauważył Harry. - To naprawdę mogło wyglądać, że Lev sam się powiesił. Chociaż brakujący mały palec wprowadzał pewną dezorientację. To było pokwitowanie?

- Powiedzmy, że mały palec najlepiej mieści się w zwykłej kopercie.

- Sądziłem, że nie znosisz widoku krwi, Trond.

- Jedenaście.

Harry poprzez świszczący i wciąż wzmagający się wiatr usłyszał daleki odgłos grzmotu. Pola i drogi wokół nich opustoszały, jak gdyby wszyscy ludzie poszukali już sobie schronienia przed tym, co miało nastąpić.

- Dwanaście.

- Dlaczego po prostu się nie poddasz? - zawołał Harry. - Rozumiesz chyba, że to beznadziejne?

- Oczywiście, że beznadziejne - roześmiał się Trond. - I właśnie o to chodzi. Żadnej nadziei. Nic do stracenia.

- Trzynaście.

- Jaki więc jest plan, Trond?

- Plan? Mam dwa miliony koron pochodzących z napadu na bank i plany długiego, choć może nie bardzo szczęśliwego życia na wygnaniu. Wyjazd trzeba nieco przyspieszyć,

lecz jestem na to przygotowany. Samochód stoi spakowany od dnia napadu. Możecie wybierać. Chcecie zostać zastrzeleni, czy przykuci kajdankami do siatki?

- Czternaście.

- Dobrze wiesz, że to się nie uda - powiedział Harry.

- Uwierz mi, wiem doskonale, jak się znika. Lev nie zajmował się niczym innym. Wystarczy mi zaledwie dwudziestominutowe wyprzedzenie. W tym czasie zdążę dwukrotnie zmienić środek transportu i tożsamość. Mam cztery samochody i cztery paszporty na opracowanej trasie ucieczki. Mam też dobre kontakty. Na przykład w Sao Paulo. Dwadzieścia milionów mieszkańców, tam możecie zacząć mnie szukać.

- Piętnaście.

- Twoja koleżanka niedługo umrze, Harry. Na czym więc stanie?

- Powiedziałeś nam już za dużo - stwierdził Harry. - I tak nas zabijesz.

- Możesz zaryzykować, żeby to sprawdzić. Jakie są twoje rozwiązania?

- Że ty umrzesz przede mną. - Harry naładował pistolet.

- Szesnaście - szepnęła Beatę.

Harry skończył.

- Zabawna teoria, Hole - stwierdził Ivarsson. - Zwłaszcza ta z płatnym mordercą w Brazylii. Bardzo... - wyszczerzył drobne ząbki w uśmiešku. -...egzotyczna. Nie masz czegoś więcej? Na przykład dowodów?

- Charakter pisma w liście pożegnalnym.

- Przecież przed chwilą powiedziałeś, że to pismo różni się od charakteru pisma Tronda Grette.- Takiego, jakim pisze zazwyczaj. Ale w wypracowaniach...

- Masz świadka, że to Trond Grette napisał?

- Nie - odparł Harry. Ivarsson jęknął.

- Innymi słowy nie masz żadnego decydującego dowodu w tej sprawie o morderstwo.

- O zabójstwo - powiedział Harry cicho, patrząc na Ivarssona. Kątem oka widział Moliera z zawstyżeniem wpatrującego się w podłogę i Beatę załamującą rękę. Naczelnik Biura Kryminalnego chrząknął znacząco.

Harry odbezpieczył pistolet.

- Co robisz? - Trond zmrużył oczy i pchnął Beatę lufą w czoło, aż głowa jej odskoczyła.

- Dwadzieścia jeden - wyjęczała.

- Czy to nie cudowne - spytał Harry - kiedy wreszcie uświadamiasz sobie, że nie masz nic do stracenia? Wszystkie wybory są dzięki temu łatwiejsze.

- Blefujesz.

- Doprawdy? - Harry przysunął pistolet do swego lewego przedramienia i nacisnął spust. Strzał był głośny i ostry, upłynęło kilka dziesiątych części sekundy, zanim echo odbite od bloków powróciło. Trond widział, jak w skórzanej kurtce policjanta pojawia się nierówna poszarpana dziura. Biały kłaczek wełny z wypełnienia porwał wiatr. Zaczęło kapać. Ciężkie czerwone krople spadały na ziemię z głuchym odgłosem tykania. Spadały na mieszankę żwiru i gnijącej trawy i wsiąkały w ziemię.

- Dwadzieścia dwa.

Krople robiły się coraz większe i skapywały coraz szybciej, niczym przyspieszający metronom. Harry uniósł pistolet, wysunął lufę przez jedno z oczek w siatce i wycelował.

- Tak wygląda moja krew, Trond - powiedział tak cicho, że ledwie go było słychać. - Popatrzmy sobie na nią?

W tej samej chwili chmury dotarły do słońca.

- Dwadzieścia trzy.

Mroczny cień niczym ściana nasuwał się od zachodu, najpierw na pola, potem na szeregowce, na bloki, na czerwoną ceglaną mączkę i na troje ludzi. Temperatura też spadała, gwałtownie, jak gdyby ktoś, kto zagroził drogę światłu, nie tylko odciął dopływ ciepła, lecz sam promieniował zimnem. Ale Trond nie zwracał na to uwagi. Czuł jedynie i widział krótki urywany oddech policjantki, jej bladą pozbawioną wyrazu twarz i lufę pistoletu gliniarza wpatrującą się w niego jak czarne oko, które wreszcie odnalazło tego, kogo szukało, już go prześwidrowało, rozdarło i rozłożyło na cząstki. W oddali huknął grzmot. Ale on słyszał jedynie odgłos krwi. Policjant był rozpruty i wyciekało z niego wewnątrz. Krew, ropa, życie. Kapało na trawę, z lekkim cmoknięciem, jak gdyby nie było przez nią pochłaniane, tylko samo pochłaniało jakby wżerało się w ziemię. Trond wiedział, że nawet gdyby zamknął oczy i zatkał uszy, wciąż słyszałby w nich szum własnej krwi, jej śpiew i ciśnienie, jak gdyby chciała się wydostać.

Czuł mdłości niczym łagodny ból porodowy, niczym płód, który miał urodzić ustami. Przełknął ślinę, ale ciecz płynęła szybko ze wszystkich gruczołów. Smarowała jego wewnątrz, przygotowywała go. Ziemia, bloki i kort tenisowy zostały z wolna wprowadzone w ruch. Trond skulił się, próbował się skryć za policjantką, lecz była za mała, zbyt przezroczysta, niczym cienka firanka życia drżąca w podmuchach wiatru. Uchwycił się mocniej broni, jak gdyby to ona go podtrzymywała, nie odwrotnie. Przycisnął palec do spustu, ale czekał. Musiał czekać. Na co? Aż strach odpuści, aż wszystko wróci do równowagi. Ale do równowagi nic nie wróci. Będzie jedynie wirować, nie uspokoi się, dopóki nie rozbije się o dno. Wszystko było

upadkiem już od chwili, gdy Stine oświadczyła, że wyjeżdża. A szum w uszach nieustannie mu przypominał, że prędkość jest coraz większa. Każdego ranka budził się i myślał, że teraz musi się już wreszcie przyzwyczać do tego opadania. Lęk musi kiedyś minąć. Zakończenie było przecież już przesądzone. Ból już przeżyty. Tak jednak się nie działo. A potem zaczął tęsknić za osiągnięciem dna, za tym dniem, gdy przynajmniej przestanie się już bać. Tymczasem teraz, gdy wreszcie zobaczył dno pod sobą, bał się jeszcze bardziej. Pejzaż po drugiej stronie drucianej siatki z szumem zbliżał się w jego stronę.- Dwadzieścia cztery.

Beatę byia już prawie na miejscu. Miała słońce w oczach, stała w oddziale banku w Ryen, a światło z zewnątrz oślepiało, wszystko w jego blasku wydawało się białe i twarde. Ojciec stał obok, milczący jak zwykle. Matka skądś wołała, ale z daleka. Zawsze tak się działo. Beatę liczyła szyby w oknach, lata, pocałunki i klęski. Było ich wiele. Dziwiło ją, że aż tyle. Pamiętała twarze, Paryż, Praga, jakiś uśmiech pod czarną grzywką, niezdarnie sformułowane wyznanie miłości, zdyszane wystraszone „boli?” I restaurację w San Sebastian, na którą nie było ją stać, lecz w której mimo wszystko zamówiła stolik. Może jednak powinna być wdzięczna?

Oderwała się od tych myśli, gdy koniec - lufy stuknął ją w czoło. Obrazy zniknęły i na ekranie pozostała jedynie szumiąca śnieżycą. Pomyślała: Dlaczego ojciec zawsze tylko stał obok mnie? Dlaczego o nic mnie nie poprosił? Nigdy tego nie zrobił i za to go nienawidziła. Czy wiedział, że jej największym pragnieniem jest coś dla niego zrobić? Wszystko jedno co. Chodziła tam, gdzie on chodził, lecz gdy znalazła bandytę, zabójcę, i pragnęła ofiarować ojcu jego zemstę, ich zemstę, on stanął obok niej, jak zawsze milczący, i nie chciał tego przyjąć.

Teraz ona znalazła się na tej samej pozycji co on i wszyscy inni ludzie, których widziała na filmach z napadów, oglądanych nocą w House of Pain, i zastanawiała się, co w takiej chwili myślał. Teraz ona również to przeżywała, lecz odpowiedzi na swoje pytanie wciąż nie znała.

A potem ktoś zgasił światło. Słońce zniknęło i Beatę zanurzyła się w chłód. I właśnie w tej ciemności znów się obudziła. Jak gdyby to pierwsze budzenie było tylko przejściem w inny sen.

I znów zaczęła liczyć. Teraz jednak liczyła miejsca, w których nie była, ludzi, których nie poznała, łzy, których nie wypłakała, i słowa, których nikt jej jeszcze nie mówił.

- Owszem - powiedział Harry. - Mam ten dowód. - Wyjął jakąś kartkę i położył ją na stole.

Ivarsson i Molier pochyłili się nad nią jednocześnie, o mało nie zderzając się głowami.

- Co to jest? - warknął Ivarsson. - Przyjemny dzień?

- Takie bazgroły - odparł Harry. - Zapisane w bloku rysunkowym w Gaustad, w szpitalu psychiatrycznym. Dwóch świadków. Ja i Beatę Lonn. Byliśmy przy tym obecni i możemy zaświadczyć, że to napisał Trond Grette.

- I co z tego?

Harry popatrzył na nich. Potem obrócił się plecami i wolno podszedł do okna.

- Oglądaliście kiedyś swoje własne bazgroły, które powstają, gdy wydaje się wam, że siedzicie i myślicie o czymś innym? Potrafią wiele ujawnić. Dlatego wziąłem ze sobą tę kartkę, żeby zobaczyć, czy to ma jakiś sens. Początkowo tak nie było. Chodzi mi o to, że kiedy twoja żona akurat została zabita, a ty sam siedzisz na zamkniętym oddziale psychiatrycznym i piszesz raz po raz „przyjemny dzień”, to albo jesteś kompletnym szaleńcem, albo twoje notatki są dokładnie przeciwne do twoich odczuć. Przyjemny dzień. Ale potem coś sobie nagle uświadomiłem.

Miasto było bladoszare jak twarz starego zmęczonego człowieka, lecz dzisiaj w słońcu lśniły jeszcze nieliczne kolory, które mu zostały. Niczym ostatni uśmiech przed pożegnaniem, pomyślał Harry.

- Przyjemny dzień - powiedział. - To nie jest myśl, komentarz, czy jakieś twierdzenie. To tytuł. Tytuł wypracowania, jakie się pisze w szkole podstawowej.

Za oknem przeleciała pokrzywnica.

- Trond Grette nie myślał. On po prostu automatycznie bazgrał. Tak jak w czasach szkolnych, kiedy ćwiczył nowy charakter pisma. Jean Hue, grafolog z Kripos, już potwierdził, że ta sama osoba, która napisała te bazgroły, napisała również list pożegnalny. I wypracowania.

Można było odnieść wrażenie, że film się zatrzymał. Zamrożono klatkę, obraz znieruchomiał. Nikt się nie poruszył, nie padło ani jedno słowo, słychać było tylko monotonny szum kopiarki na korytarzu.

Wreszcie to sam Harry odwrócił się i przerwał ciszę.

- Widzę, że nastrój jest właściwy, abym razem z Beatą Lonn sprowadził Tronda Grette na przesłuchanie.

- Cholera, cholera! - Harry usiłował trzymać pistolet prosto, ale ból go osłabiał, a porywy wiatru szarpały ciałem. Trond zareagował na widok krwi dokładnie tak, jak Harry miał na to nadzieję, i przez moment linia strzału była wolna. Zawahał się jednak i teraz Trond przesunął Beatę tak, że Harry widział zaledwie fragment jego głowy i barków. Jaka ona podobna, Boże, jaka podobna! Zamrugał, chcąc wyostrzyć obraz. Kolejny poryw wiatru był tak mocny, że szarpnął szarym płaszczem na ławce i przez moment wyglądało to tak, jakby

przez kort przebiegł jakiś niewidzialny człowiek, ubrany jedynie w prochowiec. Harry wiedział, że zaraz nastąpi oberwanie chmury, że masy powietrza, popychane ścianą deszczu są ostatnim ostrzeżeniem. Potem zrobiło się ciemno, jak gdyby nagle nastąpiła noc, a dwa ciała przed nim stopiły się w jedno. W tej samej chwili spadły pierwsze duże ciężkie krople.

- Dwadzieścia pięć. - Głos Beatę stał się nagle donośny i wyraźny.

W błysku światła Harry widział cienie ich ciał na czerwonej nawierzchni. Huk, jaki nastąpił, był tak głośny, że otulił watą uszy. Jedno z ciał oderwało się od drugiego i osunęło na ziemię.

Harry upadł na kolana i usłyszał swój własny krzyk:

- Ellen!

Zobaczył, że postać, wciąż stojąca za siatką, odwraca się i kieruje w jego stronę z bronią w ręku. Wycelował, ale deszcz strumieniami zalewał mu twarz i oślepiał. Mrugnął i wycelował jeszcze raz. Nic już nie czuł. Ani bólu, ani zimna, smutku czy triumfu. Jedynie wielkie nic. Rzeczy przestały mieć sens, powtarzały się tylko w odwiecznej mantrze, która tłumaczyła sama siebie. Życ, umrzeć, zmartwychwstać, żyć, umrzeć. Do połowy wcisnął spust. Wycelował.

- Beatę? - szepnął.

Kopniakiem otworzyła drzwi z siatki i rzuciła mu AG3.

- Co... się stało?

- Drgawki z Setesdalen - powiedziała.

- Płasawica?

- Nie wytrzymał tego, biedaczysko. - Pokazała mu prawą rękę. Deszcz rozmywał i splukiwał krew płynącą z dwóch ran na kostkach dłoni. - Czekałam tylko, aż coś odwróci jego uwagę, a ten grzmot wystraszył go do szaleństwa. Ciebie, jak widzę, również.

Popatrzyli na ciało leżące bez życia w lewym narożniku.

- Pomożesz mi założyć mu kajdanki, Harry?

Jasne włosy kleiły jej się do twarzy, ale Beatę nie zwracała na to uwagi. Uśmiechała się.

Harry obrócił się twarzą do deszczu i zamknął oczy.

- Boże w niebiosach, ta nieszczęsna dusza odzyska wolność dopiero dwunastego lipca dwa tysiące dwudziestego pierwszego roku. Zmiłuj się nad nią!

- Harry? Otworzył oczy. - Tak?

- Jeśli ma odzyskać wolność w dwa tysiące dwudziestym pierwszym, to powinniśmy jak najszybciej dostarczyć go do Budynku Policji.

- Nie chodzi mi o niego - Harry wstał. - Tylko o mnie. Dopiero wtedy będę mógł odejść na emeryturę.

Objął ją ramieniem i uśmiechnął się.

- Płasawica? No wiesz...

50 WZGÓRZE EKEBERG

W drugim tygodniu grudnia znów zaczął padać śnieg, tym razem już na poważnie. Układał się w zasy pod ścianami domów, a zapowiadano, że można się spodziewać dalszych opadów. W środę po południu Trond Grette przyznał się do winy. Po naradzie z adwokatem opowiedział, jak zaplanował, a następnie zrealizował zabójstwo żony.

Śnieg padał przez całą noc, a następnego dnia Trond przyznał się również do zlecenia zabójstwa brata. Mężczyzna, któremu zapłacił za tę robotę, nazywał się El Ojo, Oko, i zmieniał pseudonim artystyczny i numer komórki co tydzień. Trond spotkał go tylko raz, na parkingu w Sao Paulo, gdzie omawiali szczegóły. El Ojo dostał tysiąc pięćset dolarów zaliczki, resztę w papierowej torebce Trond umieścił w skrytce bagażowej na dworcu Tiete. Umówili się, że list samobójcy wyśle na adres poczty w Campos Belos, dzielnicy miasta położonej na południe od centrum, a później, gdy już otrzyma mały palec Lva, w to samo miejsce wyśle klucz.

Jedyny moment zatracający o pewną wesołość podczas długich przesłuchań nastąpił wtedy, gdy Trond na pytanie, w jaki sposób jako turysta zdołał nawiązać kontakt z zawodowym mordercą, odparł, iż było to znacznie prostsze niż znalezienie w Norwegii rzemieślnika. Analogia nie była wcale przypadkowa.- Kiedyś Lev opowiedział mi o tym - mówił Trond. - W gazecie „Folha de Sao Paulo” płatni zabójcy ogłaszają się jako *plomeros* obok reklam seks-telefonów.

- Pio... co?

- *Plomeros*. Hydraulicy.

Halvorsen przesłał te skąpe informacje do ambasady brazylijskiej, która powstrzymała się od złośliwości i uprzejmie obiecała zająć się wyjaśnieniem sprawy.

Karabin AG3, którym Trond posłużył się podczas napadu, należał do Lva i przechowywany był na strychu na Disengrenda już od wielu lat. Ustalenie, skąd pochodził, okazało się niemożliwe, gdyż numer seryjny został zeszlifowany.

Dla ubezpieczyciela w konsorcjum Nordei Wigilia nadeszła wyjątkowo wcześniej, ponieważ pieniądze skradzione podczas napadu na Bogstadveien odnaleziono w bagażniku

samochodu Tronda. Nie zniknęła ani jedna korona.

Płynęły dni, śnieg padał, a przesłuchania trwały. W pewne piątkowe popołudnie, kiedy wszyscy byli już bardzo zmęczeni, Harry spytał Tronda, dlaczego nie zwymiotował wtedy, gdy strzelił swojej żonie w głowę. Przecież nie znosi widoku krwi.

Trond długo się przyglądał kamerze wideo w rogu, a potem tylko pokręcił głową.

Ale kiedy już skończyli i szli przez Kanał z powrotem do celi w areszcie, nagle odwrócił się do Harry'ego.

- Krew jest różna.

W weekend Harry siedział na krześle przy oknie i patrzył, jak Oleg z chłopcami z sąsiedztwa budują w ogrodzie otaczającym drewnianą willę twierdzę ze śniegu. Rakel spytała, o czym myśli, a on o mały włos wszystkiego z siebie nie wyrzucił. Zamiast tego zaproponował, żeby wybrali się na spacer. Poszła po czapkę i rękawiczki. Kiedy minęli skocznię Holmenkollen, Rakel spytała, czy nie powinni zaprosić na Wigilię do niej do domu ojca i siostry Harry'ego.

- Przecież nikogo więcej nie będzie - powiedziała, ściskając go za rękę. W poniedziałek Harry i Halvorsen wrócili do sprawy Ellen. Zaczęli od początku. Od przesłuchań świadków, których już wzywali, od czytania starych raportów, od sprawdzania donosów, które czekały na swoją kolej, i analizowania dawnych śladów, które, jak się okazało, już wystygły.

- Masz adres tego faceta, który twierdził, że widział Sverrego Olsena razem z jakimś facetem w czerwonym samochodzie na Griinerlokka? - spytał Harry.

- Kvinsvik. Podany jest adres jego rodziców, ale wątpię, byśmy go tam znaleźli.

Harry, wchodząc do pizzerii U Herberta i pytając o Roya Kvinsvika, nie spodziewał się szczególnej chęci do współpracy. Ale postawił piwo jakiemuś młodemu facetowi z logo Związku Narodowego na koszulce i dowiedział się, że obowiązek dochowania tajemnicy nie dotyczy już Roya, ponieważ ten ostatnio zerwał z dawnymi przyjaciółmi. Roy najwyraźniej poznał jakąś religijną dziewczynę i utracił wiarę w nazizm. Nikt nie wiedział, kim jest ta dziewczyna, ani gdzie Roy teraz mieszka. Ale ktoś podobno widział, jak stał i śpiewał pod Filadelfią, zborem zielonoświątkowców.

Śnieg układał się w coraz większe zasy, a pługi śnieżne wahadłowo jeździły ulicami centrum.

Kobieta postrzelona w oddziale DnB na Grensen została wypisana ze szpitala. W „Dagbladet” jednym palcem pokazywała, którędy weszła kula, a dwoma, jak mało brakowało, by trafiła w serce. Urzędniczka wracała teraz do domu, gdzie miała przygotować święta dla

męża i dzieci, tak napisała gazeta.

W środę rano o dziesiątej w tym samym tygodniu Harry starannie otupał śnieg z butów przed salą konferencyjną numer trzy w Budynku Policji, zanim zastukał do drzwi.

- Proszę wejść, Hole - warknął głos sędziego Valderhauga, szefa Komisji Kontroli Wewnętrznej SEFO, prowadzącej śledztwo w sprawie strzelaniny w Magazynie Portowym. Harry musiał zająć miejsce przed komisją składającą się z pięciu osób. Oprócz sędziego Valderhauga był w niej prokurator, dwoje śledczych, mężczyzna i kobieta, oraz adwokat Ola Lunde, którego Harry znał jako twardego, ale porządnego faceta, profesjonalistę.

- Bardzo chcielibyśmy poznać stanowisko prokuratora okręgowego przed przerwą świąteczną - zaczął Valderhaug. - Czy możesz nam jak najkrócej, ale zarazem ze wszystkimi szczegółami przedstawić swój związek ze sprawą? Harry przy wtórze klikania klawiatury komputera, którego używał oficer śledczy, opowiedział więc o swoim krótkim spotkaniu z Alfem Gunnerudem. Kiedy skończył, sędzia Valderhaug mu podziękował, przez chwilę szeleścił papierami, aż wreszcie znalazł to, czego szukał. Spojrzał na Harry'ego ponad okularami.

- Twoja randka z Gunnerudem była krótka, ale jakieś wrażenie po sobie pozostawił. Chcielibyśmy wiedzieć, czy byłeś zaskoczony, dowiadując się, że on wyciągnął broń do policjanta.

Harry zastanowił się, co pomyślał, gdy ujrzał Gunneruda na schodach. Zobaczył wtedy chłopca, który obawiał się, że dostanie kolejne lanie, a nie zahartowanego zabójcę. Spojrzał sędziemu w oczy i odparł:

- Nie.

Valderhaug zdjął okulary.

- Ale kiedy Gunnerud cię zobaczył, wolał uciec, zamiast sięgać po broń. Dlaczego więc zmienił taktykę podczas spotkania z Waalerem, jak sądzisz?

- Nie wiem - powiedział Harry. - Nie było mnie przy tym.

- Ale nie uważasz tego za dziwne?

- Owszem.

- Przed chwilą powiedziałeś, że nie byłeś zaskoczony. Harry odchylił się lekko do tyłu razem z krzesłem.

- Już długo jestem policjantem, panie sędzio. Przestało mnie dziwić to, że ludzie robią dziwne rzeczy. Nawet mordercy.

Valderhaug znów włożył okulary, a Harry'emu wydało się, że widzi cień uśmiechu na pomarszczonej twarzy. Ola Lunde chrząknął.

- Jak wiesz, komisarz Tom Waaler był przez krótki czas zawieszony w związku z podobnym epizodem w ubiegłym roku, związanym z zatrzymaniem młodego neonazisty.

- Sverrego Olsena - odparł Harry.

- Tamtym razem SEFO doszła do wniosku, że nie ma podstaw, aby prokurator okręgowy przedstawił mu zarzuty.

- Poświęciliście tej sprawie tylko tydzień - stwierdził Harry.

Ola Lunde popatrzył pytająco na Valderhauga, który pokiwał głową.

- Mimo tego - powiedział Lunde - oczywiście dziwi nas, że ten sam człowiek ponownie znalazł się w takiej samej sytuacji. Wiemy, że w policji panuje wielka solidarność i że nikt nie chce przyczynić się do ukarania kolegi przez... e...

- Donoszenie na niego - dokończył Harry.

- Słucham?

- Wydaje mi się, że słowem, którego pan szukał jest „donoszenie”. Lunde znów wymienił spojrzenia z Valderhaugiem.

- Rozumiem, o co ci chodzi, lecz wolimy określać to jako przedstawianie ważnych dla sprawy informacji, dzięki którym zachowane zostaną istotne zasady. Zgadzasz się, Hole?

Krzesło Harry'ego wylądowało na przednich nogach z głuchym stuknięciem.

- Tak, tak, oczywiście. Tyle że ja nie potrafię nazwać tego tak pięknie. Valderhaug nie był już w stanie dłużej skrywać uśmiechu.

- Nie jestem tego wcale taki pewien, Hole - odparł Lunde, który sam zaczynał już się uśmiechać. - To dobrze, że się ze sobą zgadzamy. A ponieważ ty i Waaler pracujecie razem już od kilku lat, chętnie wykorzystamy cię jako świadka, mogącego opisać jego charakter. Inne osoby, z którymi rozmawialiśmy, wspominały o bezkompromisowości Waalera w kontaktach z przestępcami, a częściowo również z nieprzestępcami. Czy to możliwe, aby Tom Waaler w chwili nierozwagi mógł zastrzelić Alfa Gunneruda?

Harry długo wyglądał przez okno. Wśród padającego śniegu ledwie dostrzegał zarysy wzgórza Ekeberg. Wiedział jednak, że ono tam jest. Siedział za swoim biurkiem w Budynku Policji od wielu lat i wzgórze zawsze tam było. I zawsze miało tam być. Zielone latem, a czarnobiałe zimą. Nie dało się go przesunąć. Było po prostu faktem. W faktach przyjemne jest to, że nie trzeba się zastanawiać, czy są mile widziane, czy nie.

- Nie - powiedział. - Nie, to niemożliwe, aby Tom Waaler mógł zastrzelić Alfa Gunneruda w chwili nierozwagi.

Jeśli ktoś z komisji SEFO zwrócił uwagę na lekki nacisk, z jakim Harry wymówił słowo „nierozwaga”, to w każdym razie nie powiedział o tym głośno.

Kiedy wyszedł na korytarz, z krzesła podniósł się Weber.

- Następny proszę - powiedział Harry. - Co tam masz? Weber podniósł do góry plastikową torebkę.

- Pistolet Gunneruda. Muszę tam iść, żeby mieć to już za sobą.- Mhm. - Harry wyjął papierosa z paczki. - Dość niezwykła broń.

- Izraelska - odparł Weber. - Iericho 941.

Harry stał wpatrzony w drzwi, które zatrzasnęły się za Weberem, aż do chwili, gdy przechodzący obok Molier zwrócił mu uwagę, że trzyma w ustach niezapalonego papierosa.

W Wydziale Napadów panował dziwny spokój. Śledczy najpierw żartowali, że Ekspedytor schował się w gawrze na zimę, teraz jednak mówili, że dał się zastrzelić i pochować w jakimś tajemniczym miejscu, aby stać się legendą. Śnieg kładł się na dachach miasta, zsuwał się z nich, zastępował go świeży, a dym z kominów wolno unosił się w niebo.

Wydziały Zabójstw, Napadów i obyczajówka zorganizowały wspólne przyjęcie świąteczne w kantynie. Każdemu przydzielono miejsce przy stole. Bjarne Molier, Beatę Lonn i Halvorsen siedzieli obok siebie. Między nimi stało puste krzesło i talerzyk z nazwiskiem Harry'ego.

- Gdzie on jest? - spytał Molier, nalewając wina Beatę.

- Wyszedł szukać kumpla Sverrego Olsena, który twierdził, że widział Olsena z jakimś innym facetem tej nocy, gdy zabito Ellen - odparł Halvorsen, który usiłował otworzyć butelkę piwa jednorazową zapalniczką.

- To frustrujące - stwierdził Molier. - Ale powiedzcie mu, żeby się nie zarobił na śmierć. Przecież mimo wszystko można przyjść na imprezę świąteczną.

- Sam spróbuj mu to wytłumaczyć - zaproponował Halvorsen.

- Może po prostu nie miał ochoty być tutaj - powiedziała Beata. Dwaj mężczyźni popatrzyli na siebie i uśmiechnęli się.

- O co chodzi? - roześmiała się Beata. - Myśleliście, że ja nie znam Harry'ego?

Wzniesli toast. Halvorsen nie przestawał się uśmiechać. Cały czas patrzył. Było coś, nie potrafił określić co, co się w niej zmieniło. Ostatnio widział ją w sali konferencyjnej, ale wtedy nie dostrzegł tego życia w oczach, krwi w wargach, jej postawy, prostych pleców.

- Harry woli więzienie od takich imprez - stwierdził Molier i opowiedział im historię o tym, jak to Linda z recepcji w POT zmusiła go do tańca. Beatę śmiała się do łez. Potem odwróciła się do Halvorsena i, lekko krzywiąc głowę, spytała:

- A ty tylko patrzysz, Halvorsen?

Poczuł rumieniec występujący na policzki i zdołał jedynie niezdarnie wykrztusić

„nie”, kiedy Beatę i Molier znów wybuchnęli śmiechem.

Później wieczorem zebrał się na odwagę i spytał, czy nie miałyby ochoty zatańczyć. Molier siedział sam, dopóki krzesła Beatę nie zajął Ivarsson. Był pijany, bełkotał i chciał rozmawiać o tamtym dniu, kiedy siedział do szaleństwa wystraszony za samochodem przed oddziałem banku w Ryen.

- To już tak dawno, Rune - łagodził Molier. - Ledwie wtedy wyszedłeś ze szkoły. I tak nic byś na to nie zaradził.

Ivarsson odchylił głowę i długo na niego patrzył. Potem wstał i odszedł, a Molier pomyślał, że Ivarsson jest jedną z tych osób, które są samotne, nie zdając sobie z tego sprawy.

Kiedy didżeje Li i Li puścili *Purple Rain*, Beatę z Halvorsenem wpadli na inną tańczącą parę. Halvorsen poczuł, że partnerka nagle zdrętwiała.

- Przepraszam - powiedział głęboki głos, a w półmroku zalśniły białe mocne zęby w uśmiechu Hasselhoffa.

Kiedy wieczór się skończył, nie dało się zamówić taksówki, Halvorsen zaofiarował się więc, że odprowadzi Beatę do domu. Ruszyli na wschód przez śnieg i upłynęła ponad godzina, nim stanęli pod jej drzwiami na Oppsal.

Pod domem Beatę uśmiechnęła się do niego.

- Jeśli masz ochotę, to zapraszam.

- Chętnie - odparł. - Bardzo dziękuję.

- Wobec tego jesteście umówieni. Uprzedzę jutro mamę.

Życzył jej dobrej nocy, pocałował ją w policzek i wyruszył na wyprawę polarną, tym razem kierując się na zachód.

Siedemnastego grudnia Norweska Agencja Prasowa poinformowała, że wkrótce pobity zostanie liczący już dwadzieścia lat rekord opadów dla grudnia.

Tego samego dnia SEFO wydało opinię na temat Toma Waalera.

Stwierdzono w niej, że nie ujawniono żadnych nieregulaminowych błędów, przeciwnie, Tom Waaler został pochwalony za właściwe działanie i za opanowanie w tej bardzo dramatycznej sytuacji. Naczelnik Biura Kryminalnego zatelefonował do komendanta okręgowego policji i delikatnie wypytał go, czy jego zdaniem nie powinien wytypować Toma Waalera do odznaczenia, lecz ponieważ rodzina Alfa Gunneruda zaliczała się mimo wszystko do zasłużonych dla Oslo - jego stryj zasiadał w radzie miasta - doszli do wniosku, że nie wypada.

Harry tylko krótko kiwnął głową, gdy Halvorsen przyszedł z informacją o powrocie Waalera do służby.

Nadeszła Wigilia i spokój świąt Bożego Narodzenia otoczył świat, a w każdym razie małą Norwegię. Rakiel wypędziwszy Harry'ego i Olega z domu, zajęła się przygotowaniem uroczystego obiadu. Gdy wrócili, w całym domu pachniało żeberkami. Olaf Hole, ojciec Harry'ego przyjechał razem z Sio taksówką.

Sio była zachwycona domem, jedzeniem, Olegiem, wszystkim. Przy obiedzie razem z Rakiel gadały jak stare przyjaciółki, natomiast stary Olaf i młody Oleg siedzieli naprzeciwko siebie i wymieniali przeważnie jednosylabowe słowa. Obaj odtajali jednak, gdy przyszedł czas rozdawania prezentów i Oleg otworzył wielką paczkę z karteczką „Od Olafa dla Olega”. W środku były dzieła zebrane Juliusza Verne'a. Oleg z otwartą buzią zaczął przeglądać jedną z książek.

- To on napisał tę historię o rakiecie na księżyc, którą Harry ci czytał - wyjaśniła synkowi Rakiel.

- W środku są oryginalne ilustracje. - Harry pokazał rysunek przedstawiający kapitana Nemo przy fladze na biegunie polarnym i przeczytał na głos:

- Zegnaj, słońce! Niech sześciomiesięczna noc roztoczy teraz swój cień nad moim nowym królestwem!

- Te książki stały na półce mego ojca - powiedział Olaf, równie podniecony jak Oleg, na co chłopiec wielkodusznie oświadczył:

- Nic nie szkodzi!

Podziękowania i uściski ojciec Harry'ego przyjął z uśmiechem zawstydzenia, lecz jednocześnie wielkiego zadowolenia.

Gdy się już położyli i Rakiel zasnęła, Harry wstał i podszedł do okna. Myślał o wszystkich tych, których już nie było. O matce, Birgitcie, ojcu Rakiel, Ellen i Annie. I o tych, którzy zostali. O Oysteinie, który dostał od Harry'ego na gwiazdkę nowe buty, o Raskolu w areszcie i o dwóch kobietach na Oppsal, które były tak miłe, że zaprosiły Halvorsena na późny świąteczny obiad, ponieważ miał dyżur i nie mógł w tym roku pojechać do domu do Steinkjer.

Coś się tego wieczoru wydarzyło. Nie był dokładnie pewien co, ale oznaczało zmianę. Długo wpatrywał się w światła miasta, nim zauważył, że śnieg przestał padać. Ci, którzy tej nocy będą szli nad rzeką Aker, zostawią ślady.

- Dostałeś na gwiazdkę to, czego sobie życzyłeś? - spytała Rakiel, gdy wrócił do łóżka.

- Czego sobie życzyłem? - spytał zdziwiony, obejmując ją.

- Wyglądałeś tak, jakbyś czegoś sobie życzył, kiedy stałeś przy oknie. Co to miało być?

- Mam wszystko, czego mógłbym sobie życzyć - odparł Harry, całując ją w czoło.
- Powiedz mi - szepnęła, odchylając się do tyłu, by na niego popatrzeć. - Powiedz mi, czego pragniesz, Harry.
- Naprawdę chcesz wiedzieć?
- Tak. - Przytuliła się do niego jeszcze mocniej.
Zamknął oczy i powoli zaczął się przed nimi przewijać film, tak wolno, że widział każdą klatkę oddzielnie. Ślady na śniegu.
- Spokoju - skłamał.

51 SANSSOUCI

Harry patrzył na zdjęcie, na biały ciepły uśmiech, na mocne szczęki i stalowoniebieskie oczy. Tom Waaler. Potem pchnął zdjęcie przez biurko.

- Nie spiesz się - powiedział. - I przyjrzyj się uważnie.

Roy Kvinsvik sprawiał wrażenie bardzo nerwowego. Harry odchylił się w tył na swoim biurowym krześle i rozejrzał dokoła.

Halvorsen na ścianie nad szafką z dokumentami powiesił kalendarz adwentowy. Pierwszy dzień świąt. Harry miał prawie całe piętro wyłącznie dla siebie. To była najprzyjemniejsza rzecz w wakacjach. Wątpił, by usłyszał Kvinsvika, głoszącego prorocтва wieloma językami, jak wówczas, gdy znalazł go w pierwszym rzędzie w Filadelfii, lecz nadzieję zawsze można było mieć.

Kvinsvik chrząknął i Harry wyprostował się na krześle.

Za oknem białe płatki śniegu opadały na puste ulice.

„KB”